UMIEJĘTNOŚĆ JĘZYKA.

STREŚCIŁ PODŁUG WHITNEY'A

Adolf Dygasiński.

I.

Nie ma nauki, którąby nie chciała poszczycić się historyą w zamierzchłych czasach starożytności. I językoznawstwo, choć jest arcyplebejuszowskiém co do swego pochodzenia, ma jednak pretensyą wyprowadzenia swéj genealogii z tych powszechnych skarbnic ludzkiéj wiedzy: Grecyi i Rzymu. Atoli narody starożytności nie pojmowały wielkiéj zasady, jaką się dzisiaj kieruje umiejętność języka; tylko wyższy stopień cywilizacyi mógł dodać ludziom odwagi do przekroczenia szczupłych granic, w których ją wieki starożytne i czasy średniowieczne więziły. Ludy starożytne stały na stanowisku patryotyzmu, wyłączającego wszystko co nie nasze; w nich każda obczyzna była barbaryzmem, badaniu którego nie warto poświęcać czasu. Wieki średnie zamiłowały się w tradycyi, a ówczesnemu lingwiście nie przeszło nawet przez myśl, aby się można było zająć badaniem innego języka jak greckiego, łacińskiego lub hebrajskiego. Czasy nowsze nie prędko mogły otrząsnąć się z takiéj jednostronności, cześć dla greki oraz łaciny do dnia dzisiejszego zachowała swoich czcicieli licznych i swoje ołtarze. Jednak dokoła gromadzące się bogactwa najszczęśliwszych rezultatów badań we wszystkich gałęziach wiedzy, a zwłaszcza téż w naukach przyrodniczych, nie pozostały bez wpływu i na językoznawstwo. Tylko szlachetny naukowy kosmopolityzm dziewiętnastego wieku mógł wydać wyrok, że wszelki język ludzki godzien jest badania, a kiedy to uznaném już zostało, załatwienie reszty stało się kwestyą

czasu. Nieustanne gromadzenie materyałów i porównywanie ich doprowadziło do przekonania, że języki Europy nie tylko pokrewne są między sobą, ale, że zostają w takimże stosunku pobratymstwa z językami południowo-zachodniéj Azyi. Ten konar języków, zwanych *aryjskiemi, indoeuropejskiemi* lub *indogermańskiemi*, dający się ostatecznie sprowadzić do jednego jakiegoś pra-języka, rozpada się na tysiące gałęzi i gałązek, ogarnia sobą przestrzeń wielkich lądów i żyje od jakich czterdziestu wieków. Jestto już pomysł a jednocześnie i grunt umiejętności całkiem nowéj genezy.

Bardzo doniosłym faktem, który ma do zaznaczenia historya językoznawstwa, jest wprowadzenie *sanskrytu* w zakres badań téj umiejętności. Święta mowa Indyi niezaprzeczenie ma prawo stanąć na czele języków aryjskich, ze względu na swój wiek wysoki, na dochowanie nam wierne prastarych wyrazów i ich form, oraz niezrównaną przezroczystość budowy. Dopiéro przy świetle sanskrytu, rozjaśniły się ciemne dotąd stosunki pokrewieństwa, zniknęło wiele wątpliwych etymologij, powstały zasady, któremi kierować się musi nietylko badacz języków aryjskich, ale badacz wszelkich innych grup językowych.

Nie mamy tutaj zamiaru dawać obrazu całkowitego historyi naszéj umiejętności, żywimy bowiem przeświadczenie, iż, zapoznawszy się wprzód z rezultatem i metodą językoznawstwa, czytelnik przygotowanym dopiéro będzie do dokładnego zrozumienia tak tworzenia się historycznego rozwoju nauki, jako też i wspaniałych prawdziwie praw, przejawiających się w języku.

Materyałem i przedmiotem językoznawstwa jest mowa w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu. Narodek jakiś, żyjący w najodleglejszym zakątku ziemi, zaledwie że wyrwany ze stanu zwierzęcego jest dla badacza tyle ważny, ze względu na swój język, co i wysoko cywilizowane ludy. Żyjące i umarłe języki, przechowane w księgach lub rozproszone fragmentarycznie napisy, wszelkie słowo ludzkie — bez względu na czas i przestrzeń — umiejętność ta chwyta i bada. Jest ona w dobrych stosunkach przyjaźni z *filologią*, mającą za zadanie wydobyć z danego napisu myśl lub pojęcie, oraz z *praktyczném językoznawstwem*, które polega znowu na przyswojeniu sobie języka lub języków dla czysto życiowych, towarzyskich potrzeb; zachowuje jednak charakter, wyróżniający ją od obydwóch.

Umiejętność języka bierze pod swe badanie mowę ludzką, nie jako pomnik myśli, ale jako środek i narzędzie komunikowania myśli; nie obchodzą go bynajmniéj teksty i zdania, ale tylko wyrazy i formy, wyrażające sobą zdanie. Wnika ono w wewnętrzne życie

języka, bada jego początek, rozwój, stara się wykryć prawa sprowadzające przemiany, oznacza nareszcie stosunek języka do władz umysłowych, wpływ jego na rozwój tychże, kreśli historyą umysłowego ruchu, o ile ten odźwierciedla się na zewnątrz w języku jako swojéj formie. Każdy zgodzić się musi, że zadania takie są pełne wysokiego interesu. Językoznawstwo od niedawnego czasu stało się bardzo ważném i pomocném dla badań historycznych, zwłaszcza też tych, które zajmują się czasami nierozświeconemi przez żaden pomnik pozostały.

Język rozstrzyga dzisiaj, czy i w jakim stopniu pokrewnemi są między sobą rozmaite rasy oraz narody, a podług tego jak je wypada na grupy i rodziny rozdzielać. Etnologia zatem wspiera się przeważnie na językoznawstwie, mówimy „przeważnie,“ bo nie chcemy pod tym względem zmniejszać zasługi umiejętności przyrodniczych, ale tylko wykazać, iż w jednym mianowicie kierunku, będącym daleko po za ich sferą charakteryzuje się wybitnie znaczenie języka dla etnologii. W nim to albowiem i na nim odbiły się cechy intelektualnych oraz moralnych zdolności danego narodu, stopień jego oświaty, historya wiedzy, filozofii, pojęć religijnych, stosunków międzynarodowych a nawet zewnętrznych, klimatycznych. Ale plan nasz nie pozwala nam wyliczać wszystkich zasług językoznawstwa; tutaj zmuszeni jesteśmy ograniczyć się do przedstawienia głównych jego zasad, a oprócz tego postaramy się wyświetlić, czém jest język, jakie on ma znaczenie dla ludzkości;—postaramy się pojąć wielkie prawdy, do odkrycia których on w ciągu dziejów doprowadził.

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, w jaki sposób język żyje i wzrasta. Następnie będziemy musieli poddać badaniu obszerniejszemu te procesa, od których przemiany języka są zależne, mianowicie musimy przedstawić, jak i w skutek czego występuje wewnętrzna przemiana treści, jako też i zewnętrzna 'forma języka. Daléj jeszcze przyjdzie nam zwrócić uwagę na uklasyfikowanie języków, tak iż nas ta klasyfikacya doprowadzi do pojęcia rodziny języków, a następnie jednego ich wspólnego szczepu. Oprócz tego zachodzi potrzeba przejrzenia dowodów, na których się wspiera pokrewieństwo naszego ojczystego języka z ową rodziną mnogich dyalektów i z tą większą od rodziny jeszcze całością czyli ze wspólnym szczepem. Tu przyjdzie nam opisywać ów szczep wspólny, przedstawić jego znaczenie w lingwistyce i historyi oraz w kilku rysach skreślić obraz jego dziejowego rozwoju.

Nadto oznaczymy jeszcze inne szczepy, na które rozpadają się znane nam formy ludzkich języków i scharakteryzujemy najgłówniejsze ich właściwości. Zajmiemy się także niezmiernie ważną

kwestyą wyświetlenia. o ile język ma związek z wielkiém zagadnieniem pierwotnéj jedności lub mnogości ludzkiego rodzaju.

Nareszcie rozważymy sprawę pochodzenia języka, jego stosunku do myśli i rolę, jaką on odgrywa w wychowaniu ludzkości. Że zaś język pisany jest pod tym ostatnim względem znakomitym działaczem i pomocnikiem języka ustnego, przeto mamy zamiar pokrótce przedstawić historyą rozwoju sztuki pisania.

Co się tyczy metody, pozwolimy sobie dać przewagę analitycznéj nad syntetyczną i przełożymy drogę badania nad dogmatyzm. Ilekroć przyjdzie nam ustalać zasady, będziemy się zawsze trzymali indukcyi i wychodzili od takich faktów, z któremi każdy wykształcony człowiek obeznanym być winien. Postaramy się również o język zrozumiały, wolny od figurycznych wyrażeń i zwrotów, a będziemy unikali przenośni, wspierających się więcéj na analogiach niż faktach, tak aby przedmiot nasz wystąpił nie w fantastycznych blaskach, lecz w silnie narysowanych i charakterystycznych konturach.

Liczne zadania językoznawstwa dają się bardzo dobrze wyrazić w formie tego jednego pytania. „Dla czego mówimy tak, jak mówimy“? Główna różnica językoznawstwa jako umiejętności od praktycznéj znajomości języków zasadza się na tém, że temu pierwszemu głównie chodzi o przyczyny. Nie o to chodzi, jak mówimy lub mówić powinniśmy, ale dla czego mówimy; dla czego mówimy naszym ojczystym językiem, a nie innym jakim. z pośród tysiąca języków na ziemi istniejących? Jest to pytanie bardzo proste, jednak jeżeli na nie zdołamy odpowiedzieć z całą ścisłością, to jednocześnie znajdziemy punkt wyjścia dla naszego badania. uprzątniemy z drogi wiele zawiłości, które nieraz powstrzymały badaczy. Ażeby na postawione pytanie odpowiedzieć, nie trzeba wiele słów rozpraszać: „dla tego tak mówimy, jak mówimy, ponieważ tak nas mówić nauczyli w naszém dzieciństwie i młodości ci, którzy nas otaczali.“ Natura nie pozwoliła nam na własną rękę rozwiązywać wielkiego zagadnienia, jak mówić powinniśmy. Zaledwie byliśmy na tyle umysłowo rozwinięci, aby pojęcie z jego znakiem zrozumiale w myśli zestawić, a już byliśmy w możności rozeznawać podług imion osoby i przedmioty oraz zwykłe zjawiska w małym światku naszym będące — podług imion, jakie im inni ludzie nadawali; — wkrótce zaś nauczyliśmy się sami, im też same imiona nadawać. Tak, za panią matką pacierz powtarzając, wyuczyliśmy się wszystkich prawie wyrazów języka dziecinnego. Podrastając, przyswajaliśmy sobie już przez naukę, już przez codzienne naśladowanie coraz większe zasoby ojczystego języka; im więcéj zaś budziły się

władze duchowe, tém więcéj wzrastała recepcya, rozszerzał się zakres wiedzy, a wyobrażenia i pojęcia dochodziły do zrównania się z wyobrażeniami i pojęciami otaczających nas osób, z czém jednocześnie i nieustannie postępowały naprzód zdobycze nasze językowe.

Na widok białego lub bezbarwnego płynu nie rozmyślaliśmy wcale, jakie ten płyn ma własności i nie zastanawialiśmy się następnie, czy taka lub inna nazwa będzie dla niego odpowiednią, lecz poprostu nauczono nas, że płyn biały zowie się *mleko*, bezbarwny *woda*. Wodę nauczyliśmy się poznawać w studni, stawie, strumieniu, rzece i t. d., stosownie do zdarzającéj się okoliczności. Cóż mogło być naturalniejszego, jak to, iż na widok wzniesionéj nad poziom powierzchni ziemi, zapytaliśmy: co to jest?“ Odpowiedziano nam: „góra,“ „wzgórze,“ lub „pagórek.“ Te i tym podobne ćwiczenia wiodły nas do wzbogacania naszego językowego skarbca. Zarazem przez takie zdobywanie nazw dla przedmiotów świata zewnętrznego, doszliśmy empirycznie do pewnéj klasyfikacyi, jaką między tymi przedmiotami język zachowuje; nauczyliśmy się odróżniać: *rzekę* od *strumyka*, *górę* od *pagórka*, *drzewo* od *krzewu*, *krzaka* i t. d. W zupełnie podobny sposób przyszliśmy do używania słów i rozumienia ich znaczenia jak np. *bić*, *płakać*, *klęczeć*, *upadać*, *kazać*. Jak długoby nasze moralne uczucia bez zewnętrznéj pomocy pozostawały w ciemnym chaosie, tego trudno oznaczyć, to pewna, iż zawczasu już postarano się dać nam niektóre z nich poznać i od innych wyróżnić. Przyuczono nas np. *ciepłe uczucie wdzięczności i przywiązania* mianować słowem *kochać*, słabszy zaś stopień tego uczucia przez *lubić*, a stan przeciwny przez *nienawidzić* oznaczać.

Nie tylko nam pomagano do zrozumienia i pojęcia naszéj własnéj istoty, oraz bezpośrednio nas otaczającego świata, ale jeszcze obznajmiono nas z przedmiotami, miejscowościami i stworzeniami którycheśmy nigdy w późniejszym wieku nie widzieli. I tak każdy, jako tako za młodu nauczony, wié, co to jest *Ameryka*, choć tam nigdy nie bywał.

Lecz dosyć tych przykładów. Łatwo spostrzedz, że nauczenie się ojczystego języka należy do najwcześniejszych zdobyczy wychowania. Bynajmniéj nie utworzyliśmy sobie języka, ani téż nie wyszukaliśmy przedmiotów, czynności, uczuć oraz stosunków, którym jakieś szczególne miano przypadać winno, ale prosto braliśmy i w najlepsze sobie przyswajali wszystko, co nam zakomunikowali nasi nauczyciele, to jest wszyscy ci, którzy w dzieciństwie i młodości mieli z nami bliższe stosunki.

Nie obchodziło nas wcale pochodzenie wyrazów, ani też nie dbaliśmy o właściwe ich używanie. Coby nam z tego przyszło, gdyby na dziecinne nasze zapytanie — ktoś odpowiedział, że wyraz *słoma* — odpowiada niemieckiemu *Halm* i łacińskiemu *Calamus*, lub wyraz *jestem* sanskryckiemu — *asmi*?

Krew i pochodzenie nasze nie mają nic wspólnego z językiem, którym my mówimy. Jacykolwiek będą nasi przodkowie, jeśli tylko otaczające nas osoby mówią *eau* i *lait* lub *water* i *milk* zamiast *woda* i *mleko*, to my będziemy je niezawodnie naśladowali. Dajmy na to, że matka polskiego dziecięcia uważa za pierwszy warunek dobrego wychowania, aby dziecię mówiło płynnie po francusku natenczas otacza ona je francuską służbą i osiąga niezawodnie wtedy swój cel, chociażby w dziecku jéj płynęła krew Leszków i Popielów. Dziecię, którego rodzice należą do różnych narodowości, uczy się języka ojcowskiego albo macierzyńskiego, o czém rozstrzygają okoliczności lub własny wybór; może się ono wyuczyć języków obojga rodziców i wtenczas niewiadomo, który język nazwać jego ojczystym językiem. Nie ma potrzeby, ażeby każdy z nas na własną rękę uczył się świat poznawać i rozmaite jego przedmioty badał w tym celu, aby im właściwe nazwy mógł nadać. Tylko pierwszy człowiek, że powiemy z biblią, musiał sobie mieć przedstawione zwierzęta polne i ptaki powietrzne, aby każdemu z nich imię nadał.

Musimy tu zwrócić uwagę, iż język, który sobie przyswajamy w dzieciństwie, język np. polski, ma pewną, właściwą miejscową formę i barwę, co my od otoczenia naszego przejmujemy. Nikt z nas nie uczy się idealnie czystéj polszczyzny, a nawet o jakiéjś powszechnie obowiązującéj normie dobrego ustnego języka polskiego trudno byłoby mówić. Nieznaczne uchybienia w wymawianiu lub akcencie nadają mowie barwy prowincyonalne, które każdy łatwo spostrzedz może. Któż nie zna śpiewania litewskiéj polszczyzny i charakterystycznego używania imiesłowów na *szy*? W krakowskiém i sandomierskiém dźwięk samogłoski *a*, zbliża się w wymawianiu do *o*; *pán*, *boská* = *pan*, *boska*. Wielkopolanie mają mnóstwo zwrotów i wyrażeń nieznanych reszcie ludności polskiéj; np. *jemu to plaży*, *jagniączka*, *koprowina* = *jemu się podoba*, *wełna z jagniąt*, *miedziane pieniądze*. Warszawianie z precyzyą wymawiają *gięś*, *Saska kięPa* i t. d. a wszystko to są prowincyonalizmy, które kursują w tém lub owém narzeczu, nie znajdując uznania w języku literackim. Jako dzieci przywykamy do rodzinnego prowincyonalizmu tak dalece, iż nas nawet wysoki stopień wykształcenia nie jest w stanie częstokroć od tego nałogu, że tak powiemy, uwolnić.

Głównym czynnikiem najpotężniéj wpływającym na jednostajność i czystość języka jest wykształcenie szkolne; to téż nie dziw, iż na pierwszym planie w wykształceniu człowieka stoi nauka poprawnego mówienia i pisania w języku ojczystym. Niemniéj silny i trwały wpływ na uszlachetnienie języka wywiéra także towarzyskie obcowanie, i to jest pewna, że dopóki żyjemy, dopóty poprawiamy nasze usterki językowe, przestając z ludźmi poprawnie mówiącymi. Właściwie i czytanie książek nie jest niczém inném jak tylko formą obcowania z powagami władającemi językiem, a samo udoskonalanie i poprawianie języka odbywa się na téj saméj drodze, na któréj się go jako dzieci uczyliśmy, postępuje zaś ono w miarę użytego na ten cel czasu, i w miarę naszéj pilności; zupełnie jak przy uczeniu się obcych jakichbądź języków.

Przyswoiwszy sobie w ten lub ów sposób czystość języka i łatwość używania jego, nie jesteśmy jednak panami całego materyału, jakim język rozporządza. Język bowiem jest kompleksem niezliczonéj ilości składników, a wszelka ludzka jednostka przyswaja sobie tyle tylko, o ile jéj na to środki i zdolności własne pozwalają. Zapasy językowe dziecka liczą zaledwie najniezbędniejsze nazwy najzwyczajniejszych przedmiotów, najprostszych wyobrażeń i najbliższych stosunków. To téż przedmiot rozmowy z dzieckiem wkrótce zostaje wyczerpany, a książka niepisana dla dziecka będzie dla niego niezrozumiałą, gdyż ono nie wyuczyło się jeszcze symboli złożonych tutaj myśli; często myśli same przechodzą granicę jego pojęć. I w tém znaczeniu wszyscy jesteśmy dziećmi. Któż bo pod względem znajomości ojczystego języka powiedzieć może: „dzieło jest już skończone?“

Cały skarbiec języka polskiego liczy może jakie 80 tysięcy wyrazów, obejmując już w téj liczbie archaizmy, prowincyonalizmy, jako téż termina techniczne. Z tego zapasu człowiek wykształcony używa na pokrycie codziennych swoich potrzeb około 4-ch tysięcy wyrazów, człowiek zaś należący do niższych warstw społecznych, obchodzi się prawie o połowę mniejszą liczbą. Można śmiało twierdzić, że nie ma człowieka, któryby posiadał znajomość całkowitego języka.

Zdarza się nieraz literat lub mówca wykształcony, obdarzony płynną i wykwintną wymową, słucha się go z zachwyceniem jak dobréj muzyki; ale spotykamy innego z równie bogatą wiedzą i dojrzałym sądem, a jednakże przekonywamy się, iż nie jest on w stanie równie gładko jak poprzedni oddać myśli swoich pismem lub mową. Jak nie ma dwóch ludzi posiadających dokładnie jednakowe

rysy twarzy, tak samo trudno byłoby znaleźć dwa indywidua, posiadające jednakowy zasób języka.

Nadto zauważyć trzeba, że nie wszyscy przywiązują jednakowe znaczenie do jednych i tych samych wyrazów, wyrażenie zaś „dwie dusze, a jedna — myśl“ — uważać należy jako czysto poetyczną metaforę. Zdania również nie są dokładnemi wizerunkami myśli, nie są to nawet fotografie; zbywa im całkowicie na kolorycie, co więcéj: są to pobieżnie nakreślone szkice, zaledwie na tyle dostateczne, aby z nich widz mógł sobie cały obraz w myśli odtworzyć, z tém atoli zastrzeżeniem, iż dwóch widzów nie jest w możności reprodukować stąd w swéj duszy jednakowego obrazu, a tém mniéj znalazłby się ktoś, coby zdołał dokładnie odtworzyć oryginał. Jeżeli, dajmy na to, dwaj ludzie prowadzą rozmowę o słońcu i rozumieją się wzajemnie dobrze, to jednak dla jednego z nich słońce może być tylko kulą ognistą, która co ranek na niebo wstępuje, a co noc zachodzi, u drugiego zaś, ilekroć wyraz ten wymówi, budzą się w pamięci wszystkie pojęcia, jakie umiejętność podaje o tém największém świetlném ciele niebieskiém i wpływie jego na naszego planetę. Ileż to jest nazw geograficznych, ktore znamy tylko z imienia, podczas gdy są ludzie, którzy znają je nieskończenie lepiéj, już to z powodu podróży swych do owych miejscowości, już w skutek pilnego czytania ich opisów. Ludzie rozmawiający o *miłości* lub *nienawiści* rozumieją pod temi wyrazami zasadniczo różne uczucia, a to stosownie do swego usposobienia lubieżnego lub popędliwego i brutalnego, filozoficznego albo sentymentalnego. Ale po co tu gromadzić przykłady?

Któż nie wie, że spory toczące się o znaczenie wyrazu bywają najczęstszemi i jednocześnie są one najzawziętsze?

Otóż nie będzie wcale paradoksem, jeśli powiémy, że, jakkolwiek wszyscy mówimy po polsku, to jednak nie ma dwóch Polaków, coby ściśle téj saméj polszczyzny w mowie używali i to: ze względu na formę, ze względu na bogactwo i ze względu na treść języka. Czémże więc właściwie jest polszczyzna? Jestto wielki kompleks dźwięków artykułowanych, wyrażających sobą pojęcia, który powstaje ze zliczenia wszystkich dźwięków w pewnéj społecznéj całości, zamieszkującéj w obrębie ziem polskich jako też wszędzie po świecie, gdzie żyją Polacy, nie zatraciwszy jeszcze onych rodzinnych dźwięków. Jestto suma prowincyonalnych i powiatowych dyalektów, albo inaczéj mówiąc: jest to przeciętny język owych pojedynczych języków. Przez porównanie możnaby powiedzieć, że to jest wielka rzeka w łożysku nieregularném i w ciągu wieków na ogromne zmiany narażoném; lub też przyrównać możnaby jezyk

nasz do obszernego państwa, którego różne części mają niezmiernie sporne granice, a każdy obywatel tego państwa posiada kawałeczek kraju; znajduje się zaś wewnątrz jeden okrąg, gdzie każdy ma swój udział i wszyscy są tam na wspólnym gruncie.

Chociaż polszczyzna jest zawsze jednym językiem, rozpada się atoli, że tak powiémy, na gatunki i podgatunki, których w mowie używają już to jednostki, już stany, już mieszkańcy różnych prowincyj. Jedność zaś polszczyzny polega na tém, że wszyscy używający tego języka mogą się porozumiéć i zrozumiéć wzajemnie w kwestyach najważniejszych i najżywotniejszych.

Polszczyzna przechowuje się przez tradycyą, w którym to procesie każda jednostka ma udział, bo język w każdéj jednostce używającéj go prowadzi oddzielne i samodzielne życie, podobnie jak to czyni zwierzęcy lub roślinny gatunek w przynależnym mu organizmie. Udział jednostki pod względem przekazywania potomności języka nie jest małym, jakby się zdawało, zwłaszcza też za pośrednictwem dzieł literackich. Książka jest niejako nieśmiertelne indywiduum, z którém tysiące ludzi może obcować przez długi czas po śmierci autora. Każdy zrozumié to dobrze, jeśli rozważy wpływ na społeczeństwo takich mocarzy słowa, jak Mickiewicz, Słowacki i t. p.

Z jednostek składa się zbiorowa siła narodu, która ogarnia wszystkie stany i klasy, pomieszcza w sobie całą mnogość charakterów, stosunków i potrzeb, a to wszystko raz odźwierciedlone w języku przechodzi z pokolenia w pokolenie.

Atoli tradycya nigdy nie dostaje się potomstwu w stanie doskonale czystym, ma tutaj miejsce powolne, ale nieustające przeobrażenie, w skutek czego język praojców staje się częstokroć niezrozumiałym dla prawnuków. W téj mierze wystarczy rzucić okiem na literackie zabytki języka naszego, aby się przekonać o różnicy języka dzisiejszego z językiem, w którym była spisana biblia Wujka.

Różnica ta zwiększa się, jeśli się cofniemy do statutu Wiślickiego; i tak, im daléj w las, tém więcéj drzew.

Najbardziéj uderzającemi przemianami językowemi są te, które zmieniają zasoby języka. Idą one w ślad za zmieniającemi się potrzebami narodu, przynosi je do nas każdy nowy wynalazek w dziedzinie umiejętności, sztuki, lub też gromadzą je powstające coraz nowe zwykłe potrzeby życia praktycznego.

Język bowiem posiadają ludzie w tym celu, aby się mogli pomiędzy sobą porozumiéwać względem rzeczy znanych, jest on więc poniekąd skalą wiedzy danego narodu, tak, że o czém nie mamy wy-

obrażenia, czego nie wiémy, tego i w języku oddać nie można. Gdyby powstał z grobu ziomek nasz jaki z ubiegłego stulecia, znalazłby w języku polskim wyrazy zupełnie dla siebie niezrozumiałe, a to z téj przyczyny, że on nic nie wiedział w swoim czasie *o lokomotywach*, *iglicówkach*, *kartaczówkach*, *dynamitach*, *telegrafach*, *statkach parowych* i t. d. a właśnie o te i tym podobne wyrazy zwiększyło się bogactwo językowych zasobów. Jądrem języka są nazwy dla rzeczy, stosunków i czynności, które ludzkości znane są odtąd, odkąd ona istnieje, a które nazwiska swoje otrzymały wtedy już, gdy ludzie mówić zaczęli. Takie wyrazy jak: *czerwony*, *zielony*, *niebieski*, *żółty*, sięgają najpierwszéj epoki tworzenia się języka; ale kiedy odkryte zostały nowe, delikatniejsze odcienia barw, wystąpiła także i potrzeba wyszukania dla nich nazwisk, które wzięto czy to od miejscowości czy téż od osoby jak np. barwa *Solferino* lub *Bismarck*.

Szczęśliwa para wieśniaków, żyjąc nawet od czasów Adama aż do dni naszych poprzestałaby na *ziemi*, *skałach*, *krzemieniu i glinie*, ale oto mineralogowie i geologowie wykryli mnóstwo nowych faktów co do powstawania skorupy ziemskiéj i jéj składowych części; co więcéj zbadali i uporządkowali pokłady ziemi, odkryli niezliczone okoliczności, dotyczące powstawania i pochodzenia przeróżnych warstw i, aby to wszystko wyrazić, wnieśli do słownika narodowego ogromną ilość wyrazów. A zupełnie tak samo ma się sprawa z botaniką, metafizyką, krótko mówiąc z każdą umiejętnością i sztuką. Ze słowników tych pewna część przeciska się zawsze do języka najniższych klas i zwiększa sobą przyrost zakładowego kapitału, pojęć zasadniczych, stanowiących dziedzictwo każdéj generacyi i przekazywanych potomstwu, aby żyć o czém miało. Krótko mówiąc, wzbogacanie się i ubożenie języka stosuje się ściśle do okoliczności i potrzeb tych, którzy go używają.

Przeciw wspomnianéj przemianie w języku nie może wystąpić nawet najzawziętszy purysta, albowiem wystąpienie jego byłoby protekcyą dla ignorancyi, a tamą dla postępu i oświaty.

Równocześnie atoli przedstawiają się w języku naszym inne jeszcze przemiany, dotyczące raczéj formy niż treści języka; przemiany te znajdują znakomity opór w dążności dokładnego przekazywania form językowych następującemu po nas potomstwu. Wiémy już jednak, że tradycya choćby najwierniejsza, nigdy nie jest doskonałą. Jak anegdotka jakaś nie może być wiernie parę razy powtórzoną bez zmiany, tak samo wyraz w przejściu swojem z jednego pokolenia w drugie nie zdoła utrzymać pierwotnéj formy.

Dzieci, zaczynające szczebiotać, tyle opuszczają i zmieniają w wyrazach oraz zdaniach, że je ci tylko zrozumieć są w stanie, co

z niemi nieustannie obcują. Ale i starsze już dzieci, przyuczone zwykle do prawidłowego wymawiania, mają częstokroć wstręt do pewnych dźwięków, których albo wymawiać nie umieją, albo téż zastępują je przez inne pokrewne dźwięki. Każdy zna uproszczenia dziecinnego języka jak np. używanie słowa *jeść* jako wyrazu bezokolicznego bez względu na osobę, czas i liczbę. Zdarzało nam się zauważyć, iż dziecko z licznych analogij wnosząc, tworzyło stopień wyższy na wzór przymiotników foremnych tam, gdzie właśnie gramatycznie wyjątek ma miejsce: od *zły—źlejszy*; od *mały—malejszy* i t. d.

W zupełnie podobny sposób powstają przemiany językowe, których istotném źródłem jest niedbalstwo w wymawianiu. Świadczą one o wpływie na język niezmiernéj większości indywiduów niezadających sobie trudu, aby mówić poprawnie po polsku, a ostatecznie błędy ich stają się normą języka. Przyczyny tego są następujące: 1) ulżyć narządom mownym spełnienie zadania, oszczędzić trudu i czasu potrzebnego na wydanie dźwięków; 2) usunąć z języka formy nieprawidłowe i niezwykłe za pomocą działania analogii.

Pomyślmy, iż podług téj przemiany niemiecki wyraz *Vogt* powstał z łacińskiego *advocatus*, a *Pferd* ze średniołacińskiego *paraveredus*, a będziemy mieli dostateczny obraz takiego procesu skracania wyrazów. Lud zaś góralski w Galicyi, idąc za analogią przymiotników zakończonych na *ski*, mówi: *naskie ziemniaki* = nasze kartofle; lub téż podług analogii imiesłowów na *ny*: *łódka wodą zajdziona* i t. d.

Na téj drodze zatracają się wyrazy stare a powstają nowe, zmieniające fizyognomią języka.

Przemiany podobne mają miejsce zwłaszcza w języku żywym, gramatyka i literatura zapobiegają przekształcaniu się, czyli psuciu języka, dla tego téż w czasach dzisiejszych język nasz ulega coraz mniejszemu zepsuciu a to w miarę coraz szerzéj rozpościérającéj się oświaty.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli, stosuje się nie do jednego języka, lecz do wszystkich, jakie na kuli ziemskiéj znajdujemy. Każdy język jest zbiorem indywidualnych znaków zwanych wyrazami, a każdy wyraz powszechnie używany, przyjęty został w drodze tradycyi jako znak oznaczonego pojęcia. Związku pomiędzy wyrazem a pojęciem nie ma żadnego; wyrazy bowiem są dobrowolnymi, umówionymi symbolami myśli, ale symbole te ulegają zmianie, ponieważ tradycya doskonałą być nie może. Smucić się z tego powodu nie należy jednak, gdyż te przemiany stanowią historyą rozwoju języka, a nadto są one jego życiodawczymi pryncy-

pem, podobnie jak przemiany wszelkiego w ogóle życia. Język żyje wtedy, jeśli go używa cały naród jako swego komunikacyjnego środka, jako narzędzia, w którém złożone zostały wszelkie opinie, przekonania, uczucia i doświadczenia narodu, tak iż myślenie i mówienie wystarczają sobie i pokrywają się nawzajem.

II.

Z tego co się powiedziało, widać, że języka uczymy się przez tradycyą i że ta tradycya nigdy nie jest dokładną, a podług tego język podlega powolnemu procesowi przekształcania i w jakie trzydzieści lub czterdzieści generacyj staje się prawie niezrozumiałym.

Zauważyć tu należy przedewszystkiém, iż ilekroć jest mowa o języku jako organizmie, o jego organicznéj budowie, prawach rozwoju, popędach lub zdolności przystosowywania się do potrzeb człowieka i t. d. to zawsze wyrażenia takie są jedynie metaforami, nazywającemi rzeczy nie po imieniu. Język żyje tylko w ustach tych, którzy nim mówią; składa on się ze znaków artykułowanych, z których każdy przywiązany jest do wyrażonego przez siebie pojęcia, a kurs swój i znaczenie zawdzięcza jedynie pewnéj umowie pomiędzy mówiącymi i słuchaczami w czasie danym.

Jakże się grubo mylą ci, którzy językowi przypisują egzystencyą niezależną od wpływu ludzi. Maksymilian Müller powiada w odczytach swoich, że: „chcieć zmienić według upodobania prawa językowe, lub usiłować wynaleźć nowe wyrazy, wychodzi na to, co myśléć nad zmienieniem praw cyrkulacyi krwi, albo nad powiększeniem wielkości naszego ciała“. Zaledwie dowodzić tego potrzebujemy, jak niewłaściwém jest podobne twierdzenie, poparte przez uczonego lingwistę anegdotą, że rzymski Cesarz—Tyberyusz—i niemiecki—Zygmunt, jakkolwiek potężni mocarze, nie zdołali zmienić reguły w gramatyce łacińskiéj! Swoją drogą błędy gramatyczne monarchy są tak dobrze błędami jak błędy każdego człowieka, a swoją drogą nie ma jednostki, któraby nie usiłowała wprowadzać zmian do języka ojczystego, począwszy od wieku dziecinnego, kiedy się opuszcza dźwięki i sylaby przytrudne do wymawiania, oraz tworzy się nowe wyrazy i ich odmiany podług fałszywych analogij. W dojrzalszym wieku grzeszymy przeciw gramatyce oraz poprawnemu sposobowi mówienia, już to używając wyrażeń pospolitych, tak przez nieświadomość jakoteż niejednokrotnie z fantazyi. Zawsze atoli, takie usiłowania jednostki są bezsilne wobec panującego powszechnie sposobu mówienia. A dzieje się tak nie z tego powodu, że człowiek niema żadnéj władzy nad językiem, ale ponieważ ma

nad nim zupełną i całkowitą władzę,—ponieważ przyzwyczajenie ludzi tworzy powszechny sposób mówienia. Stosownie więc do tego człowiek, coby zdołał kierować używaniem powszechnego sposobu mówienia, mógłby język stwarzać lub zmieniać go i tylko pod tym warunkiem możliwym jest jakiś związek wysokiéj politycznéj władzy z władzą nad językiem. Jakiś trafny dowcip panującego może raz na zawsze zmienić formę wyrazu. Tak naprzykład:—król francuski, Ludwik Święty, dowiedziawszy się o spustoszeniach i mordach popełnionych przez hordy tatarskie, miał zawołać z przerażeniem: „Zaprawdę, możnaby ludzi tych nazwać *Tartarami*, albowiem w dziełach swoich podobni są oni do złych duchów Tartaru“. I odtąd forma „*Tartar*“ zamiast tatar, przyjęła się w Europie. Używając przyrównania możnaby powiedzieć, że ludzie, używający jednego jakiegoś języka, razem wzięci, stanowią arcy-demokratyczną rzeczpospolitę, w któréj wszystkie urzędy i godności rozdzielone są przez powszechne głosowanie stosownie do zasług, a pozostają one pod nieustannym nadzorem oraz czujną kontrolą. Każdéj jednostce może się zdarzyć nieraz sposobność dorzucenia czegoś do powszechnego językowego skarbca, ale tylko muszą być do tego dane dostateczne powody, a przyrzucone dodatki muszą trafić w myśl oraz upodobanie całego narodu.

Przodkowie nasi na widok małéj, szaréj ptaszyny, latającéj *po krzewach* — utworzyli nazwę dla tego ptaka: *Pokrzéwka* i propozycya owego imienia rozeszła się po kraju, a że imię było trafne, przeto znalazło powszechne uznanie, oznaczając sobą ptaka, zjawiającego się u nas na wiosnę i rozweselającego swoim śpiewem nasze sady lub gaje. Gdyby pierwszy twórca téj nazwy ochrzcił był ptaka *piewcą krzaków*, to może ta nazwa nie byłaby już równie powszechną w polskiéj ludowéj ornitologicznéj terminologii. Znakomity uczony włoski fizyk Galvani odkrył pewną fizyczną siłę, którą ktoś z zajmujących się temi badaniami nazwał *galwanizmem*. Innym razem drugi uczony francuski zastosował pewne chemiczne procesy do robienia portretów i zastosowanie to od nazwiska wynalazcy nazwał ktoś znowu *dagierotypią*, *dagierotypem* zaś—produkt wspomnianéj metody wyrabiania portretów. Otóż *galwanizm* i *dagierotyp* przyjęły się i mają tak dobre prawo obywatelstwa w języku polskim, jak *słońce* i *księżyc*, *ojciec* i *matka*. Gdyby Galvani nazwał był swoję siłę *abracadabra*, a Dagier swoje świetne wizerunki *aldiboronti phosсophornios*, to może jednak niektóre powagi, kierujące opinią publiczną w takich sprawach, wystąpiłyby przeciw tym potwornym nazwom i zastąpionoby je przez inne odpowiedniejsze. Wszakże ogół bynajmniéj nie oburza się na to, że w ostatniéj połowie nasze-

go wieku uczeni geologowie zaleli język powodzią nowych wyrazów, z trudnością zaiste kwalifikujących się, aby znakomite zdobycze badań naukowych wprowadzić do powszechnie kursującego języka. Wyrazy takie jak: *Sylurski*, *paleontologiczny*, *ichtyosaurus*, *eoelit*, noszą—można powiedzieć—dosyć barbarzyńskie pozory, a geologowie potraktowali nas nimi dosyć despotycznie.

Atoli naród udziela także władzy i nad innemi pospolicie w języku używanymi wyrazami oraz sposobami mówienia, udziela jéj zawsze ludziom mającym właściwe, wymagalne w takich razach kwalifikacye: mówcom, których wymowa porywa serca słuchaczy, poetom i autorom, których czarodziejski wpływ na powszechny język aż do najniższych społecznych warstw sięga. Takie to osobistości mogą przywoływać do życia już z obiegu wycofane wyrazy, mogą nawet w mennicy swojéj bić nową monetę podług istniejących analogij, ale zawsze trzeba na to zgody i uznania powszechnego. Bo w każdéj części i cząsteczce ludzkiego języka tkwi zasada: *Usus norma loquendi* — „przyzwyczajenie jest prawidłem języka“.

Częstokroć wyraz, aby wejść *in usum* awansuje niezmiernie prędko, jeśli publika cała przyklaskuje nowicyuszowi. Tak się ma obecnie sprawa w Galicyi przy zaprowadzeniu nowych miar i wag dziesiętnych. Wobec pospolicie dziś protegowanych metrów, kilogramów, litrów zachwiały się w użyciu łokcie, funty, centnary i kwarty, a zdaje się, że niedaleką jest chwila ostatniéj ich ekspiracyi.

Inaczéj atoli powiodło się wyrazom takim jak *przeroda* zamiast *przyroda*, lub *rodoć*, co ma być przekładem na język polski wyrazu *natura*, *wyzyw* zamiast *prowokacya* i *sprzeciw* zamiast *opozycya* oraz mnóstwu innym, z najlepszą wprawdzie wiarą spłodzonym, ale mimo to nieudałym jednak produktom, które mają niby oczyszczać a jednocześnie wzbogacać język rodzinny. Ogół mówiących nie dał tym wyrazom sankcyi swéj, a od instancyi takiéj nie ma już gdzie apelować, choćby téż patronowały nie wiemy jakie akademie świata. W tém miejscu wypada nam zrobić uwagę, że wzbogacenie narodowego dykcyonarza odbywa się zawsze ze świadomym siebie działaniem człowieka. Niechaj obrońcy samodzielnego organizmu i życia języka zgodzą się na to, że skoro tylko jednostka utworzyła sobie jakieś pojęcie lub wyprowadziła z czegoś wniosek, to przecież język nie działa tu własnowolnie i w skutek własnego swego popędu, aby utworzyć nazwę dla takiego pojęcia lub wniosku. Kto rzecz należycie rozpoznał, ten nie był nigdy w kłopocie, aby jéj nadać nazwisko. Ale nie inaczéj ma się sprawa także i z przemianami językowemi, sprowadzającemi upadek gramatycznéj budowy, lub przeobrażenia fonetyczne. Jakkolwiek one wywiązują się nie-

dostrzegalnie prawie i, że tak powiémy, bez zgiełku, to jednak przyczyny są tutaj téż same. Mówiąc dzisiaj: *pokrzywa*, pomnijmy, iż niegdyś wyraz ten brzmiał *koprzywa* lub *kopriwa* (porówn. Koprzywnica w Sandomierskiém i rossyjskie *krapiwa*, urtica), a przemiana ta dokonała się nie w skutek jakiéjś siły wewnątrz wyrazu istniejącéj, ale ponieważ obecna forma dla narządów mownych człowieka dogodniejszą była do wymawiania. W Krakowskiém lud zamienia *SZ* na *S*, a nawet na *Ś* np. *sukać* = *szukać; śtuka* = *sztuka; scęście* = *szczęście* i t. d. Ciągle działająca siła przykładu żywego popiéra to lenistwo wymawiania, które z czasem tworzy reguły godne gramatyki. Wszyscy dzisiaj mówimy i piszemy *jechać*, niepomni, że przed paru wiekami powszechną była forma *jachać*, któréj użycie dzisiejsi literaci uważaliby sobie za grzech ciężki, a która przechowała się jeszcze w mowie ludu naszego.

Otóż o tych i tym podobnych przemianach zwykło się mawiać, iż one są nieuniknione i że w języku zaszły, atoli wyrażenie takie nic innego nie oznacza, tylko to, że właściwie nie znamy sprawy owych przemian. Ale na co tu gromadzić przykłady i silić się na obszerne popieranie naszego twierdzenia; wreszcie i ci, co twierdzą, że język samodzielnie egzystuje i organicznie się rozwija, mówią jednocześnie o przemianach językowych jako rezultatach usiłowań ludzi w celu uproszczenia narządom mównym trudności przy wymawianiu. W stosunkach naszych, gdzie nad całością i czystością języka czuwa tysiące oczu, a tysiące ostrozaciętych piór gotowe zanurzyć się w atramencie, aby denuncyować i zwalczać wszelki nowy element, zagrażający téj całości oraz czystości języka, w stosunkach takich naturalnie język może jedynie bardzo nieznacznych zmian doświadczać.

Natomiast do wszelkich nowości i nieustannych przemian droga szeroko stoi otwarta tam, gdzie piecza nad językiem powierzona jest ludziom nieukształconym i niedbale mówiącym, którzy nie pytają się czy ta lub owa forma wyrazu jest klasyczna i poprawna, lecz idąc za popędem chwili nie troszczą się o przeszłość i przyszłość.

Powstawanie nowych dyalektów idzie od ludu, podczas, gdy język wyższych warstw wykształconych pozostaje takim jakim jest. Ale tak tu jak i tam działają jedne i też same siły. Wszelka bowiem przemiana językowa zależy od woli mówiącego, który w skutek wewnętrznych popędów wyraża się za pomocą narządów mównych, a te wyrażenia swoje urabia wedle potrzeby i dogodności własnéj. Wszelką nową formę językową złą czy dobrą należy uważać jako akt woli jednostki, która formę tę umyślnie wytworzyła

i własnowolnie jéj obieg nadała. Inna rzecz czy forma ta potrafiła sobie zdobyć uznanie powszechne, które osięga się bardzo powoli lub nigdy, i dla tego téż zmiany językowe zwolna i nieznacznie postępują. Przyjął się i utarł bardzo dobrze w języku: *rok pański* zamiast powszechnego w swoim czasie *lata pańskiego.* Szanse były wielkie, gdyż każdego lata najważniejszém zdarzeniem dla narodu były: *roki* i wydawanie *Wy-roków*; mówiono tedy na przyszły *rok*, myśląc z początku o rokach grodzkich lub wojewódzkich, o apelacyach, które bywały na roki wielkie albo na sejm walny, *o rokach* skargowych, sądzonych przez podstarościch i pisarzów grodzkich — i gdy cały naród czuł ważność *roków*, ktoś użył w piśmie wyrazu: *rok pański* zamiast *lato pańskie* i tak się téż do dzisiaj zostało.

Rosyjski wyraz złożony *srok* (dies constituta), jest tego samego pochodzenia. W swoim czasie i w zupełnie podobny sposób mogło powstać użycie wyrazu *godzina.* Starły się więc w życiu do minimum *gody* oraz *lata*, a powstał modniejszy *rok*, i niechnoby kto dzisiaj usiłował wprowadzić w życie te niegdyś bardzo popularne wyrazy.... A więc gdy są widoki dobre zaprowadzania innowacyi, wtedy ona się przyjjmuje; w przeciwnym razie spotyka opór nieprzezwyciężony. Przychodzi nam w téj chwili na myśl garstka gruntownie uczonych naszych lingwistów, którzy, idąc ręka w rękę z umiejętnością, usiłują zaprowadzić niektóre wielce racyonalne i potrzebne ulepszenia w pisowni. Jakżeż im się praca ta nie udaje! Cóż dopiéro mówić o języku, który jest dla nas droższym, bliższym niż pisownia jego. Nosiciel naszych myśli, organ towarzyskich potrzeb, środek kształcenia i udoskonalania się naszego, nietylko codziennie, ale w każdéj najmniejszéj chwili tak dla nas niezbędny, — jest on pierwszą rzeczą, któréj się uczymy, ostatnią, któréj zapominamy. Nic dziwnego, że ten najsłodszy, niczém niedający się usunąć nałóg, co się nam drugą stał naturą, jest tak przez nas samych zabezpieczony przed wszelkiemi pokuszeniami radykalnych i samowolnych przemian. Całe społeczeństwo czuwa tutaj, aby żadna odrobina bez potrzeby się nie przemieniła i stąd téż pochodzi, że tylko przemiany, odpowiadające powszechnie odczutym potrzebom i zalecające się przez powszechne poczucie językowe, mogą pretendować do uznania i uzyskania praw obywatelstwa w języku.

I w tém to znaczeniu rzeczy biorąc, prawdą jest, że jednostka nie ma władzy nad językiem. Ale wpływu na język odmawiać jéj żadną miarą nie można. Albowiem język i jego przemiany należą do aktów publicznych całego narodu; naród jednak, jako taki, inicyatywy tu brać nie może, działa jedynie przez swych

pełnomocników, zachowując sobie samemu prawo kontroli oraz konfirmacyi lub odrzucenia każdego szczegółowego referatu.

Język jest dobrém publiczném, którego jednakże każdy na swą własną korzyść używa i tak, chcąc niechcąc, staje się współpracownikiem wielkiego dzieła ulepszania i przekształcania ojczystéj mowy.

Na koralowéj ławicy każdy pojedynczy polip żyje tylko po to, aby sobie tam zdobył pożywienie i oddał z siebie wapnistą materyą, ale zbiorowym rezultatem tego skromnego życia pojedynczych polipów jest wspaniała koralowa rafa, o którą rozbijają się potężne fale groźnego oceanu. I w tém znowu znaczeniu o języku można powiedzieć, że posiada wzrost swój; nie jest on bynajmniéj ze świadomością utworzoném dziełem sztuki, ale wzrost jego postępuje w miarę wzrastających potrzeb i zdolności ludzi, nim mówiących. Tutaj nareszcie miejsce ostatecznie objaśnić bliżéj znaczenie wyrażeń takich, jak: „organizm" i „organiczny rozwój" — języka.

Podobnie, jak ciało organiczne, język nie jest prostym agregatem podobnych sobie atomów, ale jest on kompleksem pokrewnych i wzajemnie warunkujących się składników. I on, jak ciało organiczne, każdemu nowoprzybranemu materyałowi nadaje formę, służącą do pewnego oznaczonego celu, mianowicie do wzmocnienia całego organizmu i do ułatwienia sobie spełnienia swoich naturalnych funkcyj.

Mówiąc przenośniami i przyrównywając życie języka do życia zwierząt, możemy powiedzieć, że język każdéj ludzkiéj jednostki jest niejako reprezentantem gatunku; posiada on bowiem szereg indywidualnych właściwości, oraz silną skłonność do przeobrażenia się i wytworzenia nowego gatunku. W ogóle dyalekty, gwary językowe, rodziny i szczepy odpowiadają zoologicznym odmianom, gatunkom, gromadom i t. d. Co więcéj, wszelkie pytania, jakie sobie obecnie z wielką skwapliwością stawiają przyrodnicy, odnośnie do pojęcia gatunku, powstawania nowych gatunków w skutek przemienności osobniczéj, doboru przyrodniczego i pierwotnéj jedności organicznego życia—wszystkie te pytania stoją w bardzo bliskim związku z zagadnieniami, stanowiącemi najwyższy interes dla lingwisty.

Wypada nam tutaj wspomnieć jeszcze, że pomiędzy faktami oraz metodą badania w dziedzinie geologii z jednéj, a językoznawstwa z drugiéj strony zachodzi godne uwagi pobratymstwo. Zabytki językowe czasów dawnych dadzą się przyrównać do pokładów ziemi, które niejako opowiadają nam historyą prastarych form życia, oraz warunków zewnętrznych, na to życie oddziaływających. Takich

analogij możnaby niewątpliwie więcéj jeszcze wyszukać, ale przyrównania, o ile z jednéj strony są pouczające i pożyteczne, ponieważ rzucają dobre światło na obserwowany przedmiot i oznaczają go coraz wyraźniéj, o tyle znowu mogą być szkodliwemi, gdyż rozwiązują zanadto skrzydła naszéj fantazyi. I ztąd to pochodzą właśnie owe poglądy na język, jako na żywy, rozwijający się organizm, a na językoznawstwo, jako na umiejętność przyrodniczą.

Powiedzieliśmy wyżéj, iż mowa nie jest dziełem sztuki, ale nie jest ona także stanowczo dziełem natury; jest ona instytucyą ludzką, choć nazwy tej używamy tu z trudnością i jedynie w braku innéj, lepszéj na oznaczenie tego co myślimy, jest ona produktem tych, którym służy do zaspokojenia najniezbędniejszych duchowych potrzeb. Pod ich rozporządzeniem ona się znajduje, a przekształca się odpowiednio do stosunków oraz potrzeb swoich twórców; każda zaś składowa część języka jest rezultatem całego łańcucha przemian, zdziałanych przez wolę jednych i zezwolenie drugich. Na tém miejscu decyduje się już charakter językoznawstwa: jest ono umiejętnością historyczną; istotę bowiem umiejętności przyrodniczych stanowi to, że one zajmują się przedmiotami materyalnemi, wprawionemi w ruch przez działanie sił natury. W języku atoli motorami są istoty rozumne, a materyałem jest—nietylko czysto artykułowany dźwięk który poniekąd możnaby jeszcze za produkt natury uważać, ale dźwięk pełen myślowéj treści, oraz zbiór dźwięków, w których odbija się wiekami nagromadzona mądrość rodzaju ludzkiego. Przedstawiciele dzisiejszéj filozofii i w ogóle badacze przyrody ulegają pewnemu kierunkowi, podług którego starają się w każdéj nauce wykryć wyłącznie materyalny element i znieść raz szranki pomiędzy fizycznością a duchowością. Kierunek wspomniany zaprzecza wolności woli, a całą historyą ludzkich losów przedstawia, jako szereg czysto materyalnych procesów, wywołanych przez naturalne, łatwo dające się wykazać przyczyny. Stosownie do tego człowiek jest tylko instrumentem, na którym siły przyrody wygrywają, co im się podoba. Nic téż dziwnego, że zwolennicy owego kierunku uważają język za dzieło przyrody a językoznawstwo za umiejętność przyrodniczą. Jeżeli z jednéj strony trudno zaprzeczyć, iż w języku wiele dokonywa siebie świadoma działalność ludzkiéj istoty, to z drugiéj strony nie powinna ujść naszéj uwadze ta okoliczność, że to, czego w języku szuka badacz—nie jest zawsze tém, co tutaj własnowolnie i celowo złożyli ludzie. Widzieliśmy iż każda zmiana lub nabytek języka występuje w skutek popędu do zaspokojenia chwilowéj potrzeby. Tylko części języka, pojedynczo wzięte, zostały świadomie i celowo utworzone, całość jest instynktową i na-

turalną. Jedność oraz symetrya całego systemu jest tutaj bezwiednym rezultatem nieustannych usiłowań ducha człowieczego, aby fakta świata zewnętrznego i wewnętrznego ogarnąć, przerobić i każdy pojedynczy rezultat téj pracy właściwie w języku wyrazić. Otóż istotny język jest zasadniczo różnym od sztucznie wymyślonéj mowy pojęć i odpowiednich im znaków, przez które niejednokrotnie chciano zastąpić istniejące języki. Rozważając wszechstronnie zjawisko życia językowego, zawsze dostrzegamy brak zupełny refleksyi i celowości. Przemiany dźwiękowe polegają na mimowolném działaniu popędów, z których jednostka bynajmniéj sprawy sobie nie zdaje; polegają na czynności organów, których urządzenie i budowa są zwykle mówiącemu mało lub nic nie znane. W języku złożone jest świadectwo zewnętrznych wpływów, historycznych stosunków, postępu wiedzy i oświaty, i to dla tego, że tak chcą praktyczne zadania języka, a nie dla tego, iż ktoś chciał to wszystko tak przedstawić. Język pokazuje pochodzenie i rodowód narodów, nie dla tego, ażeby ludzie, świadomi owego pokrewieństwa, chcieli je pokazywać potomstwu, ale że ślady pobratymstwa nie dały się w języku zatrzeć. Zastanowimy się teraz nieco nad rodzajem metody, używanéj w lingwistyce. Na początku téj pracy postawiliśmy pytanie: „dla czego mówimy tak, jak mówimy?” Rozszerzmy to zapytanie i zdajmy sobie sprawę nietylko z tego, jak my mówimy, ale także, jak mówili ci, od których się mówić nauczyliśmy, jak brzmiała owa tradycya, która nam się w dziedzictwie dostała; krótko mówiąc, zbadajmy przyczyny, dla których wyrazy naszéj mowy są takiemi, jak są, a nie innemi. To nas doprowadzi do naturalnego wniosku, że, skoro tylko nie poprzestajemy na tém, jak przedmiot naszych badań obecnie wygląda, ale badamy rysy jego i rozwój w przeszłości, to badanie podobne rozmaitych faz i przyczyn te fazy sprowadzajacych musi należeć do zakresu badań historycznych. Podczas, gdy klasyfikacya, podział, uporządkowanie faktów, form i wyrazeń języka jest sprawą gramatyki oraz leksykografii, które podają reguły i przepisy—językoznastwo ma za zadanie podawać objaśnienia. A że materyał do objaśnień tylko w historyi znalezionym być może, przeto historya musi stanowić punkt wyjścia dla badań lingwistycznych.

Główne więc zadanie lingwisty polega na tém, ażeby zbadać i przedstawić historyą rozwoju języka od najdawniejszych czasów za pośrednictwem wszelkich dostępnych, historycznych dokumentów. I to jest rzeczywiście jedyna droga, na któréj zdobyć sobie można prawdziwy pogląd na istotę języka oraz na stosunek jego do władz duchowych i do historyi człowieka. Historya języka zaś rozpoczyna się od historyi jego wyrazów czyli od etymologii, będącéj podstawą

językowych badań. Wyrazy to trzeba uważać niejako za świadków, których etymologia bada, ażeby złożyły świadectwo o sobie i o języku, do którego należą. Mamy tu zamiar okazać na przykładzie, jak dalece etymologiczne badania służą za środek do przedstawienia dziejów rozwoju i życia języka. Nie ma ani jednego takiego wyrazu ani też grupy wyrazów, gdzieby historya nie znalazła mniéj lub więcéj dokładnych przykładów na wszelkiego rodzaju językowe przemiany. Tu zastanowimy się nad głównym punktem etymologicznego badania, polegającym na tém, iż wyrazy składają się z różnych pojedynczych części.

Już w obecnym stanie języka jest zwyczajem, aby zestawiać z sobą dwa samodzielne wyrazy i w ten sposób wytwarzać wyraz złożony. Mówimy i piszemy: *górnolotny*, *łuskoskrzydlny*, *gromowładny*, *zwierzokrzew* i t. d.

Każdy z tych wyrazów powstał przez połączenie dwóch lub i więcéj części mowy.

Są wyrazy których złożenie z części, jakkolwiek nastąpiło od bardzo dawnego czasu, jest jednak jeszcze zupełnie widoczném: np., *Bogarodzica*, *bezpieczeństwo*, *bogosławić* i *błogosławić* i t. d.

Ale nietylko te wyrazy są złożonemi, których złożenie na pierwszy rzut oka rozpoznać można. Niejeden wyraz, o którego złożeniu niepodobna byłoby wnosić z obecnego stanu języka, przy świetle historyczném daje się jednakże rozłożyć na kilka pierwotnie zupełnie samodzielnych składników. Taki wyraz *dziś* jest złożonym z *dzień* i *sij* (ten), *teraz* powstał z *ten* i *raz*, *ostrów* składa się z wyrazu *ob* (dokoła) i pierwiastku tego samego, co w wyrazie *stru-mień*, *stru-ga*, tak, iż dosłownie znaczy: miejsce, dokoła opłynięte przez wodę; *sąsiad* znaczy: siedzący wespół z kimś, i składa się z dawnego przyimka *sam*, odpowiadającego łacińskiemu *cum* w *convivium*, oraz z pierwiastku tego samego, jaki się znajduje w wyrazie *siedzieć*. Toż samo da się powiedzieć o wyrazach: *śpiewać*, *potrawa*, *strawa*, *strata*, *znowu*, *gwoli* zamiast *ku woli*, *wyrok* „to, co zostało wyrzeczone”, i t. d.

Przenosząc się z zakresu języka polskiego na szerszą niwę bratnich języków aryjskich, znajdziemy nierównie więcéj jeszcze przykładów, gdzie już skalpel umiejętnéj etymologii dokonał rozkładu na wyrazach, nieraz bardzo jednolicie przedstawiających się z pozoru. Weźmy dwa wyrazy niemieckie: *welch* i *solch*, a chociaż one są bardzo krótkie, bo tylko jednozgłoskowe, jednak każdy z nich złożony jest z dwóch wyrazów.

Welch znaczy dosłownie: „wie gestalt“ *solch*: „so gestalt.“ Końcówka, wspólna obu tym wyrazom, wywodzi się od starego rzeczownika *leik*, „postać,“ pierwiastki zaś ich są też same, co w wyrazach

niemieckich: *wie* oraz *so*, lub angielskich, *which*, *such*. Do etymologii *leik* odnieść należy także końcówkę przymiotnikową, *lich*, w *herrlich*, *rühmlich* i t. d. Obok tego, że wyraz *leik*, przechował się w niemczyznie pod formą: *lch*, *lich*, a nawet, jako rzeczownik *Leiche* (zwłoki), znajdujemy go jeszcze w języku angielskim w stanie dobrze zakonserwowanym, jako *like* (wymów lajk), co znaczy „podobny“, i w innéj jeszcze, zepsutéj formie, jako przymiotnikową oraz przysłówkową końcówkę *ly*, np. *truly*, „prawdziwie“, a nadto w polskim języku: *lice*, *oblicze*, i w rosyjskim *lico*, „osoba.“

Pierwotnie wyraz ten przyczepiano w niemczyznie do innych wyrazów z całą świadomością jego znaczenia; później znaczenie główne poszło w zapomnienie, a jednocześnie następowała przemiana pierwotnéj formy. O czémś podobném możnaby mówić w języku naszym przy rzeczownikach z końcówką *in*, jak *Rzymianin*, *mieszczanin*, *Wielkopolanin* i t. d., jeśli prawdą jest, iż ta końcówka *in*, pierwotnie znaczyła tyle, co *jeden*, ztąd *jeno*, ludowe *ino*.

Taki prosty wyrazek, jakim jest trzecia osoba liczby pojedynczéj w czasie teraźniejszym od słowa posiłkowego, *być*, powstał nie na innéj drodze, jak tylko przez złożenie, a w ten sam sposób powstały także wszystkie deklinacye, konjugacye i stopniowanie przymiotników. W wyrazie *jest*, rozróżniamy aż trzy elementy: j + es + t Co się tyczy pierwszego, jest to jedno ze znamion rodzinnych czy szczepowych, konstatowanych nieustannie w żywej mowie ludu, ilekroć mowa o *Jadamie*, *Jewie* oraz *janiołach*. Druga część: *es*, jest reprezentantem starożytnego bardzo pierwiastku *as*, przez który oznaczano pojęcie *bytu*; nareszcie *t* powstało, jako szczątek wyrazu, znaczącego mniéj więcéj tyle, co *ten*, *ta* lub *to*. W taki więc sposób powstało *jest*, jako wyraz, złożony ze słowa i zaimka trzeciéj osoby, a któżby się z téj odrobiny spodziewał, że ona jest utworzona w zupełnie podobny sposób, co *zwierzokrzew* lub *łamigłówka*. Ale to *jest*, chociaż tak szczupłe, szczyci się świetną i bardzo starożytną przeszłością, bo prawie jednobrzmiąca jego forma rozlega się ciągle i nad Indem i na rzymskiém forum i w ustach śpiewaków jońskich, w lasach Germanii i po siołach polańskich i Bóg wie gdzie jeszcze. Wszędy, gdzie tylko żyły i żyją ludy, co z pojęciem bytu, życia wyruszyły ze wspólnéj swojéj kolebki. Ale nie mamy miejsca na gromadzenia przykładów, nie możemy nawet o *jest* powiedzićć tyle ile jego godność wymaga. To co się przytoczyło, musi wystarczyć tym razem na poparcie twierdzenia, że każda końcówka, będąca ostatecznie czystym gramatycznym symbolem, była w swoim czasie wyrazem niezależnym, posiadającym określone znaczenie. Wszystkie nasze wyrazy są więc podług tego pierwotnie złożonemi.

Z kolei wypada nam obserwować i badać inne procesy, od których zależą dalsze przemiany języka. Najpierwszą i najważniejszą przyczyną wszystkich niemal dźwiękowych przemian jest ów popęd człowieka, o którym powyżéj wspomnieliśmy, a który polega na dążności do uproszczenia sobie sprawy mówienia, do zastąpienia trudniejszych w wymawianiu dźwięków i połączeń dźwiękowych przez łatwiejsze.

Wszystkie bowiem artykułowane dźwięki potrzebują przy wymawianiu mniejszego lub większego natężenia czynności naszych płuc, gardła, warg i t. d., a człowiek instynktownie stara się, aby natężenie to zmniejszyć. Instynkt ów można nazwać wrodzoném lenistwem lub téż oszczędzaniem pracy muskularnéj, to jest popędem samozachowawczym. Jest on lenistwem, jeżeli się więcéj traci niż zyskuje; oszczędnością, jeśli zysk przewyższa stratę.

Zwrócimy naprzód uwagę na przemiany, jakie ten popęd wywołuje w dopiéro co przedstawionym procesie składania wyrazów, gdzie właśnie dla przemian dźwiękowych stoi otworem szerokie pole. Wszakże to z gotyckich form *sveleik*, *hveleik* powstały niemieckie *solch* i *welch*, a podczas tego gdy w angielskim utrzymała się prawie nieuszkodzona forma *like*, w złożeniu padła ona ofiarą jednak, jak to widzimy z przysłówka *truly*. Albowiem przemiany dźwiękowe obrały sobie najulubieńsze siedlisko w wyrazach złożonych. W wyrazie niema żadnéj siły ani popędu samozachowawczego, jest on więc wystawiony na zmiany możliwe, wywoływane przez zewnętrzne okoliczności, przez praktyczne cele komunikacyi, przez skłonność do upraszczania i wreszcie różne jednostkowe wybryki. Kiedy raz wyraz złożony utworzonym został i ustaliło się jego znaczenie, nikogo już potém nie obchodzi sposób powstawania, owszem zwykle się o tém zapomina. Któż myśli, kiedy mówi wyrazami, co te wyrazy znaczą rzeczywiście, dosyć nam jeśli znamy obecne ich znaczenie. Nazwa *Nowe-miasto*, jest dobrze zachowana, ale już dzisiaj dosyć niewłaściwa dla staréj mieściny nad Wisłą, to też przy wymawianiu tego wyrazu—wcale się niema nowości miasta na myśli, tak samo jak się nie myśli o zieloności kraju, mówiąc *Grenlandya*. To chętne zapominanie głównego etymologicznego znaczenia wyrazu wspierane jest przez upadek dźwięków. Na chrzcie ś-tym nadają dziecku imię *Bogumił*, co jest literalném tłomaczeniem greckiego imienia *Teophilos*, a dla rodziców i rodzeństwa obojętną jest w tym razie etymologia, ale nie może być obojętną dla całego otoczenia praca nieustanna wymawiania tego imienia. Otóż nazywają chłopca *Boguś*, albo nawet *Buś* i gdy go pod tém imieniem poznają rówieśnicy oraz koledzy szkolni, to imię takie kursuje Bóg wié jak długo. A co się tu powiedziało o

imieniu chłopca, toż samo można zastosować do imion wszystkich rzeczy na świecie.

Wracając do końcówek, które ze samodzielnych wyrazów przemieniły się w czysto formalne elementy, musimy wyznać, iż ta zmiana nie jest bynajmniej szkodliwą dla języka, owszem powiedzielibyśmy nawet, jest pożądaną, gdyż dostarcza wcale niekłopotliwego materyału do dalszych procesów składania wyrazów, od czego zależy naturalnie bogactwo zapasów rodzinnego języka. Tak tedy, skrócenia, zepsucia i zatraty znaczenia wyrazów niechaj nikomu nie sprawiają troski; są to zwyczajne procesy języka, tworzące jego historyą. Ztąd powstaje jednolitość jego i jego postęp.

Ale popęd ów, sprawiający wiele dobrego, jest jednocześnie siłą ślepą, objawiającą się także niejednokrotnie w sposób niszczący i szkodliwy dla rozwoju języka. Skracanie bowiem wyrazów może sięgać daléj, poza usunięcie części zbytecznych, a dążność uproszczenia sobie wymawiania może się odbyć kosztem zniszczenia cennych elementów języka. Mówiąc o wyrazie, *jest*, wykazaliśmy, że *t*, będące tego samego pochodzenia, co *ten*, *ta*, *to*, stanowi trzecią osobę liczby pojedynczéj. Końcówka ta w pewnéj epoce rozwoju języka posiadała formę *ti*, i charakteryzowała sobą wszystkie słowa w trzeciéj osobie liczby pojedynczéj; obecnie przechowała się ona jedynie tylko, już uszkodzona, w jedném słowie *jest*, podczas tego, gdy w języku rosyjskim bytność *t* w trzeciéj osobie liczby pojedynczéj jest powszechną. Końcowym znowu dźwiękiem w pierwszéj osobie liczby pojedynczéj było *mi*, należące do tego samego pierwiastku, co zaimki: *mię*, *mnie*, *mi*. Ta końcówka *mi* dzisiaj już zupełnie zniknęła w niektórych językach, np. w niemieckim; w greckim istniała jeszcze w całéj gromadzie słów: *tithemi*, *didomi* i t. d. w łacińskim spotykamy ją w czasach teraźniejszych: *sum* i *inquam*. Obecnie język angielski utrzymał jéj ślady w *I am*, „jestem“, język rosyjski w *jeśm*, *dam*, *jem*, a w języku polskim spotkać się z nią jeszcze można dosyć często: *wiem*, *znam*, *mam*, *dam* i t. d. Sanskryt, ten że tak powiemy, najstarszy syn aryjskiéj rodziny, posiadał końcówkę *mi*, we wszystkich słowach bez wyjątku. Atoli dla historyi konjugacyi słów ważniejszemi są jeszcze zmiany, zaszłe w końcówkach liczby mnogiéj, które znane nam są pod najdawniejszemi swojemi formami: *masi*, *tasi* i *anti*, a już w owych dawnych czasach nie były one bynajmniéj samodzielnemi wyrazami, ale tylko formalnemi elementami, powstałemi z form zaimkowych. Znaczenie ich, jako pierwotnych wyrazów, było: *ja* i *ty* = *my*; *ty* i *on* = *wy;* *on* i *on* = *oni*. Wymawiano je naprzód po pierwiastkach, z któremi się one wreszcie zupełnie stopiły w jednę całość, tracąc jednocześnie indy-

widualność własną. Nasze formy: *leżemy*, *leżycie*, *leżą*, brzmiały w sanskrycie: *lagamasi*, *lagatasi*, *laganti*; w łacinie końcówki te znamy, jako: *-mus*,*-tis*,*-nt*: *legimus*, *legitis*, *legunt*, a w języku gotyckim, najstarszym z niemieckich języków: *ligam*, *ligith*, *ligand*. Pomyślmy, jak wielkiemu zniszczeniu dźwięków uległy owe końcowe wyrazy, jak daleko jest od *laganti* do *leżą*! Ale w miarę, jak przemiana dźwięków niszcząco działała na skłanianie aryjskiego słowa, niektóre języki umiały sobie poradzić i stratę wynagrodzić, tak, że angielskie *we lie*, *you lie*, *they lie* są równie zrozumiałemi formami, co i *lagamasi*, *lagatasi*, *laganti*. Co się powiedziało o konjugacyi, odnosi się również i do deklinacyi, którą niektóre języki w obecnéj epoce tworzą sobie przez dodawanie na początku artykułu (niem.: *der*, *die*, *das*; fran.: *le*, *la*; ang.: *the*), a to z powodu zniszczenia końcówek. Ten sam upadek dźwięków spowodował tu i ówdzie zatratę różnicy rodzajowéj, jak to widzimy, np. w języku angielskim, a także liczby podwójnéj, będącéj swojego czasu w powszechném użyciu. Liczba mnoga w języku niemieckim zaledwie zdołała odróżnić przez końcówkę *n*, trzeci przypadek od reszty jednobrzmiących, a przypadki w deklinacyi rzeczowników żeńskich, jak *die Hand*, jedynie za pomocą artykułu mogą być między sobą rozróżnione. To użycie artykułu na wyrażenie różnych przypadków jest środkiem, który sobie język wynalazł w celu wyrównania strat, poniesionych w skutek fonetycznego upadku końcówek deklinacyjnych. Chociaż, przyznać trzeba, że takie wynagrodzenie strat niezawsze ma miejsce, bo, np. utrata cechy rodzajowéj w angielszczyznie pachnie bankructwem.

Częstokroć język wyzyskuje najmniejszą okoliczność, aby sobie wynagrodzić stratę, poniesioną przez upadek dźwięków. Pod tym względem godném jest uwagi tworzenie liczby mnogiéj niektórych rzeczowników języka niemieckiego. I tak np. od *Kraft*, siła, mamy liczbę mnogą *Kräfte*, gdzie nietylko została użytą zwyczajna końcówka liczby mnogiéj, ale nadto nastąpiła jeszcze modyfikacya samogłoski *a*, a co się stało u pewnéj grupy rzeczowników cechą wyróżniającą liczbę mnogą od pojedynczéj.

Ta modyfikacya samogłoski była pierwotnie nie gramatycznym lecz czysto mechanicznym procesem, polegającym na prawach dobrodźwięku, podług którego *i*, znajdujące się w końcówkach niektórych przypadków, usiłując upodobnić do siebie samogłoskę lub dwugłoskę poprzedzającéj tematowéj sylaby, przemieniało ją na dźwięk cieńszy. Nie było w tém bynajmniéj pojęcia mnogości, zwłaszcza gdy podobne zjawisko występowało poprzednio już w liczbie pojedynczéj, ilekroć końcówka przypadku mieściła w sobie element *i*, tak np. od *Kraft* drugi i trzeci przypadek były: *Kraftajas*, *Kraftaji*.

Jeszcze w średnio-górnoniemieckim języku dwunastego i trzynastego wieku deklinacya tego wyrazu w liczbie pojedynczéj brzmiała: *Kraft,—Krefte,—Krefte,—Kraft.* Otóż w miarę tego jak się przycierały końcówki przypadkowe liczby mnogiéj, powstawała potrzeba odróżniania form liczby mnogiéj od pojedynczéj w sposób jakiś inny, niż przez same końcówki przypadkowe liczby mnogiéj, i na téj to drodze przedsiębrano częstokroć i tam przemianę samogłoski, gdzie *i* nie dawało do tego powodu, jak np.: *Füsse.* Podobna okoliczność miała miejsce w niemieckiéj koniugacyi, gdzie *ge* stanowi cechę charakterystyczną imiesłowu czasu przeszłego, odróżniającą go niejednokrotnie od wyrazu bezokolicznego, np. *gekommen* i *kommen.* Otóż to *ge* całkiem przypadkowo doszło do pełnienia wspomnianéj funkcyi, gdy pierwotnie jako *ga* odpowiadało łacińskiemu *cum* i *con* w *Gefährte*, „wespół z kimś idący“, a następnie w połączeniu ze słowami udzielało im znaczenia trwałéj i skończonéj czynności, na czém polega dziś jeszcze różnica *denken* i *gedenken*, *brauchen* i *gebrauchen.* W tém też ostatniém znaczeniu łączono *ge* z formą słowną, oznaczającą czynność w przeszłości skończoną, i powoli przywyknięto mówić: *gesungen*, *gefunden*, zamiast: *sungan*, *fundan*, jak mówili *Gotowie.* I tak wyrobiło się poczucie jakoby *ge* było sylabą służącą do urabiania imiesłowów czasu przeszłego.

Tyle o skracaniu gramatycznych form, o przycieraniu się i znikaniu niektórych najważniejszych formalnych elementów w języku. Ale, jakkolwiek procesa tego rodzaju odgrywają znaczną rolę w historyi języka, nie są one jednakże jedynemi; owszem ten sam popęd do upraszczania, do oszczędzania czasu i pracy przy wymawianiu wyraża się jeszcze w różne inne sposoby. Żaden z artykułowanych dźwięków, z jakich się wyrazy nasze składają, nie zdoła uniknąć zmian, które wywołuje ów popęd. Rozdział o przemianach dźwięków bardzo jest obfity i zawiera zbyt wiele szczegółów, abyśmy go tutaj wyczerpać zdołali; dosyć, jeżeli się zwróciło uwagę na najgłówniejsze punkta i przytoczyło stosowne przykłady.

Każdy dźwięk, z jakich się alfabet nasz składa, powstaje w skutek cielesnego natężenia, w którém biorą udział płuca, gardło i jama ustna. Płuca dostarczają niejako surowego materyału, którym jest mocniejszy lub słabszy strumień powietrza; znajdujące się w krtani głosowéj struny nadają wydychanemu z płuc powietrzu dźwięk oraz barwę, ostateczną zaś formę, swój charakter—jako dźwięk artykułowany, otrzymuje ta kolumna powietrza przez działanie języka, podniebienia i warg. Stosownie do tego wszelki dźwięk wyobraża pewne położenie narządów mownych, nadających formę po-

wietrzu. Każdy wyraz składa się z szeregu dźwięków artykułowanych, przeto na wymówienie jego składa się szereg różnych, zmieniających się położeń narządów mownych.

Usiłujmy wymówić wyraz *słownik*, a zobaczymy, jak tu najprzód działa język, potém wargi, gardło i nozdrza, aż w końcu występuje w całości wyraz dwuzgłoskowy, szczęśliwy rezultat ich działalności. Przy wymawianiu tego wyrazu narządy mowne siedm razy musiały przyjmować rozmaite położenia, a wszystkie ich ruchy wykonane zostały z niezmierną szybkością i ścisłością; przejście od jednego dźwięku do drugiego następowało tak nagle, że ucho żadnych pobocznych ani przejściowych dźwięków uchwycić nie zdołało; ono słyszało tylko siedm artykułowanych dźwięków. Cały wyraz nie został wymówiony z jednakową siłą; pierwsza część jego posiada akcent, przeto intonacya była tutaj mocniejsza i pełniejsza. Prócz tego wyraz nasz jest złożony z dwóch części, a ta właściwość jego, mająca siedlisko swoje raczéj w uszach, niż w ustach mówiącego, polega na tém, iż samogłoskowe dźwięki pełniejsze uczuwamy, jako główne składowe części kompleksu dźwiękowego, związane i jednocześnie rozdzielone przez istne szmery spółgłoskowe.

Gdybyśmy zmienili porządek dźwięków w wyrazie *słownik*, otrzymalibyśmy inną kombinacyą, która może nie tak łatwo dałaby się wymówić, np. *wnsłoki* lub *knsłowi*. Ztąd to powstaje ważna dla fonologii kwestya, że jedne połączenia dźwięków są łatwiejsze do wymawiania inne trudniejsze. Zmiana bowiem położenia i czynności narządów mownych, jaką każe przypuszczać wszelki kompleks dźwięków, daje się uskutecznić w jednych kombinacyach daleko prędzéj, niż w drugich. Co więcéj, nawet nasz wyraz *słownik* w téj, a nie innéj kombinacyi nabawi niemca lub francuza niemałego kłopotu i żadną miarą przez nich należycie wymówionym nie będzie. Tu znowu zyskujemy nowy punkt, rzucający nam dobre światło na tę pochopność psucia się dźwięków, co zawsze polega na oszczędzaniu pracy i czasu. Dodamy tu jeszcze, że wszelkie prawa tak zwanego mylnie „dobrodźwięku" zależą nie od akustycznych, ale od fizyologicznych względów. Nie od wrażenia, jakie na narzędzia słuchu wywierają, ale od czynności narządów mownych, które je tworzą, zależą dźwiękowe formy wyrazów.

Jeżeli więc system dźwięków jakiegoś języka chcemy należycie pojąć, winniśmy przedewszystkiém dźwięki te podług fizyologicznéj jakości uporządkować, a przekonamy się, że nie jest to bynajmniéj chaotyczna mięszanina, ale istotny, ścisły system, mający swoje naturalne granice, swoje działy i poddziały.

Polski alfabet ze stanowiska fizyologicznego tak się przedstawia:

Samogłoski:

i, y, e, a, o, u — *ustne*; ę, ą — *nosowe*

Spółgłoski:

b, p, w, f i nosowa m — *wargowe*

Językowe:

d, t, z, s, ł, dz, c — *zębowe*

g, k, h, ch — *gardłowe*

n — *nosowa*

dż, cz, sz, dź, ć, ź, ś, r, l, rz, j — *podniebienne*

Nie wdając się w obszerne wywody gramatologii aryjskiej wspomnimy tu słów parę o przemianie jednych spółgłosek na drugie w dziedzinie języka polskiego. Fizyologiczny popęd nakazuje Słowianinowi, co zresztą przytrafia się i w innych aryjskich językach, np. w greckim i niemieckim, — że tak zwane słabe spółgłoski (b, d, g, w, z, h) na końcu wyrazu, a także w zetknięciu z mocnemi (p, t, k, f, s, ch) przemieniają się w wymawianiu na mocne, bez względu na swoję etymologią, np. łep = łeb; wiepsz = wieprz; wąsz = wąż; łafka = ławka; chfalebny = chwalebny; śfięty = święty i t. d. Nawet wbrew etymologii robimy ustępstwo niekiedy temu popędowi, pisząc *tchu*, *natchnąć*, zamiast: *dchu*, *nadchnąć*. Spółgłoski *d*, *t*, mają znów tę właściwość do siebie, że przed pewnemi dźwiękami przechodzą w *s*, *ś*, *sz*, np.: wyraz *piastun*, pochodzi od pierwiastku *pit* (rosyjskie *pitat'*), gdzie *i* przeszło w *ia*, tak, że piastun powstało z *piattun*; podobnież od *wid* pochodzi *zwiastować*, zamiast *zwiadtować*. Tu miejsce także wspomnieć o tak zwanem miękczeniu spółgłosek, które jest rezultatem wpływu spółgłoski *j*. Dziełem tego procesu jest powstanie wszystkich prawie spółgłosek podniebiennych, a ztąd wynikłe liczne modyfikacye wyrazów w deklinacyi, konjugacyi, ja-

ko też i przy urabianiu wyrazów. Wyraz *droga*, ma trzeci przypadek liczby pojedynczéj *drodze*, a pochodzące ztąd zdrobniałe rzeczowniki są *dróżka*, *drożyna* i t. d. Od wyrazu *duch*, powstał rodzaj żeński *dusza*, a to z hipotetycznéj formy *duch-ja*; podobnież z pierwiastku *pust*, mamy *puszcza* = *pust-ja*; od *brat* — liczba mnoga *bracia*, i t. d. Oprócz tego znaną jest powszechnie skłonność przechodzenia stałego jednych spółgłosek na drugie, już to w zakresie jednego języka, jednego szczepu języków, albo całéj aryjskiéj rodziny. Tak np. mówimy *lubryka* (ludowe) zamiast *rubryka*; *mularz* zamiast *murarz*; *prześcieradło* zamiast *prześcieładło*, gdzie z dwóch *r*, będących w wyrazie, jedno przemienia się na *l* lub *ł*, co ma miejsce i w łacinie: *singularis* zamiast *singulalis*.

W łacinie *s*, umieszczone między dwoma samogłoskami, przechodzi w *r*, ztąd *eram* zamiast: *esam*; *honos*, *honoris* zamiast: *honosis*; i w języku niemieckim mamy *er* „on“, choć łacińskie *is*: — *ich war*, chociaż pierwiastkiem jest *was* być (porówn. *wesen* i angielskie *I was*, „byłem“).

Niektóre z tych przemian dadzą się objaśnić, można wydobyć na jaw ich przyczynę, ale któż odpowie na pytanie, dla czego w systemie dźwiękowym jednego języka są głosy, które dla cudzoziemca używającego innego języka, są niepodobnemi do mówienia. Dla czego, np., sanskryt na końcu wyrazów tylko dwie spółgłoski znosi, język zaś grecki tylko *n*, *s* lub *r*, a chiński jedynie nosowe dźwięki, podczas, gdy włoski nie dopuszcza tutaj wcale spółgłosek.

Wniosek, do którego ostatecznie zawsze jesteśmy popchnięci, ilekroć go wyprowadzać przychodzi z historycznych i fizyologicznych badań, jest ten, że tak a nie inaczéj podobało się narodowi, oraz że z takich a takich rozmyślań i analogij wynika, iż w omawianéj przemianie ani nie mieści się żadna tajemnica, ani téż przemiana ta nie istnieje sama przez się i dla siebie jedynie. Najwybitniejszym rysem w całokształcie jakiegoś językowego rozwoju są prawa głosowe; poznanie których jest pierwszym obowiązkiem każdego, co się zabiera do badań lingwistycznych; polegają one na prawidłowém zastępowaniu się i odpowiedniości dźwięków w porównywanych językach. Jeżeli, dajmy na to, będziemy porównywali języki słowiańskie z sanskrytem, greką, łaciną, litewskim i z językami germańskiemi, znajdziemy, że słowiańskie, litewskie, sanskryckie, greckie i łacińskie *p* odpowiada niemieckiemu *f*, na co znajdziemy dostateczną ilość przykładów, jak: nasze *pięta*, sansk. *padas*, greck. *pous*, łacińs. *pes*, litew. *pedas*, got. *fotus*; lub nasze: *pięść*, łacińs. *pugnus*, greck. *pugme*, niem. *faust*.

Podobnież słowiańskiemu i niemieckiemu *g* odpowiada w tamtych językach *h*, np.: greck. *hen*, łacińs. *anser* zamiast *hauser*, skr. *hamsa*, nasze *gęś*, niem. *gans*; lub: nasze *gość*, niem. *gast*, łac. *hospes* i t. d. Innym razem w miejsce *g* języki słowiańskie mają z. Toż samo da się przeprowadzić mniéj lub więcéj ściśle z innemi spółgłoskami, tak że możemy otrzymać tablice odpowiadających sobie wzajemnie dźwięków w wymienionych językach. Taką odpowiedniość dźwięków zna umiejętność pod nazwą prawa Grimma (Lautverschiebungsgesetz), a ciekawych obznajmić się bliżéj z tą kwestyą odsyłamy do wykładów Maksa Müllera „O umiejętności języka" w przekładzie polskim.

Mówiąc o stratach w języku, dodać tu powinniśmy jeszcze, że przemiana językowa odbywa się także przez zatratę już nie głosek lub formalnych elementów, ale całkowitych wyrazów. Mamy na myśli znikanie wyrazów starych w miarę tego, jak pojęcia nowe wyparły je sobą. Nic to dziwnego, że wzrost oraz postęp sztuk, umiejętności, rzemiosł i w ogóle potrzeb ludzkich musi się odpowiedniemi terminami oznaczyć w narodowym słowniku.

(c. d. n.)

KRESY UKRAINNE

PO „LICHOLECIU" — DO „RUINY."

C. d.

(Dokończenie).

Kulisz—Istorija wozsojedinienija Rusi. Tom. I i II. S. Peter. 1874.— Archiw jugo-zapadnoj Rossii. Cz. III. Tom. I. — Izsledowanije o Kozaczestwie. W. Antonowicza. Kij. 1863.

Szajnocha—Dwa lata dziejów naszych 1646. 1648. Tom I. i II. Lw. 1865 i 69.

Źródła dziejowe Tom V-ty. Lustracye królewszczyzn Ziem ruskich: Wołynia, Podola i Ukrainy z piérwszéj połowy XVII wieku — wydał A. Jabłonowski—Warsz. 1877.

W przededniu piérwszego, z bronią w ręku, wystąpienia kozactwa do śmiertelnych późniéj zapasów z własną szlachtą ruską, a następnie i samą Rzeczpospolitą, wszystkie warstwy społeczeństwa Rusi szerokiéj, wszystkie stronnictwa patrzyły na nie, że tak powiémy, z ukosa—z niechęcią, nieufnością i obawą nawet. Wszystkie warstwy, powtarzamy: nie wyłączając ani dociskanego coraz bardziéj od czasu wprowadzenia unii religijnéj wschodniego duchowieństwa; ani bratczyków cerkiewnych — mieszczan, wytężających całe swe siły w nierównéj walce o utrzymanie obrządku i obyczaju dawnego; ani uginającego się pod coraz większemi ciężarami ludu wieśniaczego. Nie wyłączając — ani błahoczestywych, ani unitów; ani przemysłowców, ani ziemian. Tém mniéj zaś usposobioną była można szlachta do przyznania kozakom przywłaszczonego przez nich prawa miecza; a w łonie téj szlachty, najdaléj od współ-

czucia ku nim stał dom, wsławiony i wysławiany, jako „słup najmocniejszy i ozdoba cerkwi Bożéj“, jako „najgorliwszy wyznawca błahoczestya“ — dom książąt z Ostroga. Dla niego nawet najbardziéj właśnie było wstrętném kozactwo.

Otóż od owego tedy domu postanowili kozacy rozpocząć rachubę swą z możnowładztwem i krępującemi ich porządkami. Rozpocząć jedynie, a potém posunąć się tyle, ile się da.

Nie łudzili się atoli i ich przeciwnicy: rozumieli dobrze, iż stanowcza chwila się zbliża. Przyświadcza temu przechowany a nieznany dotąd list tajemny księcia Konstantyna Bazylego na Ostrogu, wojewody kijowskiego do zięcia swego Radziwiłła, w którym czytamy: — „Tak pan Bóg podobno chce mieć, że co daléj, to gorzéj— jako ona baba ze wschodu klnąc mówiła — od tego łotrowstwa ukrainnego i naprawy złych a niezbożnych ludzi..., jakie już trwogi od tego łotrostwa zachodzą; a słusznie to piszę, bo jaki głos to hultajstwo puściło, że tu majętności mych dokonawszy, tam się obrócić chcą, czemu bardzo pilno zabiegaćby miała wszystka Rzeczpospolita, póki ten pożar każdego nie dosięgnie“.

Występowały tedy coraz stanowczéj dwa obozy przeciwko sobie: walka stawała się nieuniknioną. Tém bardziéj nieuniknioną, o ile z pomiędzy zawziętych na się wzajem przeciwników, jeden nie miał wcale przeświadczenia błędu politycznego, jakiego się dopuszczał, drugi zaś niezdolnym był zapanować nad swém roznamiętnieniem. Ostateczności miały w sobie to wspólne natomiast, iż obydwa obozy owe były jednostajnie przekonane o słuszności swéj sprawy. Lecz przez to samo właśnie usuwały one jeszcze tém pewniéj wszelką możność kompromisu, to bowiem, co zdawało się wzniosłém w oczach możnéj szlachty, było oburzającém w pojęciu kozaków, to zaś co kozacy uważali sobie za chlubę i zasługę, możnowładztwo zwało łotrowstwem i swawolą.

Sławne panowanie Stefana Batorego było czasem bardzo ciężkim dla kozaków. Fakt utopienia w Dnieprze posła królewskiego, jaki już znamy, nie był może naprawdę tyle wyrazem rozpasanéj swawoli kozaczéj, ile dzikiéj rozpaczy ludzi, którzy nawet za Porohami nie znajdowali przytułku swobodnego, nie mieli prawa do samorządu w saméj paszczy groźnego wroga. Śmierć Głębockiego była oznaką i zapowiedzią ich gotowości targnięcia się nawet na powagę władzy najwyższéj Rzeczypospolitéj.

Ze śmiercią króla Stefana poszedł do grobu i cały plan wojny z niewiernymi, która miała wprowadzić kozaków na tor porządnych nadal zadań życia; rozległy się tedy znów wieści o samowolnych wyprawach niżowych. W czasie bezkrólewia, poszedł z dymem Oczaków

a niebawem i inne miasta czarnomorskie doznały srogiéj ręki kozackiéj, — jak Kozłow (Eupatorya) w Krymie i Białogród (Ak-kerman) u ujść Dniestrowych. Zapałał zemstą nieprzebłaganą sąsiedni świat bisurmański. Zaraz tedy 1589 r. zapuścili Tatarzy zagony swe aż pod Lwów; a wysoka Porta postanowiła poszukać sama surowego odwetu na Rzeczypospolitéj. Straszliwa więc naprawdę burza nad nią zawisła. Za sprawców wszystkiego złego uznani byli z natury rzeczy wyłącznie kozacy, i oni też za wywoływanie trwóg mieli odpowiadać przedewszystkiem.

Grożąca ze strony Turcyi nawałnica dała się ten raz przecię jakoś uciszyć szczęśliwie; ale tém niepowstrzymaniéj tedy postanowiono wziąść już ostatecznie w kluby kozactwo. Miała tego dokonać właśnie, wspominana już wyżéj, konstytucya sejmowa 1590 r., nazwę „porządek z strony Niżowców i Ukrainy“ nosząca. Głównym wykonawcą onéj na miejscu, jako wojewoda kijowski i najmożniejszy, najbardziéj zainteresowany pan na Rusi ukrainnéj, miał zostać książe Konstantyn Bazyli Ostrogski. Był on już pierwéj zawarł tajemny układ z chanem o zniesienie kozackiego przytuliska na Niżu. I oto dla czego przeciwko niemu przedewszystkiem rozszaleli zemstą kozacy.

Myśl zbrojnego przeciwdziałania krępującym swobodę i swawolę kozaczą postanowieniom sejmowym, jak w ogóle myśl wszelkiego przedsięwzięcia śmiałego, powstała oczywiście na Zaporożu, i tam spotężniała, przy żywéj podniecie dawnych niechęci „bractwa“ siczowego ku książęcemu, powszechnie uznanemu, przedstawicielowi „narodu ruskiego“. Myśl podobną przynosili zwykle kozacy na Ukrainę, do swych leż spokojnych, do siół, miast i dworów pańskich już wyrobioną, gotową. Tutaj, wygłoszona przez przybyszów z Niżu, błąkała się ona długo z karczmy do karczmy, z jarmarku na jarmark. A potém, jak powiada obrazowie p. Kulisz, naraz tak jak ptastwo przelotne, co po długiém nawoływaniu się wzajemném, po zagadkowém dla nas zlatywaniu się i rozlatywaniu, podniesie się nakoniec i leci całym swym tłumem, dokąd mu wypadnie — podobnie i kozacy, rozrzuceni na przestrzeni paru województw „zgarną się bywało do kupy“, znajdzie się między nimi dowódzca, pod nazwą hetmana i wnet rozpoczyna się przemysł kozaczy, szukanie chleba kozackie — wojna.

Otóż i w r. 1591 długo pierwéj rozwodzili się kozacy po szynkach i karczmach, z niezwykłą wrzawą o jakichś swych prawach które nie obchodziły wcale obcych: rozwodzili się, jak należy przypuszczać, o przeszłorocznéj konstytucyi sejmowéj; na jesień — dojrzała już wśród nich myśl ogólna, a zimą — od słów przyszło do

czynu. Postanowiono zacząć rozprawę z panami w krésowém mieście Białejcerkwi, należącéj z Bohusławiem, jako starostwo, do syna księcia Bazylego, młodego wojewody wołyńskiego Janusza z Ostroga, gdzie namiestnikiem starościńskim pod te czasy był kniaź Kurcewicz-Bułyha. Pod koniec roku tedy podnieśli się kozacy z białocerkiewskich leż swoich i ruszyli na wyprawę. Jako hetman wystąpił między nimi, nieznanéj przeszłości, szlachcic podlaski, Krzysztof Kosiński.

Pierwszy uległ ich zniszczeniu zamek białocerkiewski; a rok zaś cały następny (1592) strawili kozacy na usiłowaniach usadowienia się w innych zamkach królewskich i szlacheckich województw kijowskiego i wołyńskiego, przymuszając zarazem do przysięgi na posłuszeństwo wojsku kozackiemu nie tylko mieszczan i włościan, lecz i drobną szlachtę nawet. Ostrogscy, niepewni swego ludu, nie posiadali na razie dostatecznych sił odporu; powołana zaś przez króla do broni przeciw zuchwalców szlachta trzech ukrainnych województw opieszale gromadziła się do Konstantynowa. Kosiński tymczasem najspokojniéj usadowił się w sąsiednim Ostropolu i niszczył dobra przeciwników. Był tó zajazd w wielkich rozmiarach, podobny bardzo w postaci swéj do zajazdów zbyt upowszechnionych ówcześnie między „ludźmi rycerskimi“, taki jak Stadnickich, Opalińskich i innych panów, którzy zabiérali cudze starostwa, zamki, a nawet cerkwie i kościoły, dla zadosyć uczynienia swym prawom urojonym. Zachodziła tu wszakże wielka różnica w zasadzie: Kosiński rozciągał wszędy „przysąd“ kozacki na szlachtę i nie-szlachtę, godząc przez to w samą podstawę porządków Rzeczypospolitéj.

Szlachta można nie odważała się przecię, czy nie miała sił na razie, do wystąpienia przeciw demagoga. Książęta Ostrogscy jednak, najbezpośredniéj dotknięci, gotowali się powoli do zadania mu stanowczego ciosu. W początku roku 1593, gdy Kosiński, posuwając się ku Tarnopolowi, okopał się pod Piątkiem, uderzyli nań nakoniec książe wojewoda Janusz z księciem Aleksandrem Wiśniowieckim starostą czerkaskim. Kozacy, mimo dzielne stawienie czoła, zostali złamani; Mazur Kosiński ukorzył się przed ruskimi książęty. Kozacy, przez „list“ z d. 10 Lutego 1593 r., dany księciu Konstantynowi z Ostroga, obowiązali się zatém wybrać niebawem nowego dla się hetmana, wrócić do posłuszeństwa Rzeczypospolitéj, siedzieć na straży za Porohami i ustąpić zupełnie z dóbr książąt Ostrogskich, oraz ich przyjaciół. Więcéj od nich nie wymagano. Widać książe Konstantyn Bazyli w interesie polityki swego domu nie chciał mocniéj na nich nastawać, a szlachta ziem ruskich bała się z nimi zerwać ostatecznie, bo i układ ten nawet został zawartym

na wstawienie się „wielu zacnych ludzi“. Godne przytém uwagi, iż wspomnieni tu są hetman, setnicy, atamani i wszystkie rycerstwo wojska zaporozkiego; o półkownikach zaś ani wzmianki. Dowód jednym więcéj, jak bezzasadną jest legenda o podziale kozaków za Batorego na pułki, a nadto o podziale terytoryalnym.

Zmuszeni niepowodzeniem wojenném do ustępstw, kozacy, opuściwszy Wołyń, nie uspokoili się przecię: książąt Ostrogskich poniechano, ale za to nad Dnieprem, na Ukrainie, znów poczęto gotować się do zbrojnego wystąpienia. Kosiński nie dotrzymał słowa i znów stanął na czele „nieposłusznych“. Dopiéro śmierć jego niespodziana, w karczemnéj zwadzie w Czerkasach, zatrzymała gotowy wybuch. Zatrzymała tylko; gdyż walka między kozactwem a szlachtą ruską stała się już nieodzownym wynikiem ówczesnego stanu stosunków społecznych na krésach.

Konieczność téj walki była uwarunkowaną zanadto wielu podnietami życia rzeczywistego, aby się dziś uciekać aż do wprowadzenia tu w grę w owym czasie, zawartéj w r. 1596 unii religijnéj w Brześciu. Znaczenie owego faktu, niezmiernéj w swych następstwach doniosłości, było dla kozaków, owych ludzi „religionis nullius“, na razie wcale żadném. Największy wróg ich właśnie książe Konstanty Bazyli był unii téj największym niby przeciwnikiem, a jeśli się potém posługiwał nawet kozakami, robił to ubocznie jedynie.

Zaważyła przecię postać potężnego kniazia z Ostroga niemało w wewnętrznych dziejach ziem krésowych i zasługuje tu na bliższe ocharakteryzowanie, tém bardziéj jeszcze, iż przedstawia on w swojéj osobie znakomity typ pana ruskiego, krésowego możnowładzcy owych czasów, a co więcéj ukazywanym był dotąd zwykle w nieprawdziwém, w fałszywém nawet świetle, przez wszystkich niemal, nim p. Kulisz dotyczące go szczegóły bardziéj wyświetlił.

Nie bohater to wcale, jak świetnéj pamięci ojciec jego kniaź Konstantyn Iwanowicz marszałek ziemi wołyńskiéj, hetman litewski, ani w nim tych cnót obywatelskich, ani dzielności; nie filar też niezachwiany ruszczyzny i błahoczestya — czém go późniejsze legendy i doktryny zrobiły. W epoce zawarcia religijnéj unii był on prawie już 90-letnim starcem; był zatém żywym świadkiem całego niemal przebiegu nowo-wytworzonego stanu rzeczy na krésach. Młodość jego sięgała piérwszych czasów kozactwa ukraińskiego. Kiedy „sławny rycerz ruski Polus“ rozpraszał zagony tatarskie razem z jego ojcem, mógł on już w kołysce słuchać pieśni bohaterskich na cześć zwycięzców składanych. Gdy starosta chmielnicki Przecław Lanckoroński wracał po pogromieniu Tatarów u jeziora Owidowego,

mógł już go rozpytywać o téj głośnéj na całą Ruś potrzebie; w czasie zaś śmierci tego kresowego bohatera, był już młodzieńcem pod wąsem. Przechowało się podanie, iż on sam też chadzał w kozaki razem ze starostą barskim Pretwiczem i innymi pogranicznymi starostami; a więc kozactwo powstawało i rosło razem z nim. W roku śmierci Ostafiego Daszkowicza miał on nie mniéj lat 35-ciu. W czasie założenia zaś Siczy zaporozkiéj mógł już popiérać plan kniazia Dymitra Wiszniowieckiego na radzie królewskiéj. Lecz żadne czyny wojenne lub obywatelskie z czasów jego młodości nie zostały zapisane nawet przez panegiryków. Czy więcéj książę Konstanty Bazyli lubił kozakowanie, czy politykę dworską, lub też pańskie domotarstwo — nic o tém nie jest właściwie wiadome. Z rewizyi zamków ziemi wołyńskiéj r. 1545, widzimy, iż nie wiele waży on rozkazy młodego króla i nie stawi się na zjazd szlachty do Łucka, zwołany w celu sprawdzenia praw ich posiadania. Jest wtedy panem tylko na Dubnie. Wszakże wyniesiony oto wprędce na najwyższe dostojeństwa w kraju: zostaje marszałkiem ziemi wołyńskiéj i wojewodą kijowskim. Górnicki przechował nam w swéj kronice fakt jeden z lat już męzkiéj siły księcia Bazylego, — który smutnie bardzo przyświadcza o braku rzewniejszego w nim uczucia rodzinnego. Rozumiemy tu zachowanie się w tyle głośnéj sprawie zamążpójścia synowicy jego, po starszym Eliaszu, nieszczęsnéj Halszki dziedziczki Ostroga. Wiemy powszechnie, ile tam poważny marszałek i wojewoda brutalnie się zachowywał, prowadząc przemocą i podstępem na zamek w Ostrogu, po bogate wiano, przyjaciela swego, głośnego z kozakowania młodego Kniazia Dymitra Sanguszkę. Mniejsza o to, co, jakby na tłómaczenie, Górnicki o kniaziach powiada: „A nie dziw, albowiem jaka wstrzymałość, jaka miara w tych ludziach być mogła, którzy dla rozchełznanéj woli swojéj, dla chciwości, dla rozpusty w kozactwo się udali?“ Niezawodnie miał w całéj téj sprawie książe Bazyli i własny osobisty interes: otrzymał bowiem następnie gniazdo rodu swego Ostróg. Za to w zakresie wielkiéj polityki zjednoczenia działał on z największą energią dla doprowadzenia do skutku politycznéj unii r. 1569 jednoczącéj ściślejszemi węzły ziemie ruskie z Koroną. A gdy przyszło radzić o kozakach, wojewoda kijowski tak stanowczym okazał się ich przeciwnikiem, iż zawarł nawet tajemny układ z chanem o wytępienie doszczętne przytuliska kozackiego na Niżu dnieprowym. W wojnie północnéj potém, gdy Batory oblegał Psków, niszczył on szeroce, obcą wtedy a jednéj z nim wiary, Siewierszczyznę; niszczył w tym czasie, gdy u niego w Ostrogu drukowano biblię cerkiewną. Nie wiązały go więc w niczém ani węzły religijne, ani tradycye pochodzenia: występował on

tu jako obywatel szczery Rpltéj. Jako taki, stawał też po stronie Zamojskiego przeciw Zborowskim; jako taki, stanął nie mniéj i względem surowie dotykającéj kazaków konstytucyi sejmowéj 1590 roku. Widzieliśmy przed chwilą, jak się za to na niego kozactwo pod Kosińskim rozsrożyło. Smutnie wspomnieć: a naprawdę, było w mocy księcia Bazylego może zapobiedz stuletniéj walce kozackiéj.

Do tych rysów głównych należy dodać jeszcze drobniejsze, które go zato wybitniéj charakteryzują jako człowieka. Książe Konstanty Bazyli posiadał całą secinę miast i zamków, więcéj niż 1,300 wsi, oczywiście licząc w to i bogate dzierżawy królewszczyzn, miewał czystego dochodu rocznego po 1,200,000 złotych pol. ówczesnych, a jak inni chcą, do miliona czerwonych złotych; lecz mimo to wszystko zostawiał zamki należących doń starostw w stanie największego zaniedbania. Na sejmie konwokacyjnym 1575 r. prosił on Rzpltę o zapomogę na naprawę zamku kijowskiego, i ażeby tém pewniéj nakłonić sejm do wydania mu pieniędzy, donosił mu przez swego syna Janusza jakoby car iść miał na Kijów z ogromnemi siłami, skupionemi już w Czerniechowie. Otrzymana chłodna odmowa nie zraziła go wcale. W r. 1592 wyprosił on sobie u sejmu poświadczenie, że nie z jego winy pozostały nienaprawione zamki w Kijowie i Białejcerkwi, i że on ani jest w możności dokonania tego, ani ku temu obowiązany. I odtąd naprożno już nań król nastawał: zamki naprawili sami mieszczanie już po śmierci wojewody. Podobnież nie mógł wymódz król na Ostrogskim i podymnego, którego nazbierało się za wiele lat, jako niedoboru, do 4,000 kóp groszy litewskich. Tymczasem przecię płacił książe ogromne honoraryum pewnemu kasztelanowi za to jedynie, żeby ten dwa razy do roku postał za jego krzesłem w czasie obiadu. Dom jego był nieustannie pełen gości, a w liczbie dworzan trzymał on rzadkiego obżarcę, który zdumiewał wszystkich ilością strawy, spożywanéj za stołem pańskim.

W tłumie gości, otaczających ciągle możnowładzcę, nie przeważał żaden żywioł wyłącznie: ani ruski, ani polski, ani błahoczestywy, ani katolicki, tém mniéj reformowany, nowatorski. Dla wszystkiego tu był równy dostęp. Na stole protektora błahoczestya leżały listy Possewina, lub innych katolików, obok listów prawowiernego kniazia Kurbskiego i epistoł dalekiego ascety ruskiego z góry Athos. Jezuita Motowidło był jego ulubionym biesiadnikiem. Znakomity Skarga znajdował u niego pomoc przyjacielską w szerzeniu swych pism. Tędy przeniknęła i postać zagadkowego carewicza Dymitra. Tu zjeżdżali się dla dysput i biesiad przyjacielskich przedstawiciele luteranizmu, kalwinizmu i aryaństwa. Na ile każde stron-

nictwo umiało spożytkować na swą korzyść wielką dostępność księcia, ową nieokreśloność jego charakteru—do rzeczy tu nie należy. Powiedzićć jedynie wypada, iż imię księcia Ostrogskiego równie głośnem było w Rzymie, jak w Moskwie, w Carogrodzie i na górze Athos; uwijali się bowiem koło niego przedstawiciele wszelkich wyznań. Ztąd też pochodzi, że gdy się dzisiaj weźmie z półki jakiéj bibliotecznéj jedną książkę, naprz. ruską czy rossyjską, znajduje się w niéj, iż książe Ostrogski—to „główny bohater obrony błahoczestya przeciw katolicyzmu,“ „głowa ruchu ortodoksyjnego,“ i temu podobne; gdy się zaś otworzy łacińską, polską lub niemiecką — tenże książe występuje tam jako zwolennik luteranizmu, kalwinizmu, deizmu, a współczesny nuncyusz papieski Malaspina zwie go wprost ateistą. Każdy widział w nim to, co chciał widzićć, i wszyscy, w danéj chwili i pod pewnym względem, mieli mniéj więcéj słuszność.

Tak tedy mieli wielką słuszność ci ludzie, którzy wynosili księcia Bazylego za jego ofiary na założenie grecko-słowiańskiéj szkoły w mieście Ostrogu, na zaprowadzenie tam drukarni i wydawanie ksiąg obrzędowych i innych. Były to, oczywiście, ofiary nie małéj wagi; świadkowie tedy hojności bogatego protektora mieli uzasadnione wielce wysławiania go przyczyny. Lecz inni z równą słusznością mogli go wychwalać—jak też rzeczywiście wychwalali za to, co było właściwie wynikiem możnowładzczéj próżności jedynie, a co kosztowało więcéj niż summy wydawane na oświatę. Zresztą, tam przychylał się tylko książe wspaniałomyślnie ku prożbom dzielniejszych ludzi; w utrzymywaniu zaś na służbie honorowéj jakiegoś kasztelana—wypowiadał się sam całą swoją osobą.

Wynoszą jeszcze księcia Ostrogskiego pewni historycy za jego protesty i okólniki, za udział a nawet inicyatywę w szumnych i groźnych zjazdach dla obrony błahoczestya przeciw wznoszącéj się unii religijnej, któréj wszakże pierwiastkowo sam on, jak wiadomo, był promotorem najżywszym. Lecz czyny jego wielce się od słów tu różniły—i przebrzmiały też bez skutku pogróżki jego wystawienia 15,000 zbrojnych na obronę staréj wiary. Względem błahoczestya tak on się w istocie rzeczy zachowywał, jak i inni ruscy panowie, co narobili wrzawy na sejmie warszawskim 1585 r.—nie lepiéj i nie gorzéj. Wysłuchiwał on próżb i zażaleń błahoczestywych mieszczan, tuż zaraz rozprawiał ze zwolennikami nauki aryańskiej lub jezuitami, a potem bawił się naprzykład widokiem obżarcy, Bohdanka, który wprowadzał w zdumienie jego współbiesiadników—i wszystko to u niego godziło się jakoś jedno z drugiem.

Z jednéj strony sława głosiła o jego szlachetnéj hojności, a z drugiéj, leżą téż przed nami dowody piśmienne jego bezwstydnego sknerstwa. O co go proszono, pochlebiając jego dumie pańskiéj, to robił chętnie: poddawał się on nawet przyjacielskim wymówkom i radom takich ludzi, jak znakomity kniaź Kurbski,—w takiéj jednak prawie mierze jak i zalecaniom jezuity Skargi; lecz gdzie sprawa sama przez się przemawiała, tam książe był zwykłym polsko-ruskim możnowładzcą. Taką wyzywającą do współczucia i czynu sprawą był, między innémi, opłakany stan Kijowa, stolicy jego województwa, kolebki błahoczestya, przybytku tylu drogich pamiątek dziejowych. Ostrogski pozostawiał go w zupełném zaniedbaniu, razem z jego cerkwiami starożytnemi, nie zważając na ważne znaczenie onego nawet we względzie strategicznym; spokojnie znosił zarzuty z tego powodu jeszcze Zygmunta Augusta, potem Zygmunta III; patrzył obojętnie na miasto, które nawet obcy za jego czasów jako muzeum drogocennych starożytności cenili.

Jako obywatel zuniowanéj ostatecznie Rpltej, syna swego wychowywał po polsku i patrzył obojętnie jak wchodził katolicyzm do jego domu, w którym on na starość przestał być panem.

Wszystko to więc wskazuje wyraźnie, że jeśli książe Konstanty Bazyli miał jakie zadanie, któreby go charakteryzowało szczególniéj, zadaniem takowém nie była wcale walka z latynizmem lub unią za błahoczestye; jeśli miał charakter, to wcale inny, niż jakiby chcieli widzieć jego tendencyjni biografowie.

Nie umiał on nawet stać mocno tam, gdzieby właśnie stać, z jego zasad, wypadało. Oto naprz. zaprasza on znakomitego uczonego, byłego rektora padewskiéj akademii, Greka Nicefora, by ten był obecnym na soborze brzeskim r. 1596 w charakterze namiestnika patryarchy carogrodzkiego. Stronnictwo Zamojskiego, z którym Ostrogski zostawał wtedy w nieporozumieniu, oskarżyło tymczasem przybysza o samozwaństwo i szpiegostwo. Książe Bazyli bronił go przed królem i senatorami, lecz straciwszy cierpliwość, naprawił królowi nieprzyjemności i opuścił zgromadzenie, zostawiając gościa swego w ręku nieprzyjaciół. Król, ze względów polityki, posłał za rozgorączkowanym starcem zięcia jego Radziwiłła, który starał się go uspokoić, powiadając, iż ten obiecał uwolnić Nicefora. „Nechaj win joho zjist"! odpowiedział Ostrogski, i nie powrócił do sali obradowéj. Nicefora tymczasem osadzono w zamku malborskim, gdzie on wprędce umarł, a książe Bazyli pogodził się z Zamojskim.

Charakterystycznie też niezmiernie zachowywał się sędziwy pan Ostroga w obec nowego, po Kosińskim, wybuchu kozactwa r. 1596 obwiniano go bowiem nie bez pewnéj słuszności o podnieca-

nie kup kozackich do niszczenia dóbr tych z panów duchownych i świeckich na Rusi, którzy popierali unię religijną.

Na czele właśnie nowego wybuchu rozpasanéj, skutkiem słabości rządu Rpltéj, swawoli, stanął niedawny dowódzca ostrogskich księcia Bazylego kozaków, co dzielnie się odznaczył w wojnie przeciw Kosińskiemu, Nalewajko. Ambitny a niespokojny, opuścił on wprędce potém Ostróg i ruszył w świat,—najprzód „w ziemiach nieprzyjacielskich szukać kozackiego chleba.“ Zgromadziwszy potężną kupę zbrojną, złożoną w znacznéj części z ubogiéj szlachty służebnéj i wszelkiego rodzaju ludzi luźnych i zbiegów, robił on naprzód tedy łupiezkie wyprawy na Wołoszczyznę i do Węgier, niby posiłkując cesarza. W początku zaś r. 1596 wrócił na Wołyń, gdzie właśnie tylko co rozpoczynała się zacięta walka domowa, wśród szlachty miejscowéj pomiędzy stronnictwem Unii, a jéj przeciwnikami.

Nikt zapewne nie pomówi „kozakującego“ Nalewajkę o jakąś gorliwość religijną, ani o wykonywanie jakichś planów wielkich, narodowych niby, księcia Ostrogskiego, który bez ogródek przezywał go „łotrem;“ ale tém niemniéj, korzystał on należycie z okoliczności, trzymał się w dobrach książęcych i z bratem swym, popem z Ostroga, niszczył dobra Terleckich i innéj, popierającéj unię szlachty, nie zapominając nigdy o Kalinowskim, który ojca jego drobnéj majętności pod Husiatynem pozbawił, podobnie jak potém Czaplicki pana setnika czehryńskiego. Zbrojna jego drużyna nie miała też nic wspólnego i z Zaporożem. Drużynę podobną — łupieztwem jedynie można było utrzymywać, a potrzeba ta popędziła śmiałego do zuchwałości watażkę, owego Alcybiadesa kozackiego, jak go zwie historyk Ukrainy, aż w głąb Litwy, zamożnéj i mniéj strzeżonéj, aż do Mohilewa nad Dnieprem. Zkąd wszakże wyparty przez zaradniejszych w domu Litwinów, znów zwrócił się ku Kijowszczyznie i Wołyniowi.

Po drodze, z Rzeczycy, powodowany istnie naiwną przebiegłością atamańską, wysłał on do króla Zygmunta III, mającą go uniewinnić, skargę na panów litewskich. W skardze téj zaś, jako niby najwyższy hetman kozacki, ofiaruje się mu zarazem wytępić nieposłusznych królowi kozaków, założyć miasto i wznieść zamek nad rzeczką Siiuchą za Bracławiem, na główną stolicę kozacką, tak ażeby za Porohami trzymać tylko namiestnika. Obiecuje przyjmować jedynie „stacyjnych“ kozaków, t. j. otrzymujących stacye (żołd) od rządu, pachołkom zaś żołnierskim i pańskim, którzyby do niego przychodzili, będzie obrzynać uszy i nosy; banitów królewskich również przyjmować nie będzie; nie będzie też posyłać na

Ukrainę dla pobierania stacyi bezpłatnie. Za co wszystko prosił nareszcie płacy, na 2.000 ludzi jedynie oraz stróżę, w suknie i pieniądzach — to co się daje Tatarom, lub téż co otrzymują starzy żołnierze.

Tymczasem z innéj strony, z Zaporoża, wystąpiło towarzystwo niżowe, pod dowództwem hetmana swego Łobody i poczęło niszczyć pograniczne włości kijowskie i bracławskie. W związku zaś z tém, potworzyły się po całym kraju kresowym kupy swawolne, ze szlachty służebnéj przeważnie, roznoszące wszędy po dworach pańskich łupieztwo i pożogę. Zamieszki przybierały groźne rozmiary, cały porządek społeczny Rpltéj stawał się tu narażonym na niechybne niebezpieczeństwo: wdanie się więc władzy najwyższéj jedynie mogło złemu stanowczo zapobiedz. Lecz wojska koronne z hetmanami były właśnie zajęte na Wołoszczyznie.

Zaraz atoli po załatwieniu spraw wołoskich i ustaleniu na tronie hospodarskim przyjaciela Rpltéj Mohyły, rozkazał król hetmanowi polnemu Żółkiewskiemu zająć się uspokojeniem województw ukrainnych, powołując zarazem szlachtę tameczną do łączenia się z wojskiem koronném. Sprawa naprawdę nie cierpiała zwłoki i w umysłach buntowników wzmagała wciąż potężniéj śmiała myśl społecznego przewrotu. Sam Żółkiewski pisał potém do króla: „Brzydko aż wspominać, do czego się to swawoleństwo brało, jakie spominanie majestatu WKMci, jakie zamysły, o Krakowie, stolicy sławnéj WKMci rozbiciu, wytraceniu stanu szlacheckiego. I to pewna, iż bardzo się było to swawoleństwo wzmogło. Opportune raczyłeś WKMość temu złemu rozkazać zabiegać.“

Nikt téż odpowiedniejszym do zapobieżenia temu nie był — jak właśnie Żółkiewski; znakomity wódz, rozważny polityk, zacny obywatel i człowiek; a Rusin przytém, jak i większość kozakującéj szlachty i nieszlachty. Rozpoczęta wszakże walka musiała być straszliwą — była to bowiem walka rodzonéj poważnionéj braci.

Przy końcu zimy 1596 r. Nalewajko zaskoczony niespodzianie na Wołyniu przez wojska koronne, ustępował śpiesznie ku Bracławiowi, gdzie myślał się umocnić, licząc na doświadczoną przychylność mieszkańców; lecz odparty przez Żółkiewskiego, musiał się wnet zwrócić ku połączeniu się z nieprzychylnym sobie Łobodą, stojącym u Białejcerkwi z zaporozkimi kozakami. Hetman koronny przekładał kozakom, by się nie łączyli z kupą swawolną Nalewajki, obiecując im w nagrodę wyrobienie królewskiego przebaczenia, ale Łoboda przeniósł przecię zbrojne zmierzenie się. Lecz połączeni nawet przywódzcy powstania, nie mieli siły stawienia czoła wojsku

koronnemu: przeszli więc pod Kijowem Dniepr i oparli się aż w Łubnach nad Sułą, u starych kresów połowieckich.

Żółkiewski postępował ślad w ślad za Kozakami, odparł w Kijowie ich flotylę, zostającą pod rozkazami Kaspra Podwysockiego, i przy pomocy Kijowian przeszedłszy Dniepr, obległ ich otaborowanych na uroczysku Sołonicy pod Łubnami. W ściśniętym potężnie obozie powstańczym powstały niesnaski, Łoboda, podejrzewany o zdradę, zginął, miejsce jego zajął Krępski; nie uciszyło to wszakże waśni ze stronnictwem Nalewajki, a z czego Żółkiewski zręcznie korzystał.

Doprowadzeni do ostateczności kozacy ukorzyli się nakoniec przed hetmanem, wydali mu w ręce Nalewajkę, a potém i obóz cały, przyrzekając nadal posłuszeństwo i zachowywanie się spokojne; Krępski z niedobitkami wrócił za porohy, Nalewajko (1597) stracony w Warszawie.

W taki sposób zostało stłumioném drugie ukraińskie powstanie. Poniósłszy dotkliwą klęskę, Kozacy przycichli, obezwładnieli naczas; ale natomiast zdobyli oni sobie pośrednio nową siłę, jakiéj dotąd nie posiadali — siłę moralną poniekąd. Od téj chwili bowiem, wszystko, co było niezadowoloném z porządków Rptéj, coraz więcéj na nieszczęście rozprzęgających się, wszystko, co z niemi zżyć się nie mogło, poczęło uważać kozaczyznę za wspólny punkt opory.

Pierwsi zwrócili się w tę stronę przeciwnicy religijnéj unii. Poczęli zaś od tego, że, tymczasowie, obrońców swawoli czy swobody kozackiéj jedynie, jęli wynosić na bohaterów poświęcenia za wiarę ojców i prawa narodu zdeptane. Oni téż, duchowni przedewszystkiém przeciwnicy unii, natychmiast oto po wykonaniu surowéj kary nad przywódzcami ostatniego powstania kozackiego w Warszawie, zastosowali do Nalewajki klasyczną legendę o wole Falarysa i roznieśli po Ukrainie wieść, że hetman ten został spalonym przez panów w wole miedzianym. W „kroniczkach“ kozackich, pisanych przez ludzi duchownych, zwykle bardzo lakonicznie, wystawiano go potém, podobnie jak i Kosińskiego, za męczennika błahoczestya. Jakie tego były skutki następnie — łatwo zrozumiéć. Naprawdę, legendy o zamurowaniu Kosińskiego w słupie kamiennym i spaleniu Nalewajka w miedzianym wole, stały się zczasem podnietą wielu niepokoi. Co dziwnego téż, że z drugiéj strony, w odwet niby, w przeciwnym obozie, samo błahoczestye przezwano sektą Nalewajkową. Ale, co smutniejsze, legendy te przetrwały uporczywie wieki całe i jeszcze dziś żywe życie mącą.

Nie będzie to więc odstąpieniem od rzeczy, gdy tu powtórzymy słuszne wielce i bardzo ciekawe, co do tego przedmiotu, uwagi p. Kulisza.

Wiadomo, powiada badacz ten przeszłości Ukrainy, ile podania latopisarskie oddziaływają na czasy następne; ale, na nieszczęście, oddziaływają wszechwładnie nietylko podania prawdziwe. Co było dawno pogrzebaném, powstaje z grobu, mocą opromienionego nowém światłem słowa latopisu, i wkracza w życie i sprawy nowych pokoleń niezwalczenie. Niedorzecznym legendom, jak naprzykład, owe o zamurowaniu jednego hetmana w słupie kamiennym i spaleniu drugiego w miedzianym wole, zawdzięczać należy powstanie w przeszłym wieku rękopisu, stającego się niebawem popularnym, pod tytułem „Historya Russów.“ Podanym on został za pracę posiadającego wysoką powagę w owym czasie arcybiskupa Koniskiego; sprawił zaś zła bezmiar inteligencyi ukraińskiéj. Prawdopodobnemi powieściami swemi o niebywałych wypadkach i towarzyszących im niby okolicznościach, płód ten ciemnego fanatyzmu opóźnił rozjaśnienie międzynarodowych stosunków — nietylko Polski i Rusi południowéj, lecz nawet téj ostatniéj z północą. W czasie wydania w Charkowie zbioru pod tyt. „Zaporozka Starynà,“ utworzonemi zostały, zgodnie z opowieściami „Historyi Russów,“ pseudonarodowe dumy o polsko-ukraińskiéj przeszłości, mające za cel widoczny fanatyzowanie serca ukraińskiego. Dumy te wpływowy poeta Szewczenko, jak prawie wszyscy jego rówieśnicy, brał za utwory samego ludu, nie wątpiąc również i o mniemanych opowieściach Koniskiego, które posłużyły im za podstawę. Ślepa wiara w podania latopisarskie, bez sprawdzenia naukowego, była z konieczności zgubną dla niego samego i dla wielu innych ludzi, poddających się wpływowi jego poezyi. Nie czemu innemu, jedno wpływowi mniemanego Koniskiego i pseudo-narodowych pieśni „Zaporozkiéj Staryny,“ przypisać należy fałszywy nastrój całéj inteligencyi rusko-ukraińskiéj 5-go dziesiątka bieżącego stulecia, którego najgłośniejszym organem stał się, z żalem wyznać trzeba, właśnie Szewczenko. Za Kosińskiego, Nalewajka i inne postacie historyczne, niższe nawet od nich, przedstawione w duchu historycznéj fikcyi znanego rodzaju, odziedziczonéj z dawnych czasów, odpowiedzieli wtedy, w swoich osobach, zapaleni młodzi ludzie, których zdolności, bez tych legend i bez ich niedorzecznego tłómaczenia, mogły były znaleść dla się żywotniejsze zajęcie. Z innéj znów strony i w inny zupełnie sposób, musiało też było odpowiadać za to i społeczeństwo polskie. A nawet, do obecnéj chwili jeszcze, kara Nalewajka, w błędnem świetle wystawiana, odzywa się nieraz krwawo w sercach.

Ale wracając do przerwanéj nici dalszego rozwoju wypadków, widzimy, iż, przez zwycięztwo na Sołonicy, sprawa pokoju krwawy odniosła tryumf. Upadłéj sprawy, upadłych wodzów nikt właściwie, na razie, nie żałował. Jak przeciw Kosińskiemu, tak i przeciwko Nalewajce, sam lud ruski podawał rękę, mszcząc się łupieży kozackich po wsiach wołyńskich. Rdzeń kozaczyzny, pozostawiona przez Łobodę część załogi na Niżu, bez dobycia szabli poddała się potém Żółkiewskiemu. Właściwy powód do żalu, jak opowiada daléj o tém obrazowie Szajnocha, miała sama Rplta, straciwszy w Kosińskim, Łobodzie, Nalewajku, znamienitych mężów rycerskich, nadszczerbiwszy tém oręż własnéj misyi rycerskiéj. Ale panom koronnym szło teraz więcéj o spokojne pożywanie plonów rycerskości wieków minionych, niż o nowe wawrzyny. Potępiając tedy każdą podnietę do zerwania upragnionéj zgody z pogaństwem, potępiono podwójną bronią kozaków. Po zwalczeniu ich mieczem przez panów, uderzyły w nich ciosy ustawodawcze na sejmie. Pogrom Kosińskiego w r. 1593 uświęcony został konstytucyą tegoż samego roku, uznającą Kozaków zdrajcami kraju i wrogami ojczyzny, co wieczystą banicyą ściągało na nich. Ponieważ wojna między Kosińskim a książętami z Ostroga, właściwie tylko prywatną była zwadą, i z téj przyczyny ostatecznie rozsądzenia na sejmie wymagała, dla tego, przyjmując ją teraz za sprawę całéj Rpltéj, postanowiono na korzyść pogromców Kosińskiego, aby nikt za głowę poległych z nim kozaków nie odpowiadał. Uchylone też zostały wszelkie pozwy o zabicie Kozaka w obronie domu lub majętności. Jeszcze surowszą była konstytucya, w r. 1596, po zwalczeniu Nalewajka wydana. Nalewajko budził w ogólności daleko większą obawę od Kosińskiego, usprawiedliwioną poniekąd jego dziwnie przedsiębierczym umysłem. Srodze też za niego karano kozaczyznę. Nowa konstytucya z r. 1596, oprócz potwierdzenia zapadłéj przed trzema laty banicyi, zleciła hetmanom i urzędnikom miejscowym, aby, aż do ostatniéj kropli krwi, starali się wytępić swawolników niżowych. Miała wprawdzie pozostać jeszcze pewna garstka kozactwa, nowym, ściślejszym okiełzana porządkiem, ale odjęto jéj wszelkie prawa i przywileje kozackie, odebrano jéj stolicę Trechtymirów, zniżono ją do pospolitéj straży granicznéj. Nad wykluczonemi z szeregów kozackich gromadami ludu sielskiego, zawładnęli możni miłośnicy pokoju i jego plonów, z postanowieniem zatamowania wszelką siłą dalszéj swawoli.

Po kilkoletniéj burzy téj pod Kosińskim i Nalewajkiem, nastąpił tedy przydłuższy przeciąg ciszy, a z nią okres spokojnych zajęć rolniczych i dziwnéj osadniczéj skrzętności. Opuszczone od zwy-

ciężców i zwyciężonych pola naddnieprskie nowymi zapełniły się gośćmi. Zaczęły teraz gromadniéj osiadać na nich poczęści kupy poniewolnych pracowników lemieszem zamiast szablą kozacką, poczęści roje najróżnorodniejszych przybyszów wiejskich, którzy, bądź to z własnéj ochoty, bądź wołaniem na „słobodę“ zwabieni, garnęli się zewsząd na Ukrainę. Pracą jednych i drugich gęsto teraz zaludniały się sioła, rosły w cenę pustynie ukraińskie, łudzono się nadziejami coraz większych z nich pomyślności. Wtedy to, między r. 1596 a 1622, nastały albo rozrosły się na Ukrainie owe szerokie włości, o których nam wymownie przyświadczają „Lustracye królewszczyzn ziem ruskich“ z owego czasu, kiedy to jednemu starostwu białocerkiewskiemu 35 osad w pięciu przybyło latach, a dokoła każdego z siół i miasteczek dawniejszych, mnożyły się w roku liczne zagrody samotne, chutory odosobnione, z których w niedługim czasie wzrastały dziesiątkami wsie nowe.

Jednocześnie atoli z osadniczą namiętnością możnych miłośników pokoju i ziemiaństwa, działała także inna przyrodzona tych stron potrzeba, działał właściwy stronom krésowym popęd do stawienia czoła bliskiemu poganinowi, bronienia granic od niego, mszczenia się na nim gwałtem wzajemnym. Ztąd w tym samym przeciągu lat, kiedy po całéj Ukrainie wzmagał się najbujniéj ruch osadniczy, odżyła nieznacznie kozaczyzna. A nawet, bez nowego jéj ożywienia się, ruch ten osadniczy był niemożliwym poprostu; bez kozaków nie zdołaliby sobie panowie odmierzyć pustyń szablą. Naprawdę, kolonizacya krésowych stepów odbywała się pod kozacką osłoną przeważnie; co więcéj, Rplta nie mogła nawet ustalić swych granic od południa, bo kozacy ciągle je posuwali naprzód daléj, prowadząc w ten sposób za sobą i panów na swym powodzie.

Odrodzenie się szybkie kozaczyzny, po doznanych klęskach w pierwszych jéj zbrojnych zapasach z możnowładztwem ruskiém, było uwarunkowaném nietylko przez stan społeczny i ekonomiczny ziem krésowych i ich geograficzne położenie, lecz nawet przez najbardziéj natarczywe potrzeby polityczne Rpltéj, z powodu wojen ościennych, w jakie ją raz po raz okoliczności wikłały. Tuż bowiem po onych srogich konstytucyach sejmowych z lat 1593 i 1596, powołano kozaków na wyprawę przeciw zdrajczemu hospodarowi Michałowi w Wołoszech, po któréj przyszło tuż gotować się do wojny z Karolem Sudermańskim w Inflantach. Kozacy spełnili chętnie wezwanie i, dawszy dzielną pomoc przeciw Wołoszynowi, ofiarowali się z tąż samą gotowością na Szweda. Przypomniało to, powiada Szajnocha, panom koronnym w tak żywy sposób użyteczność

broni kozackiéj, iż, pod naciskiem potrzeby, umyślili pojednać się nawet z kozaczyzną, przyrzekając jéj przebaczenie i dawną łaskę. Owocem tego była konstytucya z r. 1601, oznajmująca publicznie w imieniu króla: „Ponieważ Kozacy zaporozcy na przeszłéj wojnie przeciw Michajłowi nam wiernie i godnie służyli, i teraz na tę potrzebę przeciwko Karolusowi służyć obiecali, tedy banicyą, wydaną z uchwały sejmowéj za zbrodniami przeszłemi Kosińskiego i Nalewajka podnosimy, i banicyą z tych, którzy przeciw Karolusowi posługę nam oddawać będą, znosimy.“ Oprócz tego, przyrzeczono kozakom zwrócenie Trechtymirowa, wolny pobyt we włościach królewskich i szlacheckich, prawo pozostawiania majętności dzieciom lub krewnym i t. p.

W taki sposób, pomimo, iż w Rpltéj daleko zwykle było od uchwały wszelkiéj konstytucyi do onéj wykonania, podniosło się przecię stanowisko prawne Kozaków, a z tém — polepszyła się téż ich dola. Nie troszcząc się o nadanie Kozakom lepszéj organizacyi — co było zawsze najzgubniejszym błędem politycznym Rpltéj — dozwolono im bytu przynajmniéj; jednoczesne zaś współdziałanie kilku pomyślnych okoliczności dopomogło wkrótce do ich większego wzrostu.

Pierwszym zasiłkiem potężnym przysłużyła się Ukrainie i kozactwu sama skrzętność osadnicza owych czasów w ziemiach ruskich, dostarczająca im tłumu najróżnorodniejszych przybyszów, z których niemała część opierała się ostatecznie na Zaporożu. Wobec tego zaś, wsparły je znakomicie nowe niespodziane wojny. Oprócz bowiem owych nieuniknionych zapasów z przywłaszczycielem Szwecyi i wrogim Wołoszynem, w których kozacy dzielnie wspierali Rpltę, przyszło jéj niebawem do kilku wojen bez koniecznéj potrzeby, wywołanych właśnie, powiada Szajnocha, teraźniejszém zamiłowaniem możnych panów w pokoju. Mimo powszechnego bowiem stłumienia dawnéj rycerskości narodu, gorzała ona jeszcze w głębi wielu serc pojedynczych i, nie mogąc już ogółu społeczeństwa przejąć swoim zapałem, wybuchała tém gwałtowniéj wojenną zuchwałością tych bohaterskich jednostek, szalonemi nieraz na własną rękę przedsięwzięciami niektórych rodów możniejszych. Wbrew powszechnemu wstrętowi do wojen trudem publicznym, powtarzały się prywatne wyprawy możnych paniąt do państw ościennych, dające właśnie najwięcéj chleba i podniety kozactwu. Natychmiast ote po owéj zachęcie Niżowców do wojny z Karolem Sudermańskim, wyprawili się Mniszchowie r. 1604 z Dymitrem do Moskwy, wyruszyli w latach 1608 i 1612 Potoccy, Koreccy i Wiszniowieccy z Mohyłami do Wołoszczyzny, musiała się

sama Rplta wreszcie wmięszać, chcąc nie chcąc, w wojnę moskiewską. W każdéj tedy z tych wojen brali gorący udział Kozacy; a w wojnie ostatniéj pomagało ich aż 30.000 koronie.

Oczywiście, do takich wypraw nie dawali się długo prosić Kozacy, każda z nich opłacała się bogatemi łupy, które były zresztą mniéj celem nawet, jak niezbędnym prawie środkiem ich utrzymania. Łupili też oni — wszędy i każdego, przy okoliczności. Wybitnie bardzo charakteryzuje p. Kulisz tę stronę życia Kozaków. Zakres ich eksploatacyi nie ograniczał się światem „bisurmańskim,“ gdzie, podług ich przekonania, sam Bóg nawet nakazał pustoszyć i grabić; też samę praktykę zastosowywali oni na południu i do swych współwierców Wołochów — jak nazywani byli przez nich w ogóle mieszkańcy Mołdawii i Walachii (Multan). Podanie niesie, iż nawet z Węgier Kozacy Nalewajkowi byli wyproszeni przez cesarza za ich łupieztwa nie do zniesienia; Hejdensztejn zaś potwierdza owo podanie, mówiąc, iż Nalewajko wrócił z pod Mukaczowa (Munkacza) „obciążony zdobyczą.“ Podług współczesnego białoruskiego latopisu, Kozacy, powołani przez Rpltę na wojnę szwedzką, gospodarowali na swych leżach i pochodach jak łotry, dla zdobycia łupów jedynie. Latopisarz wyraźnie powiada, iż spustoszyli oni miasto błahoczestywe Witebsk, nabrali w niém wiele złota i srebra, dla czego siekli znacznych mieszczan ponieprzyjacielsku; a wracając do domu, każdy z nich porwał po kilka kobiet i dzieci do niewoli, zupełnie tak, jak poczynano sobie w Turecczyznie.

W wyprawie moskiewskiéj z Dymitrem r. 1604 znajdowały się całe tysiące Zaporożców. Mamy nieznane dotąd świadectwo historyczne, iż: „po odjeździe p. wojewodzinym i tego rycerstwa, które z nim poszło, przyszli Kozacy zaporozcy we 12.000, którym był dawno carowicz posłał chorągiew,“ i że oni „mieli z sobą kilkanaście działek armaty grzecznéj, którym carowicz był bardzo rad, rozumiejąc siła o męztwie ich, ponieważ wojsko było bardzo ogromne.“ Niebawem zaś całe Zaporoże, wszyscy miejscy i pańscy Kozacy, oddali się łupieniu swych współwierców, bez żadnéj pretensyi do religijności— o jakiéj tyle dotąd prawiono. W taki sposób oto, od Synopu i Trapezuntu do północnych miast ówczesnego carstwa Moskiewskiego, od brzegów Dunaju do wschodniego przymorza Bałtyckiego, ludność spokojna płaci Kozakom wolną i niewolną daninę, w miarę ich wymagań, żądzy łupieztw i dzikiéj odwagi.

Powtarzamy wszelako: przy braku wpływu organizacyjnego na ich sprawy ze strony zwierzchniczéj władzy Rpltéj, było to nieodzownym warunkiem ich życia. Ale stan taki, na nieszczęście, mu-

siał prowadzić z konieczności do coraz nowych zawikłań, wywołujących w swoją kolej nowe skargi i gromy przeciw Kozaków.

Nie było przecię innego wyjścia, jak energiczne, gdyby takowe było tylko możliwém, wdanie się władzy najwyższéj. Tymczasem, o ile panięta kresowi nauczyli Kozaków, jak słusznie uważa p. Kulisz, być rycerzami, o tyle téż sami uczyli ich nieustannie swawoli. Nie dotykając innych, jedna wojna moskiewska za Dymitra była dla Kozaków szkołą łupieztw, grabieży i politycznego rozpasania.

Skutki zaś tego wszystkiego padały najcięższém brzemieniem na samę Rpltę. Widzimy téż oto, iż wyparte z Moskwy wojska koronne i litewskie związały się w kilkoletnią konfederacyą żołnierską, która ostatecznie nierównie większych kosztów i spustoszeń nabawiła Rpltę, niżby zdołały były uczynić największe wysilenia wojenne. Pogromieni zaś od Turków możni najezdcy Wołoszczyzny ściągnęli na Polskę srogi odwet pogaństwa, mszczącego się teraz częstszemi, niż kiedykolwiek, napadami Tatarów i groźbą niezwłocznéj wojny z Turcyą.

Niemniejsze niebezpieczeństwa zagroziły i kozaczyznie. Tłumniejsza i zuchwalsza, niż dawniéj, ujrzała się ona z nastaniem pokoju bez zatrudnienia, bez chleba, bez możności utrzymania dawnéj potęgi. Należy jednak przyznać, iż, nie chcąc najzwyczajniejszych w takim razie chwytać się środków, to jest łupić włości okoliczne albo żyć rozbojami w ziemiach pogańskich, zanieśli Kozacy najprzód żądanie do korony, aby im wypłacono zaległy oddawna żołd, uiszczono się z przyrzeczonych nagród wojennych, dotrzymano różnych innych obietnic. Wyczerpana jednak Rplta ani była w stanie uczynić zadość żądaniom, ani też czuła potrzebę robienia ustępstw Kozakom. Doznawszy uprzednio pomyślnych skutków surowości, postanowiono i w obecnym wypadku tym samym środkiem ocalić pokój. Stanęła tedy r. 1613 surowa konstytucya na podobieństwo ustaw z lat 1593 i 1596, grożąca każdemu nieposłusznemu banicyą, wytępieniem, bezkarnością za głowę kozacką w razie najścia na majętności, z dotkliwém nadto zbyt ostrzeżeniem, aby się kozacy „ani za królewskiemi, ani hetmańskiemi listami niczego ze skarbu Korony i Wielkiego Księstwa nie upominali, a pogotowiu dóbr królewskich i duchownych stanu szlacheckiego nie uciskali".

Znieśli to, opowiada Szajnocha, dość cierpliwie Kozacy. Lubo Korona wcale niegotową była do wojny, a Zaporoże z każdym nieprzyjacielem mierzyć się mogło, nie słychać o żadnym buncie ukraińskim w téj porze, nie przyszło mianowicie do wzbronionego konstytucyą łupienia włości. Najsurowsze bowiem konstytucye koronne, byle obawą egzekucyi poparte, miały zawsze daleko skorszy po-

słuch u kozaków, niż zwykle przypuszczamy. Tylko ku magnatom, ku dawnym swym przywódzcom, ku kniaziom własnym, jak Ostrogscy, Wiszniowieccy, wrzała w niéj złość, królowi okazywali kozacy nawet w najzuchwalszych chwilach uległość i przywiązanie. Przyznają im też najświatlejsi pisarze współcześni sprawiedliwość w téj mierze, upewniając z Piaseckim, Łubieńskim, Starowolskim i wielu innymi, iż Kozacy, mimo tylokrotnych waśni z koroną, „zawsze niezłomną wierność zachowywali królowi i Rpltéj". Co tém większą było zasługą, ile że od wszystkich prawie sąsiednich państw chrześciańskich dochodziły Kozaków raz po raz pochwały i zapomogi pieniężne, Rplta zaś częściéj surowością, jak łaską, ich darzyła; tém większą zasługą ile że wrogowie Rpltéj niejednokrotnie ich do nieposłuszeństwa ku niéj otwartego podniecali, przedstawiając im widoki, nie mogące być dla nich obojętnemi. Przy stanowczéj atoli odmowie teraz żołdu ze strony Rpltéj a zamiarze Kozaków nienaruszania sioł własnych, jedynym ratunkiem w niedostatkach pozostały grabieże w ziemiach pogańskich. Postanowiono więc uciec się do wypraw czarnomorskich. Było to koniecznością samego istnienia Kozaków. „Ponieważ żołd nie dochodził, musieliśmy przemyśliwać o sobie"—„ dla poratowania chudob naszych, wtargnęliśmy do Krymu"— tak tłómaczą się oni ze swych wycieczek; z hetmanem Żółkiewskim zaś targują się upornie o przyznanie im prawa do łupienia brzegów pogańskich, wrazie niedojścia żołdu.

Rzuciła się więc teraz kozaczyzna niepohamowanie w jedyną, pozostałą jéj drogę ocalenia bytu swojego bez plądrowania własnego kraju i wybuchła szeregiem całym wypraw zamorskich, stanowiących kilkoletnią, od r. 1613, epokę najwyższéj sławy i potęgi kozackiéj. Poznały też zaporożców temi czasy bliżéj: Kafa, Trapezunt, Synope, przedmieścia Carogrodu, Warna, jednem słowem wszystkie dokoła brzegi czarnomorskie.

Rozjątrzony sułtan tłukł buławy na pogromionych od Kozaków wezyrach, i po każdym nowym napadzie poprzysięgał zemstę Zaporożcom i Polsce. Bezpieczeństwo Rpltéj stawało się, naprawdę, coraz bardziéj zagrożoném.

Zażegnywał hetman Żółkiewski, jak mógł, wiszącą nawałnicę; tłómaczył się przed Turkami i wzywał ich nawet do wspólnego Kozakom przeciwdziałania. Na przedstawienia beglerbeka rumelijskiego z Tehini (Bender) odpowiada:

„....Jakoż podług rozkazania, od J. K. M. nam danego, uczyniliśmy tak, żeśmy w tamten kraj ku Dnieprowi, gdzie zwykli się ci łotrowie bawić, z wojskiem przybyli, o którycheśmy się mogli dowiedzieć, poimać i pokarać na różnych miejscach rozkazaliśmy;

i tam i teraz jest wojsko J. K. Mci. O czém, iż tak jest, nieinaczéj, wiadomość łatwie wziąć możesz. Potrzebnie się stanie, że spólnie pomożem sobie na spólne szkodniki, wy z swojej strony, a my téż z swojéj, żebyśmy ich do gruntu wyniszczyli. Jakoż ci, którzy w naszéj Ukrainie przebywali, jedni pouciekali, drudzy pobici są. Do tych, którzy na Nizie Dniepra mieszkają, przez progi skaliste, które są w téj rzece, nam przebyt niepodobny, wam snadniejszy i w porcie limiennym przy swoich zamkach, jakoście teraz uczynili, łatwiéj wam przyjdzie zabiegać swawoleństwu i rozbojom tych łotrów; wszak macie teraz dosyć więźniów od nich, łacno się sprawicie, że ci łotrowie z różnych narodów zebrani, nie z naszéj tylko ziemie, ale z Moskwy, z Donu schodzą się na te zwykłe swe miejsca niżéj progów Dnieprowych. W naszéj Ukrainie dotąd żadnego ostatka z tych, którzy przed wojskiem waszem pouciekali, niemasz i nie będą śmieli się ukazać, wiedząc o wojsku Najjaś. Króla Pana mego. Jeśliby się który pojawił, będzie imany i na gardle karany. Tam że i teraz niżéj progów Dnieprowych są ci łotrowie na swych zwykłych miejscach. Jako my z wojskiem strzeżemy od nich ziemie swéj, żeby nam szkody nie czynili, tak i wy z waszéj strony czyńcie".

Ale nie łatwo było Turków uciszyć, wiedzieli oni zkąd przychodzili kozacy i kto ich w wyprawach popiérał. Tak oto tedy powiada beglerbek Achmet basza.

„....Gdyśmy już byli na tém, wojska za nimi posłać, aby te zamki i połamki (pałanki), gdzie oni mieszkają brano i znoszono, żony, dzieci imano i tam ten wszystek kraj plądrowano; kilku więźniów albo języków dostano, których kiedy pytano, zkąd kozacy wychodzą, za czyjem poduszczeniem i potuchą takie występki czynią, tych zameczków i połamków, w których mieszkają starostowie i panowie, co zać są, te zdobyczy, które z państw cesarza J. M. biorą i komu oddają? dali pewną sprawę, że te połamki są pod władzą W. K. M., że zdobycz, którą biorą, do monasteru W. K. M. (w Trechtymirowie) i pogranicznym panom dają, a które cokolwiek złego czynią, wszystko z poduszczenia i otuchy panów W. K. M. i zacnych szlachciców na granicach będących mają".

Nie łatwo téż było odeprzéć podobne zarzuty; zawierała się w nich prawda. We wszystkich zuchwałych wycieczkach Zaporożców, szlachta krésowa brała bezpośredni lub pośredni udział. Zdobycze łupiezkie stawały się teraz bardziéj pociągającemi jak kiedy. Jedne łupy Synopu, owego szczęśliwego dotąd, rozkosznego „miasta kochanków" wschodniéj poezyi, obliczano na 40 millionów złotych. Z uzbiéranéj w takich chadzkach furtuny zakupowało wielu mniéj rycerskich kozaków wsie i folwarki, w których wschodniemi

kosztownościami przyozdobione domy kozackie budziły w wysokim stopniu zazdrość spokojnéj szlachty sąsiedniéj, podniecając ją samą do szukania szczęścia w sposób podobny. Wreszcie drażnienie Turka było interesem kresowych bannitów szlachetnych: tém pewniéj bowiem, łącznie z przebaczeniem, powoływała ich Rzeczpospolita pod swe chorągwie. Dla tego téż i swawola kozacka, wyzywająca bisurmanów, nie obudzała w panientach krésowych takiego oburzenia, jakie widzimy w sejmowych konstytucyach i uniwersałach królewskich. Częstokroć była ona wodą na młyn pański i oto powód, dla którego mandaty królewskie przeciw kozaków i mnóstwo komisyj naznaczanych dla ich powściągnięcia wykonywane były bardzo miękko, a nieraz wprost szły w zapomnienie.

Udało się przecię staremu hetmanowi koronnemu odwrócić na czas srożącą się (1617) od strony tureckiéj burzę. Sam urok jego imienia powstrzymywał stojącego już nad Dniestrem Skinder-baszę; ale tém nie mniéj, trzeba było żądania porty, rozsrożonéj teraz do najwyższego stopnia na „Lechistan“ za jego nieswornych kozaków, jakkolwiek zaspokoić. Powaga hetmańska i pogróżka surowa a najskuteczniejsza, że się powstrzyma wszelki dowóz żywności na Zaporoże, dokazały tego, iż kozacy przysłali swych umocowanych na komisyą, w Olszanicy nad Rosią, i bez szemrania przyjęli warunki, jakie im zwykle stawiano, w celu skrępowania swobody ich ruchów rozpasanéj. Ułatwiło to zaś następnie i uciszenie Turków ugodą w Buszy, skutkiem któréj trzeba było się zgodzić nadto na zburzenie niektórych zameczków krésowych, jak Berszada i inne.

Ale naprawdę, postanowienie komisyi Olszanieckiéj, pomimo iż Żółkiewski mądréj tu trzymał się zasady, iż „więcéj proficitur consilio, niżeli vi“,—było mniéj jak półśrodkiem. Antyszlachecka nielegalna rzeczpospolita wyrosła już była w potęgę, dającą jéj możność zmierzenia swych sił z Rzeczpospolitą prawowitą; a tu ją, — ograniczaniem na tysiąc ludzi, jeszcze traktowano po dawnemu jak niemowlę. Ale powolność w tym razie kozactwa stanie się dla nas zrozumiałą, gdy sobie przypomnimy, iż stał owemi czasy na czele onego człowiek, który rozumem swym, mocą woli i obywatelską szlachetnością zapatrywania się na walkę z możnowładztwem, przewyższał wszystkich jacy kiedy przed nim i po nim istnieli hetmanów Ukrainy. Był zaś takim, nie kto inny jak Piotr Konaszewicz, z kozacka Sahajdacznym zwany. Jemu właśnie przynależy cześć prowadzenia komisyi olszanieckiéj ze strony kozaków w taki sposób, że tyle sprzeczne interesa dały się ułożyć na czas bez przelewu krwi bratniéj.

Niepospolity ten człowiek, powszechnie i powszednio sławiony, lecz nie dość należycie oceniany dotąd, znajduje w najświeższéj pracy p. Kulisza wszechstronne i głębokie uznanie, na które téż i my najserdeczniéj się piszemy.

Konaszewicz był dzieckiem Rusi czerwonéj, owéj krainy, która dała Rzeczypospolitéj wszystkich prawie hetmanów koronnych, sprawie zaś ruskiéj i opozycyi — przeciwdziałaczy głównych możnowładztwa i unii religijnéj, w osobach autora „Apocrisis“, ascety z Athos Jana z Wiszeń i metropolity Hioba Boreckiego. Pochodził on z ubogiéj szlacheckiéj rodziny z Samboru i wcześnie oddał się życiu krésowemu najpewniéj jako zbiegły „rybałt“ szkoły ostrogskiéj w któréj pobiérał pierwsze nauki.

W czasie buntu Nalewajki i Łobody był on już człowiekiem średniego wieku, lecz czy do buntu sam należał — napewno nie; stosunek jego do władzy o tyle tchnął zawsze powolnością, o ile z drugiéj strony działalność jego była zawsze niezależną i bezwzględną. Imię jego nabyło szerokiego rozgłosu, jako najśmielszego ze wszystkich bohaterskich zuchwalców, przywódcy, tyle straszliwych dla Turków wypraw czarnomorskich, w których spłonęły Synopa, Trapezunt i inne miasta padyszachowe.

Urzędowie atoli występuje on dopiéro poraz pierwszy, jako hetman, w olszanieckiéj komisyi i występuje tu, mimo wrzawnéj zawziętości braci zaporozkiéj, rwącéj się do broni, w duchu starego przysłowia ukraińskiego: „Lachiw hud'mo, ta z Lachami budm'o“. Wreszcie same owo bractwo zaporoskie wygląda jakby przez pół jeszcze ze szczerych Lachów złożone. Oto bowiem jakich ma Konaszewicz towarzyszy w komisyi: obok Bohdana Bałyki, Harlika Swiridowicza i Iwana Mamajewicza asawuła, — występują Wawrzyniec Paszkowski pisarz wojskowy, Stanisław Kostrzewski i Jan Mirowski. Na wszystko się tu więc zgodzono, na wymagania najbardziéj niemożliwe nawet; oczywiście w mocno uzasadnioném przekonaniu, że jutro sam wewnętrzny stan spraw w Rzeczypospolitéj zniesie faktycznie to, do czego dziś się formami prawnemi zobowiązywało. Zgadzał się tedy Sahajdaczny zwać się „starszym“ tylko wojska zaporozkiego i ulegać hetmanowi koronnemu, zgadzał się nawet na ograniczenie wojska tego do tysiąca ludzi; przyczém obiecywali kozacy wypisać z regestru, usunąć z pośród siebie wszelkich „rzemieślników, kupców, szynkarzy, wójtów..... i innych ludzi zbytecznych“, nie wspominając ani jedną wzmianką, o „chłopach“ — tak jeszcze jądro bractwa zaporoskiego było szlacheckiem przeważnie, tak jeszcze lud poddany nie miał ku niemu dostępu.

Nie zawiódł się Sahajdaczny w mądréj swéj kozaczéj rachubie: nim się bowiem skończyła komisya olszaniecka, ograniczająca regestr do jednego tysiąca tylko, już wzywano go na odsiecz, ściśniętemu w wojnie o tron moskiewski r. 1618 królewiczowi Władysławowi. I poprowadził też skromny „starszy“ wojska zaporoskiego 20 tysięcy mołojców pod Możajsk, odnosząc w ten sposób podwójne zwycięstwo moralne — i nad kozakami, rwącymi się do wojny domowéj i nad możnowładztwem, myślącém o zniweczeniu ich potęgi.

Tymczasem, gdy kozacy wspiérali potężnie królewicza na obczyznie, w domu, w głębi Rzeczypospolitéj zadawano sobie pytanie: co z nimi daléj począć? — tak stali się oni groźnymi dla możnowładczego społeczeństwa. Rozważni politycy stawali po ich stronie jak pomiędzy innymi Krzysztof Palczowski, w znakomitéj swéj broszurze sejmowéj „o Kozakach, jeżeli ich znieść, czyli nie — Dyskurs“. A nawet i propozycya królewska na sejm 1618 r. opiewała, iż znieść kozaków niepodobna, lecz za to poddanie ich pod władzę prawowitą byłoby pożądanem i możliwem, gdyby sejm i panowie ukrainni jednomyślnie zgodzili się na to i rzucili się gasić ten straszny ogień domowy.

Tymczasem po powrocie z wojny moskiewskiéj, Kozacy, przy swéj sile faktycznéj, znaleźli się otoczonymi pewném nawet uznaniem moralném, jakiego przedtém nie miewali nigdy. Oto bowiem obecnie, bardziéj jeszcze poczęli szukać ich względów przeciwnicy unii religijnéj — błahoczestywi mieszczanie i ich dociskane duchowieństwo. Stało się zaś to tém nieodzowniejszém, ile że teraz rody możnowładcze ruskie, jeden po drugim, poczęły przechodzić na katolicyzm, za przykładem dawnych protektorów błahoczestya książąt Ostrogskich i innych.

Należy tu przyznać p. Kuliszowi, iż mimo wszystko, stara się on być bezstronnym w ocenieniu wewnętrznego w owe czasy społeczeństwa polskiego ziem ruskich: dotykając bowiem nie tylko bez litości, lecz z zadowoleniem niemal, ujemnych stron jego, uwydatnia też on nieraz, jak na historyka przypada, i strony mocne tego społeczeństwa. Autor, biorąc tu rozbrat z powszedniemi wymyślaniami poprzedników, uznaje siłę ową w wysokiéj kulturze ówczesnego społeczeństwa. Przedstawicielem najszczytniejszym kultury téj był zastęp właśnie możnowładztwa czerwieńskiego a wpływowi onego dalsza Ruś oprzéć się po prostu nie była w stanie. Stronnicy też cywilizacyi zachodniéj na Rusi dowiedli wiele cnót. Jeśli prozelici latynizmu i polskości, powiada w swym charakterystycznym trybie badacz dziejów Ukrainy, nie byli ludźmi, byli to w każdym razie śmiałe i dumne lwy. Lecz na nieszczęście—wola

on dalćj — właśnie byli oni ludźmi: byli takimi, w swym „małoludnym“ wieku, daleko w wyższym stopniu, niż owi „święciepamiętni“ i „rozsławieni“. Prawdziwie téż pięknie, jeśli nie zupełnie ściśle, zarysowuje on takie postacie możnego rusko-polskiego społeczeństwa, jak Zamojski i Żółkiewski; ukazuje wzór wychowania wyższego owych czasów, jakiem było kanclerskiego syna Tomasza, oraz wzór dworów możnych, jakim był dwór tegoż.

Nic dziwnego zatém, że musiał tu przy porównaniu zmaleć kniaź Bazyli, najpotężniejszy możny pan ruski i głośny protektor błahoczestya. Chociaż nie moglibyśmy się zgodzić całkowicie na koloryt w jakim występuje u p. Kulisza dumny książe z Ostroga — tak znać tu osobistość jakąś, która byłaby zrozumiałą chyba we wskrzeszonym jakimś towarzyszu Kosińskiego.

Ale i takich protektorów błahoczestyju zabrakło; poczęły zatém „bractwa“ miejskie coraz tęskniéj zwracać oczy ku „bracczykom“ zaporoskim.

Tymczasem Zaporożcy, nie otrzymując przyobiecanego w r. 1617 żołdu, poczęli znów na morzu łotrować, w odwecie czego Tatarzy jęli znów pustoszyć srodze w roku następnym ziemie ruskie, a szlachta — znów tém usilniéj wołać o stanowcze nakoniec okiełznanie kozactwa jako nieustannego powodu klęsk i niepokoi. Naznaczono tedy komisyę dla uporządkowania spraw kozackich; zjechali się r. 1619 deligaci stron obydwóch na rzeczce Rastawicy poniżéj Pawołoczy. I znów oto Konaszewicz czczony bohater niedawnéj wojny moskiewskiéj, najskromniéj zgodził się na wszelkie wymagania rządu — ostrzejsze nawet nieco od olszanieckich. Powolność zaiste równa najgłębszéj ironii... Ale mądry polityk kozacki, a dobry obywatel Rpltéj był pewnym skuteczności swego postępowania, wreszcie miał do czynienia z Żółkiewskim.

Zaporożcy na prawdę nawet przycichli; lecz zato, gdy wprędce, bohaterskiego starca, hetmana koronnego, lekkomyślnie, przeciw jego najuroczystszych zaklinań, zmuszono do wystąpienia za Dniestr przeciw Turkom — nie miał on już serca wyzywania, w trudnéj téj przygodzie, tylko co zażegnanego widma kozactwa. Położenie wielkiego męża tymczasem było najfatalniejszem, cel wskazywany — wysoki, bo niby uwolnienie raz na zawsze, oddającéj się zupełnie w ręce Rpltéj, Wołoszczyzny z jarzma bisurmanów; a tu — żadnéj gotowości w obec Turków, czyhających tylko na okoliczność możliwego wstrząśnięcia Polską w samych jéj posadach, żadnéj konsekwentnéj zasady do odwołania się ku rozżalonym a groźnym Kozakom. Nie wiele tedy ich wzięto, parę tysięcy łóżnych ochotników tylko. Charakterystyczne co do tego bardzo przechowała kronika

lwowska podanie, jakoby Żółkiewski, wybierając się na wojnę miał powiedzieć: „Ne choczu z Hryciami wojewaty! Nechaj pasut' swyni ta orut' zemlu“ — i dla tego zginął.

Gdzież były w owym czasie owe 20 tysięcy zbrojnego kozackiego ludu, które niedawno tak zbawiennie stanęły były w przygodzie królewiczowi w czasie jego wyprawy na Moskwę?

Zadnieprscy powieściarze-historycy, zwykle wyobrażają sobie, że Kijów, oraz inne miasta ukrainne, zajmowane były przez kozaków niby przez rozłożonych po leżach żołnierzy, hetman zaś kozacki wydawał z miejsca swéj rezydencyi rozporządzenia wojenne, a nawet przeglądy odbywał. Byli między nimi co więcéj, i tacy historycy, którzy przypisywali hetmanowi nawet władzę rządową nad Ukrainą, i wyobrażali go jakimś na pół panującym. W rzeczywistości zaś działo się to daleko prościéj.

Najbliższe podobieństwo kozactwa, opowiada wielce obrazowie i dosadnie p. Kulisz, przedstawiają w naszym czasie czumacy. Trzeba wyobrazić sobie czumaków, przybyłych na jarmark, ogorzałych więcéj od każdego rolnika, zakurzonych, zasmolonych dziegciem, obszarpanych. To kozacy wrócili z wyprawy. Po dwóch tygodniach patrzysz — czumaków nigdzie niema; smagłe oblicza podgolone, białe koszule i „ludzka“ odzież nadają im zupełnie inną postać. Czumak idzie do cerkwi razem z innymi, „poła o połę szasta;“ przy spotkaniu, on „o zdrowie pyta“ — jak w dumie kobzarskiéj. Czumaka widzimy wśród dzieci na słonku jesiennéni pod chałupą; czumak zaopatruje pod wórko przeciw zimy lub orze pole na „ziębłę.“ On przestał już być czumakiem, i nikt przez całą zimę na niego, iako na czumaka, nie patrzy. Lecz przyjdzie wiosna, wygłoszą towarzysze znane hasło po wsi — i oto „wałkę“ czumaków przeprowadzają za wieś żony, dzieci, krewni. To Kozacy wychodzą na wyprawę. Kozacy, ów „koefficyent“ swego ludu, rozpływali się w ludzie prawie bez śladów, po odbyciu wyprawy lub rady wojskowéj. Lecz skoro tylko zapała strażniczy ogień na mogile stepowéj, lub przyjdą do wsi wieści od straży polowéj, — już oto od chałupy do chałupy, od karczmy do karczmy, biegają postacie czubate, i — na raz wśród „majdanu“ wiejskiego zagra wojsko, przedstawiając taniec tatarski lub puszczając konie w zawody. Kozacy gotują się przepynić hordę. Gdy się przedsiębrało coś ważnego; naprzykład wyprawę do Wołoszczyzny, pod Tehinię lub Kilię, wtedy wojskowi asawułowie pędzali się konno po ulicach i wyzywali kozaków głośnem wołaniem w drogę. Zwracali się oni jednostajnie i do bogatych „domatorów,“ którzy posiadali własne „woły czabanne,“ własne „konie wrone,“ i do ubogich hołyszów, którzy „po winnicach gorzałki pę-

dzili, po browarach piwa warzyli, po łaźniach w piecach palili, kotły szorowali, sadzę plecami wycierali.“ Rój kozaczy tedy, złożony z ludzi „odzianych“ oraz z ludzi „gołych jak bęben, straszliwych wielce,“ wylatywał „na przyigrzysko.“ Kto nie miał „szabli bułatnéj, piszczali siedmiopiędnéj,“ ten brał na ramię „kijakę,“ i to towarzysze nim nie „wzgardzali.“ „Komu Bóg pomoże!“ — pod tém hasłem występowali na wyprawę bogaci i ubodzy, konni i piesi, orężni i „dejuchi.“ Oto rys ogólny tego wojska, które kobzarze, nie gorzéj od Homera, idealizowali w swych dumach, przyrównywając Kozaków do orłów siwych, odzież ich — do kwitnącego maku, ich oręż — do jaśnicjącego złota.

Skrępowane przez komisyą rastawiecką kozactwo, siedziało tedy spokojnie po swych słobodach i chutorach lub za Porohami; ale bez niego kwiat polskiego rycerstwa, jakie prowadził Żółkiewski za Dniestr, okazał się być tylko garstką, w obec potężnych zastępów tureckich. Hetmana zaś — wkładając nań ciężkie brzemię — Rplta i szlachta ziem ruskich nie wsparły należycie. I padła pod Cecorą r. 1620 głowa, która, jak pięknie mówi badacz Ukrainy przewyższała do koła wszystko; i ruskie i polskie! Kozacy téż co z nim byli, wszyscy prawie — albo jak stary Chmielnicki z Subotowa dali gardło na pobojowisku, albo z jego Synem Bohdanem poszli w niewolę.

Rplta cała okryła się żałobą; lecz co do Ukrainy — naprawdę przyjdzie się zgodzić na smutną uwagę, iż gdyby nie ta straszliwa klęska wojska koronnego i kwiatu ruskiego możnowładztwa, uległ by nieodzownie lud jéj krésowy téj saméj doli, jaka już ciężyła nad ludem powiślańskim. Istotnie, usunięcie wojska zaporoskiego od uczęstnictwa w wyprawie zamierzonéj na Wołoszczyznę, wskazywało wyraźnie, iż możni panowie ruscy postanowili byli na dobre utrzymać w mocy punkta komisyi rastawieckiéj, zmuszającéj między innem kozaków do wyniesienia się z dóbr prywatnych lub do zupełnéj uległości panom. Zgromadziwszy się raz orężnie dla wyprawy za Dniestr, panowie, w razie powodzenia, niezawodnie téż skorzystaliby z okoliczności, i przy przewidywanem a koniecznem prawie nieposłuszeństwie kozaków; ukarali by ich jeszcze raz, tak surowie, jak na Sołonicy. A wtedy stałby się już w żaden sposób niemożliwym ów krok, na jaki właśnie poważyli się Kijowianie pod osłoną siły kozackiéj; ani jeden mnich błahoczestywy nie przyjąłby święcenia od patryarchy jerozolimskiego, który gościł w tym czasie w Kijowie, i sama myśl tego, mniejsza o jéj źródło pierwsze, pozostała by martwą — jednem słowem, nie odrodziła by się tak łatwo przygnębiona przez unię hierarchia błahoczestywa, ze wszystkiemi tego od-

rodzenia następstwami. Lecz oto naraz rozniosła się wieść o klęsce cecorskiéj. Klęska ta oczyściła widnokrąg kozacki od zasępiających go chmur i odkryła przed kozakami jasną dla nich widownię. Poczuli oni teraz mocniéj, iż stanowią siłę na Rusi, i nie tylko sami to czuli, lecz do tegoż przeświadczenia przyszli i wszyscy błahoczestywi Kijowianie, wszyscy cerkiewni bracczycy, wszystkie cechy mieszczańskie, wszyscy „czarnoryzcy,“ trzymający się do tego czasu — trzeba to powiedzieć na ich cześć, sądzi badacz ukraiński — w stronie od kozactwa.

Była to wielka chwila w dziejach ziem kresowych i Rusi całéj. Przekonamy się o tém, rzuciwszy za przewodnictwem badacza tego, choć pobieżnie okiem na ówczesny stan wewnętrzny kraju.

Zaczniemy od uwagi, iż w ogóle była to doba rozwielmożnienia się cudzoziemskiego przepychu w życiu pańskiem po całéj Rpltéj. Wzniesienie się potęgi państwowéj narodu, częstsze stosunki z zagranicą, zwiększenie się zamożności kraju i pochód kultury zachodniéj, nieprzezwyciężenie prowadziły ku temu. Oczywiście, że wobec takiego powszechnego nastroju, nie pozostała w tyle i Ruś daleka ponadkrésowa, idąca teraz za prądem ogólnym we wszystkiém. Więc téż i w bycie domowym, naprawdę, trudno było ludziom, co widzieli własnemi oczyma „Venezia la bella,“ „Genowa la superba“ osiedzieć się przy starym dobrym prostaczym obyczaju. Nic dziwnego tedy, iż z owego już czasu ma pochodzić znane ukraińskie przysłowie: „Sydyt' czort taj płacze, szczo mody panam ne dostacze“...

Ale do wystawności życia, były panom nieustannie potrzebne pieniądze, dla zapewnienia sobie których, wyszukiwali oni przedewszystkiem dzierżawców, takich co by umieli pomnażać bardziéj ich dochody. Otóż jako tacy dzierżawcy, tacy „arendarze,“ występowali najczęściéj przedsiębierczy i pomysłowi żydzi. Brali oni w dzierżawę wszystko, co się dało; nie tylko sioła z należącemi, z dawnego obyczaju, do patronatu pańskiego cerkwiami, na które patrzyli jako na niezawodny środek wyłowienia grosza z kieszeni najuboższego wieśniaka, lecz nawet — zamki warowne, przeznaczone do obrony ziem kresowych od najazdów nieprzyjacielskich. Stosuje się to bez różnicy, powiada p. Kulisz, i do cerkwi błahoczestywych, i do łacińskich kościołów, i do dóbr dziedzicznych i do królewszczyzn — co do których najwymówniejsze świadectwa znajdujemy w Lustracyach. Wszystkie swe prawa i obowiązki na Ukrainie przekazywał pan, w ten sposób, żydowi lub obrotnemu szlachcicowi, podstarościemu czy dzierżawcy, niby niezależny władzca drugiemu władzcy; i nie istniało w Rzeczypospolitéj siły, któraby się mogła ująć skutecznie, jeśli nie za godność ludzką włościan, to za wła-

sność publiczną i cześć władzy najwyższéj. Bezsilnemi były skargi zasłużonych weteranów wojskowych, zanoszone przed króla Zygmunta III-go, że zamki ukrainne, zarządzane przez żydów, przyszły do ruiny, ku nieobliczonéj szkodzie Rzeczypospolitéj; że starosty tam ani jednego nie widać, gdyż mają oni dóbr dosyć i jeszcze więcéj otrzymują od króla; że zaś, gdyby król oddał zamek ubogiemu żołnierzowi, ten by pewno nie zrobił żyda uczestnikiem krwawych zasług swoich. Lecz wszystko napróżno: jak złowrogie ptastwo, nalecieli byli teraz arendarze, i najwięcéj arendarze — żydzi, na Ukrainę. A tu — przechodząc od jednego pana do drugiego, z jednéj słobody, zniszczonéj przez ich eksploatacyę bez litości, do drugiéj, dogadzali oni, czém tylko mogli, wszelkiéj władzy nieprawéj, szpiegowali między kozakami i włościanami, podburzali przeciwko nich rozdrażnioną już kozacką samowolą szlachtę, i podług swego wiekuistego zwyczaju, łowili sami ryby w mętnéj wodzie.

Wszystko to atoli odnosi się przeważniéj do tych miejscowości dnieprowskiéj i dniestrowskiéj Ukrainy, które z dawnych czasów były już starostwami i jako królewszczyzny, rozdawane zostawały panom na dożywocie, obok nadań wieczystych, a w których założyli oni już byli mnóstwo własnych słobód, przewabiając jeden od drugiego osadników ponętą „woli“ dłuższéj. Lecz za panowania Zygmunta III-go występują często w aktach urzędowych istniejące wtedy jeszcze na Ukrainie pustynie niezmierzone, które nie przynosiły żadnego pożytku, ani możnowładzcom, ani Rzeczypospolitéj. Nie znaczy to, aby te pustynie miały być wcale niezaludnionemi: owszem—uważane one były tylko u góry za nieużyteczne i do nikogo nie należące, jako nie poddane jeszcze panującym powszechnie porządkom. Pustynie te zaś zostawały mimo wiedzy sejmu, wciąż zasiedlane przez lud, zdobywający sobie wolność ucieczką, nietylko z bliższych siół szlacheckich, wydzierżawionych żydom, lecz i z najdalszych okolic i miast — ruskich, litewskich i polskich — przestronnéj Rzeczypospolitéj.

Wszyscy też ówcześni rocznikarze nie mogą się wydziwić, jak szybko pomnażała się ludność kresowa, jak „w dzikich polach, na samych szlakach tatarskich, prawie cała oddalona Ukraina okrywała się miasteczkami i wsiami“. Trudno jednak oznaczyć linią, oddzielającą Ukrainę zostającą w mocy panów możnych i ich dzierżawców, od wolnej, to jest takiéj, gdzie prawo pańskie ustępowało „przysądowi“ kozackiemu czyli gminnemu, i gdzie nie było miejsca dla żywiołów pasożytnych. Linia ta zmieniała się, zależnie od czasu i od okoliczności: czy przypływało ku Ukrainie lub odpływało

kozactwo, czy walczyło z niem ociężale z dostatku możnowładztwo lub też spokojnie trwoniło niezmierne swe dochody. Lecz zarazem wszyscy pisarzę polscy owego czasu przyświadczają zgodnie, że nawet w dobie użycia energicznych środków przeciw kozakom, władza Rzeczypospolitéj nad nimi była taką prawie tylko z nazwy; że w czasie spokojnym kozacy po większéj części żyli niezależni, dla niemożności śledzenia za nimi w miejskich i wiejskich gminach, w wojennym zaś — działali jedynie podług woli swego atamana czy hetmana, a nieraz rzutkiego pana nawet, który umiał wzbudzić w nich ku sobie zaufanie i utrzymać między nimi powagę.

Takim panem, pomiędzy innymi, był w pewien sposób i znakomity Piotr Konaszewicz Sahajdaczny. Umiał on przywiązać ku sobie tak silne stronnictwo pomiędzy kozakami, że z pomocą onego, trzymał na wodzy resztę, i dla miłości króla i senatu, powstrzymywał kozaków niejednokrotnie od wypraw morskich — powstrzymywał tém skuteczniéj, że sam był najszczęśliwszym z piratów Czarnego morza.

Właściwie też kozacy nie najeżdżali z zewnątrz posiadłości rzeczypospolitéj szlacheckiéj, jak tatarstwo, nie wojowali mieczem i ogniem majętności polsko-ruskiéj arystokracyi; oni mieszkali w tych majętnościach, byli w nich u siebie „w domu", i tylko od czasu do czasu jak wiémy, wydzielali się z masy ludowéj, któréj wyraz wojenny stanowili. Bez trudności za to, pociągali do wypraw śmiałych zewnętrznych czy domowych, wszystko, co było skrępowaném panującemi porządkami, co było uciemiężoném przez panów i dzierżawców, wszystko co było doprowadzoném do rozpaczy nierządem miejscowéj administracyi. Lecz potęga ich wpływu atoli kończyła się tam, gdzie się rozpoczynała linia dawnych wolnych osad bojarskich na Polesiu i Wołyniu, nobilitowanych, z pobudek głębokiéj polityki, przez Zygmunta Augusta.

Od téj też linii, mówiąc właściwie, rozpoczyna się Ukraina, — ziemia, w któréj drobna szlachta była przybyszem; w któréj panowały na wzór książąt udzielnych, stare rody ruskie, umiejące utrzymać się w swych miastach i zamkach, uległością mocniejszemu, bez względu kto był takowym — Tatar, Litwin, Lach; a potém—i szczero-polscy oraz czerwono-ruscy magnaci już zmierzający od czasów Jagiełły do zwiększenia swych majętności, podziałem między sobą tego, co się officyalnie zwało pustyniami.

Przejeżdżając po tym rozległym przestworze w początku XVII wieku, widzielibyśmy tam: — nadzwyczajne bogactwo, obok ostatniego ubóstwa, surowe prawo przemocy, obok nierządu zupełnego, pełną swobodę obok niesłychanego ciemięztwa, to jedne, to drugie

tryumfujące wyznanie, to jedną, to drugą narodowość panującą. Widząc zaś wszystko to w dziwném, zagadkowém zamieszaniu, trudno było rozstrzygnąć: czy to Europa, czy Azya, Polska czy Ruś, rzeczpospolita pańska, czy kozacka. Pierwiastki życia znajdowały się tu w powszechnéj walce między sobą, i nie łatwo by było przepowiedzieć, który z nich weźmie górę.

Nadewszystko, uderzały wtedy przychodnia zamki magnatów na Rusi Ukrainnéj, albo raczéj — obszerne magnackie dwory, mieszczące w sobie setny i tysiące sług—szlachty. Bogaci panowie tego czasu żyli jak niepodlegli władzcy i oprócz wojska własnego, utrzymywali na swym koszcie mnóstwo tak zwanych dworzan, którzy służyli im na wojnie i w domu — za smaczny kęs chleba, za możność uczestnictwa w pańskich rozrywkach, za poparcie w wojennéj i ziemskiéj służbie. Były to szkoły towarzyskości, szewaleryi, lecz nie mniéj—próżniaczego zbytku. Tu otrzymywała szlachta polor powierzchowny, który robił ją społeczeństwem europejskiem; tu ona przyswajała sobie zachodnie pojęcia o honorze i sławie, któremi powodowała się we wszystkich swych postępkach; lecz tu również przyzwyczajała się i do lekkomyślnego marnotrawstwa, które tak często zmuszało ją do uchybień w rzeczach téj że czci i sławy.

Im głębiéj się zapuszczało w Ukrainę, tém rzadziéj można było spotykać samych panów i dzierżawców stanu szlacheckiego w ich dobrach. Wszystko tu prawie, jak wiémy, oddawaném było wyłącznie na łup żydom, — niezmordowanym, na nieszczęście, w wynajdywaniu środków wysysania dochodów z arendy, a którzy zarazem posuwali ucisk ludu aż do ranienia go w najświętszych uczuciach religijnych, nakładając daninę nawet na potrzebę dopełnienia obrzędów.

W ogóle nawet, co do stosunków religijnych — przedstawiały one smutny widok powszechnego rozdrażnienia, wywołanego przez unię kościołów i usiłowania prozelityzmu ze strony katolików. Wprawdzie z możnowładzców ruskich pozostali jeszcze przy błahoczestyi ci tylko, którzy nie chcieli z przemianą obrządku stracić możności rozdawania klientom swym dóbr cerkiewnych, jako chleba duchownego; ale mieszczanie i uboższa szlachta nie opuszczali go tak łatwo, i stawili, jak mogli, czoło przeciwnikom. Walka religijna zaogniała się coraz żywiéj. Ztąd też o ile nieraz zakrwawiało się serce pobożnego katolika na widok napadów na katolickie i unickie świątynie, dokonywanych przez „bursaków“ i służki monasterskie, pod „czerńców“ przewodem; o tyle jeszcze cięższéj było dla wyznawcy błahoczestya widzieć, po miastach, wsiach i monasterach, zapieczętowane cerkwie, których wyrzekli się parafianie,

gdy im dano parocha unitę lub wprost księdza łacińskiego; a dobra cerkiewne znalazły się w ręku odstępców i ich arendarzy. Jedném słowem w zakresie tym przygotowywały się już powoli palne materyały do wielkiego owego pożaru, co ogarnął z czasem całą Ukrainę przy Bohdanie Chmielnickim, owym Herostracie, jak go p. Kulisz nazywa polsko-ruskiéj kultury.

Pod względem zaś społeczno-ekonomicznym — mimo wszystko coby się dało o tém w szczegółach powiedzieć, w ogóle przecię do-cisk panowania szlacheckiego nie był na Ukrainie ani stałym ani wszędzie jednostajnym. Znany pod nazwą „Samowidca" latopisarz ukraiński świadczy, iż lud pospolity tam żył w obfitości: w chlebie, bydle i pasiekach, tylko nie mógł znieść wielkich wymysłów od starostów, od ich namiestników i od żydów. Bliskość wolnych stepów kozackich nie dawała ludowi ukraińskiemu dojść do tak biernego posłuszeństwa woli silniejszego, do jakiego on dochodził w bardziéj środkowych ziemiach Rzeczypospolitéj. Możność ucieczki z uciemiężonych przez panów wsi do wsi wolnych, co nie wysiedziały jeszcze „slobody" lub poddały się „przysądowi" kozackiemu, przerywała się nie na długo. Kwarciane wojsko, zwykle rozstawiane na leże i hiberny po Ukrainie, było albo odwoływaném ztamtąd na wojnę, albo téż nieraz samowolnie rozchodziło się po domach własnych. Wtedy wszystko, co było na czas przypadło do ziemi, podnosiło głowę. Unici ustępowali z cerkwi i monasterów, wydartych przez błahoczestywych; panowie starali się być w zgodzie z „wypisańcami", to jest wykreślonymi z kozackiego rejestru, i nie powoływali na robotę nikogo, kto nazywał się kozakiem; żydzi zaś, co nie zdołali umknąć w porę do miejsc bardziéj bezpiecznych, tulili się do panów jak opłoszałe kundle — i nie daremnie. Z przyjściem wiosny, bliżéj kresów, wypisańcy, prawie rok rocznie zgromadziwszy się tłumnie, — rabowali i mordowali szlachtę a żydów, gdzie tylko mogli ich dosięgnąć; palili folwarki pańskie, nie bronione przez wojsko nadworne; rozprawiali się na ile byli w mocy, ze wszystkimi swymi ciemiężcami — i potém spokojnie ustępowali w lasy naddnieprowskie. Tam oni rąbali stuletnie lipy, robili łodzie, obszywali je skórami wołowemi i spuszczali się Dnieprem na Zaporoże, grożąc ocalałéj po za wałami i częstokołami szlachcie powracaniem z armatą i wyniszczeniem na Ukrainie wszystkiego, co było szlacheckiém, katolickiém i żydowskiém.

Tak ostro przecię zarysowały się stosunki właściwie po śmierci Sahajdacznego dopiéro, za życia jego bowiem było jeszcze względnie cicho na Ukrainie.

„Konaszewicz zawsze w zgodzie z panami żył“— podaje jeden z późniejszych ukraińskich latopisów. Jest on przez to sympatyczniejszym dla naszego czasu, mówi p. Kulisz, od wszystkich wysławianych przez historyków ukraińskich bohaterów kozactwa. Żył on w zgodzie — a jednocześnie, stawił najradykalniejszą oppozycyą przeciw pańskich porządków, z rozkoszą patrząc jak niedobitki z pod Łubnow doprowadzali do rozpaczy wrogów chrześciaństwa i trzymali w ręku losy Rzeczypospolitéj. Co więcéj, sam, jako kozak nad kozakami, mniéj dbały o religijność w ogóle, przyłożył on najwidoczniéj potężnie rękę do wskrzeszenia hierarchii dyzunickiéj; aktu nieobliczonéj doniosłości, a na który nie poważyliby się bez niego, ani patryarcha Teofan, ani kierujący skrycie całą sprawą Hiob Borecki. Naprawdę bowiem, bez oparcia się jako pogróżkę o kozactwo, hierarchia błahoczestywa a z nią i samo błahoczestye nigdy nie byłyby już w stanie się dźwignąć.

A tymczasem pod osłoną chwilowéj ciszy zewnętrznéj szła daléj również niedająca się niczém zażegnać, walka socyalna między możnowładztwem i kozakami. Prowadził ku temu nieprzezwyciężenie sam stan ekonomiczny Rzeczypospolitéj, samo pojmowanie zadań gospodarstwa narodowego nawet przez ludzi stojących w niéj u steru.

Omyłka bowiem mężów stanu Rzeczypospolitéj w zapatrywaniu się na kozactwo spoczywała nie w ich mniemaném okrucieństwie dzikiem, na które tak nastają „artystujący“, jak zwie ich p. Kulisz, historycy maloruscy, zapominając że „pany“ należeli do rodzaju ludzi, nie zaś lwów i tygrysów; spoczywała ona w braku wśród nich wykształcenia ekonomicznego, jakiego zresztą nie można było wymagać nawet w tym wieku kiedy powszechnie zniszczenie sąsiadów uważaném było za szczyt mądrości w polityce zewnętrznéj, wzbogacenie zaś jednéj klasy społecznéj kosztem innych — w wewnętrznéj.

Wina ich leżała w tém jedynie, że byli oni mocniejszymi od obozu, jeśli go tak nazwać można, ruskiego. Gdyby stronnictwo demokratyczno-ruskie stanęło było na miejscu polskiego arystokratycznego, to jest ujęło ster Rzeczypospolitéj, niezawodnie wpadłoby też i ono w podobne błędy i wykroczenia przeciw potędze okoliczności i zdrowego ekonomicznego rozumu. Sternicy Rzeczypospolitéj postępowali bez szczególniejszych jakichś zamysłów, podług przysłowia: syty głodnego nie rozumie. Zamiast tego bowiem ażeby zapewnić niższym warstwom społeczeństwa środki bogacenia się bez ujmy dla bliźnich, wytężali oni całą uwagę na ubezpieczenie własnego zaboru legalnego. Dla zachowania w porządku i obrony swych domów, zamków, folwarków, stad, pastwisk, młynów, miejsc rybołownych, pasiek, bobrowych gonów i innego dobra, znajdowali się

oni w konieczności utrzymywania tłumu tak zwanych sług rękodajnych z uboższego szlacheckiego i nieszlacheckiego ludu. Drapieżność tych oficyalistów, oraz upowszechnione pomiędzy nimi naśladownictwo życia pańskiego, zwiększały niezmiernie rozchody i prowadziły do niezwyczajnego a naprężonego zbytecznie wyciągania dochodów z każdéj rubryki gospodarczéj. Oddawanie w dzierżawę, „arendę“ dóbr nieruchomych, oczywiście nie zmniejszało złego, lecz owszem powiększało je bardziéj. Czego się dopuszczał lub pozwalał sobie dopuszczać pan dziedziczny w dobrach swych ojczystych, to z większą jeszcze bezładnością i ciemięztwem ludu roboczego było dokonywaném przez starostów, podstarościch, dozorców, ich namiestników, a najbardziéj arendarzy „randarów“. Taki sposób gospodarstwa, owo osławione „polnische Wirthschaft“, odbierał chęć wszelką przedsiębierczości ekonomicznéj u każdego zależnego rolnika, oraz u każdego nieodzownie zależnego w owe czasy przemysłowca. Przedsiębierczość, owa dusza działalności człowieka, naturalnie szukała wyjścia, ażeby nie zmarnieć. Zwracała się więc ona tam, gdzie nie istniało władzy dowolnéj człowieka nad człowiekiem, dążyła do przemysłu na stronie — do myśliwstwa i rybołówstwa, osłanianych od sąsiednich łupieżców siłą zbrojną, a jednocześnie i do żywienia się łupem na tych że sąsiadach zdobywanym. Oto zarazem istotne, w rozumieniu badacza Ukrainy, pochodzenie jéj kozactwa, a nie junactwo i rozpasanie woli — tyle przez innych pisarzy małoruskich sławione. W tém zarówno spoczywa i istota ekonomiczna dziejów Rzeczypospolitéj. Gdyby Rzeczpospolita umiała była dać przedsiębierczemu duchowi kozactwa, razem z ubezpieczeniem się od łupiezkiéj gospodarki ordyńskiéj, tyle zgubnéj „tatarische Wirthschaft“, odpowiednie zatrudnienie u siebie w domu, niewątpliwie postać rozległego przestworu wschodniej Europy byłaby dziś wcale inną.

Dzielne użycie siły wojennéj kozactwa wydźwigało nieraz Rzeczpospolitę z ostatniéj toni. Któż nie wié ile się przyłożył szlachetny Sahajdaczny, na schyłku dni swoich, do chwały wyprawy Chocimskiéj 1621 r.? Niech przyświadczy obywatelskiéj zacności jego, i bohaterstwu walczących tam, obok wojska koronnego pod królewiczem i hetmanami, 30 tysięcy jego kozaków, towarzysz ich bojowy, ojciec przyszłego zwycięzcy w drugiéj Chocimskiéj wojnie, króla Jana — Jakób Sobieski, który znany pamiętnik o téj wojnie pozostawił.

Ale cóż — smutno wspomnieć jak potem bohaterowie ci ostatecznie, przez panów możnych reprezentujących Rpltę, byli zbyci po zawarciu z Turkiem przymierza. Dość, że Konaszewicz odje-

chał z obozu bez pożegnania, tylko królewiczowi Władysławowi pokłon oddawszy; a potém, znękany trudami i niewdzięcznością, wróciwszy do samotnéj żony w Kijowie, w przeczuciu niedługiéj śmierci z ran pod Chocimiem odniesionych, poświęcił resztę życia pobożnym uczynkom i wprędce sam umarł.

A przecię w r. 1621 Sahajdaczny mógł by był względem możnowładztwa i Rpltéj z łatwością odegrać rolę Chmielnickiego; nadto— z większą godnością w obec sądu historyi, nie wydając ziemi rodzinnéj na łup barbarzyńcom bisurmanom, nie obracając kraju całego, podniesionego już długiemi wysileniami na stopień pewnéj kultury, w „ruinę“ — i wszystko to bez możności zrobienia mu zarzutu nawet osobistéj zemsty.

Zabrakło więc Rpltéj Konasewicza tyle, ile zabrakło Żółkiewskiego. Po ustąpieniu z widowni dziejowéj tych dwóch wielkich synów Rusi, następujące wypadki życia ziem krésowych prowadziły już wprost, niepowstrzymanie, ku wielkiéj katastrofie.

W r. 1625 skutkiem komisyi Kurukowskiéj, prowadzonéj przez hetmana Koniecpolskiego, zostali kozacy stanowczo wzięci w kluby, a rejestr ich uszczuplony do 6 tysięcy. Po czem poszły powstania jedno po drugiem: r. 1630 pod Tarasem, 1635 pod Sulimą, 1637 pod Pawlukiem, 1638 pod Ostrzaninem. Konstytucya zaś sejmowa tegoż roku, poddając regestrowych pod władzę komisarza ze szlachty, postanawia mieć wszystko nie wpisane w regestr „za w chłopy obrucone pospólstwo.“

Cały tedy swobodny od wieku żywioł dzikiéj rycerskości kresowéj, poddanym został w ten sposób najzupełniéj rządom żywiołu pokojowego, gospodarczego.

I jakby w istocie nigdy nic zmienić się nie miało na Ukrainie, robi smutną uwagę Szajnocha, zaczęto ją dopiero teraz w najlepsze osiedlać, uprawiać, wyzyskiwać. Lecz na nieszczęście gorączka wyzyskiwania zamieniła się niebawem w straszliwą zdzierczość gospodarczą, która przybrała charakter jakiejś wojny łupiezkiéj, toczonéj przez panów z całym ludem poddanym, osobliwie z obróconym w chłopów kozactwem. To zaś, łącznie z innemi przyczynami bardziéj politycznéj i moralnéj natury, po dziesięciu latach od owéj dotkliwéj konstytucyi sejmowéj (r. 1648), dało możność setnikowi czehryńskiemu Chmielnickiemu, podniecanemu zemstą osobistą, wywiesić chorągiew powstania, które lud ukraiński nazwał, i dotąd w pamięci swéj nazywa, „ruiną.“

A. Jabłonowski.

(Dokończenie nastąpi.)

NAPIS PAMIĄTKOWY

KRÓLA MOABSKIEGO MESZY.

Napis pamiątkowy króla Moabskiego Meszy, z pierwszéj połowy IX wieku przed naszą erą pochodzący, niespełna dziesiątek lat temu odnaleziony, zaledwo zaś przed kilku laty ostatecznie odczytany i na europejskie języki przełożony, jako zabytek w ogóle z tak odległych czasów, a pierwszy zaledwo z dziejów narodu Moabskiego, bezpośrednio od niego otrzymany, przytém zaś jedyny dotychczas ślad języka jego i używanego podówczas pisma, obudził wielkie zajęcie w świecie naukowym, wywołał wiele posuwających naprzód naukę sporów, wzbogacił poważną literaturę licznemi a cennemi pracami. Za dowód starczy wymienienie choć kilku nazwisk uczonych, którzy w tych badaniach i rozprawach żywy przyjęli udział i ostateczne wypowiedzieli słowo; byli to Vogüé, Oppert, Renan, Derenburg, Bruston we Francyi; Warrens i Weir w Anglii; Nöldeke, Hitzig, Schlottmann, Graetz w Niemczech.

Rzeczony napis znajdował się w Dhiban, dawnym Dibon, znanym grodzie Moabskim i był pomieszczony na czarnym bazalcie w kształcie płyty wyrobionym; odnalezionym został zaś w r. 1868 przez zwiedzającego brzegi morza Martwego missyonarza Klein, z Alzacyi. Nie będąc atoli naukowo przygotowanym do tego rodzaju odkryć, nie mógł znalazca jak należy skorzystać ze szczęśliwego przypadku, to jest przepisać lub też przetłumaczyć napis; poprzestał więc na zmierzeniu płyty (1), zanotowaniu kilku uszkodzeń,

(1) Następne podaje on rozmiary tego kamienia: 113 centim. długości, 70 szerokości i 35 grubości.

przerysowaniu kilku liter. Uwiadomiony zaś przezeń ówczesny konsul pruski w Jeruzalem, geograf Petermann, zwrócił się do władzy tureckiéj o wydanie téj płyty. Przedsięwzięte atoli przez konsula starania nim doprowadziły do jakiegokolwiek bądź rezultatu, zwróciły tylko na ten kamień uwagę i zaciekawiły miejscową ludność, beduińskie Beni-Hamidów pokolenie, wzbudzając w nich rozmaite przypuszczenia co do wartości, jak dla nich niepojętéj, kamienia; która to wartość została w ich oczach jeszcze bardziéj podniesioną tajemnem o posiadanie napisu tego współubieganiem się u władz sekretarza konsulatu francuskiego uczonego badacza Clermont-Ganneau.

Zabobonni beduini, wierząc w ukryte jakieś a tajemnicze znaczenie kamienia, nie chcieli się z nim rozstać; będąc zaś niechętni władzy, postanowili raczéj zniszczyć ów kamień niż usłuchać rozkazu i wydać go w obce ręce. Płyta przeto została roztrzaskaną. I tylko odłamki jéj dostały się następnie do rąk europejskich badaczy: Clermont-Ganneau i Warrensa.

Co się zaś tycze napisu, pozostał on w odcisku z téj płyty zrobionym staraniem Clermont-Ganneau za pośrednictwem Arabów. Jakkolwiek również i ten odcisk uległ następnie znacznemu uszkodzeniu, lecz przy pomocy wspomnionych odłamków płyty, w dwóch trzecich całego textu jest obecnie odtworzony. Język napisu okazał się *hebrajskim;* użyte zaś pismo *fenickiem;* przedstawia ono przytém, z tytułu odległości czasów, jedne z szacowniejszych okazy głoskowych postaci i dla historyi pisma oraz grafiki jego dostarcza nader cennego materyału.

Przekład napisu króla Meszy na nasz język dokonany, a o ile mi wiadomo piérwszym dopiéro będący, chcę poprzedzić historyczną wzmianką o Moabitach, opierając się na tradycyach i kronikach hebrajskich, a nadto, na *Antiquitates Judaicae* Józefa Flawiusza—co razem wzięte stanowi jedyne dotychczas źródło naszych o tym narodzie wiadomości.

I.

Kraj wyniosły i górzysty, na wschód morza Martwego leżący, kilku rzekami do tego morza wpadającemi poprzerzynany, słynny ze swych winnic i urodzajności ziemi (1), z pastwisk i ho-

---

(1) Izajasz, XVI, 7—11.

dowli bydła (1) od dawnych czasów zamieszkiwali Moabici. Był to lud semickiego szczepu, pokrewny Izraelskim i Judzkim pokoleniom; gdyż według tradycyi, chociaż doszły one do nas ze źródeł hebrajskich, lecz które bez wątpienia, co wnosić z treści możemy, były wspólne obu tym pobratymczym ludom, pochodzili oni od Moaba, syna Lota i starszéj jego córki (2).

Z podaniem tém jest w ścisłym poniekąd związku imię samo legendarnéj téj postaci. W zagadkowéj bowiem nazwie *Moab* dojrzeć możemy śladu pochodzenia jakie podaje tradycya, — jakkolwiek bądź trudno zaprzeczyć będzie twierdzeniu, że odwrotnie, z téj nazwy, która mogła powstać z przypadkowego zbiegu zgłosek, lub w mowie zatracić początkowe właściwsze swe znaczeni , mógł z czasem rozwinąć się myt o takiem mianowicie pochodzeniu ojca tego narodu. Uczeni bowiem nie zgadzając się nawet na zupełnie dosłowne znaczenie wyrazu *Moab*, i przytem rozmaicie wykładając pochodzenie etymologiczne pierwszéj zgłoski *mo*, co do drugiéj *ab* najzupełniéj się zgadzają, widząc w niéj hebrajski rzeczownik אב mający znaczenie *ojciec*. Więc, czy to z Gezeniuszem (3) owo *mo* przyjmiemy za pochodzące od מי (aqua, semen), czy téż zgodzimy się z de Wette, Nöldeke (4), że to *mo* powstało od przyimka מן, מ (ab, ex), wyraz Moab oznaczając bądź *semen patris*, bądź *ex patre* (natus) w znaczeniu jedynie już swem treść tego mytu podaje. Józefowi Flawiuszowi ten myt był znany; w 1-széj bowiem księdze swych *Antiquitatum* (1, 11, 5) w opowiadaniu o Abrahamie i Locie wspomina o nim; jednakże zalicza on w dalszym ciągu wspomnianego swego dzieła (XIII, 13, 5) Moabitów do ludów Arabskich.

Wcześniéj od Izraelitów rzuciwszy byt koczowniczy, Moabici zajmują ziemię na któréj poprzednio osiedli byli „olbrzymy Emitowie, lud potężny, wielki i wysokiego wzrostu jako Enakimowie“ z Kanaan, — mówią Hebrajskie kroniki (Deut. V, 2). Następnie, bądź z pierwotnymi mieszkańcami o zajmowany kraj, bądź téż z zazdrosnymi sąsiadami o zdobyty już, groźne oni staczają boje. Jednym nawet z tych sąsiadów, a mianowicie Amorrejczykom należącym

(1) 2 Król. III, 4.

(2) Gen. XIX.

(3) Thesaurus linguae Hebraeae et Chaldaeae, tom 2-gi, str. 775 A.

(4) Bibel-Lexicon, tom 4-ty, str. 232.

do plemienia Kanaanitów, ustąpić byli zmuszeni północną od rzeki Arnon część kraju.

W kronikach Hebrajskich przechował się bardzo cenny (Num. XXI, 27—30) urywek ludowéj pieśni, w któréj jedna strofka, może nawet wzięta z pieśni Moabskiéj z czasów tych walk, wspomina o losach zwyciężonych przez Amorrejczyków Moabitów:

Biada tobie Moab,
Zginąłeś o ludu Kamosa;
Podał on syny swoje na uciekanie
A córki swoje do więzienia
Królowi Amorrejskiemu....

Nadciągające z sąsiednich pustyń pokolenia Izraelitów, wielką trwogę a obawę rozsiewały w osiadłych już nad brzegami morza Martwego i na lewym brzegu rzeki Jordanu ludach; oprócz Moabitów i wzmiankowanych już na północ od nich osiadłych Amorrejczyków, bardziéj ku północy i wschodowi mieszkali tam jeszcze pokrewni z pierwszymi Ammonici, pochodzący, według podania (Gen. XIX), od Ammona, syna Lota, i młodszéj jego córki.

Amorrejczykowie pierwsi padli ofiarą tych nowych przewrotów i wędrówek. Król ich Sehon zebrawszy wszystek lud swój wyciągnął przeciw Izraelitom na puszczę i stoczył bitwę; będąc atoli na głowę porażony ustąpił im swoje dziedzictwo, jak kroniki twierdzą, „od Arnonu aż do Jaboku i aż do ziemi synów Ammonowych,“ a na wydartéj Amorrejczykom ziemi osiadło pokolenie Ruben i Gad (Nam. XVI, 23, 24).

Wspólne od jednego szczepu pochodzenie Moabitów z ich nowymi sąsiadami z północy, jednakowe warunki wśród których ci i tamci powstali, przygotowały oba te narody do jednakowych form społecznego żywota, do jednakich zarówno pojęć religijnych uzdolniły. Wspólny język ułatwiał porozumienie się; bliskie sąsiedztwo sprzyjało stosunkom, zamianie pojęć i wzajemnemu na siebie oddziaływaniu. Wszystko zaś to razem wytworzyło wiele wspólnych w przebiegu historycznego ich żywota zjawisk, aczkolwiek w historyi pozostał ślad różny ich istnienia...

Oba te ludy miały odrębne narodowe bóstwa, bardziéj różniące się nazwą, niż istotą. Jeśli Izraelici nazywali się synami Jehowy, nazwa *Synów Kamosa*, jak widzieliśmy, była Moabitom nadawaną. Kamos, narodowy bóg Moabitów, źródłosłów nazwy którego znaj-

dujemy w arabskim języku, gdzie oznacza *być silnym*, *poważnym* (1), może być przyjęty bądź za przejaw jakiejkolwiek bądź strony bóstwa wielkiego boga Baala, Baalem Peorem nazywanego u Moabitów, bądź téż za drugą nazwę, bardziéj miejscową. tego boga, kult którego u większości ludów Semickiego szczepu prawie wyłącznie był panującym.

Z dwóch sąsiadujących z sobą ludów Izraelici pierwsi ulegli wpływom sąsiada: Kult Baala Peora tak dalece wśród nich się rozpowszechnił, że, jak Kroniki podają, (Num. XXV,9), na rozkaz Jehowy zabitych zostało 24.000 odstępców; co wszelako nie było stanowczem zapobieżeniem złemu i nie zapewniło ostatecznego narodowéj religii nad obcą, Jehowie nad Baalem, zwycięztwa; gdyż pomijając już to co wiemy, że za czasów Salomona wznoszono świątynie rozmaitym obcym bogom sąsiednich narodów, a w téj liczbie Kamosowi Moabitów, i że kilkakrotnie późniéj kult obcych bóstw, i w téj liczbie prawie przeważnie Baala, był wprowadzany; u proroka Hozeasza, żyjącego co najmniéj w pięć wieków po tych wypadkach i wprowadzeniu kultu Moabskiego boga, znajdujemy, jak gdyby przypomnienie tego wpływu i dowód ciągle powtarzającego się zjawiska, następujące słowa: „poszli oni za Baalem Peorem, a oddali się téj obrzydliwości, przetoż będą obrzydłymi, tak jak się im upodobało“ (2).

Po przejściu pozostałych pokoleń Izraelskich za Jordan i osiedleniu się ostatecznym w Kanaan, Moabici mając na czele swym króla Eglona w związku z Ammonitami i Amalekitami zajęli miasto Jerycho z częścią kraju, która przypadła w podziale pokoleniu Beniaminowemu. Kroniki liczą 18 lat władania Eglona w Jerycho,— i podają, że w następny sposób pozbyli się Izraelici wrogów: „A gdy wołali do Jehowy, wzbudził był im wybawiciela imieniem Aod, męża ręką prawą nie władającego; i posłali Izraelici przezeń dar Eglonowi. I uczynił Aod miecz z obu stron ostry, na łokieć długi i przypasał go pod szaty swe. I przyniósł Aod dar Eglonowi. I wszedłszy Aod do niego rzekł: mam rozkazanie Boże do Ciebie. I Eglon powstał ze stolicy swojéj. Tedy Aod wyciągnąwszy lewą rękę swą dobył miecza i wraził go w brzuch jego. Wyszedł potém i zatrąbił w trąbę na górze Efraim. Tedy szli Izraelici za nim, a odją-

---

(1) Bibel-Lexicon, 1-szy tom, str. 507.

(2) Hozeasz, IX, 10.

wszy Moabitom brod Jordański, nie dopuszczali nikomu przeprawy. I pobili Moabitów na ten czas około dziesięciu tysięcy mężów, wszystko bogatych i wszystko mężów dużych, a nikt nie uszedł.“ (Sędz. III, 14—30).

Po ustąpieniu Moabitów z Kanaan kroniki nie wspominają przez długi przeciąg czasu o żadnych nieprzyjaznych zajściach między sąsiadami. Związki rodzinne często zapewne miały miejsce, gdyż nawet król Dawid był po ojcu wnukiem Moabitki. I jakkolwiek bądź idyllę o Ruth przyjąć możemy za utwór tendencyjny, napisany w celu usprawiedliwienia Dawida od zarzutu nieczystego, według pojęć później wyrobionych, Izraelskiego pochodzenia; poemacik ten zawsze pozostanie echem spokojnych czasów i przyjaznych plemiennych stosunków. Zdaje się również takich dowodzić stosunków i ta okoliczność, że Dawid, w czasie swych zatargów i walki o władzę z Saulem, wraz ze swojemi rodzicami szukał schronienia i opieki wśród Moabitów.

Za Dawida i Salomona, w czasach przez nich wytworzonego, w skutek połączenia w jednę całość Izraelskich i Judzkich pokoleń, nowego zwrotu zarówno w zewnętrznéj jak też i wewnętrznéj polityce państwa, Moabici, jako najbliżsi sąsiedzi, pierwsi padli ofiarą wielkopaństwowych zachcianek tych królów. W liczbie wodzów wsławionych za owych zaborczych wojen Dawida wspominają kroniki o Banajasie, który „zabił dwóch wodzów Moabskich“ (2 Sam. XXIII, 20). W innem daléj miejscu czytamy: „gdy poraził Dawid Filistyny, poraził téż i Moabity, które pomierzył sznurem, zrównawszy je z ziemią, i wymierzył ich dwa sznury na zabicie, a cały sznur na zachowanie przy żywocie; i byli Moabitowie sługami Dawidowymi, przynosząc mu podatki (2 Sam. VIII, 2).“ Salomon zaś w swych reformatorskich dążnościach, i zapewne w przeczuwaniu już zarówno religijnego tego jak i politycznego uniwersalizmu, który jednakże jeszcze nie prędko zadać miał straszny cios miejscowym swobodom i niezależności narodów, jeszcze nie prędko dla korzyści jednego, silniejszego państwa lub raczéj przelotnéj sławy i zadowolenia próżności a krwiożerczych marzeń jego władzcy, miał wyssać życie z wielu,—Salomon „zbudował świątynię Kamosowi na górze przeciw Jeruzalemowi (1 Król. XI, 7).“

Po rozpadnięciu się Dawidowego państwa Moabici, w skutek swego geograficznego położenia, dzielili losy północnych pokoleń, będąc w zależności od ich królów, aczkolwiek zależność ta jedynie się opierała na rok rocznie składanéj daninie, co widzimy z następnego ustępu w kronice: „król Moabski miał dosyć bydła, a dawał

królowi Izraelskiemu sto tysięcy jagniąt i sto tysięcy baranów z wełną ich (2 Król. III, 4)."

To składanie daniny i wynikające z niego hołdownictwo stało się z czasem ciężkiem narodowi. Nieustanne wewnętrzne przewroty w państwie Izraelskiem i częste zmiany rządzących tam dynastyi, osłabiając to państwo, ułatwiały Moabitom zdobycie zupełnéj niezależności. Po śmierci króla Achaba, w czasach krótkiego i burzliwego panowania Ochozyasza, król Moabski, jak twierdzą kroniki, „odstąpił od króla Izraelskiego." Wynikła ztąd przeto pamiętna w dziejach państwa Izraelskiego wojna, przebieg i rezultaty któréj kroniki hebrajskie upamiętniły drobiazgowym opisem, chociaż były one dla tego państwa niepomyślne. Czytamy bowiem następujące szczegóły: „Wyciągnął tedy król Joram (brat i następca Ochozyasza) z Samaryi i obliczył wszystkiego Izraela. I posłał do Jozafata króla Judzkiego mówiąc: król Moabski odstąpił odemnie; pociągniesz że ze mną przeciw Moabowi na wojnę? Jozafat odpowiedział: pociągnę, jakom ja, tak ty; jako lud mój, tak lud twój; jako konie moje, tak konie twoje. Zatem Joram rzekł: któraż drogą pociągniemy? I odpowiedział: drogą puszczy Edomskiéj (południowemi brzegami morza Martwego, przez kraj Edomitów, późniejszą Idumeę). A tak wyciągnął król Izraelski i król Judzki i król Edomski.

„A gdy krążyli drogą siedm dni, nie dostało wody wojsku, ani bydłu, które szło z nimi. I rzekł król Izraelski: ach, ach! Jozafat zaś zapytał: nie masz że tu proroka Jehowy, tobyśmy się poradzili Jehowę przezeń? I szli do Elizeusza. I rzekł Elizeusz do króla Izraelskiego: co mnie i tobie? Idź do proroków ojca twego i do proroków matki twéj (proroków Baala); gdybym się nie oglądał na Jozafata, króla Judzkiego, nie dbałbym na cię, anibym na cię wejrzał. Przetoż teraz przywiedźcie mi na harfie grającego. A gdy on gracz grał, rzekł: „poczyńcie w potoku gęste doły; nie ujrzycie wiatru, ani ujrzycie deszczu, wszakże ten potok będzie pełen wody, tak że pić będziecie wy, i stada wasze, i bydła wasze. Aleć to jeszcze mała w oczach Jehowy: albowiem da i Moabity w ręce wasze." I stało się rano, kiedy ofiarowaną bywa ofiara, oto wody przychodziły i napełniła się ziemia wodami.

„Tedy wszyscy Moabitowie usłyszawszy, że ciągną królowie walczyć przeciwko nim zwołali wszystkich, którzy tak starzy byli, że pas przypasać mogli, a stanęli na granicach. A gdy przyszli do obozu Izraelskiego, powstali Izraelczycy i porazili Moabczyki, którzy uciekali przed nimi, a oni je bili. I miasta poburzyli, i na każde pole wyborne rzucił każdy kamień swój i zarzucili je, i wszystkie

źródła wód pozatykali, i wszystkie drzewa pożyteczne podrąbali. A obległszy miasto Kirharoszet (późniéjsze Kir-Moab?) ci co byli z procami dobywali go...

„Tedy widząc król Moabski, że przemagało przeciw niemu wojsko, wziął z sobą siedmset mężów dobywających miecza, żeby się przebił przez wojsko; ale nie mógł. Przetoż pojmawszy syna swego pierworodnego, który miał królować miasto niego, ofiarował go całopaleniem na murze“ (2 Król. III, 5—27).

Całopalenie to niechybnie natychmiastowe i stanowcze wywarło wrażenie i odniosło pożądane skutki. Gwałtowny i widoczny zapewne wybuchł był przeciw najezdcom gniew tego boga, w cześć i ku ubłaganiu pomocy którego syn królewski był w ofierze złożony; gdyż kronika utrzymuje: „stało się zagniewanie wielkie przeciw Izraelowi, i odciągnęli od niego, a wrócili do ziemi swéj.“

Józefowi Flawiuszowi, w sceptycznych i bardziéj, pod pewnemi względami, humanitarnych wzrosłemu czasach, wiara ta ślepa ludu i przestrach zabobonnych wojsk wydały się czemś dziwnem i niepojętem; stosownie więc do pojęć wieku i usposobień czytelników greckich, w ten sposób wyjaśnia powody, dla których związkowe wojska tak się nagle oddaliły: „królowie gdy zobaczyli króla Moabskiego syna swego w ofierze składającego, nad losem jego litować się zaczęli; ludzkością zaś i współczuciem powodowani, oblężenie zdejmują i każdy w swoję udają się stronę.“ (A. J. IX, III).

Bohaterskim owym królem Moabskim, co nie mogąc z siedmiuset przebić się przez nieprzyjacielskie wojska, nie zawahał się, na wzór kilku innych królów rozmaitych narodów, syna przynieść dla państwa w ofierze, gdy, mówiąc słowami łacińskiego poety:

Pietatem publica causa
Rexque patrem vicit,

był Mesza.

On to, naśladując w tém zresztą zwyczaje ówczesnych monarchów Assyryjskich, wypadki swego panowania i na ich tle własne czyny w odnalezionym w Dibon napisie późniejszym przekazał pokoleniom. Napisy zaś tego rodzaju, do dni naszych przechowane, dostarczają w skutek swego pochodzenia, pierwszorzędnych źródeł do odtworzenia dziejów tych odległych czasów, dziejów, które przez późniejszych historyków częstokroć zupełnie niedokładnie, a przytém w duchu legendarnym zostały opowiedziane.

II.

Oto jest przekład rzeczonego napisu (1):

1.

Jestem Mesza, syn Kamosgada, króla Moabu z Dibon. Ojciec mój panował nad Moabem lat trzydzieści, i ja panowałem po ojcu moim. I wzniosłem ten ołtarz Kamosowi w Korkha, w grodzie Meszy (2), ponieważ wybawił on mnie od wszystkich najezdców i sprawił, żem się cieszył z nieprzyjaciół moich pognębienia.

2.

Omry był królem Izraela i ciemiężył Moab czas długi, gdyż Kamos był zagniewanym na swoją ziemię. I nastąpił po nim syn jego, i rzekł on także, będę ciemiężył. W moje dni rzekł on tak

---

(1) W oryginale wierszy textu jest 33; z których trzy ostatnie są wielce uszkodzone. Dla ułatwienia czytania przekład podaję w odmiennym trochę jak w oryginale ugruppowaniu wierszy, a mianowicie, w strofach, a to idąc za Ch. Brustonem, który twierdzi, że przyjęty przezeń podział jest właściwym, gdyż według własnych słów jego „le parallélisme des membres nous paraît évident en plusieurs endroits et, en général, aussi régulier que celui des écrits poétiques des Hébreux".

Uczony ten w pięknej pracy p. t. *L'Inscription de Dibon*, pomieszczonej w *Journal Asiatique* (VII série, tome 1-er), podał sposób odczytania kilku nieodczytanych jeszcze miejsc w texcie, oraz odtworzył niektóre z uszkodzonych wyrazów. W wielu razach głównie opieram się na tej rozprawie, oraz przekładzie tego zabytku starożytności na język francuski przez niego dokonanym.

Z licznych rozpraw poświęconych temu przedmiotowi następne mogą być dostępniejszemi od innych: *Nöldeke*: Mesa, Bibel-Lexicon tom 4-ty; *Graetz*: Der *Mesa-Stein* oder die Moabitische Inschrift von Dhiban — w przypiskach do *Geschichte der Israeliten*, tom 2-gi.

Pochodzenie tego napisu z tak odległych czasów, jak również doprowadzenie jego do stanu obecnego, to jest żmudny proces odtwarzania textu, przy licznych i rozmaitych uszkodzeniach jego, dostarczają bogatej treści do uwag i przypisów. Zastosowując się jednakże do miejsca ograniczyć się tylko pragnę objaśnieniami najbardziej niezbędnemi, oraz najzupełniej ogólnej treści.

(2) *W Korkha, w grodzie Meszy;* przypuszczam, mówi Ch. Bruston, że Korkha w Dibon lub pod Dibon był to *gród Meszy*, jak Sion w Jeruzalem był *grodem Dawida*.

i widziałem jego pognębionego, jego i cały dom jego (1); Izrael zginął zgubą wieczną.

3.

I wziął Omry kraj Madeba i przebywał w nim...... (2) dni syna jego czterdzieści lat i Kamos powrócił (łaskę swoją?) w moje dni. I zbudowałem Baal-Meon i uczyniłem wał (?) i zbudowałem Kiriatain.

4.

I ludzie (z pokolenia) Gad mieszkali w ziemi Ataroth oddawna; i król Izraelski zbudował Atharoth. I napadłem na miasto i wziąłem je. I wymordowałem wszystek lud miasta na widowisko Kamosowi i (ludowi) Moab. I porwałem ztamtąd wodza Dodo (3) i włóczyłem go przed obliczem Kamosa w Kerioth. I mieszkać tam rozkazałem ludziom z Szaron i ludziom z Mascharath.

5.

I rzekł Kamos do mnie: Idź, weź Nebo od Izraela. I szedłem nocą i zdobywałem (miasto) od pokazania się jutrzenki aż do południa. I wziąłem je i wymordowałem w całości siedem tysięcy

---

(1) *i cały dom jego:* to miejsce daje nam możność, chociażby przybliżenie, oznaczyć datę napisu. Wzmiankowany syn Omrego jest to Achab; dom Achaba oznacza dynastyę jego, t. j. dwóch synów, Ochozyasza i Jorama, którzy po kolei panowali po nim. Ponieważ Mesza widział *jego pognębionego i cały dom jego*, przeto przeżył Jorama, który został zabity przez Jehu 887 r. (według Graetza, według Ewalda zaś w 883 r.) Napis ten przeto pochodzić może z późniejszych, chociażby tylko o lat kilka, czasów. Następne słowa: *i Izrael zginął zgubą wieczną*, zapewne mają na względzie wojnę, którą prowadził Jehu z Benadadem królem Syryjskim, a rezultatem której było odpadnięcie od królestwa Izraelskiego ziem położonych za Jordanem. Nieprzyjaźń Meszy ku Izraelitom usposobiła go do takich przypuszczeń i życzeń.

(2) *i przebywał w nim.....* Uszkodzenie textu w tym wierszu jest dość znaczne: po miejscu sądząc brakuje kilku słów. Niektórzy komentatorowie następnemi uzupełniają text słowy: *za dni życia swego* i za dni syna jego. (Nöldeke).

(3) Wyraz wódz, w oryginale brzmi *ariel* (אַרְאֵל) i dosłownie oznacza *lew boży*; użyty tu jest zapewne w takim znaczeniu jak raz w kronikach Hebrajskich, a mianowicie w 2 Samuel. XXIII. 20, שְׁנֵי אֲרִאֵל מוֹאָב gdzie według Gezeniusza należy tłumaczyć: *duo heroes Moabitae* (Thes. linguae Hebr. et Chald. tom 1-szy; str. 147); przeto i tu oznaczać może *bohater, wódz.* W tłumaczeniu Wujka cytowane miejsce czytamy: *dwu lwów moabskich.*

(mieszkańców)...... (1) niewiasty i dziewice, gdyż poświęciłem był je Astar-Kamos. I zabrałem ztamtąd naczynia (2) Jehowy i włóczyłem je przed obliczem Kamosa.

6.

I król Izraelski zbudował Jahaz i mieszkał tam gdy wojował ze mną. I Kamos przepędził go z przed oblicza mojego. I wybrałem z Moabu dwustu mężów, wszystkich jego najprzedniejszych. I pociągnęłem na Jahaz i wziąłem je by przydać do Dibon.

7.

Ja to zbudowałem Korkha, ogrodzenie lasów, ogrodzenie.... (3) Ja to zbudowałem jego bramy, ja to wzniosłem jego wieże. Ja zbudowałem pałac królewski; ja to zrobiłem wodozbiór we środku miasta. Nie było wcale studni w mieście, w Korkha; i rzekłem do całego narodu: każdy niech zrobi cysternę w swoim domu. Ja to rozkazałem wykopać kanał przy Korkha rękami niewolników Izraelskich.

8.

Ja zbudowałem Aroer; ja usypałem tamę przy Arnon. Ja zbudowałem Bet-Bamoth, gdyż był zburzony. Ja zbudowałem Beser, gdyż..... (4) pięciudziesiąt ludzi z Dibon, gdyż cały Dibon był mi uległy. Ja...... stu..... (5) w miastach, które do kraju swego przyłą-

---

(1) Znaczne uszkodzenie textu uzupełnia Bruston: *I ja oszczędziłem życie, zachowałem przy życiu......*

(2) Naczynia: w texcie w tym słowie pozostało tylko לי ; brak więc początkowych liter. Stosownie przeto do tego jak je uzupełnimy — czytać możemy. Clermont-Ganneau dodaje כ więc wyjdzie כְּלִי słowo oznaczające *supellex, vas* (Gesenius, Thes. Ling. Hebr. et Chald. tom 2, str. 678). Oppert uzupełnia zaś inaczej, mianowicie za pomocą עג ; w taki więc sposób uzupełniony wyraz (עֵגֶל) oznaczać może *vitulus, cielec*, (tamże, str. 989). Pierwsze uzupełnienie przyjmują Nöldeke, Ch. Bruston i inni.

(3) Ch. Bruston czyta różnie od innych uszkodzony tu wyraz textu i tłumaczy go na *źródła* objaśniając: On comprend qu'il n'était pas moins important de protéger les *sources* que les bois qui entouraient Korkha.

(4) miejsce uszkodzone. Ch. Bruston uzupełnia przez: *owładnąłem nim z.....*

(5) miejsce uszkodzone. Ch. Bruston uzupełnia w taki sposób: *osadziłem* stu *książąt* w.....

czyłem. Ja to zbudowałem..... Bet-Diblatain i Bet-Baal-Meon i pomieściłem tam..... (1) ziemi.....

9.

I Koronain, B.... tam mieszkał..... Kamos rzekł do mnie: idź, napadnij na Koronain. I ja...... i Kamos...... w dni moje i na......... I ja...... (2).

Szczegóły historyczne podane w napisie jak również wyliczenie podjętych prac i starań w celu odbudowywania i przyozdobiania miast każą króla Meszę zaliczyć do rzędu królów *odnowicieli*, jakim to narody częstokroć zawdzięczają swój byt przedłużony i pomyślność na pewny zapewnioną czas.

Szereg zwycięztw, prawdopodobnie rozpoczętych odstąpieniem sprzymierzonych monarchów z pod ścian oblężonego przez się Moabskiego grodu Kirharoszet, o czém jednakże wzmianki w napisie nie znajdujemy, szereg wypraw wojennych, podjętych na północnych sąsiadów, a zawsze, jak w sprawozdaniu przynajmniéj, pomyślnych, postawiły naród Moabski w niezależności od królów Izraelskich, a nadto, całą północną część kraju posiadanego przez dwa pokolenia Izraelskie poddały władzy jego królów.

Dalsza część napisu, jak wnosić możemy z pozostałych kilku słów i imion własnych, zawierała opowiadanie o innych wyprawach zapewne na południe, do kraju Edom; ponieważ króla tego kraju, jak widzieliśmy z kronik hebrajskich, Mesza również zaliczyć mógł do szeregu swoich nieprzyjaciół (3).

Wybitnym jest także, bez zaprzeczenia, w słowach Meszy religijny nastrój, cechujący te czasy, a co więcéj, ten szczep. Wyraźny rozkaz boga rozpoczyna wojnę; bóg więc zapewnia zwycięztwo. Nic przeto dziwnego, że napadnięci zdobywanego kraju mieszkańcy, którzy sprzeciwiają się wyraźnéj woli boga i swym odpornêm zachowaniem się przeszkadzają ziszczeniu się słów i obietnic jego,

---

(1) miejsce uszkodzone. Ch. Bruston dodaje: *posągi Kamosa, boga.*

(2) Z tonu rzeczy wypływa, że Mesza rozpoczyna tu opowiadanie o innych swych wyprawach wojennych, mianowicie przeciw B..... który mieszkał w Koronain. Uszkodzenie textu tak znaczne, że nic więcéj nadto o treści tych słów powiedzieć nie można.

(3) Do tych czasów i tych wypadków może i zastosowuje Amos następne swe słowa: „Tak mówi Jehowa: dla trzech występków Moaba, owszem dla czterech nie przepuszczę mu, przeto iż spalił kości króla Edomskiego na popiół; ale poślę na Moaba ogień....." (Amos, II. 1).

są zabijani tysiącami jemu na widowisko, lub żywcem, wraz z innemi łupami, są przed jego obliczem włóczeni.

I w sposobie urządzania podbitych a zabranych krajów Mesza, aczkolwiek tylko władzca szczupłéj ziemi Moabskiéj, naśladuje przykład zwycięzkich królów wielkich monarchii. Do siedlisk wymordowanych lub wypędzonych mieszkańców zdobytéj ziemi napędzal tłumy swoich bądź w charakterze rządzących, bądź téż kolonizatorów (1).

Gdy zaciekawieni dalszym Moabitów losem, w chwilach kiedy bieg czasu zagładzić już mógł pamięć, a wypadki — czyny Meszy, zwrócimy się napowrót do hebrajskich źródeł, znowu dostarczą nam one kilku w téj mierze wskazówek. Kroniki wspominają o najściu „swawolnych" zastępów Moabitów za panowania króla Joachaza (2 Król. XIII, 20). Lecz ponieważ Jeroboam II „przywrócił granice Izraelskie od wejścia do Emat aż do Morza pustego" (2 Król. XIV, 25), przeto znów kraje Moabitów weszły w skład królestwa Izraelskiego. W księgach Izajasza znajdujemy dwa rozdziały (XV i XVI), prawdopodobnie z tych czasów pochodzące, a mające na względzie wypadki w ziemi Moab (2). Śmierć Jeroboama i gwałtowne chylenie się do upadku królestwa Izraelskiego, przyniosły Moabitom niezależność wraz z możnością zdobycia posiadłości pokoleń Ruben i Gad. Jeremiasz bowiem w tych ziemiach leżące miasta (a znane nam z napisu) jako należące już do Moabitów wylicza (Jer. XLVIII).

Następnie, dwie sprzeczne obok siebie znajdujemy wiadomości. W kronikach (2 Król. XXIV, 2) czytamy: „Jehowa posłał wojska Chaldejskie, wojska Syryjskie i *wojska Moabskie* na Judę, aby go wytracili"; ze słów zaś Jeremiasza (Jer. XXVII, 3) wywnioskować się daje, że właśnie król Moabski należał do sojuszników króla Judzkiego w odpornéj przeciw Nabuchodonozorowi wojnie. Co również zdaje się potwierdzać Józef Flawiusz dostarczając nam wieści, że w piątym roku po zdobyciu Jeruzalemu, król Babiloński zająwszy całą Syryę, owładnął i krajem Moabitów (Ant. J. X, 9,7).

---

(1) Porównanie z napisami pamiątkowemi tego rodzaju królów Assyryjskich wiele dostarczyć może uwag: *Annales des Rois d'Assyrie*, zebrane przez *Ménant*; Paryż, 1874.

(2) „Na ulicach (po miastach moabskich) przepaszą się worem, na dachach i na rynkach każdy kwilić będzie, wracając się z płaczem." (Izaj. XV, 3).

„I ustało wesele i radość nad polem urodzajném; na winnicach nie śpiewają ani wykrzykują: wina w prassach nie tłoczy ten, który je tłoczył." (Izaj. XVI, 10).

Lecz szybko jedne po drugich przechodziły czasy perskich i Aleksandra W. podbojów, czasy Ptolomeuszów i Seleucydów; a Moabici, wraz z tylu innymi ujarzmionymi narodami zdołali utrzymać swą narodową odrębność, gdyż o nich jako o wolnym narodzie, i o ich ziemi jako niezależnym kraju znajdujemy wzmiankę w dziejach ostatniego wieku starożytnéj ery, mianowicie, w wyliczaniu przez Józefa Flawiusza podbojów Aleksandra Janneusza (Ant. J. XIII, 14, 5).

Zupełne tego narodu zniknięcie mogło dopiéro nastąpić, według zdania Nöldeke, [1]) około 200 r. naszej ery; gdy kraje na wschód Jordanu leżące zalewały Salih i Gassan, dwa arabskich beduinów pokolenia; i gdy Moabici, jak przypuścić możemy, upadli, od przodków wyrodzeni, niczém się już od współdzikich przybyszów odróżniać, niczém już ich przewyższać i nad nimi górować nie potrafili.

I. Radliński.

---

(1) Ueber die Amalekiter und einige andere Nachbar-Völker der Israeliten. Göttingen 1864.

KRYTYKA.

Die Heirat Jacobs III von England und die Entführung seiner Braut aus Insbruck 1719 v. Dr. D. Schönherr (Beilage zur Wiener Abendpost nr. 28—34 1877).

Dramatyczne, tchnieniem romantycznego uroku owiane, koleje życia pięknéj i szlachetnéj wnuki oswobodziciela Wiednia, poruszyły już niejedno pióro, by przed oczyma czytelnika roztoczyć mniéj lub więcéj ciekawe obrazy z żywota téj niepospolitéj kobiéty. Mianowicie najpierwszy mistrz kunsztu dziejopisarskiego u nas, genialny autor *Jadwigi i Jagiełły* tak szczegółowo opisał dzieje poniewolnego jéj pobytu w Insbruku i tajemniczéj ucieczki, że powracanie do tegoż samego po nim przedmiotu byłoby ze strony dzisiejszych pisarzy zuchwalstwem, gdyby nie wzgląd, że korzystają z nowych nieznanych mu materyałów, w obec których podane przezeń szczegóły nie mogą rościć prawa do „bezwarunkowego pierwszeństwa"; — są to bowiem świéżo z archiwów dobyte listy i urzędowe relacye a więc źródło, jakie znakomity pisarz miał widocznie na myśli, wypowiadając przypuszczenie, że z czasem pojawić się może „świadectwo jeszcze bliższe i oczywistsze".

Z wyjątkiem Szajnochy, z nikim już innym nie potrzebujemy się liczyć poważnie. Przed kilkudziesięciu wprawdzie laty, w roku 1830 ogłosił rozprawkę o naszéj bohaterce w *Pamiętniku Krakowskim* znany erudyt, Jerzy Samuel Bandtke. Rzecz tę jednak pełną nieuzasadnionych twierdzeń, mylnych dat i opisów, tém spokojniéj możemy przekazać niepamięci i błogiemu spoczynkowi na kartach czasopisma, które po trzechmiesięcznem żywocie zeszło do grobu — że poczciwy Bandtke, „starym, nieumiejętnym", lecz do dziś niestety

tu i owdzie praktykowanym zwyczajem, uważał za właściwe pokryć grobowem milczeniem źródłowe wiadomości.

W czterdzieści sześć lat później, bo przed kilku zaledwie miesiącami, umieściły Warszawskie *Kłosy* rozprawkę o Klementynie Sobieskiéj i jéj mężu Jakóbie Stuarcie, pióra zmarłego w ubiegłym roku Władysława Chomętowskiego, o którym wbrew niedorzecznéj w historyi i literaturze zasadzie *de mortuis nil nisi bene* (bo i cóżby wtedy się stało z historyą literatury i sprawiedliwością dziejową?) powiedzieć tu musimy, że z niezaprzeczoną pracowitością i erudycyą, łączył nieumiejętność korzystania z najciekawszych i najpiękniejszych materyałów, jak np. w *Marcinie Lubomirskim* i w świéżo ogłoszonych *Synach hetmańskich*, będących pracą rozwlekłą, pozbawioną barwy i śladów pisarskiego kunsztu, słowem nie określoną, między historyą a romansem wahającą się robotą.

Pomijając już kwestyą, czy na listach Klementyny i pretendenta oraz na innych *autentycznych* źródłach, nie możnaby było osnuć mniéj nudnego i bladego opowiadania, dodamy tylko, że artykuł Chomętowskiego nie interesuje nas bliżéj, z powodu, że poświęcony późniejszym losom królowéj angielskiéj, jak ją zwano w całym chrześcijańskim świecie, przedmiotu naszego wcale nie dotyka.

To téż Dr. Schönherr nie potrzebuje ubolewać, że nie znał Bandtkego i Chomętowskiego, ale bardzo żałować powinien, że szkicu Szajnochy nie czytał. Pisząc o kobiécie z królewskiego domu Sobieskich, wypadało przecięż dowiedzieć się, czy polskie piśmiennictwo nie posiada jakiéj pracy w téj materyi, a imię Szajnochy zbyt głośne, aby z łatwością nie był mógł otrzymać potrzebnéj wskazówki. Na nieszczęście tak sławiona niemiecka gruntowność nie skłoniła go do obejrzenia się za literaturą przedmiotu; dozwoliła się owszem ograniczyć wygodnie na rękopiśmiennych źródłach, jakie mu wpadły w ręce; w skutek czego historyczny jego widnokrąg bardzo ciasny a niejeden punkt na nim tonie w ciemności.

A szkoda wielka, bo te źródła bardzo ciekawe i cenne, niestety znowu zbyt nie dokładnie wymienione, gdy autor w dwuwierszowéj nocie ogólnikowo oświadcza, że czerpał z c. kr. archiwum namiestnictwa w Insbruku, z domowego, nadwornego i państwowego archiwum w Wiedniu. Gdzie przeto i w jakim dziale mieszczą się pojedyncze części rzeczonych materyałów, dojść ztąd trudno, a dla nas lakoniczność cytaty tém przykrzejsza, że odbiéra sposobność postarania się w archiwach wiedeńskich o kopie z oryginałów rzeczonych korespondencyj, które p. Schönherr podaje w niemieckim przekładzie. Dobrze przynajmniéj, że owe listy cytuje w całéj rozciągłości, zamiast je streszczać i przelewać w formę naracyi, bo

w ten sposób zostawia innym możność wiernego, choć z trzeciéj ręki, powtórzenia pięknych i ciekawych wynurzeń ze strony interesowanych osób.

Należało przeto być wdzięcznym niemieckiemu pisarzowi za wzbogacenie historyi potomków Jana III choć takim przyczynkiem, i zużytkować rzeczony artykuł, uzupełniając go treściwie dla wyczerpnięcia materyału i zaokrąglenia całości szkicem Szajnochy i innemi drukowanemi źródłami — a rzecz to tém naglejsza, że już nieraz artykuły w przedmiotach polskich, drukowane w pismach obcych, nie podjęte współcześnie, ginęły dla publiczności naszéj bezpowrotnie. Nie bardzo to wprawdzie wielkie i wdzięczne zadanie, podobne do roli biblijnéj Rut, zbiérającéj troskliwie kłosy na cudzém ściernisku — lecz sądzimy, że praca taka jest obowiązkiem, a kłos dodawany starannie do kłosa, złoży się z czasem na spory snop i przyczyni żniwa na ojczystym łanie....

W przeświadczeniu o téj prawdzie, zużytkowało pracę p. Schönherra, mało po za Prusami Zachodniemi znane pisemko codzienne p. t. *Gazeta toruńska*. Na nieszczęście człowiek, który się podjął nietrudnego zkądinąd zadania, nie zdolen był mu sprostać, bo nie posiadał ani potrzebnego ku temu zapasu wiedzy, ani pisarskiego talentu. To téż artykuł jego jest tylko pospolitą, niezręczną parafrazą, powtarzającą już to w skróceniu, już dosłownie rzecz całą za niemieckiem źródłem, nie dodając od siebie nic okrom — kilku nowych błędów, które przez niewiadomość popełnił.

Artykuł *Gazety toruńskiéj* ztąd dla dwóch względów nie może zadowolić najskromniejszych wymagań: zarówno dla fałszów, które się w polskiem przerobieniu mieszczą, jak dla niedokładności i opuszczeń, wspólnych z niemieckim oryginałem. Samemu p. Schönherrowi, jak się zdaje, nietylko polskie stosunki współczesne są obce, lecz nadto i dzieje powszechne nie szczególnie znane — inaczéj nie byłby pozostawił czytelnika w niepewności co do niektórych spraw, wymagających niezbędnie objaśnienia, byłby np. wytłómaczył pobyt pretendenta w Hiszpanii, w tak ważnéj dlań porze ucieczki narzeczonéj, byłby wspomniał bodaj nawiasem o ówczesnych zatargach pomiędzy Hiszpanią a Anglią, o wyprawie z półwyspu pirenejskiego na W. Brytanią i t. d., bo sprawy te zostając w ścisłym związku z nieobecnością Jakóba II we Włoszech, nie powinny były żadną miarą być przemilczane.

Błędów polskiego tłómacza, równie jak p. Schönherra, szczegółowo wytykać nie możemy. Wymienimy znów jeden tylko przykład. „Dotychczas mniemano—czytamy w *Gazecie toruńskiéj* — że

do wyboru Klementyny nakłoniło pretendenta, bogactwo Sobieskich, w czém się mylono, bo z własnych listów Jakóba Sobieskiego wynika, że wielkich bogactw nie posiadał. Zresztą jak zapewnia tenże Królewicz, ojciec Klementyny, oddawna już Stuartowie połączeni byli z Sobieskimi węzłami przyjaźni, szczególniéj zaś król Jan Sobieski *związany był z ojcem pretendenta przyjaźnią osobistą*".

Ustęp powyższy rzucony widocznie na papiér lekkomyślnie i bez zastanowienia. O osobistéj przyjaźni bohatera z pod Wiednia z Jakóbem I nigdzie nie wspomina Królewicz; ojciec zaś Klementyny należał niewątpliwie podówczas do najbogatszych ludzi w Europie, a posag Królewiczówny był jednym z największych. Polski autor dał się ułudzić wykrętnym słowom Sobieskiego, wyrzeczonym na wezwanie cesarza, aby zerwał stosunki z pretendentem. W rzędzie naciąganych argumentów, mających na celu skłonienie cesarza, iżby się nie sprzeciwiał związkowi, znajduje się i ten, że zamierzone małżeństwo „*den Prätendenten weder geld - noch volkreicher mache*". Twierdzeniu temu sprzeciwiają się fakta i cyfry, najwymowniejsze w podobnych razach. Z wielu druków, między innémi ze szkicu Szajnochy i z artykułu Chomętowskiego, byłby się autor mógł dowiedzieć, jak bogatym był Sobieski. Świadczy też o tém „sprawa o posag Klementyny i Karoliny Sobieskich" w rękopisie **1770** Zakładu im. Ossolińskich, gdzie czytamy, że Królewicz wyznaczył Klementynie *inter alia „centum milia scutorum fundo oeconomiae Szavlensis.... et insupercentum milia scutorum (écus) census retenti et non soluti ex ipso fundo provenientium*". Nadto „*plurima disposuit in favorem S-mae Clementinae videlicet inscriptiones aliquas in bonis haereditariis.... item donavit clenodia per eundem principem Poloniae in monte Pio Romae opignorata in summa centum milium scutorum monetae Romanae S-mo Principi solutorum*"...

Niemniéj fałszywe i dawno zbite jest twierdzenie o niewierności małżeńskiéj pretendenta, nieporozumienia bowiem między dostojną parą, jak powszechnie wiadomo, wypłynęły z zupełnie innego źródła.

Artykuł pana Schönherra, jest nader ciekawym i cennym, że tylko zwrócimy uwagę na nadzwyczaj charakterystyczny ustęp w N. 30, obejmujący rozmowę między Królewiczem a hrabią Praschma, a malujący znakomicie charakter Jakóba. Godnym baczności badacza jest przedział między dwoma jego odpowiedziami, tak bardzo od siebie różnemi; w jednéj bowiem występuje jako człowiek pełen honoru i poczucia własnéj godności, jako prawdziwy syn wielkiego bohatera, w drugiéj jako chwiejny i płaszczący się dworak,

pozbawiony wstydu i sromu, występuje takim, jakim go odmalował bardzo niestety wiernie Jarochowski.

Ze względu przeto na szczupłe koło czytelników *Gazety toruńskiéj*, na słabe i pełne błędów opracowanie polskie, sądzę, że nie byłoby od rzeczy gdyby zdolniejsze i lepiéj przygotowane pióro podjęło się trudu zużytkowania na nowo podanych w dodatku do *Wiener Abendpost* materyałów. Jeśli się zdarza, że trzy pisma polskie podają tłómaczenie jednego i tego samego romansu, nader problematycznéj wartości, czemużby się nie miał znaleść ochotnik do powtórnego opracowania tak ważnego i zajmującego przedmiotu!

K. K.

— Wydane świéżo w Paryżu duże dwa tomy pod tyt. „*Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego* są zbiorem korespondencyj Mickiewicza z Towiańskim, i rozmaitych odezw i przemówień Adama w kwestyach społecznych, stanowią one niejako ciąg dalszy kursów w Collège de France. Wydawca nie miał bynajmniéj zamiaru oceniać nauki Towiańskiego, ani wydawać o niéj sądu, a jedynym jego celem było wyjaśnić stosunek Mickiewicza z Towiańskim. Nawet pomiędzy najbliższymi przyjaciółmi Mickiewicza mało kto wiedział o exystencyi téj masy dokumentów i materyałów do jego bijografij. Po śmierci A. Mickiewicza papiéry te były opieczętowane i schowane w skutek decyzyi tak motywowanéj: „Niżéj podpisani, zaproszeni do przejrzenia papiérów pozostałych po ś. p. Mickiewiczu przez opiekunów dzieci zmarłego, po pierwszém rozgatunkowaniu wskazanych sobie papiérów, zatrzymując większą ich część do szczegółowego przejrzenia, postanowili zwrócić zaraz opiekunowi te, które jako obce literaturze, dalszemu ich rozpatrzeniu ulegać nie potrzebują. Niżéj podpisani nie wzierając sami w papiéry tyczące się Towiańskiego, osądzili za rzecz najsłuszniejszą, usunąć je z pod czyjegobądź oka i niewczesnego sądu, opieczętować je, złożyć w tym stanie opiekunowi z wyrażeniem opinii, aby zatrzymał je u siebie dla oddania synom nieboszczyka“. Postanowienie to uczynione d. 17 Lutego 1856 roku podpisane przez Alexandra Chodźkę, Eustachego Januszkiewicza i Karola Sieńkiewicza. Papiéry te razem ze wszystkiemi innemi dostały się do rąk starszego syna Mickiewicza skoro doszedł do pełnoletności w roku 1859.

Dotychczas nic o nich nie było słychać, p. Władysław Mickiewicz nie pokazywał ich nawet nikomu, dzisiaj kiedy już ćwierć wieku blisko upływa od zgonu Adama, i całe pokolenie współczesnych mu ludzi szybkim krokiem zbliża się do grobu, zdało się synowi słusznėm wyświetlić udział, jaki przyjął Mickiewicz w działaniach Towiańskiego, a to tėmbardziėj, że sam Towiański żyje jeszcze i mógłby sprostować fakta i myśli, któreby omyłkowo mogły być niezupełnie dokładnie przedstawione. Kierunek życia duchowego, który pociągnął takich ludzi jak Mickiewicz, Goszczyński, Słowacki, Różycki i tylu im podobnych zasługuje niewątpliwie na to, aby być poważnie studyowanym; — tymczasem dotąd brak prawie zupełny dokumentów, był przyczyną domysłów, hipotez, sądów opierających się przeważnie na pogadankach i cząstkowych opowiadaniach.

Jednocześnie też wydano w języku francuskim tom pod tytułem *Mémorial de la légion formée á Rome en 1848 par Mickiewicz*, opisane tu wspaniałe owacye z jakiemi przyjmowano wtedy Mickiewicza we Florencyi, Modenie, Bolonii, Medyolanie i zebrane starannie improwizacye, które poeta siał wtedy po drodze, a które ogłoszone wtedy w dziennikach, dzisiaj byłyby nie do odszukania. Poświęcił on wtedy Włochom cały rok swego życia, obecnie wydany Memoriał stanowi tom pierwszy zanim pójdą dalsze, będzie to ogromny zbiór odezw, przemówień, listów, cała ta masa szczegółów, ożywiona myślą i złotem słowem poety, przedstawia najciekawszy obraz owego czasu, a zarazem posłuży jako nieoceniony materyał do bijografii Mickiewicza, której dotąd tak jak nic mamy zupełnie; to też należy się wdzięczność synowi poety za to, że nie zaniedbuje ogłaszać pozostałych po ojcu papiėrów.

Z PISM ZAGRANICZNYCH.

Liczba dzieci rodzących się we Francyi i przyczyny jéj zmniejszania się.—Statystycy uznali ogólną zasadę, że mnożenie się ludności zależy od środków utrzymania ludzi przy życiu. Jednakże we Francyi, pomimo ciągle wzrastającego bogactwa i wzrastającego stosunkowo prędzéj niż w innych krajach, ludność mnoży się znacznie powolniéj niż gdzieindziéj. Popis ludności dokonany po wojnie r. 1870, wykazał nawet jéj zmniejszenie, niezależnie od utraconych dwóch prowincyj; fakt ten zdziwił Europę, przeraził Francuzów, rozpoczęto badania i poszukiwania wszechstronne; mówiono, pisano o tém bardzo wiele, do najoryginalniejszych, a może i najgłębiéj pomyślanych rezultatów doszedł Dr. Bertillon profesor Paryskiéj szkoły antropologii, i wyłożył takowe w króciótkiéj notatce ogłoszonéj w *Revue Scientifique* (N. 39, r. 1877).

Przedewszystkiem zastanawia się on nad faktem, że liczba rodzących się dzieci we Francyi jest mniejsza niż w innych krajach, na 1.000 osób ludności we Francyi rodzi się co rocznie **26—27** dzieci, (w Anglii **35**, w Prusach i Niemczech **38—40**), ale co ważniejsza, że ta liczba rodzących się zmniejsza się ciągle bez przerwy. Zaczynając rachunek od roku 1801, na każdy dziesiątek lat aż do r. 1870, zmniejszenie to jest następujące, w latach 1801—1810 średnia liczba rodzących się corocznie na tysiąc osób wynosiła **33**, w drugim dziesiątku lat **31.7**, potém **30.6—28.7—27.3—26.1—26.3**. Zmniejszenie z **33** na **26** odpowiada stosunkowi 100 : 79—; ale i to jeszcze nie wszystko, bo jednocześnie powiększyła się liczba małżeństw, zatem liczba rodzących się dzieci prawych powinnaby się zwiększyć, tymczasem zmniejszyła się ona jeszcze znaczniéj, od ogólnéj liczby rodzących się mianowicie w stosunku **100 : 71**. Pomiędzy sąsiedniemi krajami Belgia co do liczby rodzących się stoi najbliżéj Francyi, liczą tam corocznie 31—32 rodzących się na tysiąc osób ludności. Belgja najpodobniejsza do Francyi we wszystkich warunkach

życia, większa część jéj ludności należy do tego samego plemienia, mówi tym samym językiem, religia, obyczaje, prawo pospolite te same w obu krajach; zdawałoby się więc, że tu działają te same przyczyny, jednak bliżéj przypatrując się rzeczom, dostrzedz można ogromną różnicę. Jeżeli zamiast ogólnéj liczby rodzących się obliczmy płodność kobiet zamężnych (od 15—5o lat wieku), okaże się, że kobiéty Belgijskie po Hollenderskich są najpłodniejsze w Europie. Tak 1.000 kobiét zamężnych (wieku od 15—5o lat) dają średnio rocznie w Anglii **248** dzieci, w Prusach **275**, w Belgii **279**, a we Francyi tylko **173**. Ogólna zaś liczba rodzących się dla tego niewielka w Belgii, że tam jest mniéj niż gdzieindziéj kobiét zamężnych, na 1.000 osób ludności liczą kobiét zamężnych (15—5o lat) w Prusach **128**, w Anglii **133**, we Francyi **140**, a w Belgii tylko **106**. Tak więc we Francyi jest najwięcéj kobiét zamężnych, ale one są najmniéj płodne, w Belgii zaś naodwrót jest ich najmniéj i są one najpłodniejsze. Dowodzi już to jak różnorodne przyczyny wpływają na zjawiska społeczne i jak ostrożnym być należy w wydawaniu sądów o tych faktach.

Dr. Bertillon bada daléj wpływy ogólne działające na ilość rodzących się dzieci. *Klimat* działa na rozmnażanie się ludności dodatnio lub ujemnie w miejscach nowego osiedlenia, ale ludność miejscowa w swoim kraju od wieków ulega tymże samym wpływom klimatycznym, więc działanie to nie może tu miéć znaczenia. Daléj idą *osiedlanie się* przybyszów (imigracya), i *wysiedlanie się* ludności w cudze kraje (emigracya). Z tych pierwsza t. j. *osiadanie obcych* ludzi w kraju, działa ujemnie na ilość rodzących się dzieci. Wiadomo, że każdy kawałek gruntu nanowo uprawiony może powołać do życia nową ilość ludzkiego potomstwa, tak samo działają nowoodkrywające się źródła zarobku; urządzona fabryka, odkryte kopalnie, zwiększają dobrobyt okolicznych mieszkańców i pozwalają im łatwiéj mnożyć się. Jeżeli po te zarobki przyjdą ludzie zdaleka, odbiorą je miejscowéj ludności, albo przynajmniéj podzielą je z nią, i wtedy ginie zachęta i pobudka do rozpładzania się. Podobny fakt widzimy w wielkich miastach fabrycznych i w stolicach, gdzie hodowanie i wychowywanie dzieci jest niezmiernie kłopotliwe i kosztowne, i daleko taniéj kosztuje ściągać ludzi już dorosłych ze wsi, aniżeli na miejscu ich hodować; to też po miastach zwykle bywa stosunkowo mniejsza ilość rodzących się dzieci prawych. We Francyi urządzają się ciągle nowe fabryki, odkrywają się coraz to nowe źródła zarobku i mnóstwo cudzoziemców przesiedla się do Francyi, stają oni ochoczo na to wezwanie do zarobku, ale zarazem zajmują miejsce krajowców, i zmniejszą ich dochody, a tém samém

działać mogą na zmniejszenie liczby rodzących się. Czy cudzoziemcy ci w razie niebezpieczeństwa równie chętnie staną do apelu na obronę kraju, który ich żywi? Jest to kwestya, którą nasz uczony wskazuje jako przedmiot medytacyi prawodawcom francuskim.

Emigracya znowu działa dodatnio na mnożenie się ludzi. Silna i trwała płodność nie równoważona śmiertelnością zgęszcza ludność kraju, ścieśnienie to staje się powodem względnego niedostatku, który najpierwéj daje się czuć ludziom żyjącym nie w nędzy, ale w bardzo ograniczonéj zamożności, śmielsi pomiędzy nimi ruszają w świat szukać szerszego pola do życia, jeżeli znajdą ziemie żyzne i niezajęte w klimacie zdrowym, osiadają tam i pociągają za sobą innych; wysiedlający się z kraju, pozostawują miejsca próżne, na których osiąść mogą nowe stadła, i to staje się pobudką do nowego zwiększenia płodności i dostarczenia nowego zastępu emigrantów. Tem się tłómaczy fakt ciągłéj emigracyi Anglików i Niemców na ziemie nowego świata, bynajmniéj niezmniejszający ludności miejscowéj.

Daléj ażeby *obfitość środków do życia* jakie posiada naród mogła być powodem mnożenia się ludności, środki te muszą być rozporządzalne, t. j. nie być spożywane i pochłaniane przez ludzi już żyjących. Potrzeby ludzkie są niezmiernie zmienne, Europejczyk musi spożywać więcéj od Australczyka, Anglik pragnący konfortu, czuje niedostatek tam gdzie Neapolitańczyk lub Hiszpan widzi jeszcze dostatek; dzisiejszy Francuski wiejski lub miejski wyrobnik spożywa znacznie więcéj niż średniowieczny chłop poddany. I tu się wykazuje cała siła *wpływu cywilizacyi*, człowiek wznosząc się wyżéj w cywilizacyi, w oświacie, w bogactwie, spożywa znacznie więcéj wyrobów, t. j. pochłania większą ilość pracy już wykonanéj; potrzebuje on lepszego odzienia, pokarmu i napoju, wygodniejszego i ozdobniejszego mieszkania, potrzebuje książek, rysunków, mebli; dzieci wychowuje dłużéj i kosztowniéj; towarzystwo potrzebuje spacerów, muzeów, pomników. Co dawniéj było zbytkiem staje się nieodbitą potrzebą. Praca ludzka przy pomocy węgla, pary i mechaniki zwiększa swą produkcyjną siłę, ale i żądze nasze, podbudzone łatwością nasycenia, rosną téż coraz więcéj coraz żwawiéj. Przenosimy te żądania na rzeczy najświętsze, wolimy mieć dzieci dwoje, wychowanych i uczonych starannie, ulokowanych korzystnie, aniżeli sześcioro niewykształconych i zdolnych tylko do prostego wyrobnictwa. To są owoce cywilizacyi, chwalebne wpływy i żądze, które stale i silnie oddziaływały na bardzo liczną klasę miernie zamożnych ludzi.

Szczególny *wpływ własności ziemskiéj* za mało dotąd znany, aby mógł być dokładnie określony, jednakże w roku 1862 obliczono ilość właścicieli ziemskich we Francyi, jeżeli zebrane wtedy cyfry zestawimy z tablicami ludności, otrzymamy następną bardzo pouczającą tablicę. Obliczamy ruch ludności w 82 departamentach najwięcéj oddanych pracy około roli:

Grupy Depart.	Na 1.000 ludności liczba: Właściciel.	Narodzin.	Śmierci.	Małżeństw.
1-o 30 Dep. gdzie najwięcéj właścicieli	285	24.7	23.2	25.3
2-o 31 Dep. gdzie średnia liczba właścicieli	240	25.7	23.1	25.6
3-o 21 Dep. gdzie najmniéj właścicieli	177	28.1	23.2	25.9
82 Dep. średnio	240	26	23.1	25.5

Więc im mniéj właścicieli tém większa płodność, małżeństwa zdają się zdaleka iść za tym samym prawem, ale tak powolnie, że jeszcze na tém nie można opierać żadnych pewnych wniosków; śmiertelność zdaje się być obojętną, lecz tyle innych faktów uczy nas, że nędza zwiększa śmiertelność, iż musimy tu podejrzewać jakieś nie wyświetlone albo zamaskowane wpływy, które dają tak małą w tych cyfrach różnicę.

Jeżeli zmniejszenie się płodności jest skutkiem wzrostu cywilizacyi, ogólnego podejmowania się poziomu społecznego, dla czego działanie to widzimy tylko we Francyi? czy ona jedna tylko postępuje? Dla czego płodność ludzka wzrasta u równie potężnych jéj sąsiadów. Tu działają dwie przyczyny:

1. *We Francyi* idee nowożytne najgłębiéj przesiąkły w ludność całą, poczucie równości i odpowiedzialności najsilniéj weszło w obyczaj i przejawia się w instytucyach, własność ziemska najwięcéj się rozdrobiła, a ponieważ jest największa liczba właścicieli, więc i wpływ własności najsilniéj działa na zmniejszającą się płodność. W klasach wyższych synowie możniejszych rodów więcéj niż gdzie indziéj pozbawieni są przywilejów, nie ma korzystnych pozycyj kastowych, nie ma opatrzności królewskiej do karmienia i odziewania synów wielkich rodów, trzeba więc zmniejszać ich liczbę. Mieszczaństwo, po zniesieniu przywilejów cechowych, musi się bronić od współzawodnictwa klas roboczych, dla tego nie rozradza się licznie. Lepsi, rozumniejsi pomiędzy wyrobnikami pragną zająć miejsce w szeregach mieszczaństwa, a w trudnym tym zawodzie nie chcą obarczać się liczną rodziną. We Francyi silniéj niż gdzieindziéj panują te przekonania, i działają te żądze, które nic

w sobie złego nie mają, ale które prowadzą za sobą zmniejszanie się liczby rodzących się dzieci.

Obok tego wygody życia, i same zarobki dostępniejsze we Francyi niż w innych krajach, i dla tego mnóstwo cudzoziemców przesiedla się do Francyi.

2. *W Anglii, Prusach, Saksonii, Bawaryi i t. d.* Widzimy ciągłą emigracyą ludności do Ameryki, i emigracya ta wywołuje coraz to większą płodność. Francya nie posiada kolonii zdrowych gdzieby jéj obywatele mogli znaleść osiedlonych już swych ziomków, i obok wolności grunta rodzajne jeszcze nie zajęte; w koloniach podzwrotnikowych rasa francuzka nie może się utrzymać, w Algerze chociaż z trudnością mogłaby się zaaklimatyzować, ale tam spotyka nieprzyjazną ludność Arabską, która służy za powód utrzymywania tam rządów militarnych, koniecznych może, zawsze jednak najnieprzyjaźniejszych rozwijaniu się życia i przemysłu. Mała bardzo liczba Francuzów decyduje się wysiedlać do obcych kolonij, straceni oni dla własnéj ojczyzny, a miejsca przez nich opróżnionego zbyt mało, aby to mogło wpływać na zwiększenie płodności.

Przy działaniu wszystkich tych przyczyn, widzimy jeszcze we Francyi dziwny fenomen transformizmu płodności. Wszystkie usiłowania pracowitéj ludności wiejskiéj i oszczędnego mieszczaństwa skupiają się około wytworzenia i zaoszczędzenia kapitałów. Niemcy przeciwnie zdają się być zdolniejsi do rodzenia i hodowania ludzi, a nawet żołnierzy, zdatnych do zabierania gotowego już kapitału. Nie chce tu Dr. Bertillon sądzić co lepiéj a co gorzéj, tylko chce wskazać fakt ciekawy i pełen znaczenia dla przyszłości. We *Francyi* część potomstwa zamienia się na kapitał i dla tego płodność mała, a kapitału, pomimo strat i kontrybucyi, wielka obfitość.—W *Niemczech*, największa część przewyżki produkcyi nad spożyciem zużywa się na rozmnożenie ludzi, dla tego płodność jest wielka, a kapitału mało.

Robotnik francuski i niemiecki są prawie równi sobie, obydwa mogą liczyć na prawie równą przewyżkę zarobku swego nad spożyciem, i prawie równą mają skłonność do zwiększenia swego dobrobytu; przyjąwszy tę hypotezę jako bardzo zbliżoną do prawdy, możemy dokładnie w okrągłych cyfrach wyprowadzić rachunek co kosztuje i *Niemcom* przewyżka płodności, i *Francyi* zaoszczędzenie kapitału możebne przy mniejszéj płodności. Cesarstwo Niemieckie liczy więcéj niż 40 mil. ludności, rodzi się corocznie około 40 dzieci na tysiąc osób ludności, co rok więc przybywa 1.600.000 dzieci. Jeżeliby Niemcy poprzestały na słabéj płodności francuzkiéj 26 zamiast 40, liczyłyby na rok tylko 1.040.000 nowonarodzonych; więc w porównaniu z Francyą, Niemcy wychowują co ro-

cznie o 560.000 dzieci więcéj; przewaga ta wedle tablic śmiertelności daje w dwudziestym roku życia 350.000 młodzieńców gotowych do roboty i do broni. Oceniając wartość człowieka dorosłego według tego co kosztuje jego wychowanie, lub według tego co on może produkować, według metod francuzkich, pruskich czy amerykańskich, nie można dzisiaj cenić wzrosłego człowieka niżéj 4.000 fr. Otóż 4.000 × 350.000 dają 1.400 miljonów fr., i taką to sumę rok rocznie kosztuje Niemców przewyżka ich płodności nad Francuską. Tenże sam rachunek zastosowany do Francyi, wykaże że musiałaby co rocznie wydać 1.200 mil. fr. na wychowanie 500.000 nowonarodzonych, niedostających jéj dla zrównania się z płodnością niemiecką, a którzy dostarczyliby jéj co roku 310.000 dwudziestoletnich młodzieńców.

Więc *Francya* kapitalizuje corocznie 1¼ miljarda fr. kosztem swego potomstwa, a *Niemcy* więcéj jak 1⅓ miljarda fr. wypłacają corocznie swemu potomstwu.

W całéj Europie jedna tylko Francya widzi corocznie stale zmniejszającą się liczbę rodzących się dzieci; we wszystkich innych krajach liczba ta stale się utrzymuje na jednéj wysokości albo i wzrasta. Czy ten ruch wsteczny może się zatrzymać? jeżeli się nie zatrzyma, ludność Francyi nie tylko stosunkowo do innych, ale i absolutnie zmniejszać się będzie, co przy dłuższem trwaniu doprowadzi do tego, że narodowość Francuzka znajdzie się najmniéj liczną w Europie, obok rojących się w obu półkulach Teutonów i Anglo-Saxów. Jakież na to środki ratunku?

Zmniejszenie się płodności we Francyi jest skutkiem ustawicznego podnoszenia się poziomu cywilizacyi, ciągłego wznoszenia się ludzi z warst niższych do wyższych, do względnego dobrobytu, do własności; ruch ten proletaryusza, nieoględnego ojca licznéj i nędznéj rodziny, przekształca na właściciela, interesującego się przedewszystkiem zachowaniem własności swojéj, ze smutkiem przewidującego jéj podział nawet po swojéj śmierci; ten człowiek bez rodu i mienia uszlachetnia się przez własność, przyjmuje na się nową odpowiedzialność moralną; nie tylko musi on wychować i oświecić swe dzieci, ale zarazem czule się troszczy o to, żeby te dzieci nie spadły na nowo na niższe stanowiska, których trudy i boleści dobrze mu znane, a z których z takiem wysileniem podnieść się potrafił. Nie można więc żadną deklamacyą ani namową uśpić jego czujności, nie zgodzi się on dla dobra ogólnego skazać swe dzieci na nędzę, cierpienie i ciemnotę; zresztą dzisiaj społeczeństwo żadnych nie daje korzyści temu, co wychowuje dla niego najwięcéj robotni-

ków i obrońców; a wygodniéj daleko żyć bezżennemu egoiście lub człowiekowi co ma jedno tylko dziecko.

Należy więc wszystkie usiłowania społeczeństwa zwrócić ku temu, aby ludzie, którzy wyhodowali liczną rodzinę byli nie tylko czczeni i szanowani, ale mogli zajmować lepsze i korzystniejsze w społeczeństwie stanowiska. Opinia publiczna, władza prawodawcza, wykonawcza i administracyjna wszystko to wspólnemi siłami powinno wynajdywać drogi, któreby zachęcały do płodności, i zabezpieczyły przez to przyszłość narodu.

Podane tu przez professora środki zaradcze nie zdają się nam być bardzo skuteczne, a przynajmniéj więcéj fantastyczną niż naukową noszą cechę. Chociaż cyfry przez niego wyprowadzone zdają się być przesadne, boć przecie tylko w bogatych rodzinach młodzi ludzie do lat dwudziestu nie pracują produkcyjnie, a nie mówiąc już o ubogich, wszak między średnio zamożnemi praca na własną rękę rozpoczyna się już zwykle znacznie wcześniéj, zatem i koszt wychowania jest mniejszy; przy tem jeszcze koszta te nie mogą być obliczane prostém mnożeniem, bo wychowanie czworga dzieci nie będzie kosztowało dwa razy tyle co wychowanie dwojga. Chociaż więc cyfry te mogą być zbyt wysokie, jednak dane, na których rachunek oparty są zupełnie prawdziwe, powody i przyczyny zmniejszenia się liczby rodzących się dzieci, u narodu dochodzącego do szczytów cywilizacyi, wykazane jasno i dobitnie, i muszą one stać się przedmiotem medytacii mężów stanu i uczonych, którzy potrafią zapewne wynaleść skuteczniejsze środki zaradzenia złemu.

Poglądy filozofa niemieckiego na Niemcy.

(z Angielskiego, The Saturday Review. Nr. 1130).

Najpotężniejsze z państw lądowych jest w téj chwili najbardziéj milczącém. Rossya stała się przedmiotem rozpraw wszelkiego rodzaju; we Francyi, w Austryi i we Włoszech także się coś kluje, spodziewane jest przesilenie, a Europa dokładne otrzymuje informacye o każdéj trudności, którą te państwa na swéj drodze spotkać mogą. Nic podobnego nie słychać o Niemczech. Książę Bismarck wyjechał do kąpiel, — a w téj wiadomości zamyka się wszystko. Jeżeli książę Bismarck uznał chwilę obecną za właściwą do używania kąpieli, Niemcy mogą zasnąć spokojnie; rozumie się, że śpią z otwartemi oczyma, bo właśnie przebywając w kąpielach książę

Bismarck pewny jest, że będzie wiedział o wszystkiem co tylko się dzieje. Książę Decazes zdołał wprawdzie uzyskać rodzaj zaświadczenia od Niemiec, że nowe ministeryum francuzkie nie obudza żadnéj szczególnéj nieufności w wysokich sferach berlińskich; ale wpływ tego zaświadczenia znacznie osłabiła prasa niemiecka, któréj pozwolono czy téż ją upoważniono do oświadczenia, że ten brak nieufności był niejako tymczasowym i że trwać będzie tylko dopóty, dopóki nie wyjdą na jaw ukryte dążenia gabinetu francuzkiego. Niepodobna zgoła przypuścić, ażeby istniało jakiekolwiek zaufanie między Niemcami a imperyalizmem francuzkim; jakim zaś sposobem obecne ministeryum francuzkie poradzi sobie nie naplatając rąk imperyalistom — pozostanie to zawsze ciemną zagadką. Zwycięztwo imperyalizmu jest wszakże oddalonym jeszcze wypadkiem i zapewne niewielu Niemców niepokoi się nim obecnie. W téj chwili myśl Niemców zwrócona jest nierównie więcéj ku społecznym aniżeli ku politycznym zagadnieniom. Smucą ich fakta wydarzające się w domu rodzinom i jednostkom. Stan zastoju handlowego, który od tak dawna stanowi ciemną stronę życia społecznego w Niemczech, trwa ciągle i żadne oznaki nie zwiastują ażeby miał ustąpić. Nic dziwnego, że rozpaczliwe środki są na porządku dziennym. Na wyborach w Berlinie przeszedł jeszcze jeden socyalista; a na jednem z ostatnich zgromadzeń fabrykantów postanowiono nie tylko, że wszelki traktat handlowy z Austryą, zdradzający choćby ślady nienawistnego systematu wolnego handlu będzie uważany za niewystarczający — ale że cło od żelaza, które już było zniesione, zostanie znów przywróconém. Gdy opinia publiczna obudzona jest w tym kierunku, tém bardziéj zajmującem być musi dzieło, które traktuje obecny stan Niemiec na drodze filozoficznéj, i popularnością swoją dowodzi, że wypowiedziało przynajmniéj to co każdy Niemiec usłyszeć pragnął. Takim dziełem jest uczona rozprawa o społeczeństwie i obyczajach Niemieckich ogłoszona przez Dr. Scherra, i przetłómaczona na język francuzki przez pana Tissota w celu wypowiedzenia Francuzom, że nie mają powodu zazdrościć swoim zwycięzcom. Dzieło, jak zresztą spodziewać się można, ilekroć autorem jest Niemiec, obfituje w erudycyą i zapuszcza się daleko wstecz w dzieje Niemiec zanim dojdzie do obecnego społeczeństwa i dzisiejszych obyczajów. Czytając je każdy czegoś nauczyć się musi; ale dla angielskich oczów nie wydaje się ono zbyt gruntownem, ani zbyt przekonywającem, lub téż prowadzącem do jakichbądź określonych wyników. Bądź co bądź p. Tissot utrzymuje, że Dr. Scherr uważany jest za niemieckiego Michelet'a, jeżeli tak jest, warto wiedzieć co ten niemiecki Michelet mówi o swoich ziomkach.

Nie ulega wątpliwości, że nie pochlebia im zgoła. Zdecydowawszy się raz mówić nieprzyjemne prawdy wypowiada je w sposób jak można najszczerszy. Daje do zrozumienia swoim przyjaciołom, że zarażeni są najgrubszym materyalizmem; że zbrodnia kwitnie w Niemczech z coraz wzrastającą siłą, że biedacy stali się nędzarzami, i że rządy niemieckie są najczęściéj niedorzeczne. Cnotę niewieścią maluje jako chwiejną do tego stopnia, że nawet Szkotów zatrwożyłby jéj upadek. Ograniczone poglądy dobrych smucą także autora, który nie może znaleść wyrazów na wyrażenie pogardy dla przesądów i zabobonów napotykanych do dziś dnia w oświeconych Niemczech. Jakkolwiek zdawałoby się to trudnem do uwierzenia, autor znał kaznodzieję, który napadał na systemat Kopernika; innego znów, który utrzymywał, że *Nathan* Lessinga jest lichém dziełem. Są to bezwątpienia rzeczy rażące, ale ograniczeni ludzie znajdują się w każdym kraju; czytelnik zaś czuje się bliższym rdzennéj treści dzieła, doszedłszy do rozdziału, w którym autor dotyka niemieckiego socyalizmu. Wykazuje on, że dążeniem obecnych czasów jest grupowanie się ludzi w różne stowarzyszenia we wszelkich możliwych celach. „Jesteśmy, mówi autor z ubolewaniem, nawiedzeni powodzią stowarzyszeń świeckich i religijnych. Istnieje nawet w Niemczech stowarzyszenie pogrzebowe prawdopodobnie równie nieszkodliwe jak każde inne. Socyalizm jest tylko jednem ze stowarzyszeń między mnóstwem stowarzyszeń; o ojcu zaś stowarzyszeń niemieckich o Lassallu odzywa się jeszcze z większą niż zwykle pogardą. Krótko mówiąc, Lassalle był zupełnie pozbawionym inteligencyi, sumienia i moralności, nie potrafił wyżyć z 800 fst. rocznie, a jeżeli to nie wystarcza na potępienie Niemca, to nic go już nie potępi. Scherr twierdzi, że rządy niemieckie pieściły niekiedy socyalistów w celu utworzenia politycznéj przeciwwagi mieszczaństwu; czasem zaś wysławiały ich ważność i okazywały jakoby wielką trwogę, w celu zastraszenia trwożliwych i popchnięcia ich w objęcia stronnictwa porządku. Innemi słowy rządy niemieckie czyniły to samo co czynił z wielkiem powodzeniem Napoleon III-ci w ciągu większéj części swego panowania. Socyalizmu jako organizacyi, nie bierze Dr. Scherr w rachunek. Przekonany jest, że Niemcy nigdy nie przyjmą komunizmu, a socyalizm uważa jako pewną fazę wielkiéj walki między kapitałem a pracą, i niewątpliwie nie jest skłonnym do lekceważenia ważności téj walki; odrzuca usiłowania pokojowego rozwiązania sporu i mówi ze szczerością godną ziomka Żelaznego księcia, że miecz jedynie może rozstrzygnąć która strona jest silniejszą. Do popierania kapitalistów skłonny jest autor tylko jako filozof i myśliciel. Istnieją prawa historyczne, których szczegółów

nam nie podaje, dowodzące że kapitał i praca walczą z sobą wszędzie i że kapitał w ogóle zwycięża. Jedynie tylko twierdzi Dr. Scherr, przy pomocy szczerego współudziału kapitału i pracy, naród może dojść do pomyślności; autor zdaje się osobiście żywić silną sympatyę dla niemieckiego ubóstwa, które wielce postąpiło w obecnem stuleciu, którego sprawę popierałby niewątpliwie gdyby mu na to pozwalała filozofia. Ale prawa historyi zbyt są dla niego ważne, musi więc dążyć, choć z ciężarem na sercu tam gdzie go nauka prowadzi.

Nie należy wszakże przypuszczać, ażeby Dr. Scherr twierdził, iż na krytyczny stan przez niego opisywany żadnego niéma lekarstwa. Istnieje ratunek na cierpienia Niemiec, i można na pewne powiedzieć, że należy do rzędu tych, któreby na myśl nie wpadły żadnemu innemu śmiertelnikowi prócz profesora niemieckiego. Polega on na ogólnem przyjęciu Heglizmu oczyszczonego z niedorzeczności. Jeżeli ci którzy pragną dobrze czynić swoim współczesnym znajdują jeden tylko środek: uczyć się Hegla, aby go następnie zapomnieć, to mają złe czasy przed sobą. Ale Dr. Scherr traktuje to zupełnie na seryo i wierzy silnie w przepisywane przez siebie lekarstwo. Ta właśnie powaga nadaje książce jego największą może wartość. Czytając te stronice jesteśmy wobec jednéj z tych sił, które potężnie działają w łonie społeczeństwa niemieckiego. Książę Bismarck powiedział, że jedną z wielkich przeszkód tamujących utrwalenie cesarstwa jest niezmierny indywidualizm cechujący jego ziomków; pragnęlibyśmy też wiedzieć co sądzi o dziele Dr. Scherra? Jakkolwiek Dr. Scherr osobiście jest stronnikiem cesarstwa, cały jednak nastrój myśli autora nie licuje z niem. Autor lubi żyć we własnym świecie; świat zaś rzeczywisty pobudza go tylko do oburzenia i pogardy. Narody, rządy, bogaci, ubodzy, wszystko jest złe. Przeszłość Niemiec jest ciemną; ciemną jest teraźniejszość ich i przyszłość. Ale jednostka może jako tako pędzić żywot, czerpiąc z praw historyi wyszlachetniony fatalizm, i natrafiwszy dla siebie na punkt równowagi tam gdzie kończą się zdrożności a zaczynają przymioty Hegla. Jeżeli taki sposób patrzenia na rzeczy, zdaje się prowadzić do śmieszności, byłoby niesłusznem przypuszczać, że przemagającą cechą charakterystyczną książki Dr. Scherra jest jéj niedorzeczność. Przeciwnie, — filozofia autora choć niezbyt zrozumiała, nie jest bynajmniej pospolitą:—jest ona protestem przeciwko materyalizmowi. Autor zadał sobie wiele pracy w przedstawieniu faktów, a jeżeli wpada nieco w przesadę, to najczęściej oburzenie, które tak swobodnie wyraża, dobry téj przesadzie nadaje kierunek. Co zresztą istotnie zasługuje na zaznaczenie — to że taki Niemiec jak Dr. Scherr studyuje

historyą, bada fakta teraźniejsze i rozmyśla nad objawami politycznemi i społecznemi, jedynie po to, ażeby dojść do odosobnienia filozofa. Odbywamy wędrówkę przez całą historyę Niemiec, przez całe Niemcy, ale kończymy na doktorze Scherr. Nie trudno byłoby wykazać, że tak objawiający się nastrój myśli ma swoje dobre strony. Naród, który chce być wielkim musi mieć swoich myślicieli zarówno jak działaczy, a wszyscy myśliciele bywają w pewnym stopniu odosobnieni. Ale widoczną jest rzeczą, że podobny nastrój myśli daleko rozszerzony, musi prowadzić do rozluźnienia spójności w narodzie; jeżeli zaś rozpowszechniony jest w Niemczech, nic dziwnego że niemiecki statysta, tak krańcowo praktyczny jak książę Bismarck, nalega na konieczność utrzymania w całéj potędze siły spójności, któréj źródło stanowią karność wojskowa i ucisk państwowy.

KRONIKA NAUKOWA.

Machina do pisania.

Machinę tę zawdzięczamy Remingtonowi, wynalazcy systemu broni palnéj, noszącéj jego nazwisko. Fabrykują ją wielkie zakłady wynalazcy, zajęte głównie wyrobem fuzyj i machin do szycia.

Machina do pisania podobna jest mniéj więcéj do pianina z czterdziestu czterema okrągłemi klawiszami, na których są wyryte wszystkie głoski alfabetu, cyfry od 2 do 9 (1 i zero zastępują litery I i O), wszystkie znaki pisarskie i akcenta. Pod klawiszami znajduje się linijka, w którą się uderza po skończeniu każdego wyrazu, dla oddzielenia go pustem miejscem od następnego.

Litery, mające się odbić na papierze, są wewnątrz aparatu przytwierdzone do małych młoteczków metalowych, komunikujących z klawiszami. Wszystkie one leżą na jednym okręgu koła i tak są urządzone, że za naciśnięciem klawisza odpowiedni młotek posuwa się do środka koła. Każde więc uderzenie w jakikolwiek klawisz, przesuwa literę odpowiadającą mu, w jeden i ten sam punkt.

Papiér, na którym mają się odbijać litery jest nawinięty na walcu posuwającym się za każdym uderzeniem klawisza o szerokość jednéj litery, w kierunku od prawéj ku lewéj stronie. Choć więc wszystkie litery w jeden punkt uderzają, to jednak nie trafiają na siebie, gdyż wydrukowana litera usuwa się na lewo, a czysty papiér zajmuje dawne jéj miejsce w środku koła. Gdy wiersz się skończy, daje się słyszéć lekki dźwięk, który o tém ostrzega piszącego; naciska on wtedy drążek znajdujący się po prawéj stronie apa-

ratu, w skutek czego walec, na którym jest papiér nawinięty, obraca się i podsuwa czysty papiér na miejsce zapisanego.

Gdy do wyrazu trzeba dodać tylko jednę lub dwie głoski, to choć dźwięk ostrzegający da się słyszéć, można je jeszcze dopisać; gdy zaś więcéj liter dodać wypada, trzeba po nieskończonym wyrazie odbić łącznik, a resztę napisać w następującym wierszu.

Czcionki nie wprost uderzają o papiér lecz o wstęgę rozwijającą się, napajaną ciągle specyalnie przygotowanym atramentem. Pomimo to papiér nie zamazuje się, gdyż wstęga dotyka go tylko punktami odpowiadającemi wypukłościom czcionki.

Atrament ten kopiuje się — więc z jednéj kartki można otrzymać kilka odbitek.

Papiér nie może przechodzić pewnéj szerokości, gdyż długość rolki jest ograniczoną. Za to może być nieskończonéj długości.

Litery odbijane za pomocą machiny Remingtona są początkowemi, czyli wielkiemi. Pismo na tém nic nie traci; i owszem jest wyraźniejszém.

Dla wprawienia się w manipulacyą potrzeba najprzód poznać dobrze miejsce klawiszy, aby ich przy prędkiém pisaniu nie potrzeba było szukać. Osiąga się to w kilka dni. Po dwóch lub trzech dniach pisze się już bez trudności lecz powoli, po piętnastu już tak prędko jak piórem. Po dłuższém zaś ćwiczeniu dochodzi się do tego, że się pisze 90 wyrazów na minutę, kiedy piórem, można co najwyżéj napisać (czytelnie) 40 wyrazów.

Machina więc Remingtona oszczędza dużo czasu i dla tego téż zyskuje rozpowszechnienie w biórach, u osób piszących brzydko, nieczytelnie lub cierpiących na kurcz pisarski; dla ślepych zaś będzie prawdziwém dobrodziejstwem. W Europie jeszcze jakoś o niéj nie słychać, ale prawdopodobnie i u nas czeka ją tak świetna przyszłość, jaka się stała udziałem machin do szycia.

Badanie soku żołądkowego, w żołądku żywego człowieka.

Zapewne czytelnicy dowiedzieli się z prassy codziennéj o głośnym i effektownym wypadku, który spotkał pewnego Francuza. Przez omyłkę prawdopodobnie wlał on sobie w usta i przełyk pewną dozę roztworu wodanu potasu, który uważał za wodę czy za wódkę. Rezultatem tego było silne oparzenie jamy ustnéj i takie zaciśnięcie przełyka, że chory, nawet po wyleczeniu zapalenia, nie mógł przełknąć ani kropli wody. Doktór Verneuil, któremu powierzono pieczę nad chorym, widząc, że nieszczęśliwa ofiara pomyłki

umrze z głodu, zdecydował się na bardzo śmiałą operacyę. Zrobił otwór w żołądku, przez który, po zabliźnieniu brzegów zaczął wprowadzać pokarmy za pomocą szprycy. Doświadczenie to udało się w zupełności, gdyż chory trawił doskonale wstrzykiwane pokarmy, a stan jego stawał się codzień lepszym.

Korzystając z tak dobréj sposobności badania spraw w wnętrzu żołądka, p. Ch. Richet, postanowił spróbować, czy mu się nie uda dokonać jakiéj naukowéj zdobyczy. W tym celu, stwierdził najprzód, że przełyk jest zupełnie zamknięty i śliny wcale nie przepuszcza. Mógł więc z wszelką pewnością uważać sok żołądkowy, wydzielany przez ściany żołądka, wtedy gdy choremu dawano do żucia pokarmy silnego smaku, — za czysty. Była to ciecz bezbarwna, ciągnąca się w nitki, łatwo przechodząca przez filtr, ciecz bardzo słabego zapachu i bez skłonności do samodzielnego gnicia.

W dalszym ciągu obserwacyi Richet zauważył, iż czas pobytu pokarmów w żołądku jest zmienny, w ogóle zaś, dla właściwych środków pokarmowych: mączki, tłuszczu i mięsa wynosi trzy do czterech godzin. Na strawienie mléka dość tylko półtoréj godziny do dwóch, woda zaś i alkohol bardzo szybko się absorbują, gdyż już po trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu minutach, nie ma ani śladu tych cieczy w żołądku.

W cztery tedy godziny po przyjęciu pokarmu żołądek już jest zwykle opróżniony, że zaś głód pojawia się mniéj więcéj dopiéro po sześciu godzinach, więc widocznie objaw głodu nie jest rezultatem braku materyału pożywnego w żołądku.

Richet skonstatował, że żołądek nie opróżnia się stopniowo, lecz odrazu całą swą zawartość wypycha. W przeciągu bowiem pierwszych trzech godzin trawienia objętość masy pokarmów jest niezmienną, a następnie nagle, co najwyżéj w przeciągu kwadransa, cala masa wychodzi z żołądka.

Richet głównie zajmował się mierzeniem stopnia zakwaszenia soku żołądkowego i doszedł do następujących wniosków:

Średnia kwaśność soku żołądkowego czystego lub pomięszanego z pokarmami, równa się mniéj więcéj kwaśności roztworu 1,7 gramma kwasu solnego na 1.000 cieczy. Nigdy kwaśność nie była mniejszą od 0,5 a większą od 3,2 gramma.

Ilość płynu znajdującego się w żołądku nie ma wpływu na kwaśność. Czy żołądek jest próżny czy przeładowany pokarmami, stopień kwaśności soku nie ulega prawie zmianie.

Wino i alkohol powiększają jego kwaśność, cukier ją zmniejsza.

Po wstrzyknięciu do żołądka płynu kwaśnego lub alkoholicznego, płyny żołądkowe dążą do przywrócenia normalnego stopnia kwaśności, tak że już w godzinę po nastrzyknięciu zawartość żołądka przybiéra średnią kwaśność.

Przed sprawą trawienia lub po niéj, sok żołądkowy jest mniéj kwaśny niż podczas trawienia.

Pod koniec trawienia kwaśność soku nieco się zwiększa.

Wreszcie, uczucie głodu i pragnienia tak samo nie zależy od stopnia kwaśności soku jak i od braku pokarmu lub napoju w żołądku.

Obserwacye purpury wzrokowéj u ludzi.

Centralblatt für die medicinischen Wissenschaften podaje następujące cztéry obserwacye p. Adlera, któremu się udało badać purpurę wzrokową na świéżych oczach ludzi.

Dziecku dwunastoletniemu należało wyjąć oko dotknięte ospą, które jednak czułe było na zmiany natężenia światła. W pięć minut po operacyi, na oku wyciętém widać było wyraźnie przy świetle gazowém, słabo czerwoną purpurę wzrokową, która w świetle dziennym dość szybko spełzła.

Innym razem trzeba było wydobyć oko dziewiętnastoletniéj pacyentce, z powodu nowotworu na siatkówce. Przy badaniu okazało się, że zewnętrzna połowa siatkówki była zupełnie nieczułą na światło, wewnętrzna zaś zdolna była jeszcze do słabego odczuwania zmian natężenia światła. Po operacyi spostrzeżono, iż na zewnętrznéj części nie było ani śladu purpury wzrokowéj, wewnętrzna zaś okazywała lekko różowe zabarwienie, szybko znikające, nawet przy jednobarwném świetle sztuczném.

Trzecia operacya dokonaną została na 31-letniéj pacyentce, któréj oko było już od 15 lat nieczynném. Nawet bezpośredniego światła słonecznego nie mogła za pomocą niego odczuwać. Po wyłuszczeniu oka operator spostrzegł, jak się spodziéwać należało, że na siatkówce nie ma ani śladu purpury. Naturalnie oglądanie odbywało się w świetle sztuczném, jednobarwném, przy niezbędnych środkach ostrożności.

Przedmiotem czwartéj obserwacyi było skaleczone oko 7¼ letniego dziecka. W skutek skaleczenia przeciętą została rogówka i tęczówka, kawałek siatkówki został oderwany, przeniesiony ku środkowi źrenicy i przytrzymany w tém miejscu przez odłamek soczewki; z rany w rogówce wyciekała ciecz szklista. Zaraz po skaleczeniu oko zostało zamknięte i obwiązane. W kwadrans potém,

przyprowadzono pacyenta do p. Adlera, który skonstatował, że oko widzi jeszcze wyraźnie ruchy ręki w odległości trzech stóp. Na oderwanéj części siatkówki widać było wyraźnie, silne ciemne zabarwienie czerwone, oraz dobrze napełnione naczynia krwionośne. Silne światło lampy naftowéj prawie wcale nie zmniejszało czerwonego zabarwienia siatkówki, promienie skoncentrowane przez soczewkę, mały na nią wpływ wywierały, lecz od światła słonecznego szybko barwa znikała, choć jeszcze po trzech kwadransach nie zupełnie spełzła. W cztéry godziny później nie było już ani śladu czerwonego zabarwienia na części oderwanéj, a naczynia można było widzieć bardzo wyraźnie. Purpura już nie wróciła na to miejsce, choć oko było później długo zawiązane.

Wszystkie te fakta potwierdzają zaznaczoną już przez Bolla i Kühnego ważność purpury wzrokowéj w akcie widzenia.

Sposób rozpraszania się cząstek nieczystości po atmosferze.

Kilka już razy mówiliśmy o cząstkach obcych zawieszonych w powietrzu. Powracamy znów jeszcze do tego przedmiotu, z powodu jego niezmiernéj doniosłości ze względów sanitarnych. Nie przestaje on dotąd budzić wielkiego zajęcia w uczonych i jest ciągle na porządku dziennym badań.

Podaliśmy już wiadomości, dotyczące niektórych cząstek organicznych unoszących się w atmosferze, dziś możemy się podzielić z czytelnikami wynikami doświadczeń nad sposobem rozpraszania się w powietrzu cząstek mineralnych i organicznych, zawartych w cieczach kanałowych.

Bardzo obfitém źródłem obciążającém powietrze obcemi cząstkami jest woda parująca. Rozprasza ona nietylko swoje własne cząsteczki, lecz i sole w nich rozpuszczone. Okazały to chemiczne rozbiory wody deszczowéj, dowodzące że pomiędzy obcémi cząstkami atmosfery, znajduje się bardzo wiele soli właściwych wodzie morskiéj. Podobnież wiatry rozsiewają znaczną ilość startych na drobny miał substancyj nieorganicznych i organicznych. Lecz głównego źródła pyłków najszkodliwszych *organizowanych*, istot wzbudzających fermentacyą, gnicie i chorobliwe zmiany w ustrojach, szukać bezwątpienia należy w gnijących odpadkach organicznych, mianowicie w kanałach, które są ich największemi zbiornikami. Zachodziło tylko pytanie, w jakich warunkach rozsiewają się one po powietrzu? E. Frankland znakomity badacz angielski postanowił je rozwiązać.

Główną dla niego pobudką do podjęcia téj pracy był wypadek następujący: Gdy w r. 1866 wybuchła w Southampton cholera azyatycka, profesor Parkes przypisał jéj początek rozsianiu się po atmosferze zaraźliwéj cieczy kanałowéj, — a zarażoną ona została przez wypróżnienia kilku cholerycznych, którzy przybyli na okręcie „Poonah“. Pompowano tę ciecz do otwartego kanału, po którym spływała unosząc na sobie własną pianę. Wyziewy z tego otwartego kanału były bardzo obfite, a mieszkańcy okolicznych czystych i obszernych domów wielce się na nie skarżyli, gdyż wybuchła pomiędzy nimi cholera, w kilka dni po przyjeździe owych pacyentów. Pomimo to puszczano daléj w kanał przez dwa tygodnie wspienioną ciecz kloaczną — i, 107 osób zmarło. Wreszcie zastąpiono kanał otwarty rurą żelazną i od tego czasu liczba cholerycznych zmniejszała się, tak, że w tydzień, po założeniu rury, epidemia pomiędzy mieszkańcami cholerycznymi zupełnie ustała.

Przyczyna więc zarazy była jasną. W innych jednak daleko liczniejszych przypadkach, gdy ciecze kanałowe oskarżano np. o rozszerzenie tyfusu, warunki, w których czyniono obserwacye nie były tyle wyraźne. Trzeba więc było sprawdzić, czy z stosownie urządzonych zbiorników nieczystości, wydzielają się cząsteczki przy temperaturze zwyczajnéj, oraz czy podczas przepływu przez kanał, sam ruch cieczy wystarcza do rozpryskiwania jéj drobnych cząstek i zarażania niemi powietrza.

Z powodu trudności eksperymentowania na wielką skalę, oraz z powodu niewyraźnych a raczéj żadnych reakcyj chemicznych, cząsteczek cieczy kanałowych zawieszonych w powietrzu, E. Frankland uciekł się do eksperymentu sztucznego. W doświadczeniach jego, ciecz kanałową przedstawiać miał roztwór chlorku litynu, metalu, którego obecność, choćby w minimalnych ilościach, bardzo łatwo można wykazać.

Wlawszy taki roztwór w cylinder szklany, Frankland mięszał go energicznie pałeczką drewnianą, i badał powietrze znajdujące się nad nim. Poszukiwanie chemiczne okazało, że w powietrzu nad roztworem cylindra, nie ma ani śladu litynu. Następnie pozostawił pod dzwonem szklanym płaską miseczkę z tym roztworem i badał spektroskopijnie iskry indukcyjne, przez powietrze nad cieczą przebiegające: i tu podobnież żadnego śladu litynu nie odkrył. Na zasadzie tego Frankland wnosi, że ciecz kloaczna samą swą obecnością, albo téż przepływem, nie obciąża cząstkami stałemi sąsiedniego powietrza — témbardziéj, że nigdy ona nie podlega tak silnemu ruchowi, jakiemu poddał Frankland roztwór chlorku litynu.

Jednakże te negatywne wypadki bynajmniéj nie dowodzą nieszkodliwości cieczy zawartéj w dołach kloacznych. Podlegają one bowiem innym ruchom, których wypadek jest wprost przeciwny.

Wiadomo, że podczas fermentacyi i gnicia wywiązują się obficie gazy. Pęcherzyki ich wydostają się na powierzchnię cieczy, pękają i rozpryskują się do wysokości kilku cali. Przyglądając się podobnéj sprawie, widzimy wprawdzie, że cząstki widzialne, odskakujące od powierzchni zaraz na nią napowrót spadają, prawdopodobną jednak było rzeczą, iż cząstki tak małe, że ich wzrokiem ująć niepodobna, nie spadają już na ciecz burzącą się, lecz pozostają na czas dłuższy w powietrzu. Prawdopodobieństwo to zamieniło się na pewność, w skutek następującego doświadczenia Franklanda, które przedstawia analogią z fermentacyą lub gniciem.

Pewną ilość silnego roztworu chlorku litynu, znajdującego się w płaskiem naczyniu, zakwasił Frankland kwasem solnym, a następnie dodał kilka kawałków białego marmuru. Kwas solny działając na marmur (węglan wapna) wydzielał z niego kwas węglany, który w postaci pęcherzyków wydobywał się na powierzchnią płynu. Nad naczyniem postawił Frankland rurę papiérową pięć stóp wysokości mającą i badał powietrze wydobywające się z téj rury. Okazało się, iż znaczna ilość cząsteczek litynowych pływa w tém powietrzu. Następnie powiększył długość przepływu powietrza, przez dodanie długiéj rury cynowéj, nachylonéj do papierowéj bardzo ukośnie. Po wywołaniu przewiewu w rurze cynowéj, wykrył lityn na jéj końcu, oddalonym o 21 stóp od naczynia. Nie należy wątpić, że nawet i na większe odległości rozchodziłyby się cząsteczki soli.

Co więcej, cząsteczki te nawet i wtedy przepływały przez rurę, gdy musiały przechodzić przez dwu- i pięciocalową warstwę grubo tłuczonego węgla.

Z faktów tych Frankland dochodzi do trzech następujących, nader ważnych, ze względów sanitarnych wniosków.

1) Umiarkowany ruch cieczy nie wpływa na rozrzucenie po otaczającem powietrzu cząstek, któreby w niém mogły pozostać w zawieszeniu i dla tego téż przepływ *świeżych* cieczy kanałowych przez ściek stosownie urządzony, prawdopodobnie nie obciąża powietrza substancyami zaraźliwemi.

2) Pękanie pęcherzyków gazowych na powierzchni cieczy, wynikające w skutek tworzenia się gazów w wnętrzu cieczy jest potężną przyczyną rozpylania się i zawieszania przenośnych cząstek ciekłych w powietrzu otaczającém; gdy więc z powodu długo trwałego

pozostawania cieczy w dole, lub z powodu wadliwéj konstrukcyi, dozwalającéj ekskrementom pozostać przez znaczną liczbę dni w jednén miejscu, nastąpi gnicie, wytwarzające gazy, to prawdopodobnie powietrze nad dołem lub ściekiem zanieczyści się cząstkami szkodliwemi.

3) Ważną więc niezmiernie jest rzeczą, ze względu na zdrowie miast i wsi a nawet domów odosobnionych, aby skłonne do gnicia ciecze swobodnie i prędko odpływały przez ścieki i rynny deszczowe, tak aby się wydaliły z kanałów wprzód, nim się zgnilizna rozpocznie.

Polecamy te wnioski uczonego angielskiego zarządom miast i wsi, oraz właścicielom domów, u nas bowiem wszelkie urządzenia i „porządki“ grzeszą przeciwko kardynalnym prawidłom, dyktowanym nie tylko przez powyższe badania, lecz i przez najprostszą obserwacyą, do której każdy rozsądny człowiek jest zdolny.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Jeszcze w zeszycie marcowym streściliśmy badania jakie dr. Aleksander Weinberg przeprowadził nad wodą wiślaną; obecnie przedstawimy rezultaty do jakich doszedł, poddając analizie chemicznéj wodę znacznéj liczby studzien warszawskich.

Dobra woda do picia, którąby była zdrowym i wzmacniającym organizm napojem, według opinji znawców powinna:

1) Być przezroczystą, bezbarwną, bez zapachu, — mieć smak czysty i orzeźwiający, bez żadnego posmaku.

2) Nie powinna zawiérać wcale, lub tylko w niewielkich ilościach, azotany i materye organiczne.

3) Powinna być zupełnie wolną od amonijaku i żyjątek mikroskopowych.

4) Powinna być twardą, to jest posiadać w rozpuszczeniu sole wapienne i magnezyowe, lecz tylko w formie dwuwęglanów, nie zaś siarczanów lub chlorków.

Taka idealnie dobra woda znajduje się w źródłach górskich; to téż górale, mający obok tego arcy świéże powietrze, odznaczają się wielką siłą i żelazném zdrowiem. My, mieszkańcy miast, kontentować się musimy wodą posiadającą nawet azotany, amonijak i istoty mikroskopijne, byle w niezbyt wielkich ilościach; choć swoją drogą napój ten truje nas powoli i — w danym razie — staje się wybornem źródłem chorób epidemicznych.

Na nieszczęście Warszawa należy do tych miast, w których nie można stawiać nawet skromnych wymagań. Jéj względnie najlepsza woda studzienna jest dosyć złą, a zła — obrzydliwą i niebezpie-

czną. Dr. Weinberg na 10 ulicach zbadał 84 studzien, a oto niewesołe rezultaty jego pracy.

Ulica Graniczna studzien 11, z których zaledwie jedna posiada wodę prawie zupełnie przezroczystą i bezbarwną, inne zaś — koloru lekko żółtawego. Studnie najlepsze, znajdujące się w posesyach pod Nr. 11 i 16, zawierają na 100 litrów wody od 41 do 45 gramów chloru i po 6 gramów materyi organicznych! Studnie najgorsze (pod N. N. 5, 7 i 13) zawierają w 100 litrach wody: chloru od 45 do 80 gram., — materyi organicznych od 6 do 10 gram., — amonijaku od 0,04 do 4 gramów. W 3 studniach wykryto prócz tego istoty mikroskopijne roślinne i zwierzęce.

Ulica Niecała, studzien 9, z których *najlepsza* pod N. 11 odznacza się obecnością mikroskopijnych włókien roślinnych, kolorem żółto-słomkowym i gorzkawym posmakiem. Ani jedna ze studzien nie posiada wody bezkolorowéj.

Ul. Trembacka, studzien 6, lecz ani jedna dobra, nawet w znaczeniu warszawskiem. Najgorsze z nich pod N. N. 3 i 5 mają wodę koloru żółto-brunatnego, mętną, smaku gorzko-słonego, pełną mikroskopijnych żyjątek. Chloru znajduje się tu od 35 do 78 gram., a materyi organicznych od 9 do 22 gram. na 100 litrów.

Ul. Wierzbowa, studzien 4, z których jedna pod N. 7 należy do najlepszych w Warszawie. Woda jéj jest bezbarwna, przezroczysta, bez zapachu i smaku; amonijaku lub istot mikroskopijnych ani śladu, chloru 4 gram., kwasu azotnego 10 gram., materyi organicznych 2 gram. w 100 litrach. Inne studnie téj ulicy zaliczają się do złych, a jedna pod N. 5 (Plac Teatralny) do bardzo złych; woda jéj bowiem jest żółtawo-słomkowa, ma posmak gorzkawy, posiada żyjątka, 43 gram. chloru, 61 gram. kwasu azotnego, 5,3 gram. materyi organicznych i 0,4 gram. amonijaku — w 100 litrach.

Ogród Saski. Analizę wykonano na wodzie studni leżącéj na lewo od wejścia głównego i cieszącéj się największą popularnością w Warszawie. Oto zalety téj wody: przezroczysta, bezbarwna, bez smaku i zapachu; twardość 38 stopni, wapna 22 gramów, kwasu siarczanego 9, chloru 7, kwasu azotnego 10, materyi organicznych 2 gramy w 100 litrach, — amonijaku zaś nic.

Ulica Czysta, 2 studnie, a obie złe, nie tyle z powodu składu chemicznego, ile z powodu obecności mikroskopijnych żyjątek.

Ul. Nowo-Senatorska, studzien 6, a wszystkie złe, z powodu obecności soli amonijakalnych lub istot żyjących.

Ul. Senatorska, studzien 3. Najlepsza pod N. 27 zawiera 21 gram. chloru, 44 gr. kwasu azotnego, 5 gr. materyi organicznych. Dwie inne (N. N. 31 i 24) według dr. W. po staranném oczyszcze-

niu mogłyby stać się również użytecznemi. Obie one mają wodę zabarwioną, obejmują istoty mikroskopijne, tudzież chloru od 14 do 18, kwasu azotnego od 24 do 28, materyi organicznych od 4 do 7 gramów w 100 litrach.

Ul. Krakowskie-Przedmieście. Strona lewa posiada 10 studzien, z których jedna, pod N. 7, zasługuje na nazwę względnie dobréj, jako posiadająca wodę bezkolorową, bez smaku i bez istot organicznych. Zawiéra ona w roztworze 37 gr. chloru, 41 kwasu azotnego, 4 materyi organicznych. Studnia pod N. 15 posiadająca: chloru 60 gramów, kwasu azotnego 33 gr., materyi organicznych 6 gram., amonijaku 0,05 gram. w 100 litrach wody i oprócz tego — istoty mikroskopijne, zdaniem dr. Weinberga, przez oczyszczenie mogłaby się stać użyteczniejszą, aniżeli obecnie. Inne są liche.

Prawa strona Krakowskiego-Przedmieścia posiada studzien 17, a wodę w ogóle lepszą niż lewa. Za zupełnie dobrą uważa p. W. studnie pod N. N. 6, 8, 14, 24 (Szpital), 26, 28, 30, 38 i 40. W studniach tych jedna tylko ma wodę zupełnie przezroczystą i bezbarwną (N. 6) inne — nieco zabarwioną; w dwu z nich (pod N. N. 24 i 26) znaleziono ślady włókien roślinnych, wszystkie zawierają: od 16 do 38 gram. chloru, od 12 do 49 gram. kwasu azotnego, od 3 do 10 gramów materyi organicznych w 100 litrach wody, — niektóre zaś ślady amonijaku. W posesyach N. N. 2, 10, 20, 32 i 50 woda przez staranne oczyszczenie może być poprawioną. W posesyi pod N. 16 obecność amonijaku wyjaśnia się blizkością dołu kloacznego.

Ul. Królewska, studzien 15, które p. W. dzieli na trzy grupy: doskonałe, średnie i złe. Doskonałą ma być woda w studni pod N. 39. Jest ona zupełnie czysta i miękka, skutkiem czego przydać się może nawet do gotowania, zawiéra zaś: chloru 11, kwasu azotnego 9, materyi organicznych 4 gr. w 100 litrach.

Do grupy średnich: należą studnie pod N. N. 6 (a), 6 (b) oraz: 7, 9, 13, 17, 37 i 41 (a). Do grupy złych: pod N. N. 21, 23, 27, 41 (b); najgorszą ma być woda pod N. 19, przezroczysta i bezwonna, lecz żółtawa i nieprzyjemnie gorzkawa. Ogólna jéj twardość 67 stopni skład: chloru 64, kwasu azotnego 62, materyi organicznych 20, amonijaku ślady wyraźne.

Na zakończenie podał p. W. analizę wody tryskającéj ze zdroju przy ulicy Oboźnéj. Ma ona smak twardy i lekki odcień żółtawy, posiada 33 gr. chloru, 52 kwasu azotnego, 5 gr. materyi organicznych w 100 litrach. Z powodu jednak czystości i małéj ilości materyi organicznych uważać ją można jako zdatną do picia.

Jak widzimy praca d-ra Weinberga obejmuje małą tylko cząstkę naszych studzien, mimo to trudno powstrzymać się od wyrazów uznania dla badacza, który bezinteresownie, powodowany względami ogólnego dobra, wykonał kilkadziesiąt nudnych i trudnych analiz. P. Weinberg obiecuje przedsięwziąć i ogłosić dalsze badania, które jednocześnie prowadzi chemik p. Leppert. Ponieważ zaś prócz tego w Warszawskiem Towarzystwie Lekarskiem utworzył się Komitet wyznaczony w celu ułożenia podręcznika do rozbioru wody studziennéj, można zatém mieć pewność, że w niedługim czasie kwestya wody u nas, jeżeli nie rozwiązaną, to przynajmniéj zbadaną zostanie.

Tak więc na 84 analiz wody studziennéj i jedną zdrojowéj, zaledwie 26 wydały rezultaty dobre lub średnie; 59 zaś studzien znajduje się w takim stanie, że albo powinny być z gruntu odnowione i oczyszczone, albo — zasypane.

Zkąd to pochodzi? Z dwu kategoryi przyczyn, — odpowiada dr. Weinberg. Jedne z nich są ogólne, inne miejscowe. Przyczyny ogólne zależą przedewszystkiém od położenia Warszawy. Grunt, na którym stoi miasto nasze jest napływowy. W pokładzie niższym składa się on z warstwy gliny grubéj na 200 stóp przeszło, nad którą leżą w najrozmaitszym porządku i grubości: gliny pstre, margle, iły, a najwięcéj — piasek. Nad tém dopiero, na $^{9}/_{10}$ powierzchni miasta leżą nasypy od 2 do 21 stóp grube, uformowane z błota ulicznego, gruzu, śmieci, a nieraz i gnoju!

Woda studzienna warszawska z małym wyjątkiem jest zaskórną i zdaje się tworzyć wielką liczbę małych zbiorników. Na 130 wierceń dokonanych w mieście w ciągu roku zeszłego, 102 razy trafiono na wodę; najczęściéj (75 razy) spotykano ją między 5 a 15 stopą głębokości.

Zwróciwszy uwagę na to co się powiedziało wyżéj, łatwo zrozumieć dla czego woda jest zła. Ponieważ znajduje się ona nie głęboko, pod warstwami przepuszczalnemi, a co gorsza pod nasypem pełnym wszelkiego rodzaju brudów, każdy więc deszcz spadły na ziemię, spłukuje zawartość nasypu, przesącza się następnie do owych zbiorników wody zaskórnéj, i w rezultacie powiększa w niéj ilość kwasu azotnego, amonijaku i materyi organicznych.

Obok tej ogólnéj przyczyny zanieczyszczenia wody brudami miejskiemi, stoją miejscowe, do których przedewszystkiem należy blizkość i zła budowa dołów kloacznych, zkąd nieczystości przesiąkają do studzien. Dodajmy do tego ocembrowania drewniane i przegniłe, na których pleśń się wytwarza, a mieć będziem lekkie

wyobrażenie o tém: co mieści w sobie nasza woda, niezbędny czynnik odżywczy.

Z tych powodów wydaje nam się bardzo dziwném, że choć prawie wszystkie dzienniki wypowiedziały poglądy ogólne na temat pracy p. Weinberga, żaden z nich jednak nie wskazał szczegółowo: które domy mają złe, a które dobre studnie i gdzie można poprawić takowe za pomocą przebudowania i oczyszczenia. Nie dość przecię było podać wiadomość, że p. W. robił analizy, nie dość było wypowiedzieć kilka stereotypowych pochwał: należało raczéj wskazać publiczności źródła złego, a na niedbałych właścicieli domów wywrzeć moralny nacisk, aby złemu zapobiegli. Przez bardziéj szczegółowe cytaty analiz, zaszczepiło by się téż między czytelnikami zbawienne przekonanie, że w sprawie zdrowego lub nie zdrowego, a tak niezbędnego napoju, nie wystarcza świadectwo wzroku, smaku i węchu, lecz, że potrzebną jest jeszcze pomoc odczynników chemicznych i mikroskopu.

Dzięki bezinteresownéj pracy kilku jednostek, będziemy wprawdzie wiedzieli o tém: które studnie są złe, które dadzą się poprawić i jakim sposobem. Lecz reformy, jeżeli mają zajść, muszą być zrozumiane i poparte przez ogół.

Najradykalniejszym środkiem poprawy naszych studzien, byłoby zasypanie wszystkich—za wyjątkiem najlepszych i wywiercenie kilku studzien artezyjskich, które od wieków oddają usługi światu. Za studniami artezyjskiemi przemówiło już kilka poważnych głosów. P. Reklewski w Gazecie Polskiéj, piérwszy o nich przypomniał. Według jego opinii studnie takie są u nas możliwe: Warszawa bowiem leży o 500 stóp niżéj od wielu okolic np. gubernii Kieleckiéj, woda więc ma zkąd dopływać. Przed 30 zresztą laty wywiercono na Solcu artezyjską studnią, która nawet dosyć wody wyrzucała; że jednak płyn ten nie odznaczał się smakiem, więc zamiast filtrować go, pogłębiono otwór—skutkiem czego woda znikła.

Studnie artezyjskie, ze względu na ogromną użyteczność nie byłyby nawet tak znowu drogie: według bowiem p. Reklewskiego można je wiercić do głębokości 300 stóp, przy średnicy 15 do 20 cali, po 10 do 15 rs. za stopę.

Tą samą myśl, na jednem z posiedzeń War. Tow. Lekar. poruszył dr. Szokalski. Przypomniał on, że w głębokości 40 metrów (prawie 140 stóp) znajdowano w Warszawie bardzo dobrą wodę do picia; że zaś z drugiéj strony studnie artezyjskie służą bardzo często do filtrowania wody zaskórnéj, więc budując je miasto zyskałoby podwójnie: miałoby wodę zdrojową—i—oczyszczoną zaskórną.

Na to odpowiedział p. Kolberg, że jakkolwiek studnie artezyjskie byłyby bardzo dla miasta użyteczne, zanim jednak przystąpi się do wiercenia ich, należy poznać grunt Warszawy i naturalne baseny wód zaskórnych. Badania takie za pomocą świdrowań odbywały się już w roku zeszłym w 130 punktach do głębokości 30 stóp; jest więc nadzieja, że kiedyś zdobędziemy się może i na studnie artezyjskie.

Nim to nastąpi, należałoby w domach usuwać miejscowe przyczyny zatrucia wody, a mianowicie: oczyścić i dobremi cembrzynami zaopatrzyć studnie i zreformować ustępy. Drugą tę kwestyą, ważną z wielu innych powodów, wszystkie pisma na wszystkie tony przypominają właścicielom domów, ale bez skutku. Tymczasem ci z pośród nich, którzy chcą, wprowadzają z łatwością pewne ulepszenia. Jednym, jeżeli nie jedynym takim gospodarzem, jest p. Karol Fritsche właściciel domu przy ulicy Jerozolimskiéj, który pobudował ustępy swego własnego pomysłu. Zamiast zwykłego kloacznego dołu znajduje się tam kanał, do którego spływają nieczystości; płynne ich części ściekają do podstawionéj beczki, stałe zaś palą się w tymże kanale co miesiąc, za pomocą węgli kamiennych.

System ten przedstawia kilka stron korzystnych. Jest on tańszy od dotychczasowéj wywózki, niszczy stałe odchody zupełnie, a więc i odwannia i zapobiega wsiąkaniu ich w ziemię. Części płynne po dawnemu muszą być wywożone, a ponieważ jest ich 198 razy więcéj niż stałych, więc dopiéro kanalizacya usunie je stanowczo i od zgubnego ich wpływu uwolni miasto. Na dziś jednak należałoby przynajmniéj metodę p. Fritschego upowszechnić w całéj Warszawie.

Piękny dowód dbałości o rzeczy ogólne złożyło w ostatnich czasach Towarzystwo Lekarzy Lubelskich, przyjmując wniosek d-ra Głogowskiego: aby w mieście Lublinie otworzoną została stacya meteorologiczna. Cała Europa, część Azyi, Afryki i Ameryki pokryta jest siecią podobnych obserwatoryów, które codzień, a nawet kilka razy na dzień kommunikują sobie postrzeżenia i ogłaszają przepowiednie obchodzące żeglarzy i rolników. Nasz kraj dotychczas leży po za obrębem tych postępów, a jedyne reformy jakich doczekaliśmy się w dziedzinie meteorologii są te, że kalendarze nasze przestały drukować proroctwa, obmyślane z góry na cały rok w rodzaju tym, jak: „pogoda, stronami deszcze"—i—że obserwatoryum Warszawskie nie ogłasza już dawnych sprawozdań.

To co Towarzystwo Lekarzy Lubelskich zrobiło dla swego miasta, nasze mogłoby zrobić dla Warszawy, a nawet dla całego kraju. Mogłoby ono otworzyć na miejscu dokładne obserwatoryum

meteorologiczne, skomunikować się z kilkoma stacyami istniejącemi w kraju, ujednostajnić narzędzia i metody obserwacyi i codzień ogłaszać spostrzeżenia w różnych punktach królestwa dokonywane. Tym sposobem Lublin naprzykład mogłby być na kilka godzin wprzód ostrzeżonym o burzy, od zachodnich granic kraju lub z dalszych nawet okolic nadciągającéj, gdyby naturalnie stacya główna zakres swych stosunków na całą Europę rozszerzyła. Wszystko to łatwiéj niż ktokolwiek bądź inny mogłoby Tow. Lekarzy Warszawskich urzeczywistnić: posiada ono bowiem w łonie swem zdolnych przyrodników — i możność porozumiewania się z prowincyonalnymi lekarzami, z których nie jeden poświęciłby się najprostszym meteorologicznym spostrzeżeniom gdyby wiedział, że praca jego jakiś pożytek przyniesie.

W początkach lipca Gazeta Polska otrzymała wiadomość, że J. W. Generał Gubernator polecił utworzenie komitetu, który ma na celu: obmyślić sprawiedliwe zasady rozdziału opłat na utrzymanie sądów gminnych. Obecny bowiem system ogólne wywołuje zażalenia — i nic dziwnego. Ciężar utrzymania sądów gminnych spada wyłącznie na posiadaczy ziemi, zkąd wypływa, że włościanin mający trzy morgi gruntu przyczynia się do utrzymania sądów, podczas gdy majętny handlarz, rzemieślnik, albo właściciel wielkiego przemysłowego zakładu, na ten cel żadnéj nie płaci składki, choć z dobrodziejstw instytucyi korzysta. Obok téj staje inna jeszcze niedogodność, że właściciele więksi stosunkowo więcéj ponoszą kosztów od mniejszych, co także sprawiedliwem nazywać się nie może.

Na pierwszą wieść o utworzeniu komitetu posypały się korespondencye z prowincyi, przyklaskujące projektowi, a jednocześnie wykazujące różne wady dzisiejszych urządzeń gminnych.

Jeden z korespondentów przypomina dawno już ogadane, lecz zawsze mające racyą bytu zarzuty przeciw opłacie z morga. Prawda, że ten kto ma więcéj i większe powinien ciężary ponosić, ale czyż ilość morgów reprezentuje wielkość dochodów? W jednéj okolicy morg może przynosić rubla, w innych dziesięć dochodu, tymczasem jedne i drugie obciąża składka 5 kopiejek. Daléj — właściciele więksi płacą jeszcze składkę z morgów obciążonych służebnością i nie tylko składkę. Gdy na lesie ciąży serwitut, wówczas koszta konserwacyi, obsiewu, dozoru — ponosi właściciel, jego sąsiedzi zaś ciągną tylko zyski, a często szkody wyrządzają.

Podobnież wadliwemi są rozkłady innych ciężarów. Na niedobory szpitalne właściciel większy płaci z morga, choć służba jego do wytworzenia tych niedoborów nie przyczynia się bynajmniéj. Na

szkołę także płaci z morga, choć jego dzieci nie korzystają z niéj. Wyznać należy, że na ten ostatni rodzaj składek, jest najmniéj narzekań: właściciele bowiem pragną aby nawet ich kosztem kształciły się dzieci włościan. Na nieszczęście tu znowu panuje niewytłomaczona samowola w podwyżkach: w niektórych miejscowościach dwór płaci dziś 5 do 6-ciu razy więcéj aniżeli przed laty dziesięcioma, choć etat szkoły niezmienionym pozostał. Gdzież się przewyżka podziewa?.. Podobnie rzecz się ma z naprawą dróg, na które dwory znowu płacą najwięcéj, na pożytek nic nie płacących małomiasteczkowych furmanów.

W całym tym zamęcie najdokuczliwszą rolę odegrywają *wójci surdutowi*, ludzie piśmienni, często wybierani z pośród pokątnych doradców. Osoby te ciągłem podbechtywaniem włościan przeciw dworowi jednają sobie zaufanie ciemnych wieśniaków, obiecują im *nowe pomiary* i wsparci na ich głosach naznaczają wyższe nad potrzebę składki w imię zasady, że: w każdym razie *pan* nierównie więcéj zapłaci! W gruncie rzeczy jednak wójtowie ci są bodaj czy nie szkodliwsi dla włościan: gdy bowiem chodzi o wyegzekwowanie od chłopka żydowskiego długu, wójt udziela szybką i energiczną pomoc wierzycielowi, a dłużnik traci niekiedy ziemię, która następnie zaokrągla posiadłości wójta.

Streściliśmy tutaj jedną z owych licznych skarg, jakie wywołują dzisiejsze stosunki wiejskie. Dla poprawienia złego korespondent proponuje dwa lekarstwa: 1-o Aby w kancelaryi gminnéj znajdowała się księga zażaleń, do któréj wszyscy mieliby prawo wnosić swoje pretensye i którąby przynajmniéj raz na rok odczytywał naczelnik powiatu. 2-o Aby wójtowi nie wolno było w czasie urzędowania nabywać ziemi w obrębie jego władzy leżącéj. Oba środki wydają się nam niepraktyczne. O dzisiejszych bowiem nadużyciach wójtów naczelnicy wiedzą bardzo dobrze i bez księgi zażaleń; co zaś do nabywania ziemi—to czyliż wójt nie może kogo innego na swoje miejsce podstawić?..

Wracając jednak do rzeczy, ze smutkiem nadmienić musimy, że na usunięcie choćby nie wszystkich, lecz tylko większéj części nadużyć istniejących w gminach, długi jeszcze czas cierpliwie czekać musimy. Komitet bowiem, o którym wspominaliśmy na początku, zreformować ma nie wszystkie opłaty, lecz tylko te, które na utrzymanie sądów gminnych przypadają. Może być jednak, że materyały przez komitet zebrane posłużą za punkt wyjścia do reform dalszych.

Do składu komitetu oprócz wyższych urzędników jak: zarządzającego kancelaryą Generał Gubernatora, zarządzającego warszawską

izbą skarbową i tak daléj,—należą jeszcze osoby prywatne, a mianowicie: p. Ludwik Górski czł. Kom. Tow. Kredyt. Ziems., pp. Bernard Hantke i Jakób Natanson przemysłowcy, tudzież p. Simonenko profesor uniwersytetu warsz. i statystyk. Komitet ten przedewszystkiem postanowił zgromadzić odnośne materyały, i w tym celu podzielił się na podkomisye.

Pierwsza ma zebrać i ułożyć wszystkie przepisy i rozporządzenia rządu, odnoszące się nie tylko do opłat gminnych, lecz i do wszelkich powinności, które w pieniądzach lub w naturze, ciążą na ludności wiejskiéj. Po skończeniu zaś téj pracy, podkomisya ma ułożyć program wiadomości: o prawdziwym stosunku i rozmiarze ciężarów gminnych, odnoszących się do ludności wiejskiéj wszelkiéj nazwy i o ilości, rozklasyfikowaniu i produkcyjności ziemi w gminach.

Podkomisya druga ma zebrać materyały, dotyczące stanu przemysłu fabrycznego, rzemieślniczego i handlowego, w związku z danemi o opodatkowaniu i o produkcyjności tych trzech rodzajów przemysłu.

Projekta, jak widzimy, obszerne; rezultaty więc badań powinny być ciekawe.

Konferencye rolnicze, zapewne z powodu żniw, nie rozszerzają się wprawdzie tak szybko, jakby pragnąć należało i dotychczas zaszczepiły się tylko w powiatach: Janowskim, Chełmskim, Krasnostawskim, Konstantynowskim i Sandomierskim. Tam jednak gdzie są, rozwijają się coraz bardziéj, a nawet wydają początki rezultatów praktycznych.

Dowodem możności rozwoju i ugruntowania się tych zebrań jest okoliczność ta, że np. naczelnik powiatu Janowskiego, na skutek prośby kilku osób, rozesłał listy do wszystkich obywateli tegoż powiatu, zapraszając ich na naradę rolniczą do Kraśnika, dołączając jednocześnie następne tematy rozpraw:

1) Urządzenie w powiecie magazynów zbożowych, dla przyjścia z pomocą mieszkańcom w razie pożaru, powodzi lub gradobicia.

2) Obmyślenie środków, mogących posłużyć do zawarcia bezzwłocznéj dobrowolnéj umowy o rozdział służebności.

3) Ustanowienie komisantów, mających ułatwiać sprzedaż produktów rolnych, a to w celu zapobieżenia o ile możności nadużyciom niesumiennych handlarzy.

4) Urządzenie na małą skalę instytucyi kredytowych dla obywateli ziemskich w powiecie.

5) Przygotowanie sztucznych nawozów dla majątków, które ich potrzebują i sprzedawania ich (majątków czy nawozów?) drobnym właścicielom.

6) Środki ulepszenia gospodarstwa polowego, łąkowego i leśnego.

7) Urządzenie gospodarstwa rybnego, lub osuszenie wód w miejscach, w których sianokosy większą korzyść przynieść mogą.

8) Ustanowienie stowarzyszeń emerytalnych dla służby dworskiéj.

W końcu wezwania zamieszczono prożbę, aby przyjmujący udział w naradzie choć w krótkości opracował przedmioty wymienione w programie.

Nad treścią tematów nie będziemy się rozwodzili: są one bowiem tak obszerne i tak wiele obiecujące, że gdyby choć cząstka ich została wyjaśniona — już byłoby bardzo dobrze. Nie możemy jednak nie wypowiedzieć słów uznania dla p. naczelnika powiatu Janowskiego, który przyjmując udział w naradach i ułatwiając je, złożył tém samém dowód, że posiada uczucia obywatelskie i zasługuje na nazwę gospodarza swego powiatu.

Początkiem praktycznych rezultatów dotychczasowych konferencyi, jest świéżo zawiązana: „Spółka chełmska dla kupna i sprzedaży zboża i wszelkich produktów gospodarstwa rolnego“. W pierwszéj chwili istnienia liczyła ona pięciu wspólników, od których zależy przyjmowanie do współki nowych. Zarząd koncentruje się w rękach trzech firmowych: p. p. Jana Bohdanowicza właściciela Nadrybia, Jana Suchodolskiego, dzierżawcy Wierzchowicy i Ignacego Zakrzewskiego, dzierżawcy Siedliszcza.

Spółka zawiązaną została tymczasem na rok. Celem jéj jest pozyskać najwyższe możliwe ceny i zaufanie u kupców, tudzież uwolnić uboższych ziemian od konieczności sprzedawania produktu zawcześnie i za bezcen. Wszystko to spółka ma nadzieję osiągnąć za pomocą rzetelności i pilnowania się terminów. Kupców mieć będzie ona swoich, postara się o wejście w stosunki z firmami poważnemi, odsuwając na bok zbytecznych pośredników; lecz jednocześnie postanawia odstawiać im produkta w takiéj ilości i jakości, jaka będzie wyrażona w kontrakcie podpisanym przez zarząd. W obec kupców członkowie współki odpowiadają solidarnie, co im przyjdzie tém łatwiéj, że o ile widać z projektu, zarząd ręczyć będzie tylko za ludzi znanych z rzetelności.

Ze szkicu tego widać, że ziemiaństwo chełmskie piękny sobie cel postawiło. Dźwigać się wspólnemi siłami wśród trudnych okoliczności, przyzwyczaić do surowego wypełniania zobowiązań, odzy-

skać podkopany kredyt, — nie są to rzeczy drobne. Życzymy zatém nowéj spółce wielkiego powodzenia, licznych naśladowców, a nadewszystko wytrwałości; przy tym ostatnim warunku data jéj założenia może się stać jedną z ważniejszych epok w rozwoju naszego rolnictwa.

Od paru lat już Towarzystwo Kredytowe Ziemskie przemyśla nad sposobami przyjścia z nową pomocą rolnictwu, przez udzielenie mu pożyczek na melioracye, a od tego czasu nie było prawie miesiąca, aby niecierpliwe dziennikarstwo nie zarzucało zarządu towarzystwa pytaniami: kiedy zacznie udzielać pożyczki, do jakiéj wysokości, na jakie roboty i t. d.

Dla tego wielkie wrażenia sprawiły odezwy dyrekcyj szczegółowych rozesłane do delegatów, w celu zebrania odpowiednich materyałów, a stanowiące niejako pierwszy i bardzo rozsądny krok do posunięcia kwestyi naprzód.

Towarzystwo chce się przedewszystkiém wywiedzieć: gdzie roboty melioracyjne były wykonane, ile kosztowały i co się na nich zyskało? W tym celu prosi o wykazy dóbr, w których osuszano lub nawadniano grunta, zadrzewiano nieużytki lub nawożono ziemię: szlamem, torfem albo marglem, a to — co najmniéj na przestrzeni 30 morgów nowopolskich. Następnie zapytuje, którzy z ziemian posiadających poprawione grunta zechcą przyjąć u siebie komisyą techniczną, aby takowa zbadała sposoby wykonania melioracyi, ich nakłady i korzyści.

Jest to dopiéro prolog, co zaś po nim nastąpi — pokaże przyszłość, nie tak znowu blizka: towarzystwo bowiem, w znacznéj części, z powodów od niego niezależnych, działa bardzo powoli. Nim więc roboty melioracyjne w kraju naszym urzędownie uznane zostaną za pożyteczne, nim znajdzie się fundusz i udzielać się zaczną pożyczki, zobaczmy: jaki to rodzaj ulepszeń bezpożyczkowych zaleca krajowi naszemu p. Antoni Strzelecki, autor dzieła: „Gospodarstwo Pastewne“, — niedość upowszechnionego między rolnikami.

Otóż p. Strzelecki wymienia sześć głównych przyczyn upadku gospodarstw naszych: 1) Od dawna istniejące złe finansowe stosunki, czego uderzający dowód stanowi parę cyfr i cytat następnych. Wartość dóbr w r. 1823 wynosiła 84 milionów rubli, długi hipoteczne 76 milionów rubli a więc czysta własność 8 milionów rubli. Później stan ten poprawił się nieco, zawsze jednak w r. 1851 (według Krzysztopora) dobra ziemskie zadłużone były do $^2/_3$ swojéj wartości. Zbyteczném zdaje się nadmieniać, że dziś jest bezporównania gorzéj. 2) Drugą przyczyną upadku jest niedostateczne wykształcenie specyalne rolników, a ztąd nieracyonalne urządzenie gospodarstw;

3) zbyt wysokie koszta, produkcyi; 4) stosunkowo niskie ceny produktów, skutkiem konkurencyi zagranicznéj; 5) brak łatwego i taniego kredytu, tudzież lichwa; 6) wyjałowienie ziemi.

Ten ostatni wzgląd jest bodaj czy nie najważniejszy: stanowi on bowiem fundament nietylko wszystkich dzisiejszych kłopotów finansowych, ale co gorsza — i klęsk przyszłych. Aby okazać do jakiego stopnia jesteśmy zacofani pod względem wydajności ziemi, porównajmy zbiory nasze z angielskiemi, z przestrzeni jednego 300-to prętowego morga.

	Zbiérają w Anglii		U nas: Najwyżéj	U nas: Zwykle
Kartofli	300	korcy	100	40
Rejgrasu (zielonego)	1200	centnar.	200	60
Pszenicy	17	korcy	8	3
Jęczmienia	22	„	12	4
Owsa	26	„	12	5

Co ztąd pochodzi, że u nas albo panuje w gospodarstwach system trzypolowy, albo płodozmienny ale wyczerpujący ziemię. Pierwszy z tych systemów ma być szczególniéj szkodliwym, jak o tém przekonywa rachunek p. Strzeleckiego, zrobiony dla 100 morgów w przypuszczeniu, że urodzaj wynosi 7 ziarn, z których jedno idzie na obsiew, jedno na potrzeby domowe, a 5 sprzedaje się; z jarzyn zaś i kartofli połowa zużywa się na miejscu, a połowa sprzedaje. Otóż przy takich stosunkach zachodzi następny ruch pierwiastków odżywczych w gruncie:

	Azotu	Potażu	Kwasu fosfornego
	funtów		
Zbieramy przez zbiory . . .	2383	1413	1020½
Zużywamy na miejscu . . .	1148	715½	466½
Wyprzedajemy a zatém wywoziemy	1235	697½	554

nie licząc w tém wyprzedaży zwierząt, nabiału, wełny i t. d. Ziemia tym sposobem wyczerpuje się szybko; chcąc ją zatém utrzymać w równowadze, potrzeba: albo kupować nawozy, albo hodować odpowiednią ilość bydła.

Zasilanie gruntów sztucznemi nawozami, z małym wyjątkiem, albo nie praktykuje się u nas, albo praktykuje w sposób niedostateczny. Co zaś do nawozu naturalnego, tego stanowczo kraj nasz produkuje za mało. Na 11 mil. morgów ziemi ornéj powinniśmy mieć co najmniéj 70 milionów 15 centnarowych wozów mierzwy; tymczasem zaś 7½ mil. sztuk rozmaitych zwierząt domowych, jakie

według obrachowań intendentury posiadamy, wytwarzają zaledwie 28 milijonów 15 centnarowych fur nawozu.

W takim składzie rzeczy wyjałowienie ziemi staje się koniecznością, następstwa zaś tego widzimy. Od kilkunastu lat stale, na całéj przestrzeni kraju zbiory są mniéj niż średnie, co rolnicy przypisują zmianie klimatu. Smutne złudzenie, które oby najprędzéj minęło!.... Nie klimat zmienił się, ale płodność ziemi, którą jak najrychléj podnieść należy.

Zobaczmy teraz jaki istnieje związek pomiędzy zbiorami i dochodami. Obliczył to p. Strzelecki dla jednego morga, odtrąciwszy od wartości plonów, koszta produkcyi. Z rachunku tego wypada:

Przy plonie:	Czysty dochód z pszenicy	żyta	jarzyn	strąkowych	kartofli
10 ziarn	+ 2400 kop.	+ 1380	+ 1416	+ 3480	+ 7800
6 „	+ 1440	+ 462	+ 1348	+ 1500	+ 3489
3 „	— 144	— 240	— 270	— 366	— 90

Tak więc przy plonie 3 ziarn gospodarstwo przy naszéj cenie robocizny i stopie podatków przynosi straty. Że zaś grunta u nas wydają średnio 4 do 5 ziarn, strat więc zapewne nie ma, lecz zyski ledwie na utrzymanie wystarczą. Dodajmy do tego procenta od długów, a zdaje się, że przyczyny opłakanego stanu własności większéj wyjaśnią się—bodaj czy nie w najznaczniejszéj części.

Ponieważ nowożytna agronomia podaje sposoby użyznienia nawet zupełnie jałowych gruntów, złe więc z niewielkim trudem poprawićby się dało przy reformach i pracy, opartéj na naukowych zasadach. Za taką niezbędną reformę uważa p. S. zaprowadzenie gospodarstw pastewnych, spotęgowanie hodowli bydła. Kto zaś pragnie bliżéj poznać zalecany system, niech odczyta samo dzieło, a doprawdy skorzysta.

Aleksander Głowacki.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

KONKURS LWOWSKI

Imienia hr. Aleksandra Fredry.

Fundusz konkursowy stanowi kwota 900 złr. z któréj 600 złr. przyznane będą najlepszéj komedyi, wypełniającéj cały wieczór, a 300 złr. drugiéj po niéj najlepszéj komedyi bez oznaczenia liczby aktów.

Termin ostateczny do nadsyłania utworów ustanawia się dzień 1 Marca 1878.

Przyznanie nagród odbędzie się w następujący sposób:

Utworzone będą dwie komisye. Zadaniem pierwszéj będzie odczytać utwory nadesłane i zasługujące na przedstawienie polecić do odegrania na scenie lwowskiéj. Komisya ta składać się będzie z reprezentantów dziennikarstwa i z artystów sceny lwowskiéj.

Utwory polecone przez tę komisyą będą kolejno przedstawiane na scenie lwowskiéj w miarę ich nadsyłania i polecania przez komisyą, w każdym razie nie prędzéj jak od 1 października 1877 zacząwszy, a nie późniéj jak do końca maja 1878.

Druga komisya złożona z członków komitetu artystycznego wysadzonego przez Wydział krajowy dla sceny lwowskiéj z przybraniem pp. Jana Aleksandra Fredry i Jana Dobrzańskiego obecna na przedstawieniach sztuk poleconych po odegraniu ich przyzna dwom najlepszym komedyom nagrody powyżéj wymienione.

Autorowie wszystkich na konkurs nadesłanych a poleconych do przedstawienia i przedstawionych utworów otrzymają 8% tantiemy od dochodu brutto z pierwszego przedstawienia a po 5% od następnych.

Rezultat konkursu ogłoszony będzie dnia 1 czerwca 1878.

Do każdéj nadsyłanéj sztuki ma być przyłączone nazwisko autora w opieczętowanéj kopercie, opatrzonéj zewnątrz tym samym napisem lub znakiem, którym oznaczona sztuka sama.

Tajemnica nazwisk autorów ustaje z dniem ogłoszenia rezultatu. Odnosi się to i do autorów, których sztuki były zalecone do grania i przedstawiane ale nie uzyskały nagród.

Utwory należy nadsyłać pod adresem Dyrekcyi teatru polskiego we Lwowie.

Dyrekcya teatru polskiego
we Lwowie

Jan Dobrzański.

JÓZEF KRASZEWSKI

I JEGO

„POWIEŚCI HISTORYCZNE."

„Niema cudów środ świata — prócz świata". — Zdanie to jednego z głośnych pisarzy francuskich z wieku zeszłego, które miało na celu dowieść, iż niéma na świecie cudów a wyraziło iż wszystko jest cudem, jest nam jedną z licznych wskazówek, że dwa wrogie z sobą poglądy na świat: duchowy i materyalny, złączą się kiedyś. Bój jednak trwa tymczasem w najlepsze. Jeżeli czysty mistyk dziś twierdzi, że wszelkie wglądanie bliższe w proces natury jest grzechem, a przynajmniéj próżnością; tedy znowu czysty materyalista nawzajem: że wszelkie badanie tego co mianowicie jest duchem, jest głupstwem. Gorszymy się zdaniem pierwszych, nie możemy się dosyć wydziwić ciasności drugich. Ten rozum, który rozpoznaje, rozbiéra i bada przedmioty świata, z saméj istoty swojéj widzi się niższym od tego, który tkwi w tych przedmiotach. Przewaga tego skrytego pierwiastku to nie materya. Jest sfera *przyczyn* i *celów* tkwiąca w każdym przedmiocie, sfera któréj nie uznaje wprawdzie czysty materyalista, ale która niezależnie od tego nieuznawania istnie i działa (1), jest w istotach odróżnionych od innych bogactwem władz

(1) „*Nieznajome* łączy się z materyą w kształcie *przyczyny*" Herb. Spenc. *The first principles*. § 48. Naturaliści najnowszego zwrotu, od znanego dzieła Darwina z roku 1859, mówiącego o walce o byt na ziemi, do dziełka z roku zeszłego D-ra Karola Perl które ma napis „Walka o byt na niebie" *(Der Kampf uns Dasein am Himmels)* to jest śród sfery gwiazd, a mówi w swéj treści o *zweckmässiger* Weltsysteme, zmuszeni są wszyscy mówić o *celowości*.

(ludziach) sfera *uczuć* i *myśli*. Jest więc słowem w świecie sfera wewnętrzna jak jest zewnętrzna, a przeto jest i strona duchowa jak materyalna. Różnice śród ich treści dobitne, dla przykładu wspomnimy chociaż o jednéj. Treść natury zewnętrznéj wielka jest i wspaniała, ale jest zawsze jedna, niezmienna; — to słońce np. które dziś świeci dajmy 1-go Lipca w dniu tym świeciło podobnie i za Juljusza Cezara, —te cechy, przymioty zwierząt, które naturalista dziś bada, są to literalnie te same jakie określał niegdyś Arystoteles, gdy pisał o rozrodzie, składzie, dowcipie, instynktach i obyczajach zwierząt w swojéj „Historyi zwierząt“. Ale przed Szekspirem i Dantem czy istniał inny Szekspir i Dante? lub inny po nich? Każda przychodząca na świat jednostka ludzka to w swoim odcieniu *nowość* i sprawy jéj nowość. Te sprawy za każdém ich ukazaniem się, dopełnieniem, jest to przybytek i zjawisko jakieś na ziemi, nieznane jéj od dni jéj nastania. Dowód to, iż nietylko istniał przed wieki lecz że téż istnie zawsze śród świata pierwiastek twórczy, i że tego, do pewnego stopnia, na pewną skalę, dziedzicem jest i sam rodzaj ludzki. Istoty tego rodzaju tak podobne do wszystkich innych na ziemi swoim zewnętrznym składem, pierwiastkiem tym różnią się od nich o całe niebo. Badać treść takich istot, tych ich pierwiastków, jest to więc badać stronę tajemną świata, stronę duchową, zwierzchnią. Badanie natury zewnętrznéj jest bezwątpienia czynnością wzniosłą, żywotną i stawiającą za każdym swym zwrotem krok nowy do rozwiązania kiedyś zagadek bytu, — ale badanie wewnętrznéj samo przynieść może to rozwiązanie.

Tych kilka myśli nastręczyło nam położone na czele tego artykułu nazwisko, które nie mogło nie przypomnieć dobitnie terminów takich, jak *wyjątkowość*, *nowość*, *duchowość*, a tém samém i bieżących kwestyj o tych przedmiotach. Celem tu naszym jednak nie jest bynajmniéj ani rozwijanie bliższe tych kwestyj, ani nawet stałe oznaczenie stosunku autora, o którym mówić mamy, do owych przedmiotów, to jest określenie już dziś *całości* jego znaczenia. Kraszewski pisze i tworzy już blisko od pół wieku, lecz jednostce, któréj daném było okazać się fenomalną w stronie duchowéj, może téż daném będzie okazać się takąż i w materyalnéj; być może iż dzisiejsze objawy jéj działalności są to objawy nie zejścia ale dopiéro kwiatu jéj istnienia, nie możemy więc naturalnie mówić o czémś jakby skończoném, co jeszcze nie jest skończoném. Celem naszym jest tu właściwie wyrazić tylko kilka pobieżnych uwag o treści i charakterze tych jego ostatnich produkcyj, którym dał nazwę *Powieści historycznych*, by zaś te jaśniejszemi się stały, stosownem sądzimy bę-

dzie, powiedzieć najprzód słów kilka tak o ogólnym charakterze, jako też o ogólnych zasługach tego autora.

I.

Faktem to jest, iż każda jednostka ludzka jest dziedziczką ducha żywego i że taka lub inna miara, taka lub inna barwa tego pierwiastku odznacza właściwość każdéj. Mamy tu mówić głównie o barwie i barwach, gdy jednak przedmiotem naszym staje się umysłowość, duch taki jak jest autora „powieści historycznych“, tedy nie możemy tu przedewszystkiém nie zwrócić uwagi na piérwszą z tych cech, t. j. na miarę. To czém Józef Kraszewski dziś najpowszechniéj i głównie zwrócił na siebie uwagę, co najdobitniéj odkréśla jego wyjątkowość, jest to ta miara ducha jaką otrzymał.

Kraszewski (że objaśnimy praktycznie), jest dziś, widzimy autorem stałych tygodniowych korespondencyj do kilku, czy kilkunastu pism czasowych w saméj Warszawie, — każda z tych właściwością jego pióra i myśli jest odznaczona, w każdéj jest sprawozdawcą z najświeższych faktów ze sfery nauki, sztuki i zjawisk społecznych. Sam warunek uczynienia zadość takiemu skutkowi, obowiązek odczytania, rzec można w ciągu dni kilku, kilkudziesięciu dzieł i napisania kilkunastu sprawozdań, dla zwykłéj jednostki ludzkiéj byłby już nad jéj siły; dla Kraszewskiego jednak jest to czas tylko rozrywki, czas odetchnienia, główne chwile bowiem w tymże przeciągu poświęca on na tworzenie i ogłaszanie dzieł własnych, a dzieł które, powiédzmy to z góry, coraz dobitniéj i świetniéj odrębność i wszechstronne wykończenie odznacza. Autor, który wzbogacać tak zdolny każdy tydzień literatury, jakże, wnieść to jest łatwo, wzbogacić ją musiał w ciągu pół wieku. Zasługi takiéj nie będziemy też nawet zdolni przedstawić w jéj pełni, i uwagę obecną wtrąciliśmy też i na to, aby ostrzedz, iż powiedzieć tu nam tylko wypadnie o rysach jéj głównych.

Kraszewski jest autorem; cechą i główném źródłem jego zasługi jest przeto *twórczość*. Ta twórczość, główny i wyjątkowy przymiot ducha ludzkiego, jakoż się w swoich skutkach objawia? Drogi i sposoby jéj objawiania się w różnych jednostkach ludzkich są różne, ale śród licznych tych dróg, stosownie do przedmiotu, który wypada nam dotknąć, zwrócimy tu mianowicie uwagę na dwie następne. Twórczość w utworach dzieł ludzkich, w jednéj gałęzi tych dzieł objawia się jako *tworzenie* właściwe, t. j. jakby dalszy rozwój natury, przynoszący w jéj treść z gruntu nowość; a taką jest np. cała sfera myślenia jako myślenia *(filozofja)*, pośród sztuk pięknych

muzyka, poezya wewnętrzna, *wynalazki* i t. p., w drugich jest *odtwarzaniem* t. j. pochwytywaniem przez umysł przedmiotów świata i jakby ich powtarzaniem przez dzieła rąk ludzkich, a tu należą: *Historya*, śród sztuk pięknych sztuki plastyczne: *Rzeźba, Malarstwo*; Poezya *przedmiotowa* i t. p.

Któraż z tych dwóch twórczości t. j. z tych dwóch jéj dróg jest własnością autora, o którym mówimy?

Całość ducha ludzkiego, właściwie mówiąc, jest jedną we wszystkich ludziach, kształci ją bowiem jeden duch *rodzajowy*, duch ludzki; ale ta całość ogólna składa się z cząstek, których treść jest już w większém już w mniejszém uśpieniu, i objawia się już przez większe już mniejsze obudzanie się ich. Bogactwo tych ocuceń to miara ducha, rodzaje tych ocuceń to rodzaje twórczości i różnych dróg jéj. Każdy umysł zdolny jest i do tworzenia i do odtwarzania, każdy poeta może być i podmiotowym i przedmiotowym; to jednak co charakteryzuje i co odkreśla głównie jednostkowość daną, są to te cechy i barwy, które *przeważają* w utworach jéj. Otóż głównym przymiotem i główną cechą, które odznaczają największą liczbę utworów Kraszewskiego, a w tych utworach najdobitniéj i najbogaciéj jego właściwość, jest to dar *odtwarzania*.

Przymiot ten jakże się mianowicie w nim wyraził, w swoim rozwiciu?

Czas, w którym Kraszewski spójrzał był poraz pierwszy na świat był to czwarty dziesiątek naszego stulecia. Spójrzał on był z jednéj strony na moralne objawy ówczesnéj czynności kraju, z drugiéj na to towarzyskie życie, śród którego się znalazł; a pióro jego w obu tych kierunkach rozpoczęło proces swój odtwarzania. Kolej pierwsza stała się była źródłem jego korespondencyj do pism czasowych o tych objawach umysłowości, które był poznał, zaś kolej druga odbiciem tych uczuć i wrażeń towarzyskich, które był doznał, t. j. źródłem piérwszych kroków w gałęzi, która następnie stać się miała reprezentantką główną jego twórczości, w gałęzi *Powieści*.

Tak rozpoczął autor swój zawód, ale owo bogactwo ducha które był posiadł, jego warunki, nie dozwoliły mu pozostawać długo w tych tylko granicach. Przedmiot ów, odtwarzanie jedynie swéj spółczesności, wnet mu się wydał za ciasnym, i zapragnął rozszerzyć go wstecz. Pragnienie to wymagało więc najprzód poznawania przeszłości, dziejów, a droga ta poznawania kazała spotykać się z czasem, z którego idące świadectwa wymagały oceníeń, porównań, więc kształcić *sąd*, daléj zaś dochodziła do czasów, śród których nie napotykał już żadnych świadectw, i aby w nich mieć przedmiot do odtwarzania musiał go piérwéj tworzyć fantazyą, kształcić

fantazyą. Stało się więc iż (czyli to było następstwem owych przebytych dróg, czyli iż żywsza czynność pierwiastków tych była przyczyną tych dróg) lecz w każdym razie stało się, iż *fantazya*, *dzieje* i *sąd* czyli uosobienie ich: *Poezya*, *Historya* i *Krytyka* miały to być trzy działy czyli trzy formy, w których się wnet rozwinęła i objawiła, i przez cały bieg dalszy życia głównie objawiać miała *czynność* Kraszewskiego.

Przypomnijmy i zbliżmy objawy te, i o każdym z tych działów lubo możliwie najkrócéj, powiédzmy tu po kolei.

A najprzód o dziale *Poezyi*.

Kraszewski czyż jest poetą? Kiedyśmy, przypominamy, lat temu dziesięć zapytali jednego z nieżyjących już dziś uczonych ekonomistów naszych, a wielbiciela wielkiego zasług Kraszewskiego czy zna jeden z nowszych jego utworów *Hymny bolcści*, odpowiedział nam, iż tego utworu nie zna i ciekawym go nie jest, „Kraszewski bowiem, dodał, nie jest poetą“. Zdanie to było to zapewne zdanie lepszego znawcy ekonomii niż poezyi, jest to jednak, ile nam wiadomo, zdanie u nas czytającéj większości, a nawet i śród samych zwolenników poezyi; przyczyna zaś ta jest: iż za istotę poezyi najpowszechniéj dziś jest uważaną jéj forma, wiersz, a rytmiczny wiersz Kraszewskiego niéma wyższéj precyzyi i sztuki słowa. Jeżeli jednak przez poezyą, stosownie do pierwotnego znaczenia tego wyrazu mamy rozumiéć *utwór* t. j. widok czegoś *nowego*, lub nawet (jak to jest uznawaném powszechnie) dzieło lotu Fantazyi, tedy autor tysiąca obrazów z dziejów nam spółczesnych, jakkolwiek nie w szacie rytmów tworzonych, i takichże obrazów z czasów nawet przedhistorycznych, siłą téj fantazyi wskrzeszanych, jakąż inną może mieć nazwę jeśli nie poety? Kraszewski jest dziś jednym z naszych pierwszorzędnych poetów lubo nie w szacie rytmu; lecz oto i poezya rytmiczna miała i ma w nim niepowszedniego, i zdaniem naszém nie średniéj tylko wielkości swego przedstawcę.

Jak zaraz po piérwszych zwrotach do pióra, uczuł był niegdyś w sobie młody autor, obfitość poetycznych uczuć, poetycznéj fantazyi, dowód jest w fakcie, iż wkrótce po owych najpierwszych krokach, o których wspomnieliśmy, napisał był i ogłosił już nie wierszyk jeden lub drugi ale dwa tomy poezyj (Poezye Józ. Kraszewskiego T. 2. 1838 z wizerunkiem autora) i że prawie najpierwsze kroki swe na téj drodze rozpoczął od rodzaju utworów, które się uważają dopiéro za uwieńczenie i szczyt produkcyi poetycznéj, t. j. od dramatów 5-o aktowych i Epopei.

O dramatach wspomnimy niżéj, co do epopei była to *Anafielas*.

Anafielas (Góra *niepamięci*, Styks grecki) poemat mający na celu wskrzesić znikłą przeszłość starolitewską w głównych jéj rysach, złożył autor z trzech części czyli trzech oddzielnych poematów, w pewnym przeciągu jeden po drugim ogłaszanych, a témi były *Witolorauda* (1840), *Mindows* (1843) i *Witoldowe boje* (1845). Pierwszy był śpiewem (raudą) o dziejach olbrzyma *Witola* z czasów mitycznych; drugi historyą księcia, założyciela granic Litwy staréj; trzeci historyą dzieł głównego jéj bohatera.

Już w samych tych ramach trilogii widać było i całe bogactwo i wrzenie piérwszego lotu fantazyi. Młody a czujący zapas swych umysłowych bogactw poeta, w pierwszym z poematów tych miał, jak się zdaje, zamiar samego ojca poetów już nietylko doścignąć ale prześcignąć. Jeśli bowiem bohaterem Iljady był bohater zwycięzca ludzi, bohaterem Witoloraudy był bohater zwycięzca bogów (woli bogów), jeżeli Homer opisaniu nieba greckiego poświęcił w poemacie swoim kilka ustępów drobnych, autor opisaniu swojego cały prawie tenże poemat. A jeśli tak zdał się obchodzić z ojcem poetów, jakoż dopiéro spoglądał na spółczesnych i sobie blizkich. Począwszy pisać za lat głównego rozkwitu i ogólnego pociągu w kraju do romantyzmu, Kraszewski, uważać można, nie tylko nie naśladował głównie wtedy upodobanych w poezyi form (jak np. sonetów, legend, ballad i t. p. i nawet mówił wyraźnie: „Nie chciałbym *piosnki gminnéj* wydymać jak balon, iżby się nie rozpękła jak balon“ *Now. Stud.)* lecz téż nie było w nim widać nigdy i w niczém uwielbienia dla ówczesnego mistrza poezyi w kraju. I owszém, w krokach tych pierwszych widne było raczéj współzawodnictwo. Kraszewski z Mickiewiczem nie walczył wprawdzie jawnie jak Słowacki, i nie usiłował jak ten na własném pokonać go polu t. j. śród sfery poezyi serca i sztuki słowa, lecz chciał go, rzec można, milczkiem, faktami, o głowę przerość. Mickiewicz ogłosił był dwa poemata z dziejów litewskich Grażynę i Wallenroda, ale koloryt pierwszego mógł się równie uważać za koloryt staréj Burgundii jak staréj Litwy, koloryt drugiego był raczéj kolorytem wieku XIX jak XIV. Kraszewski oddał się był najprzód studyom téj starolitewskiéj przeszłości (owocem ich było ogłoszone następnie dzieło *Litwa* etc. o którém niżéj) i wydał swe Anafielas. Nicią tych trzech poematów, które składają Anafielas jest jak rzekliśmy przeszłość starolitewska. Prócz téj nici niéma ono innéj całości. Każdy z poematów tych, pewną przy tém oddzielną cechą jest odznaczony. Witolorauda opiewająca czas, w którym na ziemi litewskiéj prawie jeszcze nie było ludzi, jest też wizerunkiem i zbiorem raczéj tylko malownych pejzaży nie ludzkich serc. Poemat trzeci *Witoldowe boje*, który począwszy

od poetycznéj kolébki Witolda, do również poetycznego opisu chwil jego zgonu, miał za zadanie skréślić główne momenta życia tego bohatera, zdaniem naszém nie wykonał tego zadania, mówił bowiem tylko o jego bojach i uskutecznił to w kolei ustępów, które ani artystycznie z sobą są powiązane, ani odpowiednią wartości przedmiotu sztuką są odznaczone. Ale klejnotem istotnym, brylantem w téj poetycznéj kopalni przeszłości starolitewskiéj, jest poemat środkowy *Mindows*, jest to historya życia jednego z głównych bohaterów Litwy dawnéj, pierwszego i jedynego jéj króla, od dni młodych do śmierci, we wszystkich kolejnych przejściach, z całém jéj otoczeniem, z prostotą słowa, poważnie, ale wiernie, szczegółowie i barwnie opowiedziana. Stawiąc Kraszewski ten utwór swój przeciw utworom śpiewaka Grażyny, liczył oczewiście na rodzaj swych sił, i rzec można, obrachował dobrze swój grunt. Jeśli w jakiéj gałęzi utworów tedy właśnie w gałęzi poezyi, najdobitniéj dają się widzieć owe dwie różne cechy w umysłach twórczych: *tworzenia* i *odtwarzania*. Poeci z cechą pierwszą, tak zwani *podmiotowi* wewnętrzni, są to poeci, którzy całą przedmiotowość, zewnętrzność, któréj dotykają stapiają w sobie, a takim był właśnie Mickiewicz; twórcy zaś z cechą drugą, poeci *przedmiotowi* są to poeci, którzy całą osobistość swoją grzebią w przedmiocie, a takim był właśnie Kraszewski przez ów swój dar *odtwarzania* (1). Prawdą wieku, kolorytem historyczności, prześcignął więc był istotnie w poemacie swoim poemata rywala. Stara Litwa w poemacie Mindows przedstawiła się jakby wskrzeszona z widokiem jéj ówczesnych jednostek z klas wszelkich, jéj bogów, jéj obrzędów, zwyczajów, obyczajów, piosnek i t. p. Mężkie i żeńskie typy poematu tego chociaż są z tychże czasów, z których Grażyna i Wallenrod lecz są różne jakby o wieki. Ów Mindows śpiący na ziemi, przykryty niedźwiedzią

---

(1) Mickiewicz był przeważnie i silnie *podmiotowym* tylko poetą. Dowodem główni bohaterowie jego: *Gustaw, Wallenrod, Halban, Konrad, Jacek Soplica* (familja Ankwicz) i sam *Tadeusz* Soplica (typ reminiscencyi poety z r. 1811, z pierwszych młodzieńczych wrażeń), gdzie silniej był przedmiotowym tam stawał się prozaicznym więc nie był sobą (wskażemy na *Sąd* w Konradzie). Zdaje się, iż jest to potrzeba jakaś i warunkiem natury, iżby przy obudzeniu się natchnień poetycznych i ich reprezentantów na większą skalę, uosobiały się zaraz na skalę równie dobitną oba kierunki, a takim np. okazali się byli w ostatnich czasach, spółcześni sobie w literaturze niemieckiej *Göthe* (realista) i *Schiller*, w angiels. *Walterscott, Byron*, we francuz. *Dumas* (ojciec) i Wikt. *Hugo*, u nas jako dwa najdobitniejsze pod tym względem a spółczesne sobie kontrasta wskazani właśnie być mogą: Mickiewicz i Kraszewski.

skórą, mówiący słowem prostém o bojach, to nie ów wymuskany i tak poetyczny w dykcyi Litawor, ani tym więcéj tak wyidealizowany Wallenrod. Tym więcéj niewiasty. Ta, tak skądinąd cudna, kochanka Konrada, dzieckiem jeszcze chcąca pożyczać piórek od skowronków, aby pod niebo ulecieć, a dziś z lochu westchnień i łez wołająca „teraz skowronki o nic was nie proszę“ (bom poznała wielkiego Boga i ukochała wielkiego męża), to raczéj entuzyastka z wieku XIX niż Litwinka z XIV. Nie takie téż widzimy kochanki Mindowsa w Mindowsie, pierwsza była mu wierną żoną chociaż zabił jéj ojca, druga wierną kochanką choć miała męża, a gdy ujrzała z okna posłańca po siebie, „Gońca widziała, jakby nie widziała, perły nizała i piosnki śpiewała“. Ale nieszczęściem to było staréj litewskiéj narodowości (jako narodowości) iż miała dziejowo się złączyć z narodowością jednego z plemion słowiańskich, które (jak o tém wspomnimy wnet niżéj) miało się stawać źródłem bez wiedzy prawie i chęci szczególnéj asymilacyi plemion, dziś więc dla potomków owych Litwinów, o których Anafielas opiewa, te opiewane dzieje taki tylko mogą obudzać pociąg ile go ma każda jednostka ludzka dla czasu niemowlęctwa swojego, którego nie zasięga pamięcią, lub nawet właściwiéj do czasu, który poprzedzał jeszcze przyjście jéj na świat. Źródłem wrażeń, a więc źródłem znaczenia kompozycyi wszelkiéj, jest miara pociągu ku niéj. Im więcéj te obrazy które kreśliło Anafielas były dziejowo wierne, im dobitniéj się odnosiły do całkiem odmiennych ludzi, innego wieku i czasu, tym mniéj mieć mogły pociągu dla serc dzisiejszych. Który z poematów owych, spółzawodniczących, miał wyjść zwycięzcą? okazał to czas, a źródłem tego skutku, sądzimy, był nietylko wysoki rytmiczny artyzm poety zwycięzcy, ale téż właśnie ten szczegół, że te serca i charaktery, które opiéwał, były to charaktery i serca nie tyle starolitewskie ile ogólno ludzkie, i należéć mogące do wszystkich wieków do wszystkich czasów (wszakże i sam ów Mindows na chwilę chrześcijanin i król miał coś „ze zdrajcy mistrza“ i sama Aldona była to bohaterka z wieków i rzetelnych pustelnic i Heloizy), lecz kładąc na bok sympatye, wyższość historycznego kolorytu czasu i miejsc w poemacie Mindows jest faktem, i utwór ten jest bez zaprzeczenia dziełem, jakkolwiek nieuwieńczonego za poezyą przez kraj poety, ale poety.

Prócz Anafielas jest téż Kraszewski autorem więcéj niż 20-u sztuk dramatycznych, różnych miar, koloru i dykcyi. Dwóch tomików poezyj z r. 1838, o których wspomnieliśmy, wydał w r. 1843 nowe *pomnożone* wydanie; a nadto w r. 1857 *Hymny boleści* i 1859 Sielankę *Wioska*. Te drobne poezye autora wszystkie prawie mają

za przedmiot kreślenie uczuć własnych, przeto poezyą wewnętrzną podmiotową, a ta nie jest stroną silną autora. Wiersz autora nieraz cechuje rzewność, zawsze uczucie, niekiedy dowcip; ale uczucia te są to najczęściéj uczucia powszechnie znane, przeto nie *nowość* (poezya). Za słabą też zwykle jest mianą budowa tego wiersza. Wiersz Kraszewskiego w swym składzie ma jakąś żeńskość, rozwlekłość, jest on, rzeklibyśmy, pod tym względem podobnym do rytmów autora Przedświtu (z wyjątkiem rytmów w Przedświcie), gdyby skądinąd mistyka oraz ton zawsze wieszczy tego ostatniego nie wzbraniały czynić porównań tych dwóch autorów.

Poeci przedmiotowi przeważnie, coraz ściśléj stopniowie łącząc się z realnością, kończą zwykle na prozie (tak był np. skończył *Walterscot*) i autor Anafielas wszystkie daléj poemata swoje ogłaszał nie w szacie rytmów lecz prozy *(Powieści)*. Powieść to gałąż poezyi lecz o utworach autora w gałęzi téj, jako związanych bliżéj z naszym przedmiotem głównym, powiémy niżéj oddzielnie.

Co do dramatów, pierwsze z nich (jak *Halszka*, *Mołnia* i t. p.) w których treść wciskał autor poezyą wewnętrzną, słabsze były; w ostatnich rozmiarem i charakterem różnych, i treścią których przeważnie jest przedmiotowość, jest zwykle mistrzem (za przykład dajemy *Portret*).—To o poezyi.

O *Historyi* pół słowa tylko powiemy. Badaniami i szperaniami swemi, które poświęcał dla poznania przeszłości kraju, Kraszewski dzielił się zawsze z czytelnikami. Ztąd inny szereg prac jego, prac historycznych, które oddzielnie wzięte już dałyby autorowi swemu nazwisko zasłużonego pisarza i pracownika. A tu mianowicie należą następne jego dwa dzieła:

Wilno od jego początków do r. 1750. Tomów IV. (1838—1840). Tom 1-y tego dzieła był jednocześnie pisany i prawie jednocześnie wydany z *Historyą m. Wilna* Michała Balińskiego, a poprzedzał o lat kilka *Obraz Litwy* Jaroszewicza.

Litwa od jéj początków do r. 1836. T. 2 (1847—1850). W pracach tych historycznych Kraszewski jeśli nie był kopaczem źródeł, tedy jednak był pracowitym i wiernym architektem. Dzieło Litwa jest ile wiémy, najpóźniejszym dotąd wyrazem badań tego przedmiotu, śród których pierwszym kolosem był *Norbutt*, wykazaniu téż rzeczywistych zasług tego pracownika, poświęcił tu autor trafny ustęp. Dzieło to, w którém Kraszewski zbliżył wiadomości o dziejach, wierze, obyczajach, pieśniach, podaniach i ustawach Litwy dawnéj, wskazuje właśnie na źródła, na których się oparł gdy kreślił swe Anafielas.

Jako na publikacye z tymże głównym przedmiotem (dziejów i ich badania) związek mające, wskażemy na różne *Wspomnienia*, *Podróże* po prowincyach miejscowych samego autora, oraz na prace jego, które miały za przedmiot sztukę i przeszłość jéj w kraju, a do tych ostatnich należą między innémi, dziełko: *Sztuka u Słowian* szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiéj (1860). *Ikonoteka polska* po francuzku (*Collection iconographique Polonaise* 1865 Drezno) i t. p. Napomkniemy zaś tylko, iż autor jest też wydawcą nieskończonéj liczby rękopismów, jako materyałów do dziejów, wypadków i obyczajów kraju, które noszą napisy *Podróży*, *Poselstw*, *Dyaryuszów*, *Pamiętników* i t. p., a które jakby dla sprawdzenia misyi jego do odtwarzania przeszłości, wpadały mu jako pomoce w rękę.

Równolegle z temi dziełami i utworami w gałęzi poezyi i dziejów, ogłaszał i rozwijał też autor sąd swój czyli *krytykę*; zrazu o dziełach naukowych, o dziełach sztuki, a następnie i o rozwojach społczesnych czyli polityce. Głównym polem i formą tych jego sądów były i są dotąd *korespondencye* do pism czasowych wydawanych w Petersburgu, Wilnie, Warszawie, a także ogłaszane od czasu do czasu już zbiorowo, już peryodycznie organa własne, jakiemi były: *Ateneum* od r. 1841—1851, *Gazeta Polska* 1860—1862. *Przegląd Europejski* 1862, *Tydzień* 1870, *Rachunki* (jakby rachunki sumienia krajowego, w różnych gałęziach w ciągu roku objawianego) 1866—1870 i t. p. prócz zaś téj krytyki bieżącéj, a przez pół wieku nigdy nieprzerwanéj, wydawał też autor, lubo zrzadka, i oddzielne krytyce poświęcone prace, a takiemi między innemi były: *Studya literackie* T. 2. 1842, *Nowe studya literackie* T. 2. 1843, *Rozbiór systemu Trentowskiego* 1847, wyd. 2-e 1862, *Gawędy o literaturze i sztuce* 1857 i 1866, *Dante* studya nad Boską Komedyą 1869 i t. p.

Ten pierwiastek sądu czyli ta krytyka rozlana śród pism i utworów Kraszewskiego, jakąż ma barwę? Dwie owe cechy główne umysłowości jego: *bogactwo* oraz dar *odtwarzania* i w tym oddziale prac jego wyraziły się także. Bogactwo stało się źródłem tego skutku, iż autor sąd ten swój czyli krytykę zwrócił i zwraca nie do jednéj tylko lub drugiéj gałęzi, ale prawie wszechstronnie, więc np. do oceniania zjawisk literatury właściwéj, sztuk pięknych, filozofii, historyi, polityki i t. p. a także iż jakkolwiek tym zwrotom zdaje się tylko poświęcać czas odetchnienia, nie było w nich jednak widać nigdy, skąpienia czasu;—dla krótkiego lecz jasnego przykładu wspomnimy tu np. iż drukując niegdyś rozbiór przekładu jednego z dramatów Szekspira (jeżeli się nie mylimy Hołowińskiego, w *Tygodniku Petersb.*) przekład ten porównywał już nietylko wiersz w wiersz ale

wyraz w wyraz (co było naturalnie nawet zbytecznem) z tekstem angielskim przez kilka scen,—iż zamierzywszy w owymże czasie pierwszy dać w *Studyach* swych próbki rozbioru naszych poetów dawnych, obrał między innemi za przedmiot i ów olbrzymi poemat Klonowicza (dotąd nawet przez żadnego z krytyków i tłómaczy prawie nie tknięty) *Victoria Deorum* i wszystkich jego więcéj 40-u rozdziałów razem z praktycznym rozbiorem treść podał, iż czyniąc studia nad główną Epopeą Włoską (Danta) pracy téj (ogłoszonéj niedawno najprzód w Pamiętniku Poznańskiego Towarzystwa naukowego) poświęcał oddzielne chwile przez lat kilkanaście, i t. p.

Jak zaś na sądy autora wpływ wywarł jego dar odtwarzania, to objaśnia jego kriterium. Kraszewski wyraził to był niegdyś od pierwszych kroków,—i zasady téj raz objawionéj dotąd trzyma się zawsze,—iż to co uważa za prawo, zasadę zdań trafnych, jest to opieranie się w tych zdaniach na *sądzie powszechnym*,—a więc jakby *odtwarzanie* w nich tego sądu (1).

Sąd powszechny jest to kriterium, kodeks, który bez zaprzeczenia ma byt istotny,—jest to bowiem naturalnem i prostem, że na dnie wszystkich serc ludzkich jako ludzkich musi tkwić pewna spólność, która odznacza treść ludzką i jest odbiciem warunków, które źródło swe mają i w ostatecznych przyczynach i w ostatecznych celach;—lecz oto właśnie jednym z warunków téj *treści*, w obecnym jej stanie, jest: iż śród szczegółów jej istnie pewny zamęt, że przeto w owym powszechnym sądzie tkwi nie zupełna jedność, zupełna jasność, lecz raczéj, kołatanie się, pewne wahanie, i różność w łączeniach się jego pierwiastków. A nadto, owa pierwotna jedność, jak to widzimy, rozpadła się w różność i stała się źródłem różnych gałęzi wiedzy, badań, dociekań, z których każda odbywa swój roślinny rozwój, i w sobie, i łącznie z innemi, te więc drogi specyalne należą do uprawy specyalnéj i nie mogą już być przedmiotem i treścią sądu spólnego. Gdyby np. system Kopernika (jak to ktoś kiedyś zauważył trafnie lubo z okazii innéj) był oddany pod głosowanie powszechne, wypadek sądu czyliżby się okazał zgodnym z istotną prawdą? Sąd powszechny nie jest to więc bezwzględnie kriterium wierne,—a opieranie się na niem, jest to czerpanie, rzec można, nie z przekonań własnych, nie z zasad uznanych już przez siebie za pewne, nie z poprzedniego

---

(1) „Krytyka, pisał autor w swych *Studyach* z r. 1843. winna dziś uznać za swe jedyne prawidło *sąd i smak ogółu*.. Krytykiem najsprawiedliwszym i jedynie namaszczonym nazwę dziś tylko tego, który *instyktowie* będzie umiał trafić w sądy mass.” *Now. Stud.* I. 25.

rozbioru i ocenienia znaczeń gałęzi rozwoju, ich wszechzwiązku, celów, i t. p. ale jest to dopiéro jakby podsłuchiwanie sądu większości.

Z tém wszystkiem skoro zarazem faktem to jest: iż istnie na dnie serc ludzkich ów pewien sąd spólny, sumienie spólne, tedy też przeczyć nie można iżby kriterium to nie było kriterium istotnem, a nawet żywotnem dla ogólnych przynajmniéj zasad, warunek tylko iżby przewodnikiem w jego użytku była *umiejętność*,—„umiejętność“ mienia na względzie, aby to co się ściąga do ogółu nie było odnoszoném i do szczegółów, i nawzajem iżby to co tylko jest szczegółem nie branem było za ogół;—pierwszy z przypadków tych mógłby sprawiać *stanność* w kształceniu gałęzi, przypadek drugi mógłby dać *jednostronność*. Otóż zdaniem naszem Kraszewski posiadł właśnie tę umiejętność, i stąd też krytyka jego jest zwykle i jest prawie zawsze żywotną. Objaśnijmy to bliżéj.

Patrząc na różność odcieni w umysłach ludzkich jednostek, rzec można, iż tych odcieni jest tyle ile jednostek, ale uogólniając możliwie, da się ta różność podzielić na trzy wybitne gruppy.—na grupę w wyobrażeniach, w uczuciach któréj przemaga zawsze dobitnie pogląd *duchowy*, a przeto mistyka,—na inną, w któréj bujania umysłowe, więc *idealizm*, i grupę wreszcie któréj sąd kształcą i odznaczają przeważnie wrażenia zmysłów, przeto *realizm*. Jednostki odznaczone cechą pierwszą i drugą, stosunkowie mówiąc, należą do wyjątków śród mas ludzkości, grupa trzecia stanowi przeważną większość ledwo nie wszystkość; autor więc usiłując sąd własny oprzeć o sąd powszechny, oparł go właśnie był zrazu o sąd téj ostatniéj grupy więc o realizm;—lecz umiejętność owa, o któréj wspominaliśmy, wnet mu kazała uznać: iż grupa, o któréj sąd był się oparł to tylko grupa, iż do istotnych cząstek sądu powszechnego, zarówno jak realizm należą i idealizm i nawet mistycyzm, nie odtrącił przeto i tych pierwiastków, i owszem stopniowie je łączył. Stało się więc, iż realizm autora (jakkolwiek nie ręczymy czyli nie pozostał dlań zawsze godłem głównem) nie zamienił się w materjalizm, lecz coś nakształt jakby w idealno-realizm. Mistycyzmu zwolennikiem się nie stał i nikomu nigdy go nie narzucał, ale też i nie walczył z nim nigdy. Zwłaszcza dla tego oddziału mistyki, który się zowie religią, z uszanowaniem był zawsze. Autor wyrachował, rzec można z sądem powszechnym, jak odmienną i nie możliwą nawet byłaby społeczność bez etyki religijnéj, a jak różną i pożądaną z etyką religijną,—popiéra więc tę ostatnią. Nie wielbiciel idealnych wybujań, autor nie dzielił i nie rozwijał nigdy zasad takiéj lub innéj z estetyk znanych;—w ocenieniu tego co piękne mógł mieć

nawet własne jednostkowe uczucie różne od ogółu, uszanował jednak ten popęd ogółu, i zdaniem naszem, nie zbłądził. Opór o sąd powszechny odział więc sąd jednostkowy autora w barwy dodatnie.

Krótko wreszcie kończąc powiedzmy: iż lubo krytyka Kraszewskiego w ocenianiu gałęzi szczególnych nie posuwa się do ostatecznych krańców ich wyczerpania, jakkolwiek nie zdaje się ręczyć sama za dogmatyzm swych zasad, nigdy jednak w szczegółach swoich nie jest ujemną, jest przeciwnie zwykle dodatnią, żywotną, i przez czas tak przeciągłéj uprawy, odznaczyła nawet własny charakter. Ta krytyka Kraszewskiego jest to zawsze szereg poglądów trafnych, różnostronnych, praktycznych,—w szacie swojéj nie najeża się ona w masy cytacyj, które nieraz mają więcéj na celu popis samego krytyka jak dzieło oceniane, nie odziewa się w mgły poetyczne (jakiéj krytyki dał nam próbki Krasiński w zdaniach o Słowackim, a które zamiast stawać się objaśnieniem ocenianych utworów, same potrzebowały komentarzy) ale wyraża się zawsze słowem umiarkowaném, spokojném, jasném i przez to samo loiczném („co jasno powiedziane to jasno pomyślane,“ jak to niedawno trafnie rzekł któryś krytyk,—*was ist klar gesagt ist klar gedacht*) okrasza tylko niekiedy te słowa wyższy dowcip, niekiedy lekki sarkazm, lekka poezya a zawsze sąd stosowny. Jest to krytyka słowem, która i najszersze koło czytelników może pozyskać i najtrafniéj do przekonań przemawiać, i która przeto w rozwoju naszéj umysłowości bieżącéj nader pożądanym jest faktem.

W takich szczegółach rozwinęły się główne czynniki daru odtwarzania autora: jego Fantazya i Sąd. Przejdźmy teraz do bezpośrednich i najgłówniejszych tego daru objawień, to jest do odtwarzanych przezeń obrazów życia towarzyskiego—gałęzi *Powieści*.

II.

Powieść, była to jeżeli się nie mylimy, najpierwsza forma, najpierwszy utwór, od którego zaczęło pióro Kraszewskiego, i od dnia tego przez szereg lat nieprzerwanych, nieprzerwanych być może miesięcy, do dni obecnych, strumień tych jego utworów nie przestaje przepływać i skrapiać ziemi literatury krajowéj,—mimo czas i zapory niezwężając się w biegu swoim i nie niknąc, lecz owszem coraz bystrzejszym i szerszym ukazując się w swoim korycie.

Nie umielibyśmy ani wymienić nazwisk, ani nawet oznaczyć liczby, wszystkich w gałęzi téj utworów Kraszewskiego,—oprócz bowiem wydawanych oddzielnie, umieszczane one były bez przerwy przez te lat więcéj 40-u w najrozmaitszych, a w różnych stronach

kraju wychodzących pismach: czasowych, zbiorowych. jednorocznych i t. p. a z tych niektóre do następnych wydań dotąd nie weszły. Wszakże i to co jest nam znane, jest więcéj niż dostateczne do oznaczenia ich charakteru, jakości, oraz cech głównych.

Cóż jest powieść? jakie są naturalne warunki téj kompozycyi? jaki jest powód takiego jéj rozkwitu i rozpowszechnienia się na jakie patrzymy dzisiaj?

Od czasu jak musieliśmy uznać iż wszystko co jest, jest koniecznem, jest bowiem następstwem i objawem jednéj wielkiéj Harmonii, która tkwi w świecie; że nic przeto nie jest bez przyczyn, nie jest bez celu,—taka też lub inna odpowiedź i na powyższe pytania miejsce mieć musi. Powieść jest to jedna z form odtwarzania;—ale cóż jest w téj ogólnéj Harmonii ta forma? cóż jest i sam ten dar odtwarzania zjawiony w jednostkach ludzkich? Powiedzmy coś w tym przedmiocie bliżéj z *dobréj okoliczności*.

Nikt z nas zapewne nie zasiadał w radzie Ducha-Stwórcy kiedy się rozpoczynał świat bytów, ani był powiernikiem jego zamiarów, lecz naturalném jest mniemać, że byty te rozpoczęte zostały nie na przelotność, igraszkę, lecz na pewną trwałość. Wiele wprawdzie z tych istot, na które patrzymy (zwłaszcza ze świata roślin, zwierząt i t. p.) trwa zaledwo po dni kilka, chwil kilka, trwałość ich jednak przeciąga rozród i odnawianie się, i są one dziś takież jakiemi były za dni pierwszych swego zjawiska. Fakt ten czyliż jednak daje się widzieć i śród jednostek ludzkich? Żaden z ludzi jak to już uważaliśmy wyżéj, w swojéj odrębnéj całostce nie odradza się i nie ponawiają się nawet żadne odrębniejsze sprawy człowieka. Stąd też ten wniosek powszechny, że stanowiący właściwość jednostki ludzkiéj duch ludzki, ma oddzielne prawa trwałości swojéj. Ale oto i trwałość samych owych odrębniejszych spraw ludzkich i całego zewnętrza ludzkiego nie zdaje się być także zewnątrz planu stworzenia, a dowodem jest właśnie ten zjawiający się w ludziach dar *odtwarzania*.

W tem wprawdzie jak we wszystkiem na świecie, stosownie do skali pojęć naszych ludzkich, coś tylko poznawać, rozróżniać jesteśmy zdolni, ale fakta faktami są, a te dostrzegać się, łączyć i zbliżać mogą i muszą.

Pozór ludzki pochwyciły i odtworzyły sztuki plastyczne, sprawy ludzkie historya. To stało się już w samym poranku życia ludzkości, ale oto im wiek téj ludzkości staje się dojrzalszym, rozwicie jéj obszerniejsze, tym i sam proces rozrostu staje się szybszym, i szczegóły tego procesu są wydatniejsze. Zrazu rzeźba *odtwarzała* tylko rysy ogólne i tylko bohaterów i bogów,—i historya kreśliła

i zatrzymywała tylko dzieje królów i wodzów,—lecz malarstwo, poezya, rozściągnęły następnie do jednostek mnogich i do szczegółów mnogich tę sferę odtwarzania. Dzieje wzrosły, a ze wzrostem tym i ta sfera coraz się stawała i obszerniejszą i wszechstronniejszą. I dziś... cóż dzisiaj widzimy? Oto iż z jednéj strony, nie kilku, nie kilkudziesięciu, ale rzec można milionów ludzkich jednostek rysy są codziennie pochwytywane i odtwarzane, a czynnik czyli sztuka, która to sprawia zowie się *fotografią*,—a z drugiéj strony, miliony serc ludzkich i przygód ludzkich ze wszelkiemi odcieniami przejść swoich i rysów, są kreślone, rozwijane i odtwarzane,—a czynnik, czyli gałęź poezii, która to sprawia zowie się *powieść*.

Istotą i zadaniem powieści jest przeto, jak to widzimy, pochwytywanie i odtwarzanie przygód codziennych jednostek ludzkich, ich charakterów, uczuć, związków i t. p. najpierwszym zatem i głównym warunkiem téj kompozycyi musi być *wierność*.

To pierwszy, czyliż i jaki wymaganym być może zarazem warunek drugi?

Świat nasz to świat harmonii,—każdy szczegół, zarówno szczegół bytu jak odtworzenia, jeżeli z jednéj strony następstwem jest takich lub innych przyczyn, tedy z drugiéj i sam też przyczyną staje się takich lub innych następstw. Powieść jest to, widzimy, utwór mający szczególny magnes w swéj treści,—żadna gałęź piśmienna nie jest tyle poszukiwaną, tyle rozchwytywaną w handlach księgarskich jak powieść. Gałęź takiéj czynności, takiego wpływu, czyliż by więc nie miała mieć innego znaczenia, a stąd i innego warunku jak portret, jak podobieństwo?

Powieść jest to na drobną skalę historya ludzka, lub raczéj jest to rozszerzenie drobnych praw ludzkich na wielką skalę. W dziejach drobnych jak wielkich jest z pewnością pewien ład, pewne prawo, lecz gdy źródłem i kierownikiem tych dziejów jest jakiś rozum wyższy niż ludzki, a stąd i skale rozwoju ich są nader szersze niż ludzkie, przeto i szczegóły tych dziejów równie wielkie jak drobne, przed okiem chwili jako bezład i zamęt wydawać się muszą. Otóż powieściotwórca tworząc obraz na skalę własną, to co drobne w naturze może rozszerzać, co szersze zwężać i ścieśniać, a jeśli w talencie swoim mieści dar odtwarzania nietylko pozorów lecz i owego *prawa wewnętrznego*, utwór jego staje się natenczas nietylko wizerunkiem ale lekcyą. Ta lekcya jest to więc warunek drugi powieści. Właściwie nie jest to warunek, lecz przymiot, kolor, gdy jednak ten taki lub inny kolor to warunek rzetelny żywotności danéj powieści, musi być przeto mianym na względzie głównym przy zwrotach sądu.

Cóż teraz o powieściowych utworach Kraszewskiego rzec można i rzec należy pod względem obu tych cech?

A najprzód, czy może im być przyznanym przymiot wierności?

Wierność to wyraz krótki, lecz aby dany utwór zyskał sobie przyznanie tego przymiotu, trzeba nie mało.

Cóż sprawia w umyśle czytelnika przyznanie, iż obrazy téj a téj powieści są wierne?—oto, ich *ekspozycya*.

Jeżeli ten obraz z życia, który spotykamy w powieści jest podobnym do tego, któryśmy widzieli w naturze tedy to naturalne, że przyznajemy mu wierność,—ale żaden czytelnik nie zna całości natury, każdy z ludzi może znać jakieś cząstki nieznane innym, cóż wtedy może w nas wpłynąć na owo przyznanie? Jeżeli ekspozycya w powieści jest tylko opowiadaniem lub wzmianką, jak to np. ma miejsce w powieściach mających napis *Tysiąc nocy i jedna*, tedy umysł czytającego nie może uznać, iżby to o czém czyta było istotną prawdą, może wprawdzie tę treść uważać za prawdę jeżeli autorowi jéj wierzy, ale nie może poprzéć téj wiary i *przekonaniem*;—lecz jeśli kreślony obraz osób i dziejów ich, daje nam poznać nie tylko same nazwiska tych osób i dziejów, lecz też ich myśl i odcienia ich myśli, jeśli dzieje te kreśli przez sytuacye i odcienia tych sytuacyi, jeśli zwłaszcza i te myśli i dzieje rozwija przez słowa osób, przez dialogi, to taka expozycya jako złożona z pierwiastków skądinąd nam znanych i zdolnych w nas obudzić przyznanie ich prawdy, może zrodzić i przekonanie.

Powieści Kraszewskiego, których treść jak najmniéj jest podobną do powieści z Tysiąca nocy, braną jest bowiem zwykle z prawdy podręcznéj, jak najmniéj zapewne potrzebowałyby, dla zrodzenia przyznania wierności ich, pomocy téj ekspozycyi, ta jednak jako właśnie złożona z pierwiastków o jakich dopiéro rzekliśmy, tym więcéj wpływać musi na toż przyznanie.

Już sama ilość skreślonych przez autora obrazów powieściowych daje wnosić jak bogatą i rozmaitą być musi treść ich przedmiotów,—jaka masa przedstawionych w nich osób i dziejów ich. Jeżeli w obrazach innych znakomitych naszych twórców powieści (jakim byli np. lub są: Rzewuski, Kaczkowski, Korzeniowski, Chodźko i in.) przedmiot ich stanowił zawsze wyłącznie świat naszéj szlachty wiejskiéj, tedy w powieściach Kraszewskiego jakkolwiek świat ten bywał i jest także najobszerniejszą ich cząstką, ale jest tylko cząstką. Począwszy od owego niegdyś utworku, którym był zaczął szereg swych powieści, a który miał napis: *Wielki świat małego miasteczka* (1832 T. 2) i tegoż zaraz drugiego, który nazwał *Cztery wesela* a który mógł był mieć napis *wielki świat małych dworków wiejskich*

tj. obrazku, w którym po raz pierwszy uchwycił był i tak trafnie odbił pierwsze ciepło dusz młodych i tak nieporównanie codzienny potoczny dialog w mowie krajowéj, do tych jego utworów z lat ostatnich, w których kreślił już dwory monarchów, ministrów i dyplomatów, nie było prawie klasy, stanu, zawodu śród kraju, a śród tych stanów, zawodów—oddzielnych typów, którychby Kraszewski nie kreślił; a wierność każdego z nich podnosiła i wznosi zawsze ich ekspozycya. Od chwili, w któréj autor raz obrał taką lub inną do przedstawienia postać, czyli jest nią wieśniak czy król, dama świata lub finansista, traci rzec można z pamięci osobistość własną, przedzierzga się w tę inną, z całą naturalnością, pokojem, rozwija szereg właściwych każdéj sytuacyi, przygód i dziejów, jednym jakimś charakterystycznym rysem uczynku, wypadku, słowa, przenosi i czytelnika w ten świat;—tak iż ten w końcu nie tylko nie wątpi na chwilę, iż to co widzi przed sobą jest prawdą, ale zapomina nawet, że czyta powieść. Każdéj, od pierwszéj do ostatniéj powieści Kraszewskiego, najogólniejszym przymiotem jest wierność, mistrzowska wierność.

Cóż zaś wypada rzec o owym warunku drugim, o kolorze tych jego powieści? Jak źródłem cechy wierności w powieściach Kraszewskiego być musiał ów dar szczególny, o którym już wspominaliśmy tylekroć: odtwarzania przedmiotowości, tak źródłem takiego nie innego koloru ich być musiał ów jego *sąd*. Cechą główną koloru sądu Kraszewskiego jest, jak to uważaliśmy wyżéj, realizm, lecz zarazem i z idealnością i z mistycyzmem niejaka zgoda. Cechy te odbiły się i wyraziły też właśnie i w tle jego powieści. Czci autor przedewszystkiem realizm; powieść jego jest więc, jak krytyka jego, przedewszystkiem praktyczna, jasna, rozlaną i postrzeganą w około siebie prawdę ściśle odbijająca; do treści powieści jego niktby zwrócić nie mógł tego zarzutu, który niegdyś francuska krytyka zmuszoną była czynić najpopularniejszemu ze swych powieściotwórców (Eugeniuszowi Sue), iż z każdéj karty jego obrazów „tryska niepodobieństwo i naciąganie“. Autor nie tylko za przedmiot swych opowiadań nie obiera psychologicznych wyjątków, scen fantastycznych, lecz w układ jego powieści nie wchodzą nawet nigdy żadne sztuczne węzły zagadki lub zawikłania; czytelnik ogląda tylko zawsze przed sobą rozwijającą się prawdę, sceny jakby z własnego życia lub osób znanych, prawda i sama prawda staje się nawet w ten sposób jedynem źródłem interesu w powieści, t. j. oczekiwania jéj rozwiązania.

Jeżeli jednak w ten sposób autor w obrazy swe wnosi tę rzeczywistość, na jaką spogląda każdy, tedy—dodać to trzeba—przenosi też ją i powtarza z tymże zamętem, jaki w niéj każdy widzi. Autor

nie zdaje się wierzyć w żadne harmonie wewnętrzne i nie usiłuje też ich wcale przedstawiać w żadnych skróceniach. Żadnym wprawdzie obrazem, ani słowem, nawet nie potępia on bynajmniéj w utworach swych nigdy dążeń duchowych, nie kréśli apologii ułomności, nie kusi do występków i t. p.; autor, że objaśnimy to praktycznie, nie przedstawia np. nigdy w obrazach swych w ironii albo na pośmiech, jak to jest u nas dzisiaj (a przynajmniéj było niedawno) modą, sukienki duchownéj, lub z postępową ułudą—scen erotycznych; ale także nie kréśli wcale morałów, nie daje lekcyi. Rzecby można, iż autor uznaje nawet śród świata pewien porządek moralny, stworzony i kierowany rozumem Bożym, i że dla tego właśnie nie chce lub nie śmie objaśniać go rozumem ludzkim.

Jeśli wszakże, wtrąćmy to, drogi i sądy Boże są istotnie dla nas nie jasne, tedy jasném przynajmniéj jest to, iż są one różne, a wtedy wybór takich lub innych zależy już od woli autora, od stopnia takiéj lub innéj wiary, takiéj lub innéj miłości dla ich istoty. Kraszewski jest realistą, lub więc w biegach wewnętrznych nie widzi prawa żadnego, lub też jeżeli dojrzy jakie, w dojrzeniu tém (jak to najczęściéj zdarza się realistom) jest pesymistą. Dajemy przykład. Takie np. pierwiastki jak artyzm, poezya, nauka, zjawione śród świata ludzkiego, w jakimże zostają rzeczywistym stosunku do tego świata? Na świecie, zwykłym losem poetów bywał oddawna szpital, artystów nędza i t. p. Autor te prawdy dostrzegł i te odtwarzał. Śród powieści jego jest jedna, która miała napis *Poeta i świat*, druga mieć mogła napis *artysta i świat* (*Sfinks*), w trzeciéj (jednéj z najświeższych) jest w obrazie *uczony i świat*: pierwszy z nich skończył na kieliszku, drugi na klasztorze, trzeci na śmierci porannéj (każdy przeto na kłótni ze światem); i fakta te były, być może, wzięte istotnie ze świata, lecz być mogły wzięte i inne. Rzućmy bowiem na chwilę świat odtwarzania, spójrzmy na rzeczywisty, spółczesny nam, a widzićć da się, że owe dawniéj wyjątki, szczególne dary, prace, które niedawno jeszcze były jakby nieuznawane przez świat, a przynajmniéj poniżane lub pomijane, dziś owszem weszły z nim w jedność i występują jawnie na jego czoło. Poeci, nawet genialni poeci, taki np. wejmarski Göthe, taki angielski lord Beaconsfield, taki paryski Lamartine, czyliż nie byli lub nie są rządcami swych krajów? W tak rozwiniętéj społeczności, jak dziś we Francyi, każdy prawie wysoko uczony pisarz kończy dzisiaj co najmniéj na tece ministerialnéj. Jakoż i jeden z twórców naszych powieści, który wychodził w utworach swych zawsze z przekonania w byt pewnéj prawdy, harmonii, kreśląc w utworach swoich żywioły podobne: jako artyzmu, pracy, przedstawiał je w tych utworach w obłoku dodatnich ich szcze-

gółów, nawet w harmonii ze światem, ze szczęściem jednostek, i utwory jego z tą cechą (*Garbaty, Krewni*) pozostaną, sądzimy, utworami wartości stałéj. Otóż tego ciepła wiary, przekonań, nie spotykamy w powieściach Kraszewskiego; jeśli w którym utworze jego daje się spotykać celowość, jawne morały (jak to np. w jednym z jego utworów dawnych, fantazyi: *Szatan i Kobiéta*), tedy celowość ta zdaje się tu iść jawnie z namysłu nie przekonania, jak to objaśnia nawet w części samo nazwisko utworu: fantazya. Jednéj z powieści swoich, złożonéj z postaci i scen, których wątku nie łączy z sobą żadna nić wewnętrzna, dał autor napis *Jasełka*. Napis ten (pod względem koloru jego powieści) mógłby służyć niejednemu z jego utworów. Talent jego jest to szkło fotografa, które i chwyta i odbija najwierniéj rysy swoich przedmiotów, ale nie troszczy się wcale o ich źródło, cele i związki. Taką jest powieść Kraszewskiego pod względem swego koloru. Mówimy to, nie naganiając, lecz objaśniając. Każda z nich odbija jakiś typ prawdy, choćby zewnętrznéj tylko, lecz prawdy, a nie może być dziełem fałszu, co ma typ prawdy. Wszakże nie mogłaby nie być tym żywotniejszą, gdyby do blasku zewnętrznéj łączyła i blask wewnętrznéj (1).

Ale oto ten kolor, a raczéj ten bezkolor wewnętrzny powieści Kraszewskiego znika, kiedy przedmiotem jego utworu staje się jakiś fakt z dziejów wzięty, czyli gdy powieść jego staje się historyczną, wtedy bowiem już sam ten fakt węzłem jest i kolorem.

Wspominaliśmy już, iż Kraszewski dar ten swój odtwarzania wcześnie zapragnął rozszerzyć w przeszłość i tę studiował, stąd też nie od wczoraj dopiéro zaczęły się ukazywać z pod pióra jego po-

---

(1) Na przedmiot ten zwróciliśmy tu uwagę bliższą dla tego, iż im większą posiadł autor tajemnicę i siłę efektu, tym więcéj owa jego zupełna beztroska o los swych postaci, może sprawiać nawet ujemny skutek. W owym obrazie np. o którym dopiéro wspomnieliśmy, iż w nim skreślonym został uczony i świat, uczony ten nie jest głównym bohaterem powieści; bohaterem téj powieści (ma ona napis *Kawał literata*) był młody człowiek (*Tomko*), który umiał czytać i pisać i był tem samem *kawałkiem literata*. Był to biedak, lecz jego pewność siebie a zarazem i dobra gwiazda sprawiły, iż po przybyciu do stolicy porwały go jéj salony, nawet królewski, i że w niéj znalazł towarzysza niegdyś szkolnego a dziś cichego i zdatnego pracownika (*Dobka*), który mu potajemnie dopomagał owocem swych prac. Rezultat: Tomka pochwyciła na małżonka jakaś przekwitła ale bogata piękność, i skończył jako zamożny obywatel wołyński, zaś Dobka w poranku życia zabiła praca oraz to uczucie, iż się ujrzał igraszką niewiasty, którą był ukochał. Sceny wszystkie są tu prawdy nieporównanéj, jak zwykle u Kraszewskiego, i powieść ta będzie zapewne w ręku całego pokolenia młodego; ale oto na dziesięciu młodych czytelników dziewięciu będzie oczewiście wolało podzielić los a przeto i wybrać drogę Tomka, nie Dobka.

wieści i treści historycznéj. I owszem, zaczynając od utworów *Kościół Ś-to Michalski* (t. 2, 1833) i *Czasy Zygmuntowskie* (t. 4, 1846) do powieści z lat ostatnich (1873-74) *Hrabina Cosel, Brühl* i *Wojna siedmioletnia*, w których autor z równym, a w części i wyższym (jako już pełniéj rozwiniętym) talentem, odtwarzał nam obrazy i dzieje nawet zakrajowe, otrzymywała literatura z ręki autora mnogą liczbę powieści z czasów dawnéj historyczności naszéj, z różnych wieków, z czasów różnych panowań. Ale oto obecnie, według objawionego głośno programatu, powziął zamiar cały przebieg historyczności naszéj przedstawić w szeregu powieści. W tym celu wydał już dotąd (ile piszącemu wiadomo) trzy, a mianowicie noszące napisy: *Stara Baśń*, *Lubonie* i *Bracia Zmartwychwstańcy* pod ogólnym głównym napisem: *Powieści Historyczne* (1). O treści właśnie i wykonaniu tych trzech utworów chcemy tu rzec szczegółowiéj.

3.

Powieści z przymiotu historyczne, a z zadania sięgające epoki tak dawnéj, jak są te, które nam dał obecnie Kraszewski, nie mogły, jak się zdaje, od pierwszego kroku zyskać tego powodzenia i téj wziętości, jakie pozyskiwały dotąd utwory tego autora, kreślące obrazy spółczesne lub mniéj odległe. Poklasnąć im silniéj nie mogli ani przyjaciele przeważnie wątków powieściowych, ani przeważnie historyczności. W epoce, do któréj się odnoszą dotąd wydane, umysłowość ogólna jednostek, które musiały być w obraz wprowadzane, była skali zbyt niższéj, niższego rozwinienia, szczuplejszych granic niż nam spółczesna,—stosunki towarzyskie w niczem niepodobne do naszych a w komplikacyach swych nader proste. Im bliżéj przeto, im ściśléj, obrazy takie miały być obrazami z prawdy, im trafniéj odbijać tę rzeczywistość, którą odbijać im wypadło, tym więcéj dla umysłów dzisiejszych, wymagających dla wzruszeń swych żywiołów postępnych, musiały się wydać chłodne, mniéj zajmujące; zaś dla przyjaciół historyczności, z powodu przydatków fantazyi, wydać kalectwem. Lecz dzieło sztuki musi być sądzonem nie ze stanowiska sympatyi lub niesympatyi, czy to cudzéj czy nawet własnéj, lecz sztuki. Zapoznajmy więc czytelnika najprzód z samą treścią utworów, a zdania o ich wykonaniu nastręczą się same.

---

(1) Ukazała się już nadto czwarta p. n. *Masław*, powieść z XI-o wieku t. 2, i piąta p. n. *Boleszczyce*, lecz te nie mogły być jeszcze znane autorowi artykułu.

Przyp. Red.

Zaznajomienie czytelnika z przedmiotem czyli treścią książki, o któréj nastąpić ma zdanie, jest zapewne pierwszym obowiązkiem piszącego, ten szczegół tylko bowiem daje rękojmią, że sądzący przedmiot swój poznał, i wtedy tylko czynione o przedmiocie uwagi mogą być jasne;—tym razem jednak wywiązanie się z tego obowiązku nie jest podobnem. Przedmiot dany obejmuje już tomów ośm, ramy treści zbytby przeto przekroczyć musiały ramy zamierzonego zdania. Treść szczegółowszą, dla poznania bliżéj maniery, przedstawimy więc tylko jednéj powieści (wybieramy ostatnią, jako najwięcéj wchodzącą już w epokę historyczności), o treści zaś dwóch pierwszych powiemy możliwie najkróciéj.

Z trzech powieści, których napisy przywiedliśmy, *Stara Baśń* opowiada o dziejach pierwotnych kraju do czasu wprowadzenia Chrześciaństwa, *Lubonie*—czas wprowadzenia Chrześciaństwa, czyli rządy *Mieszka* I, *Bracia Zmartwychwstańcy*—epokę Chrobrego.

Przedmiot powieści pierwszéj był zapewne najtrudniejszym do wykonania. Autor zamierzył w nim skreślić obraz Polski przedhistorycznéj, a czas ten, jako przedhistoryczny, nie przekazał nam żadnych bliższych spółczesnych świadectw. Mamy więc tylko o nim mętne z dawnych wieków tradycye i spółczesne nam badania krytyczne. Z tych tylko źródeł mógł czerpać i czerpał też autor. Badania historyków naszych o dziejach pierwotnych kraju, jakkolwiek nader się różnią i procesem swego badania i treścią wniosków, w tem jednem zgadzają się jednak, iż ludność póżniejszéj Polski złożyła się z dwóch pierwiastków, czyli z dwóch plemienności, miejscowéj i napływowéj. Zdaniem jednych to napływowe plemię przyszło z południa (Bielowski), zdaniem drugich z zachodu (Maciejowski) zaś trzecich z północy (Szajnocha), lecz zawsze mowa jest o niéj. Z ducha tego domysłu wychodzili i nasi poeci, kreślący z owych czasów obrazy (najdobitniéj np. Słowacki w dramacie *Lilla-Weneda*), z tego punktu widzenia wyszedł więc i Kraszewski w *Staréj Baśni*.

Rzecz powieści odbywa się za rządów Popiela II-o. Rozsiany nad Wisłą i Wartą ród *Polan* rządzony jest przez pokolenie *Leszków*, z tego pokolenia właśnie jest i rządzący obecnie kneź, *Pepełek*. Kneż ten pojął za małżonkę niemkę *Brunhildę* i rozpoczął też wkrótce rządy na wzór Niemców. Dawne pierwotne Polan *wiece* czyli zgromadzenia radne, składane z *kmieci* (zamożniejszych ziemian), wyszły z użytku; celem głównym Pepełka było znieść te zwyczaje, zubożyć ziemian, uporniejszych i bogatszych tracić i zabierać im skarby. Gdy już kmieci nie stało, przystąpił, z porady małżonki, do samych Leszków, do własnych stryjów: zaproszonych na ucztę potruł, i mienie ich zagrabił.

Rozpacz kazała Polanom szukać ucieczki w ostatnim wysiłku. Zbiérają się potajemnie na wiec i układają krok na Kruszwicę.

Reprezentantem głównym, w powieści, starego pokolenia Polan jest kmieć *Wisz*, młodego—*Doman*; lecz Doman był nietylko kochankiem swobód, ale i córki Wisza, uroczéj *Dziwy*; nielubiony porywa ją gwałtem, przebity przez porwaną upada z konia, zaś Dziwa udaje się do świątyni na Lednicy (gdzie potém nowy kneź założył Kneżno czyli *Gniezno*) i tu zostaje jedną z kapłanek *Nii* (boga piekieł). Dowództwo nad wyprawą do Kruszwicy bierze za zgodą ogólną rodzina Mieszków v. *Myszków*. Kmiecie się łączą, a śród nich odznacza się zdrową radą spokojny i nader skromny, ale zarazem rządny i gospodarny *Piastun* Wyprawa uwieńczona skutkiem, Pepełek i jego małżonka giną. Wiec po trzykroć zbiérany, nie mogąc pogodzić możnych pretendentów, a zagrożony wieścią o zbliżaniu się Niemców pod wodzą wychowanych w Niemczech synów Pepełka, obiéra w końcu kneziem opierającego się Piastuna. Obrany, roztropny i rządny, zwołuje i szykuje szeregi i odpiéra Pomorców i Niemców. Schwytani synowie Pepełka i wszyscy miejscowi Leszkowie poprzysięgają Polanom, ciskając kamień w wodę, wieczną domową przyjaźń i zgodę, a syn Piasta Ziemowit (postrzyżony niegdyś przez tajemniczych gości) utwierdza granice państwa i dynastyą nową nad spólnym krajem. Dodać trzeba, iż ów przebity ale nie zabity Doman, poniósłszy przed wyprawą ofiarę bogowi piekieł, spotkał tam Dziwę, i po szczęśliwéj wyprawie porwał ją (już zmienioną w uczuciach) powtórnie, i odwiezioną do domu braci poślubił; oraz iż autor opowiada téż czytelnikom w kształcie pieśni wędrownego barda (Sliwana) o szczegółach tradycyi dawnéj, więc o Krakusie i smoku, o Wandzie i Rytygierze i t. p. Powieść 2-a *Lubonie* ma już w części ściślej historyczny charakter. Przybliżał się i dla Polski czas faktu, który miał ją moralnie przemienić z gruntu, jak ludy sąsiednie, t. j. wprowadzenie chrześciaństwa; i tu téż, jak to było gdzieindziéj, dwa przeciwne prądy wewnętrzne zwarły się i odbiły. Reprezentantami właśnie w powieści dwóch tych przeciwnych prądów są: ojciec i syn *Lubonie*. Stary Luboń był jednym z najgorliwszych wyznawców bogów domowych, a przeciwnikiem Niemców i wiary Niemców; syn jego, wzięty dzieckiem w niewolę i wychowany w Rzymie, został nietylko wyznawcą chrześciańskim, ale też przejął się duchem misyi chrześciańskiéj i przywdział szatę zakonną. Jak spółcześni mu śś. Wojciech i Bruno, uczuł i młody Luboń (*Włast*) natchnienie i odwagę nieść potajemnie misyą do kraju własnego, i zrzuciwszy dla niepoznaki sukienkę, wrócił do domu ojca. Niewysłowioną była radość starego Lu-

bonia, gdy ujrzał opłakanego od lat tylu syna, ale niewysłowioną stała się boleść, gdy się przekonał z czasem kim był i dla czego wrócił. Męczeństwo syna (trzymanie go w ciemnym lochu) zakończone jednak śmiercią nie syna, ale ojca (nawróconego przed śmiercią), takie były losy Luboniów. Treść powieści odznaczają jednak i wybitniéj i ciągléj kneź *Meszko* i jego żona Dąbrówka. I Mieszko, jak stary Luboń, jak większa część jego ziomków, i nienawidził Niemców i lękał się ich, ale inaczéj pojął środki odporu. Zamiast trwania w pogaństwie, umyślił on przeciwnie przyjąć chrześciaństwo, odjąć w ten sposób Niemcom pretekst do nieprzyjaźni, i przeciw związkowi Niemców postawić równie silny związek plemion słowiańskich chrześciańskich; poślubił więc w tym celu Dąbrówkę, córkę Bolka Czeskiego (już chrześcianina), gromadził na dwór swój tajemnych chrześcian (między innemi i Własta), szerzył śród młodzieży stronników, sprowadzał z cicha księży i z Czech i z Niemiec, a kiedy owoc dojrzał, przyjął publicznie w Poznaniu chrzest ze starszyzną, a następnie wykonano w dniu jednym w kraju zniszczenie bożków.

Jak w powieści *Lubonie* Mieszko, tak w powieści trzeciéj *Bracia Zmartwychwstańcy* (któréj treść szczegółowiéj tu przytoczymy) główną postacią w akcyi i głównym źródłem interesu jest syn Mieszka i Dąbrówki, mający imię dziada po matce, *Bolesław*, zwany przez pierwszych kronikarzy naszych i ruskich (Nestor) *wielkim*, a przez następnych i tradycyjnie Chrobry. Autor jednak nie obrał tego Chrobrego za głównego bohatera swojéj powieści i słusznie; dzieje bowiem poezyi nas uczą, iż kogo podanie i ludzkość przezwały wielkim, dla sławy tego, i największego poety śpiewy byłyby słabe. Ztąd też główni bohaterowie w dziejach istotnych tacy np. Aleksander W., Juljusz Cezar, Napoleon I i t. p. nie stali się dotąd i prawdopodobnie nie staną się nigdy bohaterami godnych siebie poematów; poezya umiała tylko do idealnéj wysokości podnieść jednostki, o których nic prawie nie wiedziały dzieje, takiego np. *Achillesa*, takiego *Orlanda* (Rolanda) i t. p. Nie kreśli też autor Chrobrego w jego życiu obozowém, śród zwycięstw, bo i to bezwątpienia wyszłoby blado (1), lecz kreśli (co do wykonania także nie było zbyt łatwém,

---

(1) Zdatnie umie Kraszewski kreślić i sprawy rycerskie np. w powieściach: *Krzyżacy w wieku XV*, *Historyi o Jonaszu Korczaku* i t. p.; wszakże z pisarzy naszych nikt zapewne tyle nie był zdolny do kreślenia przedmiotowego spraw rycerskich, jak sam za młodu żołnierz, Henryk Rzewuski. Autor ten w swojéj powieści np. *Zamek Krakowski* obyczaje, charakter, przekonania, słowa, a wszelkie sprawy naszych rycerzy dawnych

a powieściowego obrazu nie mniéj było godném) obraz bohatera tego w jego życiu prywatném, życiu powszedniém i w sprawach rządu pokojowego. Za przedmiot główny powieści wzięty tu został wypadek, o którym wspominają wszyscy kronikarze nasi od Galla do Bielskiego. Rozszerzenie tego wypadku do ram powieści dało też autorowi zręczność do wprowadzenia w obraz i różnostronnych rysów spółczesnych kraju; a te rysy i obraz nie mogły być naturalnie i dobitne i wierne bez głównéj swéj gwiazdy. W poniższéj treści głównie też powtórzymy te rysy, które bliżéj nam poznać dają i artystyczniéj rozwijają charakter króla.

Nad Odrą, czy nad Wartą, w miejscowości, mającéj nazwę *Gródek Zielony*, mieszkało dwóch braci, należących do dzielnego a szeroko śród kraju rozgałęzionego rodu *Jaksów*. Jeden miał imię *Andrzéj*, drugi *Jerzy* (1). Ojciec ich przyjął był chrzest z Mieczysławem w Poznaniu i oni byli chrześcianami, lecz byli chrześcianami obyczajem wieku, t. j. przez pół chrześcianami przez pół poganami. Wzbogaceni w bojach wiedli oni życie trochę rozpustne, zbytkowe, stratne i wkrótce wyczerpali swoje dostatki, a te były im tym potrzebniejsze, że jeden przywiózł był z sobą z wyprawy Kijowskiéj Greczynkę, którą miłował, drugi zaś, będąc w Poznaniu na dworze króla Bolesława, w orszaku królowéj Emnildy ujrzał piękność, w któréj się rozkochał, córkę ochmistrza Sieciecha, Teodorę, a pokochany nawzajem „miał słać jéj drużby". Mieli kłopot, ale z kłopotu tego wyprowadził ich bawiący na ich dworze przybłęda szwab; doradził on im, iżby zrobili tak, „jak robią u nich", t. j. napaść na drodze jakiego bogatego kupca i złupić go. Obaj bracia wzdrygnęli się na taką poradę, ale oto bogaty kupiec ukazał się na ich własnym moście, szwab namówił, iżby zażądali od niego, — i to się im zdało słusznem, opłaty myta mostowego, kupiec odmówił myta i chciał się bronić; ale na widok broni zagrała w rycerzach krew,

---

z całą prawdą historyczności i z całą ułudą artystyczności umiał skreślić; jeżeli jednak w téj powieści jego i król *Batory* czyni wysoki i godny siebie effekt, to jest właśnie dla tego, że jest tu postawiony na drugim planie; Achillesem autora w powieści téj jest Samuel Zborowski.

(1) *Andruszka* i *Jurga*. Dziwimy się, iż autor tak zawsze bogaty w doborze malownych i charakterystycznych imion dla swych bohaterów z lat dawnych, w przezwaniu tych tak rozminął się w części z czasem i miejscowością; ilekroć w téj powieści spotykamy się z temi imiony, a zwłaszcza z *Andruszką*, zdaje się nam, iż widzimy raczéj przed sobą dzisiejszego pastuszka nierogacizny z nad Dźwiny lub Połoty, a nie rycerza z nad Wisły.

zapomnieli morałów, dobyli mieczów, i wkrótce orszak kupiecki pierzchnął, a na placu została tylko głowa kupca, oraz bogaty łup, który z tryumfem i radością zawieźli rycerze na dom swój.

Radość jednak była niedługa, wiadomość o tym czynie doszła wkrótce do króla i obaj bracia otrzymali rozkaz stawić się przed nim. „Król Bolesław, mówi autor, pobłażającym był dla rycerstwa, sam podczas wiodąc życie wojacze, przebaczał sobie i drugim wiele, byle na zawołanie stał poczet cały i dobrze zbrojny“; ale jeżeli przebaczał obyczajom, zbytkom, nie umiał ścierpiéć niesprawiedliwości. Zamordowanie kupca, przybywającego z zagranicy, groziło zabiciem handlu, niesławą kraju. Złapany szwab poszedł na szubienicę, kara śmierci zapowiedziana była i Jaksom. Na tę wieść, wieść o karze, mającéj ściągnąć niesławę na całą rodzinę, poruszyła się cała ta rodzina. Stary stryj Jan, nie sprzyjający nawet dwóm braciom, podźwignął się z łoża boleści, wsiadł na koń i razem z synem pojechał do Poznania; skonał on w drodze, lecz zobowiązał syna, iżby trupa jego wsadzono na koń i oznajmiono królowi, że trup przyjechał błagać go o ocalenie sławy rodziny mu wiernéj. Starania były jednak daremne; napróżno błagała o zlitowanie się nad obłąkanemi na chwilę królowa *Emnilda*, małżonka Bolesława, którą ten król niegdyś tak kochał a dziś tak poważał, napróżno wstawiał się za złagodzeniem kary i opat Tyniecki (opat *Aron*, rządca sumienia króla i główny jego doradca), napróżno wreszcie żywa i umarła rodzina przestępców: po przybyciu ich do Poznania, objawił im król wyrok śmierci, a nazajutrz o świcie głowy ich spadły. Spadły w mniemaniu króla, tak mu złożono raport, lecz nie w istocie. Łzy rozpaczy córki Sieciecha, ulubienicy królowéj, wycisnęły łzy królowéj; uczyniła ona ofiarę z siebie i ośmieliła się ochronić skazanych. Wykonał to opat Aron, i dwaj bracia przewiezieni zostali tajemnie do lochów jego opactwa.

Nie wiedział nic o tém król, a z królem nie wiedział i kraj; odgłos niesławnéj śmierci wzruszył rodzinę Jaksów, a ta rodzina, jak powiedzieliśmy, rozsianą była i przy stopniach tronu i po prowincyach. Jedni więc dwór opuścili, drudzy nie mogąc przenieść zhańbionego śród kraju życia, wynieśli się za kraj.

Był raz dzień posłuchania u dworu, w który pozostający jeszcze przy dworze Pobóg Jaksa przyszedł pożegnać króla. Tu téż poraz pierwszy czytelnik poznaje postać królewską. Postać to bohaterska i prosta, szlachetna i zapalna. Z otoczenia widać było wielkiego króla, króla zwycięzcę. Z opisu tego właściwego wiekowi otoczenia i posłuchania przytoczymy urywki.

„Nadchodziła posłuchania i obiadu, naówczas bardzo rannego, godzina. Wielki gmach, w którym stoły zastawiono dla mnogich gości, izby boczne, pełne były ludzi, widocznie przybyłych z rozmaitych stron i krajów. Poznać to było po stroju. (Tu następuje opis rozmaitości tych strojów według krajów i czasu).

Osobno w pierwszéj izbie stała *Rada Królewska*. „Tę składali mężowie w wojnach i życiu wypróbowani, a bywało ich zwykle 12-u, którzy nad 12-u krajami podległemi Bolesławowi zwierzchnictwo mieli w czasie wojny i pokoju. Oni mieli ucho pańskie, zaufanie jego, wiedzieli tajemnice drugim zakryte. Gdy u 40-u stołów codziennie zasiadali goście, których nigdy nie zabrakowało, u stołu pańskiego w osobnéj izbie ci tylko 12-u zasiadać mieli prawo. Byli to najmożniejsi władcy, najdzielniejsi żołnierze, najrozumniejsi ze starców w bitwach ogorzałych. Gdy z nich jeden padł na wojnie albo zmarł wiekiem złamany, długo puste stało po nim siedzenie. Teraz właśnie zmarł był niedawno stary Jakób Lis, a król zwlekał mianowanie mu spadkobiercy".

Tłum stoi i wiedzie rozmowy, w tém stał się ruch wielki, gwary umilkły, „zdala słychać było stąpanie ciężkie, powolne i szelest jakiś jakby szat jedwabnych. W oddaleniu ukazał się król okryty sobolą szubą podpasaną, z kołpakiem na głowie. Pod tém zwierzchniem okryciem miał długą suknię bramowaną złotem, a u pasa mały ów miecz z rękością z kości, pochwą złoconą, miecz który go nie opuszczał nigdy, był to *szczerbiec*.

Laskę trzymał w ręku, szedł zwolna spoglądając w prawo i w lewo po twarzach, niekiedy głową skinął, nie zatrzymując się, i oczyma dał znak jakiś. Pachole strojne niosło za królem miecz jego wielki. Dalćj szło sześciu komorników i cały dwór służebny. Bystrem okiem obejrzał król wszystkich, zdało się, że żadna twarz, w zakątku nawet stojąca, nie uszła jego wejrzenia. Niskiemi pokłonami, rękami zwieszonemi do ziemi, witali przytomni nadchodzącego pana. Doszedł tak wielkim krokiem aż do wielkiéj izby stołów 40-u, gdzie między innémi stał *Pobóg*. Doszedłszy, położył starcowi na ramieniu rękę, i lice, spójrzawszy nań, rozchmurzyło mu się nieco. „Pobóg! rzekł król, czeka na cię opróżnione 12-te siedzenie po Lisie, tobie je przeznaczam, tyś jeden godny". Oczy otaczających króla zaczęły biegać po sobie, niespodziéwano się snać tego. Stary nieporuszony, nie dziękując, stał posępny. Wnet czoło pańskie marszczyć się zaczęło i rękę mu z ramienia zdjął król. — Nie, miłościwy panie! odparł chłodno i śmiało starzec, nie. Ja nie jestem godzien siedzieć u stołu twojego. Krew Jaksów płynie we mnie.

Miejsce moje nie u stołu i rady pańskiéj, ale na wygnaniu lub w grobie.

Śmiałéj téj mowy słuchając, przytomni pobledli z przerażenia. *Bolesławowskie brwi zeszły się nad oczyma i zwinęły w jeden wał czarny*, ręka mimowolnie padła na mieczyk, i drżąca leżała na nim. Drugą ujął się w bok król i długo patrzał na wyzywającego śmiałka.

— Stary jesteś, rzekł w końcu, biłeś się mężnie ze mną nad Bugiem i Wełtawą, — głowy ci nie zdejmę, — idź, idź z Bogiem.

I ręką gniewnie wskazał po za siebie, a dokończywszy słów, gdy jeszcze *brwi trzęsły mu się gniewnie, ustami uśmiechać się począł dziko i strasznie! Rząd białych zębów jak lwia paszczęka ukazał się z pod warg wybladłych.* Kilka razy powtórzył coraz głośniéj, coraz silniéj „idź, idź“ — poczém prosto ku Węgrom się zwrócił i jakby zapomniał tego co zaszło przed chwilą“.

Jak w tych rysach krótko ale dobitnie odkreślił autor charakterystykę króla, tak w innych miejscach krótkiemi ale charakterystycznemi słowy politykę jego i stan ówczesny kraju.

„Od śmierci Mieszka, mówi, który z pokorą niemal stawił się nieraz u progu cesarskiego pałacu w Quedlinburgu i Dziewinie — do téj chwili, w któréj Bolesław stanął prawie na równi z cesarzem Niemiec, zawojowawszy szerokie ziemie słowiańskie, marząc o podziale z nim świata na dwoje, upłynęły nie lat dziesiątki dla Polan ale jakby całe wieki. Jedna myśl od pierwszéj chwili do ostatniéj zajmowała Bolesława, stworzenie państwa Słowian tak potężnego, iżby murem mogło stanąć przeciw niemieckiéj nawale, cisnącéj się ku wschodowi. Cel ten stał mu na myśli ciągle. Małe kraiki nie trzymające się z sobą, stały otworem silnéj dłoni, coby je zagarnąć zapragnęła. Bolesław zabiérał je jak swoje. Odepchnięty na chwilę, wracał nazad i umiał czekać. Wiązał się ślubami, przymierzem, przyciągał łaską i postrachem, usuwał przeszkody mieczem i siłą a szedł daléj coraz i daléj. Myśl tę wziął on w spadku po Mieszku, rodzicu swoim, w którym ona cichą, bojaźliwą się wykluła — jasną i głośną stać się miała w synu dopiéro. Od zachodu światła pożyczyć, stanąć z nim na równi wszystkiém, co dawało siłę, obronić się zarazem najazdowi jego i zaborom, tego chciał i *dopiął* Bolesław. Imię jego groźném już było, straszném i znienawidzoném u Niemców. Zwano go wężem zdradliwym, lwem ryczącym, miotano nań obelgi. Posłańcy jego i sługi skryte były wszędzie, na cesarskim dworze, we wszystkich stolicach, u plemion najdalszych; wiedział gdzie się co ruszyło, drgnęło, zabolało, gdzie na ratunek mógł śpieszyć i ze słabości korzystać. Włos mu się posrebrzył w tych myślach i trudzie,

państwo stało już jak budowla, której słupy ręka cieśli wbiła już w ziemię, — ano dachu i ścian brakło jeszcze".

Do celów tych potrzebował głównie król posłuszeństwa u siebie, zgody wewnętrznéj; ów krok więc, którym wzburzył przeciwko sobie połowę swoich umiłowanych, jątrzył go i niepokoił, szukał rozrywek i pomiędzy innémi naznaczył był w tym czasie wielkie łowy, na które z orszakiem swym ruszył. I ten krok nie przysporzył mu jednak pokoju. Przejeżdżał on przez to miejsce, na którém według złożonych mu doniesień stracono Jaksów i wydało mu się, iż tu ujrzał jeszcze na śniegu ślady krwi. By odpocząć zjechał na chwilę do domku, który w oddaleniu ujrzał (może nawet nie wiedział gdzie zbacza), w domku tym znalazł uprzedzające przyjęcie, usługę pilną. ale — nie było właściciela. „Któż tu jest gospodarzem?— zapytał.— Pan mój, stary Tomko Jaksa — rzekł *podniesionym* głosem sługa. Niema go doma? — odparł król — któremu się brwi ściągnęły. Na odpowiedź dłużéj teraz zbiérał się zapytany. Był tu, miłościwy panie, ale się do lasu wywieść kazał — kazał mi rzec, gdybym był pytany, że należy do tego rodu, który krwi swéj płacze, przeto *radować się nie może.* Lice króla zmieniło się, pobladło, dłoń w któréj kubek trzymał drżała — ale usta słowo wstrzymały. Nie nocował tu jednak i bez podziękowania odjechał. Sługa Tomka okazał się odważnym, ale w połowie tylko i nie wykonał drugiéj części danego polecenia, miał bowiem rozkaz postawić na wety talerz z krwią i powiedzieć podając: „co komu miłe". Król jechał niespokojny, marzący, o zmroku zboczył w las sam jeden i zabłądził, głos trąbki wnet by postawił przy nim cały orszak, ale nie ruszał jéj; w oddaleniu ujrzał w głębi lasu światełko i ku temu się zwrócił. Miejsce, z którego światełko to wychodziło, była to raczéj nora niż pomieszkanie ludzkie, a zamieszkiwał je pustelnik (ojciec Antoni). Bolesław, pół poganin a pół chrześcianin jak jego wiek, uważał za cnotę a przynajmniéj za uczynki chwalebne: boje, słuszne morderstwa, ucztowania, zbytki, może nawet rozpustę, ale czcił i szanował duchownych; ujrzenie przed sobą tak dobitnego kontrastu osobistości własnéj, człowieka, który z dobrowolnego wyboru uwielbił był oddalenie od świata, nędzę, pokutę, wzbudziło w nim zdumienie i skruchę; pozostał tu, przeciągnął nawet z pustelnikiem nie krótką rozmowę i dawszy mu się poznać (pustelnik przyznał mu iż jest istotnie wielkim królem ziemskim, ale że on służy większemu jeszcze — Niebieskiemu), odbył przed nim spowiedź.

Spowiedź ta Bolesława przed pustelnikiem, tak na pozór prosta i naturalna (jak wszystko pod piórem autora), jest też zręcznym ustępem w powieści, bo zaznajamia czytelnika, w krótkich a tak

charakterystycznych rysach, z historyczną przeszłością jéj bohatera. Opowiedziawszy w niéj król jak po śmierci ojca, stosownie do rozporządzenia tegoż, prócz niego (Bolesława) rządzili też wyznaczonemi sobie dzielnicami dwaj bratanki zmarłego króla *Odylon* i *Prybuwoj*, oraz trzéj małoletni bracia jego z macochy Ody: *Swiętopełk*, *Władywój* i *Lambert*, a raczéj w ich imieniu sama macocha i Niemcy, tak daléj mówił. „Miałemże ja dać rozpaść się temu, co ojciec własnemi, krwawemi zlepił rękami?.... Rozprzęgała się jedność państwa, pogaństwo wracało.... cierpiałem trzy lata, mój ojcze, patrząc jak się w gruzy waliło mieszkowe budowanie, a serce się krwawiło. Nadeszła godzina gdy się cierpienia przebrało. Nocą naszedłem na zamek Ody, jéj i dzieciom jéj kazałem iść precz z méj ziemi gdzie chcieli.... do klasztoru, do swoich, do Niemców. Szli precz ze złością i zemsty pragnieniem. Odylon i Prybuwoj powstali na mnie z orężem, pokonałem ich obu. Nieposłusznych mogłem dać pościnać, miałem litość i oślepić ich tylko kazałem, aby szkodliwymi być nie mogli. Mnich słuchając westchnął, król w piersi się uderzył.

— Mój ojcze, winienem li? byłem li okrutnym?

Ojciec Antoni milczał długo. Mów daléj, odezwał się po przestanku, mów daléj.

— Sam zostałem panem tego kraju całego, sam z myślą ojcowską *Chrobackie* ziemi, potrzeba było wydrzeć Czechom; stanąłem z Czechami do wojny, z Bolkiem pobożnym, ze krwią własną (wujem), ale kraj stał mi bliżéj krwi. Od *Rusi* trzeba było odebrać zawojowane kraje, ciągnęli mię na Ruś. Węgry trzymały *Słowaków* musiałem się bić z Węgrami. *Serbów* trzeba było odbić od Niemców. Nie było spoczynku. Miecza ani otrzeć, ani do pochew schować. Prussy podbijać słowem świętem, poszedł apostoł Wojciech i zginął. Stał on najbliżéj serca mojego, czcił go też cesarz Oton III i każdy.— Wyście go znali? zawołał pustelnik, składając ręce, o! toście byli szczęśliwi.— Prawdęście rzekli, odrzekł król, Chrystus Pan żywym obrazem swoim uczynił go na ziemi i dla tego chciał, aby męczeńską śmiercią umierał; i (dodał) po śmierci jeszcze dobroczyńcą był moim! Przeprowadziłem święte zwłoki jego do Trzemeszna, a wkrótce potem do Gniezna. Rozpromieniała od nich świątynia nasza i rzuciła promienie na świat cały. Duch Ś-o Wojciecha przywiódł mi tu Ottona i uczynił go druhem moim. Koronę swoję włożył on na skroń moję i rzekł: panuj u siebie tak jak ja w moim władam cesarstwie. Byłem już *Czech* i *Morawy* panem... ojcoska myśl spełniła się przezemnie, widziałem ją już oczyma mojemi... a teraz znowu niknie, gdy ciało słabnie gdy duch gaśnie we mnie a mroki zwątpienia opasają

Mieszko, syn mój, dzielny jest, ale dłoń ma silniejszą od woli, i rozkazywać nie umie. Ojcze mój! powiedz mi co mam czynić, aby dzieło utrwalić? Widzisz ty przyszłość?—Synu mój, odparł mnich z pokorą, o przeszłości mów, o teraźniejszości, a nie tykaj zasłony, którą tylko dłoń Boża podnieść może.—Mnie koniec bliski, odezwał się król, co będzie po mnie?... I teraz.. (król przystąpił wreście do tego, co było zapewne w téj chwili głównem źródłem jego niepokoju, spowiedzi) mam li ja na sumieniu krew tych ludzi, winnych zabójstwa? Dwaj rycerze znacznego rodu zamordowali na drodze wiozącego kupię bogatego człowieka niewinnego: skazałem ich na śmierć! Ród ich i powinowaci zwracają się przeciwko mnie. Surowym byłem, ubłagać się nie dałem, ale nie mówiż zakon nasz: oko za oko, ząb za ząb?—Tak, na to mu pustelnik, mówił zakon stary, dopóki nie przyszedł Pan światłości i nie rzekł natomiast: przebaczaj nieprzyjaciołom jako pragniesz, abym ja też twe winy przebaczył.—Nie byli to nieprzyjaciele moi, odparł król, kochałem ich, druhami byli mi i towarzyszami... lecz cóżem czynić miał, sędzią będąc, miałem że szczędzić tych, co się nie litowali niewinnemu dla chciwości bogactw. Pustelnik po chwili rzekł: nie jesteś winnym, nie ty sądziłeś i karałeś, ale zakon. Jako najwyższy sędzia czystym jesteś, jako chrześcianin i ojciec ludu twojego, mogłeś li uczynić miłosierdzie? niech ci odpowie serce twoje. Król się zamyślił i na ognisko patrzał, potem jakby ocucony nagle zawołał:

— Miłosierdzie uczynić mogłem, ojcze mój... *żałuję uczynku mojego.* Pustelnik jakby słowa rozgrzeszenia wyszeptał i rzekł. Niechże ci Bóg wszechmocny odpuści winy twoje!"

Spowiedź ta ulżyła królowi, pomagał czas, dopomagały i zajęcia się same. Król był przyjacielem swego sumienia, swego pokoju, równie jednak i zaledwo nie więcéj jeszcze, myślał zarazem o swojem państwie: jakiem je uczynił, jakiem zostawi. Usunął on od następstwa syna swego pierworodnego *Bespryma*, urodzonego z narzuconéj mu niegdyś przez ojca i nie miłéj mu małżonki Judyty królewny Węgierskiéj, i za następcę wyznaczył Mieszka, syna Emnildy, dzielnego dłonią i ożenionego z synowicą cesarską, którego też wprawiał wcześnie i skutecznie do wypraw wojskowych, ale którego moralna strona niepokoiła go. Teraz zaś objęła go silnie myśl jedna (doradcą jéj był, jak się zdaje, ojciec Aron) i nie dawała mu snu i pokoju póki nie spełni, a mianowicie myśl starania się u Stolicy świętéj o koronę, przez nią poświęconą, tę bowiem przywdziawszy, syn jego mógłby już być pewnym uznania i czci u świata.

Tem się zajmował Bolesław,—i zajmował się wreście sądami i dworem swoim.

Bolesław, który utrzymywał swych szpiegów wszędzie, miał też ich i na cesarskim dworze; nie próżnował jednak nawzajem i dwór cesarski. Dwór ten, a zwłaszcza metropolita Magdeburski (który wszystkich nawróconych Słowian uważał za swą własność duchowną i nie nawidził króla, który, aby go pozbawić téj własności, stworzył był arcybiskupstwo w Gnieznie), utrzymywali podobnie szpiegów oraz skrytych działaczy na dworze króla. Najczynniejszym pomiędzy tymi był zakonnik benedyktyński, napozór podwładny opata protonotarjusz, ks. *Petrek*, spełniający téż różne funkcye duchowne przy dworze króla. Z jego téż to i jego kierowników magdeburskich natchnień, krzewiła się i wzrastała przy tym dworze partya niemiecka, do téj partyi wciągnął on i Bespryma, podburzając go przeciw bratu, i doradziwszy skarbić sobie wcześnie łaski i przyszłą pomoc cesarską; Niemcami otaczała się Ryksa, a w orszaku królowéj, w nadziei zastąpienia jéj kiedyś, znalazła się między innemi córka margrabiego Ekkarda, piękna *Oda*.

Król Bolesław poważał zawsze i wielbił swoję małżonkę Emnildę, ale gdy ta królowa, żegnając wieczorami zebranie, odchodziła do swoich komnat, a król się bawił widokiem pląsów orszaku jéj, margrabianka umiała ściągnąć i coraz częściéj i ogniściéj zwracać ku sobie oczy i serce królewskie. „Duchowieństwo, szczególnie opat Aron, mówi autor, nieraz z tém sumieniem, szukającem wybiegów różnych, niemało trudności mieli. Każdy grzech jawniejszy sowitemi dary opłacał król do kościołów lub pokutą jakąś, a nazajutrz znowu weń wpadał. Chrześciaństwo z duchem nowym całym, ze znaczeniem głębszém, nie tylko jemu, lecz większéj części europejskich władców i najprzedniejszego rycerstwa, obcem było. Zwolna usiłowano krzewić wiarę, wiele przebaczając zrazu tym, co ją przyjmowali i przykładem swym lud wiedli“. (Uwaga to nader słuszna, i do niekrótkiego nawet dająca się odnieść czasu, wielożeństwo np. na tronie Klodoweusza i Merowingów niekoniecznie nawet skończyło się z tą dynastyą, tolerowanem ono, rzec można, było do Ludwika XV włącznie).

A kiedy tak król już się troskał i martwił, już rozrywał, cóż czynili dwaj bracia, bohaterowie główni powieści, w lochach tynieckich? Loch klasztorny, to dla rycerzy młodych przywykłych do boju i świata było coś gorszego niżeli śmierć sama; ulitował się też losu ich opat, dozwalał im krótkiego a ostrożnego od czasu do czasu myślistwa; lecz oto w jednéj z tych wycieczek znaleźli się oni przygodnie w domku jednego z władyków dawnych, (dziś z powodu opozycyi przeciw królowi i nowéj wierze mieszkającego w głębi puszczy) *Domosula*, a tu w czasie ich bytności odwiedził go jeden

z jego synowców, pogodzony z porządkiem nowym, i bracia na pół z radością na pół z przestrachem poznali w nim jednego z towarzyszy swych wypraw, Jaśka z Tęczyna. Zadziwił się też niezmiernie i uradował Jaśko, a żegnając się, zaręczył braciom solennie dochowania ich tajemnicy. Katastrofa jednak zbliżała się. Głuche wieści o życiu straconych braci, już stąd już z owąd, już od więzień dworskich już od klasztoru, oddawna się już przebijały, a ks. Petryk gorączkowie je chwytał, śledził i zamki na nich budował. Teraz przypadek sprawił, iż w jednéj z swych wędrówek spotkał się na popasie z Jaśkiem z Tęczyna, a ten ujęty zaszczytem rozmowy z powiernikiem opata Arona, gdy posłyszał z ust jego, iż wieleby dał za to, iż dwaj bracia, których *starali się* ocalić, żyją dotąd, zaręczył uroczyście, że ich niedawno sam widział żywych i zdrowych. Tegoż wieczoru wiedziała już o tem Oda, powinien był wiedzieć sam król, a w jaki sposób to się uskuteczniło, powtórzymy.

„Na zamku królewskim tego wieczora, jak i innych, były zabawy dziewic. Król przypatrywał się im jak zwykle, a gdy, jak zwykle także, najczęściéj, najpoufaléj począł się zwracać do Ody, ta skorzystała z chwili, z poufałości w słowach, a ośmieliwszy się i przybrawszy wyraz spółczucia, rzekła:

— Mnie bo was żal, was tu nikt może tak jak ja nie miłuje, tak jak ja nie żałuje, a zdradzają was *wszyscy*.

— Wszyscy?

— Tak, powtórzyła margrafówna, wszyscy... co mi tam! ja kłamać nie umiem, pogniewacie się, jutro do ojca wrócę. *Królowa nawet was zdradza.* Skazaliście Jaksów na śmierć, ona sprawiła, że żyją.

Sądziła Oda, że twarz króla, która łatwo gniewem się purpurowym okrywała, zmieni się i nasroży, *gotową* była do wybuchu i pytań.

Lecz Bolesław wyciągnął rękę do próżnego kubka, uderzył nim o stół, co znaczyło, iżby go podczaszy napełnił, twarz mu się nie zasępiła, owszem uśmiech po niéj się przesunął.

— A ty niemiecka dzierlatko, rzekł, szpaczku ty, co tak szczebioczesz ładnie i żwawo, kto ci to takie baśnie przynosi?

— Królowa! ja nie wiem... a drudzy Sieciecha winią.. córkę miał zaswataną.

Białemi zębami rozśmiał się król i ramionami ruszył.

— Co więcéj? praw sroczko różowa, choćbyś nie do rzeczy paplała, zawsze cię słuchać miło... praw, praw, a no to wiedz, że komu ja rzekłem, że umrzeć ma ten umarły i pogrzebiony.

Tak odpowiedział król Odzie i tem ją odprawił, śmierć jednak młodych Jaksów, tak mu była oddawna ciężarem, dotkliwe skutki téj śmierci tak często się odnawiały, tak mu coraz nieznośniéj

ciężyły, iż sama myśl o możliwości ich życia napastowała go, jak ułuda słodka, i dnia jednego w rozmowie z królową rzekł: „świętą jesteś, sprawże mi to, aby Jaksowie zmartwychwstali“. Ucieszyła się uszczęśliwiona Emnilda, wezwała do porady opata, i po naradzie ośmielono się wyznać winę. Król zmiękczył się teraz łatwo i opat posłał po braci.

Scena ukazania się zmartwychwstałych na dworze króla, jako obejmująca rozwiązanie tylu, tak długo i z tylu różnych powodów tajonych uczuć, należy z saméj swéj treści do najwięcéj efektownych, i powtórzymy tu jeszcze ten ustęp.

— „W jadalni królewskiéj pusto było, królowa jeszcze nie przyszła, stał jeden opat Aron w milczeniu. Z dwunastu panów Rady dwóch zaledwo król znalazł oczekujących, reszty mu brakło oddawna. Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie, oczy króla często się na drzwi, któremi Emnilda wchodzić była zwykła, obracały. A gdy zdala szelest szat posłyszał Bolesław, twarz mu nieco pobladła. Gdy posłyszano szelest, zarazem ci co stali w jadalni poruszyli się i okrzyk stłumiony podziwu jakiegoś dał się słyszeć. Wnet poszanowanie dla króla usta zamknęło. Twarz Sieciecha okryta była bladością trupią.

Szła królowa, na ten dzień uroczyście strojna, na włosach i czepcu złotą niosąc przepaskę, w sukni purpurowéj ze złotem. Blada twarz jéj jakby jasnością jakąś była otoczona. Szła nie sama,— z prawéj i lewéj strony, trzymając ich za ręce, wiodła Jaksów dwóch, odzianych czarno i jakby pokutniczo.

Król, ujrzawszy ich, drgnął cały, po twarzy jego przebiegły z kolei jakby gniewu płomienie, łaskawości blaski, niepewność jakaś, aż wreście wystąpiła na nią radość wielka.

W milczeniu szła Emnilda przed pana i uklękła. Obaj Jaksowie rzucili się na kolana i twarzami pochylili ku nogom królewskim i ziemi. Chwilę trwało milczenie, królowéj w piersi zabrakło tchu... podniosła oczy w górę.

— Panie mój i królu, zawołała,—przychodzę cię prosić o miłosierdzie dla siebie i dla winowajców, których przed gniewem twym uchowałam. Przeszedł gniew, stawię ich przed tobą, błagając cię: bądź miłosiernym wzorem Chrystusa, ulituj się im.

Król widocznie stał wzruszony, nagle ręce mu się rospostarły i wyciągnął je ku królowéj. Bogu niech będą dzięki, zawołał, za ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć ja sam opłakałem... i tobie Emnildo nie przebaczyć ale winienem wdzięcznym być. Niech to będzie dzień wielkiego wesela, gdy mi moi wierni

wracają do boku. Podnieście się, niech idzie w zapomnienie przeszłość, spodziewam się, że ją zmażecie?

— Krwią naszą! zawołali Jaksowie, całując ręce wyciągnione.

Śmiała się twarz pańska weselem, jakie dawno nie gościło na niéj. Spojrzał król na czarne suknie Jaksów i zwrócił się do Sieciecha. Nie przystały im te szaty, zawołał, idźcie i przebierzcie ich w odświętną odzież ze skarbca. Zawieś im na szyi łańcuchy, na pasach przypasz im miecze... idźcie i wracajcie tu, abyśmy się weselili spólnie! W tem nagle zatętniało na dworze. Zwołana na ten dzień przez królowę rodzina Jaksów, rycerze, starce, dziewice i dzieci, wszystko się zjechało, wszyscy zebrani padli do nóg królowi.

Po takiém rozwiązaniu nie pozostało nic margrabiance Odzie, jak opuścić dwór, i uczyniła to. Król ją pożegnał grzecznie, przesłał jéj nawet dary, ale nie zatrzymywał. Dla Jaksów, którzy dla zgładzenia swéj winy krew swą ofiarowali, opat obmyślił środek. Przewiezienie do Rzymu darów od króla a z Rzymu korony poświęconéj narażało posłańców na uwięzienie i śmierć, cesarz Henryk bowiem czuwał nad tem poselstwem i we Włoszech i w Niemczech; misyą tę przyjęli więc na siebie najchętniéj obaj bracia. Dwóch posłów oddzielną drogą miało jechać do Rzymu, dwóch także wieść z Rzymu koronę, jeden poświęconą, drugi naśladowaną, a ten ostatni powinien się był dać schwytać.

Jakoż i tak się stało po pewnym czasie, t. j. po powtórnéj wyprawie. Do Poznania nadeszła wiadomość z Niemiec, że przejęto i zabrano koronę. Ks. Petrek tryumfował i szerzył ją, ale niebawem nadeszła téż i istotna z cechami autentyczności. Z dumą i uroczyście w dzień naznaczony przywdział ją król Bolesław. Towarzyszyła mu i królowa,—królową tą nie była już jednak Emnilda, która nie pożyła długo po katastrofie, ale była, łatwo przez króla przypomniana a przez Niemców wyswatana Oda.

Jaksowie, z których jeden przecierpiał więzienie w drodze do Rzymu, drugi w powrocie, zamieszkali na powrót w Gródku Zielonym. Jeden poślubił Teodorę, drugi wierną mu zawsze, mimo wszelkie przejścia, Greczynkę. A kiedy król Bolesław sławnego dokonał życia, a przytłumione przezeń nieprzyjazne żywioły dawne pod kłótliwymi i słabymi synami jego nanowo wezbrały, Jaksowie obronili siedzibę przeciw powstałym tłumom, doczekali przybycia Restauratora, a rodzina ich roskwitła i zakwitła następnie na długie czasy.

A. Tyszyński.

(Dokończenie nastąpi).

NAUKOWA PODRÓŻ NA OKOŁO ZIEMI

ANGIELSKIEJ KORWETY „CHALLENGER"

WEDŁUG OPISU CZŁONKA WYPRAWY

W. J. J. SPRY. [1])

Zakładanie podwodnéj liny telegraficznéj przez ocean Atlantycki dało pierwszy popęd do systematycznego badania dna morskiego. Do zbadania oceanów przyczyniła się wprawdzie wyprawa korwety Stanów Zjednoczonych „Tuscarora", austryackiéj fregaty „Novara" i niemieckiéj korwety „Gazella", lecz Anglii należy przyznać największe pod tym względem zasługi.

Na przedstawienie Towarzystwa Królewskiego (Royal Society) rząd angielski 1868 r. wyprawił okręt „Lightening", dla dokonania badań na wybrzeżach angielskich, następnie zaś w roku 1869 i 1870 w tym samym celu wysłał okręt wojenny „Porcupine", który 1870 roku dotarł do Gibraltaru. Osiągnięte tym sposobem wypadki o tyle były ważne, tak pod względem naukowym, jako też praktycznym, że na przedstawienie Towarzystwa Królewskiego, rząd angielski postanowił urządzić kilkoletnią wyprawę dla dokładnego zbadania temperatury i składu chemicznego wody oceanów z różnych głębokości, budowy i zaludnienia dna morskiego, oraz kierunku i szybko-

---

(1) J. J. Spry. The cruise of H. M. S. „Challenger". W niemieckiém tłómaczeniu: Die Expedition von „Challenger."

ści podwodnych prądów. Dla dokonania wszystkich tych poszukiwań wybrano wojenną korwetę „Challenger", którą zaopatrzono we wszelkie narzędzia i odpowiednie pracownie, oznaczając przytem taki kierunek podróży, aby wyprawa zbadała ocean Atlantycki, Indyjski i Spokojny, z północy na południe i z zachodu na wschód. Admiralicya angielska oddała korwetę pod dowództwo kapitana Nares, który dowodził już wyprawą angielską do bieguna północnego, dając mu do pomocy odpowiednich oficerów. Z drugiéj strony, Towarzystwo Królewskie wybrało grono uczonych, stawiając na jego czele profesora Wyville Thompson, który towarzyszył wyprawom okrętów „Lightening" i „Porcupine".

„Challenger" dnia 7 Grudnia 1872 r. wyruszył z portu Sheernes, do którego powrócił d. 26 Maja 1876 roku, przebywszy 68890 mil morskich, przyczém 719 dni znajdował się na morzu. Podczas podróży 370 razy sondowano głębie morskie, 255 razy mierzono temperaturę i 240 razy zapuszczano sieci na dno morskie.

Całą tę zajmującą podróż opisał Spry, towarzyszący wyprawie jako jeden z inżynierów przeznaczonych do pilnowania maszyny okrętowéj. Spry głównie zwraca uwagę na doznane przygody, zwiedzane kraje i miejscową ludność, co też stanowić będzie wątek niniejszego sprawozdania, lecz niepodobna zupełnie zamilczeć o sposobach dokonywania badań, będących zadaniem wyprawy.

Sondowanie znacznych głębokości wymaga utrzymania statku na jedném miejscu, albowiem wtedy tylko sonda opuszcza się pionowo na dno. Ponieważ wiatr i powierzchowne prądy posuwają okręt, potrzeba więc używać parostatku, który przy stosowném użyciu pary może się stale na jedném miejscu utrzymać.

Sondy, używane do mierzenia znacznych głębokości, składają się z rury mosiężnéj, mającéj 1⅓ cala średnicy i 42 cale długości, opatrzonéj u dołu stosowną klapą. Dla obciążenia rury nasuwają na nią kręgi z lanego żelaza, ważące po 100 funtów, biorąc pospolicie jeden kręg na każde 1000 sążni (fathom) głębokości. Kręgi żelazne spoczywają na obrączce, która za pomocą drutu w ten sposób jest zawieszona na kołeczku w górnéj części rury, że drut spada z kołeczka, skoro sonda spocznie na dnie morskiem; skutkiem tego ciężary spadają z rury, która sama jedna zostaje wyciągnięta z wody, przynosząc nieco osadu z dna. Do mniejszych głębokości, nieprzenoszących 1500 sążni, używano stożkowatéj sondy bez dodatkowych ciężarów.

Flaszki do zbierania wody z głębin morskich, rozmaitéj bywają budowy, zawsze jednak tak są urządzone, że woda dopóty swobodnie przez flaszkę przepływa, dopóki flaszka nie zostanie do góry

pociągnięta, albowiem wtedy szczelnie się zamyka, nie dając już wodzie przystępu.

Termometr, używany do mierzenia temperatury wody morskiéj, jest zbudowany według zasady termometrów, wskazujących największą i najmniejszą temperaturę. Słup rtęci, zawarty w rurce, porusza się w skutek rozszerzenia i skurczenia kreozotu, zawartego w wydęciu termometru. Wreszcie, wydęcia zapomocą szklannych kloszyków są od ciśnienia wody zabezpieczone.

Do sondowania używają lin umyślnie na ten cel wyrabianych, które wytrzymują obciążenie 14 centnarów. Liny są co 25 sążni poznaczone, a nadto każde 100 sążni posiada właściwy znak. Poczas sondowania lina zapuszcza się w wodę z pewną, oznaczoną szybkością, coraz mniejszą w miarę zagłębiania się sondy, i według téj szybkości poznają, że sonda doszła do dna.

Do zbierania osadu z dna morskiego, wraz z mieszkającemi tam istotami, służy szczególnie zbudowana sieć, czyli włok (draga), składający się z ramy żelaznéj lub drewnianéj oraz sieci, przymocowanéj do téj ramy; nadto, do końca sieci przyczepiają pęki konopi, które mają zbierać i wyciągać drobne żyjątka. Włok zapuszczają na linie, a następnie okręt, powoli płynąc, wlecze go po dnie morskiem, przy czém rama zeskrobuje osad, wpadający do sieci.

Oficerowie marynarki, należący od osady korwety, mieli sobie powierzone spostrzeżenia magnetyczne, oraz dokładne oznaczanie położenia geograficznego.

Naturalną jest rzeczą, że wszelkie spostrzeżenia starannie zapisywano do odpowiednich dzienników, oraz pilnie zachowywano znajdowane przedmioty.

Po téj pobieżnéj wzmiance o zadaniu wyprawy i sposobach dokonywania badań, przejdźmy do opisu saméj podróży.

Wypłynąwszy z portu Sheernes „Challenger" zawinął do Portsmouth, dla uzupełnienia zapasów, i ostatecznie brzegi angielskie opuścił 21 Grudnia 1872 r. udając się do Lizbony. Pogoda mało sprzyjała podróży, tak iż zaledwie raz jeden zapuszczono sondę i tylko parę razy użyto włoka.

Lizbona dużo posiada kościołów, pałaców i ogrodów, świadczących o dawnéj potędze Portugalii. Przedewszystkiém zasługuje na wzmiankę kościół i klasztor Belem, w gotycko-maurytańskim stylu, wybudowane przez króla Manuela 1499 roku na miejscu, z którego Vasco de Gama po raz pierwszy odpłynął na wschód. Z Lizbony

wyprawa udała się do Gibraltaru, dokąd przybyła 18 Stycznia 1873 roku.

Gibraltar był już ufortyfikowany za czasów, gdy do Hiszpanii należał, wszakże główne roboty dokonano po roku 1713, w którym na mocy traktatu Utrechtskiego przeszedł na własność Anglii. Wykute w skale przejścia tworzą rodzaj kazamatów, a tunele ciągnące się całe wiorsty prowadzą do wnętrza skały, łącząc wszystkie punkta, jakie kiedykolwiek mogłyby być zagrożone.

W czasie odwiedzin „Challenger'a“ 1873 r. fortyfikacye posiadały 1800 dział, a wązka i dosyć stroma ścieżka prowadziła do stacyi sygnałowéj, położonéj na 1300 stóp nad poziomem morza, gdzie sierżant artyleryi bez ustanku straż trzyma. Ze stacyi widać modre zwierciadło morza Śródziemnego, oraz liczne piękne wioski hiszpańskie, rozsiane na wschodnim brzegu zatoki.

Otwiéranie i zamykanie bram odbywa się codziennie z pewną uroczystością, jak gdyby miasto znajdowało się w stanie oblężenia. Zaraz po wschodzie słońca sierżant służbowy przynosi klucze od gubernatora, któremu odniesiono je poprzedniego wieczora, a następnie w towarzystwie patrolu pod bronią otwiéra bramy i każe mosty opuszczać. Od téj chwili każdy ma wolny wstęp do miasta, lecz przybywający z posiadłości hiszpańskich muszą okazywać paszporty. Wkrótce po zachodzie słońca bramy zostają w podobny sposób zamknięte. Sierżant, w towarzystwie swego pocztu, z ciężkim pękiem kluczy, poważnie kroczy od bramy do bramy, nakazuje podnosić mosty i zamyka każdą bramę; od téj chwili ustaje wszelki stosunek ze światem, albowiem klucze składają u gubernatora.

Miasto, wznoszące się na skałach, ma 15000 mieszkańców rozmaitéj narodowości, obyczajów i zwyczajów, jako to: hiszpanów, anglików, włochów, portugalczyków, murzynów, turków, greków i żydów. Posiada ono kilka kościołów, kaplic, synagog, parę dobrych hoteli oraz bogate sklepy, w których sprzedają osobliwości maurytańskie, koronki maltańskie, wyroby filigranowe, cygara i tytoń, że zaś Gibraltar jest wolnym portem, więc wszystkiego można tu bardzo tanio dostać. Biblioteka garnizonowa, założona 1793 r. przez kapitana Drinkwater, zawiera wiele dzieł rzadkich i kosztownych.

Z pomiędzy pięknych przechadzek otaczających miasto, przedewszystkiém odznacza się urocza Alameda czyli park Eliota, obsadzony wspaniałemi roślinami podzwrotnikowemi, gdzie podczas pięknych wieczorów grywa muzyka wojskowa i zbiera się elegancki świat Gibraltaru.

Po ośmiodniowym pobycie w Gibraltarze „Challenger“ odpłynął do Madery, oddając się po drodze badaniom. Przez krótki czas zatrzymano się przy pustéj wyspie Porto Santo, odkrytéj 1416 roku przez żeglarzy portugalskich, zamierzających opłynąć Afrykę. Odkrywszy wyspę, która dostarczyła im bezpiecznego schronienia przed burzą, żeglarze powrócili do Portugalii z wiadomością o odkryciu, skutkiem czego książe Henryk postanowił założyć tam kolonią. Wysłano tedy okręty z ludźmi i wszelkim potrzebnym dobytkiem, oddając wyprawę pod dowództwo Bartłomieja Perestrello, teścia Kolumba. Przedsięwzięcie nie powiodło się, i ten sam los spotkał późniéj usiłowania samego Kolumba, którego żona otrzymała w posagu wielką tę pustynię.

Z rana 3 Lutego 1873 r. korweta zarzuciła kotwicę w zatoce Funchal, gdzie się dwa dni zatrzymała.

Funchal, tyle poszukiwany przez chorych z powodu miłego klimatu, należy do najpiękniejszych miejscowości, zachwycając przybyszów znurzonych jednostajnością morza. Na wszystkie strony widać tam wspaniałe ogrody obsypane wielkiemi, świetnemi kwiatami, oraz góry do samego wierzchołka zarośnięte najpiękniejszemi roślinami. Z drugiéj jednak strony, pomiędzy budynkami miasta nie ma nic uwagi godnego.

Ulubioną rozrywką cudzoziemców jest spuszczanie się z pochyłości Nossa Senhora de Monti na małych saneczkach drewnianych, tak zręcznie kierowanych przez dwóch krajowców, że pomimo niesłychanie szybkiéj jazdy, rzadko daje się słyszéć o jakim małym wypadku.

Madera ważną odegrała rolę w historyi kolonij, albowiem założono na niéj pierwsze plantacye trzciny cukrowéj, pochodzącéj z południowo-wschodniéj Azyi i poraz pierwszy sprowadzono czarnych niewolników dla uprawy tych plantacyj.

Obok cukru, głównym przedmiotem handlu jest tu sławne wino, w wielkich ilościach produkowane.

Po dwudniowym pobycie w Funchal, korweta udała się do Teneriffy, przepływając koło grupy pustych, skalistych wysp „Desertas“, odwiedzanych jedynie przez łowiących muszle, a położonych na południo-wschód Madery w odległości 11 mil morskich.

Santa Cruz, główne miasto Teneriffy, biednie jest zabudowane i posiada wązkie ulice, a gmachy publiczne nie zalecają się pięknością. Miasto otaczają głębokie wąwozy i strome skały, na których oprócz kaktusów prawie żadnych innych roślin dostrzedz nie można. Wygasłe kratery poszarpanych, ogromnych skał, mają w sobie coś wspaniałego. Obecnie wszystko jest w spoczynku, nigdzie

nie ma śladów życia i roślinności; wszystko jest wyschłe, smutne i spalone, tylko w południowéj części wyspy daje się spostrzegać lesisty pas, na którym oko chętnie spoczywa, podziwiając piękność widoku. Tu i owdzie widać kaktusowe szkółki, przeznaczone do hodowli koszenili, która obok oleju rycinowego jest głównym przedmiotem handlu wywozowego.

Niektórzy z uczonych, korzystając z pobytu w Santa Cruz, postanowili wejść na sławny Pik Teneriffy, wznoszący się na 12180 stóp, lecz zdołali dojść tylko do 9000 stóp wysokości, gdzie już noce bardzo są zimne. Tymczasem korweta ciągle krążyła w pobliżu wyspy, prowadząc badania pomiędzy Teneriffą i Palmą, oraz koło Gomera i Hierra.

Gdy korweta powróciła do Santa Cruz, aby się następnego dnia udać w dalszą drogę, członkowie wyprawy od angielskiego konsula otrzymali zaproszenie na bal, na ich cześć wydany. Bal odbył się jak najświetniéj, lecz podróżnym wielce przeszkadzała nieznajomość hiszpańskiego języka, nie mogli bowiem należycie porozumiewać się z pięknemi hiszpankami, i musieli poprzestawać na rozmowie oczów, w czém jak Spry świadczy, hiszpanki nadzwyczaj są biegłe. Bal przeciągnął się do rana, korweta zaś odpłynęła tego samego wieczora, udając się do wyspy Ś-go Tomasza (St. Thomas), należącéj do grupy wysp Dziewiczych czyli Wirgińskich.

Podczas téj, przeszło miesiąc trwającéj podróży, rozpoczęły się prawidłowe badania. Na przestrzeni 2700 mil, jakie korweta miała przebyć, oznaczono przeszło dwadzieścia stacyj, gdzie wyprawa miała starannie badać głębokość i temperaturę wody, oraz naturę dna morskiego; obok tego, w miarę sprzyjającéj pogody, należało codziennie sondować i łowić włokiem.

W tém miejscu Spry opisuje następujący codzienny tryb życia na statku wojennym, zmierzający do utrzymania czystości na okręcie oraz wzmocnienia karności pomiędzy osadą.

Czynność na okręcie zaczyna się o 4 rano. Po przeglądzie wart stawiają ludzi przy pompach i polewają pokład na wszystkie strony, co jest koniecznem ze względu na zdrowie osady.

Po umyciu pokładu, o godzinie szóstéj piszczałka daje rozkaz zdjęcia hamaków, poczém podają śniadanie, składające się z czekolady i sucharów okrętowych. Majtkowie i maszyniści ubierają się następnie w przepisane mundury, poczém rozpoczyna się sondowanie, łowienie i t. d. Ludzie czynnościami temi nie zajęci, odbywają mustrę, słuchają nabożeństwa i oddają się zwykłym pracom okrętowym. O dwunastéj w południe gwiżdżą na obiad, składający się z solonego mięsa i mącznego pudyngu, albo z solonéj słoniny i gro-

chówki, poczém roznoszą grog i dają godzinę wolnego czasu na palenie tytuniu; o wpół do drugiéj po południu znowu zaczynają się różne ćwiczenia, a o wpół do piątéj każdy staje do przeglądu na swojém miejscu, uzbrojony strzelbą, szablą i pistoletem.

Po przeglądzie, wydają rozkaz rozwinięcia żagli i wypuszczenia pary. O wpół do ósméj wieczorem rozlega się rozkaz rozwieszania hamaków; po kolacyi, składającéj się z herbaty i sucharów, załoga znowu otrzymuje pozwolenie palić do 9, poczém oficer służbowy obchodzi okręt, aby zobaczyć czy wszystko w porządku, a każdy, oprócz straż trzymających, musi się już o téj porze w hamaku znajdować.

Tak upływają dnie, i tylko niedziela sprowadza zmianę w jednostajném życiu, albowiem po przeglądzie i nabożeństwie, cały dzień schodzi na czytaniu lub spaniu.

W miesiąc po odpłynięciu z Teneriffy, korweta dopłynęła do wyspy Sombrero, należącéj do grupy wysp Dziewiczych, a 16 Marca zarzuciła kotwicę w odleglejszéj przystani wyspy S-go Tomasza, która zwykle jest bardzo niezdrowa.

Miasto Charlotte Amalie malowniczo jest rozrzucone na wysokich pagórkach wzdłuż północnego wybrzeża wyspy, nie odznaczając się zresztą ani pięknością, ani obszernością.

W ostatnich czasach wyspę nawiedziły orkany i inne klęski, pomimo to jednak zachowała ona swe znaczenie, jako jedna z najważniejszych przystani Indyj Zachodnich.

Po tygodniowym pobycie, wypełnionym bardzo przyjemnemi wycieczkami do przyległych wysp Sombrero i St. John, korweta udała się do wysp Bermuda, oddając się po drodze zwykłym badaniom, podczas których zdarzył się bardzo smutny wypadek, albowiem przy wyciąganiu włoka oberwał się blok, który tak silnie uderzył w głowę majtka nazwiskiem Wilhelma Stokes, że ten, pomimo udzielonéj mu pomocy lekarskiéj, w kilka godzin umarł. Wieczorem tego dnia, po przeglądzie załogi, dzwon okrętowy zwołał całą osadę dla oddania ostatniéj usługi zmarłemu towarzyszowi.

Kapitan odczytał mowę pogrzebową, a gdy wyrzekł wyrazy: „Ciało to głębiom oddajemy“, wysunięto ze strzelnicy i spuszczono do modrego morza zwłoki płótnem obwinięte i obciążone kulą.

Trzeciego Kwietnia pokazały się wyspy Bermudy, które z daleka smutny przedstawiają widok, albowiem nad poziom morza wznoszą się tylko 25 do 50 stóp, gdy jednak locman przeprowadził korwetę przez trudne przejścia pomiędzy rafami, podróżni nasi znaleźli się w małéj i nader malowniczéj przystani.

Podają, jakoby hiszpan Juan Bermudez odkrył wyspy przed 400 mniéj więcéj laty, poczém przez długie lata nie było o nich żadnéj wieści, opowiadano tylko, że korsarze przybijają do nich po pomyślnych wyprawach, i do dziś dnia chodzą pogłoski, że pomiędzy wyspami znajdują się wielkie skarby zatopione. Ostatecznie o wyspach powzięto dokładną wiadomość, gdy na ich brzegach 1609 r. rozbił się angielski okręt „Sea Adventure", wiozący gubernatora i urzędników kolonii, świéżo założonéj w Wirginii. Wyspy nie były zamieszkałe, chociaż widać było ślady ludzkiego na nich pobytu, i pomiędzy innemi znaleziono tam dużo świń, niezawodnie puszczonych na wolność przez dawniejszych mieszkańców. Wyspy okazały się bardzo urodzajne, posiadały wiele ryb i żółwi, oraz przyjemny klimat, rozbitki więc zabawili na nich cały rok, zanim się puścili do Wirginii na zbudowanym przez siebie małym statku. Skoro wiadomość o wyspach 1612 r. doszła do Anglii, natychmiast przystąpiono do założenia na nich kolonii i tym sposobem Bermudy stały się kolonią angielską, która posiada obecnie rząd reprezentacyjny i ciało prawodawcze. Wyspy mało produkują, albowiem dla drożyzny najemnika nie wiele posiadają gruntów uprawnych, są jednak ważną stacyą marynarki, i z tego powodu z biegiem czasu zostały ufortyfikowane.

Poszukiwania koło wysp trwały 4 dni, przyczém przekonano się, że wyspy tworzą odosobnioną górę, stromo wznoszącą się z dna morskiego na podstawie mającéj 120 mil morskich obwodu. Podczas pobytu na Bermudach, geologowie i botanicy badali geologiczną budowę i florę wysp, do czego nie mało zachęcały piękne aleje i lasy.

Korweta jeszcze jakiś czas odbywała badania w pobliżu wysp, a następnie udała się na północo-zachód ku Sandy Hook, przepływając w poprzek prąd zatokowy (golfstrom), w tém miejscu szeroki 60 mil morskich.

Prąd zatokowy jest właściwie przedłużeniem prądu równikowego, który zaczyna się na wybrzeżach afrykańskich i przepływa w poprzek oceanu Atlantyckiego, pochłaniając po drodze znaczną ilość cieplika. Właściwy prąd zatokowy bierze początek w zatoce Meksykańskiéj, przechodzi przez cieśninę Florydzką, a następnie wzdłuż brzegów Ameryki, dąży na północ; koło Nowéj Szkocyi i Newfoundland zwraca się ku wybrzeżom europejskim, które ogrzewa, znacznie łagodząc klimat naszéj części świata.

Bezustanku oddając się poszukiwaniom, wyprawa zwolna zmierzała do Halifax, gdzie 8 Maja zarzuciła kotwicę w przystani, zupełnie zasłoniętéj przez wyspę Mc. Nab, którą okrywa wspania-

ła roślinność. Pośrodku przystani leży silnie ufortyfikowana wyspa St. George.

Miasto, wraz ze swemi przedmieściami, leży na zachodnim brzegu przystani. Z téj strony Atlantyku z pewnością nie ma miasta, któreby mogło równać się z Halifaxem pod względem bezpieczeństwa przystani i malowniczéj okolicy, przerzniętéj licznemi odnogami i zatokami morza; zatoki kończą się wielkiém jeziorem Bedford Bassin, mającém 9 kwadratowych mil angielskich powierzchni, po nad którem, pośród bujnéj roślinności leżą piękne letnie mieszkania bogatszych rodzin.

Przy wylądowaniu miasto niekorzystnie się przedstawia, albowiem dopiéro w środkowéj jego części przebiegają szerokie, dobrze zabudowane ulice, na których mieszczą się wielkie sklepy i składy wszelkich towarów, czy to zbytkowych, czyli téż codziennéj potrzeby.

Halifax, jedna z ważniejszych przystani, jest stolicą arcybiskupa rzymsko-katolickiego i anglikańskiego biskupa, przyczém posiada przeszło trzydzieści kościołów i kaplic pod wezwaniem rozmaitych świętych. W mieście znajduje się uniwersytet, biblioteki, rozmaite muzea oraz szpitale i zakłady dobroczynne.

Sławna cytadela leży na wierzchołku pagórka, panującego nad miastem, ma to być, podobnie jak Quebek, najsilniejsza twierdza angielskich posiadłości w Ameryce północnéj.

Obszerne ogrody publiczne zasługują na uwagę specyalistów, pociągając jednocześnie swoją pięknością. Główną rozrywką mieszkańców są pikniki, odbywające się nad pięknemi zatokami przystani, w których biorą udział wszyscy mieszkańcy, od najzamożniejszych do najbiedniejszych. Obok tego, odpowiednio do położenia miasta, ulubioném zajęciem mieszkańców jest łowienie ryb, oraz przejażdżki po zatoce; często téż miewają miejsce wyścigi wodne, w których rozmaite kluby starają się wzajemnie przewyższyć ilością, budową i szybkością statków, oraz zręcznem ich kierowaniem.

Podczas pobytu „Challengera" różne osoby z miasta miały sposobność zwiedzać okręt, z czego przedewszystkiém korzystali członkowie miejscowego towarzystwa naturalistów. Z pomiędzy różnych przedmiotów, jakie już nagromadzono, głównie zwracał na siebie uwagę duży kamień, wyciągnięty z dna morskiego, w odległości 300 mil morskich od miasta. Po starannem zbadaniu uznano, że kamień jest kawałem granitu szelburnskiego, który przed tysiącami może lat został uniesiony przez górę lodową, oderwaną od brzegów Nowéj Szkocyi, co dowodzi, że kiedyś lody ota-

czały to wybrzeże, podobnie jak dziś otaczają Islandyą i Grenlandyą.

„Challenger“ opuścił Halifax 19 Maja, udając się w prostéj linii do wysp Bermuda dla zdejmowania profilu dna morskiego. Ciągłe mierzenie temperatury morza dowiodło, że od wschodniego biegu prądu zatokowego aż do Indyj Zachodnich ciągnie się pas ciepléj wody, skutkiem czego powierzchnia morza jest tu cieplejsza, aniżeli 650 mil daléj ku południowi. Nadto okazało się, że zimny prąd, przebiegający wzdłuż brzegów Ameryki od północy ku południowi, bynajmniéj nie wpływa na głębsze warstwy morza; zdaje się więc, że zimna woda na dnie oceanu Atlantyckiego zależy od prądu antarktycznego.

Przybywszy do wysp Bermudzkich, dwa dni poświęcono badaniu raf, a następnie jeszcze dziesięć dni, przeznaczono na wycieczki naukowe po wyspach. Uwagę geologów głównie zwracały na siebie „lodowce piaskowe“, które prawdopodobnie tym sposobem powstają, że drobne okruchy korali otaczających wybrzeża, będąc uniesione przez panujące wiatry, gromadzą się i tworzą pagórki do 30 stóp wysokie. Tym sposobem miały być zasypane głębokie doliny, zamienione obecnie na równe płaszczyzny; zmiany te i obecnie się odbywają, ze szkodą domów, ogrodów i plantacyj, nie zdaje się jednak aby przedsiębrano jakie środki zaradcze.

W niektórych miejscach piasek wydm stwardniał w skutek deszczów i innych wpływów, zamieniając się na wapień, który dziwaczne przybiera kształty i tworzy groty, po większéj części pokryte bujną roślinnością.

Z wysp Bermudzkich wyprawa udała się do wysp Azorskich, zdejmując po drodze profil dna morskiego. Przybywszy 1 Lipca do miasta Horta, leżącego na wyspie Fayal, dowiedziano się o panującéj tam ospie, skutkiem czego korweta zaraz następnego dnia wyruszyła do wyspy Ś-go Michała, gdzie się kilka dni zatrzymała.

Wyspy Azorskie, leżące pośród oceanu Atlantyckiego, cały rok są wystawione na burze, a że nie mają żadnéj bezpiecznéj przystani, więc żeglarze starannie ich unikają. Wyspy te, ciągnące się 300 mil morskich, są oczywiście utworem wulkanicznym, lecz pomimo to natura hojnie je uposażyła. W ogrodach otaczających miasto rosną wszystkie rzadkie krzewy i kwiaty, hodowane w cieplarniach europejskich, jako to: palmy, kaktusy, smocze drzewa, aloesy, drzewa pomarańczowe, cytrynowe, figowe, oraz kwiaty europejskie, które przybierają tutaj olbrzymie wymiary.

Dawniéj uprawiano na wyspach dużo trzciny cukrowéj, lecz późniéj, gdy towar ten mniéj był poszukiwany, mieszkańcy zwrócili

się do hodowli zboża, pomarańcz, cytryn i wina, z czego znaczne ciągną korzyści. Na wyspach znajdują się także liczne źródła mineralne rozmaitéj temperatury.

Korweta opuściła wyspę 9 Lipca, udając się do Madery, gdzie dla panującéj ospy krótko zabawiła i przepłynąwszy koło wysp Kanaryjskich, skierowała się do wysp Przylądka Zielonego, bez ustanku sondując i włócząc po dnie oceanu. Przepłynąwszy tuż koło wyspy Ś-go Antoniego, zarzucono kotwicę w Porto Grande na wyspie Ś-go Wincentego.

Miasto, składające się z niewielu rozrzuconych domów i składów, ciągnie się wzdłuż wybrzeża, a nieco daléj widać poszarpane góry. Wyspa, pokryta nagiemi skałami, mało posiada roślinności nie można więc zaopatrywać się na niéj w zapasy świeżéj żywności i dla tego wyprawa przeniosła się niebawem do wyspy St. Jago należącéj do téj saméj grupy.

Miasto Porto Praya leży na wyniosłości nad zatoką, piękny przedstawiając widok. Jednopiętrowe, ubogie domy posiadają tylko to, co jest niezbędnie do życia potrzebne, i zdaje się, że nie mają tu żadnego wyobrażenia o wygodzie i czystości.

Mieszkańcy, będący oczywiście mięszańcami portugalczyków i murzynów z sąsiedniego wybrzeża, uprawiają nieco gruntów i hodują owoce podzwrotnikowe.

Po trzydniowym pobycie „Challenger" podniósł kotwicę, udając się ku południowi wzdłuż wybrzeży afrykańskich dla zdejmowania profilu dna Atlantyku. Tymczasem nadeszła pora deszczowa, pogoda tedy była coraz uciążliwsza w miarę zbliżania się do równika. Dopłynąwszy do wysokości przylądka Palmas, z powodu przeciwnego wiatru zmieniono kierunek podróży, zwracając się ku skałom Ś-go Piotra. Skały te, leżące na północ równika i w małéj od niego odległości, zupełnie są puste, bez roślinności i wody słodkiéj, lecz morze obfituje dokoła w ryby, które przywabiają stada ptaków morskich.

Po dwudniowym pobycie przy skałach, 29 Sierpnia udano się w dalszą drogę i 1 Września spostrzeżono wyspę Fernando Naronha, przy któréj korweta tegoż dnia zarzuciła kotwicę. Kapitan natychmiast udał się do komendanta, aby mu złożyć uszanowanie, oraz przedstawić cel przybycia korwety, prosząc jednocześnie o pozwolenie zbadania wysp pod względem botanicznym i geologicznym. Pozwolenie chętnie udzielono, nim jednak następnego ranka różne oddziały badaczy zdołały statek opuścić, komendant odwołał pozwolenie, albowiem bez zezwolenia rządu nie chciał brać na siebie od-

powiedzialności za dozwolenie zabrania choćby jednego owadu lub rośliny.

Fernando Naronha składa się z dwóch wysp pochodzenia wulkanicznego, najeżonych ostremi skałami. Jak się zdaje, są one dosyć lesiste, przynajmniéj wyższe ich części są porosłe niezliczonemi drzewami, po których wiją się zadziwiające rośliny pnące, lecz z owoców widać tam tylko banany i melony. Obecnie rząd brazylijski trzyma na wyspach od 1500 do 2000 więźni, których pilnuje kompania żołnierzy.

Ponieważ nie było tu co robić, przeto korweta 3 Września odpłynęła do Bahia de Todos os Santos, dokąd 14 tegoż miesiąca przybyła.

Miasto składa się z dwóch części, górnéj i dolnéj; w pierwszéj posiadającéj piękne ulice i domy, mieszkają zamożniejsi ludzie, w dolnéj zaś znajdują się sklepy i składy towarów.

Czternastodniowy pobyt w Bahia poświęcono wycieczkom w okolice, czy to koleją żelazną, czyli téż wzdłuż rzek. W małéj już odległości po za miastem wznoszą się wspaniałe lasy, z plantacyami i folwarkami po brzegach. Wszędzie widać tu najrozmaitsze drzewa i krzaki, wydające bogaty plon, jako to: kawa, kakao, herbata, wszelakie owoce, pachnące liście i korzenie, sarsaparilla, chinina, indigo, kauczuk, drzewo chlebowe i t. d.

Pobyt w Bahia nagle przerwała żółta febra, która nawiedziła jednego z osady okrętowéj. Chorego odwieziono na ląd, korweta zaś, dla zdejmowania profilów dna morskiego kierując się ku przylądkowi Dobréj Nadziei, odpłynęła daléj na południe, do zimniejszych i zdrowszych krain.

Pierwotnie zamierzano zatrzymać się czas jakiś koło małéj wyspy Trinidad, lecz nieprzyjazne wiatry zmusiły zwrócić się do wyspy Tristan da Cunha. Morze zdawało się roić zwierzętami, co téż dużo dawało do czynienia, a za okrętem ciągnęły wielkie stada morskich ptaków, oczekujących na resztki z okrętu wyrzucane.

Dnia 15 Października 1873 r. korweta zawinęła do wyspy Tristan da Cunha, prawie poza światem położonéj, któréj ludność składała się wówczas ze dwudziestu mniéj więcéj rodzin, liczących 84 głowy. Korzystając z pięknéj pogody, zwiedzono wyspę, którą otacza szeroki pas morszczyzny, tworzący naturalną ochronę przed natarczywością fali. Od mieszkańców podróżnicy dowiedzieli się, że dwóch niemców dla połowu fok dobrowolnie osiadło na pustéj wyspie Inaccessible, położonéj ku południowi w odległości 30 mil; przypuszczano, że obadwa zmarli, albowiem od dawnego czasu nic

o nich nie słyszano. Dla dowiedzenia się o losie biedaków, korweta udała się do pomienionéj wyspy, gdzie obydwóch samotników znaleziono obok szałasu, służącego im za schronienie; bez wielkich nalegań zgodzili się udać na korwetę, a po dobrém śniadaniu, starszy z nich, Fryderyk Stoltenhoff, w następny sposób opowiedział swoje i brata przygody.

Fryderyk Stoltenhoff urodził się w Moskwie 1846 r., gdzie ojciec jego był farbiarzem; przed wybuchem wojny francusko-pruskiéj pracował w kantorze kupieckim w Akwizgranie, dokąd po ukończeniu wojny powrócił.

W Czerwcu 1871 roku przybył do niego młodszy brat Gustaw, powracający z Tristan da Cunha, gdzie wylądował wraz z osadą statku „Beacon Light", który z powodu pożaru musiano opuścić w odległości 300 mil od wyspy. Następnie rozbitków zabrał statek „Northfleet" i odwiózł do Aden, zkąd Gustaw powrócił do Niemiec na angielskim parowcu, na którym zaciągnął się do służby.

Opowiadanie Gustawa o pobycie na Tristan da Cunha, oraz jego zamiar powrócenia jeszcze na tę wyspę, zrodziły we Fryderyku zamiar przeniesienia się tam, dla zebrania pewnéj sumy pieniężnéj z połowu fok i handlu wymiennego. W tym celu obadwaj bracia odpłynęli w Sierpniu 1871 roku na wyspę Ś-téj Heleny, zkąd 6 Listopada udali się w dalszą drogę na wielorybniczym statku „Jawa", udającym się do południowych okolic oceanu Atlantyckiego. Kapitan statku dużo opowiadał Stoltenhoffom o mieszkańcach wyspy Tristan da Cunha i prawdopodobném przyjęciu, jakiego mogli się spodziéwać, co wszakże pozostawało w sprzeczności z tém co Gustaw opowiadał na zasadzie ośmnastodniowego pobytu na wyspie. Kapitan opisywał wyspę Inaccessible jako bardzo urodzajną, dodając, że wraz z sąsiednią wyspą Nightingale jest miejscem pobytu fok i lwów morskich; daléj kapitan oświadczył, że kilkakrotnie wylądowując na wyspę, spotkał tam dużo kóz i świń. W skutek tych opowiadań obadwa bracia postanowili spróbować szczęścia na wyspie Inaccessible, gdzie ich téż statek wysadził 27 Listopada 1871 roku, wraz z wszelkiemi ich zapasami, składającemi się z żywności, dwóch strzelb, rozmaitych naczyń, narzędzi, ubrania, oraz łodzi z masztem i żaglami.

Po przybyciu na wyspę, Gustaw natychmiast wdrapał się na skałę dla odszukania kóz i świń, lecz wycieczka nie powiodła się, skutkiem czego powrócił do brata dla pomagania mu w budowaniu chaty. Po wypoczynku bracia udali się na polowanie i zabili świnię, oraz widzieli kozy, do których jednak nie mogli się zbliżyć.

We dwa tygodnie po wylądowaniu odwiedziło ich szesnastu ludzi z Tristan da Cunha, którzy z dwoma innemi, pozostałemi w domu, składali całą męzką ludność téj wyspy. Przybywali oni dla połowu fok, bo właśnie zaczynało się polowanie, i tém bardziéj śpieszyli się z przybyciem na wyspę Inaccessible, że kapitan „Jawy“ mówił im, iż Stoltenhoffy mają listy i cztery skrzynie, powierzone im na Ś-téj Helenie, dla doręczenia mieszkańcom Tristan da Cunha, co w rzeczy saméj miało miejsce. Z powodu spóźnionéj pory dnia, odwiedziny trwały tylko godzinę; przez cały ten czas przybysze bardzo byli uprzejmi i nauczyli Stoltenhoffów budować chaty z miejscowéj trawy. Na drugi dzień znowu przybyli mieszkańcy Tristanu, którzy przyjechali po kozy. Pomogli oni Stoltenhoffom wybudować chatkę, wskazując jednocześnie dogodniejsze miejsce na północnéj stronie wyspy. Podczas tego dziesięciodniowego pobytu, ludzie z Tristanu bardzo byli przyjacielscy, chętnie udzielali pomocy, oraz obiecali dostarczyć trzy sztuki bydła.

Tak nadeszły pierwsze dnie Grudnia 1871 r. Stoltenhoffy zajęli się wybudowaniem domu, oraz uprawą gruntu pod kartofle i inne jarzyny. Była to letnia pora roku i w ogóle panowała piękna pogoda; wody dostarczał górski potok, a opału sąsiedni las. W tym czasie foki rozmnażają się i wychodzą na ląd w romaitych punktach wyspy; bracia zabili 19 sztuk, z których nie wiele jednak wydobyli tranu.

Dotychczas niedostatku nie doznawali, lecz będąc zajęci różnemi pracami, nie mogli polować i szybko spożywali przywiezione zapasy. Ciężka barka, jaką posiadali, znacznie została uszkodzona podczas polowania na foki, a w początku Kwietnia 1872 r., gdy podpalili trawę na wybrzeżu dla oczyszczenia gruntu, zajęła się także trawa pokrywająca pochyłość wzgórza, za pomocą któréj wdrapywali się na nie. Musieli tedy z wielkiéj swéj barki zbudować mniejszy statek, którym popłynęli na zachodnią stronę wyspy, zkąd można się było dostać na górę; wycieczka powiodła się, albowiem zabili dwie kozy i świnię, lecz zimową porą, t. j. w Czerwcu tegoż roku, fala rozbiła i ten ostatni statek; tak więc samotnicy stracili możność polowania, albowiem nie mogli dostać się na górę ze strony zachodniéj, a po spaleniu trawy stracili przystęp z innéj strony.

Kartofli i innych jarzyn, które szczęśliwie uprawiali, posiadali tak mało, że dla uniknienia śmierci głodowéj musieli poprzestawać na jak najmniejszych racyach, co wszakże niedługo trwało, albowiem w Lipcu nadciągnęły samce pingwinów dla przygotowania gniazd, a wkrótce potém przyszły też samice, które zaczęły się nieść w przygotowane przez samców gniazda, można więc było ży-

wić się jajami. We Wrześniu nadpłynął statek francuzki, udający się do Indyj Wschodnich, który nabył skóry fok, oraz zapłacił sucharami i tytoniem za jaja pingwinów; w Październiku znowu zawinął do wyspy statek „Temis“, który zaopatrzył samotników w suchary i słoninę, obiecując powrócić po kilku tygodniach, co się jednak nie ziściło. Gdy zabrakło jaj pingwinowych oraz sucharów i słoniny, dla zaopatrzenia się w żywność potrzeba było udać się wpław na zachodni brzeg wyspy. Wyprawa zupełnie się powiodła, lecz w przewidywaniu dłuższego pobytu na wyspie wypadło powrócić do siedziby, dla poprawienia domu, wykopania kartofli i przyprowadzenia wszystkiego do porządku.

W Grudniu, podczas pobytu samotników na zachodniém wybrzeżu, odwiedziły wyspę statki wielorybnicze, które za skóry fok dały im nieco zapasów żywności. Wkrótce potém przybyli mieszkańcy Tristanu dla połowu fok, lecz przy téj sposobności z pozostałych dwunastu kóz zabili ośm, głośno użalając się, że nie zdołali wszystkich wystrzelać. W Lutym następnego roku znowu przybyła wyprawa z Tristanu, która unikając spotkania z Stoltenhoffami, resztę kóz wystrzelała, czyniąc to oczywiście dla wypędzenia Stoltenhoffów z wyspy, albowiem Tristan da Cunha obfituje w żywność i dużo posiada owiec. Tak więc samotnikom pozostały tylko jarzyny i smalec. Gdy się te zapasy w Marcu 1873 r. wyczerpały obadwaj bracia znowu popłynęli na zachodnie wybrzeże, codziennie czyniąc wycieczki celem strzelania świń; słoninę zachowywali, mięso zaś wyrzucali, albowiem dla braku soli nie można było myśléć o przechowaniu go. Podczas tych wycieczek zdobyli troje prosiąt, które młodszy brat Gustaw z wielką pracą zniósł z góry, a następnie spławił do mieszkania na północnem wybrzeżu. Fryderyk powrócił do mieszkania nieco późniéj, straciwszy po drodze dwie schwytane świnie, które się podczas przeprawy morzem utopiły. Pomimo braku mąki, ryżu i kartofli, nie było głodu podczas zimy 1873, zwłaszcza, że znowu pingwiny zaczęły się nieść, i jajami temi samotnicy karmili się aż do przybycia „Challengera“ w połowie Października 1873 roku.

Po całodniowym pobycie na brzegach wyspy Inaccessible „Challenger“, zabrawszy braci Stoltenhoff, odpłynął do przylądka Dobréj Nadziei.

Ląd spostrzeżono 28 Października, i wkrótce można było dojrzéć z pokładu sławną górę Stołową. Ponieważ na korwecie zdarzył się wypadek żółtéj febry, poddano ją tedy dwudniowéj kwarantannie w zatoce Sismondi, nad którą leży miasto tegoż nazwiska

Nie ma smutniejszego krajobrazu nad skaliste, puste góry oraz białe wydmy piasczyste otaczające zatokę, co zwłaszcza uderzało przybywających z bogatych wybrzeży brazylijskich. Miasto składa się z paruset domów tynkowanych, rozrzuconych na wybrzeżu, i prawie zupełnie pozbawionych cienia drzew. Dla marynarki przystań ta, jest bardzo ważna, albowiem można tu uskuteczniać naprawę statków, oraz zaopatrywać okręty we wszelkie zapasy. Do większych budowli należy tylko doskonale przewietrzany szpital marynarki, dom komodora i dwa czy trzy kościoły.

Po wylądowaniu przedsięwzięto wycieczkę powozem do Wynberga. Po całogodzinnéj jeździe, podróżni przybyli do wsi Cork Bai, któréj mieszkańcy widocznie żyją z rybołóstwa, albowiem wszędzie widać tam ogromną ilość ryb porozwieszanych do suszenia, i całe powietrze przejęte jest odorem rybim.

Od téj wsi droga w prostym kierunku idzie przez równinę, łączącą miasto Cap z lądem stałym. Wzgórza stopniowo nikną, a krajobraz staje się coraz piękniejszym; z prawéj strony widać pagórki, błyszczące rozmaitemi barwami, oraz słynną górę Stołową, prawie pionowo wznoszącą się na 3500 stóp, a z lewéj Konstancyą ze znanemi winnicami. Daléj droga prowadzi przez okolicę, obsadzoną sosnami i dębami, pomiędzy któremi kryją się piękne wille i wspaniałe budynki, aż wreszcie dochodzi do Wynberga, zkąd koléj żelazna idzie do miasta Cap.

Miasto Cap nie posiada wspaniałych budynków, lecz na uwagę zasługuje muzeum, obejmujące piękny zbiór przedmiotów historyi naturalnéj i innych rzadkości, daléj południowo-afrykańska biblioteka publiczna, instytut literacki, naukowy i mechaniczny, oraz różne inne zakłady i towarzystwa religijne, dobroczynne i przemysłowe, świadczące o duchu i przedsiębiorczości mieszkańców. Ogród botaniczny, starannie utrzymany i pięknie urządzony, zawiera wiele rzadkich i pożytecznych roślin, z całego świata nagromadzonych.

Zaledwie jeszcze pozostały ślady, że miasto zostało przez holendrów założone; gdyby nie żółci malaje i czarno-żółci mieszańcy, możnaby pomyśléć, że się znajduje w jakiém starożytném, angielskiém mieście prowincyonalném.

Holendrzy przed stu pięćdziesięcioma laty przygotowali kolonizacyą kraju, lecz postęp i rozwój zaczyna się dopiero od 1815 r. gdy kolonia dostała się w ręce anglików. W ostatnich latach, wskutek odkrycia diamentów, handel znacznie się ożywił, lecz drogi prowadzące do kopalni diamentowych, odległych od miasta 600 angielskich (koło 120 naszych) mil, są dotychczas niewygodne i niebezpieczne, albowiem z Zoutkloof do Saltpans Drift, trzeba przebyć 386

mil angielskich przez pustynię Karroo, która podczas suchéj pory roku bardzo trudna do przebycia dla podróżnika. Pomimo to wszystko, oraz pomimo wysokiéj opłaty za jazdę, wozy, co tydzień wychodzące z miasta, są pospolicie zapełnione.

Pierwszy diament, ważący 21$^{3}/_{16}$ karata, znalazły dzieci w łożysku rzeki Oranżowéj, gdzie szukały krzemieni i agatów. Pewien kupiec, zaciekawiony kamieniem, posłał go do doktora Atherstone w Grahams-Town, który poznał w nim diament najczystszej wody. Zaczęto tedy systematycznie szukać diamentów, skutkiem czego znaleziono wiele drobnych kamieni na powierzchni ziemi. Z podwójnym zapałem oddano się poszukiwaniom, gdy w rok po odkryciu pierwszego diamentu, pewien pasterz znalazł „gwiazdę Afryki południowéj." Kapitan Rolleston ze swymi ludźmi długi czas bezowocnie kopał i przemywał ziemię na wybrzeżach rzeki Vaal; dopiéro po trzechmiesięcznych poszukiwaniach, pomiędzy grubym piaskiem znalazł wreszcie 7 Stycznia 1870 r. pierwszy diament, a w ciągu następnych dwóch miesięcy wydobył jeszcze kilkaset tych drogich kamieni. Od owego czasu diamentowe pola zwabiły już tysiące awanturników.

Diamenty znajdowano dotychczas na znacznéj przestrzeni, nie można się jednak wcale domyślać jak daleko sięgają pola diamentowe, które już dzisiaj tak są obszerne, że przez długie lata mogą dostarczać zajęcia znacznéj ludności.

W Toit's Pan i Bultfontein pierwsze diamenty znaleziono 1869 r. w tynku, pokrywającym pewien budynek; wysłano tedy kilku kafrów dla dalszych poszukiwań, którzy na powierzchni ziemi znaleźli dużo drobnych kamieni; zaczęto więc głębiéj szukać w ziemi.

Po ukończeniu wszelkich przygotowań, korweta opuściła przylądek Dobrej Nadziei 17 Grudnia 1873, udając się daléj na południe. Oddaliwszy się od przylądka na ośmdziesiąt mil ku południowi, weszła w prąd przylądka Agulhas, który powstaje na oceanie Indyjskim z tych samych powodów, z jakich na oceanie Atlantyckim powstaje prąd zatokowy. Ciepła woda oceanu Indyjskiego, pędzona północno wschodnim mussonem i południowo-wschodnim passatem, znajduje jedyne ujście przez morze, położone na południe przylądka Dobréj Nadziei; tu spotyka się z zimnym, antarktycznym prądem oceanu Atlantyckiego, który spycha ciepły prąd ze wschodu idący, zmuszając go zawracać na południe i na wschód. Z powodu burzliwego powietrza „Challenger" nie mógł zbadać tego prądu, szerokiego na 250 mil morskich, lecz przekonano się, że w zatoce Stołowéj pod miastem Cap, woda, pochodząca z Atlantyku, jest znacznie zimniejsza od wody w zatoce Sismondi, pochodzącéj z oceanu In-

dyjskiego; do téj ostatniéj zatoki, podczas panujących północno-zachodnich wiatrów, dostaje się jednak znacznie zimniejsza woda oceanu Atlantyckiego.

Dnia 25 Grudnia spostrzeżono wyspę Marion, otoczoną szerokim pasem morszczyzny, na którą uczeni udali się następnego dnia. Wyspa przedstawia widok dzikiéj, nagiéj pustyni; na wszystkie strony widać tam tylko porozrzucane bryły poszarpanych skał, okryte wyschniętą morszczyzną, a wdrapawszy się nieco wyżéj uczeni znaleźli trzęskie bagno. Na pochyłości wzgórza gnieździły się petrele, niżéj zaś okrywały ziemię gniazda wspaniałych albatrosów, których waga dochodzi do 20 funtów, a siąg skrzydeł do 12 stóp. Oprócz tego, wyspę zamieszkiwały także pingwiny, należące do trzech odmiennych gatunków.

Podczas téj wycieczki na wyspę, korweta odbywała poszukiwania w płytkim kanale, oddzielającym wyspę Marion od wyspy księcia Edwarda, którą zamierzono następnego dnia zwiedzić, czemu jednak przeszkodził groźny stan powietrza; udano się tedy do wysp Crozet, leżących 600 mil daléj.

Wyspę Marion i wyspę księcia Edwarda 1772 r. odkrył Marion de Fresne, dowódca francuskiéj wyprawy naukowéj, który mniemał, że odkrył ląd południowy, albowiem wyspy mgłą okryte wydały się znacznie większemi, oraz zdawały się dźwigać parę łańcuchów wzgórzy. W pięć lat późniéj kapitan Cook przepłynął przez ten sam kanał, a nie wiedząc o odkryciu francuskiego dowódcy, nazwał wyspy na cześć Edwarda księcia Kent. Od czasów kapitana Cook dopiero Ross zwiedził wyspy 1840 roku. Polujący na foki od czasu do czasu odwiedzają te pustkowia, lecz w ostatnich czasach bez powodzenia.

Podróżni pierwszą wyspę Crozet spostrzegli 31 Grudnia 1873, lecz pogoda nie pozwoliła wylądować, tylko z pokładu widać było stromo wznoszące się brzegi oraz szkopuły Wschodniéj wyspy. Wyspy Crozet są już przeszło od stu lat znane, pomimo to jednak mało o nich wiadomo, albowiem ani Ross 1843 roku, ani „Challenger,“ nie mogli uskutecznić wylądowania.

Pomyślny wiatr północno-wschodni szybko posuwał korwetę ku wyspom Kerguelen, tak iż 6 Stycznia 1874 roku spostrzeżono małą wysepkę Blight's Cap, potem wyspę Kerguelen, a następnego dnia zawinięto do przystani Christmas Harbour (przystań Bożego Narodzenia), w któréj Cook stanął ze swemi okrętami podczas Bożego Narodzenia 1777 r.

Wyspy odkrył porucznik Kerguelen przed stu przeszło laty, wysłany przez rząd francuski dla przekonania się o bytności lądu

południowego, który wówczas poczytywano za konieczny warunek równowagi ziemi. Kerguelen 13 Stycznia 1772 roku po raz pierwszy spostrzegł wyspę przez mgłę i deszcz, lecz z powodu burzy, która go znowu na morze uniosła, nie mógł przystąpić do wylądowania. Powróciwszy do Francyi, tak przesadnie opisał swoje odkrycie, że następnego roku znowu go wysłano, i tym to powtórnym jego odwiedzinom głównie zawdzięczamy wiadomości o tych wyspach. Następnie zwiedził je Cook i Ross, lecz mapy obydwóch tych marynarzy dużo przedstawiają braków, wyjąwszy tylko wschodnie wybrzeże, poszarpane wspaniałemi, zupełnie zasłoniętemi zatokami.

Na wybrzeżach wyspy. „Challenger" zatrzymał się trzy tygodnie, poszukując miejsca, w któremby można urządzić obserwatorium astronomiczne dla obserwowania przejścia Wenery przez tarczę słońca.

Wyspę tworzą nierówne, jałowe skały, z bardzo ubogą roślinnością, składającą się z krótkiéj trawy, oraz pewnéj, tu i owdzie wyrastającéj brunatnéj rośliny. Chociaż obecnie wyspa nie posiada ani jednego krzaka, wszakże liczne pokłady węgla dowodzą, że przez całe wieki w wielu miejscach okrywały ją lasy, prawdopodobnie zniszczone w skutek często powtarzających się wybuchów lawy. Na wyspie przebywają niezliczone stada ptaków, zwłaszcza pingwinów, które dziwny przedstawiają widok, albowiem stoją szeregami wydając ogłuszające krzyki.

Podczas pobytu na wybrzeżach wyspy, podróżni spotkali się z dwoma amerykańskiemi statkami, polującemi na foki, które zabiły dwadzieścia dwie sztuki téj zwierzyny, i surową skórę sprzedawały po 40 angielskich szyllingów. Sposób polowania zapowiada szybkie wytępienie fok, albowiem oddający się temu trudnemu i wielce niebezpiecznemu przemysłowi, zabijają wszystko co napotykają, bynajmniéj nie troszcząc się o to co dalej będzie. Wyspy w czasie ich odkrycia roiły się różnemi fokami i wielorybami, gdy jednak zaczęli zawijać do nich przemysłowcy, oddający się polowaniu na tę zdobycz, zwierzęta bardzo szybko zostały zdziesiątkowane i bezwątpienia po niewielu latach zupełnie będą wytępione.

Wyprawa opuściła wyspę Kerguelen 1 Lutego 1874 roku, zmierzając do wyspy Heard, odkrytéj 1855 roku przez kapitana Heard. Przez trzy dni panowała mgła i deszcz, skutkiem czego korwecie co chwila groziło niebezpieczeństwo uderzenia o ląd lub górę lodową, zwłaszcza że jest rzeczą wątpliwą czy wyspę dokładnie na mapach oznaczono.

Mgła ciągle jeszcze trwała 5 Lutego, lecz krzyki pingwinów pływających a morszczyzna ostrzegły o bliskości lądu, który w rzeczy

samej spostrzeżono następnego ranka, gdy się mgła na chwilę rozproszyła. Były to Meyer's Rock i wyspy Macdonalda, składające się ze stromych, czarnych i niegościnnych skał. Wyspy wznoszą się na 400 do 500 stóp nad morze, i nigdzie nie ma tam miejsca do wylądowania, musiano tedy daléj płynąć. W odległości 20 mil, korweta napotkała wyspy Rogers Head i zatrzymała w zatoce Korynckíéj (Corinthian Bai), czyli według wielorybników w zatoce Wódczanéj (Whisky Bai), albowiem mają tam wypijać niezmierną ilość wódki, podczas corocznych odwiedzin okrętu dowożącego żywność. Poprzednio zwiedzane wyspy, pomimo swego opustoszenia, wydały się jeszcze rajem ziemskim w porównaniu z tą górą lawy, okrytą lodowcami. Największa wyspa, przy któréj korweta stanęła, podobno wznosi się 7000 stóp, nad poziom morza, o czem, z powodu mgły, nie można się było przekonać; jest ona pokryta lodowcami, które ze wszystkich stron spuszczają się do morza.

Członkowie wyprawy, wysiadłszy na ląd, spotkali tam polujących na foki, którzy mieszkają w kilku brudnych barakach, zapuszczonych w ziemi tak dla ochrony przed skwarem, jako też burzami, srożącemi się w wąwozach. Na wyspie ma przebywać 40 do 50 ludzi, podzielonych na małe gromadki, z których każda trzyma się w swojéj okolicy, wyczekując na lwy morskie. Myśliwi prowadzą życie nędzne, jednostajne i uciążliwe; na wyspie przebywają trzy lata, a następnie, jeżeli im szczęście posłużyło, powracają mając w kieszeni 50 do 60 funtów sterlingów, które wydają w ciągu kilku miesięcy, aby znowu powrócić na wyspę na jakie trzy lata, i karmić się jajami pingwinów i albatrosów.

Zamierzano bliżéj nieco wyspę zbadać, lecz z powodu groźnenego stanu powietrza nie można było dłużéj pozostawać; wyruszono tedy w dalszą drogę następnego ranka, wśród gęsto padającego śniegu. Niedługo zawyła spodziewana burza, lecz na szczęście w pomyślnym kierunku, unosząc okręt do antarktycznych krain lodowych.

Płynąc pośród deszczu i śniegu, 11 Lutego napotkano pierwszą górę lodową, a następnie góry te stawały się coraz liczniejsze, piękny przedstawiając widok, gdy podczas dni pogodnych błyszczały najrozmaitszemi barwami. Góry lodowe najrozmaitsze miewają kształty; najczęściéj pionowo wznoszą się po nad wodą, a ich płaski, śniegiem okryty grzbiet iskrzy się na słońcu. Napotykane góry rozmaitéj były wielkości; jedne były ćwierć mili (angielskiéj), inne pięć mil długie, przewyższając przytem szczyty masztów. Zdaje się rzeczą niezawodną, że góry lodowe powstają na lądzie, albowiem często można na nich znajdować ziemię i kamienie; prawdopo-

dobnie burze odrywają je od lądu i następnie pędzą ku północy i zachodowi, gdzie spotykać się dają góry rozmaitego wieku. Czas, potrzebny do uformowania góry lodowéj, rozmaicie bywa oceniany; Spry podaje, że najwyższe góry, jakie najdaléj na południe napotkano, a tem samem góry, które najmniéj ucierpiały od wpływu wody i powietrza, wznosiły się po nad wodę na 200 do 250 stóp, i prawdopodobnie trzy razy tyle były zanurzone pod wodą niektóre więc były grube na 900 stóp; przypuszczając tedy, że na dzień spada jeden cal, czyli w ciągu roku 30 stóp śniegu, wypada, że potrzeba 30 lat na utworzenie góry lodowéj.

Płynąc pomiędzy górami i zatokami lodowemi, rozciągającemi się ku południowi jak tylko można było sięgnąć okiem z wierzchołka masztów, korweta przeszła przez koło biegunowe i jeszcze się nieco daléj ku południowi posunęła; pomimo niezwykle czystego powietrza nigdzie jednak nie można było dopatrzéć lądu. Zmieniono tedy kierunek, i udano się na wschód, dla odszukania lądu „Wilke's Termination Land," który powinien się był znajdować w odległości 400 mil.

Dawniéj mniemano, że w okolicach bieguna południowego powinien się znajdować ląd, któryby równoważył lądy bieguna północnego, lecz Cook, Weddell, Bellinghausen, Kerguelen i inni, napróżno lądu tego szukali; dopiéro kapitan Biscoe 1831 r. oznajmił, że ląd ten widział, co też w kilka lat późniéj utrzymywał Kemp, kapitan wielorybniczego statku.

Kapitan Wilkes, dowódca wyprawy wysłanéj przez Stany Zjednoczone, 1840 roku ogłosił, że widział z daleka ląd śniegiem okryty, oraz ciemny punkt wyglądający jakby góry, a nadto że poboczne okoliczności, jak ciągły, wzrastający krzyk pingwinów, oraz zmieniona, ciemniejsza barwa morza, świadczyły o bliskości lądu. Ląd Wilkesa poczytywano za rzecz mniéj więcéj pewną; lecz James Ross, udawszy się w następnym roku do dwóch punktów owego lądu, wykazał błędność twierdzeń Wilkesa; z drugiéj znowu strony, „Challenger" 23 Lutego 1874 dotarł do punktu, tylko 20 mil odległego od miejsca, w którem Wilkes miał ląd zobaczyć, lecz pomimo zupełnéj pogody nic zgoła nie można było dojrzéć. Następnego ranka powstała straszna burza z zamiecią śniegową, która nie dozwoliła płynąć daléj, i dopiero 25 Lutego korweta znalazła się w odległości 15 mil od miejsca, gdzie się miał ląd Wilkesa znajdować, lecz i tą razą, pomimo wypogodzonego nieba, nic zgoła nie dostrzeżono.

Ponieważ okręt nie był przeciwko lodom zabezpieczony i dalszy pobyt pośród lodów za dużo zabierał czasu, przeznaczonego na

inne poszukiwania, puszczono się tedy ku północy, zmierzając do miasta Melbourne, położonego na południowym brzegu Nowéj Hollandyi. Odwrót nie obszedł się bez ciężkich przepraw, albowiem 26 Lutego zerwała się straszna burza, która korwetę, znajdującą się pośród gór lodowych, wystawiła na wielkie niebezpieczeństwo. Ostatnią górę lodową wyminięto 4 Marca, a 16 tegoż miesiąca, po 40 dniowym pobycie na morzu, znowu ląd spostrzeżono. Był to przylądek Otway, którego latarnia zwiastowała tymczasowy koniec podróży. Następnego dnia korweta przepłynęła koło przylądka Port Philipp, i wkrótce znalazła się w Hobsonsbai. Natychmiast przybyli na pokład znakomitsi mieszkańcy miasta Melbourne, witając przybyłych i ofiarując im swoje usługi. Samo miasto leży 5 mil angielskich (mniéj więcéj mila polska) od przystani, lecz kolej żelazna łączy obadwa te miejsca, a nasi podróżni tém mniéj mieli trudności w dostaniu się do miasta, że towarzystwo kolei pośpieszyło przesłać im bilety wolnéj jazdy.

Wiktorja (na Nowéj Hollandyi) jest najbogatszą kolonią angielską, roczny obrót kolonii wynosi przeszło 32 miliony, a dochód 4$^1/_2$ miliony funtów sterlingów. Melbourne znowu jest największem i najważniejszem miastem w całéj w ogóle Australii, a pomimo że biały człowiek na wybrzeżu tém wylądował dopiéro przed czterdziestoma laty, miasto z przedmieściami liczy już 240,000 mieszkańców.

Melbourne odznacza się wielką regularnością, albowiem wszystkie ulice są tam proste i przecinają się pod kątem prostym. Budynki publiczne i prywatne zasługują na uwagę tak z powodu wielkości, jako też pięknéj architektury.

Zadziwiające to miasto co rok trzecią część dochodów obraca na wychowanie publiczne, hojnie uposażając szkoły ludowe, uniwersytet, biblioteki, galerye obrazów, oraz akademią górniczą i akademią sztuk pięknych. W muzeach i galeryach nagromadzono rzadkie przedmioty i piękne obrazy, a w bibliotekach publicznych znajdują się tysiące książek, z których każdy może darmo korzystać. Ogród botaniczny posiada wszelkie piękne kwiaty, paprocie i drzewa, przedstawiając dla botaników prawdziwy raj naukowy.

Do wspaniałych miejscowości należą przedmieścia Richmond, Brighton i St. Kilda, posiadające piękne domki wiejskie i pyszne ogrody, z których tu i owdzie widać czyste, modre morze. Od przedmieść na wszystkie strony ciągną się ogrody publiczne, tak zwane „rezerwy,“ których cień nie mało przyczynia się od uprzyjemnienia pobytu w mieście.

Podczas pobytu w Melbourne, Spry pomiędzy innemi zwiedził miasto Ballarat, które powstało 1853 r. w czasie gorączki złotéj.

Obecnie miasto posiada 120 ulic i okazałe budynki, czterdzieści do pięćdziesięciu szkół, szpitale, domy schronienia, ratusz, dwa sądy, banki, szkołę rzemieślniczą, dwa lub trzy teatry, fabrykę gazu, ludwisarnie, fabryki maszyn, młyny parowe itp. Dla wygody mieszkańców założono rezerwy i duży ogród botaniczny. Kupcy mają tu swoją izbę handlową, technicy instytut literacki, rolnicy towarzystwo rolnicze, górnicy odpowiednie szkoły i zakłady naukowe. Na około miasta rozwinęło się rolnictwo i uprawiono już tysiące akrów (morgów) gruntu.

Korzystając ze sposobności, Spry zwiedził ważniejsze kopalnie złota, z których kopalnia u stóp Black Hill na brzegu rzeki Yarrowe zwróciła na siebie szczególną jego uwagę z powodu, że na wielką skalę używają tam maszyn parowych. Kopalnia zajmuje większą część góry, rozciągając się na przestrzeni mniéj więcéj 40 morgów (akrów). W różnych wysokościach góry wykute tunele wysokie dziewięć, a szerokie siedm stóp, które razem wzięte mają przeszło 3000 stóp długości; tunele w różnych miejscach łączą się z otwartemi studniami na wierzchołku wzgórza położonemi. W pobliżu Ballaratu znajdują się także wsi, których mieszkańcy trudnią się kopaniem złota, jak Buninyong, liczący 1981 mieszkańców, i Sebastopol z 6000 mieszkańców. Wszędzie widać tam ślady dawnéj czynności poszukiwaczy złota, a obecnie cierpliwi chińczycy nie przestają grzebać w niezliczonych kupach ziemi, od czasu do czasu wydobywając nieco złota z dawniejszych odpadków.

Z rana 1 Kwietnia korweta opuściła Hobsonsbai i wkrótce znalazła się w cieśninie Bass, a w pięć dni późniéj spostrzeżono obadwa przylądki Sydney Heads, ograniczające wejście do Port Jackson. Na wierzchołku południowego przylądka wznosi się czworoboczna wieża, a obok stoi słup, na którym powiewały flagi, zwiastujące o przybyciu korwety. Północny przylądek przedstawia stromą skałę, wznoszącą się 300 stóp nad powierzchnię morza. Daléj znajduje się morska latarnia, wzniesiona po rozbiciu się okrętu „Dunbar," wiozącego wychodźców.

Port Jackson należy do najpiękniejszych miejscowości. Dwadzieścia mil angielskich ciągną się w głąb kraju piękne zatoki i rzeki, a na skalistych wybrzeżach każdy wyskok lub przylądek zdobią piękne mieszkania letnie, otoczone parkami i ogrodami pełnemi pomarańcz, bananów i innych roślin podzwrotnikowych. Z natury rzeczy głównemi rozrywkami mieszkańców jest rybołóstwo i żegluga; często téż odbywają się regatty klubów wioślarskich, współubiegających się ze względu na liczbę, budowę i szybkość statków. Zatoka pospolicie zupełnie jest bezpieczna, często przedstawia dla nie-

doświadczonych pewne niebezpieczeństwo z powodu nagle powstających wiatrów.

W parę dni po zawinięciu korwety do Port Jackson, wyżsi urzędnicy królewscy urządzili dla znajdujących się na niéj oficerów i uczonych wycieczkę koleją żelazną w góry Błękitne, którą Spry w następujący sposób opisuje.

Towarzystwo o godzinie 7 z rana wyruszyło nadzwyczajnym pociągiem z dworca wielkiéj zachodniéj kolei żelaznéj. Przejechawszy przez piękne gaje pomarańczowe, winnice i osady, o godzinie 9 przybyło do miejsca zwanego Penrith, w pobliżu którego zatrzymano się dla spożycia śniadania. W dalszym ciągu koléj zygzakowato idzie w góry Błękitne, które w zachodniéj stronie doliny Nepean stromo się wznoszą. Doszedłszy do wierzchołka Lapstone Hill, kolej wije się po głównym łańcuchu gór; w ten sposób dochodzi do tunelu Clarence'a, położonego w wysokości 3758 stóp. Z miejsca tego z każdéj strony widać obszerny krajobraz górzysty i lesisty, nie do opisania dziki i wspaniały. Koléj żelazna ciągnie się przez jedyne przejście w tych górach, okrytych rozmaitemi gatunkami drzewa gumowego (Eucalyptus) i licznemi kwitnącemi krzewami. Potém koléj znowu zygzakowato spuszcza się w dolinę Lithgow. Ta zygzakowato przebiegająca koléj jest największém dziełem inżynierów Australii. Budowa jednéj mili angielskiéj kosztowała od 20 do 25 tysiecy funtów sterlingów; po długich i mozolnych poszukiwaniach wyznaczono miejsca najmniéj trudności przedstawiające, jednakże góry tak są poszarpane, że dla zmierzenia i wytknięcia linii musiano inżynierów spuszczać na sznurach. W dwóch czy trzech miejscach nad przepaściami zbudowano wiaduki z białego piaskowca, a jednę wystającą skałę wypadło tunelem prześwidrować.

Samo miasto, równie piękne jak zajmujące, leży w pagórkowatéj miejscowości, skutkiem czego mniéj jest regularne, lecz za to bardzo malownicze. Dawniejsze budynki nie odznaczają się pięknością, lecz nowsze zasługują na uwagę z powodu zalet architektonicznych. Najpiękniejszym budynkiem jest gotycki gmach uniwersytetu, wzniesiony na wzgórzu, z którego można miasto wzrokiem objąć. Prywatne domy i wille mieszkańców, w okolicach miasta rozrzucone, po największéj części leżą w ogrodach, miły sprawiając widok. Najmodniejszą jest wschodnia część miasta, gdzie zabudowanie ciągną się wzdłuż brzegu. Na poudnie leży miasto Wooloomooloo, które stało się równie wielkie, lecz daleko modniejsze od Sydney. Daléj następuje Elisabethbai, Rosenbai, Doublebai i Rush Cuttersbai, z licznemi willami bogatszych rodzin. Naokoło, miasta wzdłuż wybrzeży, na wszystkie strony wznoszą się piękne budynki,

z wielkim wzniesione kosztem, które pod względem piękności i przepychu ogrodów i parków mogą sie współubiegać z najpiękniejszemi mieszkaniami prywatnemi na południowéj półkuli.

Miasto posiada przeszło 120 kościołów, mniéj lub więcéj odznaczających się piękną budową.

Ogrody publiczne szczodrze są od natury uposażone malowniczém położeniem, z którego sztuka bardzo zręcznie korzystała. Po za ogrodami leży obszerny park obejmujący 128 morgów gruntu w środku miasta leży Hyde Park, a w ostatnich czasach założono park księcia Alfreda, w którym na pamiątkę stuletniéj rocznicy odkrycia wschodnich wybrzeży Australii przez kapitana Cook, wzniesiono budynek wystawy kolonjalnéj, gdzie towarzystwo rolnicze co rok urządza swoją wystawę i bal wydaje. Nadto, założono jeszcze park Belmore i Moore.

Historya kolonij angielskich na Nowéj Hollandyi jest pokrótce następująca.

Kapitan Cook 1770 roku wylądował w Botanybai, położonéj parę mil angielskich na południe Sydney, i zajął kraj w imieniu korony angielskiéj. Cook bynajmniéj nie odkrył Australii, albowiem na parę wieków przed nim miał już tam wylądować pewien żeglarz portugalski. Późniéj holendrzy często zwiedzali nietylko ląd, ale nadto rozmaite wyspy, lecz działając skrycie i samolubnie nie ogłaszali sprawozdań o podróżach, ani też wydawali mapy nowego lądu, albowiem obawiali się, aby inne narody nie dowiedziały się o nowo odkrytych posiadłościach. Następnie 1640 r. pewien francuz wylądował koło przylądka Leewin, tworzącego południowo-wschodni koniec Nowéj Hollandyi, a w czterdzieści lat potém, do zachodnich wybrzeży przybił Wilhelm Dampier, który, o ile wiadomo, pierwszy z pomiędzy anglików stąpił na ten ląd wielkiéj kolonii. Przez następne sto lat, anglicy, francuzi i holendrzy starali się zawładnąć Nową Hollandyą, czego w końcu dokonał Cook, poczem 1787 roku wysłano komodora Phillip, jako pierwszego rządcę Australii, dla założenia karnéj kolonii w Botanybai. Phillip, przekonawszy się że miejscowość celowi nie odpowiada, popłynął nieco daléj do Port Jackson i założył kolonię Nowéj Południowéj Walii (New South Wales), która dała początek wszystkim późniejszym koloniom Australii.

Korweta opuściła Port Jackson 8 Czerwca 1874 roku wśród burzy, która wprawdzie uspokoiła się nieco w ciągu dnia, lecz morze o tyle było niespokojne, że okręt był całą noc miotany w sposób bardzo niemiły. Następnego dnia burza nietylko przeszkadzała badaniom, lecz nadto zmusiła schronić się znowu do przystani, i dopiéro 12 Czerwca pozwoliła wyruszyć na pełne morze.

Sondując i zapuszczając sieć „Challenger“ zmierzał do Nowéj Zelandyi, często znosząc mniéj więcéj silne burze.

Nowa Zelandya, położona w pasie burz i wystawiona na silną falę biegnącą od bieguna do bieguna, zjednała sobie sławę z powodu otaczającego ją, niespokojnego morza, czego doświadczyli i nasi podróżni, albowiem koło przylądka Farewell zostali zaskoczeni przez burzę, przed którą musieli się schronić do Port Hardy na wyspie D'Urville. Burza trwała cały następny dzień, poczém okręt znowu wyruszył, lecz z powodu wzburzonego morza bardzo wolno postępował i ostatecznie znowu musiał szukać schronienia w zatoce Królowéj Karoliny na Long Island, gdzie noc przepędzono. Następnego ranka udało się przepłynąć cieśninę Cooka, lecz wydarzył się tu opłakany wypadek, albowiem wzburzone morze zmiotło z pokładu majtka Edwarda Winton, który znikł w otchłani pomimo, że w parę minut spostrzeżono wypadek i przedsięwzięto wszelkie środki ratunku.

Trudy żeglugi po wzburzonem morzu skończyły się 28 Czerwca, gdy korweta weszła do obszernego portu Nicholson, gdzie okręty długiemi szeregami stały przed miastem Wellington.

Głównym powodem podróży do Wellingtonu była chęć zbadania dna pomiędzy tém miastem i Sydney, albowiem powzięto zamiar założenia podwójnéj liny telegraficznéj pomiędzy obydwoma temi punktami. Badania wypadły korzystnie, albowiem dno oceanu okazało się odpowiedniém do urzeczywistnienia przedsięwzięcia.

Miasto Wellington, będące od 1864 roku stolicą Nowéj Zelandyi, liczy od 8 do 9 tysięcy mieszkańców, i z powodu często powtarzających się trzęsień ziemi, po większéj części jest zabudowane drewnianemi domami. Poprzednio, od 1840 roku, stolicą kolonii było miasto Auckland, lecz następnie, ze względów administracyjnych, przeniesiono siedzibę rządu do Wellingtonu, położonego w środkowym punkcie obydwóch wysp.

Nowa Zelandya, pomimo małéj przestrzeni, oddzielającéj ją od Nowéj Hollandyi, zupełnie różni się od tego lądu, tak pod względem mieszkańców, jako też klimatu i natury gruntu. Nową Zelandyą zaludnia plemię polynezyjskie, zamieszkujące większą część wysp oceanu Spokojnego, gdy tymczasem pierwotni mieszkańcy Nowéj Hollandyi należą do plemienia murzyńskiego. Nowa Zelandya jest pochodzenia wulkanicznego; naokoło otaczają ją wysokie szkopuły, a od północy na południe obiedwie wyspy przerzyna łańcuch gór, posiadający dużo ciepłych źródeł, które często wytryskują w pobliżu wiecznych śniegów, trzęsienia ziemi dosyć są pospolite, wulkany zaś nie należą do rzadkości, klimat jest wilgotny i burzliwy, a kraj pokrywają gęste zarośla i paprocie drzewiaste. Nowa Zelandya różni

się od Nowéj Hollandyi nawet pod względem roślin i zwierząt kopalnych.

Po dziesięciodniowym pobycie, korweta opuściła przystań wśród gwałtownéj burzy; gdy wypłynęła z portu Nicholson, nastała gęsta mgła połączona z deszczem, co zmusiło szukać schronienia w zatoce Worser. Następnego dnia wyruszono w dalszą podróż, lecz burzliwy stan morza nie dozwolił przystąpić do zdejmowania profilu dna morskiego, co szczególniéj było pożądanem dla następujących powodów. Podobieństwo roślin właściwych Nowéj Zelandyi i sąsiednim wyspom, naprowadza na myśl, że Nowa Zelandya była kiedyś połączona z wyspami otaczającemi ją z zachodu i ze wschodu, niewyłączając wysp Kermadec, Norfolk i Lorda Howe, tworząc wraz z niemi obszerny ląd. Chodziło więc o przekonanie się, czy morze pomiędzy temi wyspami w rzeczy saméj małą przedstawia głębokość, co byłoby potwierdzeniem powyższego przypuszczenia, opartego na badaniach botanicznych.

Korweta 13 Lipca przepłynęła koło niebezpiecznych raf Esperanza Rock, i następnego dnia, o brzasku porannym, znalazła się przed wyspami Kermadec, które odkrył admirał d'Entrecasteaux 15 Marca 1793 r. Jestto grupa drobnych, skalistych wysp, które z powodu niebezpiecznych raf są postrachem żeglarzy. Na największéj z pomiędzy nich, zwanéj wyspą Niedzielną (Sunday Island), przed niedawnym jeszcze czasem mieszkała rodzina amerykańska, która pędziła tam biedny żywot, dostarczając wielorybnikom drobiu i jarzyn; częste trzęsienia ziemi i wybuch wulkanu zmusiły amerykanów do odwrotu, i obecnie wyspa jest bezludna.

Do wysp Przyjacielskich, czyli Tonga, korweta przybyła 19 Lipca i tegoż dnia zarzuciła kotwicę przy wyspie Tongatabu.

Miasto Nukalofa otaczają drzewa chlebowe i palmy kokosowe, które wszakże nie powstrzymują chłodnego powiewu passatu.

Naprzeciw wybrzeża wznoszą się budynki zarządu, dom królewski i dom gubernatora, a daléj, wśród pięknéj doliny, leżą chaty krajowców, lekko zbudowane z bambusu i liści palmowych; po największéj części każdą chatę otacza kawałek gruntu, ogrodzonego włóknami i liśćmi palmowemi, i ocieniają drzewa chlebowe oraz inne rośliny zwrotnikowe.

Król, który po przyjęciu wiary chrześcijańskiéj przybrał nazwisko Jerzego Tabu, za młodu słynął jako wielki wojownik, lecz zmieniwszy wiarę, oddał się wyłącznie zarządowi państwa i pomyślności poddanych. Mieszkańcy wyspy są wysokiego wzrostu, silni i nieco jaśniejszéj barwy aniżeli ich sąsiedzi; nie mają oni żadnego zarostu i posiadają nieco płaski nos, lecz pomimo to mężczyzni i kobiety

często bywają przystojni. Obiedwie płcie noszą włosy krótko ostrzyżone i nieco czerwonawe w skutek smarowania chinamem, t. j. wapienną, papkowatą masą, któréj malaje używają także do przygotowania orzechów betelowych, przeznaczonych do żucia.

Szaty tak mężczyzn, jako też kobiet, są uszyte z tego samego materyału zwanego tapa. Jestto kora pewnego drzewa na wyspach hodowanego, którą starannie wyklepują drewnianemi młotkami, a następnie pojedyncze kawałki zszywają w płachty i ozdabiają rozmaitemi rysunkami, odbijanemi farbą za pomocą stempli. Użycie téj materyi po trzech latach zupełnie ma być zakazane, a to celem rozpowszechnienia uprawy bawełny i odpowiednich tkanin.

Kościół, wznoszący się na wzgórzu, jest pokryty liśćmi palmowemi, a palmowe wiązanie dachu spoczywa na słupach z twardego drzewa. Wewnątrz znajdują się ławki na 800 osób, piękna ambona i wielkie organy, na których wcale dobrze grywa jeden z krajowców. Podczas bytności „Challengera“ w przystani Tongatabu, w kościele kazał krajowiec, a śpiewy szły bardzo dobrze. Wyspa posiada także szkoły, wydające bardzo dobry owoc, albowiem dorastające pokolenie w znacznéj części umie czytać i pisać.

W pobliżu drzwi kościelnych przed niedawnym czasem wzniesiono kamień pamiątkowy na cześć kapitana Croker, dowódcy angielskiego okrętu wojennego „Favourite“, który zginął w Czerwcu 1840 r. podczas napadu na Bea. Król Tabu, jako gorliwy neofita, prosił kapitana o pomoc przeciwko mieszkańcom Bea, którzy trwali w pogaństwie i opierali się wszelkim usiłowaniom misyonarzy. Kapitan Croker wystąpił z dwoma armatami polowemi, oraz majtkami i żołnierzami okrętu, lecz zbliżywszy się do oszańcowanéj wsi został raniony strzałą i stracił wielu ludzi oraz armaty, co zmusiło go do odwrotu. Na pamiątkę téj wyprawy wzniesiono kamień, o którym mowa.

Na około wysp Przyjacielskich, będących utworem korali, rozciągają się obszerne rafy, zwłaszcza téż ku północy. Roślinność jest na wyspach nadzwyczaj bujna i pomimo słabéj uprawy gruntu dużo jest tam roślin jadalnych, które przywabiają wielorybników oraz inne przepływające okręty.

„Challenger“ opuścił wyspy Przyjacielskie 22 Lipca, i po niebezpiecznéj dwudniowéj przeprawie znalazł się pomiędzy licznemi wyspami, okrytemi bogatą roślinnością i otoczonemi przez pierścieniowate, białe rafy. Były to wyspy Viti czyli Fidżi, odkryte przez Tasmana 6 Lutego 1643 roku, a w ostatnich czasach zamienione na kolonią angielską. Koło wyspy Matuki połów włokiem bardzo był pomyślny, albowiem złowiono żywego łodzika (Nautilus), przy-

czém okazało się, że mięczak, nie pływa po powierzchni morza, jak to mniemano, lecz żyje na dnie zwracając do góry wypukłą stronę skorupy, któréj używa jako puklerza; na powierzchnię wody wypływa dopiéro po śmierci. Następnie korweta udała się do wyspy Kandavu, a potém do Levuka, odległéj 120 mil morskich, poczém na dłuższy pobyt znowu powróciła do Kandavu, gdzie zajęto się wymierzaniem przystani przy Ngolabai. Kandavu nie posiada dotychczas ani jednéj ludniejszéj wsi, albowiem obecnie niewiele tylko rozrzuconych domów wznosi się na wybrzeżu. W wielu miejscach dają się spostrzegać ślady uprawy gruntu, a łodzie, używane przez wyspiarzy tego archipelagu, po największéj części tutaj są wyrabiane.

Podczas przyjemnéj chociaż wielce utrudzającéj wycieczki po wyspie, Spry doznawał serdecznéj gościnności w każdéj chacie, do któréj wstąpił; w jednéj z nich mieszkańcy właśnie zafryzowali sobie włosy, z powodu pewnéj, nadchodzącéj uroczystości, w tym celu zmoczyli włosy wapienną wodą, rozmaicie je pofarbowali i najdziwaczniéj pozaplatali. Szczególniejsza ta ozdoba głowy niewątpliwie wymaga kilku dni pracy, aby więc włosów nie poczuchrać podczas snu, wspiérają głowę na bambusowem wezgłowiu, którego europejczyk wcaleby znieść nie potrafił.

Często wychwalają swobodę życia w stanie dzikiéj natury, a jednakże w rzeczy saméj dzicy, dla zadosyć uczynienia swéj próżności, znoszą różne udręczenia, nie mniejsze od uciążliwości mody i zwyczajów panujących w świecie cywilizowanym. Ileż to bolu sprawia tatuowanie, którego dzicy chętnieby się wyrzekli, gdyby na to zwyczaje pozwalały, lecz na wyspach Viti surowe przepisy prawa nie dopuszczają żadnego pod tym względem wyjątku. Zresztą tatuowanie, któremu poddawać się muszą tylko kobiéty, ogranicza się na kątach ust oraz częściach ciała zakrytych ubraniem. Operacya jest nudna i bolesna; skórę nakłówają ością rybią albo ciernicm, a następnie nakłócia napuszczają farbami. Obyczaj tatuowania objaśniają tylko tém, że tak Bóg kazał, oraz że niezachowanie obyczaju byłoby ciężko po śmierci karane.

Wieczorem odbyła się uroczystość „Meke meke“, na cześć przybyłych urządzona. Zebrało się dwustu lub trzystu krajowców, przyodzianych w najpiękniejsze szaty i ozdoby; dzicy pomazali sobie twarz na czarno, a ciało pomalowali jasno-czerwoną i niebieską farbą, oraz od stóp do głów wysmarowali się olejem kokosowym. Na dany znak wszyscy przygotowali się do tańca, uzbrojeni w maczugi, włócznie i siekiery bojowe, fantastycznie pomalowane różnemi kolorami. Orkiestrę składały liczne instrumenta z pustego bam-

busu, w które muzykanci uderzali krótkiemi pałeczkami, albo też poprostu bili niemi o ziemię, gdy tymczasem takt śpiewem i nawoływaniem mierzono. Tancerze, których zapał doszedł do najwyższego stopnia, wykonywali szalone ruchy i na wszystkie strony wywijali rękami, co przy jaskrawém świetle pochodni zajmujący przedstawiało widok.

Mieszkańcy wyspy Kandavu należą do pięknego szczepu i niewątpliwie posiadają dużo przymiotów, chociaż dawniéj byli nadzwyczaj krwiożerczy, dzicy i okrutni. Ludożerstwo niesłychanie się tu rozwijało; pożerano wszystkich bez różnicy tak wrogów, jako też przyjaciół i krewnych, lecz nikczemny obyczaj znikł pod wpływem wiary chrześciańskiéj, ktorą zaczęto głosić krajowcom 1835 r.

Po tygodniowym pobycie pod Kandavu, korweta wyruszyła do Nowych Hebryd. Podczas drogi, przy sprzyjającéj pogodzie pilnie sondowano i łowiono włokiem, aż wreszcie 17 Sierpnia dostrzeżono wyspy Nowych Hebrydów, a następnego dnia zatrzymano się koło wyspy Api, któréj mieszkańcy mają być najdzikszemi na całym tym archipelagu. Na pokładzie znajdowali się krajowcy, którzy pracowali na wyspach Viti i obecnie powracali do ojczyzny, po upływie oznaczonego umową czasu; należało więc wysadzić ich na ląd, przyczém każdy kto chciał, mógł także odbyć wycieczkę. Skoro szalupa przybiła do lądu, pokazało się wielu krajowców; czteréj z pomiędzy nich nieśli gałązki palmowe na znak przyjacielskich zamiarów, lecz inni byli uzbrojeni maczugami, włóczniami, łukami i strzałami, nie mieli też z sobą ani kobiét, ani dzieci, co pospolicie nie dobrym jest znakiem. Ponieważ mieszkańcy wyspy, należący do plemienia papuasów, w stosunkach z białymi mają być zdradzieccy i nieprzyjacielscy, przeto podróżni obawiali zapuścić się nieco daléj na wyspę, skutkiem czego żadnéj wsi nie widzieli.

Zdaniem misyonarzy, mieszkańcy Nowych Hebrydów są najgorszymi ludźmi, z jakimi mieli do czynienia na oceanie Południowym; w ostatnich czasach dzicy mieli podstępnie misyonarzy wymordować i pozjadać.

Mieszkańcy Nowych Hebrydów często parę lat pracują w plantacyach na wyspach Viti, za co otrzymują zapłatę, składającą się z rozmaitych towarów, drobiazgów, strzelb, prochu, kul, noży i t. d. Powróciwszy do ojczyzny, pospolicie nie długo tam bawią, albowiem pomimo przymusowéj pracy, przekładają życie w plantacyach, gdzie obficie są żywieni, gdy tymczasem na rodzinnych wyspach, pustoszonych skutkiem rodowych zatargów, muszą ciężką nędzę znosić.

Ponieważ dłuższy pobyt pomiędzy dzikiemi mógł być niebezpieczny, przeto korweta, po powrocie łodzi na ląd wyprawionych,

puściła się w dalszą drogę do cieśniny Torresa, i wkrótce znalazła się na morzu Koralowem, bardzo dla żeglugi niebezpiecznem. Po drodze zarzucono kotwicę przy wyspie Raine Island; jest to niska rafa z nędzną roślinnością, zamieszkała przez niezliczone stada morskich ptaków, które z małym wyjątkiem gnieżdżą się na gołym piasku. Następnego dnia korweta stanęła na noc przy wyspach Ptasich (Bird Island), składających się z trzech wysepek lasem okrytych, i wreszcie 1 Września zawinęła do Somerset na przylądku York, stanowiącym północno-wschodni cypel Nowéj Hollandyi. Puste i piasczyste wybrzeża smutny przedstawiały widok, i wrażenie to wzmagało się w miarę pobytu w tém samotném miejscu. Rząd kolonii podtrzymuje małą osadę, albowiem zawijają do niej parowce pocztowe, co miesiąc kursując pomiędzy Singapore a Nową Hollandyą, a nadto osada jest ważną stacyą dla drobnych statków, wypływających na coraz bardziéj rozwijający się połów pereł w cieśninie Torresa, przyczém znajduje zajęcie wielu wyspiarzy, trudniących się nurkowaniem i przeprowadzaniem statków.

(Dokończenie nastąpi).

ZŁOTA HRABINKA.

OPOWIADANIE LEKARZA

SPISAŁY

W. Z. Kościałkowska i El. Orzeszkowa.

(Dokończenie).

Bywałem tam potém bardzo często, przekonałem się bowiem, że obecność przyjaznego lekarza nie była zupełnie bezpożyteczną mieszkańcom Zaborskiego pałacu. Nie mogąc niczemu zaradzić stanowczo, mogłem przecięż pochwytywać szczęśliwe chwile, w których wpływ mój i rady częściowy przynajmniéj odnosiły skutek. Hrabia Teofil okazywał mi życzliwość, spowodowaną zapewne tak troskliwością jego o syna i córkę, jak szczerem zajęciem, które okazywałem dla zbiorów i ksiąg jego. Z młodym hrabią Emilem, miałem zaraz przy drugiéj bytności méj w Zaborach długą rozmowę. Znalazłem go siedzącego w jednym z mrocznych i pustych pokojów pałacu, z książką w ręku. Ujrzawszy mię powstał i szybko zbliżył się ku mnie. Zdziwiło mię to trochę, zazwyczaj bowiem wyglądał tak, jakby obecność ludzi i rozmowa z nimi najlżejszéj nie sprawiała mu przyjemności.

— Chciałbym pomówić z panem, rzekł grzecznie ale chłodno. Ojciec i siostra moja musieli polecać przenikliwości i troskliwości pańskiéj moją osobę. Wiém o tém, bo zdarza się to już nie po raz pierwszy. Otóż chcę ułatwić zadanie panu a także i sobie, bo przyznam się, że niezbyt mi się to podoba, jeżeli oczy czyjeś biorą mię za przedmiot szczególnych obserwacyj.

— Mogę pana upewnić, mówił daléj, gdyśmy obok siebie usiedli, że chorym nie jestem bynajmniéj. Przyjdzie może kiedyś koléj i na mnie, ale dotąd jeszcze nie przyszła. Cała rzecz w tém, że ani w świecie ani w życiu nie widzę nic powabnego albo godnego trudów i zachodów. Nie lubię, słowem, świata i życia, i ta to obojętność zapewne nadaje mi niezwykły jakiś pozór. Lecz, czy może być na nią rada jaka, sam pan powiédz!

— Owszem, odpowiedziałem bez wahania, skuteczną radę na obojętność tę znaleść pan możesz w lepszém poznaniu szerokiego świata i w czynniejszym sposobie życia.

Uśmiéchnął się lekceważąco.

— Znam świat i próbowałem czynnego życia. Mieszkałem czas jakiś w stolicy i zagranicą, a potém usiłowałem zajmować się gospodarowaniem w obszernych dobrach naszych. Jedno i drugie przekonało mię ostatecznie, że w życiu ani bawić się, ani pracować nie warto. Wielkie miasta i podróże znudziły mię, w pracy nie znalazłem ani rozsądnego celu, ani uroku.

— Jednak, zarzuciłem, przyznasz pan, panie hrabio, że wielkie miasta jako ogniska cywilizacyi.....

— Cywilizacya, przerwał żywo, jest tam zwierzchnim tylko pokostem. Pod nim jak w gnieździe gadów, osłoniętém różami, pełzają chciwość, nędza i występek.....

— A więc w życiu wiejskiém, w bezpośredniéj bliskości przyrody, znaleść pan możesz prostotę obyczaju, niewinność serc....

— I obskurantyzm, zabobony, sielankę zgotowaną z kwaśnego mléka i ckliwego miodu.....

— Bierzesz pan rzeczy z ciemnéj tylko ich strony. Chciéj pan zwrócić uwagę nie na wyjątkowe albo jednostronne zjawiska, ale na typy.....

— Typy! zaśmiał się; naturalnie, że starałem się je wynaleść. Typami wielkich miast są: złodziéj kieszonkowy, oszust giełdowy, tłusty bankier, zalotnica i żebrak; typami wsi: idyotyczny chłop, kradnący las pański, szlachcic safanduła albo jarmarkowicz, szlachcianka głupia jak gęś, znachor i arendarz.....

Mówił to wszystko z wykrzywionemi od niesmaku ustami, ze spójrzeniem półgniewném, półznudzoném.

— Zapominasz pan, rzekłem, o uczonych i artystach, przemieszkujących po miastach, i o cichych lecz uczciwych pracownikach wsi.....

Wzgardliwie wzruszył ramionami.

— Uczeni, odparł, uczą się i nauczają dla tego, że jeść muszą, artyści najczęściéj grywają fałszywie i malują zielone nieba, co

zaś do cichych pracowników wsi, ci kradną, ile razy tylko ukraść cokolwiek mogą, piją po karczmach i co niedziela drzémią po kilka godzin w kościołach. Oto już i wszystkie cnoty, zasługi bohaterstwa tych i owych!

Rozmowa ta, prowadzona przez człowieka pełnego sił, młodości i zdolności, niewysłowienie przykre sprawiała wrażenie. Przedłużałem ją jednak, pragnąc dosięgnąć głębi umysłu tego, zmroczonego ciemnym i ciężkim pesymizmem.

— Widzę, rzekłem, że gardzisz pan ludźmi. Cóż przecież myślisz pan o tych rozlicznych ideach, które będąc wytworem zbiorowéj myśli ludzkiéj, służą za dowód szlachetnych pierwiastków istniejących w ogóle ludzkości?

Zaśmiał się z niesmakiem i wzgardą.

— Idee! powtórzył, bądź że pan łaskaw pokazać mi choć jedną z nich, któraby była jasną, dowiedzioną jak słońce i żadnéj nie ulegała wątpliwości. Wszystkie one kłócą się ze sobą i zaprzeczają sobie wzajem. Objawieniom religii zaprzecza nauka, prawdy odkryte przez naukę potępia religia, przeciw patryotyzmowi powstaje kosmopolityzm, idealizm ciągnący ludzi w górę spotyka się z materyalizmem, który spycha ich na dół, karność moralna sprzeciwia się indywidualnéj swobodzie, teorya własności topnieje wśród doktryn komunistycznych, filantropią wyśmiéwa ekonomia społeczna, rodzinę podkopuje idea indywidualizmu, utylitaryzm walczy z artyzmem i poświęceniem i tak daléj, bez końca. Chaos, mówię panu, wieża Babel, pomięszanie języków i pusta wrzawa — nic więcéj!

Milczał chwilę, uśmiechając się wciąż gorzko i niechętnie, potém dodał jeszcze.

— I do czegóż, do jakich rezultatów wiodą ludzi wszystkie te idee? W łonie każdéj z nich istnieją jeszcze nieprzebrane ilości nieprzyjacielskich obozów i toczą się wojny domowe sroższe od zewnętrznych. Wiara w rzeczy nadprzyrodzone rozpada się na tyle wyznań, sekt i herezyj, ile włosów człowiek nosi na głowie. Patryotyzm wyradza wojny, podboje, międzynarodowe wzgardy i krzywdy, kosmopolityzm gładką toruje drogę ku nikczemnéj zasadzie: tam ojczyzna, gdzie wygodnie i bogato! idealizm czyni z człowieka oderwaną i bezużyteczną abstrakcyą, materyalizm przerabia go na zwierzę; z karności powstaje bierność, ze swobody swawola, własność tworzy samolubów, komunizm utworzyłby dzikie trzody ludzkie, filantropia rozwija żebractwo i próżniactwo, ekonomia społeczna odpycha od wspólnego stołu biédaków; rodzina bywa najczęściéj jednoznacznikiem niezgody, zdrady i wzajemnego dręczenia się, praca

wskazuje ludzi, jak zbrodniarzy, do ciężkich robót bez oznaczenia terminu, wyradza proletaryat z jednéj strony a szalony zbytek z innéj, zawiść i pychę, nienawiść i wzgardę..... Oto masz pan obraz idei wszelkich i ich skutków. Bądźże łaskaw powiedzieć mi, gdzie wśród nich jest cement ów, któryby człowieka spoił z ziemią, jak dziecię spaja się z macierzyńską piersią, któryby natchnął go wiarą w dobro, nadzieją szczęścia i miłością dla świata i życia?

Tym razem westchnął ciężko, białą dłonią powiódł po myślącém czole i piękne oczy swe bławatkowéj barwy, utkwił w przestrzeni, z wyrazem cichéj rozpaczy zwątpienia. Żal mię zdjął wielki. Ująłem zwolna rękę jego, któréj mi nie bronił. Puls miał zupełnie zdrowego człowieka. Cera twarzy jego była téż zdrową, ogorzałą i pełną życia. We wszystkiém zresztą, co mi powiedział, znać było, że wiele przeczytał i przemyślał, a tylko dla tajemnych wewnętrznych przyczyn, dojść nie mógł do ogólnéj syntezy życia, do tego głębokiego zrozumienia rzeczy ziemskich i wyrozumiałego przebaczenia, z których jedynie powstać mogą: wiara, nadzieja i miłość.

Nie wypuszczając z dłoni mych jego ręki, mówić mu zacząłem o moich własnych poglądach na ludzkość i życie. Opowiedziałem mu, jak ubogi i samotny śród szerokiego świata przemieszkałem długi szereg lat w ciasnéj i zimnéj izdebce pod strychem, którą mi jednak na pałac czarnoksiężko oświetlony, przerabiały rozkosze i zachwyty zdobywanéj wiedzy; — jak w długie, zimowe noce, kiedy ręce i nogi moje kostniały od zimna, w piersi méj płonął żar namiętnéj miłości dla nauki i cierpiących ludzi; jak otrzymawszy nakoniec tytuł naukowy, będący celem młodych moich ambicyj, nie udałem się tam, gdzie najłatwiéj zdobyć można bogactwo i sławę, ale przybyłem do cichéj poleskiéj mieściny, pragnąc pracować w miejscu unikaném przez innych; — jak niedawno, spotkawszy na drodze méj czarowną kobiétę, zwalczyłem własne serce i oddaliłem się od niéj, bom myślał, że zawcześnie było dla mnie zakładać podwaliny własnego szczęścia; jak nakoniec wierzę silnie w dobro istniejące obok zła, w prawdę, która musi wywikłać się z sieci fałszów, w szczęśliwą przyszłość ludzkości, któréj każdy z nas skromnym pracownikiem być powinien.

Hrabia Emil słuchał mię zrazu obojętnie i niedowierzająco, potém jednak z pewném zajęciem i zdziwieniem. Kiedy przestałem mówić, rzekł.

— Pan i ja jesteśmy dwoma przeciwnemi biegunami moralnego ustroju ludzkiego. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że jeżeli nie słuszność, to przynajmniéj szczęście znajduje się po pana stronie. Py-

tanie tylko, jak długo pozostaniesz pan tak szczęśliwym? Za lat kilka nauka zawiedzie z pewnością ufność, którą w niej pokładasz, bo na dziesięć zagadnień, które ci się przedstawią, dziewięć nierozwiązanych przez nią pozostanie; pacyenci twoi wyzyskiwać cię będą, a w dodatku, każde nieuleczone przez cię cierpienie swe i każdego trupa swego zwalą na głowę twą i sumienie; o zabobony i obskurantyzm ludku tego, dla którego chcesz poświęcić perspektywę bogactwa i sławy, rozbiją się bezużytecznie najpiękniejsze lata twéj młodości a w dodatku, jeżeli zechcesz kiedy wrócić do owéj czarownéj kobiéty, któréj wyrzekłeś się dla idei, znajdziesz zalotnicę bez serca albo gospodynią z rękami otłuszczonemi masłem....

Zaśmiał się głucho, smutnie i powstał, jakby chcąc przerwać rozmowę, która i tak już, względnie do zwykłych obyczajów jego, trwała bardzo długo.

Życie, które rodzina Zaburzeńskich pędziła w pałacu swym, rzuconym pomiędzy pustynią a puszczą, pustelniczém też niemal było. W pałacu nie pojawiał się nigdy, prócz mnie, nikt obcy. Pochodziło to częścią z wyjątkowego położenia rodziny, częścią z etnograficznych warunków okolicy, w któréj, śród olbrzymich przestrzeni, mieszkania ludzkie rozrzucone były bardzo zrzadka i rozdzielone drogami trudnemi do przebycia. Nieprzerwana cisza otaczała tu głowy ludzkie, w których kołatały się głuche burze i smutne rojenia.

W poobiedniéj porze, towarzystwo całe schodziło się najczęściéj w ładnym wesołym saloniku, znajdującym się pomiędzy salą jadalną a pokojem hr. Ireny. Zgromadzała je tam hrabianka, bo szło jéj zawsze o to, aby módz jak najdłużéj zatrzymywać przy sobie ojca i brata. Przynoszono do pokoju tego przyrządy rysunkowe hrabiego Teofila, skrzypce i kołowrotek. Przychodził też z książką w ręku hr. Emil. Rozmowy toczyły się, jak przy stole, ożywione i często zajmujące. Młody hrabia najmniejszy brał w nich udział. Po kwadransie czytania, najczęściéj wychodził on do sali jadalnéj i przechadzając się po niéj powolnym, zamyślonym krokiem, przelotne wejrzenia rzucał to na puste miejsce pomiędzy portretami, to na jedne z wysokich drzwi znajdujących się w sali, które nigdy otwieranemi nie bywały. Niekiedy zbliżał się on do drzwi tych i roztargnioną ręką wstrząsał ich klamką, daremnie jednak, bo zamkniętemi one były na zamek. Uważałem, że hr. Irena siadywała zawsze w ten sposób, aby módz widzieć brata przechadzającego się po sali, zajęta rzeźbieniem z drzewa kunsztownych ozdób i narzędzi, nie spuszczała go jednak z oka. Kiedy hrabia Emil po nadaremnéj próbie otworzenia zamkniętych drzwi, pochylał się i chciał przez

dziurkę od klucza spójrzéć w głąb znajdującego się za niemi pokoju, hrabianka podnosiła głowę z nad swéj roboty wołała — Emilu!

Na głos jéj, którego srebrne dźwięki posiadały niekiedy stanowczą moc rozkazu, młody hrabia odwracał się chmurnie i niechętnie, ale gdy hrabianka powtarzała wołanie, milcząc zbliżał się do niéj. Wtedy pomiędzy nim a nią toczyła się często niema walka wzroków. On z chmurnym buntem spoglądał na siostrę i zdawał się być gotowym do wrócenia na nowo ku miejscu, które wywiérało nań tajemniczą moc pociągu, ona topiła w twarzy jego oczy jasne, przenikliwe i pełne woli. Brat ulegał najczęściéj i biorąc w rękę opuszczoną książkę, siadał w kątku pokoju.

Raz w czasie nieméj i chmurnéj przechadzki młodego człowieka zbliżyłem się sam do niego. Zrazu niezadowolonym był widocznie z towarzystwa, które mu narzucałem. Pozwalał mi jednak mówić do siebie.

— Dla czego, panie hrabio, zapytałem po chwili, czytujesz pan książki, skoro nic na świecie obudzić nie może w panu zajęcia ?

— Owszem, odpowiedział, po polowaniu najmniéj już nie lubię czytania, bo najprzód, przywykłem do niego od dzieciństwa, następnie czytując zapominam o własnych myślach, nakoniec zajmuje mię widok tych poszukiwań i zaciekań się ludzkich, nie wiodących najzupełniéj do niczego. Gdy rozważam niekiedy wszystko, co w życiu przeczytałem, widzę jak na dłoni obraz zmordowanego Syzyfa, który z twarzą oblaną krwawym potem, z wytężonemi boleśnie muskułami, wciąga ciężar swój pod górę i wraz z nim co chwila stacza się na dół. Niewolnik ten przeznaczenia wiernym jest symbolem ludzkości.

W podobnie czarny i rozpaczliwy sposób zapatrywał się on na wszystko, co żyło i istniało pod słońcem. Gryzło go do głębi zwątpienie bez granic i wyrodzone zeń straszliwe znudzenie życiem. Była to hypokondrya do najwyższego stopnia swego posunięta, zbliska granicząca z melancholią, trawiącym jadem przegryzająca charakter jego i umysłowe zdolności.

Nadeszły sierpniowe chłodnawe wieczory. U stropu pokoju, nad okrągłym stołem paliła się wielka lampa, na kominku za żelazną kratą płonął powolny ogień. Z jednéj strony kominka siadywała hrabianka Adelajda, przędąc wciąż na swym kołowrotku, z drugiéj, hr. Antoni ze skrzypcami w objęciu, z zachwyconym uśmiechem na rumianych ustach i zamkniętemi oczami, spał czy marzył. Nad okrągłym stołem hr. Teofil pochylał głowę swą nawpół odartą z włosów, rysując z przejęciem się gotyckie kościoły lub rozliczne

mistyczne godła; naprzeciw niego siedziała, tuż przy sobie, piękna para jego dzieci: mężczyzna z myślącem czołem i chmurnem okiem i kobiéta, któréj warkocz rzucał pod światłem lampy czerwonawe połyski, a ciemne źrenice od chwili do chwili wiodły dokoła przenikliwem, czujnem, strażniczem jakby wejrzeniem.

Przez dwoje na oścież otwartych drzwi ukazywał się wielki pokój hrabianki, rzęsiście oświetlony, kwitnący a cichy jak zaczarowana komnata. Kanarki spały tam wówczas w swych klatkach, spała w głębi framugi gadatliwa papuga, cienka tylko nić wody szemrała, spadając w basen, i w cieniu figusów połyskiwały malowane porcelany i śnieżne marmury.

Wtedy, w przerwach rozmowy zdarzających się często, głuchemu warczeniu kołowrotka wtórował miękki, metaliczny głos hrabianki Adelajdy. Urywanemi strofami poezyi, prządka opowiadała dzieje swojéj przeszłości.

— I późno,—zaczynała,—późno już po skończonym dziale.

Przybył poeta,—z dalekich przybył stron...

Hr. Antoni otwierał oczy, opierał skrzypce o pierś swą i dostrajając ton muzyczny do melodyjnego głosu siostry, rzucał w powietrze parę przeciągłych akordów. Z wtórem akordów tych, prządka zaczynała inną strofę.

— Skoroś w marzeń krainie odległéj przebywał.

Wyrzekł Bóg,—czyńże wyrzut sobie.

Kędyś był, gdym podziału świata dokonywał?

Tu muzyk szybkim pasażem przebiegał skrzypce, a prządka wznosiła w górę ogniste swe oczy i jak stłumione westchnienie wrzucała w nuty pasażu słowa.

— Byłem o panie—przy Tobie!

Daléj, przygrywka muzyczna stawała się coraz cichszą i głębszą, a głos kobiecy coraz dźwięczniéj i donioséj przemawiał.

— Wzrok mój zapatrzon był w Twoje oblicze.

U niebieskich dźwięków zawieszon mój słuch;
Przebacz, że ziemskie postradał zdobycze,
Promiennością twoją olśniony mój duch!

Muzyk i poetka milkli oboje, lecz wtedy hr. Emil, spoglądając ku mnie z tryumfującem szyderstwem w bławatkowych oczach mrukliwie mówił.

— Czy widzisz pan, jak kończą na świecie czułe i kochające serca?

Z drugiéj strony hr. Teofil szeptał mi do ucha.

— Jam temu nic winien. Byłem jeszcze wówczas bardzo młody... W kraju roili się wtedy poeci... jednym z najsłynniejszych

był Artiur... Adelajda poznała go w stolicy... Ale starsi... opiekunowie... rozumiesz pan? wywieźli ją tutaj...

— Rozumiesz pan? powtarzał hr. Emil, poeta „przybył po skończonym dziale.....“

W taki to sposób odkrywała się stopniowo przedemną przeszłość rodziny téj. Wiele w niéj jednak punktów zostawało dla mnie tajemnicą. Zapytywać o nie mógłbym jedną tylko hr. Irenę, ale nie śmiałem. Uprzejma i łatwa w stosunkach z ludźmi, miała ona w sobie pewną dumną skrytość, w obec któréj pytania wszelkie zamierały na ustach. Nie lubiła wywnętrzać się; bolących stron domowego życia swego dotykała z koniecznéj chyba potrzeby i kilkoma zaledwie słowy. Skargi wszelkie i użalania się zdawały się niepodobnemi w jéj ustach. Bywała nawet często wesołą. Widywałem ją nieraz jak o wczesnym bardzo poranku, w białéj rannéj sukni i z rozpuszczonemi długiemi włosy, pielęgnowała w ogrodzie kwiaty, których ilość wielka rosła pod oknami jéj pokojów. Czasem, z pałacowego podwórza, wspaniale lecz posępnie ocienionego jodłami i modrzewiami, wchodziła na folwarczny dziedziniec pełen gwaru i słońca, a tam, liczna gromadka dziatwy dworskiéj otaczała ją wnet z poufałością zdradzającą bliską znajomość. Lubiła otaczać się dziećmi, jak kwiatami i ptakami. Popęd ten ku wszystkiemu co jasne, świeże i wesołe, objawiający się aż nawet w jasnych zawsze barwach jej sukien, byłżeby mimowolném albo i wyrozumowaném także oddziaływaniem jéj ducha, przeciw ciężkim uczuciom i czarnym myślom, wynikającym z widoku najbliższego jéj otoczenia, ze sposobu w jaki upływało codzienne jej życie?

Nie unikała ona jednak i widoku cierpień ludzkich, owszem szukała go. Parę razy, ku wielkiemu zdziwieniu memu, spotkałem ją przebywającą konno ulice miasteczka, w towarzystwie rządzcy lub masztalerza. Witała mię z uśmiechem i chwaliła się, że bliższa droga przystępna tylko dla jadących wierzchem, zabierała jéj parę tylko godzin czasu. Mówiła, że ma w miasteczku sprawy jakieś, które załatwić musi co prędzéj, aby jak najprędzéj też wrócić do domu i szybkim biegiem pięknego konia swego oddalała się odemnie, jakby nie chcąc abym czynności jéj tu podpatrywał. Traf jednak zrządzał, że mimowoli spotykaliśmy się pod jednemi strzechami, pod takiemi zawsze, gdzie panowały, połączone z sobą, nędza i choroba. Wtedy, dokładnie już rozumiałem znaczenie przydomka nadanego jej przez ludność miasteczka.

— *Złota hrabynka!* mawiali też o niéj, z akcentem narzecza swego, okoliczni wieśniacy, przyczem chłopi o ponurych twarzach i kosmatych głowach i wieśniaczki z czołami, ukrytemi w płócien-

nych zawitkach, opowiadali mi często i długo o nieszczęsnéj pańszczyźnianéj przeszłości, o głodowych latach, srogich przednówkach i o roli anioła litości i łaski, którą we wszystkich tych epizodach ciężkiego ich życia, spełniała *Złota hrabynka.*

Dobra i dobroczynna, słodyczą swą albo silną wolą trzymająca na wodzy wybuchy otaczających ją zbłąkanych umysłów, czy czuła się sama szczęśliwą, a przynajmniéj szczerze spokojną? Nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Od pierwszego spojrzenia odgadłem w niéj naturę burzliwą, skłonną do wielkich uniesień i namiętności, a tylko skutecznie opanowywaną przez wiedzę, wolę i poczucie obowiązku. Oprócz nieszczęść rodzinnych, nosiła ona jeszcze w piersi swéj ranę własnéj boleści, któréj domyślałem się od pierwszéj owéj sceny z gadatliwą papugą, a która mimo jéj woli odkryła się przedemną dnia pewnego.

W dniu tym znalazłem hrabiankę mniéj spokojną i panującą nad sobą jak zwykle. Zkąd pochodziła zmiana ta—nie wiem. Prawdopodobnie nic z nią nowego nie zaszło, ale każdemu z ludzi przychodzą dnie, w których bez żadnéj zewnętrznéj przyczyny budzą się w piersi wszystkie drzemiące smutki i zmarłe na pozór żale, przeszłość zapomniana boli na nowo a przyszłość, tysiąc razy zimném okiem badana, trwoży i rozżala.

W hrabiance pod pozorem spokoju znać było dnia tego tajemne wzburzenie.

Wzrok jej mniéj jasny był i przejrzysty, dźwięk głosu mniéj srebrny, bardziéj stłumiony i głuchy. Kiedy rozmawiałem z nią o obojętnych rzeczach, kędyś w głębi domu drzwi jakieś zamknęły się ze stukiem. Na odgłos ten, drgnęła całem ciałem, zerwała się z siedzenia i drżąc stała chwilę z wytężonym słuchem i strwożonym wzrokiem. Przypomniałem sobie wtedy opowiadanie profesora Maksymilijana o matce jéj, któréj oczy podobnemi bywały czasem do oczu spłoszonéj sarny. Spostrzegłem, że i ta także śmiała i silna kobiéta, któréj przytomny umysł skutecznie zapobiegać umiał wybuchom głów chorych, a ręka nie wahała się pochwytywać wodzy ognistych wierzchowców, miewała też chwile instynktowych, tajemniczych strachów i przerażeń.

Opanowała się jednak wkrótce, uśmiechnęła się nawet, ale potém stała się bledszą jeszcze jak wprzódy i bardziéj zamyśloną.

— Znajdujesz mię pan dziś, rzekła, w jednym z najgorszych dni moich. Rzadko bardzo miewam dnie takie, jednak miewam je czasem. Byle co przestraszyć mię może, byle co rozgniewać i rozżalić...

— Wszak prawda, dodała, że usposobieniom podobnym podlegać mogą ludzie najzdrowsi nawet?

Jakkolwiek, zadając mi to pytanie siliła się na obojętność, w oczach jéj, gdy podniosła je na mnie, malował się dolegliwy, niecierpliwy niepokój.

Odpowiedziałem twierdząco, a uczony wywód, którym odpowiedź mą poparłem, uspokoił ją nieco.

Po chwili pokazywała mi jeden z krajobrazów, które stroiły ściany jéj pokoju. W pobliżu krajobrazu tego zobaczyłem portret przedstawiający młodego mężczyznę z twarzą pełną życia, rozumu i dobroci. Nie spostrzegłem go był dotąd, bo wisiał w cieniu szerokich liści palmowych.

— Kim jest ten piękny, młody człowiek? zapytałem.

Po dość długiéj zaledwie chwili milczenia hrabianka przyciszonym głosem odpowiedziała.

— Krewny mój w stopniu trzecim, hr. Zygmunt Zaburzeński.

Usta jéj zadrżały.

Jakkolwiek cichemi były jéj słowa, podchwyciła je czujnem swem uchem gaduła—papuga i zawołała.

— Hrabia Zygmunt!

Wstrząsnęła z szelestem puszystemi skrzydłami i krzyknęła głośniéj jeszcze.

— Hrabia Zygmunt narzeczony... narzeczony złotéj hrabinki.

Pokój cały rozbrzmiewał wyrazami temi, powtarzanemi bez konca donośnym głosem ptaka. Ale złota hrabinka nie gniewała się już tak jak przed kilku tygodniami i nie porywala się do karcenia gaduły. Owszem, z dłońmi opuszczonemi na marmurową płytę konsoli i ze spuszczoną powieką, stała ona cicha i nieruchoma, wsluchana jakby w imię człowieka, którego oczy zdawaly się patrzeć na nią z portretu.

Odgadłem wielką choć tak wytrwale milczącą boleść i szanując ją, usunąłem się z dziennikiem jakimś w ręku, w głąb framugi. Wtedy, hrabianka Irena osunęła się na pobliską kanapkę i we wpół leżącéj postawie, z czołem opartem na dłoni pozostała długo. Nie westchnęła ni razu, usta jéj zachowały zwykły spokojny swój zarys i tylko czasem wzrok jéj stęskniony, głęboki podnosił się na piękny portret, a po bladych policzkach zwolna spływały jedna za drugą perliste łzy.

Raz znowu, gdy przybyłem do Zaborskiego pałacu, powiedziano mi, że hrabia Emil i hrabianka Irena od wczesnego ranka nieobecni są w domu. Nieobecnym był też we dworze roztropny i uczciwy rządca. Wszyscy troje wraz z licznym pocztem strzelców uda-

li się na łowy myśliwskie, gdzieś aż w głąb lasów tych, które ciemną półkolistą ścianą stały u końca łąk. W każdym innym wypadku, przyjmowanie to udziału w myśliwskich rozrywkach, przez młodą kobiétę, wydałoby się conajmniéj dziwacznėm. Tym razem jednak pierwszą myślą moją było zapytać starego kamerdynera, jak się miewał wczoraj hr. Emil. Stary sługa, zwykłym swym głosem stłumionym aż prawie do szeptu, opowiedział mi, że młody hrabia całą prawie noc przepędził na przechadzaniu się po sali jadalnéj a hrabianka wcale się spać nie kładnąc, czytała i rzeźbiła w sąsiednim pokoju aż do świtu. Potém, przed wschodem słońca jeszcze, hr. Emil kazał przywołać strzelców i przygotować sfory, a kiedy wychodził na ganek, wyszła też za nim siostra, kazała wezwać rządzcę i tak już we troje, powsiadali na konie i pojechali.

— Czy hrabianka pierwszy raz towarzyszy bratu na łowy, zapytałem.

Sługa z tajemniczym uśmiechem wstrząsnął siwą głową.

— Żebym ja miał tyle zasług u Boga, ile razy ona tak z bratem jeździła! szepnął. O! dodał, to złota hrabinka!

Hrabiego Teofila znalazłem w stanie rozdrażnienia niezwykłego.

— Wiesz pan? zawołał zobaczywszy mię, pojechali oboje... Od tego czasu, jak Emil wypadkiem przestrzelił sobie ramię... rozumiesz pan? wypadkiem... Irena jeździ z nim zawsze na polowania... Dobre dziecko! dodał zcicha i do siebie, rozumne, dzielne dziecko!

Siedział potém w kątku posępnego muzeum swego, owinięty ściśle aksamitną swą opończą, zgarbiony, znękany a tak zamyślony, że nie słyszał nawet, gdy do niego mówiłem. Za każdym tylko głośniejszym szmerem, ozéwającym się na dziedzińcu, podnosił głowę i pytał.

— Wracają?

A kiedy cisza tylko wracała, garbił się jeszcze mocniéj, zagłębiał szyję w szerokiéj swéj krézie i wodził dokoła wzrokiem sztywnym, nic niewidzącym.

Obiad zszedł w posępnem milczeniu. Stary hrabia nie zamienił opończy i krézy swéj na frak i żaboty, jak to w innych dniach czynił nieodmiennie,—muzyk nie zasiadł wcale do stołu. Jak zwykle o téj porze, wszedł wprawdzie do sali jadalnéj grając, ale nie pozwolił wyjąć sobie skrzypiec z objęcia ani mnie, ani kapelanowi, ani staremu słudze. Łagodnie usuwał od siebie zbliżające się doń osoby i grając wciąż, poszedł w głąb domu. Hrabia nie jadł nic i milczał jak grób, raz tylko, kiedy na dziedzińcu silniéj zaszumiały drze-

wa, wyprostował się i wiodąc oczami po wszystkich twarzach, zapytał.

— Wracają?

I hrabianka Adelajda także raz przemówiła. Długo patrzała na niezajęte obok siebie krzesło synowicy aż nagle zapytała.

— Gdzie złota hrabinka?

Nikt nie odpowiedział. To też nie pytała więcéj.

Przed końcem obiadu wszyscy powstali od stołu, milcząc Po obiedzie niepokój hrabiego przybierać zaczął zastraszające objawy. Chodził po muzeum swem szybkim, nierównym krokiem, co chwilę przesuwał dłoń po metalowych gadach zdobiących żaluzye i wzdrygając się, potem siadał w najciemniejszym kącie pokoju. Z kąta tego zapytywał co kilka minut naprzód, co minutę potem.

— Wracają?

Nie odstępowałem go ani na chwilę i próbowałem podać mu lekarstwo mające własność uspokajania nerwów. Porywczo usunął moją rękę i krzyknął nagle.

— Cicho! czy to był strzał!

Był to brzęk srebrnéj łyżki, która upadła na ziemię. Kiedy zmrok zapadł już zupełny, głowa starca zagłębionego w fotelu opadła mu nisko na piersi, ręce jego splotły się, a usta wymówiły cichym lecz kornym, błagalnym, przejmującym szeptem,

— Panie! w zapalczywości Twojéj nie karz mię i w rozgniewaniu Twojem nie bierz pomsty ze mnie! Albowiem w śmierci nie masz ktoby na Cię pamiętał a w piekle któż Cię chwalić będzie?

Długo potem cicho poruszał drżącemi usty, nagle zaszeptał znowu z gwałtownem błaganiem.

— Obróć się Panie! i wybaw *ich* dla miłosierdzia swojego! Wszak w całopalnych ofiarach nie będziesz się kochał!

W téj chwili, na dalekich, głuchych rozłogach zagrały myśliwskie trąbki. Dźwięk ich przypłynął do ucha modlącego się starca. Zerwał się i zaczął słuchać.

— Wracają... szepnął.

— Czy tylko... dodał i urwał.

Przeciągłe, smętne tony zbliżały się coraz, wkrótce dosłyszeć już można było skomlenie psów i głosy ludzi, aż nakoniec dziedziniec zatętniał pod stopami kłusujących koni. W drzwiach stanął kamerdyner z zapaloną lampą i głośniéj niż zwykł był mówić, oznajmił.

— Pan hrabia i panna hrabianka wrócili.

Starzec nagłym ruchem wzniósł obie ręce w górę i z twarzą drgającą, z rozpłomienionem okiem zawołał głośno.

— Wejrzał z wysokiéj świątnicy swojéj... Pan z nieba na ziemię spojrzał!

W przyległych pokojach ozwały się szybkie stąpania. Przez drzwi, które kamerdyner roztworzył na oścież, weszło młode rodzeństwo. Hrabianka, jedną ręką podtrzymując fałdy długiéj amazonki, drugą trzymała rękę brata. Włosy jéj rozrzucone wśród szybkiéj snać jazdy, jak ognista fala opływały szyję jéj i ramiona. Czoło jéj było blade i wilgotne, oczy błyszczały gorączkowym połyskiem. Hr. Emil szedł za nią chmurny, zamyślony, ale posłuszny. Stanęła przed ojcem i nagłym ruchem pochwyciwszy dłoń jego, złożyła w niéj rękę brata.

— Mój ojcze! rzekła, polowaliśmy dziś długo... musiałeś być o nas niespokojny. Ale bawiliśmy się doskonale... strzelcy wypędzili na nas całe stado sarn...

Mówiła to wszystko śpiesznie, jednym tchem, uśmiechając się blademi, drżącemi ustami. Dłużéj mówić nie mogła, odwróciła się, nie patrząc już na nikogo, prędko przeszła pokój i zniknęła w długim szeregu ciemnych salonów.

Byłem niespokojny o nią. Oznajmiwszy się przedtém przez spotkaną pannę służącą, wszedłem do jéj pokoju. Przy rzęsistém jak zwykle oświetleniu, przechadzała się szybkim, chwiejnym nieco krokiem. Powitała mię przyjazném skinieniem głowy, ale długo nic nie mówiła. Po chwili dopiéro osunęła się na kanapkę i obu rękami zgarniając z ramion i nad głową zwijając potoki ognistych swych włosów, z ciężkiém odetchnieniem wyrzekła.

— O! co za dzień! co za dzień!

Powiedziałem jéj, że męczy się i naraża zbytecznie, że przecież... roztropny i przywiązany do rodziny ich rządca mógłby sam towarzyszyć na łowach jéj bratu.

Energicznie wstrząsnęła głową.

— Nie, szepnęła, wzrok siostry widzi najlepiéj... Bobrowski ma silne ramię, ale ja . kocham...

Po chwili patrząc w ziemię, mówiła.

— Nie opuszczałam go przez dzień cały ani na jedną sekundę. Lataliśmy po lesie jak szaleni... chciał nieraz, ale nie zdołał oddalić się odemnie. Ścigałam wzrokiem każde najlżejsze poruszenie jego... chociaż mogłabym nawet tego nie czynić... wiem, że sama obecność moja oddalała od niego niebezpieczeństwo...

— Pójdźmy do nich! rzekła po chwili.

Zapytałem ją, czy nie czuła się bardzo zmęczoną, bo w takim razie radziłbym jéj udać się na spoczynek.

— Nie, rzekła, jestem zdrowa, silna i przyzwyczajona do wszystkiego.

W istocie, zmiana, która w niéj zaszła była na chwilę, zniknęła bez śladu. Cera twarzy jéj świeżą już była znowu, pąsowe usta odzyskały spokojny swój zarys. Lekkim krokiem i z jasném spojrzeniem weszła do gabinetu, w którym przy stole siedzieli naprzeciw siebie brat jéj i ojciec. Na widok jéj hr. Emil powstał z krzesła, szafirowe źrenice jego miękkiém, zwilżoném spojrzeniem utonęły w jéj twarzy. Zbliżył się szybko do siostry, obu ramionami otoczył kibić jéj i przycisnął ją do swéj piersi. Ona stała w objęciu jego cicha, lecz rozjaśniona cała radością i tryumfem.

Stary hrabia patrzał na dzieci swe spojone w uścisku i ze splecionemi rękami szeptał.

— Wejrzał z wysokiéj świątnicy swéj... Pan z nieba na ziemię spojrzał!

Po dniach podobnie burzliwych, następowały znowu w samotnym pałacu dnie i tygodnie spokojne, niekiedy nawet prawie wesołe. Najwybitniejszemi rysami domowego pożycia rodziny téj było głębokie przywiązanie wzajemne, łączące wszystkich jéj członków, a także wysoki nastrój umysłowy i artystyczny myśli ich, rozmów i zajęć. Gdy gwałtowne wybuchy i burzliwe dnie przemijały, hrabianka Irena oddawała się znowu pielęgnowaniu kwiatów swych i ptaków, uczeniu dworskiéj dziatwy, czytaniu i rzeźbie. Hr. Emil obojętny na wszystko i milczący, długie godziny nieraz przesiadywał w pokoju siostry pogrążony w czytaniu albo długich ponurych zadumach. Obudzony z nich przez siostrę albo przezemnie, rozmawiał niechętnie i mrukliwie najczęściéj, czasem jednak ożywiał się i wymowny, sarkastyczny, dowcipny, rozwijał przed nami prawdziwe skarby wiedzy i inteligencyi, lecz dla tego tylko, aby wzgardliwém szyderstwem i rozpaczliwém zwątpieniem okryć wszystko co istniało pod słońcem.

Muzyk przechadzał się wciąż po pałacu, grając. Dźwięki muzyki jego zbliżały się to oddalały, brzmiały na górnych piętrach budowy, spuszczały się wraz z nim po licznych wschodach, konały kędyś na dole, zdawały się słowem oplatać pałac nieprzerwaną siecią muzycznych tonów.

Hrabia Teofil oddawał się najczęściéj rysunkowi. W robotach jego znać było, obok wielkiego talentu i niemniejszéj umiejętności, fantastyczne i najczęściéj ponure wyskoki wyobraźni. Rysowane posągi jego miewały na głowach zwoje wężów albo korony gwiaździste, a na wieżyczkach gotyckich kościołów siadywały tu i owdzie czarne, rogate, straszliwe, wykrzywione djabełki. Raz, hrabianka Irena

wzięła jeden z rysunków ojcowskich i naprzeciw djabełka, wprawną ręką wyrysowała pięknego, lecącego w niebo anioła z roztoczonemi skrzydłami i twarzą pełną miłości. Położyła przed ojcem rysunek ten i zapytała.

— Dla czego, ojcze, nie myślisz raczéj o aniołach?

Stary hrabia wpatrywał się długo w lotną, słodką postać anielską, którą przed oczy nasunęła mu córka i wieczoru tego spokojniejszym, weselszym był niż kiedy. Hr. Emil zaś, spojrzawszy na rysunek siostry, uśmiechnął się szydersko i mruknął.

— Pełna jeszcze iluzyi! Po chwili jednak zbliżył się do siostry, pocałował ją w czoło i popatrzył na nią z takim wyrazem smutnego współczucia, jakby litował się nad nią, że zachowała ona jeszcze „iluzye“.

Tego samego wieczora hr. Adelajda w spokojném zamyśleniu, obracając koło swego kołowrotka, prześlicznym, latami nie nadwerężonym głosem śpiewała.

— „Wij się, wij, wrzeciono, wić się tobie, wić!
Ta pamięta lepiéj — czyja dłuższa nić!“

Przestawała śpiewać i wznosząc w górę czarne swe oczy, mówiła zcicha.

— Pamiętam!

Jednego z ostatnich dni sierpniowych, zbliżałem się do Zaborskiego pałacu, o bardzo wczesnéj porannéj porze. Z za ciemnego lasu wyglądała pręga złotych świateł, zwiastująca wschód słońca, niebo pełne różowych obłoków, a nad rozłogami łąk wznosiła się niska, biała mgła. Śród mgły ujrzałem zdala gromadkę poruszających się postaci niewieścich. Schylały one ku ziemi głowy, owinięte białém płótnem zawitek, a w rękach trzymały sita, któremi zgarniały z omglonéj trawy, cóś co zdala posiadało pozór perlistéj rosy. Wkrótce z gromadki téj wyłączyła się postać jedna i zbliżać się zaczęła ku drodze, którą jechałem. Po szybkim i zarazem harmonijnym chodzie, którym pruła rozstępujące się przed nią niskie kłęby mgły, i po złotawém zwierzątku, które tuż za nią postępowało poznałem w niéj hrabiankę Irenę. Wyskoczyłem z bryczki i poszedłem łąką na jéj spotkanie. Wkrótce znaleźliśmy się obok siebie.

W różowém oświetleniu porannem, wyglądała jak jutrzenka. Policzki jéj były łagodnie zarumienione, oczy jaśniały. Włosy, zwilżone rosą i mgłą, miękką falą opływały odkrytą jéj szyję.

— Od godziny już jestem tutaj, rzekła mi po pierwszych powitaniach, wiedziałam, że wieśniaczki nasze zbiérać dziś będą mannę na łąkach, i przyszłam, aby na tę robotę ich popatrzeć. Patrząc, zawstydziłam się mego próżniactwa i dzielnie im dopomagałam.

Przy ostatnich słowach zaśmiała się, błyskając śnieżnemi zębami, z za warg koralowych.

Zapytałem, czy, tak lekko ubrana, nie czuła chłodu poranka.

— O, nie! odpowiedziała, chłodne poranki, wilgotne łąki i poleskie mgły, to moje rodzime żywioły. Znamy się z niemi dobrze....

— Obejrz się pan wkoło, dodała.

Usłuchałem jéj. Widok był pięknym w istocie i niepospolitym, lecz niepospolitszą jeszcze była postać kobiéty, stojącéj przedemną i okiem, rozkochaném w pięknościach rodzinnéj strony, wiodącéj dokoła. Cała istota jéj oddychać zdawała się w téj chwili świeżością, swobodą, zapałem, wdziękiem pięknéj inteligencyi, opromieniającéj również piękne ciało. Kiedy potém znowu iść zaczęła, stopy jéj okryte wysokiém obuwiem, śmiało i wprawnie stawały na wysokich kępach, z łatwością torowały sobie drogę śród traw splątanych, promień słońca tysiące iskier rozpalał w fali jéj włosów.

— Czy wiész pan, mówiła idąc wciąż hrabianka, że przed wyjściem z domu obudziłam Emila i kazałam mu patrzéć przez otwarte okno na cudowny ten poranek. Szemrał zrazu i gniewał się na mnie, jak zwykle jednak był mi posłusznym, i przyznał nakoniec, że natura posiada piękne bardzo chwile swe i widoki. Zaśmiał się, kiedy mu powiedziałam że idę na łąki aby mannę zbiérać z wieśniaczkami.... oddawna..... od bardzo dawna pierwszy to jego uśmiech.... Nieprawdaż, że ważne dziś odniosłam zwycięstwo?

Odwróciła się i spójrzała na mnie. Oczy jéj były pełne radości.

Nigdy jeszcze nie widziałem jéj tak wesołéj. Śmiejąc się i rozmawiając o różnych rzeczach, doszliśmy do pałacowéj bramy. Tu stał przywiązany do sztachet koń z siodłem, a tuż obok niego ujrzeliśmy człowieka w zieloném ubraniu strzelców wielkich dworów. Ujrzawszy konia i jeźdzca, hrabianka umilkła. Nagły niepokój zamigotał na jéj twarzy.

— Zkąd? zapytała, zbliżając się szybko do strzelca, który szedł też na jéj spotkanie.

— Z Jeziornéj, odpowiedział posłaniec.

Nigdy jeszcze na niczyjéj twarzy nie widziałem tak szybkiéj zmiany, jak ta, którą odpowiedź posłańca sprowadziła na twarz hra-

bianki. Zbladła, brwi i usta jéj drgnęły, a oczy błysnęły tak, że trudnoby powiedzieć napewno, czy był to błysk namiętnéj radości albo żalu który gwałtownie ścisnął jéj serce. Drżącą ręką wzięła list, który posłaniec wyjął ze skórzanéj swéj torby, i milcząc, ze spuszczoną powieką szybko zmierzała ku pałacowi.

Zbyt długo już przebywałem w okolicy, aby módz ztąd i z owąd nie słyszeć o hr. Zygmuncie Zaburzeńskim, i o tém że jego to właśnie dobra, położone w głębi Pińszczyzny, nosiły nazwę Jeziornéj.

Hrabianki nie zobaczyłem aż do obiadowéj pory. Połowę dnia spędziłem z hrabią Teofilem, którego, przeciw wszelkiemu zwyczajowi, córka ani do siebie wezwała, ani odwiedziła. Starzec, zatopiony cały dnia tego w czytaniu swych ksiąg teologicznych, dzielił się zemną niektóremi ustępami z nich i mówił mi mnóstwo rzeczy ciekawych i pięknych, pomiędzy które mięszały się fantastyczne uwagi i również nieprawdopodobne rojenia i zapytania.

Przy stole zobaczyłem hr. Irenę, — lecz jakże zmienioną! Oczy jéj gorączkowo połyskiwały śród bladéj twarzy, usta ścięte były albo drżące. Daremnie siliła się na spokój i ożywienie. Słowa jéj rwały się niedokończone, uśmiechy blade były i prędko znikały. Zniecierpliwioną wydawała się, porywczą, co chwilę gotową do wybuchnięcia gniewem lub płaczem i tylko hamującą siebie wielką siłą woli.

W godzinę po obiedzie znalazłem się sam na sam z nią, w jéj pokoju. Wezwała mię tam sama, a gdy wszedłem, szybkim, porywczym niemal gestem wyciągnęła ku mnie rękę.

— Dziękuję panu, wymówiła prędko, jesteś pan tak dobrym, tak dobrym przyjacielem naszym!... Tyle pan czynisz dla ojca i brata mego....

Łzy stanęły w jéj oczach. Przed chwilą była wzburzona cała i gniewnie jakby rozdrażniona, teraz ogarniało ją nieprzezwyciężone rozrzewnienie. Zostawała pod wpływem jednéj z tych rzadkich u niéj chwil, w których odbiegał ją zwykły jéj spokój, a właściwa jéj natura gwałtowna i czuła brała górę nad jéj wolą.

Po raz to pierwszy dała mi nazwę przyjaciela. Odgadłem, że całą siłą tajonéj jakiéjś, wielkiéj boleści zapragnęła pomocy i pociechy przyjaźni. Szczerze, z całego serca potwierdziłem jéj słowa, powiedziałem, że gorącym chcę być przyjacielem jéj i jéj rodziny, że oddałbym z chęcią znaczną część osobistych uciech i powodzeń które oczekiwać mię mogą w przyszłości, w zamian umiejętności i możności stania się im prawdziwie użytecznym. Słuchała mię z utkwionemi w méj twarzy oczami, które nieco dnia tego zapadłe

i podkrążone ciemną obwódką, wydawały się większemi i szerzéj otwartemi niż zwykle. Jeżeli zrana podobną była do jutrzenki i wiosny, teraz za to miała pozór kobiéty, z głuchą burzą uczuć na dnie piersi.

Osunęła się na jeden z niskich sprzętów i, zwykłym sobie gestem zgarniając z szyi i ramion włosy, które w dniu tym nie ujęte zostały w karby warkoczy, wymówiła z cicha. — Jestem zmęczoną.

Pierwsza to była skarga którą z jéj ust usłyszałem. Nie zdziwiła mię ona bynajmniéj. Odkąd poznałem ją, po sto razy zapytywałem sam siebie: mogłażby nie być zmęczoną?

— Lękam się.... dodała po chwili jeszcze ciszéj.

Tym razem zostałem zdziwiony i przykro wzruszony. Oczy jéj, te tak jasne zawsze, przenikliwe, rozumne oczy posiadały teraz w istocie sztywne i szkliste spójrzenie trwogi.

— Czego pani się lękasz? zapytałem stając przy niéj.

— Aby i na mnie wkrótce kolej nie przyszła, dokończyła tak już cicho, że zaledwie dosłyszéć ją mogłem.

Zrozumiałem teraz i zadrżałem wewnętrznie. Taka to więc myśl straszna zjawiała się czasem w téj pięknéj, młodéj, kobiécéj głowie!

Próbowałem zaśmiać się z trwóg jéj i przewidywań, ale uśmiech nie chciał wystąpić mi na usta. Spójrzała na mnie przenikliwie i podnosząc głowę energicznym ruchem, rzekła:

— Tak, muszę z panem pomówić o tém....

— Nie mogę już dłużéj, dodała, dźwigać samotnie brzemienia tego.... Pokładam wielką ufność w nauce i szlachetności pana... składam w ręce pana najsroższą tajemnicę mego życia....

Mówiąc to, drżącą ręką podała mi list. wyjęty z małéj szkatułki na biórku jéj stojącéj, a gdym go otwiérał, złożyła obie ręce na marmurowym gzémsie kominka i pochyloną twarz w dłonie ukryła. List był tym samym który dziś z rana wręczył jéj posłaniec z Jeziornéj, nosił podpis Zygmunta Zaburzeńskiego i zawierał w sobie następujące wyrazy:

„Po trzech latach milczenia i oczekiwania, odzywam się do ciebie, Ireno. Wszak, gdy oddałaś mi zaręczynową obrączkę, którą od dzieciństwa prawie na ręku swem nosiłaś, nie rozkazałaś mi, abym wszelkiéj na zawsze wyrzekł się nadziei. Chciałaś tylko, abyśmy oboje, w długiém niewidzeniu się, spróbowali zapomnieć o sobie. Czy te wiekuiste trzy lata, które spłynęły od ostatniego widzenia się naszego, nie wydają ci się próbą dość długą? Nie zapomniałem, Ireno. Radziłaś mi podróże, rozrywki i pracę. Słuchałem twéj rady. Niepokój serca zagnał mię aż na krańce drugiéj półkuli świa-

ta. Wmięszałem się był pomiędzy pionierów dalekiego zachodu. i myślałem przez czas jakiś, że pośród nich pozostanę na zawsze. Ale miłość dla kraju, ta pierwsza przyczyna niedoli naszego rodu, dręczyła mi serce i sumienie, tak, że wróciłem do moich jezior, rzek i mokrych rozłogów rodzinnych, aby śród nich tworzyć nowe światy dostatku i pracy. Musiałaś słyszéć o tém, że pracuję z całych sił moich i w różnych kierunkach, że niespodzianie pomyślne skutki wieńczą moje starania. Jednak—praca jak podróże, nie ukoiły tęsknoty méj za tobą. Sumienie mam spokojne, lecz wiecznie bolące serce.

„Pomyśl Ireno, czy nie dla próżnych, posępnych marzeń zabijasz szczęście swoje i moje? Jesteśmyż wróżbitami, abyśmy mogli napewno przepowiadać przyszłość, a dla niejasnych trwóg i przewidywań, mamyż prawo zrzekać się prawdziwych skarbów szczęścia, którebyśmy posiedli, gdybyśmy życie pędzili wspólnie? Pomyśl tylko nad tém, Ireno, i przypomnij, o! przypomnij sobie wszystko.....

„Z jaką tęsknotą nieuleczoną niczém, z jaką rozpaczliwą siłą żalu i pragnień piszę dziś do ciebie — opowiadać ci tego nie będę. Tak jak ty, skarżyć się nie umiem. Proszę cię tylko, abyś dla tego wszystkiego czego nie opowiadam ale co ty sama odgadniesz, przebaczyła mi, że nie czekając pozwolenia twego przyjadę do ciebie. List ten ma być tylko gońcem który poprzedza przybycie moje ażeby gniew twój rozbroić. Na pozwolenie twe oczekiwać nie mogę. Jeżelibyś powiedziała: nie! ani pojmuję co stałoby się ze mną.

„Czy żyje poczciwa Gogo, którą kiedyś wyuczyłem tak dobrze, téj trwałéj jak życie nasze prawdy że: Zygmunt Zaburzeński jest narzeczonym Złotéj hrabinki?“

Kiedy skończyłem czytanie listu tego, Złota hrabinka zwolna podniosła twarz okrytą rumieńcem. Łuna ta dziewiczego zawstydzenia okrywała ją nową pięknością, ale zniknęła prędko. Ze spuszczonym wzrokiem, nie zbliżając się ku mnie, mówić zaczęła:

— Jaki stosunek wiązał nas z hr. Zygmuntem dowiedziałeś się pan z jego listu.... dla czego zerwałam go, łatwo się pan domyślisz .. ile przecierpiałam i cierpię..... któż opowié?

Ostatnie słowa jéj skonały w stłumioném łkaniu. Nie rozpłakała się jednak. Srebrne łzy mignęły tylko w zapadłych jéj oczach i wnet zniknęły.

Szanując przedział, który instynktowo prawie położyła pomiędzy mną a sobą, w chwili najwyższego tego zwierzenia, nie zbliżając się więc do niéj, mówić zacząłem: że natura dokonywa nieraz niedających się przewidzieć wyjątków i przeskoków, że rozumne

wychowanie które otrzymała, zdrowie jéj i szczęśliwy organizm fizyczny, sam charakter jéj nawet silny i tak pełen zasobów....

— Pan nie wiész wszystkiego... przerwała mi porywczo, chociaż z cicha.

— Nie znasz pan, dodała, całéj historyi naszego rodu ani wszystkich pobudek które mną kierują. Długo milczałam i rządziłam się własną wiedzą.... O! gdybym się myliła!..... Posłuchaj pan.....

Stała teraz całkiem prawie ukryta za przezroczystemi rzeźbami z marmuru. Przy zapadającym zmierzchu, widziałem tylko jak ciemne jéj źrenice smutnym ogniem połyskiwały śród bladéj twarzy.

— Wśród przodków moich, zaczęła, byli ludzie różni... wielcy i mali, ale wspólnemi im wszystkim cechami były krew gorąca i bujna fantazya. W burzliwych naradach sejmowych, w walkach zewnętrznych i domowych waśniach, w rokoszach i konfederacyach, głosy ich brzmiały donośnie i ramiona biły się dzielnie. Zapał był stałą cechą ich rodzinną. Któryś z nich, znajdując się na Konstancyeńskim zjeździe, wzywał lud do obrony Hussa, inny, mnich i opat klasztoru, zamorzył się głodem i dyscypliną... Główne te cechy rodowe: gwałtowność uczuć i wzniosłość umysłu, w spotęgowanym stopniu odziedziczył po przodkach swych Jan Zaburzeński, dziad mego ojca. Żyć przypadło mu w porze najstraszniejszych burz i najpiękniejszego zarazem rozkwitu umysłów krajowych. Czy nie spotkałeś się pan z imieniem jego, czytając dzieje Wielkiego Sejmu? Nieustraszonéj odwagi mówca, przez cztery lata zasiadając na sejmowéj ławie, całą potęgą umysłu swego i mężnéj swéj piersi usiłował on popychać skołataną łódź do portu zbawienia.... Wierzył w zbawienie mocno... dla tego może, że strasznie kochał. Ta to zapewne wiara zgubiła go.... Obrany znowu posłem na sejm ostatni, wrócił zeń do swéj poleskiéj pustyni jak grób milczący, i odtąd ani miłość żony która oczekiwała nań w domu, ani widok dwóch synów którzy mu na świat przyszli, nie zdołały rozbić grubéj chmury rozpaczy, która powlekła mu myśl i życie... Cicha to była rozpacz, nie wyrażająca się nigdy w słowach ani wyrzekaniach. Zewnętrznemi objawami jéj, były tylko niepokonane milczenie i stopniowe obumieranie dla wszystkiego co żyło. Opowiadają, że przy końcu nie mógł znosić dziennego światła, i w mroczněj sali w któréj się zamykał, znajdywano go często zalanym łzami... Wtedy to po raz pierwszy na poleską pustynię przybywać zaczęli z dalekich stron sprowadzani lekarze, bo był to pierwszy w rodzie naszym.... chory!....

Przed ostatnim wyrazem głos opowiadającéj zawahał się przez chwilę. Wymówiła go potém, używając wyrażenia tego samego jakim ojciec jéj określał przedednmą stan swego rodzeństwa. Śród grozy która ogarniała rodzinę tę, nikt, nawet ona, nie śmiała nazwać rzeczy po imieniu.

— Raz, ciągnęła, — wśród nocy, — skonczył się dramat wielkiéj duszy rozbitéj widokiem ogólnego nieszczęścia. Usłyszano strzał i znaleziono pana domu, leżącego pośrodku samotnéj sali — bez życia....

Urwała nagle, potém ciszéj i prędzéj mówiła:

— Sala ta znajduje się za temi zamkniętemi drzwiami.... Nie otwiérano jéj od lat dziesiątków.... nikt z nas nie wchodził tam nigdy.... niańki tylko opowiadały nam, że w niéj coś straszy ale ja w to już oddawna nie wierzę.... tylko wiém, że... na tém miejscu, dotąd jeszcze trwa niezmyta, wielka plama krwi....

Wśród zmroku suknia jéj zaszeleściła o twardy marmur, wstrząśniona zapewne dreszczem grozy, który przebiegł jéj ciało.

— Czy nie myślisz pan, dodała tak cicho, że zaledwie dosłyszéć ją mogłem, że w biédnéj głowie mego brata brzmią echa zwątpień i goryczy tych, które gnębiły nieszczęsnego samotnika, gdy płakał on wśród ciemności, nad grobem ukochanéj przez się idei?... Odkąd jeszcze niańki rozpowiadały nam dzieje téj sali, czuje on do niéj pociąg nieprzeparty. Czy nie myślisz pan, że gdyby raz tam wszedł, wszystko byłoby dlań straconém na zawsze.... Na pustém teraz wśród rodzinnych naszych portretów miejscu, wisiał portret naszego pradziada.... Zdjąć go kazałam, bo straszył mię wyraz oczu, z jakim brat mój spoglądał na niego.... Panie! brat mój miewa chwile szalonego pociągu do samobójstwa!

Ostatnie wyrazy wyszły z piersi jéj z rozpacznym wybuchem głosu, i znowu usłyszałem jedno, szybko stłumione łkanie.

Milczała chwilę, pasując się zapewne z płaczem, potém kończyła:

— Z pomiędzy dwóch synów owych urodzonych w nieszczęściu, jeden był dziadem Zygmunta, drugi moim. Starszy, małych zdolności i miernego charakteru. zapobiegliwy zresztą i dbały wielce o materyalne dobro gospodarz, — ocalał. Ale ojciec mego ojca, z umysłem zdolnym, lecz niewykształconym, z charakterem namiętnym i samowolnym, był drugim w rodzie naszym.... chorym... Dalszy ciąg historyi téj widzisz pan w ścianach tego domu.....

Tym razem umilkła na długo. W szaréj od zmroku przestrzeni, zaledwie dojrzeć mogłem zarys jéj głowy, pochylonéj na dłonie wsparte o brzeg marmurowego gzémsu.

Byłem głęboko i boleśnie wzruszonym. Fatalizm ten, który zawisł nad szlachetnym tym rodem, a przeciwko któremu żadna wiedza, żadna moc ludzka nic nie mogły — miał w sobie cóś przerażającego. Zawisł on nad tą piękną głową kobiécą, która teraz chyliła się tam nisko wśród cienia, w żalu i walce, tak dobrze jak nad wszystkiemi innemi pokrewnemi jéj głowami. Wiedziałem o tém, ale i ona téż wiedziała zarówno o wszystkiém. Wszakże, odrzucanie takie szczęścia całego życia, takie straszne deptanie własnego serca, wydało mi się zrazu zbyt zuchwałą wiarą we wróżby, zawsze wątpliwe.

— Dla czego nie chcesz pani wierzyć w to, że pozostaniesz jak jesteś wyjątkiem? rzekłem po chwili.

Podniosła głowę i zapytała z cicha i krótko:

— Zkąd pewność?

Zgnębiła mię tém pytaniem. Tak, zkąd pewność? Możnaż jasno i stanowczo określać przedmiot, pogrążony w ciemnościach? Czyliż zresztą sam, obok przedziwnego spokoju i tak jasnego rozumu które cechowały ją zawsze, nie spostrzegałem w niéj nieraz ze zdziwieniem i obawą nagłych uniesień, instynktowych przestrachów, nerwowych wstrząśnień hamowanych szybko wolą, ale które były może objawami, i w niéj także istniejącego fatalnego zadatku? Zresztą, nie byłbym lekarzem i naturalistą gdybym nie wiedział, że w wypadkach podobnych, nigdy z dłonią na sumieniu powiedziéć nie można ani tak, ani nie! Milczałem więc, daremnie szukając w głowie méj słowa któreby mogło przynieść kobiecie téj pomoc i radę. Ona sama mówić zaczęła. Głos jéj dochodził ucha mego stłumiony, bezdźwięczny, głęboki jak cicha rozpacz.

— Mamże prawo wiązać życie człowieka którego kocham z mojém wiecznie zagrożoném życiem? Mamże prawo marzyć i myśléć o macierzyństwie?... Nie byłożby z méj strony okrutném samolubstwem uszczęśliwiać się z wiedzą że kiedyś..... prędzéj czy późniéj... przyjść może pora w któréj szczęście to moje spłynie na innych klęską i przekleństwem?....

Długa znowu upłynęła chwila zanim rzekłem:

— Jesteś pani kochaną!

Chciałem nasunąć jéj myśl, że okrucieństwem téż było niszczyć szczęście człowieka który ją kochał. Ale odpowiedziała mi prędko i głośniéj niż wprzódy mówiła:

— Stanowi to moję rozpacz! Kiedyś.... kiedyś.... mało jeszcze wiedziałam.... mało myślałam i z radością nieopisaną przyrzekałam sobie i jemu wspólne życie.... Ale potém przyszła mi wiedza o wszystkiém.... uczułam w sobie głos sumienia i obowiązku.... chciałam

aby o mnie zapomniał.... Lata upłynęły nie mógł zapomnieć, tak jak i ja nie mogłam....

Tym razem pierś jéj rozdarła się nieposkromionêm łkaniem. Płacz, tłumiony przez długie lata w głębi piersi, wybuchnął z gwałtownością naturze jéj wrodzoną. Ale też przedziwnie wykształcona i wprawna jéj wola poskromiła go prędko. Drżąc tylko na całém ciele, i owijając się szalem, tak jakby przejmowało ją śmiertelne zimno, szybkim krokiem postąpiła ku mnie. Lampa zapalona w sąsiednim pokoju, rzucała na nią szeroką smugę światła. Widziałem ją dokładnie gdy stanęła przedemną, i uderzony byłem tragicznym wyrazem który przyoblekł jéj rysy. W postawie jéj i twarzy wielka boleść łączyła się z wyrazem głębokiéj myśli, powagi i siły.

— Kochać, rzekła, i rzucać się w miłość tę bez myśli i wiedzy..... czyn to godny motyli lecących w płomień. Ja położyłam dłoń na sumieniu i usłyszałam głos obowiązku. Człowiek którego kocham nie powinien mieć kiedyś żony.... umarłéj za życia....

Umilkła na chwilę i znowu zadrżała całém ciałem. Po chwili jednak kończyła.

— A społeczeństwo, z miłości dla którego pradziad mój pierwszy utracił rozum, nie powinno obarczonêm być przezemnie—kilku nieszczęsnemi istotami, które daléj znowu w przyszłość rzucą ten łańcuch niedoli.

Pochyliła głowę, usta jéj ułożyły się w zarys nieopisanéj słodyczy i czułości.

— Lubię dzieci, dokończyła ciszéj, niewymowny pociąg który czuję do istot tych świeżych i niewinnych, jest może objawem złożonego we mnie głębokiego instynktu macierzyństwa.... Lecz jakąż mową trwóg i wyrzutów przemawiałyby do mnie kiedyś kolebki moich dzieci....

Słowami temi wywołana błysnęła mi w głowie myśl która wydała mi się szczęśliwie natchnioną.

— Czy pani baronowa Staarwitz, siostra pani ma dzieci? zapytałem śpiesznie.

Uderzyło ją to pytanie.

— Aurelia! odpowiedziała, tak; ma ona syna i córkę. Dla czego pytasz pan o to?

— Czy dzieci te.... zacząłem.

— Nie wiém, przerwała szybko, odgadując dalszy ciąg pytania, nie widziałam ich nigdy. Rodzice przecięż w listach swych utrzymują, że....

Nie dokończyła, bo pod oknami rozległ się turkot kół i ucichł przed gankiem.

Po twarzy hrabianki przebiegły szkarłatne rumieńce. Nieprzytomna prawie, opuściła twarz na obie dłonie i ze stłumionym okrzykiem biegła w głąb pokoju, jakby przed kimś lub przed czémś uciekać chciała.

Ale w téj saméj już chwili śpieszne męzkie kroki dały się słyszéć w przyległym salonie. Do pokoju wbiegł młody mężczyzna, ten sam na którego portret patrząc płakała, ona kiedyś cicho rzęsistemi łzami, i zabiegł drogę hrabiance.

— Zygmuncie! zawołała z wybuchem.

On nic nie powiedział, ujął tylko obie jéj ręce i głęboko spójrzał w jéj twarz; musiał wyczytać z niéj wszystko czego pragnął, bo pochwycił w ramiona i uniósł w głąb pokoju chwiejącą się jéj kibić, a złożywszy ją na niskim sprzęcie, sam ukląkł przed nią i schylony szeptać jéj zaczął ciche, tłumne wyrazy....

Z przybyciem hr. Zygmunta nowe życie wstąpiło do Zaborskiego pałacu. Kiedym tam w parę dni późniéj przybył, zdziwiony zostałem zmianą która zaszła we wszystkich mieszkańcach wspaniałéj poleskiéj pustelni. Stary hrabia, odmłodzony o lat dziesięć, we fraku swym i staroświeckich koronkowych żabotach, wyglądał jak piękny wcale typ uczonego pana i światowego gospodarza domu. Nigdy niewidywana przedtém radość, przebijała się w spójrzeniu jego ilekroć patrzał na młodego swego krewnego, przenosił potém wzrok na córkę, i często przez kilka godzin z rzędu nie wspominał o dzikich i ciemnych marach rojących się zazwyczaj w jego wyobraźni.

Hr. Zygmunt był snać ulubieńcem całego domu. Hr. Adelajda na prośby jego mówiła najpiękniejsze swe poezye i śpiewała najmelodyjniejsze swe pieśni. Muzyk dawał się mu powodować jak nikomu nigdy — prócz Ireny, — Emil nawet częściéj rozmawiał z kuzynem niż z innymi ludźmi, a gdy ten ponure wnioski i rozpaczliwe konkluzye jego zamieniać usiłował w wesołe żarty, sprzeczał się z nim, albo spokojnie, bez gniewu odchodził. Trudno téż wyobrazić sobie towarzysza milszego jak był nim młody człowiek ten z ogorzałą twarzą, z bystrém, gorącém, czarném okiem i łagodnemi jak u dziecka ustami. Słyszałem już był o nim wprzódy niemało. Patrząc teraz na niego wierzyłem łatwo wszystkiemu co o nim słyszałem; pojmowałem téż w zupełności uczucia Ireny, i coraz mniéj myślałem o smutnych przewidywaniach jéj i postanowieniach.

Ona sama zdawała się coraz mniéj o nich myśléć. Być może, iż chciała używać obecności ukochanego bez oglądania się na przyszłość, że obecność tę, i spokojną atmosferę która stale zapanowała w domu tak często wstrząsanym burzami, uważała za chwilowy rozkoszny przestanek w życiu swém wyrzeczeń się, tęsknoty i trudów. Pogodna była, ożywiona i piękna jak nigdy. Czasem wprawdzie brwi jéj ściągały się, pod wpływem nagłego przypomnienia, milkła, bladła i zamyślała się chmurnie, ale wtedy hr. Zygmunt zbliżał się do niéj, i w zamienianych wejrzeniach, w cichych, długich rozmowach pierzchały złe jéj myśli.... Niekiedy, godziny całe spędzali na wzajemnych snać zwierzaniach się i opowiadaniach. Wtedy też to zapewne, prośby ukochanego łamały zwolna silną jéj wolę i chwiały rozpaczliwém postanowieniem....

Hr. Teofil zwierzył mi się raz że małżeństwo córki byłoby mu niewymownie pożądaném. — Widzisz pan, mówił, nie trzeba ażeby ona rozstawała się z człowiekiem którego od dzieciństwa kochała... Hr. Adelajda rozstała się....

— Zresztą, dodawał, śmierć bliska a jak mnie nie stanie któż ją będzie kochał i.... bronił? Emil taki smutny zawsze, bierny... a baronowa Aurelia nie należy prawie do nas...

Hr. Zygmunt niebawem też mówić ze mną zaczął o tém co najmocniéj go obchodziło. Zaznajomiliśmy się z nim prędko i z łatwością.

— Pan, rzekł, gdyśmy się przechadzali po wielkiéj jadalnéj sali, jako lekarz i zbliska znający rodzinę, możesz posiadać wpływ niejaki na kierunek myśli hrabianki Ireny. Niepodobnaż przekonać ją ze stanowiska nauki i doświadczenia, że zbyt czarno zapatruje się ona na rzeczy, i że kobiéta taka jak ona może posiadać pewność iż pozostanie szczęśliwym wyjątkiem?

Z przykrością, ale powodowany poczuciem obowiązku, powiedziałem mu że hrabianka nie myliła się tak dalece jak mu się to zdawało, że poglądy jéj i postanowienia wypływały z wysokiego wykształcenia umysłowego i również wysokiéj sumienności moralnéj, że nakoniec, w wypadkach podobnych, nikt żadnych pewnych wniosków czynić nie był w stanie.

Kiedy mówiłem brwi hr. Zygmunta ściągnęły się, a po ciemnym porywczym błysku jego oczu poznałem, że w nim także grała gorąca krew Zaburzeńskich.

— Cóż ztąd? zawołał z uniesieniem, nie mam w charakterze moim ani odrobiny lękliwości i gotów jestem stawić czoło wszystkim niebezpieczeństwom. Dla czegóż zresztą nie mógłbym dzielić

z kobiétą którą, jak mi się zdaje, kocham odkąd żyję, wszelkich losów, tak dobrych, jak złych.... Owszem.....

Tu przeciągnął dłoń po schmurzoném czole i dokończył:

— Jeżeli kiedy dotknąć ją ma nieszczęście, niechże wtedy znajduję się obok niéj z prawa i obowiązku...

Wspomniałem wtedy o możliwéj dalszéj przyszłości... Ale hrabia i na to znalazł zwycięską odpowowiedź. Powiedział mi że linia rodu, z któréj pochodzi, oszczędzaną dotąd zostawała przez tajemniczą klęskę, że Irena i on byli tak pełni wszechstronnéj energii i zdrowia, iż wobec połączenia ich groźne przewidywania ustąpić powinny najlepszym owszem nadziejom. Przyznać musiałem, że nauka zapatrywanie się to jego, jeżeli nie w zupełności, to w znacznéj przynajmniéj części, potwierdzać mogła. Przypuścić można było w istocie, że piękna ta, energiczna, rozumna para ludzi przeznaczoną była do zdjęcia raz nazawsze z rodzinnych przeznaczeń gnębiącego je fatalizmu. Myśl tę moję wypowiedziałem hrabiemu. Uścisnął serdecznie moję rękę i prosił, abym słowa nie powtórzył hrabiance. Przyrzekłem, że uczynię to przy pierwszéj sposobności przez nią podanéj, i objawiłem jednę jeszcze wątpliwość, co do prawdopodobnego niezgodzenia się hrabianki na opuszczenie nieszczęśliwéj swéj rodziny.

— Pocóż ma ją ona opuszczać? odrzekł hrabia. Alboż sam nie uważam się za syna prawie domu tego? Będziemy mogli zamieszkać tutaj. Ja dojeżdżać będę do Jeziornéj i z odległości mil kilku prowadzić daléj rozpoczęte tam prace i przedsięwzięcia. Kto wié? ruchliwością moją potrafiłbym może rozruszać Emila i otrząść go z tego czarnego pesymizmu i z téj rozpaczliwéj bierności, w które się pogrążył...

Gdyśmy po skończeniu rozmowy téj weszli do saloniku, będącego zwykłém miejscem poobiednich posiedzeń rodzinnych, znaleźliśmy hr. Irenę czytającą z ożywieniem list jakiś ojcu i bratu. Ujrzawszy nas wchodzących, przerwała czytanie.

— Tylko co, rzekła, przywieziono list z poczty, Aurelia pisze, że wkrótce przyjedzie do nas z całą rodziną swoją...

Zaczęła znowu głośno czytać.

„Chciałam państwu zrobić niespodziankę, pisała baronowa Staarwitz, i wpaść do Zaborów bez oznajmienia się listem. Ale pomyślałam sobie potém, że byłaby to zła spekulacya, bo, nic nie wiedząc o mojem przybyciu nie urządzilibyście tam wszystkiego tak jak ja lubię. Niech tylko Irenka każe mi przygotować pokoje w lewém skrzydle pałacu, z oknami od południa, bo są najwygodniejsze. a ja żadnéj niewygody znieść nie mogę.

„Chciałabym także, aby do pilnowania dzieci moich przeznaczoną była Bobrowska, bo nie mogę przecież zabierać z sobą całej kupy nianiek, ani też sama zamieniać się w niańkę. Jak zobaczycie zresztą moje dzieci, będziecie je tam wszyscy niańczyć i pieścić. Dzieciaki piękne jak anioły, i zdrowe jak ryby. Rozumne są takie że lękam się czasem, czy się wyhodują. Chłopiec pucaty i tłusty jak pączek, dziewczyna delikatna i drobniutka. Będzie to pewno faworyta Ireny, bo rysy ma takie piękne, jakby je anioł malarstwa rysował. Tak przynajmniéj mówi baron, bo co ja to się w takie poetyczne przenośnie, jak wiecie, nigdy nie wdaję. Ale baron zakochany w swych dzieciach, a ja i w dzieciach i w nim razem. Irenka źle robi że za mąż nie idzie..."

Tu czytająca umilkła. Oczami przebiegła kilka następujących wierszy, poczém głośno znowu przeczytała koniec listu, zawierający oznajmienie, że baronostwo przybędą za parę tygodni najdaléj i kilka słów wcale chłodnéj czułości. Był jeszcze w liście tym i dopisek, a w nim znajdowały się następujące słowa:

„Niech tam Bobrowska przygotuje dla mnie takich serów, jak to ja lubię. Tu nie umieją ich robić, a ja przepis straciłam. Prosiłam w którymś liście Irenkę o przysłanie mi nowego, ale nie przysłała, zapomniała widać! A i półgęski wędzone niech tam Bobrowska ma w zapasie. Tu na Wołyniu nie umieją ich dobrze urządzać. Poleskie najlepsze!"

Na półgęskach list się zakończył, ale nikt zakończeniu temu nie udzielił szczególnéj uwagi. Hrabianka jaśniejącemi oczami wpatrywała się w jeden tylko ustęp listu siostry. Po chwili zawołała:

— Kochane dzieciaki! Ta szczególniéj dziewczynka delikatna i drobna, któréj widok baronowi nawet nasuwa poetyczne myśli i przenośnie! Śliczne, drogie, kochane dziecko!

Widać było, że, nie znając ich jeszcze, kochała już dzieci swéj siostry, a tak cieszyła się, tak im wdzięczną była za to, że zdrowe one były, piękne i roztropne, że aż spłonęła cała gorącym rumieńcem, a w oczach jéj zamigotały łzy.

Hrabia Zygmunt patrzał na ukochaną wzrokiem tryumfującym. W chwili, gdy stała ze spuszczonemi na list oczami, zbliżył się i wziął obie jéj ręce.

— Ireno! rzekł, nim goście nasi nadjadą, pojedziemy wszyscy do Jeziornéj... do mojéj matki. Ona sama przybyć nie może, a trzeba przecież aby wzięła udział...

— W szczęściu naszém... dokończyła hrabianka tak cicho, że zaledwie ją dosłyszeć można było, ale hr. Zygmunt dosłyszał i z upojeniem radości przycisnął do ust jéj ręce. Ona jednak zbladła na-

gle i szybko wyszła z pokoju. Brwi młodego hrabiego ściągnęły się, oczy błysnęły mu znowu chmurnie i gniewnie.

— Walczy jeszcze i waha się; rzekł do mnie z cicha, dziwna. okrutna, cudowna kobiéta!

Opór jéj i przerywające go rzadkie chwile słabości, boleśnie drażniły uczucie jego.

— Chcę, żeby odjechała ztąd na czas jakiś przynajmniéj, mówił mi, gdyśmy zostali sami, gdy raz opuści ściany te, wśród których przywykła żyć sam na sam z nieszczęściem, gdy odetchnie powietrzem ruchliwego, wesołego świata, który dom mój otacza, zapomni o ciemnych marach swéj wyobraźni i zgodzi się stanowczo na szczęście swoje i moje.

W godzinę potem miałem długą rozmowę z hrabianką. Znalazłem ją w cienistéj framudze okna bladą, wzruszoną, walczącą. Mówiłem z nią, jak przyjaciel i lekarz, a kiedy skłaniałem ją ku żądaniom hr. Zygmunta, spokojny byłem w sumieniu mém, bo mniemałem szczerze, iż przyjaźń i nauka jednostajnie żądania te uprawniać i popierać mogą.

Tego samego wieczora podróż do Jeziornéj stanowczo zdecydowaną została. Zaproszony do uczestniczenia w niéj odmówić nie mogłem i nie chciałem. Hrabiego Teofila kosztować musiało wiele wydalenie się z domu którego przez długie już lata nie opuszczał, ale uczucie ojcowskie bywało w nim często silniejszém nad umysłowy obłęd. Zrozumiał przyczynę planu, ułożonego przez Zygmunta, i tylko przy końcu wieczora stał się niespokojny, strwożony i wkrótce zniknął. Domyśliliśmy się, że poszedł żegnać swoje muzeum, a może błagać zamieszkujące je duchy o przebaczenie za to, że opuszczał je dla szczęścia swéj córki. Emil, na pierwszą uczynioną mu propozycyą podróży, oburzył się zrazu i mruknął gniewnie: cóż znowu? Ale po chwilowéj walce uległ siostrze, jak zwykle, i zgodził się na jéj żądanie. Hrabianka, odchodząc do swoich pokojów, rzekła do nas:

— Nie rozstałabym się z bratem moim—za nic w świecie!

Podróż nasza trwała kilkanaście godzin. Odbywaliśmy ją lądem i wodą, ponieważ dobra hr. Zygmunta położonemi były, w téj nieznanéj szerokiemu światu okolicy, która dla zbliska otaczającego ją świata, nosi charakterystyczną nazwę: *za rzekami.* Dzień był Wrześniowy, pogodny, choć bezsłoneczny, kiedy długie łodzie nasze wpłynąwszy w labirynt wązkich strumieni, zwolna sunęły środ jednego z najdziwaczniejszych krajobrazów, jakie napotkać może oko podró-

żnika. Białe sklepienie nieba. niczém nieprzysłonionemi krańcami, obejmowało ogromną równinę, skratowaną we szystkich kierunkach wąskiemi biegami wód. Wyglądało to, jak olbrzymia sieć biała, rzucona na szarą przestrzeń. Brzegi wód obrastały gęste wysokie, postrzępione łozy i oczerety, wśród nich ozywały się gwarliwe głosy błotnego ptactwa; niekiedy samotny bąk wzbijał się nad nie z basowém huczeniem, albo pod niebem przeciągały stada czajek i żórawi; niekiedy też na powierzchni sieci białéj czerniały ruchome punkty; były to długie, wąskie *szuhaleje*, kierowane przez poleskich chłopców, których barczyste postacie i głowy, okryte strzępiastemi czapkami, jak cienne profile, przesuwały się zwolna po białych skłonach nieba. Zresztą pustynia to była znowu bezludna, cicha, martwa; oko, zmęczone ściganiem nieprzeliczonych, kapryśnych wzorów i skrętów wody, daremnie oprzećby się tu chciało na najniższém choćby wzgórzu albo drzewie; jedynym przedmiotem, wzbijającym się nad poziom martwéj zieleni, były kręte szlaki mgły, czołgającéj się po wiecznie mokrych gruntach.

Nagle, jakby za dotknięciem czarnoksięskiéj różczki, wszystko to znikło. Powozy, do których wsiedliśmy po wylądowaniu, toczyły się suchemi gładkiemi drogami, z obu stron wysadzonemi rzędami drzew; śród pól, starannie uprawnych, i łąk sztucznie osuszanych więc puszystych jak kobierzec; tu i owdzie, przy zapadającym zmroku, rysowały się przed oczami naszemi wesołe widoki osad ludzkich zamożnych i ludnych, albo czerwone mury fabryk, wrzące gwarem i turkotem, rzucały pod niebo wysokie kłęby dymu.

— Ależ kilka lat temu, zawołała Irena, kiedym przejeżdżała tędy po raz ostatni, pustynia ta jeszcze była mokra, mglista i bezludna...

Zygmunt z radością patrzał na twarz jéj rozpromienioną i ciekawą. Schylił się potém ku niéj i rzekł:

— Rozkazałaś mi jechać w świat szeroki aby zapomnieć i przeboleć... Usłuchałem zrazu twéj rady ale potém, kędyś w dalekich stronach, przypomniałem sobie, że i tu także pionierem być można...

Po chwili ciszéj jeszcze dodał:

— Czy zechcesz, Ireno, aby całe to życie, które wre teraz. tworzy i śmieje się na tym kawale gruntu odebranym przezemnie dzikiéj i głuchéj pustyni. było ślubnym mym podarunkiem dla ciebie?...

Wkrótce zmierzch zapadł zupełny; pod dalekiemi krańcami nieba, błysnęło tysiące ogników. rozpalonych śród odległych torfowisk. mocny zapach palącego się torfu napełnił powietrze. lotne dymy uniosły się po przestrzeni i przyćmiły światło występujących na

niebo gwiazd. W srebrnéj szybie wielkiego jeziora, ku któremu zbliżaliśmy się szybko, przeglądały się oświetlone okna i odwieczne drzewa starego dworu, wzniesionego tuż nad jego brzegiem. Była to Jeziorna.

We wnętrzu starożytnego domu, urządzonego z nowożytnym komfortem i smakiem, spotkała nas hrabina Zofia Zaburzeńska, matka Zygmunta. Kobiéta to była wysoka i blada, z rozumném przenikliwém okiem i chłodnemi usty. Po sposobie, w jaki powitała hr. Teofila i syna jego, poznać można było że przyjazne stosunki i ciepłe uczucia nie łączyły ją nigdy z nieszczęśliwą linią rodu Zaburzeńskich. Ale, kiedy Irena zbliżyła się ku niéj, długie, badawcze spojrzenie utopiła ona w jéj twarzy, i po dość długiéj chwili dopiéro, rozbrojona może pięknością jéj czy wzruszeniem, dotknęła ustami czoła jéj w milczeniu i na krótko. Kiedy hrabianka podniosła głowę, z wyrazu twarzy jéj poznałem, że bierna może ale chłodna nieprzychylność matki Zygmunta, była też jedną z przyczyn które ją z nim rozdzielały tak długo.

Przykre nieco wrażenie pierwszych powitań minęło jednak prędko. Hr. Irena ukazała się nazajutrz podobna znowu do wiosny i jutrzenki. Z niejakiém zdziwieniem patrzałem na nią. Mając lat 27 wyglądała teraz na 19. Zdawało się że w odzyskanéj nadziei szczęścia, niby w trunku czarodziejskim, znalazła zapomnienie przeszłości. Była szczęśliwą.

Około południa, hr. Zofija znalazłszy się zemną sam na sam, nie pozbywając się swéj sztywności przez którą jednak przebijało usilnie skrywane wzruszenie, wezwała mię do poufnéj rozmowy.

— Jesteś pan lekarzem, zaczęła, i jak słyszałam od kilku miesięcy bywasz częstym gościem w Zaborach. Co mi pan o hrabince Irenie powiedzieć możesz?

Zacząłem od słów szczerego uwielbienia dla charakteru i rozumu hrabianki, ale hrabina przerwała mi z chłodną żywością.

— Nie o to zapytywałam pana. Znam sama Irenę od dzieciństwa, i wiem że silniejszego charakteru i wyższego wykształcenia jak to, które ona posiada, daremnieby szukać pomiędzy kobiétami. Nie dziwię się wcale temu, że syn mój kocha ją tak wytrwale, bez uwagi na przyszłość. Ale, jakkolwiek nie skłonną jestem do uczuciowych objawów i oświadczeń, kocham mego syna niemniéj od innych najczulszych matek, i pojmiesz pan, że o przyszłość jego nie lękać się nie mogę...

Mówiła prawdę. Pomimo zewnętrznego chłodu kochała syna bardzo, bo i teraz gdy patrzała w twarz moję, z badawczą przeni-

kliwościa, zimna jéj źrenica oszkliła się na mgnienie oka daremnie znać powściąganą łzą.

Powiedziałem jéj wszystko, co ze stanowiska nauki myśleć można było o przyszłości hrabianki i o możliwych następstwach związku jéj z hr. Zygmuntem. Wróżby moje były pomyślne. Hrabina zdawała się niemi uspokojoną—choć jeszcze niezupełnie.

— Prawdziwy to fatalizm, wymówiła z cicha i z głuchym gniewem. Linia Zaburzeńskich, z któréj pochodzi syn mój, dotąd jeszcze niedotkniętą była tém potwornêm nieszczęściem. Pocóż koniecznie łączyć się ona ma z tamtą... Dla czego każde z nich nie znalazło sobie przedmiotu miłości po za fatalném kołem... Ha! trudno! O ile Zygmunt niezwyciężony jest w swéj stałości, o tyle jak uważam hrabianka łatwo chwieje się w swych postanowieniach...

Ostatnie słowa wymówila ze smutném szyderstwem, uważałem jednak że po rozmowie zemną stała się bardziéj uprzejmą dla ukochanéj swego syna; raz nawet, gdy ścigała wzrokiem dwoje młodych ludzi przechadzających się po starożytnym ogrodzie, przy świetle jesiennego słońca, sztywne rysy jéj zmiękły, a usta poruszyły się zcicha szeptaną może modlitwą, czy siłą miłości ich wymuszoném błogosławieństwem.

Nad wieczór, w pięknym salonie starego dworu, panował gwar wesołéj rozmowy. Mówiono o baronowéj Aurelii, o bliskiém jéj przybyciu, o ślicznych podobno jéj dzieciach. Śmiano się też trochę z preokupacyj sérami i wędlinami poleskiemi, którą baronowa okazała w ostatnim swym liście, a hr. Irena z pokorą wyznała, że zapomniała przed odjazdem udzielić ochmistrzyni Bobrowskiéj stosownych zleceń.

Rozmowa przerwaną została turkotem kół odzéwającym się przed gankiem. W rozległéj téj, zapadłéj i mokréj krainie, gość był zawsze i wszędzie rzadkiém, i ciekawe domysły budzącém wydarzeniem. Tym razem jednak nie domyślano się długo, bo w przedpoju ozwał się donośny głos kobiécy a na dźwięk jego hr. Irena porwała się z miejsca, wołając z radością: Aurelia!

Niebawem, zobaczyłem baronową Staarwitz wchodzącą do bawialnego salonu w towarzystwie gospodarza domu i siostry, którzy wybiegli byli na jéj spotkanie. Kiedy przybyła więcéj głośno niż czule witała się z ojcem, bratem i hr. Zofią, przypatrywałem się jéj z zajęciem, jakie obudzała we mnie cała ta rodzina.

Stary hrabia miał słuszność mówiąc, że baronowa nie posiadała żadnéj z cech które cały jéj ród odznaczały. Średniego wzrostu, więcéj krępa niż wysmukła, rysy twarzy miała ona duże i pospolite, ruchy rubaszne, chód zamaszysty, mowę donośną i szybką, przery-

waną częstym śmiechem. Nie była jednak brzydką. Cera twarzy jéj olśniewała świeżością, oczy świeciły najpiękniejszym błękitem, a duże usta posiadały szkarłatną barwę.

— Toście mi państwo pięknego spłatali figla, mówiła, zasiadając na kanapie i szeroko rozpościerając kosztowną, sztywną suknię; przyjeżdżam do Zaborów, wpadam do pałacu, aż tu spotyka mię Bobrowski i powiada: pana hrabiego i panny hrabianki w domu nie ma! A słowo stało się ciałem! jeszczem tego nigdy nie słyszała żeby pana hrabiego i panny hrabianki w domu kiedy nie było! Gdzież pojechali? Do Jeziornéj! A no, pomyślałam, to i ja tam pojadę! i nie czekając dłużéj, konie tylko kazałam popaść i pojechałam! Zresztą sama jestem winna wszystkiemu, bo po napisaniu listu do was, znowu mi niespodzianka w głowę weszła. Powiedziałam baronowi wpadnę do nich przed terminem! baron powiedział: jak chcesz! ot, i wpadłam! tylko nie do Zaborów ale do Jeziornéj. Wszystko jedno! miałam i tak zamiar złożyć uszanowanie moje stryjence i przypomnieć się pamięci kuzynka Zygmunta...

— Sama więc przyjeżdżasz do nas, Aurelio, pisałaś jednak... zagadnęła Irena z zawodem w głosie.

— Gdzie tam! przerwała baronowa, zabrałam ze sobą cały mój familijny pakunek: barona, dzieci i bonę...

Irena powstała żywo.

— Gdzież są twoje dzieci? zawołała.

— A wiezie je tam baron w dużéj karecie... ja bo sobie sama jedna wsiadłam do lekkiego koczyka, to i wyprzedziłam ich o dobrą godzinę pewno.

Przy ostatnich wyrazach baronowa wyjęła z kieszeni kruche jakieś ciasteczko i zaczęła gryść je w białych jak perły zębach.

— Stryjeneczko! zawołała, głodna jestem okropnie! Dziesięć dobrych godzin byłam dziś w drodze, a miałam ze sobą tylko parę pieczonych jarząbków i kawałek jakiegoś pasztetu...

— Kuzynku! zwróciła się do Zygmunta, każ mi tam podać do herbaty waszych serów i półgęsków poleskich... marzyłam o nich przez całą drogę...

Kiedy w przyległéj sali zastawiano stół ulubionemi przysmakami baronowéj Aurelii i wielu jeszcze innemi, daleko wykwintniejszemi, baronowa siedząc na kanapie z podwiniętemi pod siebie nogami i gryząc wyjmowane wciąż z kieszeni ciasteczka i karmelki, rozpowiadała o praktyczności i gospodarności barona, o wygodach swego domu, doskonałości swego kucharza, niedołęztwie swéj ochmistrzyni i różnych tym podobnych rzeczach, które widocznie zajmowa-

ły cały jéj umysł. Smiała się przytem często i głośno i wyglądała wogóle na kobiétę doskonale szczęśliwą. Przy herbacie nakoniec, w przestankach na jakie pozwalał również doskonały jej apetyt, zaczęła mówić o swych dzieciach.

— Ojciec zobaczy, zwróciła się do hr. Teofila, jakich to ja wnuczków ojcu przywiozłam! Prawda że długo nie przyjeżdzałam, zdaje się że już lat z ośm jak nie widziałam całéj mojéj familii...

— Dobrze zrobiłabyś, Aurelio jeślibyś częściéj przypominała sobie o nas, z poważnym smutkiem wtrącił stary hrabia.

— Ach! kiedyż mi tak wygodnie w domu! a przytém Zabory takie smutne! odpowiedziała z zupełną swobodą córka. Teraz za to, dodała, mam się z czém pochwalić. Starszy mój Władek, krew z mlekiem chłopak... Renia znów piękna, jak obrazek. A ciche to, łagodne, spokojne... głosu ich w domu nie słychać...

— Zbyt ciche i spokojne dzieci niepokoją mię zawsze, wymówiła hr. Zofia, przelotne spojrzenie rzucając na Irenę.

Irena zbladła pod tem spojrzeniem. Spostrzegłem w oczach jéj ten wyraz instynktowego zatrwożenia, który dawniéj niepokoił mię w niéj nieraz.

— Ale dla czegóż nie przyjeżdzają? zawołała, i jakby niepodobna jéj było dłużéj spokojnie słuchać pustéj gadaniny siostry, powstała od stołu. Stanęła u okna i patrzała przez szyby na jezioro szklące się wśród gwiazdzistego wieczora, Zygmunt zbliżył się do niéj i mówił do niéj coś zcicha. Baronowa mrugnęła kilka razy oczami w znak figlarnego domysłu.

— Czy znowu są narzeczonymi? zapytała hr. Zofią, tłumiąc, o ile mogła donośny głos swój, w czém dopomogły jéj resztki przeżuwanego półgęska.

— Hrabianka nie wypowiedziała jeszcze ostatecznego słowa, zimno i sztywnie odpowiedziała matka Zygmunta.

— Spodziewam się, że wypowie już je nakoniec, ciągnęła baronowa. Dośćby już było naprawdę dziwactw tych i kaprysów! To wstyd doprawdy, aby panna, tak urodzona jak Irena, taka piękna i miła, zostawała starą panną... Ja to dzięki bogu nie miałam nigdy żadnych dzikich imaginacyj i wyszłam za mego barona jak tylko się mnie oświadczył. I bardzo dobrze zrobiłam. Mam teraz dobrego męża, śliczne dzieci i... Tu ciszéj jeszcze szepnęła:

— I nie jestem zmuszoną pędzić całego życia w tych okropnych Zaborach...

— Otóż i jadą! zawołała klaszcząc, w ręce. Baron przywozi nam już dzieci...

Przed gankiem i w przedpokoju powstał wielki ruch służby i wysiadających z powozu osób, a po chwili do sali jadalnéj wszedł mężczyzna średniego wzrostu, z nawpół łysą głową i bladą twarzą, która na pierwszy rzut oka wydawała się nic nieznaczącą, ale przy bliższém przyjrzeniu się zdradzała tajony smutek i niedające się ukryć moralne zgnębienie. Za nim bona wprowadziła dwoje dzieci, jedno z nich trzymając za rękę, drugie niosąc w ramionach.

Baron z chłodną i małomówną uprzejmością powitał całe towarzystwo. Przygarbiony nieco, z czołem gęsto zrysowaném zmarszczkami, usiadł przy stole i zamyślonym ale bynajmniéj nie wesołym wzrokiem, przypatrywał się ogólnemu zajęciu jakie wśród zebrania budziły jego dzieci. Baronowa rozebrawszy je z okryć i szalów w które owiniętemi były, ze śmiechem, z dumą, z głośno objawianém zadowoleniem przedstawiała je wszystkim. Miała słuszność. Dzieci były prześliczne. Siedmioletni chłopak rumiany, złotowłosy, pucaty, z oczami tak błękitnemi, jak u matki, podobnym był do aniołów i cherubinów, malowanych na najpiękniejszych obrazach mistrzów. Trzyletnia dziewczynka, bladawa, wątła, wytwornością rysów i wielką czarną źrenicą, przypominała piękność całego rodu Zaburzeńskich.

Hr. Zofia baczne, przenikliwe wejrzenie swe topiła przez chwilę w twarzach pięknych dzieci, hr. Teofil nawet uśmiechał się do wnuków, ale całe zajęcie to trwało bardzo krótko, gdyż Irena, z uśmiechem uszczęśliwienia na ustach i ze łzą w oku, wzięła dziewczynkę z objęć piastunki i unosząc ją w silném swém ramieniu a drugą ręką prowadząc chłopca, wyszła z niemi do przyległego salonu, tak, jak gdyby do zabrania z niemi bliższéj znajomości pierwsze przyznawała sobie prawo.

Hr. Zofia wiodła wzrokiem za odchodzącemi.

— Istotnie, rzekła, dzieci twoje Aurelio, są bardzo spokojne. Nie wymówiły jeszcze ani jednego słowa...

Dziwny uśmiech, gorzki nieco a nieco smutny, przewinął się po wązkich ustach dumnéj pani, gdy czyniła ona tę uwagę. Ale baronowa odpowiedziała wesoło:

— A tak, Stryjenko! Anioły to nie dzieci! głosów ich w domu nie słychać, a ja bardzo cieszę się z tego, bo wrzasków i harmiderów dziecinnych zniesćbym nie mogła.

Uderzył mię w téj chwili wyraz twarzy barona. W szarém oku jego mignęło coś nakształt tłumionéj gwałtownie boleści. Rzucił na żonę spojrzenie, w którém ktoś baczny wyczytać mógłby niechęć i trochę szyderstwa, ale spotkawszy się z jéj wzrokiem, spuścił pokornie oczy i zoraną twarz swą zwracając ku gospodarzowi domu,

zapytał go o gospodarstwo jego i powodzenie świeżo wzniesionych fabryk.

Nagle, z przyległego salonu doszło do uszu moich wołanie hrabianki. Wymawiając nazwisko moje przywoływała mnie ku sobie, ale w głosie jéj było tyle dziwnego jakiegoś gwałtu, że porwałem się z miejsca i nie zważając na to czy ktokolwiek prócz mnie wołanie jéj usłyszał wybiegłem z sali.

Siedziała na niskiéj kanapce, obejmując jedno z dzieci ramieniem swém a drugie trzymając na kolanach. Tuż przy niéj na stole piętrzyły się w kryształowém naczyniu pyszne owoce. Jeden z nich jabłko wielkie i rumiane, trzymał w obu pulchnych rękach mały syn baronowéj, i z przekrzywioną nieco głową pogrążał w niém drobne zęby. W téj chwili dziecię to nietylko pięknem nie było, ale owszem budziło wrażenie wstrętu, wyrazem zwierzęcéj niemal łapczywości z jaką pożerać usiłowało zbyt wielki dla ust jego owoc, martwą bezmyślnością szeroko roztwartych źrenic i chrapliwém sapaniem, które ozywało się mu w piersi a przypominało głuche warczenie zwierząt mocujących się z porwanym łupem. Dziewczynka stanowiła z nim kontrast zupełny. Złotawa gruszka, którą snać obdarzyła ją ciotka, wypadła z białych, przezroczystych jéj rączek i wraz z niemi spoczywała nieruchomo na błękitnéj sukience. Głowa jej o anielskich rysach, bezwładnie opadała na pierś trzymającéj ją w objęciu kobiety, a czarne ogromne oczy nieruchomém wejrzeniem tkwiły w przestrzeni.

Hrabianka spojrzeniem ukazała mi oboje dzieci i głosem który zamierał jéj w gardle, zapytała:

— Co to jest?

Odgadłem myśl jéj. Z boleśném uczuciem dotknąłem po kilka razy czaszki chłopca, który pod tém dotknięciem mojém rzucił się gniewnie i głucho zawarczał, wpatrzyłem się w szkliste źrenice jego i w budowę czoła, wtył cofnionego i milcząc, opuściłem ręce. Irena przypatrywała się wszystkim poruszeniom moim drżąc na całem ciele.

— Idyota? zapytała bezdźwięcznym szeptem.

Nie miałem odwagi powtórzyć za nią wyrazu tego. Nie trzeba tu było zresztą być lekarzem. Każdy mniéj więcéj baczny i doświadczony człowiek potwierdziłby domysł hrabianki.

Jak rozbitek szukający ostatniéj deski nadziei, pochyliła się nad dziewczynką.

— Reniu! wyrzekła gorącym szeptem. Co ci jest? powiedz! dla czego główkę swą tak tulisz do mnie? czy cię co boli?

Dziewczynka oderwała wielkie swe, czarne źrenice od punktu, na którym tkwiły one dotąd nieruchomie, i zwolna podniosła je na twarz ciotki. Na bladych prześlicznych jéj ustach zarysował się słaby uśmiech. Milczała.

— Reniu! dziecię moje! szeptała Irena, drżące ustą swe przykładając do bladego czoła dziecka, powiedz mi cokolwiek! powiedz mi: ciociu! jestem siostrą twéj matki i kocham cię bardzo! powiedz, no powiedz: ciociu!

— Nie powié, zcicha ozwała się w téj chwili bona, która dotąd stała w milczeniu i opodal.

— Dla czego? gwałtownie podnosząc głowę zapytała hrabianka.

— Bo dziecię to odkąd żyje nie wymówiło jeszcze ani jednego wyrazu, wzruszając ramionami, wytłómaczyła kobiéta.

Niespokojne potém wejrzenie rzuciła na drzwi pokoju z którego dochodził donośny głos i śmiech baronowéj, i dodała ciszéj jeszcze,

— To niemowa!

Chciałem zmniejszyć dotkliwość ciosu, poddać w wątpliwość słowa piastunki, rzucić na przyszłość dziecka promień nadziei, ale Irena słyszeć słów mych nie mogła. Pochyliła się nisko, i z czołem w obu dłoniach, nieprzytomnym szeptem powtarzała:

— O! straszna, straszna, straszna niedola!

W téj chwili ku zgnębionéj kobiecie zbliżyła się, od kilku już minut stojąca w progu, hr. Zofia. Wyniosła, nakazująca, z zaledwie dostrzegalnem tylko drganiem w bladéj twarzy, ujęła rękę Ireny i topiąc w niéj wymówne, pełne dumnéj prośby spojrzenie, drugą ręką wskazywała na dzieci. Hrabianka powstała drżąca, tak, że zrazu zachwiała się na nogach. Po chwili jednak pod wpływem wzroku i gestu staréj kobiéty, kibić jéj wyprostowała się, oczy nagle z łez oschły, bladą twarz okrył rumieniec. Dumném poruszeniem podniosła głowę i śmiałym wzrokiem na dnie którego ja jeden dostrzedz mogłem tłumioną rozpacz, spotkała spojrzenie hrabiny.

W niemej téj, krótkiéj scenie dwie kobiéty zrozumiały się bez słów. Nie dająca utaić się radość oświeciła blade rysy staréj hrabiny, hrabianka zwróciła się do wchodzącego w téj chwili Zygmunta:

— Kuzynie! rzekła i wskazała mu oczami ogród, oświetlony wschodzącym księżycem. Zaniepokojony samą już nazwą którą go wzywała szedł za nią, gdy blada, milcząca i dumna przechodziła obszerny pokój. Wyszli oboje drzwiami, prowadzącemi do ogrodu.

Tego wieczora nie widziałem już ich wcale. Baronowa skarżyła się na umęczenie drogą, całe towarzystwo rozeszło się niebawem do swych pokojów. Lecz o późnéj, nocnéj godzinie, kiedy spojrzałem przez okno mego pokoju, wychodzące na ogród, na załomie jednéj ze starożytnych, wyniosłych alei, zobaczyłem przesuwające się wśród księżycowych świateł, dwie postacie.

Odgadłem bardziéj, niż dojrzałem, kim one były...

Nazajutrz zrana, pomimo że z niczyich ust żadne wyraźne słowo nie wyszło, w ogólnym nastroju towarzystwa, w atmosferze niejako domu czuć było, że stosunki hr. Zygmunta z piękną jego kuzynką po raz wtóry, i już stanowczy, zerwanemi zostały.

Gdybym był przypuszczał że ujrzę młodego hrabiego głośno i burzliwie rozpaczającym, myliłbym się bardzo. Zrozpaczonym był on zapewne, ale biegły tylko bardzo fizyonomista odgadnąćby mógł tę rozpacz z twarzy jego, z któréj zniknął tylko wszelki ślad uprzedniéj swobody uczuć i humoru. Zastąpiła ją surowa myśl wyryta w dwóch zmarszczkach, nagle pomiędzy brwiami powstałych, i w chmurnym blasku źrenic spuszczających się często ku ziemi. Prowadził on urywaną i wielkich wysileń woli widocznie potrzebującą rozmowę z baronem, który przy świetle dnia wyglądał więcéj jeszcze przygarbionym, łysym i znękanym, jak wczorajszego wieczora.

Irena nie ukazywała się w salonie przez pierwsze przedpołudniowe godziny. W przyległym tylko pokoju z za drzwi, osłonionych portyerą, słychać było głos jéj zniżony, wymawiający od chwili do chwili pieszczotliwe jakieś wyrazy.

Siedząc w bliskości drzwi usłyszałem parę razy krótkie, stłumione łkanie, i wnet po niém szelest cichych pocałunków i głos dziecięcy, skarżący się jakby, mówiący coś—bez słów.

Pod ganek zajechały powozy, mające zabrać gości z Zaborów, baronowa, siedząc na niskiéj kanapce w zwykłéj sobie postawie, więc z podwiniętemi nogami, gryzła kruche ciasteczka i głośno rozprawiała o przeszłorocznych śniegach i upałach, gdy rozchyliła się portyera, i do pokoju weszła Irena z małą Renią w objęciu. Blade dziecię podnosiło ku niéj wielkie swe oczy i na różowych ustach miało uśmiech, weselszy, niż wczoraj.

Prosta, poważna, z twarzą tylko schyloną ku twarzy dziecka, Złota hrabinka przeszła zwolna salon i zwolna uklękła przed siostrą. Baronowa poruszyła się niespokojnie i dogryzając ciasteczka, zawołała:

— Co to, Irenko? co to się stało?

Wtedy głos kobiecy, cichy, lecz dźwięczący wszystkiemi uczuciami piersi kochającéj, rozdartéj, smutnéj aż do śmierci, przemówił.

— Oddaj mi to dziecię swoje, Aurelio! na kilkanaście lat tylko... nim urośnie! Będzie ono obok mnie jedném więcéj nieszczęściem i jednym więcéj obowiązkiem...

A kiedy baronowa zakłopotana i baron widocznie bardzo ucieszony zebrać się na odpowiedź nie mogli, klęcząca wciąż blada kobiéta powtórzyła:

— Oddajcie mi córkę waszą! Ona pocieszać mię będzie i wiązać z życiem... ja nauczę ją czuć, myśleć i mężnie znosić nieszczęście!

KONIEC.

UMIEJĘTNOŚĆ JĘZYKA.

STREŚCIŁ PODŁUG WHITENEY'A

Adolf Dygasiński.

(Ciąg dalszy).

III.

Podając przykłady na przemianę dźwięku, widzieliśmy już, że wyrazy obok zmiany w formie przechodzą jeszcze szereg zmian w znaczeniu, a historya znaczeń albo wewnętrznych przemian wyrazów tworzy równie ważną i zajmującą część historyi języka, co i zewnętrzne jego przemiany. Fonologowie twierdzą, że w ciągu czasu każdy dany dźwięk może przybrać wszelką dowolnie pomyślaną formę; toż samo i z równą słusznością można powiedzieć o pojęciach wcielonych w wyrazy. I tutaj, podobnie jak przy przemianach dźwiękowych, winniśmy się ograniczyć jedynie na przedstawieniu głównych praw oraz podaniu wybitnych przykładów.

Przemienność znaczenia wyrazów wynika z tego, iż pomiędzy wyrazem a jego pojęciem nie zachodzi żaden konieczny i wewnętrzny związek. Znaczenie wyrazu utrzymuje się przez użycie i przez zwyczaj, przez nieme porozumienie się mówiących i słuchających, i ta sama siła, która utworzyła wyraz, może go zmienić, przekształcić w sposób dowolny oraz w dowolnym stopniu. Niemiecki wyraz *paraveredus* zredukował się do *pferd*, jednakże nie odrazu, ale przechodząc szereg przemian, co widno z angielskiego *palfrey* i starogórnoniemieckiego *pfarit*, zmiana znaczenia, jakiej wyraz ten doznał, znacząc pierwotnie „konia jucznego" a obecnie „konia" w ogóle — jest jeszcze stosunkowo małoważną. Podobnie w języku naszym

wyraz *zėdel* powstał z łacińskiego wyrazu *sedile* i pierwotnie oznaczał w ogóle sprzęt do siedzenia, gdy dziś znaczy zwykłą ławicę na czterech nogach; *cyrograf* z greckiego *cheirografos* oznaczał w dawnéj Polsce skrypt na zaciągniętą pożyczkę; dzisiaj wobec kursu *weksli*, *przekazów*, *nakazów płatniczych*, *obligów hipotecznych* i *notaryalnych* nikt nie mówi o *cyrografie* lub *cerografie*, zeszedł on między ludem do stanowiska mitu i daje się jedynie *cyrograf* na duszę *lucyperowi*, który swoją drogą był także w danym czasie mianem „roznosiciela światła,“ kiedy Wirgiliusz lub Wergiliusz pisał swoje *przemiany;* ale idee czasu na gruncie słowiańskim ze świetlnego rzymskiego *lucyfera* zrobiły króla ciemności, w otchłaniach panującego *lucypera*. Ileż to znamy takich przerzuceń się znaczenia wyrazu w drugą ostateczność. Że wyraz Polski *czarownica* znaczył kiedyś istotę piękną i czarodziejską, o tém świadczy dzisiejsze jeszcze użycie wyrazów *czarowny*, *czarujący*. Niemiecki wyraz *schlecht* we formie *schlicht* miał znaczenie wprost przeciwne temu, jakie ma dzisiaj; czemużby nie miało miejsca coś podobnego z naszém *lichém*, gdy wiemy, że po rosyjsku *lichaja łoszad* znaczy nie „lichą szkapę,“ lecz „dzielnego rumaka.“

Wiadomo z historyi, że w najdawniejszych czasach ludzie mierzyli czas księżycami; ten fakt historyczny potwierdzają badania językowe. Dawniejsza nazwa księżyca w języku polskim była *miesiąc*, który to wyraz pochodzi od pierwiastku *ma*, znaczącego mierzyć, a toż samo da się powiedzieć o pochodzeniu niemieckiego *Mond* oraz łacińskiego *mensis* i greckiego *men*. Dziś *miesiąc* oznacza przeciąg czasu, będący dwunastą częścią roku, a lud tylko wyśpiewuje jeszcze swoje piosnki na temat nowego, bladego lub za chmury zaszłego *miesiąca*. Czas, jak wiadomo, mierzy się u nas *rokami*, gdy poprzednio mierzono go *latami* a w językach germańskich nawet *wiosnami* (*Jahr*, *Frühjar*, angiels. *Year*). Słońce pierwotnie znaczy „rzecz świecącą lub życie budzącą;“ ale dalekim się jest od tego pojęcia, kiedy się mówi, że „słońce pomyślności weszło nad panującym domem Burbonów.“

Nazwisko Juliusza Cezara doczekało się osobliwych losów w różnych językach. Nie wiadomo komu wierzyć, gdy chodzi o wyprowadzenie genezy téj nazwy, gdy jedni wywodzą ją *a caeso matris utero*, inni widzą jéj usprawiedliwienie w przyjściu na świat Juliusza z obfitą czupryną (*caesaries*), a są i tacy, którzy utrzymują, że mąż ten nazwany został cesarem z powodu zabicia maurytańskiego słonia, który po maurytańsku nazywał się *caesar*. Od caesara poszły nazwy: *cesarz*, *car*, *kaiser*, któremi się oznacza najwyższa władza w państwie.

Dwa więc są główne rodzaje nadawania nazwisk, mianowicie: Specyalizowanie wyrażeń ogólnych z jednéj strony,—z drugiéj rozszerzanie i uogólnianie nazw specyalnych; tak jedno jak i drugie ma jeszcze niezmierną ilość swoich poddziałów.

Niektóre kategorye tych poddziałów winniśmy tu rozejrzéć i przykładami rozjaśnić, wprzód nim się zwrócimy do zbadania całego w ogóle zjawiska.

W przytaczaniu zaś przykładów nie będziemy się wiązali żadnym systematem, ale podejmiemy sprawę z tą samą wolnością i swobodą, z jakiemi język traktuje swój własny materyał.

Weźmy pod obserwacyą pierwszy lepszy wyraz np. *istota*: pochodzenie którego, jak i całéj gromady należących tu wyrazów: *istność*, *istnienie*, *istotny*, *istny* i t. d. należy odnieść do znanéj nam etymologii słowa *jestem*, do pierwiastka *as*. Coś, „co było“ nazywało się *istotą*, tak samo jak i dzisiaj. Pomiędzy innemi przymiotami *istoty* znajdował się przymiot bytu, od którego poszła jéj nazwa.

Ale rozpoczęły się dalsze specyalizowania tego bytu, zaczęto mówić może w tym rodzaju, jak dziś mówimy: „*egzystuje*“, „*istnieje*“ zamiast „jest“ i w ten sposób *istota* doszła do znaczenia pojęcia „rzeczy istniejącéj“ konkretnie.

Dalsza specyalizacya polegała na nazwaniu „istotą“ stworzenia żyjącego. Z drugiéj strony atoli pozostała *istota* wierną swojéj abstrakcyjnéj naturze albo istocie, tak że abstrakcyjne znaczenie naszego wyrazu uogólniało się coraz więcéj i doszło do takiéj wieloznaczności co wyraz „rzecz“. Mówimy np. o istotach organicznych, białkowatych, o istocie czynu, o istocie interesu, prawa i t. d. Innym razem wyraz *duch* powstał z pierwiastku, oznaczającego czynność konkretną: dmuchania, dęcia, wiania. Upatrywano podobieństwo pomiędzy powiewem wiatru a oddychaniem, oddychanie zaś uważano jako działanie niewidzialnéj siły żywotnéj. Nie zadowolniono się samym rodzajem męzkim, były i są *duchy* niebieskie i *duchy* ciemności, *dusze* mieszkające w ciałach ludzkich, i *dusze* zmarłych, pokutujące po śmierci. *Duch* Boży unosił się w przestrzeni, zanim świat został stworzony i *Duch* święty natchnął apostołom dar przemawiania różnemi językami. W czasach najnowszych filozofowie piszą obszerne traktaty o *duszy* ludzkiéj i zwierzęcéj, a duch emancypacyi oraz postępu tak owładnął społeczeństwem, że zaniechano wstrętnego sprzedawania *dusz* i obliczania na *dusze* stopnia swojéj zamożności. Przygasła twórczość poetyckiego *ducha*, coraz mniéj spotykamy ludzi przez złe *duchy* nawiedzonych, ludzie w pracy znaleźli *ducha* prawdy, przywykli wypełniać *ducha* a nie literę prawa. Usiłowanie zniesienia granicy pomiędzy *duchową*, a cielesną

stroną człowieka bynajmniéj nie zachwiało *ducha* pobożności, i *dusze* wiernych swoich owieczek pasterz policzyć może w kościele. Ale gdzież bo dziś nie ma *ducha* lub *duszy*? Jest to, zdaje się, dostateczny dowód, jak wiele różnych znaczeń może przyjąć jeden skromny wyraz.

Częstokroć główne znaczenie wyrazu znika zupełnie z języka i ginie wśród znaczeń tak do siebie niepodobnych, że poczucie językowe związku ich ze znaczeniem głównem stanowczo nie rozeznaje. Któż z nas nie wié, co znaczy *palić*, *paliwo*, materyał *palny*, *płomień* i t. d. Ale kiedy się *palnie bąka*, wtedy się o wszystkiém zapomina, cóż dopiéro o znaczeniu pierwszém tego *palnięcia*, które tu do *palenia* tak jest podobne, jak pięść do nosa, lub *wspaniałe* widoki natury do *niewspaniałych* już dzisiaj *panów*. Pomiędzy *zobią* (pożywieniem dla płodów) i *dziobem* ptaków związek znaczenia da się odszukać, trudniéj go znaleść pomiędzy *zobią* a *dziobatym* w skutek ospy, ale najtrudniéj, jeśli nam ktoś radzi, abyśmy księgi nie czytali powierzchownie i w *zobki*, lecz pilnie i gruntownie. Możemy zaręczyć, że czytanie ksiąg i pisanie wierszy w *zobki* było u nas modne przed 200-tu laty.

Przemiana znaczenia gromadzi tedy w biegu dziejów języka mnogość najrozmaitszych znaczeń jednego i tego samego wyrazu, ale jednocześnie może ona jeszcze najrozmaitszym wyrazom nadawać toż samo, albo prawie toż samo znaczenie. Poprzyjmy to przykładem. Myśl grożącego nam niebezpieczeństwa rodzi w nas uczucie, które my, najogólniéj się wyrażając, nazywamy *bojaźnią*; pragnąc atoli oznaczyć rozmaite stopnie i formy tego psychicznego zjawiska, mamy do rozporządzenia: *strach*, *przestrach*, *obawę*, *zgrozę*, *lękanie się*, *trwogę*, *popłoch* i najnowszy nabytek w Galicyi *panikę* zamiast *przestrach paniczny*, którego Linde nie umieścił w znakomitym swoim słowniku. Mamy prawo przypuszczać, że są języki, które posiadają takie nazwy na różne odcienie *bojaźni*, o których nasz ojczysty język nie ma wyobrażenia. Mimochodem wspominamy tu, że Buszmani, szczep południowo-afrykański, posiadają siedm wyrazów na oznaczenie rozmaitego stopnia zaspokojenia głodu, czternaście na wyrażenie pojęcia „oszukać“, a wiadomości téj udzielił nam wiarogodny polski przyrodnik, który przez parę lat przebywał w tamtych okolicach.

Nie rzadko przytrafia się, iż nowo występującemu cieniowaniu znaczenia towarzyszy różniczkowanie formy dźwięku. Każdy, kto był na polowaniu, widział, jak zając *wymyka* z krzaków, a potém *mknie* tęgo po równinie, tak że choć charty *gnały*, co się zowie, *dogonić* go nie mogły. Kiedy rankiem słońce *mignie* z za obłoków, wtedy *mgły* nie w *mgnieniu* oka, ale zwolna unoszą się w górę.

Zresztą: *zstąpić* i *zstępować*, *dzieci*, *dziatki* i *dziatwa* lub *dziecię*, *dzieciak*, *dzieciuch*, *dziecina* są to także cieniowania znaczeń za pomocą modyfikacyi we formie dźwięku. Mówiąc o wyrazie *duch*, wspomnieliśmy, że pochodzenie jego jest ze zmysłowego świata; otóż w historyi języka przechodzenie pojęć zmysłowych w duchowe jest na porządku nieustannym. Jest to bardzo wybitny rys języka i winniśmy się nad nim zastanowić, albowiem cały skarbiec wyrazów duchowych, moralnych i abstrakcyjnych właśnie na téj drodze powoli nagromadzony został. Wszelki wyraz, o ile znamy główne jego znaczenie, oznacza pierwotnie pojęcie konkretne, coś dającego się pojąć zmysłami, a ostatnie znaczenie duchowe jest dopiéro rezultatem dostrzeżonego podobieństwa czy różnicy, pomiędzy czynnością materyalną lub materyalnym przedmiotem a duchowym. Jeżeli wyraz *duch* w słowiańszczyznie miał znaczenie pierwotne *dęcia*, dmuchania, wiania, to także *anima*, wyraz łaciński, od którego pochodzi francuskie *âme*, wyprowadza ród swój od pierwiastku *an*, znaczącego wiać, czego dowodzi greckie *anemos* wiatr i sanskryckie *anila*. *Spirytualny* i *spirytualista* pochodzą także od wiania, bo jak wiemy *spiro* znaczy „wieję". Inteligencya podług swego znaczenia pierwotnego powinnaby znaczyć „wybranie", albowiem do tego znaczenia wiedzie nas rzymski wyraz *intelligo*. *Chytrość* i *chytry* pochodzą od zmysłowego pierwiastku *chyt*, znanego w wyrazach *chwytać*, ludowém *chytać*. Nasze *wyobrażenia* i *pojęcia* są *obrazami* rzeczy *pojmanych* ze świata zewnętrznego, i zatrzymanemi niejako w niewoli w krainie naszéj duchowości. *Nihilizm* pochodzi od łacińskiego *nihil* „nic", a *nihil* od *nifilum* zamiast *nefilum* „ani nitka". *Wniosek* jestto wyraz złożony z przyimka *w* i pierwiastku tego samego, co w wyrazie *nieść* lub *nosić*. Lecz po co gromadzić mnogość przykładów; wszystkie wyrazy stoją pod wpływem téj saméj zasady, a jeśli sobie czegoś należycie objaśnić nie zdołamy, będzie to tylko dowodem, iż dotąd dla objaśnienia nie zebrano dostatecznéj ilości materyałów. Istnieje jeszcze bogata i ważna grupa wyrazów, których znaczenie abstrakcyjne nie rozwinęło się w sposób zwyczajny, ale wystąpiło tu, że tak powiemy, spłaszczenie znaczenia określnego. Do téj kategoryi należy znaczenie wyrazu *między* jako przysłówka, który jest miejscownikiem liczby pojedynczéj wyrazu *miedza*, a pierwiastku tego samego co łacińskie *medius*, sanskryckie *madjas* „pośredni". *Krom*, *okrom* w znaczeniu „oprócz" zdaje się pochodzić z tego samego źródła, co wyraz *kromka*, zaś *prócz* ma związek ze starosłowiańskim wyrazem *prok* i rosyjskim *proczij* w znaczeniu „inny, pozostały". Niemieckie *nah*, które ani co do formy, ani co do znaczenia nie różniło się od *nach*, zachowało jeszcze swoję formę i zna-

czenie w *Nach-bar* „blizko mieszkający"; jako przyimek i w połączeniu ze słowami *nach geben*, *nach lassen* i t. d. przybrał wyraz ten daleko ogólniejsze znaczenie. Takie samo spłaszczenie znaczenia znajdujemy we francuzkim wyrazie *on* na oznaczenie nieosobistego wyrażenia: w *on dit* „mówi się"; to *on* powstało z tego samego pierwiastku co *l'homme*, a niemieckie *man* w *man sagt* wywodzi się od *Mann*, równie jak *Je-mand* i *Nie-mand*. W łacińskich wyrazach *ama-v-i*, *ama-b-am*, *v* i *b*, znane, jako cechy czasu przeszłego dokonanego i niedokonanego, są szczątkami pierwiastku znaczącego „rosnąć", jak widzimy z łacińskiego *fui* i greckiego *phyo*. Z tegoż pierwiastku wywiązały się w języku naszym formy słowa posiłkowego *być*, podczas gdy francuskie *être* zawdzięcza swój rodowód łacińskiemu *stare* „stać". Kiedy w języku chciano oznaczyć przeszłość wtedy używano procesu składania, o którym już mówiliśmy, i według tego mówiono: *był jestem*, a każdy z tych wyrazów już sam poprzednio przeszedł własny proces składania, jako też i proces przemiany znaczenia. *Był jestem* przez jakiś czas egzystowało, piastując w sobie dwa wyrazy i dwa znaczenia, atoli czujemy dobrze tę nieubłaganą konieczność, w skutek której dwa dźwięki i dwa odpowiadające im znaczenia musiały się stopić, aby utworzyć jeden wyraz i jedno znaczenie: *byłem*. Ten proces nie ustał w języku, odbywa on się ciągle i w oczach naszych, a co się dzieje dzisiaj, działo się i dawniéj; jest to ważny punkt wyjścia dla badań lingwistycznych i na zrozumieniu jego polegają odkrycia wielkiéj doniosłości.

W niemieckim wyrazie *liebte* — końcówka *te* powstała z *that*, tak że forma *ich liebte* dosłownie znaczy „*ich that*, oder *machte* ein *Lieben*". Dziś też w niektórych niemieckich narzeczach mówi się *ich that* albo *ich thät lieben* zamiast *ich liebte*, podobnie jak w języku angielskim: *I loved* albo *I did love*. Możnaby powiedzieć, że proces złożenia tu i owdzie zrobił już swoje, gdzieindziéj został powstrzymany, co ma miejsce także w języku polskim w czasach tak zwanych złożonych, jak: *będę czytał*, *mam pisać* i t. d.

Z takiego wyrażenia, jak nasze: *mam pisać*, w języku francuskim utworzył się czas przyszły. *J'aimerai* powstało z *je aimer ai*, t. j. *j'ai á aimer* „mam kochać". Niemieckie słowo posiłkowe *werden* znaczyło pierwotnie toż samo, co pierwiastek, zawarty w *być* i *będę*, t. j. „*rosnąć*", z czasem słowo to zeszło także do funkcyi słowa posiłkowego.

A teraz niech nam wolno będzie na przykładzie rozejrzéć całe bogactwo wyrażeń, jakie z jednego wyrazu rozwinęła przemienność znaczenia.

Jeżeli od wyrazu *stać* lub *stan* oddzielimy końcówki *ć* i *n*, pozostanie nam pierwiastek *sta* identyczny z łacińskim *sta* w *sta-re* lub w *sta-tus*. Od tego pierwiastku pochodzą liczne wyrazy w naszym języku; oprócz *stać* i *stan* znamy jeszcze następujące: *stół*, jako sprzęt domowy, stołek w podobném że znaczeniu, *stolica*, kiedy mowa o głównem mieście w kraju, a także o *stolicy apostolskiéj*. Nazywamy stałością charakteru, jeżeli człowiek *stały* w swoich *postanowieniach* zdąża *stanowczo*, *nieustannie* do *postawionego* sobie *celu*, aż nareszcie osiągnie pożądane *stanowisko*. *Wstać*, *powstać* i *zmartwychwstać*, *ustawić*, *postawić*, *zestawić*, *poprzestawać* na małém, *ustać* na nogach, *podstawić* nogę, *przedstawić* coś z dokładnością, *przeciwstawić* dobre złemu, *wystawić* sobie dom i *wystawiać* sobie rzeczy inaczéj niż są, *obstawać* przy swojém, *zaprzestać* żartów, *nastawać* na cudze mienie, *nadstawić* worka, *ustatkować* się w dojrzałym wieku, *ustawać* w pracy, *zostać* księdzem, *zostawić* rolę odłogiem, *stanowić* prawa, *zastanowić* się nad własném postępowaniem i t. d. Zaprawdę nie są to wszystkie jeszcze wyrazy w języku naszym, należące do pierwiastku *sta*. Znamy *dostojników*, *ostateczności*, *postać*, *przestankowe* znaki, *stajnie*, *przystojnych* ludzi, *stolników* i *podstolich*, *stawy*, *stawiarki* i *stawidła*; *statki*, *dostatki* i *niedostatki*; mówią nam w trygonometryi o *wstawach* i *dostawach*; wielka ilość dzieci otrzymuje imię *Stanisław*; na błoniach pasą się *stada*; dobrana para nosi nazwę *stadło*, i jeszcze wiele, wiele innych, z których zaledwie nam na myśl przychodzą w *ostatnim* razie figliki *Stańczyka* i nowożytna partya *Stańczyków*. Łatwo byłoby nam ten spis podwoić, a może i potroić nawet, ale wszakże podane przykłady wystarczą, aby przekonać, że z jednego znaku dla zwykłego pojęcia „*stać*“ wywiązuje się cała pełnia wyrazów o najróżnorodniejszych znaczeniach.

Język małemi środkami buduje wielkie rzeczy, a przy całym tym procesie tworzenia wyrazów i nadawania nazw pojęciom nie może być mowy o świadomości w całém tego słowa znaczeniu. Wprawdzie zoologowie, chemicy i geologowie, ilekroć zapotrzebują nowéj jakiéjś nazwy, kują takowę podług łacińskich oraz greckich słowników, lub też usiłują miejscowe czy indywidualne właściwości przy wyborze nowego wyrazu uwzględnić, i wtedy istotnie są rozmyślania nad mającym powstać wyrazem. Jest to coś w tym rodzaju, jak kiedy ojciec przemyśliwa czy nowonarodzonemu synowi nadać imię, które nosi bogaty wuj, czy też imię głośno wsławionego dziadka. Chemicy szczególniéj mają popęd do kucia bardzo sztucznéj terminologii. Ich *sulphat*, *sulphit*, *bisulphat*, *sesquisulphat* i t. d. są zrozumiałe dla chemika wszelkiéj narodowości. Ale najważniejsze procesy, oddziaływające na materyał języka, którego się uczy

każde dziecko, i który jest dla nas chlebem powszednim, występują powoli i nieznacznie. Nie wzrastając nawet w nowe wyrazy i formy, skarbiec języka może jednak pod względem wewnętrznéj treści doświadczać znacznego przybytku, czego téż dokonywa przez rozszerzenie znaczenia pojedynczych wyrazów i zwrotów. Pochop do tego rozwoju języka musi tkwić w naturze rzeczy i w zewnętrznych stosunkach mówiącego nim narodu. Możnaby powiedzićć, że język narodu jest to osad jego przeciętnych zdolności, lub téż suma jego talentów; widzieliśmy już bowiem, że język utworzony i przekształcany jest jedynie przez całą społeczność danego narodu. Jednostka może swój bezpośredni wpływ na język przez to tylko wywrzéć, że w bardzo małych rzeczach ustanawia nową językową normę, którą współziomkowie naśladują, a naśladują zaś tém chętniéj, im bardziéj ta inowacya odpowiada bieżącemu sposobowi mówienia i im naturalniéj z niego wyrasta. Gramatyczna budowa i zbiorowy charakter języka usuwają się z pod wpływu jednostki.

Kto zaś chce występować rewolucyjnie, ten będzie miał do czynienia z groźnym przeciwnikiem, zowiącym się konserwatyzm, a szydzącym z wszelkich jednostkowych pokuszeń.

Wracając do nieświadomo działającego procesu powstawania nowych form, sądzimy, iż przemiana niemieckiego rzeczownika lub przymiotnika *leik* na przymiotnikową końcówkę *lich*, a w angielszczyznie na *ly* odbyła się powolnie i bez żadnego udziału refleksyi, podobnie jak i w polskim języku końcówka *a* rzeczownika *du-sza* utworzyła się bezwiednie z zaimka wskazującego *ja*, znaczącego „ta“. Ten zaimek w swoim czasie na wszystkie trzy rodzaje miał formę *jé*, *ja*, *je* i dostarczył materyału bogatego dla przymiotnikowéj deklinacyi. Jemu to zawdzięczamy postać przymiotnika: *dobry*, *dobra*, *dobre*, to jest *dobr+je*, *dobra+ja*, *dobro+je*; *dobrego* zamiast *dobra+jego*, *dobremu* zamiast *dobru+jemu* i t. d., z czego widać, że przymiotnik *dobr* odmieniał się pierwotnie, jak rzeczownik *chłop*, *dobra*, jak *kura*, a *dobro*, jak *koło* i t. d. Do takiéj rzeczownikowéj deklinacyi przymiotnika przyłączyła się odmiana zaimka *jé*, *ja*, *je*, (ten, ta, to) i formy *dobry*, *a*, *e* są podobne do niemieckich *der*, *die*, *das*— *gute* z tą różnicą, że artykuł niemiecki w podanym przykładzie, jako charakter określności, występuje na czele, gdy w *dobry = dobr+jé* znajdujemy go na końcu, co zresztą ma miejsce i w niemieckich formach: *guter*, *gute*, *gutes*. Otóż nie możemy przypuścić myśli, aby przy powstawaniu końcówki przymiotnikowéj *y*, *a*, *e* lub *i*, *a*, *e* z *ji*, *ja*, *je*, wprowadzoném było w grę przemyśliwanie nad ostatecznie osiągniętym celem. Powolne rozwianie się znaczenia w takich razach następowało krok za krokiem, i każdy z tych kroków mamy

możność wykazać; nie jesteśmy tylko w stanie rozeznać stopnia historycznych warunków i językowych przywyknień, które tu operowały; nie możemy również powiedzieć, z jakiego powodu np. anglicy, sami jedni wśród ludów germańskich, końcówce *ly* nadali znaczenie funkcyi przysłówkowéj, podczas tego gdy w niemieckim języku nie ma żadnéj specyalnéj końcówki dla przysłówka.

Z kolei rzeczy nie podobna nie dotknąć kwestyi, która zwykła sobą obudzać żywe zajęcie, a która podzieliła badaczy języka na dwa obozy. Jedni, dowodząc, iż pojęcie bez pomocy wyrazu jest nieuchwycone, utrzymują, że formy istniały pierwéj, aniżeli zawarta w nich treść pojęciowa; drudzy są przeciwnego zdania. Co się tyczy przekonania pierwszych, mniemamy, iż jest wielkim błędem dowodzić komuś, jakoby *galwanizm* nie pierwéj został uznany za nową siłę natury, aż dopiéro gdy wynalazcy jego porozumieli się ze sobą, jaką nazwę téj sile nadać wypada, lub że anilinowa barwa robi takie samo wrażenie na nasze nerwy wzrokowe, co i inne dawniéj już znane kolory; albo wreszcie, że ludzie nie byliby zauważyli barwy trawy i drzew, nieba i ziemi, krwi i śniegu, gdyby nie posiadali byli dla tych barw rozmaitych wyrazów, pochodzących od różnych pierwiastków. Skoro tylko przedmiot spostrzeżony został, zrodziło się jego pojęcie, a z podręcznych językowych materyałów powstała nazwa, która przedtem dla czegoś podobnego już była wymyślona. W starożytnym Rzymie oddawna istniał zwyczaj, że ubiegający się o urząd publiczny przedstawiał się swoim współobywatelom, aby ich ująć i do głosowania na swą korzyść pobudzić. Otóż oddawna istniały także nazwy odnoszące się do téj okoliczności, zanim nareszcie nastąpił czas, iż starającym się o urzędy nadano oddzielną nazwę *candidati*, t. j. „biało ubrani". Od przypadkowéj okoliczności białego ubioru poszło nazwisko, którego i dzisiaj używają wszystkie cywilizowane narody, ilekroć mowa o pretendencie do jakiegoś urzędu publicznego. Tak samo ma się sprawa ze wszystkiemi innemi wyrazami; pochodzenie ich polega zawsze na historycznem zdarzeniu. Nasz *kandydat* jest tedy reprezentantem łacińskiego *candidatus*, będącego imiesłowem *przeszłym* od domyślnego słowa *candidare* „robić białym"; *candidare* zaś pochodzi od *candidus* „biały", a *candidus* od słowa *candeo* „błyszczéć", tak że *candidus* znaczy *literalnie*: „jasno biały" lub „błyszcząco-biały. Jeszcze w języku angielskim istnieje *candid* i u starych autorów znaczy „biały", ale po większéj części podobnie jak i francuskie *candide*, używa się wyraz ten w znaczeniu przenośnym: „skromny".

Śledząc daléj rodowód *kandydata*, dochodzimy do wyrazów *caneo* i *canus*, które ostatecznie sprowadzają się do pierwiastku *can*

„błyszczéć“ i już pierwiastku tego dalej rozłożyć nie mamy możności.

Gdy raz nazwa nowa utworzoną zostanie od jakiéjś przypadkowéj okoliczności, naród ją przyjmie i w nowém znaczeniu używa, wtedy już historyczna przyczyna traci całą swoję siłę, a siłą panującą odtąd jest powszechne używanie wyrazu w języku. Nikt się nie pyta o etymologią, tak jak o nią nie troszczy się wcale dziecko, kiedy się uczy mówić, przyjmując wyrazy z dobrą wiarą od swego otoczenia. Pod względem używania języka, najznakomitszy etymolog i najbardziéj nieświadomy człowiek, dla którego język jest czysto instynktownym procesem, stoją na jednakowym gruncie; dla tego tak mówią, jak mówią, ponieważ podobnież mówi cały naród, wśród którego oni żyją. Etymologia wyrazu *kandydat* nie wpływa nic a nic na jego zrozumiałość i powszechne używanie. Można także mówić i pisać o *galwanicznych* bateryach, jakkolwiek się nie słyszało o Galwanim, wynalazcy galwanizmu. Albowiem nie dla tego studyujemy historyą wyrazów, abyśmy się upewnili iż ich używamy poprawnie, ale staramy się na téj drodze zaspokoić naturalną żądzę wiedzy pod względem języka, jako téż usiłujemy zbadać stosunki i charakter tych, którzy w danéj chwili historycznéj język ten tworzyli.

Dotychczas zajmowały nas badania owych procesów nieustannéj przemienności, wytwarzających rozwój języka i warunkujących jego życie, przemiany, które w duchu i ustach narodu mając swoję siedzibę, są ciągłém przystosowywaniem języka narodowego do potrzeb bieżących.

Obecnie weźmiemy na uwagę czas, w ciągu którego język ulega zmianom. Język polski od czasu, gdy w nim zaczęto książki drukować, aż do obecnéj chwili uległ wprawdzie zmianom, jednak zmiany te nie są jeszcze tak wielkie, iżby naprzykład książka po polsku wydana w r. 1521, była całkowicie niezrozumiałą dla naszego pokolenia: „Rozmowy, które myał król Salomon mędry z Marchołtem grubem a sprosnym a wssakosz jak o nyem powyedaią bardzo „z wymownym z figurami i zgadkami smyesnymi — przez Jan bakałarza z Kossyczek wyłożon jest w polskie z łaciny“. Z górą trzysta pięćdziesiąt lat minęło, jak te rozmowy o rażącéj dziś oko nasze pisowni tłoczone były, a przecież rozumiemy je i nie znajdujemy, aby pod względem form przez ten znaczny przeciąg czasu nastąpiły zbyt uderzające zmiany. Można powiedzieć o języku polskim, że ten pomimo wpływów na niego łaciny, włoszczyzny, francuzczyzny i niemczyzny nie uległ w materyale swoim bynajmniéj takiéj meta-

morfozie, jak np. język angielski po zmieszaniu się swojém z francuzczyzną, lub też w ogóle języki romańskie wytworzone z łaciny. Przez dyalekty ludowe odradza się język literacki; otóż u nas do ludu nigdy nie dotarły wpływy, wywołujące językową destrukcyą, i gdy nadeszła chwila opatrzenia się oraz chęci samodzielnéj działalności, natenczas sięgnięto do najlepiéj zakonserwowanych spichlerzów, gdzie znaleziono nietylko dobry swojski język, ale nawet znakomite, epokę w literaturze tworzące, swojskie motywa dla poezyi. Trzeba nadto przyznać, że język polski w mniejszym stopniu odbiegł od różnych słowiańskich narzeczy, aniżeli odbiegły od siebie wspomniane języki romańskie: hiszpański, francuski, włoski i t. d. Jeżeli rzucimy wzrok poza siebie, to wśród takich Beduinów pustyni natrafimy na ten sam język arabski, jakim mówiły jeszcze owe szczepy, przez których siedziby prowadził Mojżesz dzieci Izraela, a jest on tak podobnym do owoczesnéj arabszczyzny, że żaden z obecnych języków europejskich nie zachował ani przez przybliżenie w tym stopniu cech podobieństwa do swego również starego praprzodka. Z drugiéj strony znowu, wśród ludów amerykańskich istnieją języki tak szybko się przemieniające, że ci, co niemi obecnie mówią, nie byliby w możności porozumiéć się już z przodkami czwartéj albo piątéj generacyi, lub potomkami takiéjże generacyi po nich idącymi.

Przemiany języka tak są liczne i rozmaite, iż niepodobieństwem jest przypisywać je wszystkie jednym i tym samym przyczynom. Najwidoczniejszą i najzwyczajniejszą pod tym względem przyczynę stanowi bezwątpienia zmiana zewnętrznych stosunków otoczenia i sposobu życia, duchowéj i cielesnéj działalności. Aby okazać, że przyczyna ta działa silnie, dosyć sobie pomyśléć, iż jakaś uboga polska rodzina osiadła na oceanicznéj wyspie i żyje tam samotnie. Rzecz prosta, iż w takim stanie rzeczy rodzina owa nie będzie potrzebowała bardzo wielu wyrazów i zwrotów, istniejących w narodowym jéj języku. Będzie ona musiała przystosować się do zupełnie nowych potrzeb; najwyżéj więc, jeśli siłą pamięci zdoła utrzymywać czas jakiś nazwy odnoszące się do dawnych warunków swojego życia. Zresztą siła myślenia i wrażliwości będą się zmniejszały bezwątpienia w braku towarzystwa podobnych sobie istot, i na téj drodze bogactwo języka, jakim członkowie téj rodziny mówili we własnym kraju, zejdzie stopniowo do tego samego ubóstwa, jakie cechuje języki wysp polinezyjskich. Jeżeli przeciwnie przypuścimy, iż rodzina z polinezyjskich wysp przeniesioną została np. na Islandyą, gdzie tak wspaniałe widoki natury uderzają umysł ludzki, a gdzie jednocześnie utrzymanie życia kosztuje tyle ciężkiéj pracy,

natężenia sił umysłowych i cielesnych, ciągłéj walki z siłami przyrody, wtedy koniecznością jest, iż język rodziny polinezyjskiéj będzie się w miarę tego wszystkiego wzbogacał. Albowiem wzbogaca się w danym razie umysłowa strona nowemi wrażeniami i pojęciami, które koniecznie w języku odbić się muszą. Podane oba przykłady odzwierciedlają nam na wielką skalę wpływ, o którym mowa, a który nieustannie i wszędzie w życiu języka występuje.

Zwracamy tu znowu uwagę na fakt, że ludzie najniższych warstw społecznych dla wyrażenia potrzeb swoich w języku potrzebują zaledwie dziewiątéj części tych językowych zapasów, któremi rozporządzają ludzie wykształceni, do wyższéj hierarchii społecznéj należący. Otóż, gdybyśmy cały naród nasz postawili na stanowisku tak zwanego proletaryatu, natenczas niezawodnie $^{8}/_{10}$ części wyrazów utracilibyśmy z narodowego słownika, będącego w powszechném użyciu pomiędzy wykształconą ludnością miast.

A teraz rozważmy, na czém to właściwie polega przekształcenie i kształcenie się języka, wywoływane zmieniającemi się okolicznościami. Ta kwestya składa się z dwóch części: 1) w jakim stopniu przybywają albo też ubywają wyrazy oraz znaczenia wyrazów, 2) jak dalece ulepsza się albo upada gramatyczna budowa języka.

Zmiany językowe, które najłatwiéj występują i powtarzają się z największą prawidłowością, dotykają języka, jako narzędzie komunikacyi myśli, tylko powierzchownie. Niechaj się nie obawiają puryści językowi, że ktoś używa wyrazów: *inteligencya*, *demonstracya*, *stagnacya* i t. d. Przez to nie psujemy bynajmniéj języka naszego. Ten *gatunek importu naturalizowany* u nas z całym *aparatem fleksyi*, jaką *gramatyka* nasza *sankcyonuje*, nie jest wcale szkodliwym nabytkiem i zaprawdę nie warto głowy sobie łamać, przemyśliwając nad pozbyciem się z języka już ustalonych *opozycyi*, *negacyi* i *akademii*, a wprowadzeniem narodowych *sprzeciwów*, *wywoływów* i *uczelni*. Czy *wszechnica* czy *szkoła główna*, *uniwersytet* lub *akademia*, wszystko to jedno.

Metr, *barometr* i *termometr* są bardzo dobre wyrazy i zrozumiałe zupełnie dla tych, co ich używają. Kto ich zaś nie ma potrzeby używać, ten nie używałby także i *ciepłomierza* lub innego jakiego *mierza*; bo, aby rozumiéć terminy fizyczne i zawarte w nich pojęcia, trzeba się koniecznie uczyć fizyki.

Nikt nie zaprzeczy językowi niemieckiemu wysokiego stopnia rozwoju, chyba człowiek uprzedzony lub nierozsądny, a jednak wpływ francuzczyzny na ten język jest znaczniejszy, niżeli na język polski. Spotykamy tu albowiem nietylko francuskie wyrazy z fran-

cuskiemi końcówkami, ale wyrazy niemieckie, które sobie francuską końcówkę przybrały. Więc nietylko *fourage*, *drainage*, *blamage*, ale także *stellage* i t. d. Nie tylko *sich genieren*, *punieren*, *turnieren*, ale *halbieren* i *stolzieren*.

U nas z końcówką łacińską używa się: *Utracyusz* oraz *biegalitas* w języku potocznym.

Teraz przypatrzmy się wyrazom takim, jak: *turysta*, *jurysta*, *kancelista*, *heglista* lub *hegelianin*, *baunszejdtyzm*, *spirytualizm*, *unitaryzm* i *dualizm*, *trylogia*, *antropologia* i t. d., a przekonamy się, o czém już nadmieniliśmy, że te inowacye są tylko środkiem tak dobrym, jak każdy inny, prowadzącym język do zdobycia sobie nowych materyałów. Powtarzamy z naciskiem, że wszelkie pokuszenia, aby wiedzy ludzkiéj za pomocą nazw narodowych nadać charakter narodowy, są czczym a jednocześnie i szkodliwym wysiłkiem. Słusznie téż zarzucono powstałą kiedyś w Niemczech tak zwaną „Deutschthümelei“, a my na swojém miejscu wykazaliśmy, że pojęcia, które przywykliśmy łączyć z wyrazami, nie mają związku z pochodzeniem tychże wyrazów.

Oprócz tych wszystkich przemian istnieją jeszcze takie, według których wyrazy nabiérają znaczenia szerszego i głębszego. Każdy się zgodzi bowiem, że w miarę badań i dociekań astronomów oraz fizyków, zmieniły się wyobrażenia nasze o słońcu i planetach, a jednakże mimo to od najdawniejszych czasów używamy tych samych wyrazów dla nazwania wspomnianych ciał niebieskich.

Podobnież wyrazy *ciepło*, *zimno*, *zielony*, *czerwony* są w ciągłém i trwałém użyciu, jakkolwiek w nauce o barwach, przy pomocy analizy spektralnéj dokonano olbrzymich i zadziwiających odkryć, i jakkolwiek nowsze teorye o cieple, jako rodzaju ruchu, pozostawiły zdala za sobą dawniejsze pod tym względem pojęcia.

Również mówiono przed odkryciem i mówi się po odkryciu prawa ciążenia, że ciała „spadają“. W fizyce *prąd*, *baterya*, *biegun*, kiedy mowa o elektryczności, mają swoje specyficzne znaczenie, o jakiém nie marzy się człowiekowi, nieznającemu fizyki. Tak samo w chemii: *atom*, *zasada*, *kwasy* i *sole* znaczą co innego, aniżeli w zwykłym konwersacyjnym języku.

Przykładów pod tym względem możnaby nagromadzić bardzo wiele, a nie ma języka, w którymby wystąpił brak podobnego zjawiska.

Jakkolwiek ciągle mówimy tu o narodowym języku, jako jednym, którego używa jedna grupa ludzi, zwanych narodem, to jednak dodajemy, iż téj jedności językowéj nie należy brać zbyt ściśle.

Właściwiéj już byłoby powiedzieć, że każdy naród ma dwa dosyć między sobą różniące się języki. Jeden z nich jest potomkiem, szanującym swoję parentelę, konserwującym odziedziczoną przeszłość, drugi jest dzieckiem teraźniejszości, podlegającém codziennym prawie przemianom, a mimo to jest on pełen krewkości i zdrowia, co mu nadaje możność zajęcia z czasem miejsca brata swego, języka literackiego. Z czasem albowiem każdy język literacki schodzi do rzędu języków umarłych, staje się językiem świętym, używanym do obrzędów religijnych, jak to widzimy na języku staroegipskim, sanskryckim, łacińskim, starosłowiańskim. Demokratycznym bratem języka literackiego jest język ludowy. W języku dzieje się podobnie, jak w życiu: arystokracya, zamknięta sama w sobie, dąży do zagłady własnéj. Ale dodajemy, że szlachetny konserwatyzm wpływa na danie fundamentów wykształconéj oraz cnotliwéj demokracyi, łącząc się z nią i powołując ją do współdziałania, a z drugiéj strony, nie stawiając zapory postępowi.

Nic téż dziwnego, że dzisiejsze języki literackie są trwalsze, i w każdym razie można im wróżyć lepszą przyszłość, aniżeli naprzykład łacinie lub sanskrytowi. U nas nie ma uprzywilejowanéj kasty mędrców, ale każdy kto się uczy, ma obowiązek konserwowania języka, tak że ludzi mówiących poprawnie jest najwięcéj w każdym cywilizowanym kraju.

Ilekroć razy lingwista znajduje się w konieczności wypowiedzenia opinii o przyczynach wewnętrznych na język działających, tylekroć spotyka go trudność, jakiéj doświadcza etnolog, który rozmaitość cech narodowych musi uważać jako daną. Bo odnosić mnogość języków wprost do przyczyn przyrodniczych, chcieć ją wyprowadzać u każdego specyficznie narodu bezpośrednio z właściwości cielesnego organizmu, — jest to doprawdy śmiesznością.

Jeżeli język ulega wpływom natury, to tylko w tém znaczeniu, że: 1) wpływy te zmieniają stosunki i okoliczności, do których ludzie przystosowywać swój język muszą; 2) wpływy te zmieniają naturę i kierunek duchowy człowieka. Otóż wszelka przyrodnicza przyczyna musi się najprzód przemieniać w coś duchowego, w motyw albo impuls, zanim wywrze wpływ na znak, przez który my dajemy znać, co się wewnątrz nas dzieje.

To pewna, że nie ma na świecie takiego języka, coby nie zdołał przechować się w całości, jakkolwiek przesadzony został z miejsca swego urodzenia w inny klimat i inne przyrodnicze warunki. Z drugiéj znów strony język może się zupełnie przemienić pod względem dźwięków i form, jakkolwiek pozostaje w miejscu swego

pochodzenia, i warunki zewnętrzne bynajmniej się dokoła niego nie zmieniły. Pod tym jednak względem nie ośmielamy się nic stanowczego twierdzić, owszem wyznajemy, iż wtedy dopiéro badacze języka będą mogli utrzymywać, że rozumieją prawa rozwoju języka, jeśli językoznawstwo zdoła objaśnić, dla czego, np. język litewski przechował tak znaczną część indoeuropejskiéj fleksyi, gdy o ile wiemy, nie dokazał tego żaden z nowożytnych języków; lub dla czego melanezyjskie, afrykańskie i amerykańskie języki są najzmienniejsze w swojéj budowie.

Co się tyczy rozmaitości języków, możnaby o niéj to powiedzieć, co o rozmaitości roślinnych lub zwierzęcych gatunków; jeżeli przez kilka pokoleń powtarzają się stale jedne przemiany, natenczas gatunek wywiązał ze siebie nową odmianę; w rozwoju bowiem języka działają liczne, że tak powiemy, odśrodkowe siły, dające popęd językowym przeobrażeniom, gdy z drugiéj strony siła dośrodkowa utrzymuje te wszystkie siły w należytych karbach.

Tę siłę dośrodkową stanowi konieczność komunikacyi myśli, gdyż człowiek nie jest stworzonym na to, aby prawił do siebie monologi i rozprawiał dla własnéj rozrywki, ale muszą go rozumiéć jego bliźni. Język, ktorymby mówiła jedna jednostka, i któregoby nikt prócz niéj nie rozumiał, — nie byłby językiem. Każdy dźwięk, wymówiony przez indywiduum dane, powstał w skutek własnowolnego natężenia narządów mowy; jednostka może ten znak zmienić, może nawet utworzyć nowy, ale, jeśli on obrazi ucho słuchaczy lub stanie się dla nich niezrozumiałym, to już chybiony cel wszelkiego języka. Tak tedy jednostkowe wpływy na język mogą się odbywać pośrednio tylko i objawić się jedynie przez naród, do którego jednostka należy. Wychodząc z tego punktu widzenia rzeczy, musimy się zgodzić, iż obcowanie albo komunikowanie się ludzi zapomocą języka stanowi siłę asymilującą, którа jednostkowe wpływy starannie odmierza, wyrównywa i mimo nieustannéj przemienności wytwarza oraz utrzymuje jednolity język, którym mówią wszyscy ludzie do narodu należący.

Należy wyznać, iż im większą jest gromada ludzi, mających wyższe cywilizacyjne potrzeby i wyższe własne zadania do spełnienia, tém większa będzie gwarancya do utrzymania języka w całości i powszechnéj zrozumiałości. U ludzi na niższym stopniu oświaty przeważa skłonność do rozdziału, a lokalne i rodzinne interesa w zarodzie zabijają ducha miłości dobra powszechnego. Plemiona nawpół dzikie nie żywią żadnych wyższych idealnych motywów, którymiby się łączyły pomiędzy sobą. I tu jest właśnie punkt, w którym występuje dyalektyczna płodność języków. Dopiéro wykształ-

cenie i wiedza mogą wywrzéć wpływy kojarzące na takie niesforne, niczém pomiędzy sobą niepołączone masy ludzi; dopiéro wtedy występuje polityczna jedność; jedność instytucyj i praw; dopiéro wtedy wytwarzają się wspólnie odczute wspomnienia oraz tradycye, powstaje narodowość, a to wszystko sprawia, że ludzie uczuwają potrzebę ujrzenia się, rozmówienia, wzajemnego wspomagania, w ogóle obcowania. Tu właśnie spotykamy momenta sprawiające, iż rozpierzchnięte dyalekty łączą się w jeden język, co utwierdzoném zostaje tém bardziéj, gdy wystąpi jeszcze pisany język literacki. To, co tu mówimy w ogóle, stosuje się do każdego języka w szczególe, więc i do polskiego. Język nasz, zanim osiągnął ten stopień jednolitości i wykształcenia, na jakim się obecnie znajduje, istniał w pewnéj liczbie dyalektów, z których każdy był samowładcą na właściwém sobie terytoryum. Były to dyalekty języka słowiańskiego, który niewiadomo kiedy rozpadł się na narzecza. Trudno bowiem oznaczyć historyczną chwilę, w któréj Słowianie zjawili się w Europie, a potém losy podzieliły ich na liczne, tu i owdzie rozrzucone szczepy. Może i to być, że rozpadnięcie się języka słowiańskiego na dyalekty nastąpiło przed wędrówką Słowian do Europy. To pewną tylko jest dla nas sprawą, że groźny od zachodu świat germański, od chwili historycznego wystąpienia swojego w Środkowéj Europie, parł na ludy słowiańskie; ze wschodu zaś pędziły ćmy przeróżnych ludów, które, niby gwałtowne potoki, wrzynały się w krainy rolniczych, jak powiadają, i siołami osiadłych Słowian. Nic dziwnego, że niejedno takie plemię zginęło ze szczętem, a reszta słowiańskiego obszaru w szmaty podartą została.

W dobie lepszego rozwoju i wśród groźnych dla siebie okoliczności zaczęły się ludy słowiańskie tu i owdzie koncentrować, tworząc większe społeczeństwa gotowe stawić czoło najezdnikom. Jeden z takich organizmów politycznych powstał nad brzegami Wisły, i znany jest w historyi jako naród polski. Ale nie mamy zamiaru podawać dziejów różnych Słowian, wspominamy o nich tyle, ile nieuchronnie wpływają one na dzieje języka. Albowiem, gdyby nie istniała polityczna jedność szczepów, stanowiących naród polski, nie byłoby także języka polskiego, jaki znamy, a w którym przytarły się odrębności języka Kaszubów, Mazurów, Łęczycan, Polan, Chrobatów i t. d., odrębności, które zresztą i dzisiaj jeszcze śledzić można. Rodzima słowiańska cywilizacya nie bardzo była szanowaną w pierwszych wiekach po zaprowadzeniu chrześciaństwa. U Słowian Wschodnich wpływ grecki, u Zachodnich — rzymski zrobiły swoje. Były i walki, nawet zacięte, ale skończyły się tryumfem idei wyższéj, płodnéj w przyszłości. W ruiny zapomnienia upadł słowiański Olimp

i ledwie od czasu do czasu da się odnaleść jakie wspomnienie niejasne, myt sprawiający dużo kłopotu starożytnikom, tu i owdzie w pieśni ludu przechowany wyraz. Nam atoli chodziło tylko o wykazanie na przykładzie, że pierwotny język Słowiański lub Słowiańskie języki rozpadły się na mnogie narzecza, a te narzecza znowu połączyły się w oddzielne języki, jak: polski, rosyjski, czeski, serbski i t. d. Do języków Słowiańskich będziemy musieli jeszcze powrócić. Jeden dyalekt, który miał przewagę nad współrzędnie istniejącemi dyalektami, dzięki zapewne zewnętrznym okolicznościom, może przewadze szczepu, który go używał, ten dyalekt, mówimy, wyróżniony został nad inne, które samodzielność swoję utraciły w miarę wzmagania się w siły szczęśliwszego brata. I gdy one pozostały na stanowisku języków ludowych, ten dostąpił godności języka literackiego, powszechno-narodowego. We Francyi dwa języki walczyły z sobą o taką godność, i gdyby było nie upadło królestwo Tuluzy, to język prowensalski albo język *d'oc* nie byłby ustąpił językowi *d'oui*. Dzisiejszy literacki język włoski był sobie ludowém narzeczem w Toskańskiém, nie lepszém, ani gorszém jak wszystkie niezliczone dyalekty, ciągnące się od Alp aż do Sycylii.

Kiedy Rzymianie zdobyli Galią, udało im się, jakkolwiek byli w mniejszości w obec miejscowego żywiołu, narzucić krajowcom—łacinę, — którą też i przyjęli Celtowie.

Zaprawdę zdobywcy przynieśli tu z językiem wyższy stopień kultury, dobrą administracyą, naukę i sztuki.

W parę wieków później zlatynizowaną Galią podbili niemieccy Frankowie, a założywszy tu państwo Franków, uczynili wprost przeciwnie jak Rzymianie, albowiem przyjęli język ucywilizowanych, choć pokonanych ludów, język, na który tylko lekki wpływ wywarli za pośrednictwem własnego niemieckiego języka. Z tego, cośmy powiedzieli o wpływie na język zewnętrznych okoliczności, przekonywamy się, że każdy język z biegiem czasu rozpada się na dyalekty, każdy dyalekt na poddyalekty. W następstwie zaś rozmaitość ta językowa zdąża do językowéj jedności, wywołanéj towarzyskiém życiem ludzi. I z tego to stanowiska język przedstawił nam się, jako ludzka instytucya, — jako dzieło ludzkiego społeczeństwa, mające za cel zaspokojenie towarzyskich potrzeb ludzi.

Jednostronny pogląd na historyczny rozwój języków nowożytnych spowodował niektórych uczonych do twierdzenia, jakoby język w ogóle posiadał wrodzoną tendencyą zdążania od rozmaitości do jedności, — jakoby dyalekty starszemi były, niż języki, i nareszcie jakoby język pierwotnie znajdował się w stanie nieskończenie mnogéj dyalektycznéj rozmaitości. Atoli we wszystkich językach wy-

kształconych nowożytnych nie znajdziemy ani cienia dowodu dla poglądu, iż dyalekty były pierwotnie i poprzedziły sobą każdy język, i że koniecznie ten ostatni z pierwszych — powstać musiał. Wprawdzie na najnowszych stopniach rozwoju języka, jakoteż i na późniejszych występują dyalektyczne różnice, co ma miejsce także w naszym polskim języku obecnie, ale nic nam nie przeszkadza uważać je za dzieło poprzednich, starszych jeszcze procesów i wpływów. Sądzimy nawet, że te dyalektyczne różnice były zawsze niezbyt wielkie, gdy do jedności języka dobrze przystają, a stanowczo uważamy za błąd owe chęci, aby je uważać za pierwotnych prarodziców języka; daleko prędzéj dałoby się obronić wręcz przeciwne twierdzenie, iż młodsze dyalekty powstały w skutek stopniowo wzrastającego różniczkowania jednego prastarego języka.

U ludów nieucywilizowanych różnice takie występują ciągle i w zakresie jednego języka, przez co jednak wymiana myśli nie doznaje utrudnienia.

(c. d. n).

WSPÓŁCZESNE RUCHY ISLAMU.

Przeszłoroczne walki nad Morawą i Timokiem, rzezie w Tatar Bazardżiku, potém groźne gromadzenie się wojsk nad Dunajem, i obecnie tocząca się walka, zwracają uwagę świata całego na wschód; widzowie europejscy coraz to nowym dziwią się niespodziankom, siła oporu islamu, któréj nikt nie przewidywał w okrzyczanem państwie Otomanów, zarówno jak i przebiegłość tureckiej dyplomacyi, zdumiewają ludzi nieobeznanych ze stosunkami wschodu.

Trudném byłoby obecnie spisywać historyą przeszłorocznych wypadków i rozwoju ich na ziemiach słowiańskich. Nieco łatwiéj da się skreślić historya ogólnego kierunku muzułmańskiego ruchu, i udziału jaki w nim przyjmuje polityka Wielkiéj Brytanii; bo te działania powtarzają się jednym stałym ciągiem, chociaż często zmienia się teatr, na którym one występują. Widzimy tu walkę o byt zagrożonego państwa muzułmanów, i walkę Anglii o absolutne wzmocnienie wpływów swych na wschodzie, a tém samém o zniesienie obcych wpływów.

Podobny zbieg wypadków widzieliśmy niezbyt dawno na terytoryum Kalifów, aczkolwiek grunt, na którym rozegrał się krwawy dramat, ludność występująca w działaniu, i zgrupowanie interesów państw Europejskich, przedstawiały się wtedy w innem niż dzisiaj świetle. Gdy jednak dzisiaj nie chodzi nam o skreślenie obecnego stanu rzeczy, a tylko o działanie siły Anglo-Tureckiéj w niedawnéj przeszłości, wypadki o których mówić zamierzamy, staną się pewnego rodzaju dokumentem, ilustracyą historyczną obecnych wydarzeń.

Dzisiaj nikt już może nie przypomina sobie, że przed siedmnastu laty na skalistych szczytach Libanu, w bramach starego Damaszku i Sidonu jaśniały łuny pożarów, lała się szeroka krwi rzeka; a jednak wypadki r. 1860, zakończone okupacyą francuską, nie były pojedynczém, przypadkowém zdarzeniem, historya ich wiąże się ściśle z historyą polityki Stambułu i Londynu, stanowią one jednę z kart dziejów nowożytnych islamu, których rozwój dopiéro teraz zwraca na się baczniejszą uwagę. W ogólnym ich zarysie i w przewodniéj myśli ujrzymy dzisiejszą ideę wyznawców koranu, w szczegółach wykonania potwierdzenie takowéj.

Przeznaczenie chciało, jak mawiają na wschodzie, abym choć późniéj nieco znalazł się w Syryi i na Libanie, i toż samo przeznaczenie zechciało zapewne, abym, zostając w służbie wojskowéj tureckiéj przy generał-gubernatorze prowincyi, deptał codziennie okrwawione place Deir-el-kamaru, posępne ruiny Hasbei, Raszei, Metenu i t. d., mając do czynienia czasem przez ciekawość, ale najczęściéj z obowiązku służby, z papierami rządowemi i dawniejszemi dokumentami, zaznajamiał się z przebiegiem wypadków r. 1860, a bawiony niejednokrotnie obszernemi o nich opowiadaniami, nauczył się oceniać je wszechstronnie.

Polityka Albionu, względem innych przyjaznych lub nieprzyjaznych jéj państw, nie była nigdy wzorem bezinteresowności i szlachetności. Na wschodzie przedstawia ona pozornie nie mało anomalij; w czasie wojny Krymskiéj w Stambule i w Europejskiéj Turcyi łączy się ona z zamiarami Francuzów, a wkrótce potém, na drugim krańcu Otomańskiego państwa, występuje gwałtownie przeciw towarzyszom broni z pod Almy i Inkermanu; nie wytrąca noża i pochodni pożogi z rąk bałwochwalczych Druzów wśród skał Libanu i na ulicach Damaszku, a w wypadkach r. 1860 szuka rękojmi ku ustaleniu swéj powagi i przewagi na wschodzie. Przy bliższém rzeczy zbadaniu niknie ów pozór sprzeczności, a natomiast przedstawia się fakt wyzyskiwania sił i krwi francuskiéj w walkach wojny Krymskiéj, dla własnych celów w najegoistyczniejszém tego wyrazu znaczeniu.

Obok téj nigdy nieusypiającéj zapobiegliwości gabinetu angielskiego, wysunęły się naprzód usiłowania Stambulskiego rządu ku zniszczeniu wpływów zagranicznych: korzystając z zawiści pomiędzy ambasadami mocarstw Europejskich, wzywał on kolejno pomocy tego lub owego z nich, za środek służyły tu wybiegi dyplomatyczne, w których Turcy niejednokrotnie okazali się mistrzami.. Drugą pobudką Wysokiéj Porty była wewnętrzna jéj polityka, nie chcąca w państwie swojém znosić niczego, coby tradycyami czy

wpływem na szersze koła ludności, mogło wytwarzać jakąbądź siłę lub chociażby zawiązek siły. Osmanowie mieli na celu powtórzenie faktu zniszczenia bośniackiéj szlachty; najwyższy absolutyzm padyszachów lubował się w zasadzie bezwzględnéj równości, wszakże równości nie wobec prawa, ale wobec bezprawia lub kaprysu następcy proroka. Emirowie i Szeikowie dżebelscy, trzymając się swych butnych tradycyj stanowili siłę oporu, broniącą się od sturczenia; a myśl sturczenia rozwijała się coraz silniéj w Stambule i uważaną była za główną podwalinę przyszłości, za racyą stanu.

Po Derebejach, po paszach Anatolii i po bośniackiéj szlachcie, przychodziła koléj na Liban; że ta niwelacya miała zasypać zgliszczami i krwią zalać kraj cały, że miała sprowadzić ruinę całéj prowincyi, zniszczyć przemysł, handel, oświatę, zresztą zubożyć samo państwo i wycieńczyć finanse, nie troszczono się o to w radach Wysokiéj Porty, i w całéj historyi państwa sułtanów trudno dopatrzyć podobnéj troski.

Przed rzeziami roku 1860 w Libanie wpływ francuski rozwijał się potężnie, dobrobyt się wzmagał, i oświata względnie do reszty kraju znaczne robiła postępy. Od czasów Ludwika Ś. przechowały się w Syryi tradycye i sympatye francuskie, drogą tych sympatyj cywilizacya europejska powoli, lecz ustawicznie, dzięki szkołom misyonarzy, krzewiła się w umysłach i sercach młodych pokoleń; przyciągała je ku sobie i wciskała się w samo serce muzułmanizmu, rozsiadając się w Damaszku, wśród steku pielgrzymów wracających lub idących do ś. grodu Mekki. Zniszczenie tego zawiązku obcéj siły moralnéj mogło być celem najgorętszych życzeń polityków tureckich. Anglia ze swojéj strony, chcąc być wszechwładną panią na wschodzie, probowała namowami i złotem pozyskać sobie Maronitów; lecz ani namowy ani złoto nie mogły oderwać od Francyi ludności od wieków przywykłéj kierować się jéj wpływami. Pozostawali Druzowie, exploatowanie ich było o wiele łatwiejszém; a chociaż w owym czasie żyli oni w zgodzie z Maronitami, poważnienie jednak nie zdawało się trudném, a odosobnienie chrześcian zdało się prawdopodobném. Turcy więc potrzebowali zapobiedz dalszemu rozwijaniu się jedności i siły pomiędzy Maronitami, a razem z Anglikami pragnęli obalić ich przewagę. Spotykamy też tutaj ciekawy fakt rewolucyi chłopów przeciw Szeikom, rewolucyi, rozdmuchanéj i przeprowadzonéj przez rząd stambulski, ubolewający nad nieszczęsném położeniem felachów, których jakoby strasznie uciskali Szeikowie Libanu. Dość dziwnie zaiste wyglądają te objawy ludzkości,

współczucia i wyższych pojęć humanitarno-demokratycznych, odczuwane już w roku 1840 przez paszów Tureckich.

Tymczasem siła państwa chyliła się ku upadkowi. Ruina groźna, szybka i straszna przedstawiła się oczom wyznawców koranu, tracili oni zaufanie do rządu, sami zaczęli przemyśliwać nad środkami ratunku.

Reformy połowiczne rozpoczęte przez Selima II, silniéj zaznaczone pod panowaniem Machmuda II, w okresie o którym tu mówimy reprezentowane były p. Fuada Paszę, ale zastosowanie ich źle pojmowano, i rezultaty tém samém okazały się fatalne. Mieszkańcy Syryi odważniejsi i zdolniejsi do pomysłów, sposobniejsi niż inni Turcy do analizy, do sceptycznego zapatrywania się na rzeczy i sądu o nich, widząc szerzący się rozkład, zaczęli oglądać się naokoło siebie; niedokładna znajomość politycznego i społecznego stanu Europy, i rozumowania oparte na niedostateczném rzeczy zgłębieniu, zwróciły ich oczy na przeszłość.

Po za nimi piętrzył się potężny gmach islamu, jaskrawo oświetlony krwawemi zwycięstwami Mahometa i olbrzymią potęgą Sulejmana; olśnieni tym blaskiem, przepomnieli o bohaterskim Mścicielu z pod Wiednia i o traktacie Karłowickim. Zaniepokojone i rozgrzane umysły na przeszłości z szabel i lanc, chciały budować przyszłość z bagnetów, noża i wybiegów.

Rozdmuchana nanowo i namiętnie propagowana myśl panislamizmu, bodaj w murach Mekki się wyrobiła i pchnięta ztamtąd w świat muzułmański, przejawiła się w potężnym spisku ogarniającym Syryą, Alep, Damaszek, sięgającym do Akki i daléj, idea tego spisku, bezwiednie prawie, w następnych latach przechodziła w krew i mózg muzułmanów.

Jest ktoś w Turcyi ktoby mógł wiele powiedzieć w sprawie stosunków i okoliczności przed rzezią 1860 roku, Szeik Abdalla-Halebi, jeden z duchownych dygnitarzy państwa sułtanów, wie coś zapewne o impulsie z Mekki, lecz Szeik Abdalla-Halebi milczy, jak milczeć powinien każdy prawowierny, narzędzie wyroków Allacha.—Myśl ta znalazła wówczas silnych sojuszników w Namuk Paszy, Achmed Wefiku, Hurszyd Paszy, Achmed Dudu Paszy i t. d. (1).

---

(1) Achmed-Dudu marszałek 5-go korpusu (Arabistan Ordu) uczeń szkół francuskich. Achmed Wefik ambasador w Paryżu jeden z uczciwszych ludzi. Namuk Pasza także przebywał w Europie, znany z rygoryzmu religijnego, posunął on kiedyś dziwactwo i blagę do tego stopnia iż, będąc w ekspedycyi przeciw beduinów w stronie Bagdadu, chciał pokazać wojsku nadprzyrodzoną moc którą mu Bóg miał nadać—gdy więc wojsko

Rozstrzelany z rozkazu W. Porty marszałek korpusu Achmet Pasza, i zdestytuowany Hurszyd „nie działali zapewne bez tajnego zezwolenia. Lecz w działaniach tych, zakończonych śmiercią lub wygnaniem, przejawia się jeszcze jeden czynnik, który zmusił wymienionych paszów przejść miarę i nałożyć głową; czynnik wówczas dopiero poczynający rozrastać się w Stambule, mianowicie propaganda z Mekki, wpływy czysto islamskie, z rządem czy wbrew rządowi chcące ratować islam zapomocą samego islamu.

Na odegranie więc dramatu Syryjskiego w roku 1860 zbiegły się następne siły: parcie Anglii ku obaleniu francuskich wpływów, takież same dążenia Turcyi, rewolucyjne działanie rządu Otomańskiego przeciwko emirom i szeikom, oraz reakcyjno-islamskie dążenie ultra-tureckiéj partyi, opierającéj się na dawnéj polityce szabli przeciw partyi reformatorskiéj rządowéj.

A teraz nim pójdziemy ślad w ślad za wypadkami Syryjskiemi, za osobami które mniéj więcéj znaczne odegrywały role, w celu przekonania się tak o sposobie działania jak i o myśli przewodniéj, nieodzownem będzie, dla łatwiejszego poznania téj sprawy, zapoznać się nietylko z położeniem geograficznem kraju, ale co ważniejsza, ze społecznym jego ustrojem, z jego tradycyami, dążeniami i oświatą. Rozwój wypadków następnie przedstawi nam się jasniéj i dobitniéj, a tak ugrupowawszy główne cechy, łatwo rozpoznamy takowe, przeniesione na brzegi Bosforu, i przejawiające się tam bez zmian lub przeistaczające się w miarę nacisku okoliczności, rozwoju myśli politycznéj, rozumu i woli jednostek.

Główny port Syryi, Beirut, uroczo przedstawia się podróżnikowi. Miasto tonące w oliwnych, pomarańczowych i morwowych gajach, rozścielając się na piaszczystym brzegu ,wygiętym półkolem wchodzi w głąb morza. Po prawéj stronie piętrzą się wysokie góry, nierzadko ubielone śniegiem, a zielone płaskowzgórza łagodnie spuszczają się ku morzu, po za nimi przez lunetę dostrzedz można domki Dżuni i wyniosły klasztor Gazyru;—po lewéj stronie, wał żółtego piasku mieni się na skwarze słonecznym. Przed miastem pokłady skał zapuszczają się w głąb wody, morskie fale uderzając o nie przez lat tysiące, podmyły kamienie, i dziś w czasie przypływu, gdy

---

spotkało beduinów kazał nie strzelać, a wziąwszy w garść piasku coś nakształt Mahometa stanął na wzgórzu i szepcząc pacierze, sypał go do koła; beduini przekupieni poprzednio na ten znak powinni byli uciekać, czego téż nie omieszkali uczynić, w obec zdziwionych nadludzką potęgą Namuka żołnierzy. Zwracam uwagę, iż obecnie Namuk i Achmed Sefet znowu są u władzy.

morze się rozhula, woda bijąca o brzeg przez szczeliny skał wytryskuje w powietrze, tworząc setki prześlicznych wodotrysków. Po za miastem kraj krwi i legend wznosi szare czoła swych szczytów ubrane w gaje oliwne lub kląby sosen, tuż za Bejrutem w głębokim piasku, borek sosnowy podobny do borów Litwy lub Polesia szumi kołysany rozszalałym Chamsinem pustyni, palmy wznoszą się po nad zieloną powierzchnią drzew morwowych, oddzielonych szosą od sosnowego lasku. Szosa ta o pięć kilometrów za miastem skręca nalewo ku Damaszkowi, a odłamek jéj prowadzi prosto do Baabda, obecnie zimowéj rezydencyi biór i urzędników; naprawo zaś wije się droga, wykuta w skale, jakby szerokie kamienne wschody, po których piąć się ciągle potrzeba; tędy to przez Ainap i Ainanup dojeżdza się do Deir-el-kamaru i Beit-ed-dinu pamiętnych w rzeziach Syryi.

Po nad Deir-el-kamarem rozsiadł się na szaréj skale potężny zamek Beit-ed-dinu, siedziba Emira Beszir—Szehaba, daléj nieco Baklin ognisko Druzów i kraj Żeziny z pałacem Dżemblatów w Muchtarze. Pałac szeika Druzów chciałby się wedrzeć na szczyt Libanu, jak gniazdo sępów w skałach uwite.

Droga damasceńska prowadzi ku Sztorze, stacyi omnibusów, zniżając się w kierunku żyznéj doliny Bekaa, którą przerzyna w całéj jéj szerokości; po drugiéj stronie doliny wznosi się Anti-Liban ze szczytem Szeik-Dżebelu; nagiemi swemi górami i dziką naturą stanowi on sprzeczność z Libanem; po za tém dopiero drugiém pasmem gór, dostrzedz można Damaszek z jego tysiącami ogrodów, fontan i minaretów.

Szeik-el-Dżebel (ojciec gór)—ubielony śniegiem błyszczy zdaleka i stanowi, jakby klucz całego systemu gór libańskich. U podnóża jego bierze początek rzeka Jordan, która płynąc ku południowi, przepływa jeziora Hule i Tyberyady i tworzy morze Martwe, więcéj niż na 400 metrów niżéj od powierzchni morza Śródziemnego. Dolina Jordanu stanowi południowy skłon Syryi; pasma gór, pokrywające obwody Akki i Safedu są skłonem zachodnim.

Widzimy więc dwa łańcuchy gór ciągnące się równolegle z morzem od północy ku południowi. Rzeka Orontes, płynąc między górami Ansaryów a skłonami gór oddzielających ją od równin Hamah i Alepu, przecina północną część tych wyniosłości; środek stanowią Liban i Anti-Liban, pomiędzy temi dwoma pasmami gór ciągnie się dolina Bekaa, dochodząc do morza w okolicach Sydonu i Tyru, na 160 kilometrów długa, na 5 szeroka, przerznięta w całéj swéj długości rzeką Lajtoni (Leontes), podnosi się ona stopniowo ku północy w okolicach Zahleh-Maalaka; grunt nader żyzny stopniowo staje

się więcéj jałowym, w stronach Balbeku zrzadka już tylko widać zieloną murawę, na któréj beduini pasą stada koni.

Na wschód od Jordanu zdumionemu oku przedstawia się naraz jeden z najdziwaczniejszych utworów natury. Widać zdala jakby las niebotyczny, jakby ogromne zwaliska starożytnych gmachów, miliony kolumn wznoszą się ku niebu, równe, ostre jakby ręką ludzką ciosane, to Leddżah. W nagromadzonych pionowych skalach domyślać się trzeba jakiegoś wulkanicznego przewrotu; coś podobnego lecz w nierównie mniejszych rozmiarach widzieć można przy Bejrucko-Damasceńkiéj drodze. Cały ten kraj, a raczéj olbrzymia forteca rozciąga się na 30 mil kw., gnieżdżą się tam jak się zdaje potomkowie starożytnych Partów, dzicy i bitni jak ci ich przodkowie (1).

Liban, Anti-Liban i stoki tych gór zamieszkane są przez trzy plemiona: Maronitów, Druzów i Metualisów; Grecy, osiedleni w tamtych okolicach, nigdy nie odegrywali znaczącéj roli, bawili się chyba pokątnemi intrygami, o których tu nie warto wspominać.

W r. 1777 Dżezar Pasza, dżezar znaczy rzeźnik, zniósł do szczętu Metualisów, resztki ich osiadły koło Balbeku,—odtąd pozostali tu Maronici i Druzowie. Rodziny emirów i szeikow używały tam przywilejów feudalnych panów, nikt nie myślał ograniczać ich potęgi i znaczenia, dopóki żelazna ręka Mahmuda II-go nie rozpoczęła brutalnego zrównania społecznego ustroju, na korzyść absolutnéj władzy w państwie Otomanów.

Element Maronicki przedstawiali tam Szehabowie, a niemniéj potężni Dżemblaci byli przedstawicielami Druzów, rywalizacya tych dwóch rodzin i zarodki wojny domowéj tlały pokątnie. W r. 1787 emir Beszir-Szehab, intrygami ze słynnym gubernatorem Akki Dżezar Paszą i jak upewniają niejedną zbrodnią, dobił się do głównego zarządu Libanu. Szehabowie, z których część przeszła na

(1) W 1869 Reszyd-pasza ówczesny generał gubernator Syryi (późniéj minister spraw zagranicznych zabity przez Hassan Beja) przedsięwziął wyprawę przeciw Ansaryom, którzy podsunąwszy się pod miasto Tripoli bezustannie grabili karawany i podróżnych, umyślono zniszczyć wszystkie osady ansaryjskie, ażeby w ten sposób resztę mieszkańców odrzucić w głąb pustyni. W czasie téj ekspedycyi, kapitan 7-go pułku dragonów gwardyi Bohdan Jaroszewski, idąc we wskazanym sobie kierunku, podsunął się pod same skały leddżyjskie, natrafił tam na dość głęboką rzekę, na któréj brzegu znajdowały się tratwy; umyślił korzystać ze zdarzenia i ze stu żołnierzami sprobować wtargnąć w kraj, w którym dotąd nie postała obca noga; pod wieczór jednak usłyszał oddalone strzały i musiał iść w kierunku, gdzie była potyczka: pozostawione tratwy znikły bezpowrotnie, a z niemi razem i możność dostania się wewnątrz Leddżah.

katolicyzm, a część pozostała przy muzułmańskiéj wierze, niejednokrotnie dawali się poznać na Libanie, gdzie zgoda między Maronitami i Druzami nieraz bywała zakłóconą porywaniem się do broni. Do r. 1840, t. j. do końca panowania Emira Beszir-Szehaba zawiści ucichły, żelazna ręka tego orła gór zarówno ciążyła nad wszystkimi, Druzowie i Maronici siedzieli cicho, pracowali każdy dla siebie w bojaźni potężnego pana. W roku 1832 Beszir Szehab staje otwarcie po stronie Mehmet-Alego (Egiptu), rwie ostatecznie węzły uległości, łączące go dotąd formalnie tylko ze Stambułem, górale Libanu biorą udział pod Ibrahimem Paszą w bitwie pod Koniah przeciw wojskom Sułtana, do których Dżemblaci osobiście się przyłączają. Egipt cały ciążył wówczas ku Francyi, Beszir-Szehab w ciągu całego swego panowania podtrzymywał téż i utwierdzał wpływy francuskie.

Obdarzony niepospolicie bystrym umysłem, nieubłagany i odważny, żyje on dotąd i żyć zapewne długo będzie w pamięci górali. Zemsta i racya stanu pchnęły go do niejednego gwałtu, ów dziki król gór nie wzdrygał się domagać się od gubernatora, w dowód przyjaźni, śmierci Dżemblatów zamkniętych w więzieniach Akki; wskutek tego wymagania zginął w więzieniu Beszir-Dżemblat, a nieco późniéj jego dwóch synów. Dopiero w r. 1860, ukazuje się straszny Said-bej-Dżemblat, jako obraz zemsty, spokojny i uśmiechnięty wśród zglisz chrześciańskich wiosek, wśród ponuréj tragedyi długo przygotowywanéj rzezi.

Żeby zrozumiéć, w jakim celu Emir Beszir-Szehab a po jego upadku Omer-pasza, słynny potem Serder-Ekrem armij naddunajskich, wytępiali szeików z plemienia Druzów, należy rozpoznać sposób ich życia i społeczno-religijny ich ustrój.

Nikt nie zbadał dotąd religii Druzów, i z trudnością kiedykolwiek można będzie ten węzeł rozgmatwać; naród dzieli się na dwie klasy: szeików i duchownych lub mędrców zwanych *Okkal*, i lud prosty nieświadomy tajemnic *Dżahel* (1). Pierwsi znają tajemnice

(1) Mylném jest zdanie niektórych podróżników, przypisujących Druzom wiarę w Koran. Powodem ku temu są imiona muzułmańskie, które Druzowie przybierają, oraz dogmat religijny, nakazujący im z każdym człowiekiem innego wyznania być téj wiary, jaką wyznaje zapytujący,—z mahometaninem wierzyć w Koran, z chrześcianinem w Chrystusa; że zaś nie znają dogmatów cudzych religij, przeto zgóry zgadzają się na wszystko coby im powiedziano. W roku 1871 przybył do zamku Beit-Eddinu, rezydencyi letniéj

religii i wierzą, drudzy nie znają ich i wierzą; wiara zasadza się na ukrywanych najstaranniéj praktykach religijnych i na ślepém posłuszeństwie okkalom. Religia Druzów powstała w jedenastym wieku z nauki niejakiego Hakema w Kairze, zdaje się ona być osnuta na resztkach pojęć pogańskich, zmięszanych z muzułmanizmem i wiarą w metampsychozis.

Lud prosty ciemny, prawie dziki, ale przytem wojowniczy, sam przez się nie ma żadnych dążeń, ani téż nie bierze sam inicyatywy w żadném działaniu; szlachta i kapłani o wszystkiém tam stanowią. Ale oni za to nie myślą zgoła wyrzekać się tradycyi i marzeń o wielkości; przebiegli i odważni, uważają skrytość i chytrość za pierwsze zalety i ciągle myślą o ustaleniu swéj przewagi. Dla tego Emir Beszir-Szehab ciągle nękał familie Dżemblatów, a późniéj Omer Pasza niemniéj ich prześladował, chociaż oni walczyli w szeregach Tureckich przeciwko wojskom Egipskim.

Dzidy Beduinów i Druzów razem z kulami angielskiemi obaliły potęgę Machmet-Alego w r. 1840, Syrya wracała pod panowanie sułtanów, z ustępującemi wojskami Ibrahima-Paszy, padł i Emir Beszir-Szehab, został on wywieziony do Stambułu na resztę życia; ale stary orzeł Libanu zostawił po sobie taką wziętość, taki urok imienia, iż po nim za zezwoleniem rządu znowu jeden z Szehabów objął naczelnictwo góry. Intrygi Said-bej Dżemblata wywołały wtedy wojnę między Druzami a następcą Beszir-Szehaba. Rząd stambulski, troszcząc się niby o spokój mieszkańców, a w istocie powodując się skrytą myślą zawładnięcia Libanem, usuwa od urzędowania gubernatora i wywozi go do Stambułu, w roku 1842 wojska tureckie pod dowództwem Omera-Paszy (Kroat Latacz) zatknęło półksiężyc Otomański na zamku Szehabów.

Odtąd szerzéj się rozwija działanie Stambulskiego gabinetu. Górzysty kraik stanowił rząd w rządzie, gniezdziła się w nim szlachta ze swemi tradycyami i wpływem, sama zaś ulegała wpływom zagranicznym; umyślono zniwelować te nierówności.

Gen. Gubern. turysta, literat angielski, i dowodził mi, że Druzowie są muzułmanami, opierając się mianowicie na tém, że noszą imiona muzułmańskie; w téj chwili na dziedzińcu zamkowym musztrowały się kompanie mięszanéj milicyi krajowéj złożone z Druzów i Maronitów, poprowadziłem Anglika ku nim, prosząc, aby zapytywał żołnierzy o ich imiona, trafiliśmy na samych Hassanów, Skinderów, Husseinów i t. p., a wszyscy oni byli Maronici i Katolicy, w Syryi bowiem dużo chrześcian nosi imiona, które my uważamy za czysto muzułmańskie; na takich to w ogóle dowodach opierają się błędne sądy o Druzach.

Omer-pasza, obdarzony niezaprzeczonym darem organizowania i niemałym zasobem energii, zrozumiał łatwo, że uorganizowanie i rządzenie w kraju będzie niemożliwém, póki się nie przełamią szeregi téj bitnéj drużyny, i dlatego, przybywszy do Libanu, chciał zaraz poskromić Druzów. Z Maronitami postępował łagodnie, szukał u nich popularności i starał się na nich opiérać. Anglia protegowała kandydaturę Omera-paszy, który nie przeczuwając jakie świetne losy czekały go w przyszłości, marzył o zajęciu opróżnionego krzesła strasznego Szehaba. Omer postępował zgodnie z widokami Anglii, być może iż wzamian za protekcyą, obiecywał tajemnie pomoc swą ku obaleniu wpływów Francyi i rozwinięciu angielskiéj przewagi.

Żeby mieć władzę nad Libanem, trzeba było być wybranym na emira, zabrano się więc gorąco do dzieła, lecz tutaj niechęć Druzów i przeważny wpływ Francyi pomiędzy Maronitami sparaliżowały zabiegi anglo-tureckie. Rzutki Omer nie daje za wygranę, w bejruckich więzieniach trzymał on zamkniętych kilku szeików Druzów, wchodzi z nimi w układy i puszcza ich na wolność pod warunkiem, że wpływami swemi przeważą szalę na jego stronę. Tu widzimy łączne działanie wyznawców Hakema i Chrystusa przeciw ugruntowaniu tureckiéj władzy. Rząd otomański chciał ustalić swoję przewagę przy pomocy niezgody dwóch plemion; lecz dygnitarze W. Porty niedokładnie swe siły obliczyli, plemiona te były jeszcze zasilne, nienawiść między niemi niedostatecznie rozdmuchana, niechęć ku Turcyi zbyt żywa.

Wypuszczeni na wolność szeikowie Druzów, spieszą zawrzeć przymierze z Maronitami, poganie obok chrześcian stają do walki z Omerem-Paszą i otaczają jego wojska w Beit-ed-dinie. Zebrany naród Libanu obiéra jednogłośnie emirem swym jednego z Szehabów, a dumny pan Muchtary Said-bej-Dżemblat, niedawno więzień Omera, sam nakłania do tego wyboru.

Położenie Omera było krytyczne, przejścia gór zajęte, powstanie szerzące się dokoła; lecz Turcy mówią: „Zwłoka jest darem Boga, Bóg jest wielki, sułtan wszechwładny" — obrażona duma Osmanów zażądała krwawego odwetu narazie i potém zabicia potęgi Libanu. Dla zyskania czasu wymyślono następną kombinacyą: emisaryusze bejruckiego paszy udają się do obozu powstańców, przedstawiając nieoficyalnie, że wybór emira przyjemnym jest dla rządu Otomańskiego w ogólności, a szczególnie dla paszy Bejrutu, że niepotrzebnie wzięli się do oręża, że, gdyby się udali za pośrednictwem władz miejscowych do W. Porty, wybór ich niezawodnie potwierdzonymby został. To wywołało układy, a tém samém

zwłokę czasu; Omer ze swéj strony trzymał się dzielnie w Beit-eddinie, tymczasem z Bejrutu z brzegów Anatolii parowcami przewieziono około 6.000 żołnierzy, którzy, wylądowawszy w Sidonie, krętemi drogami obchodzą obóz powstańców i w porozumieniu z Omerem biorą buntowników we dwa ognie. Po kilkugodzinnéj walce Dżemblaci z masą Druzów w bezładnéj ucieczce zdążali ku Horanowi — odwet wojenny był najzupełniejszy.

Fakt połączenia Druzów z Maronitami zaniepokoił W. Portę, należało zabić w zarodku grożące niebezpieczeństwo; bo inaczéj zamysły niwelacyjne i usunięcie wpływów zagranicznych mogły spełznąć na niczém. Rząd Otomański i Anglicy nawet dalekimi teraz byli od popiérania uprzednich projektów, nominacye Omera Paszy i Szehaba upadły, nasuwał się inny projekt. Projekt ten, pierwsze zarzewie przyszłych waśni, mógł być uważanym za zupełnie słuszny nawet ze względów ludzkości i sprawiedliwości; zasadzał się on na daniu osobnego zarządu każdemu plemieniu, tym sposobem Druzowie mieliby swego, a chrześcianie swego gubernatora (Kajmakana), obu zależnych od bejruckiego paszy. Zasada nie była złą, wykonanie jéj jednak trudne.

Posuwało to naprzód zamiary Stambułu, oddając, choć nominalnie, jak naonczas, zarząd gór pod władzę gubernatora tureckiego, wprowadzając zamiast wyłącznego wpływu Francyi wrogie mu oddziaływanie Anglii, a tém samém osłabiając te wpływy jedne drugiemi. Dla Anglików było to także na rękę, gdyż łatwiéj i skuteczniéj oddziaływać mogli na odosobnionych Druzów, za pośrednictwem ich Kajmakana.

W roku 1843, w rok zaledwo po ustanowieniu dwóch gubernatorów, Druzowie i Maronici chwytają za broń, wszczyna się między nimi wojna domowa, lecz trwa ona niedługo, a urzędnicy tureccy cywilni i wojskowi ujmują się za chrześcianami. Przedstawienia niektórych konsulatów oraz reklamacye samych mieszkańców, wywołują ponowne wdanie się W. Porty w celu uorganizowania burzliwego Libanu. Nie chcemy tu podejrzéwać rządu Stambulskiego o zamiar zaprowadzenia jeszcze większego chaosu nową ustawą, to pewne jednak, że rodzaj praw czy konstytucyi, którą rząd centralny ustanowił w roku 1845, a mocą których cząstki maronickich prowincyj przeszły pod zarząd kajmakana Druzów, dalekim był od uchronienia mieszkańców od waśni i nieporządków. W robocie postąpiono tyle, iż Druzowie wyłącznie powodowali się wpływami Anglii, a naczelnik ich Said-bej-Dżemblat w coraz to ściślejsze wchodził stosunki z paszami Bejrutu i Saidy; z drugiéj strony przekona-

no się, iż wpływ szeików maronickich na felachów słabł, a bodaj ci ostatni zaczynali już nawet być rozjątrzeni przeciw dawnym swym panom. Póki jednak emirowie i szeikowie dżebelscy jako tako się utrzymywali przy znaczeniu, póty wpływ francuski musiał brać górę nad wpływem Anglików, a naród maronicki przedstawiał zwartą siłę. Niebezpieczeństwo zawisło nad skałami Libanu, lecz szlachta Dżebelska, jak wiele szlacht na świecie, niebezpieczeństwa zażegnać nie umiała wczesnemi i radykalnemi ustępstwami, czekając, aż rząd Stambułu sprzymierzony z felachami, bez nich, za nich, i przeciw nim zużytkował własne ich siły.

W r. 1840, po upadku Mehmed-Alego, kiedy już nie stało żelaznéj ręki Beszir-Szehaba, pod którą wszyscy zarówno się gięli, szeikowie chrześciańscy rzucili się co żywo do przywrócenia feodalnych przywilejów. W Libanie znajduje się pięć głównych familij Maronickich: Dadah, Dahir, Kazen, Hobesz, Kuruzałoreh. Główną siedzibą szeików Dżebelu był Kesrawan, czyli część Libanu rozciągająca się po prawéj stronie Bejrutu po za Dżebeil i Tripolis. Jest to kraj bogaty, oliwne i pomarańczowe gaje, winnice ciągną się tam pasmem nieprzerwaném, hodowla jedwabników i przemysł rozwinięte tam silniéj, niż w innych górskich stronach.

Ludność Kesrawanu wyłącznie chrześciańska stanowiła jednolitą siłę, nie tak jak w okolicach Deir-el-Kamaru i Beit-ed-Dinu, gdzie Druzowie osiedli pomiędzy chrześcianami, w tychże miastach lub w pobliskich czysto druzyjskich osadach w Baklinie Muchtarze i t. d. równoważyli ich znaczenie, Kesrawan przeciwnie stał jak jeden człowiek. Ale paszowie dostrzegli, że się wkrada nieufność i powaśnienie między ludnością wsi a jéj naczelnikami; za pomocą Druzów niszczono jedną część siły, za pośrednictwem niezgody społecznéj dobić miano resztę, a na tych gruzach miał powiewać zwycięzko buńczuk muzułmański.

Wspaniała ta kombinacya przyniosła pożądany rezultat, chociaż w wykonaniu przekroczono zamierzone granice, bo wystąpiła tu, jako czynnik, nietylko myśl polityczna Wysokiéj Porty, ale i myśl islamska, rozbudzająca się pomiędzy wyznawcami Koranu. Wyświecenie faktu potężnéj konspiracyi i propagandy muzułmańskiéj, któremu dzisiaj zaprzeczyć trudno, musi nas teraz zająć, — bo historya wypadków na Libanie dopiéro od 1857 staje się więcéj interesującą, do tego czasu Turcy przygotowywali się tylko, szczepili między felachami nienawiść przeciw szeikom, Druzów waśnili z Maronitami, szerzyli intrygi, nie skąpili złota, podbudzali zawiści, ambicye, zemsty osobiste i rodowe.

Tymczasem państwo Osmanlisów skłaniało się ku ruinie. Dawna powaga sułtanów i wiara w fatalizm przyczyniały się do uśpienia czujności rządzonych; państwo, posiadając w sobie zarodek zgnilizny, słabło stopniowo, instytucye jego nie odpowiadały rozwojowi reszty europejskiego świata, i nie mogąc iść z nim w parze, stawały się coraz gorszemi i szkodliwszemi dla Turcyi. W tym niezmiennym pochodzie ku upadkowi, jako szczęśliwy traf, jako okoliczność, zmuszająca do podtrzymania przy życiu chorego człowieka, zjawiła się równowaga europejska, interesa obcych państw. Wynikiem tego starcia się interesów była wojna roku 1853 i potém wojna krymska, w tych to latach chory człowiek był na łożu śmiertelnem.

Wspaniałomyślny Abdul-Medżid, i to co było ucywilizowanego nad Bosforem, szło za jedném hasłem: *a la franca*. Duch religijny upadł, duch poświęcenia, idea pracy i postępu nie istniała — islamizm spał. Reformy powierzchowne dotykały tylko form, żadnemu z reformatorów nie przychodziło na myśl że w wieku 19-m nawet, prawi Turcy byli tylko koczownikami, zamieniającymi namioty płócienne na liche domki drewniane w Rumelii lub Bulgaryi; nowatorowie nie zwracali na to uwagi, że mieszkańcy tych piętrowych lub niepiętrowych bud, z małemi tylko zmianami, przejęci byli dawnym duchem, a że dla skutecznego przeprowadzenia reform, ograniczyć się trzeba było do dwóch głównych punktów: 1) osiedlić nomadów pozornie tylko osiadłych; 2) nadać należyty kierunek elementarnym szkołom, co w dalszém następstwie mogłoby sparaliżować zabójcze wpływy haremów.

Ale tego, aż do dnia wystąpienia Midhata Paszy, nikt nie zdawał się pojmować, a reformy, dokonywane na cywilnych i wojskowych urzędach i nakazywane urzędnikom, na kraj cały zgubnie oddziaływały.

Ze snu już nawpółśmiertelnego zbudziła mieszkańców wschodu wojna krymska. Oturbanione głowy ze zgrozą ujrzały zagrożone posiadłości swe nad Dunajem, ze wstydem widziały czerwone mundury anglików i francuskie kiepi, wyrywające z toni walące się państwo prawowiernych. Bezsilność rządu, złe rezultaty reform, niebezpieczeństwo bliskiéj ruiny, skłoniły tak ludzi przechadzających się w nowomodnych surdutach nad brzegami Bosforu, jak i zielone i białe turbany w Damaszku lub Mekce, do myślenia nad środkami ratunku.

Hatti Humajum z r. 1856 spadł jak piorun, pomiędzy wyrwanych z idyotycznéj drzémki wyznawców proroka, zawierały się w nim ustępstwa dla Europy, pozwolenie dane zagranicznym dwo-

rom, mięszania się do rządów kraju, przypuszczenie rajów do praw prawie równych. Zaczepione tu były: narodowa duma, pojęcia religijne i osobiste interesa. Mędrcy Stambułu korzystali ze zręczności, wzięli się do ratowania walącego się gmachu, i występując w roli zbawców, zaczęli budzić fanatyzm religijny, chcąc tą siłą podtrzymać byt muzułmanów. Przy dawnym obozie reformatorów powierzchownych, uwydatnił się obóz pan-islamistów, to jest zwolenników czystego islamizmu. O odżywieniu sił państwowych szczerze pielęgnowanym rozwojem samychże muzułmanów, o zapewnieniu im przez to przewagi w państwie nikt nie marzył wtedy. Kwestya rozwoju ustępowała przed kwestyą rozboju, islam stawał do walki opiérając się na tradycyjnéj polityce szabli. Stronnictwo to w krótkim przeciągu czasu rozrosło się niesłychanie, bo ludzie stojący na jego czele, w najdrobniejszych nawet szczegółach byli przedstawicielami usposobień i tradycyj narodowych, potęgowali dawne zasady, i opierając się na nich, dążyli do swego celu.

Partya ta nie myślała wiele o przyszłości, o duchu czasu, o sile prądów unoszących ludzkie myśli i chęci; chciała ona tylko po dawnemu, w jedynie, wedle swego rozumienia, godny sposób odpowiedzieć na hati-humajum, wykazać nicość reform a siłę islamizmu. Wzięła ona za godło dawne hasło „ostrzem pałasza“—celem jéj było uwolnić Turcyą od obcych wpływów, wrócić jéj dawną chwałę, absolutną niezależność, jako środków używała fanatyzmu religijnego, intryg i bagnetów. W Syryi głównymi reprezentantami partyi pan-islamskiéj byli Achmet-Pasza generał gubernator Syryjski rezydujący w Damaszku, Hurszyd-Pasza gubernator Bejrutu, i najwyższy w Damaszku dostojnik duchowny szeik Abdalla-Halebi jeden z najenergiczniéjszych apostołów idei pan-islamskiéj, który zostawał w ciągłych stosunkach z Mekką i miał wielkie zachowanie pomiędzy pielgrzymami.

W olbrzymich karawanach, ciągnących od strony Mekki, od grodu proroka, raz wraz pojawiali się derwisze, różni mówcy i uczeni opowiadający wiernym pielgrzymom dzieje potężnéj przeszłości, i wskazujący widoki wielkiéj przyszłości, skoro lud wiernych powróci do dawnych przykazań, i szukać będzie potęgi i siły w przestrzeganiu prastarych zwyczajów i przykazań Mahometa. W kwiecistych słowach, barwiąc opowiadania swe przeróżnemi alegoryami, zaprawiając je wedle smaku i upodobania słuchaczy, mówcy wzywali wszystkich wyznawców proroka do jedności w poczuciu religijném, nie bacząc na rasy, szczepy i oddalenie. Potok słów krasomówczych natchnionego kaznodziei zachwycał zebranych na stepie pielgrzymów.

Jasne pogodne niebo, przestrzeń bez końca, promienie zwrotnikowego słońca, rozpalały mózg, kazały zastanawiać się nad słabością maluczkiéj istoty ludzkiéj w obec potężnéj idei Mahometa trwającéj wieki; bronzowy Indyanin czy smagły Czerkies po tych dniach zapału wracał do domu szepcząc modły do Allacha i ściskając pięścią rękojeść krzywego jataganu.

Kto wie co to jest egzaltacya religijna, podniesiona postem, palącém arabskiém słowem, trudami i niebezpieczeństwem, które się co krok spotyka, potężnym urokiem czarodziejskich nocy wschodu, i potęgą uroczéj chociaż dzikiéj natury, ten łatwo potrafi zrozumieć jaki wpływ na wierzące i roznamiętnione dusze mogła wywierać propaganda, odbywająca się w karawanach pielgrzymów, wśród monotonnego nawoływania imanów i wśród zgiełku i rżenia setek arabskich koni. Gdy w licznych karawanach derwisze lub imani namiętnie wykładali słowa proroka, w domach Damaszku Szeik Abdalla-Halebi zbierał wiernych, a wskazując im bogate dzielnice chrześciańskie Harat-il-Nassara i Mejdanu, z ironią przemawiał do słuchaczy, tłómacząc im, jak giaury wydzierają im ich złoto, chleb i dobytek—i pareset głów wdół się schylało z tłumionym okrzykiem Allach! Allach! i tyleż rąk sięgało po nóż, zatknięty za bogatym pasem. To była propaganda islamska i zamach polityczny.

Pozostawiliśmy Liban w czasie przygotowań, kiedy pokuszenie się szeików o przywrócenie dawnych swych przywilejów wywołało niechęć i oburzenie pomiędzy felachami. W. Porta i angielskie konsulaty, a w części i duchowieństwo maronickie, umyśliły korzystać z tych okoliczności i posuwać naprzód każdy swoje interesa. Duch rewolucyjny między ludnością góry wytworzył ludowego bohatera Tanius-Szeina. Kowal z powołania, nieoświecony i niewykształcony, nieodznaczający się ani bystrością, ani energiją charakteru, chwiejny i niezawsze czystego sumienia Tanius-Szein, podniósł sztandar rewolucyjny i stał się prawie dyktatorem w Kesrawanie. Jeszcze przed wybuchem, kiedy Tanius zaczął nabierać znaczenia pomiędzy ludnością, gubernator Bejrutu Hurszyd-Pasza w początkach 1858 roku wszedł już z nim w stosunki, poufni paszy namawiali go, aby zniszczył potęgę i wpływy szeików; agenci angielscy ośmielali go duchowieństwo maronickie spoglądało przyjaźnie, pragnąc uwolnić się z pod wpływu szlachty, marząc o tem że pozostawszy jedno wobec ludu, będzie rządziło kościołem i ludem. Ulegając tym wpływom Tanius zdecydował się wystąpić zbrojno, ruch uwieńczony został pomyślnym skutkiem, zwyciężonym szeikom pokonfiskowano ich ziemie, uwolniono się od ich wpływu, za niesprawiedliwość niesprawiedliwością zapłacono.

Paszowie tureccy Hurszyd i Achmet, rozdmuchując tak wojnę domową pomiędzy Maronitami, podtrzymywali zarazem propagandę odrodzenia islamu, a jednocześnie zawiązali pasmo intryg z szeikami Druzów. Anglicy nie mogąc pozyskać sobie Maronitów, od lat kilku usilnie pracowali nad zjednaniem sobie Druzów, i zabiegi ich opłacały się hojnie. W miarę osłabienia Maronitów i wzmacniania się Druzów, wpływ angielski stanowczo brał górę nad wpływem francuskim. Mało więc dbając o środki i skutki, Anglicy spokojnie i z upodobaniem nawet przypatrywali się intrygom Achmeta i Hurszyda Paszów, starając się zarazem zabezpieczyć, na wypadek wojen i rzezi, osobiste stanowisko i interesa poddanych królowej Wiktoryi zamieszkałych w Syryi.

Tymczasem wśród gór Horanu, i w Muchtarze w pałacu Dżemblatów, przygotowywała się wojna wyznawców Hakema z chrześcianami. Idea polityczna nie działała tam zgoła, sprężynami ruchu były duma Said-bej-Dżemblata Pana Druzów, jego chęć zemsty i dążenie do wyłącznego znaczenia i władzy w Libanie, w narodzie zaś chciwość, żądza łupu i rozdmuchana nienawiść plemienna. Do pałacu szeika szeików w Muchtarze często gromadzili się na narady naczelnicy dzikich górskich pokoleń i wyższy kapłan Druzów Hamdan. Said-bej podobne zjazdy musiał uważać za uroczystości dla siebie, przebiegły Dżemblat poważny, uprzejmy, szczodry dla drugich oszczędny dla siebie, ugaszczał gości jak mógł. Z krużganków pałacu widać było niektóre osady Druzów i Maronitów, setki koni przy pałacu, setki ludzi w górach czekały rozkazów. Said-bej-Dżemblat nie żałował ani grosza, ani trudów, zawiązywał stosunki z paszami Bejrutu i Sidonu; agenci W. Brytanii lubili też przebywać w towarzystwie uprzejmego Szeika. Hurszyd pasza zaszczycał go swoją przyjaźnią, niejeden list tego dostojnika W. Porty znalazłby się w biórku Dżemblata; Said z Hurszydem miewali też rozmowy poufne, otwarte; to też później działali zgodnie. Dumnemu Druzowi potęga chrześciańskich Szechabów zdawała się być jego poniżeniem, cienie ojca, uduszonego w więzieniu Akki, i braci powieszonych, wołały o zemstę, życie dawniejsze pełne upokorzeń, niebezpieczeństw i trudu domagało się odwetu; pod eleganckim czarnym surdutem biło serce Druza, a pomimo odwagi i rozumu w duszy jego panowały namiętności. Ulegając wszystkim tym popędom, nie przewidując przeciwnych działań ze Stambułu, ani okoliczności które wywołać miała okupacya francuska, pan Muchtary sposobił się do wojny domowéj i miał, mimo wiedzy i woli może, posiłkować krwawy wybryk fanatyków muzułmańskich.

Po obaleniu potęgi szlachty maronickiéj, po rzuceniu kości niezgody między dwa plemiona, rozdwojone rywalizacyą, i protegowane, jedno przez konsulat W. Brytanii, drugie przez konsulat Francyi, W. Porta dopięła swego celu zneutralizowania sił miejscowych,—to była robota oficyalna; po za kulisami wysocy urzędnicy nieupoważnieni do tego oficyalnie, knuli osnowę przyszłéj tragedyi—partya pan-islamska nie wahała się potakiwać temu, inni zamykali oczy, jeden, może jedyny sułtan Abdul-Medżid ze swą szlachetną rycerską naturą, prawdopodobnie o niczém niewiedział.

Niepokoje i ruch niezwyczajny w górach, gdzie ludność była mięszana z Druzów i Maronitów, ściągnął uwagę tych ostatnich, zaniepokojeni chrześcianie zaczęli myśleć o odporze i obronie. W samym Bejrucie potworzyły się komitety, sprowadzające broń dla chrześcian, odkrył się jakby nowy zarząd departamentu wojny, naczelnikiem którego został najwyższy pasterz duchowny Libanu.

Różne są zdania co do tego kto wywołał wojnę, Druzowie czy Maronici, nie ulega jednak wątpliwości że wypadki r. 1860 były przygotowywane oddawna, wybuch sam mógł być spowodowany mało znaczącym faktem, który jak iskra, padał na przygotowane palne materyały, ale sam fakt wybuchu należy wyróżnić od myśli która go przygotowała.

Wojna domowa lada chwila wybuchnąć mogła, zatrzymywać tego wybuchu nikt nie myślał, bo każdy miał nadzieję z niego skorzystać; ale najmniéj myślała o tém partya pan-islamska, która owszem żądała jak najzaciętszéj walki, w jak najszerszych granicach. Niesnaski i walki między Druzami i Maronitami same przez się, byłyby jednym z faktów powtarzających się często w górach Libanu, i nie miałyby szczególniejszego znaczenia, lecz łącznie z działaniem urzędników W. Porty, łącznie z rzeziami w Damaszku i Sidonie, stają się one jawnym wynikiem usiłowań, ku rozbudzeniu starego fanatyzmu muzułmańskiego.

Ażeby zrozumieć, dla czego w Syryi mianowicie rozszalały fanatyzm sprowadził tyle nieszczęść, trzeba się rozpatrzéć w ilości szkół chrześciańskich w Libanie; szkoły te i wzrastające bogactwo chrześcian, zaniepokoiły wyznawców koranu, upatrujących w tém główne dla siebie niebezpieczeństwo, i środek, zapomocą którego wpływy europejskie mogły się stać groźnemi dla islamu.

Szkoły Syryjskie po większéj części były i są francuskie, prowadzone przez misyonarzy francuskich, przez jezuitów, lazaristów, siostry miłosierdzia, damy Nazaretu i t. p. Do roku 1860 spisy urzędowe i dzieła pisarzy francuskich przedstawiają następne cyfry:

Szkół francuskich w Bejrucie było trzy, w Gazyr kolegium jezuickie o 13 profesorach i 100 uczniach, dalej egzystowały szkoły jezuickie w Bikfaja, Beit-Szehab, Mazram, Alma-Szab, Ramcich, Szuor, wszystkie one ulegały głównemu zarządowi w Bikfaja. W Anturze i Damaszku były szkoły Lazaristów, w Damaszku siostry Ś. Wincentego à Paulo utrzymywały zakłady w mieście i w okolicach, w Bejrucie kwitnął zakład dla dziewcząt pod kierunkiem sióstr miłosierdzia, będący wzorem dobrego urządzenia i wielką szkołą rozsądku i cnoty, było w nim 50 pansyonarek, szkoła normalna na 25 uczenic, i do 400 panien kształciło się oprócz tego uczęszczając tam na innych prawach. Zakład ten egzystuje i dzisiaj, ale daleki jest od dawniejszéj swojéj świetności. Liczba uczniów płci męskiéj w tych wszystkich zakładach wynosiła przeszło 2.000. Ogólna cyfra ludności Maronickiéj Libanu nie przechodzi 260.000, drugie tyle chrześcian rozdziela się na inne narodowości i inne wyznania. Szkoły te zaś miały najwięcéj uczni Maronitów. Druzów obliczają na 82 tysiące, szala zwycięztwa mogła się więc łatwo przechylić na stronę chrześcian, gdyby się solidarnie między sobą trzymali.

Kroki zaczepne wyszły od Druzów, już w Sierpniu r. 1859 niedaleko Bejrutu w wiosce Beit-Meri krwawe zajście między wrogiemi plemionami zaniepokoiły mieszkańców, z obu stron raźniéj zaczęto się gotować do boju. Jednak czas jeszcze nie był nadszedł, dopiero w Marcu r. 1860 w Damaszku w pałacu generał-gubernatota Syryi, marszałka państwa Achmet-Paszy, postanowiono przystąpić do dzieła.

Proces późniejszy Achmeta-Paszy uchylił trochę zasłony z nad téj ponuréj narady, wykrył imiona osób biorących w niéj udział. Wieczorem dnia pewnego zebrali się w jednéj z komnat pałacowych zwolennicy odrodzenia islamu, przewodnictwo z urzędu przypadło uczniowi szkół paryskich, wykwintnemu lwu europejskich salonów, bohaterowi obrony Karsu z r. 1855, ówczesnemu generał-gub. Achmet-Paszy, duszą zebrania był Szeik Abdalla-Hallebi najwyższy w Damaszku dostojnik duchowny, Achmet miał instrukcye ze Stambułu, Abdalla z Mekki, w imieniu Hurszyda Paszy brał udział w naradach Achmet-Effendi, także Omar-Effendi gazy, Nassif-Pasza, i kilku innych. W samym Damaszku byli muzułmanie którzy uważali krok podobny za zbrodnię i zgubę, ale ich pominięto, staro-turecka pan-islamska partya dążyła do odrodzenia, a odrodzenie dawnego ducha tylko w chrzcie krwawym upatrywać mogła.

Od pamiętnego tego posiedzenia lud wiernych coraz się tłumniéj gromadził w meczetach, iman głośniéj wzywał na modły, a agen-

ci Hurszyda coraz silniej nalegali na Said-bej-Dżemblata. Ten ostatni, miotany dumą i żądzą zemsty, ośmielany przez paszów, ufny w przyjazne usposobienie Anglików, spokojnie się temu przypatrujących—dał hasło do walki.

W połowie Kwietnia r. 1860 napastowany był klasztor Amniku i odtąd nieustają już pojedyncze zabójstwa po drogach; Kassim-bei prawa ręka Dżemblata, urządza zamach w Saidzie w celu wywołania rzezi za pomocą samych muzułmanów, w końcu Maja działanie t. j. napaści Druzów, coraz większe przybierają rozmiary. Na początku tego opowiadania wspomniałem o wsi Baabda, letniej rezydencyi biór rządowych, przez tę wioskę przechodzi droga z Kesrawanu, jedna z rzadkich ścieżek wśród stromych skał Libanu, między któremi nie wszędzie przecisnąć się można. Ostatnich dni Maja Hurszyd Pasza, na czele regularnych i nieregularnych wojsk, wyszedł z Bejrutu dla ochraniania chrześcian od napadów, bo dniem przed tém okoliczne wioski maronickie płonęły w ogniu, łuna pożarów oświecała pasma gór okalające Bejrut, tchórzliwi choć odgrażający się Maronici, powaśnieni między sobą, padli ofiarą bitnéj drużyny Druzów. Gdy bój się zaczął, celniejsza ludność maronicka z Kesrawanu ciągnęła na odsiecz zagrożonym wioskom, ale na drodze w Baabda stanął obóz Hurszyda Paszy, oddziały maronickie, zdążające z odsieczą, trafiały na obóz turecki, a przywitane strzałami cofały się niebawem. Hurszyd tymczasem patrząc spokojnie na szerzące się zniszczenie tamował komunikacyą między bijącymi się a odsieczą, niedozwalając niby, tak Druzom jak i Maronitom wolnego przejścia; Druzowie go nie potrzebowali, dla Maronitów było to jedyne zbawienie. Śledztwo, prowadzone przez Fuada Paszę, i destytucya Hurszyda wykazały, że ocalenie chrześcian nie było głównym celem bejruckiego gubernatora.

Dzieło zniszczenia szło prędko, a w niém wybitnie widać było dwie posiłkujące się akcye, wojnę domową i zamach politycznéj partyi. Co się tycze wojny, dużo mówiono i pisano o okrucieństwie Druzów i baraniéj potulności Maronitów, Druzowie naród napół dziki, prowadzili wojnę po barbarzyńsku, ale rzezie dokonywane przez nich w miastach i zamkach, wziętych siłą lub podstępem, były ich zwyczajem wojennym. Faktem jest, że wyznawcy Hakema są narodem odważnym, rycerskim, honorowym nawet, w ciągu tych krwawych zapasów rzadkie nader były wypadki znieważania kobiét, lub zabijania dzieci płci żeńskiéj. Mężczyzni wzięci w niewolę, wedle ich obyczaju tracić muszą życie, tak téż z nimi postępowano. Wyuzdane swawole, lub straszne wymysły barbarzyństwa popełniane

były przez fanatyków muzułmańskich lub przez beduinów, przybywających z pustyni na odgłos wojny, w nadziei rabunku, i rzucających się z początku na chrześcian, a potem po przybyciu Fuada Paszy, tak samo rabujących Druzów.

Przyznać można że Maronici swemi przechwałkami i groźbami ułatwili wywołanie napadu, mniéj odważni i mniéj roztropni, niesolidarni w działaniu, pomimo swéj większéj liczby padli ofiarą wojny, do któréj jednak przygotowywali się. Ale wojna sama chociaż połączona z okrucieństwami, rzezią jeńców, rabunkiem, pożarami, mniéj się dziwną wydaje, bo niecywilizowane ludy zawsze tak wojują. Dziwniejsze przedstawiają widowisko działania filarów starego islamu Hurszyda Paszy pod Baabdą, półkownika Abdul-Salem-beja i Fahir-Paszy w Beit-ed-dinie i Deir-el-kamarze, Osman-beja w Hasbei i Raszei, i Achmet-Paszy w Damaszku.

Pierwszego Czerwca Druzowie prowadzeni przez Kassim-beja wpadają do Saidy, wszczyna się walka, urzędnicy tureccy spokojnie paląc nargilleh przypatrują się temu widokowi, tymczasem imani wzywają wiernych do walki, nastaje rzeź straszna w któréj ginie 700 osób.

Said-bej-Dżemblat, wysławszy Kassim-beja do Saidy, sam rzucił się ku Żezinie, i wybiwszy tam co tylko napotkał, ruszył do Deir-el-kamaru, głównego siedliska Maronitów, i do Beid-ed-dinu nienawistnego sobie gniazda Szehabów. Przed Deir-el-kamarem dwa dni toczył się bój zacięty, Maronici nie mogąc dotrzymać placu udali się pod opiekę naczelnika miasta, do którego na żądanie konsulatów wysłanym został Tahir-Pasza. Tahir zapewnił chrześciańską ludność, że, skoro broń złoży i wejdzie do koszar pod straż żołnierzy, nie ma się czego obawiać, a sam powrócił do Bejrutu. Usłuchano rad paszy, Maronici rozlokowali się w koszarach i w budynkach rządowych, część ich udała się do zamku Beit-ed-dinu, lecz prędko nastało rozczarowanie, Druzowie, przepuszczeni przez władzę, wpadli na bezbronnych i mordowali ich, 2.300 ludzi życiem przypłaciło swą dobrą wiarę w obietnice Tahira. Tak samo postąpił Osman-bej który rozbroiwszy ludność i wziąwszy ją pod swoję opiekę, wydał ją następnie na pastwę zajadłym hordom Said-bej-Dżemblata w Hasbei, i Ismail Atrosza w Raszei.

Said-bej-Dżemblat ze spokojnym uśmiechem patrzał na śmierć kilku tysięcy ludzi, a między nimi trzydziestu książąt z familii Szehabów, niektórzy z nich chociaż muzułmanie, nie uszli zemsty szeika. Śmierć ojca i braci w lochach Akki godnie była pomszczoną, stary Bessir-Dżemblat odrodził się w Said-beju.

Dziwny ten człowiek okazuje się w ciągu téj tragedyi niezmordowanie czynnym; przebiegły i nieubłagany, pomny na wszystko, prowadzi ogromną korespondencyą, zabezpiecza środki odwrotu na wypadek niepowodzenia, zabezpiecza téż sobie możność skompromitowania jak największéj liczby osób, tak aby kara jeśli spotkać ją przyjdzie, musiała być tylko fikcyjną. Szczególnie baczy on na konsulat W. Brytanii, i rzecz dziwna, ani jeden domek angielskiego poddanego, ani jedna przędzalnia jedwabiu, ani jedna osoba mieniąca się być poddaną królowéj Wiktoryi, nie ucierpiała, powaga Albionu wystarczała do powstrzymania rozhukanéj hordy.

Tak od bram Bejrutu i starego Sidonu aż do Damaszku wszędzie tliły się zgliszcza, wszędzie po drogach i ogrodach leżały ciała ludzkie, a przy nich gromady szakali i stada sępów wydzierały sobie szczątki biesiady.

(Dokończenie nastąpi).

K. Burzyński.

PRZEGLĄD
NAJNOWSZÉJ LITERATURY
HISTORYCZNÉJ NIEMIECKIÉJ.

(*Dokończenie*).

I. Zwölf Bücher Preussischer Geschichte von Leopold von Ranke. Leipzig, Verlag von Duncker und Humblot, 1875. 5 tomów. — *II.* Abhandlungen von Johann Gustaw Droysen. Zur neueren Geschichte. Leipzig, Verlag von Veit et Comp., 1876. — *III.* Oesterreich und Preussen im Befreiungskriege. Urkundliche Beschlüsse über die Politische Geschichte des Jahres 1813 von Wilhelm Oncken. Erster Band. Berlin, Grotesche Verlagsbuchhandlung, 1876. — *IV.* Aus dem Nachlass Varnhagens von Ense. Briefwechsel zwischen Varnhagen und Rahel. Leipzig, im Verlage von Brockhaus, 6 Bände. 1875. — *V.* Neun und Sechszig Jahre am Preussischen Hofe, aus den Erinnerungen der Oberhofmeisterin Sophie Marie Gräfin von Voss. Leipzig, 1875. — *VI.* Maria Theresias letzte Regierungszeit von 1763—1786, von Alfred Ritter von Arneth. Erster Band. Wien. 1876. — *VII.* Napoleon I Fahrt von Fontainebleau nach Elba, von Joseph Alex. Freiherrn von Helfert. Wien, 1874. Verlag von Wilhelm Braumüller. — *VIII.* Lothar I. und Konrad III. Geschichte der deutschen Kaiserzeit von Giesebrecht. IVter Band. Stauffen und Welfen, 1 Abtheilung, 1872. II Abtheilung. 1875. Berlin. — *IX.* A. von Reumont. Geschichte Toscanas seit dem Ende des florentinischen Freistaates. Band 1. Die Medici im Jahre 1530—1737. 654. 3. Gotha, 1876, bei Rothes. — *X.* Livland im XVIII Jahrhundert von Julius Eckardt. Umrisse zu einer Livländischen Geschichte. 1 Band. Bis zum Jahre 1766. Leipzig bei Brockhaus, 1876. — *XI.* Christian Kelch. Liefländische Historia. Continuation 1690 bis 1706 Dorpat, 1875.

Życie króla Fryderyka Wilhelma I kończy się dnia 31 Maja 1740 wśród gniewów na dom austryacki o niespełnione, co do Szląska, życzenia. Wznoszącą się z tym zgonem zorzę panowania Fryderyka II wita Ranke krótkim historyozoficznym poglądem na dotychczasową historyą Brandenburgii i Pruss, z którego się dowiadujemy, iż dzielnica Hohenzollernów miała cywilizacyjną, bo niemiecką misyą, przeciw słowiańskiéj Polsce i mongolskiemi naleciałościami przesiąkłéj Litwie; że zaś Fryderykowi II „dostało się przeznaczenie

kreacyi owéj nadać trwalsze i wydatniejsze kształty.“ Przed rozpoczęciem wszakże opowiadania dziejów jego panowania, skreśla jeszcze autor z pewną lubością, zabawy i zatrudnienia jego przed-tronowéj młodości. Opisuje pobyt jego w Ruppinie i Rheinsbergu, jego studya wojskowe, literackie i naukowe, jego chwilowy zwrot do rzeczy filozoficzno-religijnych, jego rozmowy z Manteufflem i Sulzerem. Z tego to czasu datuje się jego stosunek z Woltairem, o którym autor powiada, iż ze strony Fryderyka „był uczciwie podjęty i traktowany“, kiedy ze strony przewrotnego Francuza był jedynie tylko zręczną spekulacyą. Charaktreyzując to życie przedtronowe Fryderyka, przypisuje mu autor, wielce naiwnie *dwa* przymioty: wysokie uczucie religijności, objawiające się w metafizycznych badaniach i konferencyach, następnie niemniéj wysokie poczucie prawa i sprawiedliwości, objawiające się w jego *Antimachiawellu*. Ranke powiada z najpoważniejszą w świecie miną, że młody król (rozpoczynający piérwsze dni niemal panowania swego od napadu na cesarski Szląsk!) „miał jakoby przeczucie, iż mu niezadługo przyjdzie walczyć w obronie sprawiedliwości i dobrego swego prawa“... „Z powodów,“ mówi „leżących w szczególnych stosunkach państwa pruskiego, usprawiedliwia system werbunkowy, przeciw któremu Macchiavelli w pewném miejscu występuje. Na to jednakże zgadza się z nim, iż monarcha winien wojsku swemu w polu przewodzić i dawać mu przykład pogardy śmierci. Jakaż sława, mówi Fryderyk, czeka go, skoro kraj swój od napadu nieprzyjacielskiego oswobodzi lub jeśli przeprowadzi prawa, których mu inni w uzurpatorski zaprzeczają sposób. Zupełnie jak gdyby mu tajemne przeczucie mówiło, iż *on sam* w podobnym się znajdzie przypadku, pozostaje przy niém ze szczególném zamiłowaniem. Wojnę, prowadzoną dla zyskania zaprzeczanych praw uważa za również sprawiedliwą, jak wojnę obronną. Nie ma bowiem trybunałów dla monarchów; spory ich mogą się tylko rozstrzygać z bronią w ręku. Monarchowie rozprawiają się tylko z bronią w ręku, a przeciwnik zmuszony sprawiedliwości ich sprawy swobodny bieg pozostawić“... W ten to sposób zaczepna ze strony Fryderyka wojna o Szląsk, namaszczona zgóry przez historyografa pruskiego, na rewindykacyą dobrego prawa z bronią w ręku.

Po tym wstępie wchodzi autor w dzieje Fryderykowego panowania, które, jakkolwiek niedoprowadzone nawet jeszcze do epoki wojny siedmioletniej, zajmują przecież odtąd półtora tomu, właśnie tyle, ile cała dotychczasowa historya, brandenburgskopruska „*w dwunastu swych księgach*“. Z chwilą wstąpienia na tron Fryderyka rozpoczyna autor panegiryki nasamprzód rządów jego na wewnątrz.

Wszystko, co tylko Fryderyk II zrobi, nie jest dla jego historyka tyle przedmiotem historycznego rozbioru, ile raczéj bezwzględnego uwielbienia. Wszystko, co zrobi w dziedzinie organizacyi wojskowéj lub administracyi, każdy frazes o dobru kraju i poddanych, każda puszczona przez młodego króla w obieg teoryjka filozoficzna, podróż w celu odebrania hołdu od Księstwa Pruskiego do Królewca, wybór przyjaciół i towarzyszów, Algarottego Włocha, Jordana Francuza, Kayserlingka Niemca,—wszystko to jest dla historyografa jego, powodem i przedmiotem samego tylko entuzyazmu. Po wstępie poświęconym miodowym miesiącom rządów wewnętrznych, zwraca się dopiéro autor do szkicu polityki zewnętrznéj Fryderyka przed wybuchem pierwszéj wojny szląskiéj. Pierwsze jéj kroki cechują przedewszystkiém objawy *grzeczności* na wszystkie strony, połączone z oświadczeniami pokojowemi, *grzeczności* względem Anglii. *grzeczności* względem dworu Petersburgskiego, *grzeczności* mianowicie względem Cesarza Karola VI tém naturalniejszéj, że nie kto inny, jak tenże Cesarz wstawiał się za nim u srogo zagniewanego ojca, a w kłopotach pieniężnych młodego następcę tronu pruskiego regularnie wypłacaną wspiérał pensyą.

Czynny jednakże, i szukający z pewną niecierpliwością pola działania, umysł młodego króla pruskiego nie pozwala mu spocząć, a dość dziwacznie i charakterystycznie wskazują mu szczęsne czy nieszczęsne losy, jako pierwszego adwersarza po za granicami własnéj monarchii — *osobę duchowną* biskupa z Liège, nazwiskiem Berghes. Rzecz miała się następnie. Fryderyk rościł pewne pretensye do włości Heristall, owego Heristallu, z którego wyszła świetna tyle w dziejach średniowiecznych Europy dynastya Karolowingów. W wieku XVIII znajdował się Heristall w posiadaniu biskupów z Liège, którzy nie mieli szczególnéj chęci uznawania pretensyi królów pruskich, przyjmowania ich inkwaterunków, płacenia im lenniczych podatków. Poprzednicy Fryderyka II na tronie pruskim, nie kłopotali się zbytnio o podobny stan rzeczy, inaczéj on sam. Tuż prawie po zgonie ojca, zawezwał biskupa z Liège do spłaty zaległego lenniczego podatku i do pozwolenia na werbunki pruskie w kraiku. Biskup i reprezentanci miasta Liège odpowiedzieli na podobne wezwanie kategoryczną odmową, co Fryderyka spowodowało niezwłocznie do wojennego wystąpienia. Nie wdając się w dalsze negocyacye, wyprawił generała Borka w 2.000 ludzi do biskupstwa Liège i kazał mu obsadzić Heristall. Wobec podobnego *dictum acerbum* zmiękła opozycya zagrożonego kraiku, zwłaszcza że znikąd i od nikogo na pomoc liczyć nie było można. Rzesza niemiecka je-

dnakże i Cesarz protestowali przeciw podobnemu postępowaniu króla pruskiego, a ostatecznie załatwiła cały zatarg spłata 200.000 talarów, za której odebraniem Fryderyk zrzekł się wszelkich pretensyj do dzielnicy Karolowingów.

Drobiazg ten z pola działalności zagranicznéj miał poprzedzić akcyą ogromnych następstw, do któréj sposobności, powodu i pozorów dostarczył hojną miarą zgon Cesarza Karola VI w miesiącu Październiku r. 1740. Mówimy tu o „*rewindykacyi*“ Szląska, na mocy przedawnionych i przekreślonych kilkakrotnie układów sukcesyjnych, między Piastami Szląskimi a elektorem brandenburgskim w XVI wieku. Układy te były wyraźnie zniesione nowym układem między tak zwanym wielkim elektorem a Cesarzem Leopoldem I. Brandenburgia skwitowała wyraźnie ze Szlązka, pozwoliwszy się spłacić pozyskaniem okręgu Świebodzińskiego. Mimo to pozostał dawny *apetyt* na sukcesyą Szląską, a cały rozum historyków pruskich, nie wyjmując naturalnie i najobjektywniejszego z nich, Rankego, sili się, aby cokolwiek bądź, stworzyć przecięż władcom Brandenburgii jakiś prawny tytuł posesyi do Szląska. Szczérze i sumiennie powiedziawszy, nie udaje się wcale historyografii brandenburgskiéj przeprowadzenie tego zbyt trudnego dowodu, a jedynym tytułem prawnym, jak i Ranke ostatecznie po pewnych kołowaniach przyznaje, pozostaje materyalna przewaga pruska wobec chwilowéj *niemocy* austryackiéj. „Zdawało się w Berlinie“, mówi Ranke „rzeczą nieznośną przypuszczać, aby wśród oczekiwanego ogólnie zamieszania dwór saski mógł opanować prowincyą, do któréj Prussy tak wielkie a tak niezaprzeczalne mają pretensye. Saksonia i Polska mogłyby się na téj drodze rzeczywiście z czasem połączyć; wyniesieniu Pruss położonoby odtąd nazawsze koniec. I miałyż to Prussy, nie powiémy, uczynić, ale choćby tylko dopuścić, w czasie, kiedy wyraźną przewagę w ręku dzierżyły? Coby powiedziały późniejsze wieki o Fryderyku, gdyby był pozwolił na naturalny bieg rzeczy bez wmieszania się weń. Uważał więc jakoby za obowiązek *prawo* swe w życie wprowadzić.“

Istotnie, nie było też rzeczą zbyt trudną „*prawu*“ temu postarać się o *faktyczne*, co najmniéj, uznanie. Prussy miały wówczas nad Austryą przewagę, jaką mają zawsze organizmy, opierające swój byt na centralizacyi wojskowéj i administracyjnéj, nad organizmami natury federacyjnéj. Co zawarunkowało ich zwycięztwa w r. 1866, to samo dało im je w r. 1740. Austrya Karola IV i Maryi Teressy, była mimo cementu monarchicznego, konglomeratem federacyjnym z mniéj lub więcéj szerokim zakresem autonomicznym swych części składowych. Jednem z ogniw, największą dozą autonomii zaopatrzonych, był właśnie *Szląsk*. Wrocław, stolica, był właści-

wie wolném miastem, przyjmującém załogę cesarskiego wojska jedynie tylko za własném pozwoleniem. Kraj rządził się własną reprezentacyą, ustanawiał i ściągał sam swe podatki. Szląsk miał wszelki powód być zadowolonym z obszaru swych swobód, a jedynym elementem opornym byli protestanci Szląscy, poszukujący swego czasu protekcyi Gustawa Adolfa, Karola Gustawa i Karola XII, pragnący dzisiaj *może* przejścia pod panowanie monarchy swego wyznania. W podobnym składzie okoliczności mieści się tajemnica naturalnéj przewagi Fryderyka, i niemniéj naturalnéj niemocy austryackiéj, wyzywając zarazem działalność Fryderyka.

Co najdziwniejsza i co znów daje oryginalną miarę moralno-politycznéj wartości historyografii pruskiéj, to, że w złéj czy dobréj wierze, postępuje ona wiernie krętemi drogami sofistycznéj akcyi Fryderyka. Fryderyk ma pretensyą w swych odezwach, manifestach i notach dyplomatycznych wmówić w świat, że nie wchodzi jako nieprzyjaciel domu austryackiego do Szląska, lecz jako zwyczajny egzekutor służących sobie pretensyj. Fryderyk chce zagarnąć, prawda, Szlązk, *ale* jedynie tylko, jako dział sukcesyjny oddawna mu należny. Zato chce być przyjacielem Maryi Teressy, postarać się o wybór małżonka jéj Franciszka księcia Lotaryngskiego na tron cesarski Niemiec, zachować jéj, *prócz* zagarnionego Szląska naturalnie nienaruszalną całość wszystkich krajów, składających monarchią austryacką. Ranke, a cóż dopiéro Droysen, biorą podobną depeszową i manifestową *przyjaźń* całkiem na seryo, a dziwią się, jeżeli komu, to tylko „*zaślepieniu*“ dworu wiedeńskiego, to tylko Maryi Teressie, to tylko jéj doradcom Stahrembergowi i Bartensteinowi, którzy uważając zaczepkę Fryderykową za gwałt, propozycye jego za obelgę, odrzucają podobną *przyjaźń* z dumą magnata, wobec chcącego się z nim poufalić parweniusza. Rabulistyka owa historyografii pruskiéj ma ze stanowiska moralnego i historycznego, jako materyał do ocenienia jéj wartości, stokroć więcéj wagi od znanego dość dokładnie zresztą, faktycznego przebiegu całéj téj sprawy.

Posłuchajmy w téj mierze ciekawego w swoim rodzaju wywodu Rankego. „Najcharakterystyczniejsza w tém wszystkiém“, mówi, „że Fryderyk był przekonanym, iż niekoniecznie jeszcze właściwie z Austryą zrywa. Nie chciano już i wtedy wierzyć i dziś jeszcze panuje przekonanie, że Fryderyk popełnił względem Austryackiego domu tém samém krok nieprzyjacielski, którego świadomość rozumiał, o którym wiedział, iż przezeń koniecznie wszelki dobry stosunek z Austryą nazawsze zniweczonym będzie. Wszystko, co w zgodnéj myśli oświadczył, miało być niczém więcéj, jak udawaniem. Z konferencyj Rheinsbergskich widać jednakże, iż tak nie było. Jego do-

brze obmyślana dążność zmierzała *całkiem na seryo ku temu celowi*, aby, wykonywając swe „*prawo*“ przeciw Austryi, domowi temu w jego kłopotach, jakie mu się z powodu oporu przeciw pragmatycznéj sankcyi niezawodnie nadarzą, dopomagać.“ Niezrównana logika. Poprosić Austryą, w razie potrzeby z bronią w ręku, wśród najazdu na Szląsk, Czechy i Morawią wśród pożogi i rozlewu krwi, o wydanie sobie jednéj z najpiękniejszych prowinçyj, — by skoro się tylko jego napastniczéj pretensyi stanie zadość, uchodził za jéj sprzymierzeńca i przyjaciela! Austryacki dom nie pojmuje też i nie chce pojąć logiki podobnéj przyjaźni, czego znów historyograf pruski nie rozumie i nad niepoprawnym uporem dworu wiedeńskiego się gorszy. „Gdyby“, mówi, „w Wiedniu miano o tém (o postawie Bawaryi i Francyi) przeczucie, przyjętoby prawdopodobnie pruskie propozycye wcale inaczéj. W *zaślepieniu* jednakże, które nawet nie zasługuje na miano dobroduszności, ponieważ spoczywało na *pretensyonalnym uporze* i *zadawnionych antypatyach*, trzymali się Bartenstein i jego przyjaciele swéj mylnéj ufności“.

Napad Fryderykowy na Szląsk, to rewindykacya dobrego prawa, dumnie godna postawa Austryi i odrzucenie propozycyj pruskich, to karygodne zaślepienie. Otóż nowy słownik synonimów nowoczesnéj historyografii prusko-niemieckiéj...... Austrya odpowiada uzbrojeniami na propozycye pruskie, zapowiedzią odsieczy swym zagrożonym w fortecach szląskich załogom. Na podobne niebezpieczeństwo groźne swemu zdobywczemu przedsięwzięciu, odpowiada znów Fryderyk czynem, który nie gorszy bynajmniéj, bardzo drażliwego w każdym innym razie, patryotyzmu *niemieckiego* historyków pruskich. Zawiera pocichu przymierze z *Francyą* za pośrednictwem jéj posła w Berlinie Valorego, przyrzeka jéj współdziałanie w zamierzoném dziele napadu na dziedziczne kraje Austryi i zastąpienia cesarskości *habsburgskiéj* cesarskością *bawarską*. Czyn podobny ze strony Austryi, Saksonii czy Bawaryi uchodziłby i uchodzi zawsze w rozumowaniach historyków prusko-niemieckich, wszystkich owych Häusserów, Syblów, Droysenów za ciężką zdradę niemieckiéj ojczyzny i niemieckiego interesu. Ze strony Pruss i Fryderyka uchodzić nawet może i owa liga z „*Erbfeindem*“, z wrogiem dziedzicznym, za czyn jasnowidzącego na przyszłość patryotyzmu niemieckiego. „We dwa dni“, mówi Ranke „po powrocie, zakomunikował mu Valori propozycye swego dworu. Odprawiony przez Austryę ze swemi propozycyami, zagrożony walką na śmierć i życie, czyż nie miał propozycyi, jaką była *owa*, pochwycić z radością, opuścić swéj pierwszéj drogi, by się puścić drugą?“

Wśród podobnych okoliczności rozpoczyna się z wiosną r. 1741 właściwa akcya wojenna, odkąd feldmarszałek austryacki hr. Neipperg zdołał zebrać armią i wkroczyć na Szląsk. Przebieg jéj faktyczny znany aż nazbyt dobrze i nie ma dla naszego krytycznego zadania zbyt wielkiego interesu. Fryderyk zdobywa bez szczególnego oporu fortece szląskie Głogów i Brzeg; następnie zajmuje podstępem Wrocław i rozbraja jego załogę miejską, przypominającą nieco Albertusowe przybory naszych pospolitych ruszeń. Dnia 5 Kwietnia r. 1741 przychodzi do pierwszego w téj wojnie walnego spotkania pod Małowicami (Mollwitz), z którego Schwerin, podkomendny Fryderyka, wychodzi ostatecznie zwycięzko, kiedy on sam, uważając bitwę za przegraną, ucieka z jéj pola do miasteczka Löwen. Armia austryacka cofa się ku górom Olbrzymim, kiedy król pruski sadowi się w Szląsku i utwierdza umiejętnie na zdobytych stanowiskach. Równocześnie występuje na widownię Francya ze swym tradycyjnym antagonizmem przeciw domowi habsburgskiemu i popycha, jako taran, przed sobą Bawaryą i elektora jéj Karola Alberta, który pod *jéj* opieką, a pod nazwą Karola VII bierze w swe ręce samozwańczą cesarskość niemiecką. Fryderyk działa, w porozumieniu z owym cesarzem francuskiego autoramentu i francuskiéj protekcyi, przeciw reprezentantce starożytnego rodu Cesarzów niemieckich, wiąże się z nimi uroczystym traktatem na lat *piętnaście*. Austrya znajduje się w skutek tego w największym kłopocie. Francuzi przechodzą Ren, elektor Bawarski granice Austryi, zajmuje pograniczne miasto Schärding, posuwa się następnie do Lincu. Jest to owa dramatyczna w życiu Maryi Teressy chwila, w któréj młoda monarchini rzuca się w objęcia Węgrów, mających jéj odpowiedzieć słynnym po wszystkie czasy wykrzyknikiem: *Moriamur pro rege nostro Maria Theresia!* ale w któréj nie śpi również i akcya dyplomatyczna. Główną rolę w tym względzie odgrywa *Anglia*. Reprezentanci jéj Hyndfurd i Robinson, arcyksiążę Karol Lotaryngski, sam feldmarszałek Neipperg pojmują nareszcie, że dwom inwazyom równocześnie podołać będzie trudno monarchii austryackiéj. Koncesye dla Fryderyka wydają się Austryi mniéj esencyonalnéj natury, aniżeli godzące w jéj serce i tradycyjną władzę przedsięwzięcie Francuzów i Karola VII.

Hyndfurd i Neipperg udają się tedy do Fryderyka i zapytują go wśród zaręczeń dyskrecyi, czyby nie chciał może, w zamian ustąpienia Szląska ze strony Austryi, pozwolić jéj zwrócić się całym ciężarem sił przeciw inwazyi francuzko-bawarskiéj? Mimo zawartego co dopiero z Francyą i Bawaryą na lat piętnaście przymierza, podaje Fryderyk jak najchętniéj ucha podobnym propozycyom, a pod d. 9 Października 1741 staje we wsi Klein-Schellendorf na Szląsku między

Fryderykiem a feldmarszałkiem Neippergiem, wśród zaręczenia najgłębszéj tajemnicy, traktat na mocy którego odtąd ma tylko między Prussami a Austryą być prowadzona *wojna pozorna* (ein Scheinkrieg), ograniczająca się na obleganiu niby to Nissy, która ostatecznie ma się poddać królowi pruskiemu. Austrya zyska tymczasem możność i swobodę zwrócenia się całym ciężarem sił przeciw Francuzom i Bawarom. Fryderyk zdradza w ten sposób swych sprzymierzeńców francuskich i bawarskich, prowadzi owę wojnę pozorną przeciw Austryi, *einen Scheinkrieg*, jak mówi traktat Schellendorfski, *ale* na uniewinnienie autora *antimachiawella* można przynajmniéj powiedzićć że i w *tym* traktacie zbyt długo nie trwa. Ranke znajduje, nawiasowo powiedziawszy, podobne złamanie wiary traktatowéj, skoro tylko było w interesie Pruss, całkiem naturalném, a czém się tylko gorszy, to że „*machwiawellizm*“ niegodziwéj polityki austryackiéj był niedyskretnym i rozgadał Anglikom i po Dreźnie tajemnicę „*Scheinkriegową*“ traktatu Schellendorfskiego! Czyby historyografowie i publicyści pruscy równą względnością byli pokryli np. odstępstwo podobne Włoch od przymierza pruskiego w r. 1866, może być rzeczą wątpliwą.... Ku wytłumaczeniu zmiennictwa Fryderykowego wyprowadza Ranke na scenę Grocyusza, Spinozę i Puffendorffa.

Na szczęście jednakże, jak już powiedziano, nie trwa Fryderyk zbyt długo, i to z bardzo naturalnych powodów, przy traktacie Schellendorfskim.

Fortuna wojenna Austryi odmieniła się w skutek niego jakby za uderzeniem różczki czarodziejskiéj. Neipperg przeniósł się ze swą armią nad Dunaj; powstanie węgierskie pod wodzą generała Biörcklan rzuciło się z rodzajem wściekłości na Franko-Bawarów i wypędziło ich z granic Austryi, zagrażając samemuż Monachium. Marya Teressa podniosła głowę i odetchnęła. Cóż znów, pyta historyografia pruska przez usta Rankego, „naturalniejszego“, jak że w obec podobnych powodzeń Austryi, Fryderyk czuje się zakłopotanym, jak że się poczyna obawiać o przyszłość swéj zdobyczy szląskiéj, jak że znów, słowem, odstępując od swych obowiązków, podjętych w Klein-Schellendorf, zbliża się do cesarza Karola VII i Francyi. W nagrodę czynniejszéj akcyi przyrzeczono mu z *téj* strony posiadanie hrabstwa Kłodzkiego, do którego nigdy, choć najwymarzeńsze jego prawa i pretensye nie sięgały dotąd. Pod wpływem tego przyrzeczenia pod wrażeniem obawy o zgubny dla siebie odwet Austryi, łamie tedy Fryderyk ugodę Schellendorfską, zamienia ułożony „*Scheinkrieg*“ ponownie na wojnę prawdziwą, i wkracza w zimie z r. 1741 na 42 do Morawii, paląc, niszcząc kraj, wieszając i rozstrzeliwając nie z namiętności i mściwości, ale z zimnego wyrachowania, by podobném

dawaniem się we znaki ludnościom monarchii austryackiéj, zmusić dwór wiedeński do tém prędszéj kapitulacyi, od ustąpienia Kłodzka, do zawarcia czém prędzéj pokoju. Taktyka podobna doznaje częściowego tylko powodzenia. Pobyt w Morawii zaczyna z powodu niedostatku żywności być trudnym, powstanie miejscowéj ludności i węgierskie, przecinane dowozy, przerwane komunikacye zmuszają Fryderyka z wiosną do odwrotu na Szląsk. Neipperg postępuje za nim zwolna, a w Maju r. 1742 przychodzi do nowego między obu stronami pojedynku pod Kotażycami, do honorowego spotkania, bez którego Austrya nie uważała za rzecz stosowną pozbywać się Szląska na rzecz pruską

Wypadek owéj bitwy wcale nie niezaszczytny dla Austryaków, był przecięż ostatecznie korzystniejszym dla Fryderyka, i utorował zarazem drogę podjętym przez posła angielskiego, lorda Hyndfurd, negocyacyom pokojowym. Przemawiały wprawdzie przeciw nim, jak i historyografii pruskiéj zaprzeczyć niepodobna, — traktatowe zobowiązania względem Karola VII i Francuzów, ale miałże, pytają znów pp. Ranke i Droysen, Fryderyk dla jakichś tam teoretycznych skrupułów, poświęcać interes monarchii pruskiéj i własnéj dynastyi. Rozgrzeszają go więc mimo zgorszenia francusko-bawarskiego tém pochopniéj, że przecięż już filozof Spinoza, że przecięż już i wielcy mistrzowie prawa publicznego, jak Puffendorff i Grocyusz, podobne przypadki w uczonych swych traktatach przewidzieli, a podobnemu postępowaniu niezaprzeczalne udzielili rozgrzeszenie.... Lord Hyndfurd rozpoczyna tedy dzieło negocyacyj; następca hr. Sinzendorfa w radzie Maryi Teressy, Uhlefeld, okazuje się również skłonnym do ustępstw względem Pruss, by tém energiczniéj wystąpić w obec Rzeszy, Bawaryi i Francuzów, a wśród takich okoliczności przychodzi w Czerwcu r. 1742 do skutku pokój Wrocławski, instalujący uroczyście Fryderyka w jego zdobyczy Szląskiéj. Przy następném rozgraniczeniu w miesiącu Sierpniu 1742, skarży się Ranke, iż Austryacy oszukali biednego Fryderyka i jego „*dobre prawo*“, odcinając nie— jedno na rzecz Austryi, co się „*należało*“ Prussom, zachowując mianowicie Maryi Teressie owo miasto Jägerndorf, które sama nazwa, figurująca w traktacie sukcessyjnym z XVI wieku, namaszczała niejako teraz na zaszczyt posiadania pruskiego, które więc znów tylko z „*dobrego prawa*“ przypadało Fryderykowi. Tutaj to przechodzi historya w sofistyczno-adwokacki wywód, którego krętych dróg i rozumowań nasi czytelnicy nie mają powodu być ciekawi.

Następnie poświęca autor obszerny ustęp organizacyi Szląska przez Fryderyka, rozpoczynając go sentencyą: „W dawnych czasach była zdobycz równocześnie podbojem; w nowszych czasach jest po-

łączeniem, sklejeniem". W gruncie rzeczy widzimy jednakże, nawet choćby tylko z opowiadania autora, iż mimo podobnéj doktryny, rządy Fryderyka w Szląsku były odrazu fiskalne, że przekreśliły jednym zamachem pióra dotychczasową autonomią polityczną i administracyjną kraju, a że jeśli był ktoś, co miał powód być zadowolonym ze zmiany rzeczy, to tylko protestanci szląscy, doznający odtąd, jako element sprzyjający państwu, wielkiéj jego protekcyi. Niedość na tém, co ważniejsza może, jako skazówka i przygotowanie przyszłości, organizuje Fryderyk Szląsk militarnie, podnosi stan fortec, liczebnie stan armii....

Tymczasem, gdy tak zapomocą sprzymierzeńcow, których w krytyczném położeniu opuścił, gdy za współdziałaniem „dziedzicznego nieprzyjaciela ojczyzny niemieckiéj" i zbuntowanych przeciw rodowi Habsburgów wasalów, wynosi na bezpieczny brzeg swą szląską zdobycz, trwa nieprzerwanie w Niemczech owa wojna o sukcesyą austryacką, która, jak zaraz zobaczymy, znów go na pole czynu wywołać miała. Austrya, sprzymierzona z Anglią i Hannowerem, odnosi czy to w Niemczech, czy w bliższych i dalszych Włoszech same tylko korzyści. W Czerwcu r. 1743, zwycięża tak zwana armia pragmatyczna pod dowództwem samegoż króla angielskiego Jerzego II, Francuzów pod wodzą księcia Broglie, w bitwie pod Dettingen. Zobaczymy zaraz, *jakie* obawy, choć z pewnością nie patryotyczno-niemieckiéj natury, wywołują podobne postępy Maryi Teressy i jéj sprzymierzeńców przeciw *„dziedzicznemu nieprzyjacielowi ojczyzny niemieckiéj"* i jego klientowi, samozwańczemu cesarzowi Karolowi VII.... Logika polityczna Fryderyka jest bardzo prostą, naturalną, ze swego partykularnego i dynastycznego stanowiska słuszną. Jeżeli Austrya, rozumuje on bardzo jasno, zwycięży w Niemczech Francuzów i Cesarskość niemiecką z ramienia francuskiego, zwróci się prędzéj czy późniéj cały ciężar jéj odwetu przeciw Prussom, a zdobycz Szląska i jéj trwałość, staną się mocno zakwestyonowanemi. Nie pozostaje więc nic innego, jak zamach uprzedzić i samemu wojnę rozpocząć.

Zamiast téj prostéj i zatwierdzonéj logiką polityczną, udowodnionéj przebiegiem wypadków genezy, tak zwanéj drugiéj wojny szląskiéj, cóż robi Ranke? cóż robi nowoczesna historyografia pruska w ogóle? Zmienia prawdę historyczną w adwokacki wywód, tłómaczy, że Fryderyk chciał postawić i poprzéć niemiecką cesarskość niezależną od domu habsburgskiego, że, co najważniejsza, jako patryota niemiecki, chciał od podjętego przez się dzieła trzymać w pewnéj odległości francuzkiego „*Erbfeinda*". Tymczasem, co najpocieszniejsza, już na następnych nieledwie stronicach, po podobném za-

ręczeniu zaprzeczyć nie mogą ci historycy, że Fryderyk, obowiązując się dla cesarza Karola VII zdobyć Czechy, wytargował sobie odeń zawczasu, jako nagrodę, posiadanie powiatów Czeskich, Pardubickiego i Königingratzkiego; że zaś koniecznie potrzebując sprzymierzeńców, w obec wątpliwéj postawy Szwecyi i Rossyi, udał się się wprost do Ludwika XV z prośbą o pomoc, przeciw starodawnemu, niemieckiemu rodowi Habsburgów. Pamięć i logika historyografii pruskiéj są pod tym względem budujące zaiste. Na stronicy 61 piątego tomu mówi Ranke o Fryderyku: „iż związkowi swemu z cesarzem Karolem VII pragnął przedewszystkiém zachować barwę *niemiecką*, i że do armii sprzymierzonéj nie należy w żaden sposób przypuszczać posiłków francuskich". O kilkanaście stronic daléj przytacza *dosłownie* list tegoż samego Fryderyka do Ludwika XV brzmiący, jak następuje: „Jakąż to sławę pozyska sobie W. K. Mość w téj kampanii! Podług wszelkiego prawdopodobieństwa będzie armia księcia Karola, skoro się cofnie za Ren, zniszczoną!" Otóż patryotyczne westchnienie Fryderyka za powodzeniem francuskiéj broni, tegoż samego Fryderyka, który na stronicy 61, w dziewiczéj nieskazitelności patryotyzmu niemieckiego, sromał się z przypuszczeniem posiłków francuskich do sprzymierzonéj armii. Otóż zarazem jednakże dowód, jak dalece i do jakiego stopnia, potrzeba i dążność przekręcania jawnéj i prostéj prawdy dziejowéj, w interesie chwilowych wymagań panującego systemu politycznego, czy panujących politycznych prądów, — zdolna zaćmić i zamącić pamięć i logikę choćby nawet niepospolitych umysłów, jakiemi są niezaprzeczenie Ranke i Droysen.

Zresztą stwierdzają natychmiast wypadki prawdę owéj patryotyczno-niemieckiéj akcyi Fryderykowéj. W lecie r. 1744 przechodzi armia austryacko-niemiecka pod dowództwem księcia Karola Lotaryngskiego Ren, i zabiéra się zdobyć na Francyi Alzacyą i Lotaryngią. Obie krainy mają już być dla Francyi stracone, „*Erbfeind*" niemiecki ma być poza ich granice wyparty, gdy w tém pojawia się *Fryderyk* na scenie i zmusza w Sierpniu r. 1744 napadem, wykonanym na Czechy wskroś centralnéj Saksonii, armią austryacką do wypuszczenia pogranicznych prowincyj francuskich z niebezpiecznych kleszczów. Wywiązując się z zobowiązań, podjętych względem Karola VII, pragnąc, co ważniejsza naturalnie, wejść co prędzéj w posiadanie odpowiedniego zastawu, mającego mu zabezpieczyć przyszły nabytek przyrzeczonych dwóch okręgów czeskich, wkracza Fryderyk do Czech, zajmuje Pragę, szerzy się po kraju, co mu tém łatwiéj, że kraj ogołocony z wojska, że książę Karol nad Renem. Łatwa ta zdobycz, jednakże równie łatwo stracona. Wśród jesien-

nych i zimowych słot roku 1744 zaczyna być kłopotliwém dostarczenie żywności i furażu, ludność słowiańska Czech powstaje dokoła i przecina armii pruskiéj dowozy, wreszcie nadciąga też armia księcia Karola, a wraz z nią chmary węgierskiego powstania pod dowództwem feldmarszałka Karolyego. Fryderyk cofa się, jak niepyszny, na Szląsk, dokąd za nim wkracza armia austryacka, szerząc po prawym mianowicie brzegu Odry zagony jazdy węgierskiego powstania. Położenie strategiczne Fryderyka staje się w skutek tego mocno zakłopotaném, wiara w geniusz jego we własnym nawet obozie poczyna słabnąć.

Nie dość na tém, gromadzą się nad jego głową chmury politycznéj doniosłości. Austrya, Saksonia i Anglia zawierają pod d. 8 Stycznia 1745 r. w Warszawie traktat, którego treścią i celem uszczuplenie Brandenburgii aż do granic niemal dawnego margrabstwa. Austrya ma odzyskać Szląsk, dostać może nawet w dodatku Magdeburg, o który się jednakże targuje z Hannowerem i Saksonią, Saksonia ma dostać powiat Swiebodziński lub Krośnieński, pod każdym zaś warunkiem skrawek pruskiego kraju, stanowiący ciągłość terytoryalną z Polską. Rzeczpospolita polska ma odzyskać książęce Prussy za Kurlandyą i Białą Ruś, ustąpioną wzamian Rossyi. Traktat ten, jakkolwiek w ścisłéj trzymany tajemnicy, przeniknął jednak do wiadomości dworu berlińskiego i rzucił niemały alarm. Upadek ducha był ogólny; sam *alter ego* polityczny Fryderyka, minister jego Podewils, stracił wiarę w powodzenie domu brandenburgskiego i był tylko w wątpliwości, dokąd właściwie przewieść z Berlina skarb i rodzinę królewską, do Magdeburga czy też do Szczecina. Położenie Fryderyka było istotnie krytyczném, a podziałowy plan związanych traktatem warszawskim mocarstw wcale wykonalnym, *gdyby* na nieszczęście ówczesna Rzeczpospolita polska nie była sennie rozpitą i rozhulaną Polską Augusta III; gdyby ówczesna Saksonia nie była reprezentowaną przez nikczemnika, jak Brühl, gdyby wreszcie Anglia, zamiast dzwonić zdaleka funtami szterlingów, była zstąpiła szczérze i energicznie na widownię toczącéj się walki.

Zaczarowane koło *takich* przeciwników było Fryderykowi nie trudno przebić jakkolwiek. Cesarz Karol VII umarł w Styczniu 1745 r. a zawarty w Kwietniu tegoż roku w miasteczku Füssen z następcą jego traktat Austryi, wykreślił Bawaryą z rzędu sprzymierzeńców Fryderykowych. Wkrótce też przechyla się szala sytuacyi, wojennéj przynajmniéj, na korzyść Fryderykową. Po małoważnych, ale szczęśliwych dla oręża pruskiego spotkaniach pod Habelschwerdt, Raciborzem, Płoszkowicami, — przychodzi nareszcie d. 3 Czerwca

1745 pod Hohenfriedbergiem, u stóp gór szląskich, do walnéj bitwy między samymże Fryderykiem a księciem Karolem. Zwycięstwo pozostaje po stronie pruskiéj, los wojny i przyszłości nierozstrzygniony wprawdzie jeszcze przez to stanowczo, ale grożąca domowi brandenburgskiemu zguba odwrócona przynajmniéj, zdobycz Szląska ocalona na tymczasem,—co nie przeszkadza, że rozpoczęta przez Fryderyka wojna toczy się mimo podobnego nieprzyjemnego dla koalicyi *intermezzo* daléj... Tocząc się daléj w ten sposób, sprowadza coraz to korzystniejsze dla polityki Fryderykowéj konstelacye. Nasamprzód odnosi Maurycy saski zwycięstwo nad sprzymierzoną armią angielsko-holenderską d. 11 Maja 1745 pod Fontenoy, w skutek czego król pruski przesyła królowi „*Erbfeindów*“ entuzyastyczne powinszowanie. Niedość na tém: ląduje Karol Edward, pretendent, na ziemię szkocką, doznaje początkowo powodzenia, zajmuje Edymburg, co wszystko razem skłania gabinet londyński do pewnego namysłu i do koncesyi na lądzie stałym Europy z korzyścią Fryderyka. Tryumf polityki austryackiéj w Niemczech przez wybór i koronacyą na Cesarza niemieckiego Franciszka I, małżonka Maryi Teressy, mało już w podobném położeniu rzeczy zmienić zdolny, tém bardziéj, że Prusacy odnoszą pod Soorem d. 30 września 1745 nowe zwycięstwo nad księciem Lotaryngskim i nie dopuszczają ponownego wkroczenia jego na Szląsk.

Ostatnia nadzieja, wśród podobnych okoliczności koalicyi antifryderykowéj, polega na współdziałaniu armii saskiéj pod rozkazami hr. Rutowskiego, austryackiéj pod dowództwem brata Cesarskiego księcia Karola Lotaryngskiego. Saksonia odbiéra od Fryderyka najponętniejsze ofiary, byle tylko odstąpiła przymierza austryackiego. Zdeptana jednakże przez jego wojska mimo neutralności, dotknięta do żywego na czci, niechce o nich ani słuchać, a na ten raz wyjątkowy, niepodobna Brühlowi, tyle nikczemnemu i niedołężnemu zkądinąd, zarzucić, aby jego polityka nie była miała słuszności i godności za sobą. Co szczególna, to że Fryderyk, co szczególniejsza jeszcze, to że historyografia pruska mówią znów o „nieuzasadnionéni niczém zaślepieniu mężów stanu saskich“ i tłumaczą, jak dalece Prusacy chcieli pobić Sasów i zająć Saksonią, „*we własnym tego kraju interesie.*“ „Z takiego stanowiska,“ mówi dosłownie Ranke „miał książę Anhalt zadanie spędzić Sasów, nie, aby kraj ich zdobyć, lecz aby pokój wymusić, jak król mówił, aby im wydrzeć z ręki miecz, którym się tylko ku własnéj posługiwali zgubie.“ Nie mógł nikt z pewnością szczerzéj wyznawać ojcowskich uczuć dla zaślepienia biednych Sasow, radykalna dla nich kuracya nastąpiła d. 15 Grudnia 1745 r. w bitwie pod Kesseldorf. Sasi połączeni z Au-

stryakami pod dowództwem Rutowskiego, zostali ostatecznie przełamani przez Prussaków, zostających pod wodzą księcia Anhalt. W kilka dni późniéj zajął Fryderyk Drezno, gdzie według opowiadania swych historyografów, czarował ludność urokiem swéj przyjemności, gdzie słuchał oper a płacił gotówką za wszystko, czego tylko wojsku dostarczono. Podpisany w Dreźnie d. 25 Grudnia 1745 pokój gwarantował za ponowném pośrednictwem angielskiém Fryderykowi zdobycz szląską. On sam uznawał w zamian Cesarskość męża Maryi Teressy. Zawarty w trzy lata późniéj na kongresie Akwisgrańskim ogólny pokój europejski, przyjął pomiędzy swe stypulacye gwarancyą Szląska dla Fryderyka.

Tak wyszedł nareszcie król pruski zwycięzcą z pięcioletnich prawie zapasów wojennych, by je po jedenastu latach rozpocząć na czas dłuższy. Ta jedenastoletnia pauza jest przecięż chwilą wytchnienia pokojowego, którą Fryderyk umiejętnie, zabiegle a z prawdziwie organizatorskim talentem wypełnia, któréj zaś jego historyograf, nieprzechodzący w swych *Dwunastu księgach dziejów pruskich* jéj zakresu, ostatni ustęp swéj książki poświęca. Podobnie jak w dziedzinie wojny i polityki, tak i w dziedzinie owéj działalności organizatorskiej na wewnątrz, idealizuje autor swego bohatera. Robi zeń filantropa i filozofa, kiedy w gruncie rzeczy prawdzie historycznéj trudno się w nim czego innego dopatrzéć, jak dobrego i przezornego gospodarza, który we własnym interesie podnosi racyonalnie stan kultury swéj posiadłości, nie przeciąża robotnika zbytkiem pracy, sypie koniom obrok, bo wycieńczony człowiek czy schudzony koń, naturalnie, niedobrym jest w gospodarstwie czynnikiem. „Podnieść wyżéj zdolność podatkową (Steuerkraft) kraju, dodać kilka nowych pułków do liczącéj już 140.000 ludzi armii,“ otóż główny mianownik, do którego ściągają się i streszczają zgodnie wszystkie szczegóły akcyi Fryderykowéj, a które potem historyografia i własne bohatera dzieła, wierszem i prozą, otaczają nimbem jakiejś praktycznéj filozofii czy filantropii może nawet Burrusowo-Senekowéj, przepuszczonéj przez alembik Kornelowo-Rasynowych tragedyj.

Nic słuszniejszego, jak pisząc dzieje Fryderykowe, poświęcić kartę właściwą owéj grze na flecie, owym popędom literackim, owym aspiracyom filozoficzno-moralno-religijnym. Brać je zbyt na seryo, skoro się patrzy na czyny polityki Fryderykowéj, jest grzechem czy to prawdziwéj czy afektowanéj naiwności. „Wystarczało dlań“, mówi Ranke „przekonanie, że cel świata zależy na indywidualném szczęściu. Prawdziwa filozofia nie zależy na śmiałych spekulacyach, przez co nauka robiłaby się sztuką domysłów i przy-

puszczeń, zostałaby oderwaną od obyczajów, lecz na *moralności*, która gwałtowność pierwszych wrażeń zdolna miarkować i osiodłać. Aby być szczęśliwym, trzeba żyć moralnie, położenie swe oceniać, starać się o umiarkowanie, życia zbyt wysoko nie cenić. Religijne uczucie Fryderyka nie wznosiło się ponad pierwsze i najbezpośredniejsze elementa, *moralna natomiast świadomość jego była najżywszéj energii*. Jako jeden z pierwszych obowiązków człowieka, podwójnie konieczny na jego stanowisku, *uważał panowanie nad samym sobą i pracował w tym celu nieustannie w swém wnętrzu*. . Z wszystkich poetów lubił najwięcéj Racine'a, którego wysoko ponad Voltaire'm stawiał, nie tylko dla harmonii i muzyki języka, lecz dla treści; w swych podróżach, w powozie, czytał go ciągle nanowo i uczył się całych miejsc na pamięć. Z wszystkiego jednakże, co tenże poeta napisał, nie robiło nań nic większego wrażenia, jak scena (w IV akcie Britannicus'a),—w któréj Burrus młodemu Neronowi przedstawia, że świat może monarchom zawdzięczać dobrodziejstwo ogólnego szczęścia, że monarcha taki może sobie powiedzieć, że wszędzie w téj chwili jest błogosławionym i kochanym. Ach! wołał często Fryderyk, czyż jest coś wznioślejszego i patetyczniejszego od téj mowy; nie czytam jej nigdy bez najgłębszego wzruszenia. Odkładał książkę, łzy tłumiły głos jego; ten Racine, wołał, rozdziéra mi serce!...“ „*Difficile est*,“ mówią Rzymianie „*satyram non scribere*.“

Nie przeszkadza to jednakże *sumiennemu* świadectwu prawdy historycznéj, iż po za granicami owéj łzawéj czułości, w obrębie własnego, dobrze zrozumianego interesu, organizatorska czynność Fryderyka miała swą niezaprzeczoną wartość i zasługę. Reforma sprawiedliwości za inicyatywą i współdziałaniem światłego ministra Coccejego, zaprowadzenie sprężystéj administracyi, podniesienie materyalnego dobrobytu kraju, upiększenie Berlina i Potsdamu, reorganizacya armii, założenie akademii umiejętności w Berlinie, sprowadzenie Voltaire'a i Maupertuis'a na dwór pruski, dwóch osobistości, które się nawzajem znosić nie mogły, z których pierwsza chciała najrozmaitszemi sztukami wyrugować drugą, a z których przecięż druga nad pierwszą w łaskach królewskich odnosi zwycięstwo,—wszystko to prace, zatrudnienia i zasługi owego pokojowego okresu, po tak zwanéj drugiéj wojnie szląskiéj, po za który Ranke w Dwunastu księgach swych dziejów Pruskich nie przechodzi.

Poświęciliśmy umyślnie w sprawozdaniu naszém dziełu jego tak obszerne miejsce, ponieważ, prawdę powiedziawszy, do jego i Droysena osoby schodzą się, jak do ogólnego ogniska wszelkie promienie prusko-niemiecko-narodowo-liberalnéj historyografii. Te-

raz nasuwa się tylko naturalną koleją rzeczy, nieunikniona paralela między dwoma chorągwiami owéj historyografii, prowadzącemi z sobą cichą i mało-dostzegalną, ale niezaprzeczalną walkę rywalizacyjną. Paralela ta tém naturalniejsza, że obaj dziwnym zbiegiem okoliczności, Droysen w swéj *Historyi polityki pruskiéj*, Ranke w swych *Dwunastu księgach dziejów pruskich* objęli swém opowiadaniem jeden i ten sam obszar dziejowy, nie posuwając się dotąd po za jego granice; że obaj działają, jako nauczyciele historyi, przy jednéj i téj saméj wszechnicy, że obaj wreszcie cieszą się stanowiskiem urzędowych jakoby i zapatentowanych oficyalnie historyografów pruskich wśród obecnego stanu rzeczy... Zacznijmy od *wspólnych* cech i znamion. Monografia historyczna może się obejść bez ogólnego, historyozoficznego poglądu; nieunikniona natomiast obecność podobnego warunku w dziełach, obejmujących *całość* dziejowego pasma pewnego narodu, organizmu czy społeczności. Cokolwiekbądź kto powie, *jest* pewna harmonia świata, *jest* pewna orkiestrowa zgoda w wielkim dziejowym koncercie, w którym każdemu narodowi przypada rola czy funkcya osobnego instrumentu. Są jednakże, jak się to w każdym koncercie wydarzyć może, i w olbrzymim koncercie dziejów świata, żywioły dysonancyi, które całość psują i harmonii przeszkadzają. Naród niemiecki jako społeczność myśli, ducha i pracy, zajmie szerokie i zasłużone miejsce w ogólnym rozwoju ludzkości,—ale, zapytalibyśmy, jak się przedstawi ze stanowiska namysłu i krytyki historyozoficznéj, kreacya *brandenburgska* wyrosła na jego ciele? Nikt jéj nie zaprzeczy i zaprzeczyć nie może, że umiejętnie pracowała dla siebie saméj, że począwszy od uniwersytetu, skończywszy na sprzączce huzarskiego wędzidła, zdołała urządzić doskonale funkcyonującą machinę państwową, *ale* w któréj *racya stanu* jest wszystkiém, w któréj zaś dla swobody czy to indywidualnéj, czy zbiorowéj, wchodzącéj choćby w najlżejszy z wolą i potrzebą naczelną zatarg, nie ma miejsca i głosu. Jestto kreacya świecąca sobie i dla siebie raczéj, jak lampa w Rzymskim grobie; zabsorbowała ona Niemcy, zamieniła naród filozofów i myślicieli w batalion, ubezpłodniła niemieckiego ducha.

Z podobnie trudno-zaprzeczalnego pojawu nie zdają sobie historycy, jak Droysen, jak Ranke, sprawy; entuzyazmując się energią i dzielnością wielkiego elektora, entuzyazmując się choćby nawet dowodami kijowéj energii króla Fryderyka Wilhelma I, lubując się w szczegółach doskonałości administracyjnéj władców brandenburgskich, nie zadają sobie historycy tegocześni nigdy pytania, co z tych wszystkich militarnych i administracyjnych doskonałości przyszło dobrego społeczeństwu rządzonemu? czy je posunęły na drodze po-

stępu i swobody, na drodze duchowego rozwoju? Zadowoleni, skoro, dzięki doskonałości machiny militarno-administracyjnéj, ludność mnoży się dostatecznie, by wydać odpowiedni procent rekrucki, skoro dobrobyt jéj wzrasta równie dostatecznie, by dochodami swemi opędzić koszta zamienionego w żołnierza królewskiego chłopa. Cieszą się tedy obaj historycy z doskonałości owéj machiny, *dla niéj saméj*. Jaka jest korzyść moralna i społeczna dla ludzkości, o to nie pytają. Wypływając, jak ze wspólnéj przystani, z podobnego stanowiska na przestwór dziejowy, różnią się przecięż nieco obaj historycy w ciągu swéj podróży, a porównanie wypadłoby tu wyłącznie na korzyść Rankego. Ranke jest wprawdzie oficyalnym historyografem, nie myśli stać na stanowisku moralno-politycznym Schlossera, Rottecka, choćby nawet Raumera lub Stenzla,—lecz trudno zaprzeczyć, iż znać po nim jakoby pewien powiew owéj lepszéj epoki, jakoby wpływ owych ludzi i ich wyobrażeń. Ranke, w ocenieniu dawniejszéj zwłaszcza historyi brandenburgsko-pruskiéj, nie przyznaje tak bezwzględnie nieomylności wszystkiemu, co pruskie; nie dopatruje się téż jeszcze z tak kategorycznem jasnowidztwem, jak to czyni Droysen, w kolébce Hohenzollernów berła zjednoczonych za dni naszych Niemiec. Jest tam jeszcze jakby uczucie pewnéj sprawiedliwości i przedmiotowości. U Droysena jest jedynie *prawém* interes Pruss, pożądliwość ich racyą, bez żadnych osłon i ogródek stylowych i ekspozycyjnych. Gdzie i odkąd dopiéro rozłączone nawy obu historyków płyną zgodnie razem, to za dotknięciem się dziejów Fryderyka II. Tutaj znów przykładna między nimi w zapatrywaniu się ich zgoda, a Fryderyk jest równie nieomylnym dla obu, jak prawo jego i racya w każdym kroku i szczególe akcyi, nie podlegają najmniejszemu zarzutowi. Co się tyczy formy, góruje niewątpliwie gładko i powabnie opowiadający Ranke nad wymuszonym i afektowanym stylowo Droysenem, choć z drugiéj strony zaprzeczyć się nie da, że co się tyczy ścisłości historycznéj i zasobu źródłowości, profesor Droysen przewyższa swego kolegę Rankego, któremu, nawiasowo powiedziawszy, nie może darować zdobytego za prace historyczne w interesie pruskim predykatu szlachectwa, mówiąc o nim zawsze z pewnym, ironicznym przyciskiem: „*Herr von Ranke*"...

Poświęciwszy tak obszerne stosunkowo miejsce w niniejszym naszym przeglądzie dziełu profesora Rankego, żałujemy, iż nam z pomiędzy kolegów jego ani Sybel, ani Droysen nie dostarczają odpowiedniego materyału do naszego sprawozdawczo-krytycznego rozbioru. Sybel pracuje dotąd, o ile mu jego urzędowe zatrudnienia czasu do tego pozostawiają, nad dalszym ciągiem swego znakomi-

tego pod względem artystycznym dzieła *Geschichte der Revolutionszeit.* Droysen zatrudniony prawdopodobnie studyami do dalszego ciągu swéj *Historyi polityki pruskiéj*, któréj najbliższém teraz zadaniem będzie wojna siedmioletnia. W pauzie jednakże między ostatnim tomem, doprowadzającym rzecz aż do pokoju drezdeńskiego w r. 1745 a przyszłym, mającym podjąć dzieje siedmioletniéj wojny, wydał profesor Droysen szereg rozpraw treści historyczno-politycznéj, które nie zawadzi polecić uwadze czytelnika interesującego się nowoczesną historyografią niemiecką. Wydane to w Lipsku pod tytułem *Abhandlungen zur neueren Geschichte* dzieło, zawiéra następne rozprawy: *I. Zur Geschichte der Preussischen Politik in den Jahren 1830—1832. II. Preussen und das system der Grossmächte. III. Zur Geschichte der deutschen Partei in Deutschland. IV. Ein historischer Beitrag zur Lehre von Congressen. V. Der Nymphenburger Vortrag von 1741. VI. Friedrichs des Grossen politische Stellung im Anfang des Schlesischen Krieges. VII. Die Wiener Allianz vom 5 Januar 1719. VIII. Zur Kritik Puffendorfs. IX. Das Strahlendorff'sche Gutachten.* Nie mogąc i nie chcąc się w naszym przeglądzie wdawać w zbyt szczegółowy rozbiór pomienionych rozpraw, dość według nas ocenić i nacechować ogólny ich charakter, odpowiadający zresztą dosłownie i najdoskonaléj dotychczasowemu politycznemu i pisarskiemu stanowisku autora. Rozprawy, jak np. *Preussen und das System der Grossmächte, Zur Geschichte der deutschen Partei in Deutschland, Ein historischer Beitrag zur Lehre von Congressen,*—dotyczą właściwie nowszéj historyi Pruss po r. 1848 w dziedzinie dążności unitarno-niemieckich, a streszczają w gruncie rzeczy najdoskonaléj programy i wyznania wiary politycznéj tak zwanéj partyi Gotajskiéj z r. 1850, *Nationalvereinów* z przed roku 1860, wreszcie *Narodowo-liberalizmu* z chwili obecnéj. Nie wiele w nich zresztą budującego i ciekawego. Również nie powiedzielibyśmy, aby dla kogoś, co jak czytelnicy niniejszego czasopisma, zna *Dzieje Fryderyka II* Droysena, rozprawa jego o polityce tegoż króla w początkach pierwszéj wojny szląskiéj była szczególnie ciekawą. Natomiast jest pełną żywego dla nas interesu, napisana nawet z pewną bardzo pożądaną dla polskiego zwłaszcza czytelnika niedyskrecyą archiwalną, rozprawa o pruskiéj polityce między rokiem 1830 a 1832. Autor przedstawia w niéj ów oryginalny stosunek, w jakim gabinet berliński się znalazł wobec dwóch wybuchów, lipcowego w Paryżu, wrześniowego w Brukselli. W wątpliwościach ztąd wynikłych, było gabinetowi berlińskiemu przewodnią busolą święte przymierze wraz ze stypulacyami traktatów wiedeńskich. Na *ich* podstawie nastąpiło też wspólne porozumienie trzech północnych mocarstw, które się zgodziły na wspólną

akcyą dyplomatyczną a w razie potrzeby i wojenną w celu restauracyi obalonego we Francyi rewolucyą lipcową porządku rzeczy. Co jednakże wykonaniu podobnego planu przeszkodziło, to równoczesne wypadki nad Wisłą. Po skończeniu wojny w Polsce roku 1831 zwraca się wspólna akcya tychże samych gabinetów ku kwestyi belgijskiéj, którą jednakże wystąpienie dyplomatyczne Anglii i zbrojna interwencya Francyi ku zadowoleniu powstałych Belgów rozwiązują. Nie mniéj wielki interes dla dziejów naszych, z odleglejszéj tylko przeszłości, ma rozprawa *Die Wiener Allianz vom 5 Januar 1719.* Traktat ten i towarzyszące mu okoliczności są, nie jedynym niestety, dowodem nierozumu i niedołężności, jeżeli nie zepsucia naszego w XVIII wieku. Rzadko wydarzającym się w dziejach panowania Augusta II przypadkiem, zbiegł się tutaj interes królewski z interesem, dobrem i potrzebą rzeczypospolitéj. Król zawarł pod d. 5 Stycznia 1719 r. w Wiedniu, przez Flemminga i regenta kancelaryi koronnéj Dunina, traktat z Anglią i Austryą, mocą którego strony zawierające układ obowiązywały się w razie potrzeby z bronią w ręku wyemancypować Rzeczpospolitą Polską z pod wpływu i przewagi jakich bądź pogranicznych mocarstw. Łatwo pojąć, iż sens moralno-polityczny podobnego traktatu zwracał się niebezpieczną doniosłością w swych skutkach przeciw Rossyi z jédnéj, przeciw Prussom z drugiéj strony. Oba mocarstwa starały się też bardzo słusznie i bardzo naturalnie ze swego stanowiska traktat ów obalić i tworzącą się koalicyę zerwać. Co jednakże rzeczą mniéj naturalną, to że starania ich w Polsce nie napotykały wcale opoczystéj roli a że, bądź to ciemnota, bądź pozioma spekulacya spowodowały znaczną część szlachty, magnatów i dygnitarzy polskich, do zabiegłéj roboty z reprezentantami sąsiednich mocarstw ku obaleniu dzieła traktatu. Interesująca ta sprawa jest przedmiotem opowiadania profesora Droysena, który ją ze źródeł archiwalnych wyświeca... Kończy wreszcie zbiór rozpraw krytyczne, znakomite studium autora o dziełach Samuela Puffendorffa, jako historyografa szwedzkiego i brandenburgskiego, tudzież o prawno-politycznéj pracy Strahlendorffa w sprawie interesującéj dom brandenburgski sukcesyi Jülichskiéj z r. 1609... Prócz tego dzieła nie dostarcza, jak już powiedzieliśmy wyżéj, historyk polityki pruskiéj na ten raz materyału do naszego obecnego przeglądu.

O wiele ciekawszém od powyższego zbioru luźnych i nie tworzących organicznéj całości rozpraw Droysena, jest świeżo wydane dzieło Wilhelma Onckena pod tytułem *Oesterreich und Preussen im*

Befreiungskriege. Jestto monografia poświęcona stanowisku Austryi i Pruss w chwili genezy wojny r. 1813. Nie potrzeba dowodzić, że jak zawsze i wszędzie, że jak w ciągu zawikłań i zaburzeń wojny 30-letniéj, że jak wśród wojen Fryderyka II z cesarstwem niemieckiém, że jak w epoce wojen rewolucyi francuskiéj z Niemcami, tak i w kwestyi zapatrywania się na genezę wojny r. 1813 wyrobiła sobie prusko-niemiecka historyografia osobną swą teoryą; według któréj *naturalnie* Prussom przypada szczytna rola śmiałéj i energicznéj inicyatywy w dziele oswobodzenia Niemiec, według któréj Austryi również naturalnie dostaje się rola przymuszonego i wciągnionego do akcyi niedołężnika, który ciągle daje dowody swéj złéj woli a niekiedy dobrą sprawę stanowczo zdradza. Autor niniejszego dzieła, nie można powiedzieć, aby mimo religijnie wyznawanego stanowiska pruskiego, szedł z zawiązanemi oczami za wskazówką téj teoryi. Studya jego wstępne były zbyt sumienne, czerpiące zbyt głęboko w archiwum berlińskiém i wiedeńskiém, aby mógł powtarzać zbyt niewolniczo za panią matką pacierz, aby się ograniczać na ogólnikach, choć, jak zobaczymy, góruje w nim znów ostatecznie owa nieuniknioną świadomość „*dobrego pruskiego prawa*".

Opowiadanie jego obejmuje przebieg rzeczy od chwili katastrofy r. 1812 przy poręczy, jeżeli tak wolno powiedzieć, archiwalnych dokumentów. Z opowiadania p. Onckena wypływa jako rzecz nowa i ciekawa, iż dziedziną, na któréj się oba mocarstwa niemieckie godzić i porozumieć pragnęły, była przyszłość księstwa Warszawskiego, do którego *prawo* Pruss, jak wszystkim historykom niemieckim nowego autoramentu, zdaje się p. Onckenowi być naturalnie niewątpliwém. Cesarz Aleksander obsadziwszy księstwo Warszawskie swemi wojskami, broni jego całości, Prussy mimo przymierza rossyjskiego patrzą na podobną okupacyą niechętném okiem, i zerkają ku Austryi, aby w porozumieniu z nią księstwo podzielić. P. Oncken godząc się naturalnie na dążność mocarstw niemieckich, nazywa równoczesną intencyą polityki cesarza Aleksandra względem księstwa Warszawskiego „*russische Eroberungsgelüste*". Generał Knesebeck jedzie w Lutym r. 1813 do Kalisza, by od cesarza Aleksandra żądać *suum cuique* z księstwa Warszawskiego z przed r. 1806. Cesarz Aleksander odpiéra to żądanie, wskazując Prussom indemnizacyą saską, a tymczasem przeznacza, chroniąc się od pożądliwości pruskiéj, pierwszą rolę w Niemczech — *Austryi*. W zgodzie do pewnego stopnia przynajmniéj z owym planem cesarza Aleksandra, jest pomysł dwóch mężów stanu pruskich, Steina i Hardenberga, podziału Niemiec i zmedyatyzowania małych książąt niemieckich na rzecz Pruss i Austryi.

Pamiętajmy zaś, że cały ten wir projektów, pomysłów i planów politycznych kołuje w chwili przedwojennéj, w owéj kilkutygodniowéj pauzie między powrotem Napoleona z Rossyi a wystąpieniem Pruss, kiedy oba mocarstwa niemieckie są napozór jeszcze w zgodzie i przymierzu z Francyą. Napoleon sam, według sprawozdań posłów pruskich, pełen z jednéj strony pochwał dla waleczności armii polskiéj w ciągu ostatniéj kampanii, zakłopotany z drugiéj i zdradzający wewnętrzny niepokój z powodu zagrażającego odstępstwa Pruss. Posłuchajmy odnośnych raportów, nasamprzód barona Krusemarka z Warszawy o rozmowie Napoleona z ministrami polskimi z d. 10 Grudnia 1812 r. „Stworzę”, mówi Cesarz „nową armią wynoszącą 300.000 ludzi, z którą wyruszę i Rossyan zniszczę. Jestem znakomicie zadowolony z wojsk polskich. Żadne inne nie wyrównywają im w odwadze, wytrwałości i dyscyplinie. Armia francuska nie jest już tém, czém była, zatraciła wszelką dyscyplinę już jéj nie poznaję”. „Możecie, (zwracajac się do ministrów polskich) być pewni méj opieki. Nigdy was nie opuszczę”.... Tenże sam dyplomata pruski zdaje następną sprawę z audyencyi u Napoleona, udzielonéj mu tuż pod wrażeniem wiadomości o znanéj kapitulacyi generała Yorka w Tawrogach. „Jeżeli król pruski“, mówił Napoleon „pozostanie mi wiernym, a myślę że nim będzie, gdyż nigdy nie wątpiłem o jego prawości, odzyska, cokolwiekbądź, swą niezależność polityczną. Gdyby sobie postąpił przeciwnie, któż wie? W pierwszéj alternatywie postarałbym się sam zachować Francyi w chwili pokoju sprzymierzeńca, któryby jéj mógł być użytecznym. Król może więc być przekonanym, że mogąc liczyć na niego, nie mam zamiaru wyrządzać mu złego, lecz świadczyć mu dobre i że wolę daleko bardziéj widzieć go panującym w Niemczech aniżeli księcia francuskiego (Hieronima), który robi tylko głupstwa i kłopoty, a którym się znużyłem i znudziłem do najwyższego stopnia“.

Gdy Napoleon w Paryżu robi podobne, niepotrzebne zwierzenia, z krzywdą własnego brata, posłowi pruskiemu, byle tylko utrzymać w jakim takim ładzie i składzie nienaturalny swój alians z mocarstwami niemieckiemi, — zwierzenia niebezpieczne, bo zdradzające jego rozdrażnienie i rzeczywisty kłopot, — kuje się tymczasem zabiegle dzieło porozumienia między pomienionemi mocarstwami a Rossyą, w celu wystąpienia wspólnego przeciw Francyi. W tymi celu wyprawia, jak już powiedziano wyżéj, gabinet berliński w Lutym r. 1813 generała Knesebecka do Kalisza, o którego missyi autor nader pouczająco mówi co następuje. „Był jeszcze drugi powód, który w interesie pruskim czynił natarczywie pożądaném porozumienie z Austryą. Była nim przyszłość księstwa Warszawskiego. Jest

rzeczą prawdopodobną — czytamy pod koniec instrukcyi dodatkowéj — że Austrya, jakkolwiek zdecydowana pokój nakazać, nie chciałaby go zbudować na szerokich i trwałych podstawach, jakieby mu dać powinna; żeby poprzestała, zapominając o Niemczech, na żądaniu dla siebie królestwa Illiryjskiego, Tryestu lub Fiume. W *takim* przypadku powinienby pułkownik (ówczesny) Knesebeck zawczasu nastawać na konieczność zaręczenia spokoju północy i wschodu Europy tym sposobem, iżby królowi (pruskiemu) powrócono księstwo warszawskie. Nabytek ten byłby nie tylko bardzo ważnym dla Pruss, którymby dostarczył wielkich środków potęgi i narodowego bogactwa, lecz stanowiłby także zasadę wolności północy (das Princip der Freiheit des Nordens), bo by zagasił ognisko coraz to nowych zamieszań i wojen. Wszystkie mocarstwa i Polacy sami mają interes w podobném załatwieniu rzeczy, które samo tylko jedynie pogodziłoby interesa trzech cesarskich dworów. Rossya nie może zatrzymać W. Księstwa Warszawskiego, jeżeli nie chce wejść w zatarg z Austryą i powiększyć trudności zawarcia pokoju z Francyą. Austrya powinna sobie życzyć, aby Prusy dostały księstwo Warszawskie, aby go nie wzięła Rossya, a Francya straciła wygodny środek wtrącania północy w stan zamięszania. Francya winna sobie życzyć wzmocnienia średniéj potęgi, jaką są Prusy. Polacy sami, skoro tylko na swobodę polityczną liczyć nie będą mogli, swobodą cywilną, spokojem i korzyściami swego handlu z pewnością się zadowolą". „Z rozmowy Napoleona z Krusemarckiem, mówi udzielona Knesebeckowi instrukcya, pokazuje się, że cesarz obawia się ogólnéj napaści wszystkich mocarstw na Francyą i że w konwencyi generała Yorka pierwszy symptom téj burzy upatruje. Czuje dobrze, że Prussy pierwsze mu się wymkną, zrzeka się niezależności Polski, pokazuje się koncesyjnym co do księstwa Warszawskiego, wypowiada aż nazbyt wyraźnie, że nie przyznaje wielkiéj wartości potędze swego brata, króla Westfalskiego. Z wszelką słusznością odpowiada na to Hardenberg: Wszystko to dotychczas tylko lep, aby czas ułowić i nic więcéj".

Raport Knesebecka z Kalisza nie odpowiada koniecznie życzeniom gabinetu berlińskiego. Wysłaniec pruski donosi, że cesarz Aleksander objawia myśl zamiany Saksonii na Prusy Wschodnie, któreby pragnął posiąść dla Rossyi, że zaś w przedmiocie ustąpienia Prusom Księstwa Warszawskiego okazuje się mocno opornym. Równocześnie wtrąca autor w swe opowiadanie znaczny ustęp z korespondencyi Cesarza Aleksandra, z któréj jak na dłoni widać, jak usilném było jego staranie, by powstrzymać tyle natarczywe zapędy pruskie ku księstwu Warszawskiemu. Mimo to nie zraża się chwi-

łowém niepowodzeniem gabinet berliński i wraca wytrwale do szturmu.

Nowa instrukcya udzielona Knesebeckowi pod d. 8 Lutego 1813 brzmi w tym względzie dosłownie, jak następuje. „Ważny bardzo artykuł dotyczy postępowania, jakie należy zachowywać względem dawniéj pruskiéj części księstwa Warszawskiego. Zdaje się rzeczą użyteczną, aby król wydał odezwę do swych dawnych poddanych w téműe księstwie, jakotéż w danéj chwili do ustąpionych w traktacie Tylżyckim pozaelbiańskich prowincyi; aby Prussy, dając Polakom korzyści o które się zawsze starali, natychmiast z ich środków użytek zrobiły, pruską administracyą zamianowały, pruskie wojsko formowały i t. d. Będzie na tém zależało, wybadać w tym punkcie zamiary cesarza Aleksandra i jeśli można, pozyskać go dla tego, co dopiéro powiedziano. Nadto będzie zadaniem pułkownika Knesebecka zbadać, jakby się Polacy sami na podobne postępowanie zapatrywali i jakby je przyjęli..... W razie gdyby Rossya miała nalegać na zysk terytoryalny w téj części księstwa Warszawskiego, która należała do Pruss, — jest pułkownik von Knesebeck upoważniony zgodzić się na to, aby ów nabytek był wzięty z Nowo-Wschodnich Pruss między staremi Wschodniemi Prussami a Niemnem, w tém miejscu, które mu wskazano“. Tymczasem nie chciał cesarz Aleksander w żaden sposób puścić się torem pożądanym przez gabinet berliński, i ofiarował nawet rodzaj przymierza rządowi księstwa Warszawskiego, z czego autor znajdujący się na stanowisku czysto-pruskiém, do najwyższego naturalnie niezadowolony stopnia.

Ważniejszym jednakże może jeszcze od księstwa Warszawskiego skopułem, jest dlań i dla ówczesnéj polityki pruskiéj postawa cesarza Aleksandra w przedmiocie ukonstytuowania Niemiec. Cesarz Aleksander przechyla się widocznie w kwestyi supremacyi niemieckiéj na rzecz Austryi, co znów na podstawie troskliwie zbadanych archiwalnych dokumentów, następne w książce p. Onckena wywołuje ocenienie. „Skoro polityczna reorganizacya Niemiec południowych ma już koniecznie nastąpić przez Austryą samę, powinien był przynajmniéj wyraźnie zastrzedz prawa własności Pruss do Ansbachu i Bayreuth; a daléj, jeżeli, jak to kawalerowi von Lebzeltern powiedział, przeważny wpływ Austryi miał tylko znaczyć w Niemczech południowych a nie północnych, winien był i na to nalegać, aby program Metternicha z d. 25 Marca, to jest zasada nienaruszalności książąt związku Reńskiego, niezależności i zupełnéj ich swobody, wyłącznie tylko do południa się stosowała, północ jednakże a w szczególności Saksonia wyraźnie ztąd wyjętemi były. Było to rzeczą tém potrzebniejszą, że pomieniona depesza Metternicha króle-

stwo Saskie owym programem formalnie obejmowała. Uznanie nietykalności Saksonii byłoby wszelkie wynagrodzenie Pruss także czyniło niepodobném, ale co więcéj, byłby odstępny król zyskał nawet prawo wynagrodzenia za księstwo Warszawskie i okręg Chocibożski. Aby zapobiedź przyjściu do skutku pod podobnemi lub takiemi warunkami traktatu między Austryą a Saksonią, która się do pośrednictwa Austryi wyraźnie odwołała; traktatu, któryby miał najzgubniejsze następstwa, był tylko jeden środek: ograniczyć prawo Austryi traktowania w imieniu koalicyi, wyraźnie jedynie tylko na obręb południowo-niemieckich dworów, skoroby poprzednio pruskie pretensye indemnizacyi i rewindykacyi wśród wyraźnego zastrzeżenia zagwarantowanemi były. Z wszystkiego tego nic cesarz Aleksander nie uczynił a Prussy nie dowiedziały się nawet, co w rzeczywistości uczynił".

„Gdy Hardenberg listy swoje z d. 11 i 18 Kwietnia do Metternicha wyprawił, aby go zawezwać do osobistego porozumienia w kwestyi niemieckiéj i polskiéj, wypuścił już cesarz Aleksander wszystko z ręki, coby porozumienie w sprawach niemieckich było jeszcze mogło zatrudnić i wynagrodzić, kiedy tymczasem w jego *polskich* planach nic ograniczał go żaden traktat ani przymus. Pruska polityka była już pobita na całéj linii, nim jeszcze o tém miała przeczucie. W największéj liczbie kwestyj, które się jeszcze otwartemi zdawały, nastąpiło już porozumienie między Rossyą, Anglią a Austryą, nie było zaś żadnego środka odzyskania tego, co raz utracono. Ciemną pozostawało rzeczą, podobnie jak poprzednio, gdzie i jak Prussy restauracyą choćby tylko własną uzyskają — kiedy do powiększenia ich poza stan roku 1806 nikt zobowiązanym nie był, niewątpliwą natomiast a zupełnie jasną rzeczą było dla wtajemniczonych, że oswobodzone Niemcy, w *Austryi* znajdą swoję prawodawczynią i panią, jeśli wojna zaraz przy pierwszym wybuchu nie stworzy zupełnéj przemiany stosunków potęgi mocarstw europejskich. We wszystkiém, co tylko dyplomacya pruska po chybionéj kampanii wiosennéj przedsięwzięła, — była zmuszoną obliczać się z faktami dokonanemi, ponosić następstwa własnego niedbalstwa, skutki porozumień odbytych za jéj plecami. Dalszy przebieg naszego opowiadania wykaże, jaka fatalność powoli nagromadziła się z błędów, które Hardenberg między 8 a 26 Lutego w Wrocławiu popełnił. Uprzedzamy ową fatalność umyślnie, aby przyczynić się kilku pociągami pióra do usprawiedliwienia tego, cośmy na samym wstępie naszéj rozprawy wyrzec byli zniewoleni".

„Pod d. 22 Października 1813 zapisał Hardenberg w swym dzienniku: *Przyrzeczenie zakomunikowania mi traktatu bawarskiego. Tajne*

artykuły Riedzkie. Pod d. 17 Listopada pisze daléj „Robię zastrzeżenie z powodu Ansbachu i Bayreuth. Z tego powodu nie udziela Bawarya swéj ratyfikacyi. Traktat Riedzki, którego mi zakomunikować nie chciano, o wiele późniejszy. Z pisma hrabiego Montgelas do Hardenberga z d. 30 Listopada wykazuje się, że Hardenberg usiłował, zrzeczenie się Ansbachu i Bayreuthu ze strony Pruss późniéj nieco uczynić zależném od pewnego zastrzeżenia, a od Bawaryi podobnie jak od innych sprzymierzeńców, domagać się współzaręczenia za restauracyą swego własnego terytoryalnego obszaru z r. 1805. Teraz więc dopiéro spostrzeżono się na pomyłce w liczbie roku i na błędzie poprzedniéj niedbałości przy pierwszych negocyacyach z Bawaryą. Ale było już zapóźno, podobnie jak przedtém przy traktacie Reichenbachskim. Bezogródkowe opuszczenie południowych Niemiec na rzecz Austryi wydało swoje owoce. Dnia 1 Grudnia tego samego roku pisał Hardenberg daléj: Rokowania z niemieckimi książętami trwają daléj. Humboldt, Anstetten i Wessenberg są pośrednikami. Wielkie błędy téj negocyacyi, przeciwko którym mało tylko poradzić mogę drogą tajnego artykułu. Podobnie jak kwestya stanu terytoryalnego Bawaryi, tak też i uporządkowanie organizacyi Niemiec, wymknęło się najzupełniéj pruskiéj polityce. Wykazało się faktem, co już się w Marcu w tajnikach gabinetowych rozstrzygnęło. Stan bezorganizacyjny Niemiec został faktycznie przypieczętowanym nim jeszcze choćby jeden projekt konstytucyjny na seryo został podany. W takim stanie rzeczy nic już esencyonalnie zmienić nie było można. Dla restauracyi Pruss trzeba było w Paryżu, jeżeli nie wszystko, to wiele naprawiać, a baron von Stein pisze w swoim szkicu życia, że przedstawiał Hardenbergowi wśród przyzwolenia królewskiego, że teraz skoro sława i zasługa Pruss najwyższym świecą blaskiem, kiedy Francya jeszcze nie może zabiérać głosu, Austrya nawet jest skłonną do ustąpienia Saksonii, on w celu zabezpieczenia praw swego państwa, tylko potrzebuje uczynić zależném przyzwolenie Pruss na stypulacye zawarte co do Włoch i Belgii, od podpisania odpowiadającego swym interesom traktatu przez Anglią i Austryą“.

„W tych samych dniach, 17 Maja, pisał generał von Müffling do kanclerza państwa: Rossya zabiéra *nam* Polskę, Anglia stawia sobie warunki za ustąpienie Hanoweru, Austrya wymawia sobie ustąpienie Ansbachu i Bayreuthu, aby zadowolić Bawaryą. Zezwalamy na wszystko, zyskujemy szczęśliwy pokój, a za naszą gotowość skończy się jeszcze na tém, że zyskamy zaledwie naszę indemnizacyą kiedy każdy mały książe mówi o powiększeniach a Rossya, Austrya i Anglia dojrzale się namyślają. Jakiém prawem zyskują cokolwiek

bądź Holandya i Hanower, dopóki *my* nie jesteśmy zaspokojeni? Zaklinam Waszą Ekscellencyą użyć wszelkiego swego wpływu, abyśmy energicznie działali. Przeprowadzimy to, czego nam trzeba, skoro pokażemy zęby, a uważałbym raczéj lepszą, nową wojnę prowadzić, a niżeli pozwolić, aby nasi sąsiedzi traktowali nas jak dzieci i powiększali się, kiedy tymczasem my o to, co nam się należy, żebrać jesteśmy zmuszeni! Tak więc nie zbywało kanclerzowi państwa (Hardenbergowi) w ostatniéj jeszcze godzinie na upominających głosach. Było to jednakże rzeczą nadaremną. Podpisał na oślep, bez zastrzeżenia, mówi Stein, i opuścił Paryż bez postanowienia czegośkolwiek bądź w przedmiocie zaokrąglenia Pruss. Dosłownie prawie ziściła się ponura przepowiednia Müfflinga na kongresie wiedeńskim, a państwo, które Niemcy ocaliło, odpokutowało ciężko za błędy swéj dyplomacyi.“

„Co późniejsza generacya wśród strumieni krwi zdziałała, aby naprawić, co wtedy przez własną słabość a obcą intrygę zepsuto, nie uniewinnia jednak tych, którzy wówczas zaniedbali swego obowiązku. Patryocie niewolno jednakże zapominać, że geniusz narodu, nawet z tych błędów, zdołał sobie stworzyć czynniki przyszłéj wielkości. Gorąco upragnioną teryotoryalną jedność, któréj w traktatach wiedeńskich państwu pruskiemu odmówiono: winno ono było samo sobie stworzyć we wnętrzu Niemiec, a czyniło to drogą współdziałania politycznego i wojennego rozwoju siły, jaka tylko w długiéj szkole surowego własnego doświadczenia powstaje. Błogosławić zaś winniśmy przeznaczenie, które zapobiegło podziałowi Niemiec, jak go naówczas Stein i Hardenberg projektowali, aby *niepodzielone* Niemcy zachować dla Pruss, zdolnych i godnych całemu narodowi nałożyć szyszak potęgi świata, która przez sam fakt swéj egzystencyi, nawet bez przymierza, dawnemu towarzyszowi broni austryackiemu, dzisiaj więcéj daje rękojmi, a niżeli mu jéj mogło kiedykolwiek dawać przewodnictwo w radzie związkowéj.“

Przytoczyliśmy umyślnie tyle i tak obrazowych ustępów z dzieła p. Onckena, raz ze względu na ciekawość i nowość materyału, następnie ze względu na odźwierciedlające się w niém dziwnie wybitnie stanowisko obecnéj historyografii prusko-niemieckiéj. W ocenieniu wypadków r. 1813 przebija się ze strony ich historyografa to, co się późniéj zapraktykowało i praktykuje w dziedzinie faktycznéj polityki. Nad wszystkiém góruje z dziwną naiwnością nieokiełznanéj niczem zarozumiałości w charakterze *osobnego prawa*,—interes Pruss. Dla praktyki tego *prawa* jest koniecznością wyprosić czy wyrzucić Austryą po za obręb niemieckich granic i niemieckiego wpływu. Następnie wymaga znów to *prawo*, aby Prussy posiadły księstwo

Warszawskie a czuły się w swém *prawie* dotkliwie obrażonemi, skoro im Cesarz Aleksander podobnego nabytku nie dozwolił. To samo daléj *prawo* wymaga na rzecz Pruss medyatyzacyi książąt niemieckich. Dla czego? Bo uginając się podobnie jak Prussy same, pod huraganem potęgi Napoleońskiéj; szli przykuci do jego tryumfalnego rydwanu, bo podobnie, jak Prussy w r. 1812 przeciw Rossyi, poświęcali z musu pieniądz, żołnierza i imię na rzecz Napoleona przeciw własnym swym sprzymierzeńcom. Czyż uczucie *istotnej* i nieobałamuconéj niczém sprawiedliwości dozwalało ich *karać*, dopóki się nie obalało wyraźnie zasady monarchicznéj, *karać* ich na rzecz terytoryalnego wzrostu mocarstwa, które, jeśli *oni* grzeszyli przeciw „ojczyźnie niemieckiéj“, ono samo bez grzechu nie pozostało? Takby się powinno zdawać ze stanowiska prostéj logiki, tak jednakże nie rozumuje logika dzisiejszéj historyografii prusko-niemieckiéj, która z jednéj strony w położeniu tamy pruskim apetytom na lewy brzeg Wisły, z drugiéj w zachowaniu życia politycznego książętom niemieckim, upatruje ciężką obrazę służącego Prussom *prawa* a składając ręce dziękczynnie w obec Opatrzności, która zachowała niepodzielone Niemcy dla *Pruss*, dowodzi najlepiéj, o co jéj chodzi, czy o całość, swobodę, dobrobyt i postęp „ojczyzny niemieckiéj,“ czy też o „ów szyszak wtłoczony przez Prussy na czoło narodu niemieckiego“, by go namaścić na pierwszorzędną militarnie potęgę świata...

Dwa następne, świeżo na widok publiczny pojawiające się dzieła, którym z porządku rzeczy kilka słów uwagi i ocenienia poświęcamy, nie mają właściwie nic wspólnego z ową jednolicie i jednozgodnie brzmiącą harmonią narodowo-liberalnego chóru, jaki się odzywa z obecnéj historyografii prusko-niemieckiéj. Są to sympatycznie do duszy i serca przemawiające dźwięki dawno minionych i przebrzmiałych czasów. Znane szeroko i zaszczytnie w literaturze niemieckiéj nazwisko Varnhagena von Ense. Był to charakter zacny i prawy, mąż swobodnego i nie ulegającego ani prądom, ani serwilizmowi umysłu, pióra zaś przedewszystkiém jasnego i przezroczystego, za jakiém tém tęskniéj, im więcéj obecna historyografia niemiecka właśnie sili się, w dziełach najwybitniejszych swych reprezentantów, na zawiłości i akrobatyki stylowe, przypominające nie źle podobneż próby XVII wieku. Zmarły w Berlinie r. 1857 Varnhagen pozostawił w sukcesyi siostrzenicy swéj Ludmile Assing niewyczerpalne zasoby zapisków, korespondencyi, studiów, które wychodząc powoli, długiemi szeregami tomów na jaw, psują czasem wiele krwi

w sferach najwyżéj położonych a na wydawczynią ściągnęły nawet wyrok skazujący ją na karę kilkoletniego więzienia. Mianowicie tyczy się, co w téj chwili powiadamy, *Dzienników Varnhagena* (Tagebücher), obejmujących przeciąg czasu od r. 1835 do 1856. Mniéj drażliwie przyjętą została korespondencya Varnhagena z Aleksandrem Humboldtem i Gentzem, pełna ciekawych szczegółów do historyi współczesnéj, nie tykająca zaś, jak *Dzienniki*, osobistości wysoko położonych osób w obraźliwy sposób. Również, jesteśmy pewni, nie dostanie się na podobny *index prohibitorum* wydana obecnie w Lipsku korespondencya Varnhagena z jego późniejszą małżonką, starozakonną Rahelą. Osobisty stosunek obu korespondentów zasługuje równie na pewną wstępną, objaśniającą uwagę. Rahela jest istotą hojnie pod każdym względem od natury wyposażoną, umysłu wysoko uzdolnionego i ukształconego, sądząc z listów, jakie po niéj pozostały, obdarzona niepospolitym także talentem pisarskim. Panuje wprawdzie między nimi znaczna różnica wieku, Varnhagen liczy w chwili zabrania z nią znajomości lat 23, kiedy ona ma 37. Tłómaczy jednakże ową różnicę dewiza położona na czele korespondencyi: „*Les ames sont toujours du même âge*,“... a rzeczywiście, czytając wszystkie późniejsze, poufne zwierzenia Varnhagena, czytając mianowicie owe *Dzienniki*, w których co chwila trąca się o najczulsze wspomnienia Raheli,—widać, że owa dewiza nie jest jedynie tylko czczym frazesem i marną dzieła ozdóbką.

Po tych kilku słowach nieuniknionego i koniecznego do zrozumienia rzeczy wstępu,—poświęcimy również krótkich słów kilka ocenieniu historycznéj wartości owéj korespondencyi. Jestto rzecz bez pretensyi historycznéj, przedewszystkiém, ale drogocenna jako materyał dla epoki wojen napoleońskich, dla dziejów przemian opinii publicznéj niemieckiéj. Jakiż świeży, jaką swobodą oddychający powiew przenika ową, rozpoczynającą się z rokiem 1808 korespondencyą, powiew będący znów nie czém inném, jak cząstką panującéj naówczas ogólnie atmosfery! Varnhagen, marzyciel patryotyczny niemiecki, wyznawca zasad i wyobrażeń *Tugendbundu*, widzi naówczas w jednéj Austryi jeszcze tylko mocarstwo zdolne i chętne podjąć walkę z Francyą, choćby bez Pruss, w interesie swoim i niemieckim. Opuszcza tedy z końcem r. 1808 uniwersytet Tübingeński i wstępuje jako chorąży do austryackiego półku Vogelsang. Ranny w bitwie pod Wagram, opisuje kłopoty i trudy ambulansowe, skarzy się na traktowanie biednych cierpiących żołnierzy, którzy nie doznają dostatecznéj opieki. Po wyzdrowieniu przepędza czas częścią w Pradze, częścią w Wiedniu, poczém w charakterze dyplomatycznym przenosi się do Kassel. Austrya uznając jego zasługi i zdol-

ności, nadaje mu stanowisko sekretarza ambasady w Paryżu przy osobie znanego księcia Schwarzenberga. Listy jego z czasu paryskiego pobytu są niezmiernie interesujące; między innemi był świadkiem owego straszliwego wypadku w ambasadzie austryackiéj, który świetną i czarującą ucztę zamienił w pogrzebową żałobę i opisuje malowniczém piórem wszelkie jego szczegóły. Co jednakże w listach tych z Paryża w owéj epoce najwięcéj uderza, to pewna sympatya, nie tylko już dla Francyi i narodu francuskiego, coby było rzeczą naturalną i łatwą do zrozumienia, lecz, co dziwna ze strony tak gorliwego patryoty w chwili tyle dla Niemiec upokarzającéj, nie mniejsza sympatya dla osoby samegoż Napoleona,

Lata 1811 i 12 przepędza Varnhagen znów częścią w Wiedniu, częścią w Berlinie a listy jego z *téj* epoki, stanowią ważny przyczynek do historyi kultury i opinii publicznéj Niemiec w przededniu katastrofy roku 1812. Od chwili wybuchu wojny widzimy znów młodego pisarza i dyplomatę zamieniającego pióro na oręż. Kampanią r. 1812 odbywa jako ochotnik w wojsku rosyjskiem, w r. 1813 puszcza się z generałem rosyjskim Tettenbornem na ową partyzancką wyprawę, która zajrzała z wiosną r. 1813 we wnętrze murów samegoż Hamburga a następnie rozpościerała się po Meklemburgii i Holsztynie. W r. 1814 wchodzi jako oficer armii sprzymierzonéj do Paryża, gdzie bawi kilka następnych miesięcy. Listy jego z *téj* epoki odznaczają się dziwném jasnowidzéniem. Przepowiada stanowczo upadek Burbonów, ponieważ nie widzi nikogo, ktoby ich chciał na prawdę mieć na czele narodu. Skreślając słabość royalizmu francuskiego, mówi bezogródkowo o miłości, jaką armia nieprzerwanie upadłego Cesarza otacza i uważa powrót jego do Francyi za kwestyą tylko czasu. Nic też dlań uderzającego i zadziwiającego nie ma powrót Napoleona z wyspy Elby, wypadek tak napozór cudowny, tak naprawdę naturalny. Po bitwie pod Waterloo widzimy znów Varnhagena z taborem dyplomatycznym w Paryżu, wyraźnie nieprzyjaznego w swém usposobieniu niewykonalnéj według niego restauracyi burbońskiéj, ochłodłego w równym prawie stopniu dla popadającéj w coraz wyraźniejszą reakcyą koalicyi. Varnhagen był szczérym i sumiennym entuzyastą, brał rewolucyą francuską i wolnościowy jéj oddźwięk w Niemczech na seryo, nie chciał więc służyć zwycięstwu, odkąd się zamieniło w stagnacyą. Z tego też powodu widzimy go w r. 1820 rzucającego stanowisko dyplomatyczne jakie mu rząd pruski powierzył, a oddanego odtąd nieprzerwanie aż do ostatniéj chwili życia pracom literackim, i szeroko rozgałęzionym stosunkom z licznie i świetnie naówczas zaludnioną *Rzecząpospolitą*

uczonych. Korespondencya z Rahelą obejmuje jednakże ich dzieje tylko do r. 1832, to jest do chwili jéj zgonu.

Jak już powiedzieliśmy wyżéj, zawiera owa korespoodencya niezrównany, barwny i bogaty materyał, materyał z piérwszéj ręki wielkiego pisarza i wybornego spostrzegacza, nie zepsuty i nie przyrządzony żadną tendencyą i tendencyjnością do dziejów wojennych i dyplomatycznych lat 1809 do 1815, następnie do dziejów życia, pożycia i usposobień całéj inteligencyi niemieckiéj. Szczegółów interesujących z téj dziedziny właśnie mnóstwo. Niechaj nam z pośród nich będzie wolno zamieścić w dosłownym przekładzie opis wizyty u Göthego w roku 1827. „Göthe," mówi Varnhagen, „przyszedł tymczasem późno wieczorem do domu i zaprosił mnie na następny dzień, (dzisiaj) na godzinę 10-tą. Znalazłem się więc u niego. Cóż ci mam o nim powiedzieć, kochana Rahelo? 78-letni starzec jest silniejszym, świeższym, ruchliwszym, a niżeli nim był przed dwoma laty. Jego siły duchowe są w najlepszym stanie, jego zdolność słowa w najpiękniejszym rozkwicie. Trzy kwadranse byłem u niego, bo dłużéj nie chciałem, sam skończyłem nasze posiedzenie. Wszystko co mówił, jak nie jedno przyjął, nie mogę ci tutaj długo opowiadać; mówiliśmy także o Helenie i elegii,—to przynajmniéj ci donoszę! Zaraz tutaj jednakże niechaj będą zamieszczone słowa, które o Tobie powiedział a które sobie wyraźniéj spamiętałem, aby ci jako *jego* własność tém bezpieczniéj oddać. Dowiadywał się z najprzyjaźniejszym udziałem o Ciebie i Twoje powodzenie, a gdy mu powiedziałem, że rzadko kiedy masz się zupełnie dobrze, powiedział: Żywość jéj ducha i świeżość udziału dla wszystkiego, co ją otacza, nie cierpią przecięż! Przy tak wielkich i pięknych darach natury jest człowiek zawsze dostatecznie uposażonym. Gdy odchodziłem, pożegnał mnie z serdeczną życzliwością, uściśnieniem ręki i podziękowaniem."

Obok tych wspomnień i zapisków wielkiego pisarza niemieckiego, niechaj się szanownym czytelnikom niniejszego przeglądu naszego nie wyda zbyt dziwną wzmianka o *Pamiętnikach* ochmistrzyni dworu pruskiego, hrabiny Voss z domu Pannewitz, nie tyle może interesujących treścią, ile raczéj ogromnym, jak na życie jednéj ludzkiéj istoty przestworem czasu, który obejmują. Autorka *Pamiętników* miała dwanaście lat, gdy ją matka wprowadziła na dwór Fryderyka Wilhelma I, ojca Fryderyka II. Od r. 1740 splata nierozerwalnie swe losy z powodzeniami, klęskami i wędrówkami dworu pruskiego. August Wilhelm, brat Fryderyka II, zakochuje się w niéj

śmiertelnie; rodzina i dwór, by zapobiedz bądź to zgorszeniu, bądź *mezaliansowi*, wydaje ją za mąż za hrabiego Vossa, zajmującego wysokie dworskie stanowisko. Młody książę umiera później nieco na suchoty, pani Voss pozostaje na dworze a zostawia w codziennych, suchych nieco zapiskach dzieje swego tamże przez kilkadziesiąt lat pobytu i pożycia. Zapiski te rozpoczynają się z tak zwaną drugą wojną szląską w r. 1745 i dają niekiedy przynajmniéj oryginalny obraz stosunków i położenia rodziny królewskiéj. Ta uwaga nasza dotyczy przedewszystkiem epoki wojny siedmioletniéj. Po nieszczęśliwéj dla Fryderyka II bitwie pod Kunersdorffem, widzi się dwór pruski zmuszonym przenieść miejsce swego pobytu z zagrożonego Berlina do bezpieczniejszego Magdeburga. Co wśród tego w zapiskach pani Voss najwięcéj uderza, to dziwna jakaś obojętność na otaczające niebezpieczeństwo. Jest-że to wypływem odwagi czy też nieświadomości może niebezpieczeństwa? Nie rozstrzygając téj kwestyi, posłuchajmy za to następnych kilku poufnych zwierzeń autorki z owéj epoki.

4 *Września 1760*. „Czytałam dzisiejszego poranku *Listy* Cycerona. Następnie przybyły księżna pruska i pani de Maupertuis i zrobiliśmy razem spacer aż do *Prinzenwalu*... 5 *Września*. Grałam dzisiaj z Schafforthem (swym nauczycielem muzyki) a wieczerzałam z księżną Henrykową. Byli wszyscy w bardzo dobrym humorze. Bawiono się dobrze. 10 *Września*. Wieczorem zebranie u marszałkowéj Schmettau. Miałam serce zasmucone i zaniepokojone chorobą mego syna. Nie mogłam wytrzymać do końca i kazałam zaprządz, by powrócić do moich ukochanych dzieci... 12 *Września*. Królowa robiła nam żywe wymówki z powodu grzeczności wyświadczanych obcym jeńcom... 13 *Września*. Król (Fryderyk II) wyprawił korpus wojska, aby dać odsiecz Kołobrzegowi, oblężonemu przez Rossyan. Przy wieczerzy, mówiono o nowych książkach. Rozmowa była żywa, interesująca... 14 *Września*. Miałam *rozprawę* z moim mężem. Wieczerza u królowéj, która była w bardzo złym humorze; lecz Finkenstein, minister spraw zagranicznych zaczął opowiadać stare historye o Szwecyi, śmiała się mocno i zatrzymała nas aż do jedenastéj godziny. Grałam w *kometę* z księżną Henrykową i młodym księciem pruskim (późniejszym Fryderykiem Wilhelmem II)... 4 *Października*. Przybywam od dworu, gdzie doznają tysiącznych obaw z powodu Berlina. Rossyanie, wezwawszy miasto do kapitulacyi, bombardowali je przez cały dzień i rozłożyli ognie na wałach. Smutek i niespokojność nie pozwoliły mi zasnąć... 10 *Października*. Berlin kapitułował; Tottleben i generał austryacki Lascy zajęli bramy i zamki królewskie. Po obiedzie przybył Żyd Ephraim, który

opuścił Berlin na kilka godzin przed wkroczeniem Rossyan. Mówi, że jesteśmy tutaj w bezpieczeństwie; ponieważ gdyby był zauważył, iż Magdeburg jest w niebezpieczeństwie, nie byłby tu przyjeżdżał, lecz wywiózł swe skarby za granicę.“ Wyjątek ten z dziennika hrabiny Voss przytaczamy umyślnie, z jednéj strony w celu dania czytelnikowi próbki jéj opowiadania, z drugiéj dla scharakteryzowania owego dziwnego, naiwnego, powiedzielibyśmy, spokoju, jaki panował na dworze pruskim w najkrytyczniejszéj może chwili istnienia monarchii pruskiéj.

Dalszy ciąg owych, składających się na gruby tom zapisków, nosi podobny powyższym charakter. Suche daty, bezbarwne notatki o uroczystościach, uciechach i smutkach dworskich w połączeniu z uwagami mogącemi mieć tylko interes dla rodziny autorki. Mimo to jednakże znalazłby w nich historyk od czasu do czasu nie bez wartości materyał. Jeżeli dziennik hrabiny z epoki Fryderyka II ciągnie się sucho i blado, wśród opisu wielkich herbat i wieczorów dworskich, zaszczyconych obecnością wzgardzonéj przez króla małżonki, miałby może więcéj interesu od chwili wstąpienia na tron króla Fryderyka Wilhelma II, za którego czasów wznosi się gwiazda hrabiny Dönhof, kuzynki autorki, jako kochanki królewskiéj. Na cześć hrabiny Voss można powiedzieć, iż owo „*wywyższenie*“ pani Dönhof na stanowisko wątpliwéj a raczéj wcale niewątpliwéj wartości, nie przejmuje ją bynajmniéj zadowoleniem, mimo wszelkiéj dewocyi dla dworu i króla pruskiego. Troskliwa w zapisywaniu uczt, urodzin, zgonów książecych, kronika hrabiny Voss nabiera trochę żywszych dopiéro kolorów od chwili klęsk pruskich w kampanii r. 1806 i 1807. Skreślając dzień po dniu szereg niepowodzeń, które króla, królowę a razem z nimi dwór i autorkę samą zmuszają do wędrówki od pola bitwy Jeneńskiéj aż do Tylżyckiego schronienia,— opisuje hrabina Voss uroczystość przywdziania munduru przez młodego księcia Wilhelma w roku 1807, następnie z oburzeniem fakt i szczegóły zawarcia traktatu Tylżyckiego. „Wszyscy ludzie *comme il faut* z pomiędzy Rossyan,“ pisze pod d. 15 lipca, „są zgorszeni podobnym pokojem... Dzisiaj przejeżdżał Savary miasto, udając się z błyszczącą świtą do Petersburga, gdzie się udaje jako ambassador. Napoleon ma słuszność być grzecznym dla Rossyi. Car miał dlań więcéj aniżeli usłużność, i to na nasz koszt“... Dalsza kronika hrabiny Voss zawiéra szczegóły smutnego pobytu dworu pruskiego na wygnaniu Memelskiém, powrót w r. 1809 do Berlina, zgon królowéj Ludwiki w r. 1810, wreszcie tryumf koalicyi ostateczny, przeciw „uzurpatorowi“ w r. 1814. „*Nunc dimitte servum tuum in pace*,“ może sobie po owym tryumfie powiedzieć sędziwa mistrzyni cere-

monii dworu pruskiego, i kończy swą 69-letnią na nim służbę zgonem d. 29 Grudnia 1814 r.

Wzmianką o pamiętniku hrabiny Voss kończymy lustracyę cyklu dzieł historycznych specyficznie koloru prusko-niemieckiego, by dać choć szczupłe miejsce publikacyom historyografii austryackiéj a następnie kilku pojawom kierunku czysto tylko i bezstronnie naukowego. Zaczynając od pierwszych, spotykamy się przedewszystkiem z nowym tomem znakomitego dzieła Alfreda Arnetha: *Maria Theresias letzte Regierungszeit von 1763 bis 1780*. Znamy już z dawniejszego naszego przeglądu stanowisko i przymioty historyografa austryackiego. Stanowisko jego jest wyłącznie austryackie wraz z pewną dewocyą dla dworu i rodziny panującéj.

Cześć ta dla osób panujących nie idzie jednakże tak daleko, jak u historyków pruskich, nie posuwa się mianowicie do tego stopnia, aby obałamucać i zamącać pogodę sądu historycznego, przeinaczać prawdę, wyrządzać choćby najmniejszą krzywdę sprawiedliwości zapatrywań dziejowych. Pomnikowym dowodem słuszności podobnéj charakterystyki p. Arnetha jako historyka jest właśnie tom obecny jego dzieła. Wielka polityka mało w nim zajmuje miejsca; za to wprowadza autor czytelnika w niezmiernie interesujące wnętrze cesarskiego domu, cesarskiéj rodziny, działalności rodzinno-politycznéj Maryi Teressy i stosunków jéj z dworami zagranicznemi, na które powydawała swoje córki za mąż. Nad wszystkiemi témi postaciami góruje w opowiadaniu autora, jako serce, rozum i charakter sama cesarzowa Marya Teressa. Widzimy zeń rzeczywiście, że cesarzowa jestto umysł niepospolity i ogarniający szeroką bardzo dziedzinę, rozciągający rodzaj patryarchalnych rządów na rodziny, pośród których jéj dzieci się znajdują. Czy to na dworze francuskim dokąd wydała Maryą Antoninę, czy to na dworze Neapolitańskim dokąd wydała najulubieńszą ze swych córek Maryą Karolinę, czy to na dworze Parmeńskim, dokąd wydała za mąż córkę swą Amalią, ma Marya Teressa swych agentów, którzy w roli poufnych a dyskretnych doradców reprezentują jéj wpływ i wolę. Mercy d'Argentau, Knebel, Rosenberg zajmują, czy to w Paryżu, czy to w Neapolu, czy w Parmie podobne stanowiska. Równą czujność rozciąga troskliwa matka nad synami, późniejszym cesarzem Józefem, którego, nawiasowo powiedziawszy, wielbicielem autor wcale nie jest, Leopoldem, Maksymilianem i Ferdynandem.

Obok owéj familijnéj, jeżeli tak wolno powiedzieć, działalności, rozwija Marya Teressa niemniéj zabiegłą czynność w wewnętrz-

néj organizacyi państwa. Tworzy tak zwaną radę państwa, *Staatsrath*, składającą się na pierwsze z hr. Kaunitza, Dauna, Hangwitza i Stupana, reorganizuje armią, wreszcie trudni się organizacyą wychowania publicznego, zaprowadzając cenzurę, zakazując, czego jéj autor nawiasowo powiedziawszy, nie pochwala, czytania Voltaire'a i Montesquieu'go. Obok téj wydatnéj i zaciemniającéj wszystkie inne postaci, widać małżonka, księcia Lotaryngskiego cesarza Franciszka I, człowieka wygodnego i lubiącego życie, zbierającego pieniądze, kochanego do zbytku przez żonę, kochającego ją również, ale znajdującego czas i sposobność do stosunków miłosnych, na które cesarzowa z pewną pobłażliwością spogląda. Autor przytacza pod tym względem zajmujące zdarzenie. Cesarz Franciszek I był mocno zakochany w pięknéj hrabinie Auersperg, na co cesarzowa nie bez zazdrości patrzała. W kilka dni jednakże po nagłéj śmierci małżonka w r. 1765, przyszła sama pierwsza do hrabiny Auersperg i odezwała się do niéj: *Wie viel haben wir beide verloren!*

W stosunkach swych z dziećmi nie jest cesarzowa zawsze szczęśliwą. Marya Antonina, mimo rad przesyłanych jéj przez Stahremberga i Mercy d'Argentau, nie jest zawsze taką, jaką by ją matka widzieć pragnęła. Marya Karolina rozpoczyna mimo rad jéj niefortunną wojnę ze sławnym ministrem Tanuccim. Amalia Parmeńska nie może się w podobny sposób pogodzić z ministrami małżonka, du Tillot i Clano. Z synów dają jéj częsty powód do niezadowolenia Józef i Maksymilian, a dewocya autora dla rodziny cesarskiéj nie przeszkadza mu bez ogrodki powiedzieć, iż król Ferdynand neapolitański, mąż Maryi Karoliny, był pod względem intelligencyi, ukształcenia i charakteru dzieckiem, ale złém i zepsutem dzieckiem, a że z téj a nie innéj strony przedstawił się odwiedzającemu go Józefowi. Obok tego wszystkiego jestto rodzina nieszczęśliwa, doświadczana ciągle ciosami losu. Nasamprzód umiéra cesarz Franciszek I; tuż za nim umiéra na ospę arcyksiężniczka Elżbieta, przeznaczona zrazu na małżonkę królowi francuskiemu. Na tęż samą chorobę, umiérają krótko po sobie dwie małżonki panującego cesarza Józefa, Izabella Parmeńska i Józefa Bawarska, tudzież 8-letnia córka Marya Teressa.

Wśród tych tragicznych, lub nacechowanych pięknem i wspaniałém wystąpieniem Maryi Teressy, wypadków, ileż ich jednakże opowiada autor, gdzie się objawia jaskrawo komika, jeśli nie nędza życia wielkiego świata! Mianowicie tyczy się to osoby biednéj Maryi Antoniny i wydania jéj za Ludwika XVI. Stahremberg, poseł austryacki w Paryżu, poszukuje łask pani Dubarry i donosi na dwór wiedeński, jak trzeba, by młoda arcyksiężniczka w Paryżu wystąpiła. Żadnego też konia mającego być wyprowadzonym na jarmarczną

sprzedaż, nie czeszą tak i nie gładzą, nie uczą i nie czyszczą, jak Maryą Antoninę przeznaczoną tragicznie na dwór wersalski. Uczą ją tańczyć i chodzić, prostują, zalecają jéj dobrze się trzymać i kłaniać po francusku, wyrywają i wprawiają zęby, — a o każdym takim ważnym wypadku poinformowany hr. Stahremberg, by mógł o nim zdać sprawę staremu Ludwikowi XV i pani Dubarry.... Dla dziejów naszych zapisuje p. Arneth z owéj kroniki rodziny cesarsko-austryackiéj ciekawy szczegół, iż Stanisław August starał się w pierwszych zaraz latach swego panowania o rękę arcyksiężniczki Elżbiety przez posła angielskiego lorda Stormont, ale że jego starania nie były szczęśliwym uwieńczone skutkiem.... Po dalszym ciągu tego znakomitego dzieła należy się spodziéwać ciekawych nader rewelacyj, w szczególności dla dziejów naszych.....

Najstosowniéj pono do dzieła p. Arnetha przyczepić krótką niniejszą i pobieżną wzmiankę o publikacyi historycznéj tejże saméj szkoły, pod tytułem: *Die Politik Oestreichs in der Spanischen Erbfolgefrage. Mit Benutzung des Haus-Hof- und Staatsarchivs und des Gräfflich Harrachschen Familienarchivs. Nebst Acten und Urkunden. von Arnold Gedäcke.* Autor składa w dwóch tomach rezultaty swych poszukiwań w archiwach rządowych wiedeńskich i w familijném archiwum hrabiów Harrachów nad genezą wojny sukcesyjno-hiszpańskiéj, owego wielkiego europejskiego zatargu, który pierwszych piętnaście lat XVIII wieku zakrwawił, a potędze Ludwika XIV śmiertelny cios zadał. Jestto temat, na którym już wielu niemieckich historyków, ostatniemi czasy profesor Noorden mianowicie, w znakomity sposób sił swych doświadczało. P. Gädecke obrał sobie jednakże w dotychczas wydanych tomach specyalność owéj epoki, któréj dotąd nikt jeszcze się nie dotknął. Jest nią obraz niezmiernie szczegółowy, drobiazgowy powiedzielibyśmy może nawet, stosunków na dworze Madryckim, charakterystyka owego ostatniego Habsburga na tronie hiszpańskim, Karola II, który nie będąc z natury wcale upośledzonym umysłowo, popada późniéj wśród przymusu i bezmyśli etykiety hiszpańskiego dworu w stan moralnego i umysłowego upadku, z którego go śmierć dopiéro wyzwala. Polowania, praktyki pobożne i egzorcyzmy, — otóż zdarzenia wypełniające kronikę ostatnich lat panowania Karola II, wśród intryg posła cesarskiego hrabiego Harrach, lub francuskiego hrabiego d'Harcourt około zyskania jego dziedzictwa. Autor kończy swe opowiadanie z chwilą zgonu biédnego Habsburga, nietykając wcale jeszcze strasznéj katastrofy, jaką wywołał w całéj Europie. Mnóstwo oddrukowanych w całéj rozciągłości z archiwów wiedeńskich dokumentów, dodaje niepospolitéj

wartości opowiadaniu autora, którego dzieło, jeżeli w sposób dotychczas wydanych dwóch tomów, będzie opracowywane dalej, może się stać istotnie monumentalném dla dziejów owéj pamiętnéj epoki.

Nie wezmą nam może za złe szanowni czytelnicy nasi, jeżeli pośród tylu ważniejszych treścią, obszerniejszych rozmiarami publikacyj historycznych niemieckich z ostatnich czasów, wspomnimy, dawniéj już nieco, bo w r. 1874 wydany przez austryackiego historyka Helferta, interesujący w swoim rodzaju drobiazg. Jest nim wydobyte z archiwów wiedeńskich, oficyalne sprawozdanie feldmarszałka austryackiego barona Kollera, z podróży Napoleona z Fontainebleau na wyspę Elbę. Jak wiadomo, wyznaczyły mocarstwa skoalizowane, każde swego osobnego komisarza, by upadłego cesarza wskroś zwyciężonéj Francyi przeprowadzić na jego nowe, więzienne państewko. Rossya przeznaczyła na ten cel hr. Szuwałowa, Anglia pułkownika Campbella, Prussy hr. Truchsess-Waldburga, Austrya wreszcie barona Kollera. Baron Koller opisał, z widoczną sumiennością i intencyą prawdy, wszelkie szczegóły téj pogrzebowéj przeprawy, która niestety, nie idzie na cześć i chwałę osoby Napoleona I. Już Thiers wyrzekł w zastosowaniu doń bardzo prawdziwe słowo, iż, jak nie jest często rzeczą budującą przypatrywać się *ciału* ludzkiemu w chwili fizycznego bolu, tak również jest smutném czasem widowiskiem przypatrywać się duchowi ludzkiemu, w chwilach jego moralnych cierpień i dolegliwości. Prawda ta Thiersowa przypomina się ciągle przy czytaniu sprawozdania barona Kollera.

Napoleon nie znajduje się w ciągu całéj téj bolesnéj podróży, w obec komisarzy obcych mocarstw, na wysokości swego stanowiska i wielkiéj przeszłości. Raz objawia żartobliwie i z nieszczególną godnością wesoły humor, któregobyśmy w podobnéj chwili widzieć u niego nie pragnęli, inny raz upadek ducha i trwożliwość, jakichby również nikt po zwycięzcy w tylu bitwach i bohaterze XIX wieku nie oczekiwał. Dumny mimo upadku, cieszący się z odbieranych owacyj aż do Lyonu cesarz, popada w obec burzliwych demonstracyj ludowych w dalszym ciągu podróży na południu Francyi, w stan prostracyi duchowéj, w któréj traci wszelką równowagę. Wtedy to nie ukrywa już w obec obcych komisarzy dyskretnéj choroby, na którą cierpi; wtedy odgrywa rolę kuryera własnego orszaku; wtedy to wreszcie przywdziewa dla osłony własnéj osoby ów mundur austryacki barona Kollera, chowany, nawiasowo powiedziawszy, dotąd jako pamiątka historyczna w jego rodzinie. Z chwilą wstąpienia na

pokład angielskiéj fregaty we Frejus, wraca znów Napoleonowi pogoda i spokój, a ostatnim jeszcze, zasługującym na pewien interes wypadkiem owéj przeprawy, jest opis wylądowania Napoleona w Porto Ferrajo.

„Tak to,“ mówi baron Koller, kończąc swe oficyalne sprawozdanie dla księcia Metternicha, „wstąpił obecny monarcha małéj wysepki, którą mu los dał w zamian za ogromną potęgę świata, na ziemię swéj nowéj posiadłości. Było to dnia 4 Maja o godzinie 11-éj przed południem. Salwy działowe odezwały się na jego powitanie, załoga wyspy składająca się z kilku oddziałów francuskiéj artyleryi i linii wyruszyła w paradzie, generał Dalesme wyszedł naprzeciw dawnego swego władcy z wszelkiém uszanowaniem. Inne, pospiesznie przygotowane uroczystości recepcyjne wypadły bardzo ubogo; mogły figurować równie dobrze na chłopskiém weselu. Władze, reprezentacya gminy, duchowieństwo w staroświeckich ubiorach. Dwoje skrzypców i dwoje basetli reprezentowało orkiestrę; baldachim z wypłowiałego aksamitu, ale poobwieszany wieńcami i bukietami ze świeżego kolorowego i złotego papiéru — Bertrand i Drouot pękali z gniewu, z powodu téj tyle niewczesnéj nędzy. Sam Napoleon tylko nie skrzywił twarzy i przyjmował hołdy małego zakątka ziemi z powagą niewidzianą nigdy. Udano się do kościoła, gdzie odśpiéwano *Te deum*, następnie do gmachu municypalności, gdzie się korporacye cywilne i duchowne nowemu swemu monarsze przedstawiły. Następnie wsiadł na koń i rozpatrywał w orszaku 10 do 12 osób stan twierdzy.“ Otóż to relacya generała Kollera z podróży Napoleona z Fontainebleau na wyspę Elbę, pod koniec któréj znajdujemy jeszcze list cesarza do małżonki Maryi Ludwiki z Porto Ferrajo 9 Maja 1814, oddający wielkie pochwały osobie i zachowaniu się komisarza austryackiego.

Zbliżamy się teraz, podobnie jak w pierwszym naszym *Przeglądzie* historycznéj literatury niemieckiéj, do kilku jéj płodów naukowej już tylko czysto doniosłości, bez dotykalnéj politycznéj lub narodowéj tendencyi. Wzmianka nasza o nich nie ma potrzeby być zbyt długą. Do takich należy w pierwszym rzędzie wydany w r. 1875 czwarty tom *Historyi Cesarzów niemieckich* Giesebrechta. Giesebrecht, znakomity, gruntowny badacz przeszłości średniowiecznéj niemieckiéj, wygląda obco trochę pośród plejady owych patentowanych politycznie i narodowo-liberalnie historyków, znajdujących się obecnie na historyograficznym świeczniku. Autor wygląda po staroświecku nieco pośród owych Ranków, Syblów, Droysenów i Häusserów, po-

nieważ nie pytając o walki i dążności dzisiejszéj chwili, traktuje owe wielkie dzieje cesarzów niemieckich z naukowego jedynie stanowiska. Wydane dotychczas trzy obszerne tomy obejmują dzieje aż do chwili wstąpienia na tron cesarza Lotara I czyli aż do pierwszych lat XII wieku. Wydany obecnie tom IV zawiéra dzieje panowania dwóch cesarzów, Lotara I i Konrada III, poprzedników Fryderyka Barbarossy na tronie Niemiec, co odpowiada chronologicznie mniéj więcéj pierwszéj połowie XIII wieku. Treścią obu panowań, obok krucyat i walk ze Słowianami na zewnątrz, jest esencyonalnie na wewnątrz rywalizacya przewagi duchownéj z władzą świecką, pośród któréj świéci wydatnie a zwycięzko znamienita postać Bernarda z Clairvaux. W walce téj nie objawia ani Lotar I, ani Konrad III należytej siły charakteru i zdolności utrzymania powagi swéj cesarskiéj władzy; żywioł teokratyczny odnosi zwycięstwo a téj to okoliczności przypisuje autor ówczesną niemoc wewnętrzną Rzeszy. Łatwo pojąć, jaki podobna, tocząca się w XII wieku walka przedstawia dla historyka *dzisiejszéj* epoki kuszący temat, jak zdolna wywoływać paralele między owemi a teraźniejszemi czasy, jak dalece nadaje się do wtrącenia cząstki „walki kultury" XIX wieku do poważnych zatargów XII-go. Stojący przecięż na stanowisku czysto naukowém, autor nie ulega podobnéj pokusie a jakkolwiek sympatye jego zwracają się już z góry ku osobie Fryderyka Barbarossy, którego dzieje zabiéra się skréślić w następnym tomie, — ku osobie Barbarossy umiejącego wymusić uznanie i powagę władzy cesarskiéj, — nie przekracza przecież nigdy i nigdzie stanowiskiem i przedmiotowością naukową zakréślonych granic.

Zajmujący tak szerokie a zaszczytne miejsce w historyografii niemieckiéj zbiór Heerena i Ukerta, zawieszony w swém wydawnictwie przez kilkunastoletni przeciąg czasu, teraz odżywający znów w ponowionéj, energicznéj czynności swego wydawcy obecnego, Perthesa w Gocie, polecający się nowemi pracami znakomitych współpracowników, jakimi są: Zinkeisen, Fluthe, Schaefer, Carlsson, — zbogacił się ostatniemi czasy znakomitém dziełem niezrównanego w Niemczech znawcy dziejów, stosunków i sztuki włoskiéj, jakim jest Reumont, dziełem skréślającém *Dzieje Toskanii od r. 1530 do 1737*. Piérwszy ten, obszerny, liczący 654 stronic tom, obejmuje dzieje krainy Toskańskiéj, począwszy od końca Rzeczypospolitéj florenckiéj aż do wygaśnienia rodu Medyceuszów w r. 1737. Jestto dokładny, wyczerpujący, z dziwną znajomością rzeczy i plastyką przedstawiony obraz panowania Medyceuszów, nad którym tutaj dla tego tylko się

bliżéj nie rozwodzimy, że traktując dziedzinę odległą Niemcom, nie dostarcza nam też materyału do owych charakterystycznych rysów, jakiemi się historyografia niemiecka odznacza, dotykając przedewszystkiém codziennego pola. Cokolwiekbądź, pozostaną właśnie takie dzieła, jakiém jest dzieło Reumonta, zaszczytem dziejopisarstwa niemieckiego, dowodem, że jest jeszcze dziedzina, na któréj potrafi być ściśle naukowém i przedmiotowém, a wykupują swém istnieniem grzechy i błędy, prądy i tendencyjności pojawów literatury dziejowéj, o jakich w przeglądzie naszym wyżéj była mowa. Narodowo-liberalna krytyka robi p. Reumontowi zarzut, że jest zbyt stronniczym na rzecz papiestwa i Medyceuszów. *Pierwszém* grzeszy autor tylko ze stanowiska widzenia rzeczy narodowo-liberalizmu, co się tyczy *drugiego*, zauważylibyśmy, że lubujący w płodach artyzmu włoskiego autor, ulega nie bez uroku dla czytelnika, moralnemu wpływowi i wrażeniu głównych artyzmu owego na jednym z *tronów włoskich* opiekunów i reprezentatów.

Pod koniec długiéj naszéj o najnowszych pojawach historycznéj literatury niemieckiéj pogadanki, wspomnijmy jeszcze dwa dzieła, dotyczące przeszłości nadbaltyckiego kraju z pod panowania rossyjskiego. Znany już z prac swych o dziejach i stosunkach nadbaltyckich publicysta Juliusz Eckardt, wydaje obecnie w Lipsku dzieło pod tytułem: *Inflanty w XVIII wieku*, skréślając według założenia zapowiedzianego w przedmowie szkic dziejów inflanckich aż do roku 1766. Obietnica ta autora we wstępie zawodzi poniekąd, ponieważ cała właśnie przeszłość tego zajmującego kraju aż do XVIII wieku zbyta na kilkudziesięciu stronicach, na których nie znajdujemy nic nowego, ponieważ mianowicie dzieje panowania polskiego i szwedzkiego, nader pobieżną tylko znajdują wzmiankę. Szerzéj dopiéro zaczyna płynąć opowiadanie autora od chwili opanowania kraju przez Rossyą w r. 1710. Odtąd znów jednakże zastanawia się autor nie tyle nad politycznemi dziejami Inflant, ile raczéj nad ich narodościowemi, religijnemi, społecznemi i rolniczemi stosunkami. Pod *tym* zaś względem, ma dzieło p. Eckardta niezaprzeczoną, wysoką wartość i zasługuje na zupełne uznanie.

Jedna z nakładowych księgarń Dorpackich wreszcie, podjęła użyteczne i szczeréj wdzięczności ze strony ludzi nauki godne wydawnictwo, dalszego ciągu *Kroniki Inflantskiéj* znanego historyka Inflant, pastora Krystyana Kelcha. Kelch ogłosił swego czasu *Kronikę Inflantską* sięgającą aż do r. 1690. Obecnie odnalazł się rękopism dalszego ciągu sięgający aż do r. 1707, wydany w r. 1875 w Dorpacie, tém drogocenniejszy, że będący rezultatem osobistych wrażeń i spostrzeżeń autora, podczas pierwszych lat straszliwéj wojny wieku

XVIII. Kelch staje się mimo kronikarskiego swego stanowiska i sposobu opowiadania, prawdziwie wymownym malarzem cierpień i dolegliwości, na jakie nieszczęsna jego ojczyzna po wstąpieniu Karola XII do Polski, a po inwazyi nieprzyjaciela do samychże Inflant znalazła się wskazaną. Co za jaskrawe siłą prawdy obrazy cierpień owéj biednéj, zagrożonéj okrucieństwem nieprzyjaciela ludności wiejskiéj, zmuszonéj, jak dzika zwierzyna, szukać niepewnego schronienia po lasach i norach; co za malownicze opisy oblężenia Dorpatu i Narwy, bojów, jakie na téj leśnéj i jeziorzystéj przestrzeni staczają Szwedzi i Rossyanie! Wśród tych walk zaś, staczanych ze srogością i okrucieństwem, widać wznoszący się na gruzach zdobytéj w r. 1703 *Nymschantze* ów Petersburg, pomnik organizatorskiéj czynności Piotra, w wirze wojennéj burzy..... Stanowisko autora jest wyłącznie szwedzkie. Jest stanowczym nieprzyjacielem Rossyan, mówi o Karolu XII zawsze tylko jako o „*naszym królu*;“ każda wiadomość o zwycięstwie jego w Polsce, przepełnia jego serce uczuciem tryumfu, a jako sens moralny opowiadania jego, przemawia ciągle jedna niezaprzeczalna prawda: jak ogromnego, jak nieprzebaczonego nigdy dla trwałości własnéj sławy a dobra Szwecyi, Karol XII dopuścił się błędu, rzucając kraj nadbaltycki na łup nieprzyjaciela, zagłębiając się w kraje Rzeczypospolitéj Polskiéj, gdzie prędzéj czy późniéj był wskazany zginąć w gonitwie za nieokreślonym celem... Dalszy ciąg Kelcha ma tedy, powtarzamy raz jeszcze, dla dziejów wojny północnéj niezaprzeczoną, i uznania godną wartość źródłową.

I otóż stanęliśmy u kresu zadania naszego, mającego na celu trzymać za puls, jeżeli tak wolno powiedzieć, wszelkie duchowe pojawy na polu dziejopisarskiém szczególnie, sąsiedniego nam narodu, który mimo obecnych prądów i obałamuceń, nie przestanie być przecięż równie uwagi godnym w dziedzinie oświaty, jak umiał się stać groźnym i potężnym w sferze materyalnéj siły.

K. Jarochowski.

OSTATNIE LATA ŻYCIA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

PODŁUG LISTÓW JEGO DO MATKI.

Wydanie „Beniowskiego“ w r. 1841 zakończyło pierwszy, pełny dramatów wewnętrznych okres życia wielkiego Juliusza. Potém nastąpiła w nim zmiana. W człowieku, którego całą treść duchową przenikała olbrzymia fantazya, zmiana ta nie mogła obejmować stosunków życia potocznego i praktycznego w ogólności; lecz musiała z konieczności sięgać głębin ducha. Istotnie Słowacki od roku 1842 aż do końca życia, zarówno w utworach przeznaczonych do druku, jak i w poufnych listach do matki, nie „zmienił się wprawdzie z gruntu, tak, że go poznać niepodobna“ boć to jest frazes tylko bez umiejętnego znaczenia; ale wykazał przynajmniéj tyleż różnic co i podobieństw w porównaniu z usposobieniem swojem dawniejszém. Pozostała mu taż sama co i dawniéj zachwycająca wyobraźnia, która miała na posługi styl błyszczący i oryginalny; lecz wyobraźnia ta bujała teraz z niczem niepohamowaną swobodą i drwiła sobie ze zwykłych przepisów rozumu a zwłaszcza z rozsądku. Pozostała mu duma tytana, lecz stała się tytaniczniejszą, że tak powiem, bo się pozbyła dawniejszych słabostek próżności i panowania, a podniosła się i uświęciła tém głębokiém przekonaniem, że była jedynie narzędziem woli Najwyższéj. Pozostało mu uczucie zmienne i fantastyczne, lecz już przestało boleć smutkami wymarzonemi i chorobliwemi a zaczęło się przyzwyczajać do dzielenia boleści rzeczywistych, a do zachowywania pogody wewnętrznéj i spokoju. W charakterze jego, duch i zdolność inicyatywy nie zajęły miejsca zwykłéj bierności, ale

go z apatyi dla ruchów ogólnych wydobyły i uczyniły pochopniejszym do czynu, wyrażającego się naprzód w odezwach i przemowach, a potem nawet i w udziale, jaki brał Słowacki w pracach zbiorowych, w udziale takim, jaki zresztą miał nasz poeta w pierwszym brzasku swego publicznego zawodu.

Zmiany te spowodowało w Słowackim przejęcie się naukami Towiańskiego, który był jednym z tłómaczy ówczesnego prądu umysłowego. Rzeczywiście, Towiańszczyzny nie należy uważać za coś odosobnionego, za coś właściwego narodowi polskiemu i jego losom, lecz połączyć ją trzeba z tém przeważném dążeniem do jakichś ulepszeń i reform, które się szczególniéj między 183o a 185o rokiem, nietylko w Europie kontynentalnéj, ale nawet w Ameryce przejawiło. Dążenie to pod rozmaitemi formami i nazwami w jednem miejscu gwałtem przerwane, powstawało znów w innem i szerzyło się za pośrednictwem umysłów, które walcząc przeciw reakcyi, panującéj od czasów upadku Napoleona I, chwytały się wszystkich możliwych środków do przeprowadzenia tego, co uważały za postęp, za udoskonalenie dawnych ideałów, dopóki w mniejszych i większych rewolucyach 1848 roku nie wyczerpały swych sił, na czas niejaki przynajmniéj. Dwa ważne odcienia w téj ogólnéj dążności wyróżnić się dadzą: jeden religijnie, drugi społecznie zabarwiony. Społeczny odcień nosił nazwy demokracyi, saint-simonizmu, fureryzmu, socyalizmu i komunizmu, przybierając nadto w rozmaitych krótkotrwałych chwilach szczegółowsze przezwiska to „Société de Saisons,“ to „école humanitaire“ to „société matérialiste,“ to „l'icarianisme.“ Same nazwy dowodzą, że dążność do reform społecznych powstała i rozwijała się głównie we Francyi, a mianowicie w Paryżu, gdzie tłumy ludzi bez zajęcia, czujący najdotkliwiéj ciosy ówczesnego stanu rzeczy, najpochopniejsze były do przedsięwzięć, mających na celu oddalenie tych ciosów, przez zburzenie istniejącego porządku.

Odcień religijny znalazł również urzeczywistnienie swoje w rozmaitych stowarzyszeniach które w ogóle nowemi kościołami nazywały się. Najpotężniejszym z nich był bezwątpienia *mormonizm* na drugiéj półkuli, gdyż od roku 183o, kiedy liczył *sześciu* tylko wyznawców do roku 1866, a zatem w przeciągu lat trzydziestu pozyskał ich przeszło 23o tysięcy. (1) Tej pokaźnéj, jak na nasze oziębłe czasy, liczby nie dosięgły inne kościoły, być może dla tego, że powstawały wśród narodów bardziéj ukształconych, aniżeli ci robotnicy, których nawracał zmysłowy Joe Smith; w każdym jednak razie i one również oka-

(1) Hepworth Dixon: Nowa Ameryka (w tłóm. polskiem tom II, str. 6).

zały niepospolitą ruchliwość. Na czele twórców religii, stoi w okresie, o którym mowa, Ferdynand Franciszek *Chatel*, założyciel kościoła katolicko-francuskiego (l'église catholique française). W Sierpniu 1830 roku otworzył on w mieszkaniu swojém salę modłów, a kilkanaście miesięcy potem, liczba jego zwolenników była tak wielka, że musiano już nająć osobny obszerny lokal na zebranie główniejszych jego przedstawicieli. Ponieważ rząd ówczesny trzymając się 5 artykułu Karty: chacun professe sa religion avec une égale liberté et obtient pour son culte la même protection," nie prześladował wcale Chatela i jego wyznawców, przez czas jakiś nowy kościół rozwijał się swobodnie, nie zważał na ekskomunikę rzuconą przez Papieża, i cieszył się nawet poparciem niektórych dzienników: (1) Później dopiero prześladowania, wprost przeciwny niż u Mormonów wywarły skutek, zamiast zwiększać, zmniejszały popularność Chatela, który co prawda, nie stał się męczennikiem jak Smith, ale tylko wygnańcem. W tym samym mniej więcéj czasie wystąpił Helsen belgijczyk, chcąc utworzyć nowy „katolicko-apostolski kościół;" (2) a cokolwiek późniéj *Glouton*, który podpisywał się: Christ du second avénement i głosił swoję mistyczną naukę, daléj *Albert*, autor wielu niby prorockich książek, *Pierre-Michel*, który w liczbie swych uczniów. miał nawet osoby znaczniejszego w świecie położenia. (3) Wszystkie te usiłowania w kierunku odrodzenia religijnego, miały na celu pogodzić ducha nowszych czasów wykołysanych przez rewolucyą francuską, z potrzebami uczucia i fantazyi, którym romantyzm w przeciwstawieniu do abstrakcyjnego rozumu, nadał pierwszorzędne znaczenie. Pewien tedy pierwiastek mistyczny musiał się koniecznie przymieszać do wszystkich zamierzonych reform.

„Ile razy, powiada Liebelt, człowiek poglądający w ducha swego aby rozpoznał prawdę, lub odgadł losy przyszłości, *zdmuchuje światło rozumu*, coby mu rozświeciło tę prawdę i tę przyszłość, i szuka nadprzyrodzonego światła, któreby zstąpiło na niego i jasnowidzeniem odkryło mu oblicze duchowego świata, gdzie dlań nie ma ani ciemności, ani zapór materyalnych;—tyle razy *człowiek taki popada w mistycyzm*. Filozof wyrozumuje rzecz i uzasadni siłą przekonania, mistyk ma widzenie rzeczy bezpośrednie, niezachwiane—*siłą wyobraźni*... Badacz szuka Boga, aby go poznał rozumem; mistyk

(1) Conversations-Lexicon der neusten Zeit und Literatur, I tom, str. 399. (z roku 1832).

(2) Dzieje rzymsko-katolickiego kościoła przez Snarskiego. 1858, str. 500.

(3) Witwicki: Towiańszczyzna, str. 31, 32.

jest u Boga bezpośrednio, i okiem którego nie ma człowiek cielesny, widzi każdego ducha.“

Takiego to niecielesnego oka, któreby za pośrednictwem fantazyi bezpośrednio rzeczy boskie oglądało, życzyła sobie naówczas znaczna liczba ludzi, znudzonych powolnością lub pozorną bezpłodnością badań naukowych. Oprócz reformatorów religijnych, byli uczeni bardzo skłonni do mistycyzmu jak Schelling, w drugiéj epoce swego rozwoju, Görres, Kerner, a nawet matematyk Wroński: bezpośredniém spoglądaniem dopatrujący się związku między naturą, społeczeństwem i Bogiem. Nowe jeszcze doświadczenia z magnetyzmem zwierzęcym i jasnowidzeniem, dawały pewne podstawy tej bezpośredniéj, nadziemskiéj mądrości. Zaczęto się wyśmiewać z chudego i karłowatego rozumu; zaczęto wytężać uczucia i wyobraźnie, ażeby jednym skokiem w sam środek prawdy najwyższéj się dostać, ażeby samą „pracą ducha,“ bez książkowego mozołu i kramu, uchylić zasłonę tajemnic, które dręczyły ciekawość ludzką i pragnienie szczęścia. Ta praca ducha rozogniła serca, roznamiętniła fantazye; zaczęto miewać widzenia (1) te zamieniały się w halucynacye, a halucynacye w objawienia—i powstali wśród oświeconéj Europy i w Ameryce nowi prorocy, głoszący wieść radosną o wybawieniu ludzkości ze wszystkich nieszczęść, smutków i niedoli, jakie ją dotychczas gnębiły. U nas było trzech mistyków: Wroński, Ludwik Królikowski i Andrzej Towiański, że już o jednym z reformatorów kościoła, Czerskim nie wspomnę. Z nich najwięcéj znanym, najpopularniejszym jest Towiański, który usposobienie znacznéj liczby umysłów w Europie połączyć umiał ze specyalnemi uczuciami społeczeństwa polskiego, i przez to zyskał sobie zwolenników w gronie najznakomitszych duchownych przedstawicieli tego społeczeństwa, a przedewszystkiem najgorliwszego propagatora Adama Mickiewicza.

Słowacki, chociaż z wielu powodów nie lubił Mickiewicza i w Beniowskim opisując rzeczywiste starcie, jakie między nimi zaszło, postawił siebie, jako równego mu Boga, tylko na przeciwnym biegunie; pod wpływem doktryny Towiańskiego pogodził się z wielkim przeciwnikiem, bo zaczął kochać wszystkich ludzi jednakowo, dla podniesienia ich na wyżyny ducha. Pojmował on naturalnie doktrynę tę po swojemu; a nawet gdy widział pewne panslawistyczne tendencye w Towiańszczyznie, których nie podzielał, wyraźnym protestem zamanifestował swoję niezawisłość i staropolskiém *veto* chciał unieważnić wszystkie postanowienia zapadłe na zebraniu, któ-

(1) Kwestya żywotna filozofii. 1845, str. 231, 232.

re owe tendencye objawiło. Chcąc zrozumieć przyczyny, które Słowackiego towiańczykiem zrobiły, i które go do utworzenia odrębnéj frakcyi skłoniły, należy się dokładniej rozpatrzeć w nowém jego usposobieniu i w jego poglądach z czasów, kiedy wyznawał zasady towiańszczyzny.

W ogłoszonym obecnie drugim tomie „Listów do matki“ większa ich część należy właśnie do tego okresu. Rzadko kiedy mówi w nich Słowacki wyraźnie o towiańszczyznie i Towiańskim, zazwyczaj zaś w ogólnych jedynie frazesach o „nowym stanie“ wspomina; ta tajemniczość łatwą jest do wytłómaczenia ze względu na ówczesne stosunki w kraju, gdzie mieszkała matka Słowackiego; usposobienie atoli poety tak dosadnie się odbija, że możemy sobie dość dokładne wyrobić o nim wyobrażenie.

Pierwszy list noszący ślady nowego zwrotu, ma datę 2 Sierpnia 1842 roku. Przez jakie stopnie przechodziła ta harda i fantastyczna dusza, zanim doszła do uznania Towiańskiego, nie wiemy. Dosyć, że bezpośrednio po wyznaniu, z początku jak się zdaje roku 1842, że go nuda ogarnia, że sam sobie nie wystarcza już wieczorami jak dawniéj, że świat mu czyścem nie niebem; następuje zapewnienie z drugiéj tegoż roku połowy, że „wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła w nim, że już nie narzeka, ale ufa, że kosztuje *nowego stanu duszy*, że go otoczył krąg ludzi kochających, że błogosławieństwo jest nad nim.“ Tego nowego stanu duszy nie probuje nawet matce wyjaśnić, mówiąc, że „wszystko to podobne jest do snu i do marzenia i wytłómaczonem być nie może.“ Zamiast wyjaśnienia podaje piękny a tkliwy obrazek: „Śniło mi się niedawno, że chodzę z tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalia, że widzę płomienie pieców ceglanych i słyszę bazyliańskie słowiki i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogiłek. Ten sen tak jest porządny w zmianach, że obwiniać go nie można o niepodobieństwo. Cóżbyś ty droga zrobiła, widząc mię u nóg twoich na ławie domku twego? Na samę myśl taką, łzy zalewają mi oczy i serce leci ku tobie. *Proszę cię, czytaj ewangelie i łącz się ze mną modlitwą.* Na teraz nic więcéj.“ Odtąd *Bóg*, *myślenie przez Boga*, *doskonalenie się w duchu*, stają się ulubionemi przez Słowackiego wyrazami, których używa z upodobaniem wielkiém. Odtąd również stara się o prostotę stylu, któréj nie zdobywa sobie wprawdzie na własność zupełną, bo mu fantazya jego niespokojna nasuwała ciągle jakieś niezwykłe połączenia słów, lub zdań całych; ale która mu jest widocznie bardzo pożądaną i bardzo drogą. Oto np. opis zebrania towiańczyków u Mickiewicza na wsi pod Paryżem. Mówi tu naprzód o sobie, że próbował nieraz inaczéj grać niż obecnie, ale do innych głosów jest

już jak „zepsuta gitara,“ bo jest takim jakim być powinien; wzmiankuje zaraz potém, że się pogodził z „wielkim swoim przeciwnikiem, z którym go często różnili ludzie“, że się teraz zbliżyli do siebie i „dobrze im jest“ i niedawno nawet przepędzili dzień bardzo miły, gdyż on zjechał do Mickiewicza na grzyby. „Wielu innych także w tym dniu zebrało się; każdy coś z sobą wziął do jedzenia; ci co mogli wziąść więcéj, wzięli dla tych, którzy nie mogli i tak pod ogromnemi orzechami, na trawie, gadając i śpiewając, z patryarchalną prostotą przepędzili dzień, dzień jesienny, błękitny i czysty jak kryształ, i bądźcie pewni, że więcéj z *wami* myślą, niż z *okolicami, które nas otaczają* byliśmy.“ Stos borowików, we mchach znaleziony, przypomniał mu dawne, dawne czasy i miejsca, jodłami zarosłe; kilka bab, i pieczenie na dywanie rozłożone, przypominało święcone, ale święcone jakichś koczujących Tatarów; dziwnie jesienne i na prędce jedzone, jakby przed podróżą do nieba. „Zapach takiego święconego inny, dodaje Słowacki, „inny jest gwar ludzi jedzących i modlitwa poświęcająca je inna, trochę mniéj radosna, niż tamtych, co kiedyś dawniéj święcili.“

Kiedy nadeszły imieniny matki, poeta wyznaje, że dzień ten przepędził „pierwszy raz w życiu *bez próżnéj melancholii* a z prostotą boleści i serdecznym smutkiem“ i zaraz zaznacza przyczynę tej zmiany. [„Poznałem—powiada—iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnéj uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie, grający każdy swoję sztukę smutną, albo wesołą; ale *dla chwały bożéj* jesteśmy i dla pracy prostéj a czystéj i dla wywiązania ducha naszego... Dotąd smutno nam było i gorzko; bo myśleliśmy, że jedynie *dla kawałka ziemi* cierpieć musimy rozłączenie i znosić tęsknotę; lecz teraz wiedz, droga, że nietylko dla ziemi, ale i dla nieba cierpimy, a cierpienia tego nie uszlibyśmy żadną drogą idąc; wszędy spotkałoby nas ono i zaszło drogę, aż by się duchy nasze w niém oczyściły i nauczyły nowych a potrzebnych im cnót i *wiedzy dalszych rzeczy.*“ Teraz nie żyje już poeta dla sławy i ze wstrętem odpycha myśl, żeby cóś miał pisać za podżeganiem miłości własnéj; to też z oburzeniem mówi o ludziach, którzy dla ziemskich tylko żyją widoków, „A ja cię proszę—pisze do matki—abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum nie wybrany i potém głośno mówią: daliśmy jadła i słudzy nasi pożarli je... albowiem nie o jedzenie chodzi, ale oto, aby kto był zdolny *duchem nakarmić* i *serca przelać ogniem*, upoiwszy je z palących kielichów i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takiém jadłem wiązać ludzi, aby więcéj nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego który karmi.“ (Jemu samemu taka metamorfoza duchowa

nie przyszła z łatwością; bo „wymiatanie serca swego ze wszystkich brudów,“ bo pozbywanie się „drożdży światowych“ to trud nad trudy. Ażeby zdobyć potęgę duchową potrzeba cierpieć, potrzeba nieraz z małych drobnostek miłości własnéj lub spokoju robić ofiarę. Słowacki więc staczał walki z sobą a szczególniéj z *częścią dumną* ducha swojego, który się był ułożył i ustroił podług świata. Atoli tego trudu nad trudami potrzeba dokonać samemu, gdyż „ducha, który się sam ze wszystkiego nie wypierze na ziemi, nie opierają żadne anioły.“

Gdy tak poeta ustawicznie pisał w listach o znienawidzeniu wszelkiego fałszu, o ciągłem doskonaleniu się duchowém, o wzniesieniu myśli nad rzeczy tego świata; gdy nadto wspomniał o spowiedzi i komunii do któréj przystępował; matka sądziła, że syn jéj ma zamiar poświęcenia się stanowi dochownemu. Słowacki w odpowiedzi nazywa domysł ten *strasznym*, zapewnia matkę, że nigdy księdzem nie zostanie, że jego egzaltacya nie ma bynajmniéj źródła w nauce księży, gdyż oni to właśnie jako „faryzeusze miłość udający, obrzydzali mu próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po któréj tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło.“ Dawni księża i święci niezdolni są nawet do nowéj pracy, bo oni jeszcze walkę z ciałem odbywać musieli. „Wszystkie wielkie duchy bohaterów i poetów były świętemi i może świętszemi nad te, które po pustyniach żyły, bo więcéj za fałsz cierpiały, więcéj dla prawdy zrobiły, a *moc miały*, bo przez swoję wysokość były z Bogiem niewidomie połączone.“ Ludziom nowym, do których i Słowacki należy, nie idzie wcale o porzucanie świata i jego przyjemności, jakkolwiek gardzą „harfeczką kościaną“ tj. ciałem; ale właśnie o zdobycie świata; żadne więc uczucie światowe nie rozminie się z ich sercem i żadna miłość w nich nie gaśnie; niczego się nie wypierają oprócz głupstwa i fałszu i maskowanych rzeczy i bałwanów zrobionych przez oszukaństwo ludzkie, i zapałów nie z serca idących i szczęścia zdobytego dla małych celów osobistych i nauki, która nie jest mądrością (str. 135). Modlitwa u nich jest tylko środkiem do podniesienia ducha, nie zaś celem „jak to jest u ludzi formy, którzy modlitwą zaspakajają nieczynne serca; modlitwa prawdziwa prosi Boga, aby wskazał drogi do spełnienia woli jego, aby dał niezachwianą moc i spokojne podniesienie serca, nad serca ludzkie.“ Pojmował Słowacki różnicę, jaka zachodziła między dawném a nowém jego usposobieniem; ale nie mógł się zgodzić z matką, żeby stan dawniejszy był doskonalszym. Owszem utrzymywał stanowczo, że w poprzednim jego „tonie“ była „nędza serca,“ gdy tymczasem w nowym było „zdobywane bogactwo.“ Szedł teraz po drodze peł-

nėj słońc i tęcz prawdziwych, wobec których dawne złudzeniem i fałszem były. Jeżeliby więc matka chciała wyswatać synowi jaką „byroniankę,“ to się trudzić będzie naprożno. Niech ta byronianka—powiada Słowacki—idzie sobie szukać cienia mego na skale Lenkady i pod kolumnami ateńskiemi i z *przeszłym Julem* niech się żeni, bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci prostoty i spokojności serca. Ja już nie mały Julo, nie to nudzące się dziecko, *prowadzone na pasku przez Byrona* i innych, ale człowiek prowadzący teraz dalėj... z tego właśnie punktu, do którego inni mnie rozpaczą i pięknością ducha dowiedli. Chcąc iść za mną, *trzeba być i tam gdzie ja byłem*; albo zupełnie się żadnėj goryczy świata nie napić i siąść teraz jak do godowego stołu. Najwyżsi więc i najniżsi zrozumieją... średni zostaną długo jeszcze, gapiąc się na różne strony. Utożsamiając dawniejsze swoje usposobienie z całym bajrońskim kierunkiem, powiada, że ludzie ówczesni nie byli zdolni czuć w sobie tėj młodości silnėj ducha swego, która uważa się zawsze i wszędzie za tak zdrową, iż światy przeżyje. Dla czego tak było? Bo często pozwalali na to, żeby fala smutku gięła i kładła ich na ziemi, a często też mając jaką robotę, czynili ją własnemi siłami, nie pijąc ciągle ustami z Boga, siły i mocy twórczėj. Ileż razy—woła—cała moc ducha naszego poszła na fajerwerk, spalony przed oczyma kochanėj osoby; ileż razy oddaliśmy wszystko, co u nas było, a potem ze smutkiem wyprożnionego z ognia posągu, czekaliśmy ponuro na stronie, aż się ciało rozsypie; dusza z takiego ciała wychodząca rodziła się znów już smętna, już pełna rozpaczy i zachceń niewymownych i często prawie wzywała Boga, ażeby się przed nią usprawiedliwiał, dla czego ją z taką na świat przysłał naturą. Wstyd mu było „wielu melancholii byrońskich;“ lękał się, by one nie zaraziły innych. Teraz część sentymentalno-dumna jego natury opadła z niego, a on czuł się „bliższym poczciwych ludzi niż ludzi blichtrem świecących.“

Matka z powodu tej przemiany duchowėj syna, z powodu silniejszych uderzeń serca dla rzeczy boskich, zaczęła lękać się o jego talent poetycki i obawę swoją w liście wypowiedziała. Syn w odpowiedzi mówi o źródle i zadaniu poezyi: „Poezya jest *w ciągłėj młodości ducha*, który gdy zaśnie, trzeba go najwyższem wysileniem budzić, krzepić, podnosić, a potem działać podług niego w każdėj choćby najmniejszėj okoliczności; poezya taka nie umiera, jeżeli cel, do którego duch dąży, jest bożym; entuzyazm zaś dla rzeczy fałszywie zrozumianych nie dość wysokich gaśnie i zostawia po sobie śmiertelną nudę. Wierz mi najdroższa, że ja wiele na tėj drodze prawdziwego entuzyazmu mam do wypracowania i do spełnienia

i wtenczas dopiero, kiedy będę *pełniejszy*, będziesz mogła prawdziwie uradować się ze mnie.“ Nowéj atoli twórczości swojéj opanować już nie mógł, bo z każdym dniem pracę swoję odbierał „w natchnieniu;“ bo żadnego z utworów swoich w tym czasie pisanych wytłómaczyć sobie nie mógł, nie wiedząc, skąd przychodzą i dokąd idą. Czasem jednak zdarzały się okoliczności dowodzące dziwnego związku tych utworów ze światem niewidzialnym, a zatem i ich potrzeby. Oto np. ledwie przełożył ukochanego księcia niezłomnego (1844) w którym Chrystus w Afryce zwycięża, odpowiedział mu zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna—w kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo. W innym rodzaju, ale nie mniéj dziwny wypadek był z jedną z jego postaci tragicznych: Salmonem w „Wandzie,“ gdyż istotnie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragiedyi dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka: zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. „To dla mnie — dodaje Słowacki—jest niby rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną.“ Mniejszych wypadków tego rodzaju mogłby Słowacki, jak powiada, zacytować mnóstwo; ale z mnóstwa tego przytacza jeszcze jeden tylko. Kurd, który mu konie wynajął w Jerozolimie, gdy jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragiedyi, że gdyby był przy męce Chrystusa, to obroniłby Zbawiciela. Dla czegóż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie? — zapytuje poeta, zapominając w téj chwili, że w Jerozolimie był w początkach roku 1837, a Balladynę napisał potem i wydał dopiero w 1839; łatwo więc zasłyszane nazwisko mógł przenieść do utworu.

W przytoczonych tu faktach znajdujemy klucz do otwarcia tajemniczego wchodu doktryny Towiańskiego do umysłu naszego poety. Wizye poetyczne, które przy tak potężnéj i barwnéj fantazyi jak Słowackiego, musiały być bardzo wyraziste, naprowadziły go naprzód na myśl ścisłego związku między światem ziemskim i nadziemskim. Przybyły następnie niewytłómaczone istotnie, lub pozorne urzeczywistnienia się na ziemi pomysłów poetycznych, które powstawały z owych wizyj. Słowacki nie analizował psychologicznie objawów, gdyż natura twórcza przenosi zawsze olbrzymi *skład* nad drobiazgowy *rozkład* wszystkich zjawisk; ale brał je w całości, wiązał w girlandy myśli i fantazyi i starał się je w harmonijną jakąś całość ułożyć. Gdy więc zdarzyło mu się posłyszeć naukę, podług któréj glob ziemski zalegają nieprzejrzane chmary duchów, nie żyjących życiem ziemskiem i dla tego niewidzialnych, podług któréj

człowiek jest ostatnim punktem widzialnym, pośredniczącym w niewidzialném działaniu owych duchów: — nie potrzebował niczego więcéj, ażeby przyjąć doktrynę Towiańskiego. Jakoż istotnie z korespondencyi i z dzieł Słowackiego przekonywamy się dowodnie, że nauka o związku duchów została przezeń umiłowaną i obrabianą najbardziéj. Cały „Król-Duch" jest osnuty na niéj, najwięcéj ustępów w broszurach i listach mówi o niéj. Jestto jedna z pierwszych wiadomości, jakiemi się w nowym stanie umysłu swego z matką podzielił. „Wystaw sobie—pisał do niéj — że duch każdy ma swoję misyą na ziemi, że duch każdy zawiązuje stosunki z dobremi duchami bez ciała już będącemi, które także podobną misyą mieli i o dokończenie jéj dbają, możemy więc uczuciem łączyć się niemi a *one wtenczas dają nam natchnienia*, a według naszéj wiary i czystości coraz wyraźniéj je mówią do serc, a potem nieraz *do uszu, do oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno* jest z nami i to jest *obcowanie świętych*, którego księża nie mogli nam wytłómaczyć, to jest wlać go w wiarę naszą... Najmniejsza rzecz nie jest trafem, ale *dopuszczeniem bożem* i *potrzebą do wielkiego celu*, tym zaś celem jest sprawa jego święta tj. postanowienie całéj ludzkości na wyższym szczeblu, gdzieby wszystko z miłości płynęło... Wielkie odmiany w narodach zajść muszą, a narody, które najbardziéj cierpiały, muszą *przewodniczyć*, bo wszakże niewiele mają do porzucenia, a serca przebolałe są bliższe Bogu." Pod wpływem tych przekonań poeta odżył i wielką miał ufność w polepszenie losów. „Komu serce uderzy dla Boga—pisał—jest z nami, a wkrótce cały świat będzie z nami." Przekonania te zastąpiły mu wszelką mądrość, którą zaczął pogardzać. Chociaż krótko w nim bawiła, już mu ukazała wiele rzeczy daleko lepiéj niż je dawniéj przez teleskop i mikroskop widział i podług nich mógł świat cały sądzić i całą naturę. Miał wiarę, że w kraju wkrótce „piękniejsze duchy zadrżą po kątach jak arfy eolskie, gdzieś po altanach pochowane; niespokojność je ogarnie, oczekiwanie czegoś urodzi się mimowiedzy; a tymczasem ludzie z kości i stalowych sprężynek, zegarki te społeczeństwa często stojące, grać będą zwyczajne kuranty od wieków słyszane na świecie o zdrowym *rozsądku rozwadze* i *rozumie*"...

Do osądzenia nowéj nauki niezdolnym jest według Słowackiego ani rozum, ani tem bardziéj rozsądek; serce jedynie; natchnienie i „wicher boży we włosach" (str. 193) mogą dać poczuć całą jéj wartość i ukochać całą duszą. Potrzeba więc ustawicznie rozpalać i natężać uczucie, wznosić się myślą ku Bogu, czatować na natchnienia, ażeby otrzymać łaskę, i stać się godnym wiadomości o celach ostatecznych i rzeczach boskich. Ażeby siebie i ludzi udoskonalić

należy „pierwéj uczuć *miłość* dla człowieka, nim zacznie się z nim gadać“. Krytykowanie świata, skarżenie się nań albo wyrzucanie mu z gniewem wad jego, tworzą jedynie wiarę w brud i niedoskonałość, a każda wiara zamienia się w ciało i spełnia się. „Czy ty wiész — droga moja — pisze Słowacki — że prawdziwemi zabójcami czasowemi nas dawnych, byli tacy prorocy z kazalnic i z wysokich miejsc od kilku wieków, trąbiący śmierć wam, z dodatkiem: jeżeli się nie poprawicie“. Wszystko zatém na świecie powinno polegać na „miłosnym serc związku“ i na wierze niezachwianéj w możność spełnienia rzeczy, które ludziom zwykłym, *niepełnym*, wydają się nadzwyczajnemi i cudownémi. Słowa ewangelii: „gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczyczne, a rzekli téj górze: rzuć się w morze, rzuciłaby się w morze“ — nie są bynajmniéj przenośnią i dla prawdziwie wierzącego mogą się stać w każdéj chwili rzeczywistością, siła wydobywa się przez wiarę. Najspokojniejszy człowiek, najsłabsza kobiéta mogą być prawdziwemi kolumnami nowego świata, byle posiadali wiarę i bliźnich miłowali. Chociażby tak usposobionych świat śmiéchem prześladował, a włożywszy do mogił jeszcze śmiéchem pożegnał; już oni świat zwyciężyli, „a nikt na świecie nie żyje, jedno zwycięzce“ (st. 174). Poświęcenie, gotowość do ofiar, posłuszeństwo bezwarunkowe dla natchnień, entuzyazm: oto są przewodnicy niezawodni po drodze życia nowego.

Za przewodnikami tymi usiłował iść Słowacki przez całe lat siedem; one mu dawały wesołość i spokój wewnętrzny, o których tylokrotnie wspomina, chcąc uspokoić obawy matki; one go czyniły żarliwym apostołem, a nawet fanatykiem idei wyznawanych; one go uczyniły nieprzyjacielem wszelkich ziemskich zabiegów i trosk o jutro. Czasami odzywały się w nim wprawdzie smutek, boleść, a nawet melancholia; ale wyrzucał je sobie jak grzech, jak przeniewierzenie się wysokiemu posłannictwu, do którego czuł się powołanym. On „dziecko nad dzieci wieku swego więcéj wiedzące i pełniejsze niespodzianych błyskawic“ (st. 166), on „rządzony przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa“ (s. 163), on który „miał to, o czém jeszcze świat nie wié, czego ludzie nie powiedzieli i nie uczynili“; uczuwał niekiedy, że gniazda ludzi codziennych są nadzwyczaj niebezpieczne dla duchów przelatujących przez ziemię, gdyż „każdy grat przyczepia się do surduta podróżnego i chwyta usiłując zatrzymać jak te nasze ukraińskie bodiaki, czepiające się koni rozhukanych“— ale pyta się zarazem, ktoż się da bodiakom zatrzymać i w natężeniu ducha szuka skutecznego środka, do oparcia się wszelkim pokusom. Ludzie otaczający go nie dali się odrazu przeanielić; musiał

więc z niémi postępować „jak z kryształowemi lalkami, bojąc się zniszczyć tego, co w nich jest półdoskonałością, aby po zniszczeniu pół szlachetności, pół uczucia, pół zapału, pół energii i pół miłości“ nie stali się szatanami lub nieruchomemi bryłami. Nie miał jednak w tém postępowaniu dosyć wytrwałości, ażeby nad każdym połowicznym człowiekiem pracować jak dawni apostołowie. „Kogo się dotknę teraz, dotykam go całą piersią swoją; jeżeli nie może znieść człowieka a chce zamaskowanéj figurki, podług teraźniejszego świata na model poety lub dowcipnisia, z którym wieczór przepędzić miło, zrobionéj: od takiego człowieka odchodzę bez żadnego uczucia gniewu, ale też z czasową dlań obojętnością“. Dla tego też, gdy go matka pytała o stosunki jego z przyjaciołmi i znajomemi, odpisał jéj w słowach goryczy pełnych: „O droga i miła! gdyby mnie kto chciał ku celom niższym zwrócić, karła znów duchowego zrobić ze mnie; gdyby mi przyjaźń swą ofiarował za zraz pieczeni i kieliszek wina, albo mi kazał bawić siebie ciągłą o głupstwach pogadanką; gdyby kto ssał mi serce, a potém bezużytecznie upiły krwią moją jak pijawka odchodził i wylewał to co wziął z ducha mego, a potém mi swój brud światowy — małe plotki, zawiści, podejrzenia przynosił i takim sposobem działając we mnie powoli, zniszczył wiarę w anielstwo ludzkie i w piękność bożą mego własnego ducha; a gdybym ja tego człowieka ścisnąwszy za rękę i pożegnawszy na czas nie oddalił od siebie, ale dla jakiéjś mojéj korzyści żył z nim i ciągle się dziecinnił, chcąc odpowiedzieć jego muzykalnemu tonowi: — byłbym wtenczas prawdziwie godzien pożałowania“ (st. 176). Co więcéj nawet, względem matki, którą tak gorąco kochał, przed którą najszczerzéj powiadał, któréj „westchnieniami płynął jak okręt“ po oceanie życia; nawet względem niéj jest surowy jak zagorzalec, kiedy tylko zbyt wiele wyrażała troski o niego, kiedy nawet zbyt namiętnie wypowiedziała chęć widzenia się z nim. „Gdy ci ksiądz mówił — pisze do niéj na początku roku 1848 — że w stworzeniu kochać się nie wolno, nie czułaś prawdy tych słów, bo ksiądz je mówił jak papuga; ale gdy ci ja powiem, że wzdrygam się mimowolnie na taką miłość a zarazem powiem, że jestem spragniony miłości matczynéj może uwierzysz i uczujesz. Świętą jest rzeczą matce widzieć się z synem; ale mówić, że patrząc się na niego, będzie się rozpływała; że w tém znajdzie szczęście; mówić to i pisać takim tonem, jest to ściągać na siebie i na syna nieszczęście. Bo wolałbym być pod ziemią, *niż być jakiemu człowiekowi celem żywota*; wierzaj mi, że przez miłość dla ciebie radbym być teraz z ziemi zabrany raczéj, niż być tobie dostateczną nagrodą i całych westchnień ducha twego zaspokojeniem“ (st. 186). Tak przemawiał fanatyk

który obok rzeczy boskich i celów ostatecznych nie widział nic godnego miłości najwyższéj, zapominającéj na chwilę o samym Bogu, ażeby go uwielbić w jego stworzeniu.

Z tego odezwania się do matki w przededniu widzenia się z nią wnieść można, jak gorączkowe i egzaltowane było usposobienie Juliusza w przeciągu lat niemal siedmiu; wnioskowanie zaś logiczne może nadto mieć poparcie w dokumencie napisanym przez poetę w r. 1845, a przechowanym w jego papierach. Okoliczność, która go wywołała, tyczyła się w szczególności niepochlebnego sądu matki o „Śnie srebrnym Salomei“, lecz była również wyrazem ówczesnych zdań ogółu o zwichniętéj działalności poetycznéj Słowackiego. Matka wyrzucała mu, że marnuje swoje zdolności, że nie pisze tak jak dawniéj, że taką kobiétę jaka w „Śnie“ występuje podobało mu się nazwać jéj imieniem. Syn odpisuje, że list, w którym te zarzuty w czułym tonie wypowiedziała, dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości, ale dla człowieka prostego a z sercem jest listem zupełnie bez serca pisanym. A obracając rzecz do ogółu, wspomina o zwyczaju Anglików zwłaszcza w klasie piwowarów krwistéj organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, gdyż bez niego zabiegliby krwią, obrośliby sadłem, straciliby wszelką myśl i energią; otóż dzisiaj mówi daléj zamiast emetyku dla takich ludzi Bóg przysłał doskonalsze lekartwo t. j. „enerwującą muzykę Chopina“. Uważa następnie, że po koncercie Chopina ludzie tracą część swojéj duszy, a powszechną atmosferę w któréj żyją, nazywa nieszczęsną i smętną. „Chorzy jesteście — powiada — i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli; nerwami już, nie sercem czujecie!.... Lubicie co wam nerwy rozczula a wstręt macie do zdrowych pokarmów“. Widziałaś — że ty — zwraca się do matki — aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiém, przez Chopina muzykę sprawionem, stał się lepszym, piękniejszym, litośniejszym, wyrósł na bohatera?.... Jednę mi osobę zacytuj, a wyznam, żem nie miał racyi potępienia.... Zarzut niewłaściwości nazwania bohaterki snu Salomeą odpiéra następującém przypuszczeniem: „Gdybym ja napisał np. *Indyankę* stylem pani Sand i tę kobiétę dwa razy niewierną, dwa razy splamioną, biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał twojém imieniem; ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansową kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał tobie? Rzekłabyś, że cud cudów!.... Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych który je zmienia w anielskie?....“ Widząc w dawniejszych swoich utworach te chopinowskie dysonanse, twierdzi, że najokropniejszą

krytyką jego wierszy, jest to, że one wszędzie o sobie gadają; że nie śmiałby deklamować z zapałem „przed Chrystusem“ ani Szwajcaryi ani innych osobistych poematów, ale deklamowałby spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu „Salusi“ albo téż Wernyhory dramę w piątym. Co więcéj — powiada — wystaw sobie chłopka bogatego z rodziną już czytać umiejącą za sto lat w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie, szczęśliwy; ogień pali się w izbie a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta *Balladynę*. Ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy go jakiéjś harmonii i dramatycznéj formy. Bierze *Lillę*, to samo. *Mazepa* trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim; lecz ujrzał *Godzinę myśli* albo *Lambra*.... i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego. Otóż dla tego chłopka jest *Salomea*, *Ksiądz Marek* i *Książe Niezłomny*, ten książę, który mi kości wewnętrznie połamał, gdzie są pioruny poezyi, a z którym ty nie masz żadnego związku, bo nie *na nerwy*, ale na samo czyste czucie uderza, nie melancholię ale boleść obudza, nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi.

Tu dopiéro odzywa się dawna duma osłonięta płaszczem wyższego natchnienia i wielkiéj misyi. Każe poeta prosić Boga w dzień i w nocy o *poezyą dla żywych ludzi*. „Kto pierwéj z taką poezyą przyjdzie — powiada — ja mu z wszystkich moich książek postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżéj i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego nie ma, *nie równaj mię z nikim*; ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady“. Nie równaj mię z nikim, miało znaczyć: nie pokazuj mi wzoru w Adamie lub w kimkolwiek innym, bo ja wypowiadam rzeczy, które mi duch dyktuje, których nie śmiem nawet przeglądać i przepisywać, gdyżby w ten sposób mogły być sprofanowane, straciłyby woń i siłę (st. 168).

Listu tego nie wysłał Słowacki a streszczając go w następnym powiada tylko, iż „był troszkę gniewny za to“, że matka nerwom swoim, czasami rozharmonizowanym polonezami Chopina, pozwalała nad głębią duszy swojéj panować. Widzieliśmy, że gniew ten wyraził się w słowach dosadnych i zaciekłością nacechowanych, które dowodziły, że chciał „garściami duszę swoję rzucać“, przemieniać ludzi w siebie, nadgryzać ciało, dopóki ich nie przeistoczy na najpiękniejszych ze śmiertelników (st. 129). Bolał okropnie nad tém, że ludzie jakoś przeistoczeniu się poddać nie chcieli; że robili się małemi nawet ci, których za wielkich uważał. Nie mogąc ich nakłonić do ustawicznego natężenia ducha, radził najbliższym, ażeby

przynajmniéj zbytnią troską i zapatrzeniem się w ziemię nie stawali się obcemi jemu i nie rozrywali duchowego z nim węzła. Tłomacząc się mistycznym językiem ze swoich przekonań ekonomicznych, utrzymywał, że człowiek każdy potrzebuje mieć taki tylko ziemi kawałek, któryby go w ostatecznym złym razie przy pracy rąk własnych mógł wyżywić, literalnie jedynie *wyżywić*. Szczęście zaś człowieka, zbliżającego się jak najbardziéj do szczęścia duchowego i rajskiego, polega na jego wolności, połączonéj z potęgą. A ta wolność jest w *skrzydłach*, a skrzydłami które nas nad ziemią utrzymują są *kapitały*. Najwięksi właściciele ziemscy w porównaniu z nim są *nędzarzami*; gdyż on ma wprawdzie kilka jedynie tysięcy franków, ale te franki są tak ruchome, że je w każdym dniu może na jakibądź czyn użyć i zasłonić się niemi przed wszelką mocą i przemocą. Ziemie obszerne robią egoistów, nie dbających o ludzi ani o naród swój; gdy przeciwnie mając w kapitałach „nadmiar swoich sil cielesnych", dbać się musi o cały kraj, który za nie odpowiada, i mimowolnie dobrze się życzy każdemu ze spółżyjących. Gdy nas kto chce ujarzmić, kapitały unoszą nas przed nim i „stawią niby na gwiazdach" z których na ujarzmiciela piorunować możemy. Gdy chcemy kogo uratować, w dniu jednym możemy oddać wszystko co mamy, i miłości zadość uczynić. Do ziemi więc potrzeba zastosować sił tyle tylko, ile konieczność wymaga „gwałtownością swoją nie strasząc i nie płosząc ducha cichego łanów, który chce pod spokojnością bożą człowieka rodzić, jakby jakiemu Bogu, błogosławiącemu poddając żniwa swoje" (st. 210). Jeden folwark a w miarę potrzeby kilka puszczonych parobkom w dzierżawę, to dosyć; skupowanie wiosek jest rzeczą złą i niepewną, bo zanadto przywiązuje człowieka do ziemi. „Nie wrastajmy w grunt jak dęby — powiada poeta — ani chciejmy podobnéj dębom trwałości; duchy dębów cierpią, że sobie na lat tysiące piekielną nieruchomość u Boga uprosiły, ptakom zazdroszczą, komarom nawet, które chwilkę żyją wesoło, w złotym słońca promieniu ulatując, gwoli duchowi, który ulatywać pragnie. Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi i w głupocie ciężkiego szlachcica" (st. 217, 218).

Co do przekonań politycznych, demokracya, jak wiadomo, miała w nim natchnionego rzecznika, nawet w tym czasie, o którym mówimy. Wówczas bowiem w 1845 był napisany sławny wiersz do autora trzech psalmów w obronie ludu i propagandy demokratycznéj, którą Krasiński potępiał. W listach atoli przekonania te schodzą zupełnie z placu z łatwych do odgadnienia powodów. Zapewne z przyczyny owego wiersza a może też jeszcze z przyczyny „Księdza Marka" pytała go matka o stosunki z Krasińskim; Juliusz w tych odpisał sło-

wach: „Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego; mówię o Zygmuncie. *Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić*, teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i cząstką mego szczęścia szczęśliwi" (170). Jedyna wzmianka tycząca się pojęć politycznych odnosi się do roku 1849, do czasu najżywszych jeszcze rozpraw nad kwestyami społecznemi, nad polepszeniem doli klas pracujących". O *braterstwie* gadają teraz ludzie — pisze Słowacki — i źle gadają, bo od *ojcostwa* nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają a zwyciężycie wszelką przeciwność; ale *nie pochlebiajcie im* i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie" (215). Jeżeli wyrazy te rozważymy dobrze, jeżeli połączymy je z mistycznem trochę uwielbieniem dla kapitału ruchomego; jeżeli przypomnimy sobie, że o uwłaszczeniu włościan, t. j. o kwestyi zajmującéj wówczas wszystkie szlachetniejsze umysły, powiedział Słowacki tyle tylko, iż należałoby folwarki wypuszczać w dzierżawę *parobkom*; to nie trudno będzie przyjść do przeświadczenia, iż demokratyczne poglądy poety pod koniec życia znacznéj uległy zmianie. Wypadki 1846 r. jak dla wielu innych tak i dla Słowackiego były srogą nauką, bo pokazały przewagę siły brutalnéj nad szlachetnemi popędami w sercach wieśniaków, a przynajmniéj wielką jéj potęgę i zmusiły do wypowiedzenia rady: nie pochlebiajcie ludowi, nie utwierdzajcie go w głupstwie i dumie. Z drugiéj zaś strony wiara w wszechwładzę miłości i nowéj nauki nakazywały poecie poszukiwać w nich nie tylko najlepszych, ale i jedynych nawet środków polepszenia losu milionów uciśnionych.

Taki jest najogólniejszy rys usposobienia i przekonań Juliusza w ostatnich latach życia. Nie wypowiedział on ich w sposób jasny i jakąś ciągłością nacechowany, gdyż jeszcze w r. 1843 oświadczył, że „zerwał z wszelką systematycznością", słuchając jedynie „wichru bożego we włosach"; to też chcąc je jako tako uporządkować musiałem zestawiać ustępy z różnych lat; żadnéj jednakże, o ile mi się zdaje, nie wyrządziłem szkody poglądowi na rozwój przekonań u Słowackiego, gdyż w okresie towianizmu umysł jego jednolitym się przedstawia i prócz lekkich falowań uczucia i humoru nie można zaznaczyć jakichś faz wybitnych, któreby były wskazówkami powolnego wyrabiania się tych lub owych pojęć. Zaznaczać zaś szczegółowo, w którym miesiącu był wesołym, spokojnym i szczęśliwym, a w którym tęsknota, żal do ludzi i pewna niecierpliwość zwyciężały usposobienie nakazane przez towiańszczyznę, nie było mojém zadaniem. Usposobienie zaś to streszcza się w słowach, które w r. 1844 napisał Słowacki w liście do matki: „Teraz życie i śmierć jednako-

wo nie są ponętne i niczém się nie różniące od siebie; wierzcie mi, że tak jest i tak być musi wkrótce dla wszystkich ludzi, którzy zdobędą uczucie nieśmiertelności ducha i wszystko jasno zobaczą".

O szczegółach życia potoczonego nie lubił w tym czasie Słowacki pisać długo; zbywał je zwykle kilkoma wyrazami, rozszerzając się natomiast nad stanem swéj duszy i nad wypadkami, które mogły wyobraźnią podbudzić, uczucie rozpalić lub wskazać związek rzeczy widzialnych z niewidzialnemi. Wiemy więc tylko, że co roku w lecie jeździł nad ocean i kąpał się w morzu. Ocean atlantycki miał dla niego szczególniejszy powab, którego nie posiadały inne morza; „zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Pornika," takie jakie widział w imaginacyi czytając Walterskotowego Piratę tj. szare, skaliste, okryte chwastami; natura choć obca ale znajoma, zapragniona sercem, przypominająca odległe miejsca i czasy, działały na poetyczną duszę rozkosznie, upajająco. To też Słowacki wybierał się na te „wakacyje" swoje z wielką radością, nie zapominając naturalnie usprawiedliwiać przed mistycznemi poglądami tych wycieczek „usługą, którą ciału swemu był winien jako narzędziu wolności."

W Paryżu przepędzał dnie spokojnie i cicho na rozmyślaniu i pisaniu. Z mnóstwa poematów, które wtedy utworzył, drukował tylko niektóre; resztę poznaliśmy dopiero po jego śmierci. Wypadków głośnych i ważnych nie było; protesta tylko względem postanowień niektórych Towiańczyków, odezwy do braci o nowéj nauce, bez tworzenia uorganizowanego stronnictwa, do czego poeta nie miał najmniejszych zdolności; wyjazd w Poznańskie dotąd ostatecznie nie wyjaśniony i związane z nim widzenie się z matką we Wrocławiu 1848 roku (w czerwcu), powrót do Paryża po zawiedzeniu nadziei, jakie w ówczesnym ruchu pokładano: oto najważniejsze zdarzenia z całego sześcioletniego przeciągu czasu. Powróciwszy do swoich cichych pokoików był smutny i długo nie mógł energii zwyczajnéj odzyskać. Zachęcony przez matkę do wyprzedania pozostałych egzemplarzy dzieł swoich „zarumieniony prawie" wydobywał ze składu liczne arkusze książek, z których wiele chciałby był zatracić; pragnąłby przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarnek czystego zboża dać narodowi na siejbę, bo nadto wysoko ważył teraz ducha polskiego. Zmniejszył cenę książek do połowy, ułożył je w paki i chciał jak najprędzéj odesłać Milikowskiemu do Lwowa, gdyż mu „nawet na oko niemiłe" były.

W początku marca r. 1849 czy też w końcu lutego tak już był osłabiony upływem krwi, że jak powiada, widział zbliska Pana i Boga swego, który go już chciał jak żołnierza z ziemi téj wziąć a na

inne i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. 3 kwietnia tegoż roku już nie żył.

Wskazałem już powyżéj przyczynę, dlaczego doktryna Towiańskiego tak łatwo przyjęła się w umyśle Juliusza: potęga jego fantazyi karm nowy znalazła, a myśl błąkająca się długo w poszukiwaniu słowa wielu zagadek ogólno-ludzkich i narodowych, uspokoiła się w téj wierze głębokiéj, że czas rozwiązania ich już niedaleki. Udoskonalenie ludzi przez miłość, zdarcie z nich grubéj skorupy ziemskiéj przez natężenie ducha, wypędzenie ze świata wszelkiego fałszu, rozpowszechnienie prostoty i anielstwa; obudzenie potęg wszechmocnych w duszy człowieka przez wiarę w możność dokonania rzeczy nadzwyczajnych; pewność, jaką daje przekonanie o wielkiém posłannictwie osób pojedynczych i narodów na ziemi: oto węzły potężne, które poetę do doktryny przykuły i propagatorem jéj gorliwym uczyniły. Dodajemy do tego okoliczność, że naukę Towiańskiego przyjął Słowacki w wieku, w którym nikt prawie zdań swoich już nie odmienia, bo w 34 roku życia; a nie będziemy się dziwili, że pomimo bardzo przykrych zawodów, jakich doświadczył poeta w przeanielaniu ludzi, nie zachwiał się w swéj wierze, lecz wytrwał w niéj do końca. Słowacki jak wiele innych umysłów pomylił się w rachubie co do umysłów i serc ludzkich; sądząc że w nich więcéj jest pierwiastków anielskich niż ziemskich. Żaden naród a tembardziéj Polacy nie mogą znaleść zaspokojenia w mistycyzmie tak dalekim od rzeczywistych życia warunków, że je otwarcie lekceważy. Nikt fantazyi saméj losów swoich powierzyć a udoskonalenia, do którego ludzkość dąży, zasadzać na specyalnem wytężaniu ducha nie zechce, woląc szukać ideału w harmonijnem rozwijaniu wszystkich zdolności swoich. Lecz, chociażbyśmy nie podzielali téj nadziei, którą Słowacki pokładał w swéj sile fatalnéj, co mu czoło zdobiła, że nas „zjadaczów chleba w aniołów przerobi“: nie będziemy jednak lat jego ostatnich za stracone poczytywali, choćby z tego jedynie względu, iż dążył do celu wielkiego—do udoskonalenia—jakkolwiek niewłaściwemi podług nas, bo w mgłach gubiącemi się drogami. A przypomniawszy sobie wiersz do Autora trzech Psalmów, któremu istotnéj piękności ludzie przeciwnych nawet poecie poglądów odmówić nie mogą; (1) parę dramatów i kilka utworów lirycznych, zmuszeni będziemy przyznać że w dziejach poezyi lat owych nie ujrzymy kart pustych.

Piotr Chmielowski.

---

(1) Stanisław Tarnowski w Przeglądzie polskim 1867, Grudzień, str. 415.

PIERWSZE OBJAWY

ROZWOJU UMYSŁOWEGO U NIEMOWLĄT

przez

Karola Darwina.

Ciekawy artykuł Taine'a, drukowany w Przeglądzie filozoficznym, a traktujący o umysłowym rozwoju dziecka, skłonił mnie do przejrzenia dziennika w którym przed trzydziestu siedmiu laty, spisywałem uwagi nad jednym z moich dzieci. Robiłem spostrzeżenia najściślejsze i najszczegółowsze zapisując takowe bezzwłocznie. Głównym celem mych badań było, wyrażenie myśli, a notatki moje w tym względzie posłużyły mi już przy pracy, którą drukowałem w tym przedmiocie; lecz zwracałem także uwagę i na wiele innych szczegółów, może być więc, że te moje spostrzeżenia, porównane z czynionemi przez P. Taine'a, i z temi które bez wątpienia w przyszłości czynione będą, złożą nieobojętną całość. Pewny jestem sądząc po moich dzieciach, że rozwój władz umysłowych bywa rozmaitym i zależy zupełnie od natury dziecka.

Przez pierwsze siedem dni dziecko moje dopełniało już wiele bardzo czynności wrodzonych, do jakich należy kichanie, czkawka, ziewanie, wyciąganie się i naturalnie ssanie, oraz krzyk; siódmego dnia dotknąłem kawałkiem papiéru podeszwy nóżki jego, dziecko cofnęło nóżkę szybko, kurcząc duży paluszek, jak to robią dzieci starsze, gdy się je łaskocze. Dokładność tego odruchu, obok wielkiej niedokładności ruchów, wykonywanych własnowolnie, dowodzi, że te ostatnie nie zależą od stanu muskułów, lub ośrodków koordy-

nacyi, a od stanu siedlisk woli. Od téj chwili chociaż dziecko tak jeszcze było maleńkie zauważyłem, że skoro tylko mu przykładano do twarzyczki ciepłą, delikatną dłoń szukało w téj chwili ssać — czyn ten musi być uważanym jako instynktowy lub poprostu jako odruch, bo trudno przypuścić by doświadczenie lub jakiekolwiek kojarzenie wyobrażeń budziło w myśli jego porównanie z ciepłem piersi matki. Przez pierwsze dwa tygodnie drgał często i mrużył oczka słysząc hałas, co również uważałem i u innych moich dzieci. To o którém obecnie mówimy miało 66 dni, gdy przy niém kichnąłem: drgnęło gwałtownie, zmarszczyło brwi, miało minkę przestraszoną, a następnie zaczęło głośno płakać i przez całą godzinę niemal pozostawało w stanie, który u osoby starszéj nazwalibyśmy nerwowym, gdyż za najmniejszém głośniejszém stuknięciem widać było drżenie. Kilka dni przed tém drgnął gwałtownie ujrzawszy nowy jakiś przedmiot; lecz długi czas późniéj jeszcze wszelkie dźwięki wywoływały u niego drgania i mrużenie oczek, częściéj aniżeli widok nieznanych mu przedmiotów, naprzykład: gdy dziecko miało 114 dni, potrząsałem przy jego twarzy pudełkiem zawierającém osmarzane owoce, wówczas wstrząsało się, a gdy również blizko wykonywałem ten sam ruch lecz z pudełkiem pustem, lub innym jakimkolwiek przedmiotem, nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Ztąd możemy sądzić, że mrużenie oczek mające widocznie na celu osłanianie tychże organów, należy również do ruchów bezwiednych. Mimo przecięż téj wrażliwości na wszelkie dźwięki w ogóle, w 124 dniach, jeszcze nie umiało z łatwością rozpoznać z któréj strony dochodził go jaki głos.

Przejdźmy teraz do wzroku. Dziewiątego dnia oczy dziecka utkwiły w zapalonéj świécy, i aż do 45 dni żaden inny przedmiot nie zwracał tak silnie jego uwagi. Czterdziestego dziewiątego zaczął się przypatrywać pilnie chwastowi o żywych barwach, co zauważyłem po raptownéj nieruchomości rączek, i w jeden punkt utkwionym wzroku. Zdumiony też byłem spostrzeżeniem jak powolnie nabywał zdolności śledzenia wzrokiem za kołysanym z pewną szybkością przedmiotem; nawet w 7½ miesięcy nie nabył jeszcze dostatecznéj w tym względzie łatwości.

W trzydziestym drugim dniu życia w odległości 75 do 100 milimetrów rozpoznawał pierś matki, jak to wyraźnie wskazywały ruchy usteczek i wpatrzone oczka, lecz wątpię aby tu wzrok oddziaływał cokolwiek; dotykania też nie było zgoła. Czy kierowało niém powonienie, czy uczucie ciepła, czy wpływ pozycyi w jakiéj go trzymano nie umiałbym powiedzieć.

Długi czas ruchy ciała i pojedynczych członków były niepewne i nieokreślone, wyrażając się najczęściéj w wstrząśnieniach, muszę tu przecież zrobić pewien wyjątek: w czas bardzo, bo daleko jeszcze przed czterdziestu dniami, dziecko umiało już kłaść rączki do ust. Po upływie siedemdziesięciu siedmiu dni chwytał już prawą rączką flaszeczkę, która służyła do karmienia go — bezwzględnie czy go piastunka trzymała na prawéj, czy na lewéj ręce — i potrzebowałem cały tydzień czasu by go skłonić do wzięcia flaszeczki lewą ręką: tak więc ruchy ręki prawéj o cały tydzień wcześniejsze były aniżeli lewéj. A jednak później dziecko to robiło wszystko lewą ręką co już widocznie było skłonnością dziedziczną, gdyż dziad jego, matka i jeden z braci mieli tę samą wadę. Po dniach ośmdziesięciu około dziewiędziesięciu, zaczęło najrozmaitsze przedmioty kłaść do ust i po dwóch, czy trzech tygodniach wykonywało ten ruch z pewną zręcznością; zdarzało mu się jednak niekiedy jeszcze dotknąć najpierw noska, a następnie dopiéro trzymany przedmiot wsunąć do buzi. Gdy schwycił mój palec i włożył takowy do ust, rączka jego przeszkadzała mu ssać go, lecz sto czternastego dnia, już usunął tak swoją rękę, że koniec mego palca mógł ssać swobodnie; to samo powtórzyło się kilkakrotnie, co dowodzi, że czyn ten nie był przypadkowym, lecz wykonanym z namysłem. Tak więc własnowolne ruchy rąk i ramion, o wiele wcześniéj się rozwijały aniżeli całego korpusa i nóg; aczkolwiek ruchy tych ostatnich od pierwszych chwil, były zawsze kolejne, odpowiadające tym jakie się wykonywa chodząc.

Po czterech miesiącach wpatrywał się często we własne swoje ręce i przedmioty w pobliżu będące, przyczém zyzował w najokropniejszy sposób. W 15 dni później miał wtedy dni 132, zauważyłem że starał się, często daremnie, uchwycić rzecz jakąś będącą w tym samym oddaleniu od jego twarzy, jak ręce; lecz przedmiotów daléj będących nie silił się dosięgnąć wcale. Sądzę, że do ruchów tych skłaniało go, zestrzelenie wzroku na jednym punkcie które go pobudzało do wyciągania rączek. Chociaż dziecko to tak wczas zaczęło się posługiwać rękami, późniéj przecież nie objawiło żadnych osobliwszych w tym kierunku zdolności, bo w dwa lata i cztery miesiące, daleko niezgrabniéj trzymał ołówek i pióro i używał takowych, aniżeli siostra jego, mająca wówczas czternaście miesięcy, a okazująca nadzwyczaj wiele wrodzonéj zręczności.

Gniew. Trudno byłoby mi oznaczyć ściśle epokę w któréj dziecko zaczęło doświadczać uczucia gniewu, zaledwo bowiem miało tydzień jeden życia marszczyło brwi i krzywiło twarzyczkę zanim zaczęło płakać, lecz przyczyną tych ruchów może było cierpienie

a nie gniew. Gdy miał dziesięć tygodni, dano mu nieco chłodne mléko, i przez cały czas pojenia miał brwi zmarszczone, co mu nadawało pozór dorosłéj osoby zmuszonéj wykonać coś, czego nie lubi. Po czterech miesiącach widocznèm już było po uderzaniu krwi zarumieniającéj mu silnie twarz i całą skórę na głowie, że łatwo bardzo wpadał w gwałtowny gniew; i tak raz naprzykład mając nieco więcéj nad siedem miesięcy rozkrzyczał się zapamiętale, dla tego że mu się cytryna wysuwała z rąk, i nie mógł jéj uchwycić dobrze.

W jedenastu miesiącach podawaną zabawkę któréj nie chciał, odpychał i bił; sądzę przecięż był to tylko znak gniewu zupełnie instynktowy, tak jak ruchy szczęk młodego krokodyla wychodzącego z jaja — i nie dowodzący wcale, aby kierowała dzieckiem myśl, że tym sposobem wyrządzi zabawce coś złego. W dwa lata i trzy miesiące, miał zwyczaj rzucać książki, patyczki i tym podobne inne przedmioty, na wszystkich którzy mu się niepodobali; to samo zauważyłem i u drugich moich synów, u córek zaś nigdy; to mi dowodzi, iż u chłopców skłonność ciskania przedmiotów, nabywa się dziedzicznie.

Obawa. To uczucie rozwija się w dzieciach zapewne jedno z najpierwszych, gdyż zaledwo mają parę tygodni, już najmniejszy niespodziewany łoskot wstrząsa niemi i sprowadza płacz. Gdy dziecko o którém mówimy miało cztery miesiące i pół, miałem zwyczaj naśladować tuż przy niém rozmaite głosy, co on uważał za zabawę; lecz pewnego razu w owym czasie właśnie warknąłem głośno, czego nigdy przed tém nie robiłem; malec natychmiast przybrał poważną minkę, a następnie rozpłakał się. W dwa czy trzy dni późniéj powtórzyłem to samo bez żadnéj myśli nawet, co wywarło na dziecku również przykre wrażenie jak za pierwszym razem. W tym czasie także (sto trzydziestego siódmego dnia) zbliżałem się do niego obrócony plecami i zatrzymałem się nagle przed niém, dziecko zrobiło minkę poważną, zdawało się bardzo zdziwione i byłoby zaczęło płakać, gdybym się nie był odwrócił: twarzyczka jego rozjaśniła się natychmiast wesołym uśmiechem.

Wiadomo nam jakie przykre, dotkliwe cierpienia sprawiają dzieciom starszym już, nieokreślone obawy, gdy pozostaną same bez światła, lub muszą przejść ciemny pokój. Naprzykład: gdy dziecko o którém mowa miało dwa lata i trzy miesiące prowadziłem je do ogrodu zoologicznego, a widok zwierząt podobnych do tych które znał, sprawiał mu wielką przyjemność, mianowicie widok kóz górskich — antylop i wszystkich ptaków w ogóle, nawet strusiów, lecz

lękał się niezmiernie większych zwierząt zamkniętych w klatkach — mówił też, że on lubi bardzo chodzić do ogrodu zoologicznego, ale nie lubi patrzeć „na wielkie zwierzęta co siedzą w domach" i nie mogliśmy sobie wytłómaczyć przyczyny téj obawy. Czy nie bylibyśmy w prawie sądzić, że owe nieokreślone, lecz rzeczywiste obawy dziecka, nie oparte przecięż na żadném doświadczeniu, są wynikiem dziedzicznym, istotnych niebezpieczeństw, lub przesądów pochodzących jeszcze z czasów pierwotnego dzikiego życia? Ta właściwość ukazywania się na początku życia, i znikania następnie, odpowiada najzupełniéj wiadoméj nam dziedziczności charakterów rozwiniętych u przodków.

Uczucie przyjemności. Można mniemać, że dzieci ssąc doznają uczucia przyjemności, co też i wskazuje wyraz ich oczów. Dziecko moje jedno uśmiechało się w czterdzieści pięć dni, inne w czterdzieści sześć, a były to prawdziwe uśmiechy wywołane uczuciem zadowolenia, gdyż oczka ich błyszczały, a powieki przymykały się— szczególniéj uśmiechały się na widok matki, widocznie więc skłaniała je do tego jakaś umysłowa przyczyna, lecz dziecię nad którém robiłem spostrzeżenia, uśmiechało się wówczas często, widocznie pod wpływem jakiegoś wewnętrznego zadowolenia, bo nic nie przyczyniało się do jego rozweselenia. Po upływie stu dziesięciu dni bawiło go to niezmiernie gdy zasłaniano mu twarz fartuszkiem a następnie raptem zdejmowano takowy, i gdy pewnego dnia bawiąc się z niém w ten sposób, zakryłem niespodziewanie swoją twarz, a następnie zbliżyłem ją do jego główki, malec wydał głos zbliżony bardzo do początku głośnego wybuchu śmiechu. Tym razem główną przyczyną uczucia przyjemności było zdziwienie, jak to bywa również często u osób dorosłych śmiejących się z jakiegoś dowcipu. Na trzy czy cztery tygodnie przed tem, gdy go zaczął cieszyć widok odsłaniającéj się niespodziewanie twarzy, przypominam sobie że również bawiło go, gdy kto delikatnie szczypał go za nosek lub policzki. Z początku zdziwiony byłem spostrzeżeniem że tak maleńkie dziecko, bo zaledwo trzy miesięczne pojmowało już żarty, lecz przypomijmy sobie jak wcześnie młode psy i kocięta zaczynają swawolić. Po czterech miesiącach syn mój okazywał wyraźnie jak lubił słuchać gry na fortepianie; to zdaje się według wszelkiego prawdopodobieństwa było pierwszym zbudzeniem się uczucia estetycznego, chybaby ktoś nazwał tak samo, powab jaki oddawna miały dla niego żywe barwy.

Uczucie przywiązania. To uczucie powstaje zapewne w dziecku wraz z pierwszą chwilą życia, gdyż mając nie całe dwa miesiące już się uśmiechało do osób pielęgnujących je—lecz dopiéro po upływie

czterech miesięcy, zaczęło wyraźnie okazywać, że umie rozpoznawać otaczające go osoby. A w pięć miesięcy objawiało widocznie chęć by go mamka wzięła na ręce. Nie wcześniéj przecież jak po roku zaczęło dopiero okazywać przywiązanie przez zewnętrzne oznaki. I tak naprzykład: gdy zobaczył mamkę po krótkiéj tejże nieobecności, ściskał ją i całował po kilkakrotnie. Co zaś do sympatyi, uczucia tak blisko graniczącego z przywiązaniem, to objawiało się ono u dziecka już od sześciu miesięcy i jedenastu dni jego życia, za każdym razem gdy mamka jego udawała płaczącą, na twarzy dziecka malował się smutek uwydatniający się widocznie, przez obniżenie kątów ust. W piętnaście miesięcy i pół, widząc mnie chuśtającego małą jego siostrzyczkę, lub pieszczącego dużą lalkę okazywał wyraźną zazdrość. A ponieważ to uczucie silnie jest rozwiniętem i w psach, być więc może, że i w dzieciach wcześniéj jeszcze aniżeli we wzmiankowanym wyżéj przezemnie wieku ujawniło by się, gdyby do tego nastręczono odpowiednią sposobność.

Kojarzenie wyobrażeń, rozum i t. d. Wspominałem już wyżéj jaki był pierwszy postępek mego dziecka w którym widziałem pewien rodzaj praktycznego rezonowania; chcę tu mówić o sunięciu rączki wzdłuż mego palca by módz swobodnie wsunąć koniec jego w usta: wykonał on to w sto czternastym dniu swego życia. W cztery miesiące i pół uśmiechał się często widząc w lustrze odbicie swojéj i mojéj twarzy, brał je zapewne za rzeczywistość, lecz dał dowód roztropności, gdy go zdziwił usłyszany za nim mój głos. Tak jak wszystkie dzieci lubił on niezmiernie przeglądać się w lustrze, i niespełna w dwa miesiące późniéj rozumiał już doskonale, że jest to tylko odbicie postaci, bo jeżeli wykrzywiłem się nic nie mówiąc, obracał się zaraz szybko by spojrzeć na mnie. A jednak mając już 7 miesięcy, gdy mnie raz z ogrodu zobaczył w pokoju przez lustrzaną szybę, zdawał się nie być pewnym czy to tylko mój obraz, czy też ja to sam jestem. Inne z moich dzieci dziewczynka, mając rok nie była wcale tak rozwinętą, i zdawała się niezmiernie zdziwioną widokiem w lustrze osoby zbliżającéj się po za nią. Małpy doskonalszych gatunków, którym pokazywałem lusterka, zachowywały się zupełnie inaczéj. Kładły ręce za lustro co było dowodem rozumu; lecz własny widok nie sprawiał im przyjemności wcale, gniewały się, i nie chciały patrzeć.

Gdy dziecko doszło do pięciu miesięcy, w głowie jego zaczęły się rozwijać pojęcia niezależnie od tego co go uczono; i tak naprzykład gdy mu włożono płaszczyk i kapelusik i nie wyniesiono zaraz na spacer, wówczas zaczynał się niecierpliwić; we dwa miesiące późniéj uczynił już wielki postęp, gdyż rozumiał imię mamki i gdy ja

wymawiałem je głośno przy niém, obracał się szukając jéj w około. Inne znów dziecko bawiło się przechylaniem główki z boku na bok, zachęcaliśmy je do tego wykonywując ten sam ruch i powtarzając: „ruszaj główką,“ a gdy miało siedem miesięcy, robiło niekiedy to samo, skoro mu się tylko powiedziało, nawet bez żadnego gestu. Od siedmiu do jedenastu miesięcy pierwsze z tych dzieci rozumiało nazwę wielu przedmiotów i postępków: i tak, gdy się żądało od niego pocałunku, wystawiało usteczka i czekało nieporuszone, a gdy zobaczyło pudło od węgli lub rozlaną wodę, wstrząsało główką, mówiąc głosem gniewnym: „ah“—gdyż je nauczono uważać te przedmioty za nieczyste. Dodam tu jeszcze, że mając nie spełna dziewięć miesięcy, kojarzył ten chłopczyk imię swoje z widokiem swéj twarzyczki w lustrze i gdy słyszał wymawiane to imię, zwracał się do lustra, chociaż nawet był w pewnéj od niego odległości. W dziewięć miesięcy i parę dni domyślił się sam, że ręki lub innego jakiegoś przedmiotu rzucającego cień na ścianę, trzeba szukać za sobą. A gdy nie miał roku jeszcze, dosyć było powtórzyć dwa lub trzy razy w małych przestankach krótkie jakieś zdanie, by utkwiło mu w pamięci wyobrażenie jakie z niém łączył.

U dziecka opisanego przez p. Taine'a kojarzenie wyobrażeń, zdaje się objawiać daleko później, jeżeli tylko pierwsze objawy nie uszły uwagi badającego. Zdolność kojarzenia wyobrażeń z nauczenia i z własnego popędu, zdawała mi się zawsze stanowić wybitną różnicę pomiędzy umysłem małego dziecka, a umysłem dorosłego psa, chociażby najzmyślniejszego nawet, jakiego mi się zdarzyło spotkać. Co za różnica pomiędzy pojętnością dziecka, a pojętnością szczupaka, cytowanego przez profesora Möbius (1). Möbius opowiada, że ryba ta uparcie przez trzy miesiące rzucała się aż do odurzenia na szybę szklanną, oddzielającą ją od małych kiełbików, za nim zrozumiała że niebezpiecznie jest napastować owych małych sąsiadów, a gdy następnie wpuszczono ją razem z niemi do akwarium; nie domyśliła się, że może ich zjeść.

Ciekawość, jak to zauważył p. Taine, wczas się budzi w dzieciach i ma wielki wpływ na rozwój ich inteligencyi; lecz nie robiłem szczegółowych badań w tym przedmiocie. Naśladowanie również gra ważną rolę. Dziecko moje nie miało jeszcze czterech miesięcy, gdy mi się zdawało, że usiłowało naśladować głosy; lecz być może

---

(1) Die Bevegungen der Thiere etc. 1873. str. 11.

omyliłem się, bo dopiéro gdy skonczyło dziesięć miesięcy, fakt ten nie ulegał już wątpliwości. W jedenaście miesięcy i pół naśladował wiele rzeczy z łatwością. I tak: wstrząsał główką i mówił „ah" za każdym razem, gdy zobaczył coś brudnego; kładł zwolna wskazujący paluszek jednéj rączki na dłoni drugiéj, gdy mu powtarzano dziecinną bajeczkę. Nader zabawnie patrzeć było na jego zadowoloną minkę, gdy udało mu się zrobił coś podobnego.

Nie wiém czy powinienem tutaj przytoczyć jako wskazówkę siły pamięci u dziecka mającego lat trzy i dwadzieścia trzy dni, że skoro pokazano mu portret dziadka, którego nie widział pół roku, poznał go natychmiast i zaczął przypominać rozmaite drobne wydarzenia, mające miejsce podczas jego u dziadka pobytu, aczkolwiek od owego czasu nikt o nich przy niém nie mówił.

Poczucie moralne. Około trzynastego miesiąca zauważyłem w mojem dziecku budzące się poczucie moralne. „Daddy (było to jego imię), powiedziałem pewnego dnia, nie chce pocałować tatusia, Daddy nie dobry." Widocznie słowa te sprawiły mu przykrość, i gdy odszedłszy parę kroków usiadłem, malec wystawiał usteczka, okazując chęć pocałowania mnie; poczem poruszał rączką gniewnie, dotąd aż przyszedłem po ów ofiarowany pocałunek. W parę dni później znów miała miejsce scena podobna, a pogodzenie się zdawało się sprawiać mu tyle przyjemności, że często odtąd udawał zagniewanego, uderzał mnie, by mieć następnie przyjemność ucałowania. Czy nie możemy dostrzegać tu początku sztuki dramatycznéj, w któréj upodobanie tak wybitnem bywa pomiędzy większością małych dzieci? W owym już czasie wiele mogłem z nim zrobić, przemawiając do jego uczucia. Mając dwa lata i trzy miesiące, zdarzyło mu się pewnego dnia, oddać małéj siostrzyczce ostatni kęsek piernika, poczem dumny tém poświęceniem wykrzyknął: „Oh Daddy dobry, Daddy dobry!" W dwa miesiące później stał się niezmiernie drażliwym, gdy się kto z niego wyśmiewał, a nawet często, widząc osoby rozmawiające i śmiejące się, podejrzywał że on jest przedmiotem żartów. Później nieco, a miał wówczas dwa lata i pół-ósma miesiąca, spotkałem go wychodzącego z sali jadalnéj i zauważyłem oczy jego błyszczące więcéj niż zwykle, a w całéj postaci coś dziwnie nienaturalnego. Wszedłem więc do pokoju jadalnego i spostrzegłem, że malec brał miałki cukier, co mu było zabronionem. A ponieważ nigdy nie był karanym, ta więc jego zmiana postawy nie mogła być wynikiem obawy, lecz sądzę przypisać ją trzeba walce wewnętrznéj, pomiędzy przyjemnością jedzenia cukru a początkiem wyrzutów sumienia. W dwa tygodnie znów spotkałem go we drzwiach tego samego pokoju; patrzał pilnie na fartuszek, trzymając

go założonym, i tym razem także zwróciło moją uwagę niezwyczajne jakieś zachowanie się jego, tak że postanowiłem zajrzeć do owego fartuszka, aczkolwiek mówił mi że nic tam nie ma i kilkakrotnie kazał mi sobie iść precz. Fartuszek przecięż cały był poplamiony sokiem konfitur. Było tu więc rozmyślne kłamstwo. Lecz ponieważ prowadziliśmy to dziecko li tylko łagodnością, wkrótce więc stało się zupełnie szczerém i otwartém.

Śmiałość i nieśmiałość. Każdy zajmujący się niemowlętami, musiał być uderzonym śmiałością, z jaką wpatrują się one, bez spuszczenia oczów w nieznajome sobie twarze. Człowiek dorosły patrzy w ten sposób tylko na zwierzęta lub przedmioty martwe. Pochodzi to, jak sądzę, ztąd, że dzieci małe nie myślą o sobie i dla tego nie są nieśmiałe, aczkolwiek lękają się niekiedy osób obcych. Pierwszy objaw nieśmiałości spostrzegłem w mém dziecku, gdy miało lat dwa i miesięcy trzy: było to za mojém powrotem po dziewięcio-dniowéj nieobecności. Nieśmiałość objawiła się przesadném unikaniem mego wzroku; wkrótce przecięż przyszedł do mnie na kolana i wszelka nieśmiałość znikła.

Sposoby porozumiewania się. Krzyk dziecka jest naturalnie rzeczą wrodzoną, lecz służy mu również do okazania cierpienia. Po upływie pewnego przeciągu czasu, rodzaj krzyku zmienia się, odpowiednio do tego, czy go wywołuje cierpienie, czy głód. Fakt ten stwierdziłem u jednego z mych dzieci w jedenaście tygodni, u innego wcześniéj jeszcze. Prócz tego zdaje się nauczył się płakać kiedy chciał, lub krzywić twarzyczkę, odpowiednio do okoliczności, w sposób okazujący jakieś żądanie. Po upływie czterdziestu sześciu dni zaczął się odzywać urywanym głosem, jak gdyby dla zabawy i wkrótce nauczył się zmieniać wielokrotnie brzmienie jego. Sto trzynastego dnia dostrzegłem coś jakby lekkie usiłowanie uśmiechu; a u drugiego mego dziecka okazało się to wcześniéj jeszcze. Również w owym czasie, jak już nadmieniłem, zdawało mi się, że próbował naśladować rozmaite dźwięki, co jednak stwierdziłem później dopiéro. W pięć miesięcy i pół mówił „da“ bez żadnego wszakże znaczenia. Po upływie roku objawiał już żądania giestami, zdarzało mu się naprzykład niekiedy podnieść kawałek papieru, a oddając mi go wskazywał ogień, bo widział mnie nieraz palącego papiery i widok ten bawił go niezmiernie.

W owym też czasie usiłował wynaleść nazwę na określenie jedzenia i nazwał je „*mum*“, lecz nie wiém co go skłoniło do użycia tego wyrazu, i od owego téż czasu zamiast płakać, gdy był głodnym, powtarzał go, jak gdyby on miał znaczyć „dajcie mi jeść“. Wyraz

ten odpowiada wyrazowi *hum*, używanemu przez czternastomiesięczne dziecko opisane przez P. Taine'a. W ustach mego dziecka to „mum" przybiérało nader rozciągłe znaczenie. I tak: cukier nazywał *szu mum*, a późniéj, gdy go nauczono wyrazu „czarny" lukrecyą określał przez „czarny — szu — mum," — czarny — cukier — jedzenie.

Szczególniéj zwracało to moją uwagę, że mówiąc *mum*, gdy chciał jeść, kładł na zakończeniu tego wyrazu akcent pytający, również „ah", którego używał najpierw, gdy poznawał kogoś, lub gdy zobaczył siebie samego w lustrze, wymawiał z brzmieniem wykrzyknikowym zupełnie jak my, na widok czegoś niespodziewanego. Zanotowałem w dzienniku, że znaczenie téj intonacyi wynalazł, jak się zdaje, instynktownie i żałuję bardzo, że nie robiłem ściślejszych pod tym względem badań. Jednakże w dalszym ciągu mych notatek znajduję uwagę, wspominającą, że pomiędzy osiemnastym a dwudziestym jednym miesiącem, gdy nie chciał czego zrobić i odpowiadał przecząco, brzmienie jego głosu było wyzywającém, jak gdyby chciał powiedzieć: „nie z pewnością nie zrobię tego". Również jego *hum* było znakiem potwierdzającym, w znaczeniu: „tak, z pewnością". P. Taine kładzie silny nacisk na wybitny wyraz dźwięków, używanych przez jego córeczkę, zanim zaczęła mówić. Intonacya pytająca, którą nadawał mój synek wyrazowi *mum*, żądając jeść, jest w istocie ciekawą; bo jeżeli sprobójemy wymówić jeden wyraz, lub krótkie zdanie, przekonamy się, że głos przy literach końcowych, znacznie się podnosi. Robiąc te spostrzeżenia, nie zwróciłem wówczas uwagi na fakt ten, zgadzający się ze zdaniem mojém, przeprowadzoném w jednéj z mych prac, a dowodzącém, że człowiek przed posiadaniem mowy, wyrażającéj się słowami, tworzył dźwięki, składające gammę prawdziwie muzykalną, jak to wykonywają małpy bezogonowe, zwane Hylobatami (Antropoides).

W streszczeniu więc możemy powiedziéć, że dziecko małe objawia swoje potrzeby najpierw instynktowym krzykiem, który, po pewnym przeciągu czasu zmienia się, jako sposób oznajmienia jakiéjś chęci, po części bezwiednie, a po części jak sądzę własnowolnie, przez wyraz rysów, giesta i różnicę wyraźną intonacyi głosu, nakoniec przez właściwe wynalezione przez się wyrazy, a następnie inne dokładniejsze, naśladujące usłyszane, a te już ostatnie nabywa z zadziwiającą szybkością. Dziecię małe jak sądzę, rozumić do pewnego stopnia i to bardzo już wcześnie, uczucia osób pielęgnujących je po wyrazie ich rysów. Co do uśmiechu zdaje się nie ulegać to żadnéj wątpliwości; a zdaje mi się, że dziecko o któ-

rem mówiłem tutaj, poznawało wyraz litości mając zaledwo pięć miesięcy — a w sześć miesięcy i jedenaście dni okazywało wyraźnie swoje współczucie za każdym razem, gdy mamka udawała płaczącą. Po roku, gdy był zadowolonym z czegoś, co mu się udało zrobić, śledził widocznie wyraz twarzy otaczających go osób. Zapewne też to dla swego wyrazu, a nie kształtu rysów, niektóre twarze już od sześciu miesięcy wieku podobały mu się mniéj lub więcéj — a jeszcze przed skończeniem roku, rozumiał intonacye głosu, giesta, jak również wiele bardzo słów i krótkich zdań. A na pięć miesięcy przed wynalezieniem swego wyrazu *mum* rozumiał już imię mamki, co przecież dziwić nas nie powinno, przypomniawszy sobie, jak wiele zwierząt niższego rzędu z łatwością przyzwyczaić można do zrozumienia niektórych słów.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przed kilkoma tygodniami wielkie zrobił wrażenie artykuł *Nowin*, p. t. „W obronie niemowląt“. Chodzi o dzieci podrzucone a wychowujące się w Szpitalu Dzieciątka Jezus. który nie może im zapewnić dostatecznych wygód i opieki. Sale przeznaczone dla tych biedaków są ciasne, — wentylacyi w nich nie ma, chyba w czasie lata, kiedy się okna otwiérają, — mamek wreszcie jest za mało, ponieważ jedna przypada na dwoje lub troje niemowląt.

Ogół tych, wcale niepomyślnych warunków, scharakteryzować można za pomocą dwu wyrazów: *głodu* i *złego powietrza*, rezultat zaś ich streszcza się w zjawisku wielkiéj śmiertelności. Według *Nowin* śmiertelność między podrzutkami w r. 1873 wynosiła: w szpitalu 74%, na wsi (szpital bowiem wysyła część dzieci na wieś) — 18% do 20%.

Przytoczywszy kilka tych cyfr pismo, jak zwykle bywa w podobnych razach, odwołało się do miłosierdzia publicznego; ponieważ i inne zrobiły to samo, sądzimy więc, że przedewszystkiém wypada zaznajomić publiczność z położeniem w ogóle — dzieci nieprawo urodzonych, a w szczególności — podrzutków.

W tém miejscu nawiasowo przypomnimy, że śmiertelność między dziećmi nawet prawemi do pierwszego roku życia jest bardzo wielka. W Europie średnio ze 100 dzieci nowonarodzonych, prawie 26 umiéra, w ciągu pierwszych 12 miesięcy. Cyfra ta jednak nie jest stałą dla rozmaitych krajów, lecz:

w	Irlandyi	dosięga	38, 8%
„	Bawaryi	„	36,31%
„	Austryi	„	27,39%
„	Prusach	„	26,31%

natomiast:

w Anglii	wynosi	tylko	23,49%
„ Francyi	„	„	17,70%
„ Szlezwigu	„	„	16,90%

Czynnikami wywołującemi to chwianie się średniéj cyfry śmiertelności niemowląt: muszą być: oświata, dobrobyt, zamiłowanie porządku, system pielęgnowania dzieci, a zapewne i właściwości rasy. Pewném jest jednak, że społeczeństwo ciemne i biedne cięższy płacić musi podatek—i że u nas śmiertelność dzieci zbliża się raczéj do téj jaką widzimy w Irlandyi, aniżeli do średniéj europejskiéj cyfry.

Lecz jeżeli wielką jest śmiertelność między dziećmi w ogóle, to już bez porównania większą jest między nieprawourodzonemi. Statystyka uczy, że w I-m miesiącu na 10 zmarłych dzieci prawych, umiera 24 nieprawych.

w II i III miesiącu na	10	prawych	20	nieprawych
od IV do VI	„	10	„ 17	„
od VII do XII	„	10	„ 15	„
w drugim roku życia na	10	„	14	„
w trzecim i czwartym	10	„	13	„

Przecięciowo zaś w pierwszym roku życia na 10 zmarłych dzieci prawych przypada 19 zmarłych nieprawych, a zatém *dwa razy* więcéj. Pochodzi to ztąd zapewne, że dzieci nieprawe rodzą się z matek biédnych, a następnie oprócz nędzy doświadczają braku opieki.

Jeszcze gorzéj dzieje się jednak z podrzutkami, między któremi śmiertelność (według Benoiston de Chateauneuf) w najlepiéj urządzonych domach jest *dwa* i *trzy* razy większą niż między dziećmi prawemi. Wymownie dowodzą tego cyfry wzięte z domów podrzutków miast rozmaitych. I tak:

w Petersburgu	umiera	40%
w Florencyi	„	40%
w Barcelonie	„	60%
w Paryżu do I-go roku	„	80%
w Dublinie	„	91%
w Paryżu od I-go do IV r.	„	98%

W Irkucku zaś nie było podobno przykładu aby się podrzutek wychował!.... Ponieważ według *Nowin* u Dzieciątka Jezus umiera 74% podrzutków, cyfra ta więc nie należy jeszcze do największych, lecz z czasem powiększyć się może.

Przedewszystkiem jednak ów 74% zakwestyonować musimy z urzędowego wykazu o stanie dobroczynności publicznéj w r. 1873 na który powołały się Nowiny, dowiadujemy się, że:

w szpitalu Dzieciątka Jezus z r. 1872
pozostało podrzutków 5673
w ciągu r. 1873 przybyło 3346

Było to więc razem 9019.

Że zaś w ciągu 1873 r. zmarło 2917 dzieci, ogólna więc śmiertelność między podrzutkami w tym roku wynosiła 32%, co nawet świetną rekomendacyą dla szpitala stanowić by mogło. Chyba że 74% zacytowany przez Nowiny odnosił się wyłącznie do dzieci przybyłych w ciągu roku, lecz co do téj kwestyi sprawozdanie szpitalne żadnych nie podaje wskazówek.

Jakkolwiek jest, wątpliwości jednak nie ulega, że dola podrzutków warszawskich nie należy do najlepszych w Europie; że sale w których się mieszczą nie są zdrowe i że jedna mamka na dwoje lub troje niemowląt nie wystarcza. Zobaczmy jednak, o ile możliwą jest poprawa ich losu.

W ciągu 1873 r. przybyło do szpitala 3346 podrzutków, z których jeżeli nie wszystkie to przynajmniéj część większa potrzebowała mamek. No, a czy podobna przypuścić, aby szpital nasz znalazł dla każdego z nich mamkę najemną, jak się to praktykuje obecnie?

Daléj — liczba podrzutkow zwiększać się musi co roku, wzrost bowiem téj cyfry idzie niestety! w parze z rozwojem cywilizacyi. W r. 1872 na 13,000 dzieci urodzonych w Warszawie przypadało 4,000 nieprawo urodzonych czyli 31%; nie zapominajmy jednak, że nie jest to cyfra najwyższa, ponieważ np. w Moskwie nieprawourodzeni stanowią 38% ogólnéj liczby przybyłych na świat, w Wiedniu 50%, w Monachium 51%. Co będzie gdy liczba nieprawourodzonych dosięgnie u nas pięciu lub sześciu tysięcy i w odpowiedni sposób zwiększy ilość wychowańców szpitala Dzieciątka Jezus?...

Według naszéj opinii wszystkie wezwania o reformę domu podrzutków i wszelkie reformy nie wiele przyczynią się do zmniejszenia téj kategoryi śmiertelności: *złe bowiem leży w naturze saméj Instytucyi*. Podrzutek nie dla tego ma więcéj szans śmierci, że mieszka w sali ciasnéj, bo dzieci biédne mieszkają gorzéj nierównie, ale dla tego, że jako wychowaniec instytucyi publicznéj, jako podrzutek wreszcie *nie ma własnéj matki*. Gdyby chodziło o reformy radykalne należałoby: *zamknąć domy podrzutków, a na ich miejsce otworzyć takie instytucye, w którychby kobiéta mająca dziecko nieprawe, mogła znaleść przytułek i wychowywać je przynajmniéj do drugiego roku życia*. System ten wydaje się być jedynie racyonalnym i wpłynąć by mógł nie tylko na zmniejszenie śmiertelności niemowląt, ale na ich późniejsze

życie i na moralność matek. Kto wié zresztą czy na téj drodze nie zmniejszyłaby się i liczba dzieci bezimiennych? Kto wié ilu ojców nieprawych, w podobnych warunkach, przyznałoby się do sierot, nad któremi dziś nie wiadomo z jakiéj racyi wisi niedola i hańba.

Tymczasem nim znajdzie się reformator, który dla poprawienia skutków sięgnie do przyczyn — i — zamiast opiekować się nieprawourodzonemi niemowlętami zwróci uwagę na ich matki, należałoby przedewszystkiém dom dla podrzutków ufundować po za obrębem szpitala a nawet miasta. Zmiana ta da niemowlętom przynajmniéj — świéże powietrze. Co się zaś tycze ilości mamek — tych nigdy i nigdzie w domach podrzutków nie było dosyć; to téż we Francyi, (tak jak i u nas zresztą), karmią dzieci sztucznie—lecz co stanowi nowość — posługują się, o ile można, mlekiem suczem, które podobno najmniéj różni się od kobiécego.

Ludzie świadomi rzeczy nazywają giełdy barometremi politycznego stanu świata, — któż nam więc zabroni uważać za barometr ekonomicznego stanu Warszawy — miejscową kasę oszczędności, ten śpichlerz do którego z pracy żyjący a przezorny mieszczanin składa skromny zapasik, aby z niego w złéj godzinie korzystać?

Otóż kasa ta od roku zeszłego była świadkiem bardzo ożywionych i pouczających operacyj.

W dniu 1 Stycznia 1876 roku liczyła ona 27,150 członków i 977,762 rs. kapitału, z którego za tem na uczestnika przypadało 36 rs. Cyfra ta dobitnie wskazuje jacy kapitaliści przyjmują udział w instytucyi!... Od owéj chwili zaczyna się stagnacya: liczba członków to wznosiła się to znowu spadała, lecz w ogóle kapitał się zmniejszał, tak że po upływie półtora roku, w dniu 3 Czerwca r. 1877, wynosił tylko 659,960 rs. Ponieważ zaś członków w tym czasie było 26,514. na każdego więc przypadało 21 rs.

Zmniejszenie się kapitału zbiorowego o 322,202 rs., a więc przeszło o 32% stanowi bardzo uderzające zjawisko: we Francyi bowiem, w któréj w r. 1870 kasy oszczędności liczyły 720 mil. frank. suma ta skutkiem strasznéj i niszczącéj wojny zniżyła się tylko o 115 mil. frank. czyli o 16%.

Porównanie to najwymowniéj wskazuje jak dalece są wytężone u nas stosunki ekonomiczne.

Szczęściem, jak na teraz, Czerwiec rb. stanowił punkt zwrotu: od téj chwili lubo zwolna interesa kasy zaczęły się poprawiać, tak że w d. 5 Sierpnia r. b. liczyła 26,572 członków i 704,163 rs. kapitału. Wzrost ten jednak nie odznaczył się trwałością, już bowiem w tydzień później ubyło kasie 34 członków i 2947 rs. kapitału. W rezultacie

w dniu 12 Sierpnia było 26,538 uczestników i 701,216 rs. majątku z ktorego przypadało średnio 26½ rs. na osobę.

Nie trudno, przynajmniéj w grubszych zarysach, przyczyny tych zmian objaśnić. Gdy skutkiem wojennego popłochu zarobki zmniejszyły się, gdy wiele osób powołano do służby wojskowéj i gdy do tego wszystkiego przyłączyła się jeszcze drożyzna z powodu przednówka, wówczas kapitał i liczba uczestników kasy uległy zmniejszeniu. Nie wielkie zaś powiększenie jakie widzieliśmy w ostatnim miesiącu, przypisać należy częścią stanieniu artykułów spożywczych, a częścią temu, że niektóre fabryki wyrobów metalowych otrzymały znaczne zamówienia na efekta wojenne — i — że w ostatnich czasach wielu kapitalistów, nie wiedzących co robić z pieniędzmi, wzięło się do budowania domów w Warszawie.

Pewna część nowowznoszonych budynków, osobliwie w alejach Ujazdowskich, zakrawa na pałace: widzimy tam żelazne eleganckie kraty i fontany przed domami, niezwykłych form dachy, sztukaterye i kolumnady na zewnątrz. Wewnątrz téż zaprowadza się gazowe oświetlenie — i — gdzie można — wodociągi. Tylko miejsca ustępowe stanowią zazwyczaj piętą Achilesa w tych gmachach, z których w najlepszym razie cieszyć się mogą ludzie bardzo zamożni.

Rok ten w dziejach budownictwa naszego upamiętni się jeszcze pewną odświéżoną trochę nowością, a mianowicie: domami dla robotników. Wznoszono je już przed kilkunasty laty; w sąsiedztwie fabryki Zamoyskich, lecz następnie zapewne z powodów finansowych zaniechano przędsiębierstwa. Widzieliśmy jeden z takich domów już dosyć dawno: był on zbudowany według systemu koszarowego, i posiadał tyle mieszkań dosyć ciasnych i tyle brudów, co każdy inny, nie noszący tak filantropijnego tytułu.

W początkach roku niniejszego p. p. Dąbrowski i Rodkiewicz wznieśli znowu dwa domy dla robotników przy ulicy Nowo-Wiejskiéj. Jeden ma mieszkania małe i należy do typu koszarowych, drugi mieszkania średnie z oddzielnemi sieniami. W sprawie téj musi tkwić jakiś magnes, obecnie bowiem zawiązała się druga spółka (p. p. Kraszewski, Filipkowski i Waligórski), mająca zamiar wznieść więcéj podobnych budowli, któreby „odpowiadały wszelkim warunkom zdrowia i porządku“. Z okazyi téj doktór W. Lubelski zwraca uwagę publiczną na system Napoleona III dość upowszechniony w Europie, który polega na tém, że w dzielnicy fabrycznéj budują się domy nie wielkie na 4 lub 6 rodzin, z łazienkami, pralniami, ogródkami i t. p. wygodami. W dzielnicy téj powinnyby się znaleść: kasa groszowa, szkoła, poczta, felczer, apteczka i sklep spożywczy.

Jakkolwiek bardzo pragniemy, aby klasy robocze, jeżeli nie wykwintnie to choć po ludzku mieszkały, — na wszelkie jednak tego rodzaju przedsiębierstwa u nas zapatrywać się musimy pesymistycznie.

Budowanie mieszkań dla robotników jest albo interesem, albo aktem filantropii. Jeżeli jest interesem, to dziwię się bardzo dla czego dotychczas, na pożytek rozmaitych klas mieszkańców miasta nie wznosi się lokalów tanich, zdrowych i wygodnych? Każdy przecię człowiek posiadający średnie dochody, wolałby mieć ogródek, świéże powietrze i łazienkę w domu, aniżeli za te same pieniądze, ciasnotę i zaduch jak się to do dziś praktykuje? Widać jednak, że system tłoczenia jak największéj liczby ciał ludzkich na łokciu kwadratowym, musi mieć potężną racyę bytu, skoro go dotychczas nie zmieniono; lękamy się więc aby przedsiębiercy domów dla robotników i ich lokatorowie, zbyt drogo nie zapłacili za projektowane wygody.

O filantropii, jako zasadzie w imię któréj wznosiłyby się domy dla robotników nie wspominam. Natomiast zrobię uwagę, że dopóki granice miasta nie zostaną rozszerzone, dopóki koleje konne nie połączą między sobą najodleglejszych punktów, dopóki ilość machin wodociągowych nie wzrośnie, dopóty o wygodnych a tanich mieszkaniach w Warszawie myśléć nawet nie warto. Dziś w téj sferze stosunków za czém inném ubiegają się ludzie: sprzedać plac jak najdrożéj, wybudować dom jak najrychléj i jak najśpieszniéj zrobić na nim majątek, — oto hasła. Dobro bliźnich w téj buchhalteryi nie ma rubryki.

Wielką natomiast ma przyszłość i na gorące zasługuje poparcie projekt zakładania *stowarzyszeń wzajemnéj pomocy*, których celem jest dostarczać klasie roboczéj pomocy lekarskiéj i utrzymania w razie choroby, tudzież środków na koszta pogrzebu w razie śmierci.

Stowarzyszeń takich we Francyi jest kilka tysięcy, z kilkudziesięcioma milionami kapitału, składki zaś są bardzo umiarkowane. W razie choroby każdy członek, oprócz pomocy lekarskiéj, otrzymuje taką kwotę dziennie, jaką składkę płacił miesięcznie, rachunek zaś przekonał, że zasada ta jest zupełnie praktyczną. Sprawdzono mianowicie, że na 100 stowarzyszonych mężczyzn, przypada rocznie 571 dni choroby; jeżeli więc każdy wnosi po 2 franki miesięcznie i takąż sumę otrzymuje w razie choroby dziennie, wówczas:

Składka roczna 100 członków wynosi 2400 fr.
Płaci się chorym na utrzymanie . . . 1142 fr.
a więc pozostaje 1258 franków na opłatę lekarza i apteki.

Suma ta niewystarczyłaby sama przez się, lecz zwiększa się składkami członków honorowych, którzy raty płacą, ale z pomocy towarzystwa nie korzystają.

W niektórych warszawskich i prowincyonalnych fabrykach istnieją podobne stowarzyszenia pod nazwą *krankenkasse*, albo: „kas braterskich“ lecz mają one dwie wady. Naprzód jest ich za mało,— a powtóre (jak słusznie sądzi Gazeta Warszawska) czuć się w nich daje zbyt wielki wpływ pryncypałów, którzy zwiększają wprawdzie fundusz z własnych kapitałów, ale też rządzą nim samowolnie i wrazie zamknięcia fabryki pozostałą, niekiedy znaczną sumę, mogą przelać do swego majątku.

Pożądane byłoby zatém, aby przedewszystkiem stowarzyszenia podobne, nie tylko fabryki, ale cały kraj ogarnęły: zarówno bowiem robotnik fabryczny, jak rzemieślnik, parobek i służący narażeni są na choroby i nędzę będącą ich skutkiem. Z tego powodu muszą się one stać instytucyami samodzielnemi, nie zaś jak to dziś ma miejsce, połączonemi z tym lub owym zakładem fabrycznym. Najwłaściwszymi protektorami i dozorcami stowarzyszeń podobnych mogłyby być w miastach—towarzystwa dobroczynności, po wsiach gminy i duchowieństwo. Inicyatywę zaś do nadania pierwszego popędu stowarzyszeniom wzajemnéj pomocy mogłoby wziąć Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności.

Najwyższą formą tego rodzaju instytucyi są niewątpliwie tak zwane Kasy zjednoczenia dróg żelaznych. Aby wskazać zakres i naturę ich działalności, przytoczymy sprawozdanie roczne jednéj z nich, a mianowicie istniejącéj przy drodze Warszawsko-Wiedeńskiéj i Bydgoskiéj,—za rok 1876.

Majątek kasy wynosi 534,630 rs., liczba członków 2033, a oto ważniejsze operacye.

Udzielono pożyczek procentowych w ciągu roku 548 uczestnikom,—ubywającym zaś wypłacono 1351 rs. powstałych ze składek.

Na utrzymanie 40 emerytów (z najwyższą pensyą 480 rs. najniższą 28 rs. 80 kop.) wydano 6213 rs.

Pensya dla 107 wdów (najwyższa 787 rs. 50 kop. najniższa 10 rs. 80 kop.) wynosiła 8745 rs.

Na wychowanie dzieci po 86 zmarłych (najwyżéj 262 rs. 50 kop., najmniej 2 rs. 25 kop. na jedno) wydano 2047 rs.

Ogół wydatków zatém wynosił 19,598 rs. prawie. Zobaczmy teraz dochody.

Procenta od kapitałów i pożyczek: 23,993 rs.,—składki uczestników 30,997 rs., dopłata z funduszów towarzystwa 5556 rs.,—dochód

z kar 2615 rs. Razém z innemi pomniejszemi pozycyami ogólny dochód wynosił w okrągłych cyfrach 64.134 rs.

Jeden rzut oka na bilans powyższy nasuwa następne uwagi.

1º Że towarzystwo niepotrzebnie dokłada swoje kilka tysięcy rubli, bez których dochód roczny jest i tak dość wielki—i że nie ma też racyi odegrywać w kasie roli przeważnéj, jak to dziś ma miejsce, a z czego znowu, słusznie czy niesłusznie oficyaliści drogi nie są zadowoleni.

2º Roczna przewyżka dochodów nad rozchodami wynosząca 44.000 rs. przeszło, jakkolwiek dobrze świadczy o finansowém gospodarstwie zarządu, jest może zawielką, a tém samém niebezpieczną. Los funduszów zebranych onego czasu przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, nie powinienby zachęcać do składania sum tak imponujących.

3º Istnieje uderzająco niekorzystny stosunek między ilością emerytów (40), a ilością wdów (107) i sierot (86) pobierających pensyą z kasy zjednoczenia. Okoliczność ta wymownie świadczy że termin dosłużenia emerytury jest zbyt odległy i że skrócićby go należało. Gdyby to zrobiono, roczna przewyżka zmniejszyłaby się wprawdzie, ale na korzyść uczestników, jak być właśnie powinno.

Że cło w złocie którego obawiano się nie bez racyi, że nawet upadek wartości pieniędzy mogą mieć błogie następstwa, dowodzi tego między innemi projekt założenia krajowéj fabryki zabawek, która już w czasie nadchodzących świąt Bożego Narodzenia, ma zamiar wyrobami swemi uszczęśliwić małoletnich ziomków naszych.

Projekt ten nie nowy, aczkolwiek bardzo dobry. Przed kilku laty figurował on w naszych pismach, lecz na wykonawcę nie trafił; obecnie, jeżeli dojdzie do skutku, możemy być pewni, że znajdzie licznych naśladowców.

Niektórzy sądzą, że zabawki krajowe powinny stanowić epokę w tego rodzaju wyrobach i przybrać stanowczo cechę kształcącą dzieci. Jest to istotnie bardzo pożądane. Dzisiejsze zabawki są bezmyślnemi cackami, które w duszy ich posiadacza nie zdolne są obudzić żadnego pojęcia, żadnéj ciekawości, żadnéj obserwacyi samodzielnéj, stanowią one prezent Niemców, którzy przysyłając nam stosy kosztownych głupstw, na użytek własnych dzieci, umieją wcale przyzwoite i tanie rzeczy wyrabiać. Począwszy od mało upowszechnionych u nas a odznaczających się rozmaitością i użytecznością darów Froebla, sklepy tamtejsze posiadają modele machin przemysłowych i naukowych, zbiory okazów zwierzęcych, roślinnych i mineralnych, komplety odczynników i szkieł do doświad-

czeń chemicznych, narzędzia ślusarskie, stolarskie i t. d. o których nasze dzieci pojęcia nawet nie mają.

Czy krajowa fabryka wie o tem i czy potrafi braki dotyczasowe zapełnić, przekonamy się za kilka miesięcy. Pożądane jest jednak aby pisma nasze na naukowy charakter zabawek zwróciły uwagę rodziców, którzy dotychczas nie tyle zajmowali się treścią i pożytkiem, ile raczéj błyszczącą powierzchownością świątecznego podarunku. Za sprowadzanie „krzyczących lalek,“—„bębniących królików“ i „biegających piesków,“ które na drugi dzień szły do kąta, à w dziecku obudzały tylko apetyt na niedorzeczności, długi czas oskarżano kupców. Jeżeli oni byli winni istotnie, w takim razie sumiennie i umiejętnie prowadzona fabryka zabawek krajowych, złe prędko może naprawić. Lecz jeżeli bezmyślne cacka sprowadzano dla tego tylko, że rodzice innych nie chcieli, w takim razie zamiast urzeczywistnienia nadziei, jakich się po nowootworzonéj fabryce niektórzy spodziewają, pozyskamy w kraju nową gałęź przemysłu, któréj wyroby przyczynią się, tylko do powiększenia zawartości śmietników.

Gdyby słowa te doszły kiedy do wiadomości właścicieli fabryki, w takim razie, na zakończenie radzimy im, aby się znieśli z pp. Julianem Ochorowiczem obecnie docentem filozofii we Lwowie i Antonim Rupertem geometrą w Lublinie. Pierwszy z nich jeszcze przed kilkoma laty zajmował się teoretycznie kwestyą zabawek naukowych i, o ile mi wiadomo obmyślił pewną liczbę typów,—drugi zaś buduje ciągle machinki parowe, małe okręta, fabryki i t. d. które nie tylko poruszają się, za pomocą pary, ale nadto jako modele odznaczają się dokładnością.

Przechodzimy do stosunków wiejskich z zakresu których, kilka zasługuje na najszerszy rozgłos.

Wieś Dobrzec Wielki (powiat Kaliski) licząca przeszło 100 domów i 200 zabudowań gospodarskich, mieściła się dotychczas w ciasnym wąwozie,—skutkiem czego co parę lat przytrafiały się tam wielkie i niszczące pożary. Jeden z nich miał miejsce w ostatnich czasach, a choć zniweczył cztery chaty, błogosławić go jednak można ze względu na wpływ moralny. Włościanom ostatecznie obmierzły tak częste klęski i otóż na zebraniu gminném wydali uchwałę, na mocy któréj wieś ma być przebudowana, a grunta inaczéj podzielone. Dotychczas gospodarze posiadali ziemię w kilku kawałkach pomięszanych z sąsiedzkiemi,—obecnie zaś każdy ma mieć grunta skoncentrowane w jednym kawale i przy nim chatę. Tylko 7 głosów zaprotestowało przeciw temu postanowieniu, które ze wszech miar zasługuje na to, aby go władze wyższe usankcyonowały. Dzi-

siejszy bowiem podział gruntów włościańskich. ze względu na ich rozrzucenie i pomięszanie z innemi, ułatwia kradzieże, a stanowczo uniemożliwia jakikolwiek postęp rolniczy. Reforma więc w całym kraju jest bardzo pożądaną, znani zaś z liberalnych i humanitarnych poglądów panowie komisarze włościańscy, powinniby się stać jéj apostołami, jeżeli nie w imię postępów agronomicznych, na które nie zawsze się zważa, to przynajmniéj dla tego, aby zatrzéć ostatnie ślady pańszczyznianych stosunków. Istotnie, kraj wyglądałby daleko liberalnéj, gdyby nie te wsie skupione, grunta ułożone w szachownicę i serwituty.

Przed kilku laty słyszeliśmy o pewnym pastorze z okolic Rygi, który dając ślub nowożeńcom wymagał od nich aby własnoręcznie zasadzili kilka drzew na pobliskiéj wydmie piaszczystéj, prawdziwéj klęsce pól sąsiednich. Podobnie robi w naszym już kraju ks. *Sudymt* proboszcz parafii Kije, który zaprowadził zwyczaj, że każdy pan młody sadzi przy drodze 20 sztuk drzew, a panna 15. Zwyczaj ten tak przypadł do gustu osobliwie dziewczętom wiejskim, że już nie czekając na wesele, zawczasu sadzą drzewa i za siebie i... za przyszłego nowożeńca.

Ta wysoce użyteczna a pełna poezyi praktyka, wśród ludu naszego, łatwo zaszczepić by się mogła, pociągając za sobą wiele dobrych następstw. Tym sposobem w ciągu jednéj generacyi, bez pomocy sądów i straży, wytępiłoby się dzisiejsze szkodnictwo i zamiłowanie do dręczenia zwierząt: każdy bowiem stary czy młody, traktowałby drzewo i ptaka gnieżdżącego się na niem, jak relikwią. Potrzeba do tego jednak, aby i inni duchowni przewodnicy ludu naśladowali przykład zacnego proboszcza.

Na równie szczęśliwą myśl wpadł pewien obywatel ziemski z okolic Skalbmierza. Wiadomo, że dzieci włościańskie po większéj części pozbawione dozoru i zajęcia, dotkliwe szkody wyrządzają całéj wsi, niszcząc drzewa i młode zwierzęta lub kradnąc owoce. Otóż obywatel ów, ze szkodników postanowił zrobić pracowników. W tym celu wezwał dzieci do siebie i namówił je do pielenia buraków, obiecując, że po ukończeniu roboty, prócz zapłaty da im małe podarunki i wyprawi zabawę. Tym sposobem stopniowo ściągnął do siebie 28 indywiduów między 8 i 12 rokiem życia. Robota poszła szybko i zabawa odbyła się w czasie oznaczonym, ku uciesze dzieci i ich rodziców, a zbudowaniu sąsiadów.

Niegdyś, w czasach stosunkowo gorszych zabawy podobne, będące dziś osobliwością, stanowiły serdeczny węzeł między włościaninem i szlachcicem. Dziś pragnąć należy aby powtórnie weszły

w zwyczaj i powoli zatarły rozdział, jaki się w ciągu kilkunastu lat wytworzył między majętniejszymi i uboższymi rolnikami. Któż zgadnie, ile jedna taka zabawa, załagodziłaby swarów, kończących się dziś, a właściwie jątrzących, w lokalach sądów gminnych?

Parę następnych faktów posłużyć mogą za przyczynek do współczesnych dziejów moralności i oświaty ludowéj. Korespondent „Gazety Lubelskiéj“ z okolic Bobrownik pisze, że w tamtych stronach nie ma prawie karczem po wsiach, natomiast zaś jest bardzo wielu włościan, osobliwie młodych, którzy czytać i pisać umieją. We wsiach Bonów, Gołąb, Dęblin, Podwierzbie, Bobrowniki i Sędowice znajdują się gospodarze prenumerujący *Zorzę*. *Antoni Kozak* z Bonowa posiada biblioteczkę z kilkudziesięciu ludowych dziełek złożoną, zaś *Adam Kowalski* ze wsi Włostowic, do 10-letniego syna swego trzyma nauczyciela, który go do gimnazyum przygotowuje.

W innéj znowu okolicy pewien obywatel z opłat ściągniętych od włościan za szkody w polu, prenumeruje dla nich popularne pismo rolnicze: *Gospodarza*.

Samo wyliczanie podobnych drobiazgów, jest najlepszym dowodem tego, że włościanie garnący się do książki i obywatele naprowadzający ich na drogę do oświaty stanowią dla nas osobliwość. Pojawienie się biblioteczki włościańskiéj, albo prenumeratora *Zorzy*, w jakiéjś okolicy, wywołuje w nas takie uczucie, jak widok kilku ździebeł trawy na obszernéj, piaszczystéj równinie. Swoją drogą znalibyśmy więcéj faktów podobnych, gdyby p. p. korespondenci prowincyonalni zwracali na nie baczniejszą uwagę. Czytelnictwo zaś szybciéj upowszechniłoby się na wsiach, gdyby duchowieństwo i obywatele ziemscy podsuwali książki włościanom, i gdyby wzięto się nareszcie do zakładania biblioteczek gminnych, o których pożytku dzienniki nasze zadrukowały stosy papieru naprożno.

Do takich niedojrzałych, a gorąco rozbieranych spraw, należała między innemi kwestya nauczycielek prywatnych. Los ich do dziś dnia, mimo niejakich zmian na lepsze, wiele pozostawia do życzenia. Nie ma już wprawdzie domów, w którychby nauczycielkę sadzano „do drugiego stołu“, i w ogóle traktowano jak służącą, lecz natomiast, obecnie jak i dawniéj, nauczycielka Polka gorzéj jest płatna aniżeli cudzoziemka, w ciągu pełnienia obowiązków, wbrew zdrowemu rozsądkowi, pracować musi z dziećmi 8 do 10 godzin dziennie, w rezultacie zaś, na starość nie ma własnego kąta i zadawalniać się musi łaskawym chlebem.

Niezależnie od tego nauczycielki są wyzyskiwane przez kantory, doznają niekiedy przykrych zawodów ze strony pracodawców, w czasie zaś przerw między porzuceniem jednéj posady i otrzyma-

niem drugiéj pewna część ich jest pozbawioną przytułku i opieki. Znam wypadki, że jednéj nauczycielce prywatnéj, groził nocleg na ulicy albo w cyrkule, gdyby jéj litościwi nie przygarnęli, i że druga literalnie z głodu umarła, w czasie przymusowych wakacyi.

Niedole są udziałem życia, lecz stają się występkiem społecznym wówczas, gdy w celu zmniejszenia ich nie używa się najprostszych i wyprobowanych środków. Los nauczycielek prywatnych u nas poprawiłby się niewątpliwie, gdyby osoby wpływowe pomyślały o utworzeniu stowarzyszenia dla nich. Aby zaś wskazać choć w ogólnych zarysach naturę i zakres tego rodzaju pomocy, zacytujemy program podobnéj instytucyi w Krakowie.

Cel towarzystwa polega na tem, aby:

1° Umieszczać nauczycielki na posadach.

2° Udzielać schronienia niemającym obowiązku.

3° Udzielać zapomóg potrzebującym, tudzież: przyjmować chore do zakładu, w razie zaś śmierci grzebać.

4° Przyjmować na utrzymanie emerytki.

Fundusze stowarzyszenia płyną z następnych źródeł:

1° Składek jednorazowych i miesięcznych płaconych przez uczestniczki.

2° Ofiar dobrowolnych, ze strony osób interesujących się instytucyą.

3° Z widowisk i loteryj fantowych na rzecz stowarzyszenia urządzanych.

Byłoby bardzo pożądane, aby w razie utworzenia się u nas podobnego towarzystwa, pomyślano o funduszach emerytalnych, a przynajmniéj aby skłaniano uczestniczki do zapewnienia sobie pensyi emerytalnéj w któremkolwiek z towarzystw przyjmujących ubezpieczenia na życie. Są to jednak rzeczy dalsze najbliższém zaś i najpilniejszém jest obmyślenie punktu oparcia dla licznéj klasy pracownic, od których przyszłość młodego pokolenia zależy.

Aleksander Głowacki.

BIBLIOGRAFIA.

Traité d'économie industrielle, etudes préliminaires, organisation et conduite des entreprises par C. Ad. Quilbaut. Paris, *Guillaumin*, 1 vol.

Autor téj książki powiada, że miał „na celu, zbadać ekonomiczne prawa produkcyi przemysłowéj, wyciągnąć z nich prawidła organizacyi przedsiębiorstw, wskazać przemysłowcom środki najkorzystniejszego spożytkowania swéj pracy.“ Podaje zaś w niéj rezultata studyów swoich nad przeprowadzonemi we Francyi ankietami w latach 1857 i 1869, dodając do tego to co mu własne doświadczenie wskazało.

W 27 rozdziałach téj książki. wspomina o ogólnych zasadach ekonomii, klasyfikuje rozmaite rodzaje przemysłu, wskazuje ceny kosztu i ceny w handlu, zajmuje się surowym materyałem, kosztem roboty, kosztami ogólnemi, sposobami obliczenia potrzebnego kapitału, zyskiem i stratą. Dalej pisze o rachunkowości, o administracyi przedsiębiorstw, o materyalnych i moralnych warunkach powodzenia przemysłu, o prowadzeniu interesów w ogólności, i o ich rozpoczynaniu i likwidacyach, nareszcie o towarzystwach akcyjnych. Książka ta wyłączniéj do Francyi się stosująca, mieści jednak w sobie dużo praktycznych i użytecznych wskazówek.

W roku bieżącym *czasopiśmiennictwo niemieckie* pomnożyło się o kilka nowych miesięczników i dwutygodników. Do współzawodnictwa ze znaném już od lat dwóch Deutsche Rundschau Rodenberga występuje obecnie „*Deutsche Revue* über das gesammte nationale Leben der Gegenwart“ wydawane przez Habel'a, księgarza Berlińsktego pod redakcyą Richarda Fleischer z Dessau. Działy: naukowy, sztuk pięknych, literacki, oraz życia publicznego, mają oddzielnych swoich pod-redaktorów. Pismo wychodzi dwa razy na miesiąc. Miesięcznik *Nord und Süd* już po dwóch pierwszych zeszytach cieszył się zadawalniającą liczbą prenumeratorów. Dwutygodnik wiedeński *Literatur blatt*, wydawany przez An. Edlingera zamieszcza szkice literackie, przegląd krytyczny i przegląd prasy. Podobnéj treści jest *Literarische Correspondenz* wydawana przez Ad. Stöhra w Lipsku. Nareszcie z polemiczną dążnością występują wrocławska *Schlesische Warte*, do któréj pisuje znany u nas pogromca gründer'ów Otto Glogau i *Deutsche Reichslatere* wydawana przez Kar. Böttcher w Lipsku, wstępująca w ślady „Latarni“ Rochefort'a.

Die antiken Odysseelandschaften vom Esquilinischen Hügel zu Rom von Karl Woermann. München. Th. Ackermann. Jestto pyszne wydanie chromolitograficzne ośmiu i pół obrazów rzymskich, malowanych al fresco na murze. Odkryto je w 1848 r. przy kopaniu fundamentów pod ochronkę, projektowaną przez municypalność m. Rzymu. Pod kierownictwem sławnego archeologa Caniny obrazy zostały od muru oddzielone i w Muzeum kapitolińskiém umieszczone. Obecnie kopie akwarelowe wykonał starannie Krohn w Wejmarze do reprodukcyi chromolitograficznéj. Treść tych obrazów stanowią sceny z Odyssei: przygoda z Lestrygonami, odwiedziny u Cyrcei i t. p. Przy nader szczupłéj liczbie zabytków malarstwa starożytnego, obrazy te stanowią nader cenny przyczynek do powzięcia wiadomości o pejzażu, kolorycie i technice starożytnych. Wydanie jest bardzo staranne; kosztowało cztery lat pracy.

Nie oswojonemu z tajnikami pedagogiki niemieckiéj czytelnikowi dziwnym się zda artykuł z N-ru 23 b. r. pisma Die Gegenwart „o prawie do kar cielesnych przysługującém nauczycielowi.“ (Das Züchtigunsrecht *der Lehrer).* Powodem do napisania artykułu był fakt dymissyi pewnego nauczyciela w Berlinie za to, że wymierzył „brutalną karę cielesną“ w szkole na dziewczynce. Wszakże w obec takiego faktu p. Carl Schultz, autor artykułu, występuje w obronie kar cielesnych, a szczególnie „siarczystego policzka“ (eine derbe Maulschelle), użytego w stosownéj chwili. Wyraz bowiem „züchtigen“ ma spólny pierwiastek z „ziehen“ i „erziehen,“ a zatém wychowanie bez policzkowania jest zdaniem jego, niemożliwe. „Bo jeśli przy sprawie wychowania kara cielesna ma być niewłaściwą, to gdzież się znajdzie dla niéj właściwsze miejsce?... (jak gdyby bez niéj życie postradało całą wartość i wszystkie swe powaby!) Uderzenie w stosownéj chwili wymierzone okazało się niejednokrotnie i oddawna najdzielniejszym środkiem, by dziecię do upamiętania przywieść. Uderzenie zapobiegało częstokroć przez swój wpływ zaradczy potrzebie stosowania tysiąca kar“ itp. Po dalsze argumenta odsélamy ciekawych do samego artykułu, co do nas jednak cieszymy się, że nasi nauczyciele umieją sobie teraz radzić w szkole bez tego „nadzwyczaj skutecznego środka.“

Georg Schanz Zur Geschichte der deutschen Gesellen-Verbände im Mittelalter. Leipzig 1877. Duncher u. Humblot. Uczony autor, ze sporym zwojem dokumentów w dodatku do rozprawy, kreśli stan klasy rzemieślniczéj przeważnie w XIV i XV wiekach. Walka terminatorów krawieckiego, szewckiego, tkackiego, piekarskiego etc. cechów ze swymi majstrami przedstawia pewne podobieństwo do ruchów wyrobniczych i socyalistowskich z naszéj epoki.

Ilustrowana historya Stanów Zjednoczonych Lossinga wychodzi w wydaniu niemieckiém p. t. *Illustrirte Geschichte der Vereinigten*

Staaten von Benson J. Lossing. Stuttgart. Berth. Auerbach w 40 zeszytach. Jestto dzieło popularne, powabnie napisane, oparte na znakomitych pracach Bancrofta, Schoolcrafta, Whipple'a i t. p.

Prof. *Brüchner* w czasopiśmie Russische Revue, 3 Heft, 1877 r. opierając się głównie na pracy p. Łazarewskiego (Ob istreblenii wołkom domaszniaho skota i diczy. S. Petierburh 1876) podaje ciekawe szczegóły o szkodach, jakie wyrządzają wilki w Cesarstwie Rosyjskiém. Podług danych statystycznych z r. 1873 zebranych przez ministeryum Spraw Wewnętrznych, szkody te wynoszą w 45 tylko guberniach 7½ milionów rub. sr. Do téj cyfry trzeba doliczyć jeszcze wartość ½ miliona porywanych corocznie gęsi. Uzupełniając rachunek przez wprowadzenie innych, nie objętych wykazami, części państwa, p. Łazarewski oblicza na ogół stratę roczną na 15 mil. rs. W saméj Rossyi Europejskiéj ma żyć 200.000 wilków, które porywają 180.000 sztuk bydła i 560.000 pomniejszych zwierząt domowych. Ponieważ atoli na jednego wilka przypada tym sposobem tylko 20 pudów mięsa, a ten potrzebuje na wyżywienie się swoje w ciągu roku 65 pudów, więc resztę, brakującego żeru stanowi zwierzyna, która ma też swoję niemałą wartość. Psów ginie co roku 100.000 w walce z tym strasznym niszczycielem. Pomiędzy sposobami tępienia wilków najpraktyczniejszym zdaje się być trucie ich. Gdyby rząd wyznaczył po 10 rs. nagrody za każdy otruty egzemplarz, w takim razie summa 2.000.000 rs. wystarczyłaby na radykalne wytępienie całéj ludności wilczéj w Rossyi Europejskiéj.

Otóż mamy już i historyą Japonii przez anglika Fr. *Adamsa* napisaną, a przez Em. Lehmann'a na język niemiecki przetłómaczoną p. t. *Geschichte von Japan* von den frühesten Zeiten bis auf die Gegenwart. (Gotha 1876. F. A. Perthes). Zawiązki życia historycznego na wyspach archipelagu Japońskiego mieści autor w VII wieku przed nar. Chr. Zresztą dzieje dawniejsze są krótko opowiedziane i nie obfitują w szczegóły. Obszernie i dramatycznie rozwija się dopiéro epoka 1853—1864 r. kiedy cywilizacya europejska z bronią w ręku wdarła się w głąb nieznanéj dotychczas, tajemniczéj krainy. Walka ta przedstawiona jest żywo i budzi wielki interes.

Parker, J. H. *The forum Romanum*; *the Via sacra in Rome*. (Oxford 1876. Parker et C° str. 120 tablic 45 i plan) podaje wyborną topografią owego Rynku, co niegdyś trząsł i rządził światem. Czytelnik znajdzie tu informacyą, ilustrowaną fotografiami o najnowszych odkryciach w 1876 r. dokonanych, np. świątynie Antoniny i Faustyny. P. Parker należy do najznakomitszych archeologów Rzymu; obecna publikacya stanowi już tom II obszerniejszego dzieła p. t. The archeology of Rome.

Zapowiedziana praca Pana Justyna Wojewódzkiego p. t. „**Kwestya domu zarobkowego w Warszawie, tudzież, zaradzenia ubóstwu w kraju**“ (streszczenie i dalsze z nowemi szczegółami rozwinięcie poprzedniéj w r. 1875 drukowanéj rozprawy p. t. Myśl Stanisława Staszica i t. d.) już wyszła z druku w 8-ce drobném pismem, str. 70, i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w drukarni M. Ziemkiewicza przy ul. Krakowskie-Przedmieście Nr. 415. Cena k. 40. Jednocześnie wyszła inna tegoż autora broszura w odbitce z Gazety Lekarskiéj p. t. „**O polepszeniu losu podrzutków przy Szpitalu Dzieciątka Jezus**“, i jest także do nabycia w księgarniach, jakoteż w rzeczonéj drukarni M. Ziemkiewicza. Cena k. 10.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie na początku każdego miesiąca zeszytami. od 12—15 ark. druku zawierającemi.

„Ateneum“ przeszło obecnie na własność **D-ra Włodzimierza Spasowicza**, a pod redakcyą **D-ra Jana Trejdosiewicza**, Docenta Uniwersytetu Warszawskiego.

W „Ateneum“ pomieszczane będą: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie	**Rs. 12.**
Półrocznie	„ **6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie)	„ **3.**

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7.

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

PP. Prenumeratorowie z prowincyj proszeni są o zgłaszanie się z prenumeratą *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.



Дозвол. Цензурою. Варшава, 18 Августа 1877 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska, 23.